

**C.J. CHERRYH**

# **40000 Z GEHENNY**

NAKŁADEM SOLARIS UKAZAŁY SIĘ M.IN. :

Robert Silverberg „Długa droga do domu" Harlan Eliison „Niebezpieczne wizje"  
Thomas. R.P. Mielke „Sakriversum" Andreas Eschbach „Gobelinarze" Andreas  
Eschbach „Wideo z Jezusem" Pat Cadigan „Wgrzesznicy" Frederik Pohl „Gateway" Ben  
Bova „Mars"  
Marina i Siergiej Diaczenko „Armaged-dom" Fritz Leiber „Zobaczyć Lankmar i  
umrzeć" Jon Courtenay Grimwood „Pasza-zade"

W PRZYGOTOWANIU:

Andreas Eschbach „Jeden bilion dolarów"  
Jon Courtenay Grimwood „Efendi"  
Pat Cadigan „Głupcy"  
Steph Swainston „Rok naszej wojny"  
John Crowley „Aegipt"  
Kathleen Ann Goonan „Crescent City Rhapsody"  
Maria Galina „Patrzący z ciemności"  
Ben Bova „Cicha wojna"  
almanach „Kroki w nieznanne" (*red. Lech Jeczmyk*)

KSIAŻKI C. J. CHERRYH i. CYKLU UNIA/SOJUSZ:

„Czas ciążyenia"  
„Hellburner"  
„Stacja Podspodzie" *nagroda HUGO*  
„Kupieckie szczęście"  
„Cyteen" *nagroda HUGO*  
„Punkt Potrójny"  
„40000 z Gehenny"

**C.J. CHERRYH**

# **40000 Z GEHENNY**

przełożył Piotr Gaśiewski

SOLARIS

Olsztyn 2005

40000 z Gehenny tytuł. oryg. *Forty Thousand in Gehenna*

Copyright © 1983 by C.J. Cherryh All Rights Reserved

ISBN83-88431-51-X

Opłata za opracowanie graficzne okładki *Dariusz Jasiczak* Korekta *Bogdan Szyma*  
Skład *Tadeusz Meszko*

Miejska Biblioteka Publiczna WROCLAW

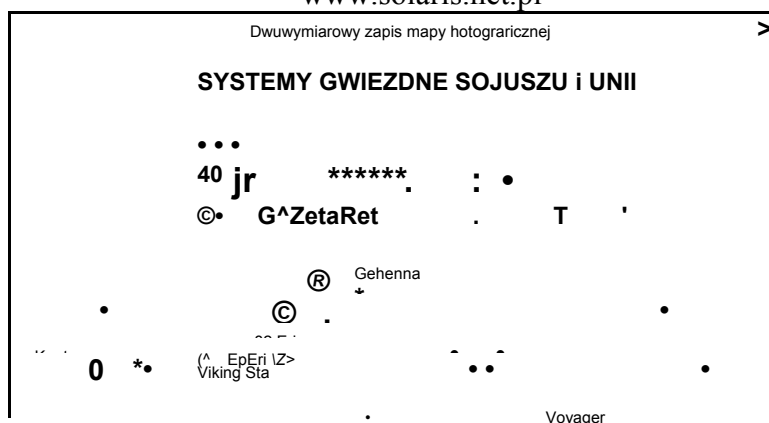
4000244459

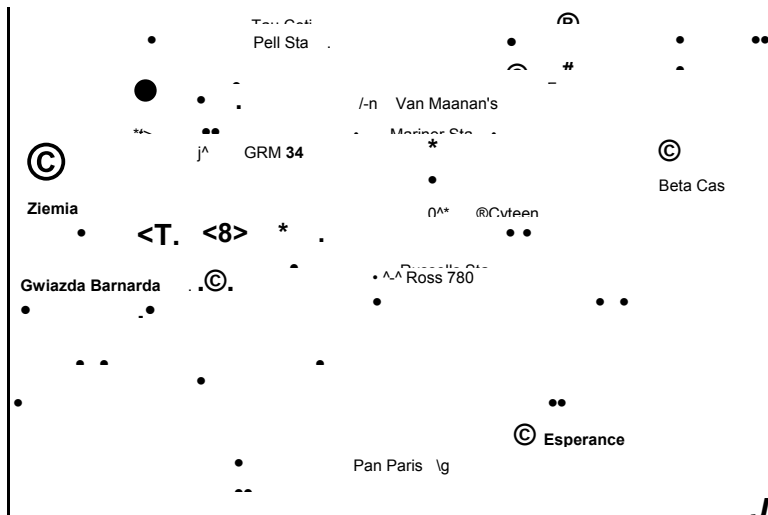
57 ul. Szewska 7S

fa/l.MI I"»|^

Wydanie I  
Agencja „Solaris”  
Małgorzata Piasecka  
ul. Generała Okulickiego 9/1, 10-693 Olsztyn  
tel/fax. (0-89) 541-31-17  
e-mail: [agencja@solaris.net.pl](mailto:agencja@solaris.net.pl)

[www.solaris.net.pl](http://www.solaris.net.pl)





# I ODLÓT

## I.

### 190 godzin do startu.

Biuro Obrony Unii do US *Ryzyko*, dok zielony, stacja Cyleen. Odbiorca CYTHQ (Biuro Obrony) kod 111 A/ US *Ventare*. Do rąk własnych Mary Engels, kapitan US *Ryzyko*.

„Proszę przyjąć zaszyfrowaną depeszę i zastosować się do wskazówek w niej zawartych. Rozkazy dotyczą najbliższej misji.

W rejsie towarzyszyć wam będą korwety US *Chyży* i US *Zdolny*, tworząc eskortę konwoju. Hasło misji: WIEDZA.

Na pokładzie znajdują się Obywatele, odróżniający się od azich brakiem wytatuowanego numeru. Proszę natychmiast rozdzielić te dwie kategorie pasażerów, o ile to możliwe już przy zaokrętowaniu. Przewiduje się łącznie 452 ludzi na pokładzie, wraz z umundurowanym personelem Ochrony i załogą.

Zwracamy uwagę, by z pasażerami obchodzić się w trakcie rejsu łagodnie i uprzejmie. To priorytet.

Personel, należący do poszczególnych klas azich, powinien zostać rozlokowany w wydzielonych pomieszczeniach, z czego 23000 na US *Ryzyko*, zaś pozostali proporcjonalnie na okrętach eskorty. Celem uniknięcia ewentualnych nieporozumień, należy zatroszczyć się o jak najszybsze zaokrętowanie klasy alfa, od numerów I do 2890, jako szczególnie wrażliwych na punkcie godności osobistej. W ten sposób nie dojdzie do konfliktowych sytuacji pomiędzy załogą a personelem cywilnym.

Z chwilą rozpoczęcia odprawy, nikt z pracowników stacji nie ma prawa wstępu na pokład. Służby Eieziepieczeństwa mają zostać postawione w stan najwyższej gotowości. W nagłych przypadkach należy posłużyć się kodem WIEDZA 22.

Wszyscy członkowie załogi po powrocie z przepustek mają być poddani dokładnej rewizji celem uniknięcia kradzieży, przemytu i gwarancji, że na okręcie nie zostanie dokonany sabotaż.

Dowódca misji, porucznik James A. Conn, stawi się na pokładzie w odpowiednim czasie, przedkładając papiery uwierzytelniające oraz dalsze rozkazy dotyczące Obywateli i azich.

Oficjalnym celem misji jest dostarczenie materiałów budowlanych i sprzętu do jednej z fabryk na Endeavor. Tej wersji należy się trzymać we wszystkich rozmowach między mijanymi w drodze okrętami.

## 2.

### 190 godzin do startu.

Strefa bezpieczeństwa Cyleen. Biuro Obrony do US *Ryzyko*, dok zielony, stacja Cyteen. Odbiorca C'YTHQ (Biuro Obrony), kod 111 A. Do rąk własnych Jamesa Conna, dowódcy misji.

PERSONEL WOJSKOWY MISJI:

Porucznik James A. Conn, generalny gubernator  
Kapitan Ada P. Beaumont, wicegubernator  
Major Peter T. Gallin  
Sierżant Ilya V. Burdette, korpus inżynieryjny  
Kapral Antonia M. Cole  
Specjalista Martin H. Anderson  
Specjalista Emilie Kontrin  
Specjalista Danton X. Norris  
Sierżant Danielle L. Emberton, operacje taktyczne  
Specjalista Lewiston W. Rogers  
Specjalista Hamill N. Masu  
Specjalista Grigori R. Tamilin  
Sierżant Pavlos D.M. Bilas, szef mechaników  
Specjalista Dorothy T. Kyle  
Specjalista Egan J. Innis  
Specjalista Lucas M. White  
Specjalista Eron 678-4578 Miles  
Specjalista Upton R. Patrick  
Specjalista Gene T. Troyes  
Specjalista Tyler W. Hammett  
Specjalista Kelley M. Matsuo  
Specjalista Belle M. Rider  
Specjalista Vela K. James  
Specjalista Matthew R. Mayes  
Specjalista Adrian C. Potts  
Specjalista Vasily C. Orlov  
Specjalista Rinata W. Ouarry  
Specjalista Kito A.M. Kabir  
Specjalista Sita Chamdrus  
Sierżant Dinah L. Sigury, szef łączności  
Specjalista Yung Kim  
Specjalista Lee P. de Witt  
Sierżant Thomas W. Oliver, kwatermistrz  
Specjalista Nina N. Perry  
Specjalista Hayes Branson  
Porucznik Romy T. Jones, dowódca komandosów  
Sierżant Jan Vandermeer  
Szeregowiec Kathryn S. Flanagan  
Szeregowiec Vharies M. Ogden  
Sierżant Zell T. Parham, Ochrona  
Kapral Quintan R. Witten  
Kapitan Jessica N. Sedgewick, radca prawny  
Kapitan Bethan M. Dean, chirurg  
Kapitan Ribert T. Hamil, chirurg  
Porucznik Regan T Chiles, informatyk

PERSONEL CYWILNY MISJI:

Kierownictwo - 12  
Lekarz - 1  
Sanitariusze - 7  
Mechanicy - 20  
Bezpieczeństwo - 12  
Informatycy - 6  
Archiwum - 1

Rolnictwo - 20  
Geologia - 5  
Meteorologia - 1  
Biologia - 6  
Oświata - 5  
Kartografia - 1  
Bioinżynieria - 4 Technologia żywności - 10 Budownictwo - 150  
Przemysł- 15 Górnictwo - 2 Energetyka - 8

Razem personelu wojskowego 45 Razem personelu cywilnego 296  
Sztab cywilny 341  
Członkowie załogi poza przydziałem 111 Łączna liczba Obywateli 452

#### PERSONEL POMOCNICZY MISJI:

Klasa Alfa 2890  
Klasa Beta 12389  
Klasa M 4566  
Klasa P 20788  
Klasa V 1278  
Razem azich 41911

Ogólna liczba zaokrętowanych 42363  
Stosunek mężczyzn do kobiet, w procentach 55/45

### 3.

#### **56 godzin do startu. Dok zielony, stacja Cytecn, strefa zamknięta.**

To miejsce było zimne i przytłaczało ogromem rozległych przestrzeni. W takim otoczeniu wszystkie instrukcje z hipnotasym, zalecające sposób zachowania, wyznaczające marszrutę lub kolejność wykonywanych czynności, traciły znaczenie. Jin 458-9998 skierował się, pomimo targających nim wątpliwości, w stronę wskazaną przez szkic terenu stacji. Dojmujące zimno wywoływało dreszcze, szczególnie dotkliwie dające się we znaki świeżo ogolonej głowie.

Całkiem niedawno ciemne loki swobodnie opadały mu na ramiona, ale zawieszono go do białej budowli, gdzie dowiedział się, że jego przeznaczeniem jest wypełnienie niezwyklego zadania, które zburzy jego dotychczasowy tryb życia - zostanie wyniesiony z małej farmy w międzygwiazdne przestworza.

Kiedy z odtwarzacza hipnotasmy przestały płynąć słowa monotonnego wykładu, podającego miejsce i czas ostatecznego przeznaczenia Jina 458-9998, ten nie zdobył się nawet na słowo protestu. Powiedział: „Tak jest”, i pochylił głowę, bo tak nakazywała etykieta.

Zmiana mająca nastąpić w jego życiu nie zaniepokoiła go, ale leżąc naszpikowany środkami farmakologicznymi na stole, gdzie rozebrano go do naga i rozpoczęło gruntowne lekarskie oględziny, a potem ogolono głowę, pozostawiając jedynie rzęsy i skłuto mu ramiona dziesiątkami igieł, poczuł ból.

Lecz i do cierpienia był przyzwyczajony.

Przed wyjściem spojrzął w lustro i przestraszył się swojego odbicia. Właściwie nie chodziło mu o problem rozpoznania własnej tożsamości, polegającej przecież na indywidualnych rysach twarzy, zmieniających się z upływem czasu - lat, dekad - tylko o to, że w jego przypadku ta zmiana dokonała się przeciągu kilku godzin.

- Jak się czujesz? - zapytał go technik, powtarzając zwyczajowo po każdej operacji pytanie.

W zamęcie, jaki panował w jego umyśle, poszukał stosownej odpowiedzi, słów, jakich zapewne oczekiwał ten człowiek.

- Jak przenicowany.
- Dlaczego tak uważasz?
- Czuję się inaczej.

- To wszystko, co masz mi do powiedzenia? Myślał przez chwilę bardzo intensywnie.

- Opuścę wkrótce naszą farmę.
- Sprawia ci to przykrość?
- Bardziej wygląd.

- Niestety, tego nie dało się uniknąć. Musimy zyskać pewność, że w czasie lotu nie zarośniesz brudem. Wszyscy muszą się poddać temu zabiegowi. Nie obawiaj się, nikt nie będzie się śmiał, prędzej oczekuj obojętności. Po kilku tygodniach włosy odrosną i otrzy masz nowe wskazówki. Hipnotasmy wszystko ci wyjaśnią. Możesz być dumny - państwo bezpośrednio podpisuje tylko tak drogie kontrakty jak twój. Wszystko będzie dobrze, głowa do góry.

Podniosło go to nieco na duchu. Już nie myślał więcej o zgolonych lokach, o cienkim jak papier białym kombinezonie i utracie tożsamości. Podniósł się i zaczął przygotowywać do wyjścia.

- Powodzenia, .lin - pomachał mu ręką mężczyzna, .lin 458--9998 niemal wpadł w panikę, gdy uświadomił sobie, że już nigdy nie zobaczy tego człowieka, który dotąd rozwiązywał większość jego problemów.

- Czy będzie tam ktoś, kto zechce mi pomóc?

- Na pewno - usłyszał. - Myślę, że w porównaniu z tym, czego doświadczyłeś na farmie, przyszłość będzie bardziej uciążliwa. Musisz uzbroić się w cierpliwość, Jin i brać życie takim, jakim jest.

Zawrócił w stronę pomieszczeń administracji. Cóż za osobliwe uczucie! Uścisk ręki prawdziwego człowieka był niemalym powodem do dumy.

- Opuściam cię, sir. ale...

- To prawda, ale głęboka hipnotaśma uczyni cię szczęśliwym. Kiwnął głową. To była prawda. Ale teraz nie czuł się dobrze.

Uszy mu marzły, zaś pod materiałem kombinezonu jego ciało było nagie i obolałe. Jeszcze raz potrząsnął ręką mężczyzny i wyszedł na zewnątrz, gdzie oczekiwał już na niego wartownik, który miał go zawieźć do innego budynku. Tam wyznaczono mu spotkanie z podobnie wygolonymi osobnikami. Już pierwszy rzut oka na nich wstrząsnął nim do głębi.

Kilkoro z grupy zdążył już poznać, lecz stojąc twarzą w twarz z jednakowo ubranymi i równie jak on łysymi ludźmi, miał kłopot z rozpoznaniem znajomych. Stało tu czterech pozostałych azich z partii 9998. wyglądających identycznie. Poza tym było trzech 687 i siedmiu 5567, lakże pozbawionych rozpoznawalnych różnic. Panika ponownie przypuściła szturm na bastion jego psychiki.

- Który jesteś? - zapytał jeden z sobowtórów.

- Jin - odpowiedział, jakby namyślając się nad imieniem.

- Wszyscy mamy to samo zadanie?

- Jin? odezwał się jakiś kobiecy głos. - Jin...

Była to jedna z 687, miała na imię Pia i zrobiła mu miejsce na ławce. Skorzystał z zaproszenia, gdyż odczuwał silną potrzebę znalezienia się przy kimś, na kim mógłby się wesprzeć.

Pia była właśnie jedną ze znanych mu wcześniej osób, jednak gdyby sama się nie przedstawiła, nie potrafiłby jej rozpoznać

- wyglądała teraz jak wszyscy. Lecz mimo obciętych włosów, w jej oczach czaiło się rozpoznawalne ciepło, nie zmienione pomimo zabiegów lekarskich.

Ich dłonie spłótły się ze sobą, przytulili się do siebie, chcąc odczuwać dotyk i ciepło swych ciał. Spojrzał niżej. Ręce wciąż należały do znanej mu wcześniej kobiety, jej serdeczność była równie intensywna.

Wkrótce pomieszczenie wypełniło się kolejnymi osobami - sami azi. wśród których nie mógł dostrzec nikogo znajomego. Czuł się obco i niepotrzebnie w tej rzeszy identycznych osobników. Zapatrzone w pustkę, ciągle tkwił na ławce, wiedząc z d\*świadczenia, że jest to najlepszy sposób na zabicie czasu. Przywoływał z pamięci znajome, kolorowe obrazki, zwykle serwowane przez jjiip-notaśiny. jeśli zasłużył na dodatkową projekcję. Niestety, jego wyobraźnia nic pracowała z perfekcją taśmy. Nie udało mu się przewyciężyć wzrastającej depresji.

Nikt nic nie mówił, bo leż i nie był to czas na puste gadanie.

W trakcie transportu mieli wysłuchiwać płynących z głośników pouczeń i wskazówek. Nikt się nie poruszał, gdyż nie miał zamiaru być wykluczonym z przedsięwzięcia lub niezdiscyplinowaniem zasłużyć na gorszą hipnotaśmę, co w tym przypadku, jak się wydawało, nawet nie wchodziło w rachubę.

Wszyscy przybyli na stację statkiem. Widywał już wcześniej statki kosmiczne, lecz nigdy nie

mógł nawet sobie wyobrazić uczucia, jakie towarzyszy takiej podróży. Serce biło mu dwa razy szybciej niż zazwyczaj. Przez długą, bardzo długą chwilę, był przestraszony, aż z trudem opanował początkowy strach lub, będąc szczerym, przyzwyczał się do stale spoconych rąk.

Zaledwie jednak zdołał osiągnąć stan względnej równowagi psychicznej, gdy lot wkroczył w następną fazę, której towarzyszyły jeszcze gorsze doznania niż w czasie startu. Tym razem jednak ktoś uznał za stosowne odezwać się z komunikatem, że wszystko przebiega zgodnie z procedurą i lądowanie odbędzie się planowo. Po chwili odczuł lekki wstrząs, któremu towarzyszył komentarz o szczęśliwym osiągnięciu celu. Zaczumowali w doku stacji Cyteen, jeszcze niedawno widocznej jako odległy punkt światła na nocnym niebie planety.

To wszystko bardzo podnieciło .lina, który lubił obserwować letni nieboskłon, jednak uczucie ekscytacji szybko ustąpiło miejsca zmieszaniu i niepewności.

Nagle rozsunęły się drzwi. W ostrym świetle stanęło kilku ludzi w kombinezonach wojskowego kroju. Kilku towarzyszy Jina głośno krzyknęło, ujawniając tłumione dotychczas napięcie.

Wyszli na zewnątrz, zgodnie z instrukcją wydaną przez mężczyzn. Nie wkroczyli w bielejące jasnością serce gwiazdy. Przed nimi rozciągało się duże, chłodne pomieszczenie. Chodzili tam i z powrotem. Ktoś wskazał miejsce, gdzie mają spać. Koje ulokowano w zimnym kącie z posadzką z poobijanych płytek. Wokół wałało się pełno luźnych przedmiotów, które niebezpiecznie przechylały się to w jedną, to w drugą stronę, na szczęście żaden się nie przewrócił. Jin próbował nie patrzeć w tamtym kierunku.

Zawsze odczuwał coś w rodzaju zagrożenia widząc, że prosty, zdawałoby się niewzruszony porządek rzeczy, może przeobrazić się w chaos, jak w filmie lub w teatrze. Tęsknił za słonecznymi polami farmy, za skwarem południa, lejącym się na obnażone plecy, za źródlanym chłodem wody i rzeką, gdzie miał zwyczaj pływać, studząc rozgrzane żarem ciało.

Czytanie i pisanie było dozwolone, stąd mógł czytać napisy na ścianach.

STACJA CYTEEN

UWAGA! WYSOKIE NAPIĘCIE!

WSTĘP TYLKO DLA PERSONELU

CŁO

ARESZT

Trudno powiedzieć, żeby brzmiały zachęcająco. Przynajmniej słowo ARESZT było zrozumiałe, utożsamiane ze złą hipnotaśmą. Pozostali także mogli oddać się lekturze, lecz nikt nie komentował treści napisów. Czuł jednak, że wszyscy mają ten sam skurcz gardła i przyspieszone bicie serca, od dawna już dające mu się we znaki.

- Tędy, proszę - powiedział mężczyzna z zieloną opaską strażnika, otwierając drzwi, przed którymi ustawili się w rzędzie. Otrzymacie swoje hipnotaśmy w pięćdziesięcioosobowych grupach. Odliczajcie głośno przy wchodzeniu.

.lin liczył. Był 1-14. Jakiś człowiek wręczył mu żeton z takim numerem. Ścisnął go w dłoni i podążył za trzynastoma poprzednikami. Czekają ich znowu badania medyczne.

Zdyscyplinowany, przemierzał długi, antyseptyczny korytarz o białe pomalowane ścianach. Serce, które uspokoiło się na chwilę, ponownie zaczęło się miotać. Nie znosił szpitali.

- Boisz się - powiedzieli, mierząc mu puls. - Nie powinieneś się bać.

- Tak - potwierdził, istotnie chcąc się uspokoić, lecz nie mógł i nic nie był w stanie z tym zrobić. Kombinezon opuszczono mu do bioder. Było coraz zimniej. Drgnął, gdy jeden z lekarzy wstrzyknął mu coś w ramię.

- To środek uspokajający - wyjaśniła kobieta w białym kitlu. - Kabina 14 w podziemiach, poniżej wejścia. Nie musisz się spieszyć, masz dużo czasu. W razie jakichkolwiek nudności, naciśnij guzik.

- Dziękuję.

Ubrał się i poszedł we wskazanym kierunku. Wszedł do kabiny, usiadł na zimnym, plastikowym łóżu, zupełnie innym od tego, które pamiętał z domu.

Podłączył kable. Czuł, jak jego puls staje się miarowy, zwalnia, słabnie, jak umysł zapada w letarg, obojętnie wobec wcześniejszych obaw, zasypia. Gdyby ktoś w tej chwili wszedł do środka i oświadczył mu, że za chwilę zostanie zabity, pewnośc nadchodzącego końca z wielkimi oporami znalazłaby dojście do znieczulonej i zubożonej świadomości.

Obecnie odczuwał strach jedynie na myśl, że mógłby dostać niewłaściwą hipnotaśmę, która dokona masakry w jego pamięci, wymazując wspomnienia z farmy. Tak bardzo chciałby je zachować.

Rozległ się wysoki dźwięk.

Ułożył się na zimnej, nieprzytulnej leżance. Miał jeszcze trochę czasu, żeby podłączyć się do hipnotaśmy, bez obawy zaśnięcia i narażenia się na przebudzenie wstrząsem elektrycznym.

Włączy! odtwarzacz.

Otworzył usta, lecz było już za późno, by wydobyć z wykrzywionych ust krzyk paniki. Kod AX rozpoczął przekaz od długiej serii piskliwych sygnałów. Wznoszone przez niego z taką troskliwością struktury własnej wartości, rozsypały się niczym domek z kart. Wszystkie dotychczasowe wspomnienia w szaleńczym tempie poczęły umykać z pokładów pamięci.

~ Uspokój się - rozbrzmiał hipnotyczny głos, gdy gwałtowne skurcze całego ciała nieco zelżały. - Wszystkie alfy uważają początek procedury za wysoce stresujący. W twoim przypadku wysoka inteligencja i dojrzałość duchowa, przysparza ci jeszcze więcej problemów w bezbolesnym przebyciu tej drogi. Współdziałaj! Choć nie jest to przyjemne, niniejsza operacja jest nieunikniona i niezbędna. W ten sposób podnosimy twoją wartość. Jesteś przysposabiany do misji 0 tak dużym stopniu skomplikowania, że nie wystarczy tu jeden prosty seans z głęboką taśmą. Zostaniesz poddany całej serii seansów na głębokich hipnotaśmach.

- Twój kontrakt został wykupiony przez państwo. Niedługo wstąpisz na pokład statku kosmicznego, który zawiezie cię do miejsca przeznaczenia. Nie ma prawa odwieść cię od wykonania zleconych zadań. Cały program jest objęty ścisłą tajemnicą i tylko ty jeden orientujesz się w prawdziwych celach misji. Gdy znajdziesz się w nowym świecie, będziesz mieszkał w pobliżu ujścia rzeki, niedaleko wybrzeża. Masz wykonywać wszystkie rozkazy Obywateli. Będziesz szczęśliwy. Gdy już oddana pod twoją opiekę ziemia stanie się zdatna do zamieszkania, zajmiesz się uprawianiem pól. Użyźnisz je, obsiejesz. a później otrzymasz nowe hipnotaśmy. To bardzo ważna misja. Możesz być dumny, że państwo zawarło tę umowę z tobą i jest zadowolone z twojej gotowości do współpracy. Zanikliśmy ci. To wielkie wyróżnienie.

- Wasze ciała są bezcenne. Zostaniecie obciążeni wielkimi obowiązkami i będziecie musieli ponosić niezwykle trudy. Przy każdym treningu wysłuchiwać będziecie tej samej taśmy. Wasza kondycja psychiczna jest równie ważna jak zdrowie fizyczne. W czasie każdego seansu otrzymacie odpowiednie instrukcje, niezbędne do wypełniania kolejnych etapów misji. Musisz być rozluźniony, zrelaksowany. Kiedy skończymy ten seans, staniesz się jeszcze bardziej cenny dla naszego Projektu.

- W miarę upływu czasu, będziesz coraz bardziej upodabniał się do Obywateli. Państwo, które zawarło z tobą kontrakt, zainwestowało w ciebie bardzo wiele. Dlatego otacza cię nieustanną troską. Twój materiał genetyczny jest dla nas niezmiernie istotny, jest też kosztowny. Z czasem powinieneś coraz mniej różnić się od Obywateli, ale to tylko jeszcze jedno z zadań, jakie na ciebie czeka.

- Czy jest jakaś kobieta, ciesząca się specjalnymi względami z twojej strony? Pia 86-687? Dziękuję, sprawdź... Tak, ona także została wybrana. Zezwalamy na kontynuowanie waszych kontaktów. Oboje powinniście być zadowoleni... Tak lub nie... odpowiedz, gdy zabrzmi sygnał... Dobrze się czujesz w jej obecności?

- Dziękuję Jin 458... Pokładamy w tobie wiele nadziei. To najlepszy znak rozpoznawczy twojego pochodzenia. Możesz być dumny.

#### 4.

48 godzin do startu. Stacja Cyteen, dok zielony, strefa zamknięta.

Nie każdy miał przepustkę do strefy zamkniętej. Obsada doku składała się, na wszelki wypadek, głównie z ludzi z sił bezpieczeństwa. Porucznik James Conn przechodząc wzdłuż linii rozładunkowych widział wielką różnorodność mundurów i zachowań ludzkich. Wielkie statki handlowe Sojuszu stały się już normalnym widokiem w portach Unii, gdyż podpisano układ o wymianie handlowej przez granice. Wszystkie stare szlaki znowu były zatłoczone.

Nikt nie dziwił się więc tej różnorodności. Ale byli wśród kupieckich załóg także szpiedzy, uważnie przyglądający się instalacjom militarnym, wysłuchujący plotek w portowych barach, interesujący się wszelkimi pogłoskami na temat zmian w rządzie czy w polityce Unii. Aktywność wywiadów kwitła jednak po obu stronach granicy i dopóki trwał ten stan chwiejnej równowagi we wzajemnych stosunkach, wszystko było w porządku. Kupcy bez przeszkód wędrowali po doku, ale nie przekraczając niebieskiej linii oddzielającej sektor cywilny od wojskowego, rozglądając się ciekawie, nie nagabywani przez siły bezpieczeństwa. Kiedyś byłoby to nie do pomyślenia.

Jeżeli w sieci informacyjnej istniały jakieś szczeliny, to istniały celem dezinformacji. Odpowiednie służby dbały o to, by „nieoficjalny” obieg informacji, tak zwanych poufnych, stale znajdował się pod stałą kontrolą. Obieg tych informacji był ściśle racjonowany. James Conn nie pracował w tej sekcji bezpieczeństwa, ale doskonale wiedział, jak podobne działania wyglądają na terenach przygranicznych.



Wzdłuż doku stały ogromne rusztowania, gotowe na przyjęcie nowych jednostek. US *Zdolny* powinien przybyć wkrótce, a po nim US *Chyży*.

W oddali widział kilka statków Unii, ale w podjętych przygotowaniach chodziło o akcję militarną, która wymagała floty silniejszej, niż zwykle stacjonowała na stacji. Załogi miały wolne, ale ponieważ nikt nie wiedział nic o planowanej operacji, Connowi było obojętne, co będą pletli przy piwie w barach. Kilku agentów rozpowszechniało zresztą odpowiednio spreparowane informacje, przygotowane przez Biuro Obrony. Wzajemnie sprzeczne wieści powinny zasiać zamęt i dezorientację szpiegów, a o to chodziło kontrwywiadowi. Kto raz wpadł w tę sieć dezinformacji, wkrótce nie mógł zaufać nawet sobie.

Conn jako oficer liniowy nie czuł się dobrze w wojnie szpiegowskiej, ale został zapoznany z programem i planem dezinformacji, więc potrafił oddzielić ziarna od plew. Cywile zostali dopuszczeni do udziału w misji. W końcu też mieli trochę praw. To oni uspokoiili go co do paczuski, którą niósł w kieszeni kombinezonu. Nie zaczepiany przez ochronę doszedł do stanowiska, gdzie cumował numer jeden misji - US *Ryzyko*.

Wszedł do rękawa cumowniczego, gdzie spotkał dwóch, uzbrojonych po zęby i opancerzonych strażników. Zagroździ mu przejście, a Conn wypowiedział hasło:

Redex. Conn, porucznik, James A.

- Sir - obaj żołnierze zasalutowali bronią, waląc nią o opancerzone torsy. - Witamy na pokładzie, sir.

Wchodzili w skład stałej załogi US *Ryzyku*, nie należeli do garnizonu stacji. Przez otwarty luk przeszedł do holu przed mostkiem okrętu i stanął przed biurkiem oficera dyżurnego, który przeglądał plik wydruków komputerowych. Słyszając jego kroki wstał i wyprężył się na baczność.

- Sir!

Conn wyciągnął z kieszeni kartę identyfikacyjną i włożył ją do czytnika.

- Odczyt pozytywny - oficer spojrzał na monitor. - Porucznik

James Conn proszony jest do kapitana.

Wszystko zostało zaaranżowane w wojskowym stylu: żadnych fanfar, mało formalności i rozgłosu. Ostatecznie na tym okręcie miał być jedynie pasażerem, nie nadano mu żadnej władzy nad załogą.

Ruszył za adiutantem kapitana w stronę windy, zdawkowo podtrzymując konwersację o błahych sprawach. W jego zachowaniu nikt nie zauważyłby nic nadzwyczajnego, nikt nie rozpoznałby w nim starego wyjadacza przestrzeni.

Po trzydziestu latach służby, z artretyzmem wykręcającym mu stawy, nie miał co marzyć o kosztownej kuracji odmładzającej. Świadomość nieodwracalnej starości odebrała mu szczeniacką we-

awę, jaka wycierała z jego twarzy na początku służby. Niewiele zostało z prężnej postawy, elastycznego kroku, zdecydowanych ruchów.

Oto ponownie stawał przed koniecznością rozpoczęcia swoje-go życia od nowa. Nawet nie musieli go długo przekonywać, by zechciał objąć dowództwo misji. Zabrakło już Jean i możliwość całkowitej zmiany w jego życiu była pożądanym zbiegiem okoliczności. Pewnie podobnie uważali Beaumont, Gallin i inni, którzy mieli / nim lecieć.

W przypadku cywilnych uczonych sprawa była bardziej skomplikowana, gdyż należało brać pod uwagę ich osobiste ambicje i kariery, rak dalece rozpieła ich żądza wiedzy, że kilku z nich brało żony z kręgu naukowców tych samych dziedzin, by pracą naukową wpisać w plany rodzinne. Przyjaźnie także zawierali we własnym środowisku. Lecz spośród kadry oficerskiej, często już posiwiałej i ze zmarszczkami na postarzałych twarzach, tylko Ada Beaumont skorzystała z udogodnień regulaminu i zabierała w misję swego męża, dla którego wystarała się o zadanie specjalne. Pozostała dziewiątką, nauczona przykrymi wojennymi doświadczeniami, wybrała się w misję bez krewnych, wierząc zapewne, że pionierskie zadanie ujmie nieco balastu wieku z ich barków.

W ostateczności, tam, na zewnątrz, liczyły się tylko umiejętności. Dlatego przyjęły to zadanie.

Drzwi windy otwarły się. Weszli na główny pokład, kierując się w stronę biura kapitana okrętu. Kobieta siedząca za biurkiem podniosła się i wyciągnęła dłoń na powitanie. Poczul się pewniej, co go nawet zaskoczyło, bo czerń mundurów elity floty zwykle go onieśmiała. Jednak Mary Engels podała mu mocną dłoń, przemawiając slangiem przestrzennym, który dobrze rozumiał i od razu pojął, że ma do czynienia ze starym wygą. Niewątpliwie niejednokrotnie eskortowała konwoje. Odesłała adiutanta, przygotowała dwa drinki i wskazała mu miejsce naprzeciwko biurka. Conti odetchnął. Ma pani za sobą służbę w osiemdziesiątej Flocie? Tak, przeprowadziłam wiele pańskich konwojów. Niestety, mój stary *Sojusznik* był już za stary i poszedł na złom.

- *Sojusznik*... Był na Fargone?

- Zgadza się.
- Straciłem tam kilku przyjaciół.

Skinęła ze zrozumieniem głową i pociągnęła łyk ze szklaneczki.

- Ja także.

- Do diabła, może tym razem nam się poszczęści?

Na pewno - odparła. - Wszystko zostało zaplanowane do ostatniego punktu. Ma pan dla mnie rozkazy? Wyciągnął kopertę z kieszeni.

- Oto lista personelu. W czasie lotu nie będę wchodził pani w drogę. To samo zalecę członkom mego sztabu.

Ponownie skinęła głową, prawie niedostrzegalnie.

- Będę zobowiązana. Zawsze dostaję na pokład jakieś speegrupy. Nie powiem, by byli to grzeczni pasażerowie. Dlatego proszę uważać na chłopców z Biura Nauki, żeby nie zadzierali z załogą, zwłaszcza z grupy abordażowej. Jak wszystko pójdzie bez problemów, będę pana wspominała z wdzięcznością.

Conn podniósł szklaneczkę.

- Obiecuję dołożyć wszelkich starań.

- Tak. Ostatni tego rodzaju ładunek miałam bardzo wesoły i doszło do niesnasek...

- Ostatni ładunek? Przewozi pani takie misje co tydzień?

Engels uniosła ironicznie brwi.

• Chyba nie chce pan mi przez to powiedzieć, że dopiero dzisiaj się o tym dowiedział.  
 • Oczywiście, że nie. Załoga także wie wszystko?  
 • Raczej tak. Nie da się tego uniknąć. Wiedzą, czym się zajmujemy, choć godziny startu poznają w ostatniej chwili. Chyba się jeszcze spotkamy - wstała.

- Tak, teraz muszę powitać swoją załogę.

Engels uśmiechnęła się.

- Robiłam to wielokrotnie i zawsze podobał mi się ten zgiełk, jaki robią speegrupy. Dopuszczam ten rytuał, ale oczywiście w rozsądnych granicach.

- Czyżby miewała pani z tym problemy? Ależ nie. My nie miewamy problemów.

Dokończyła drinka. Na ścianach wisiały zdjęcia statków, okrętów i ludzi. Niektóre odrapane lub zalepione nowszymi. Twarze i mundury. Znał ten zwyczaj. Sam kiedyś rozwieszał takie zdjęcia, tworząc prywatną galerię. Na biurku stał rząd fotografii przedstawiających jakiegoś młodego człowieka z twarzą pokrytą licznymi bliznami po oparzeniach, o mrocznym, ponurym spojrzeniu. Na każdej odbitce był młody, jakby czas się dla niego zatrzymał.

~^\_

Conn nie zapytał, kim jest ten mężczyzna. Myślał bowiem o Jean. Zbliżająca się chwila opuszczenia Cyreen wywołała w nim falę paniki. Świadomość, że wsiadł na okręt, który wywiezie go w nieznaną, z dala od miejsca, gdzie poznał Jean, wzbudziła w nim trwogę. Pocieszenia mógł szukać już tylko w zdjęciach i taśmach.

Engels ponownie napełniła szklaneczkę. Potrzebuje pan pomocy przy zakwaterowaniu?

- Nie, dziękuję. Wystarczy, żeby ktoś przeniósł moje bagaże.

Reszta przyleci frachtowcem.

Na pokład weźmiemy jeszcze pańskich oficerów. Naukowcy i personel pomocniczy zostaną umieszczeni w specjalnych kajutach. Będą się czuli, jak u siebie w domu. Wszystko poszłoby sprawniej, gdyby nie było animozji z moją załogą, która nieufnie odnosi się do cywilów. Nie może być mowy o żadnych poufalościach.

• Rozumiem.

• Ma pan przecież niejednorodny skład załogi? Mam nadzieję, że tym pytaniem nie naruszam tajemnicy, ale nie zazdroścę panu.

• Nowy świat - wzruszył ramionami. Alkohol z wolna przejmował nad nim kontrolę. Czuł się na wszystko zobojetniały. Przebywał na okręcie, jednym z tuzinów takich samych - było to uczucie dobrze mu znane, przyzywane wielokrotnie. Ale tym razem bez Jean. To była właśnie nowość. - Tak być musi. Polecono mi, aby przebywali razem. Zostali więc przemieszani. Wszystko w porządku.

Mary Engels nacisnęła guzik interkomu.

- Przygotujemy pańską kabinę. Jakby czegoś było trzeba, proszę dać mi znać.

Adiutant wszedł do biura.

- Pan porucznik chce obejrzeć swoją kajutę - odezwała się spokojnie. Audiencja była skończona.

Dziękuję - Conn po raz drugi uściśnął dłoń kapitan i poszedł za adiutantem, odzianym w czarny mundur Floty Unii. Dopiero na korytarzu poczuł działanie alkoholu.

To były właśnie jego blizny, stare, nie chcące się zagoić blizny. Adiutant był zbyt młody, by pamiętać wojnę. Lecz traumatyczne przeżycia wycierały do Conna z samego okrętu. Z pozornie gładkich i lśniących ścian, lasiencowo długich korytarzy. Bunl na Fargone, wojna, tune! i głębokie groby... Wtedy jakoś to znosił, bo była przy nim Jean.

Od dwudziestu lat utrzymywano wątpliwy pokój. Pozorne zawieszenie broni między Unią a Sojuszem. Pokój przynosił krociowe zyski, a podczas konfrontacji żadna ze stron nie mogła odnieść zwycięstwa ani uzyskać przewagi. Przez całą wojnę nikt niczego nie wygrał.

I to był rozejm.

Sojusz budował jednak flotę wojenną, czego wyraźnie zabraniał traktat pokojowy z Pell. Unia z kolei inwestowała w statki handlowe, na co traktat też nie zezwalał, zapewniając monopol kupieckiemu Sojuszowi. Frachtowce można było budować wyłącznie w stoczniach Sojuszu, na co Unia nie miała ochoty. Budowane przez nią samą statki handlowe były bardzo szybkie, błyskawicznie wyrzucały ładunek i znikwały w otchłani kosmosu.

Wzajemne zarzuty Unii i Sojuszu od lat się nie zmieniały, aż przyzwyczajono się do tego status quo. Obie strony stały się sąsiadami o wojennej przeszłości. Radykalne zmiany w tej sytuacji były nieuniknione. Conti był o tym przekonany. Mary Engels pewnie też. Rząd Unii także.

Trzeba więc było przygotować plan, który nie zostałby spa-cyfikowany przez obie strony. Przede wszystkim przygotowania szły w kierunku wyszkolenia licznych oddziałów, gotowych do walki w przestrzeni. Unia musiała skolonizować nowe światy - liczył się każdy zakątek kosmosu, w którym mogłoby się rozwijać ludzkie życie. Miała to być ekspansja okrążająca Sojusz w jego gnieździe na Pell i uniemożliwiająca infiltrację własnego terytorium. Połowę okrętów typu *Ryzyku* zbudowano do realizacji tego planu.

Reszta była w rękach oddziałów specjalnych i urzędników, którzy zgłaszali się dobrowolnie do misji, kierowani nie zawsze jasnymi powodami.

## 5.

### 20 godzin do startu. Dok zielony.

Długi szereg na biało ubranych istot ruszył przez dok, wśród gapiów nie wzbudzając żadnych uczuć, prócz, ciekawości. Bo czyż zasługiwał na coś więcej attynowy załadunek sklonowanych robotników

Unii? Jedyne obywatel Sojuszu posyłali w ich stronę zdumione spojrzenia, a niejednemu na ten widok przechodziły ciarki po plecach.

Przed klonami otwierał się jednak nowy rozdział życia, czego Obywatele zwykle nie dostrzegali. Azi służyli w ich domach, pracowali na farmach, podejmowali się zadań, których urodzeni ludzie zwykle nie chcieli lub nie mogli wykonać. Byli spokojnymi i pogodnymi wykonawcami rozkazów Obywateli. Ale ci w szeregu byli nazdwyczajaj zdyscyplinowani i niezwykle cierpliwi. Beznamiętne twarze nie wyrażały absolutnie żadnych uczuć. Stojąc w długim szeregu wygolonych głów, jednakowych twarzy, różniących się jedynie numerem w małym niebieskim trójkącie wytatuowanym na prawym policzku. Marco Gutierrez poczuł się bliski hysterii.

Załadując go wraz z towarzyszami na planecie do promu, kazali mu stać cierpliwie i patrzeć przed siebie. Nie zginie pan, komputer będzie cały czas wiedział, gdzie pan jest.

Azi zawsze przerażali Gutierrez. Niepokoił go swoją gotowością, cierpliwością, cichym zachowaniem, obojętnością wobec wykonywanych czynności. Wpatrywał się w białe plecy stojących przed nim sylwetek, tylko po kształcie bioder odgadując pleć. Dostrzegał grupki robotników - dwojaczki, trojaczki, pięcioraczki, dwunastoraczki. ale spoglądając w ich twarze widział tylko pojedyncze osobniki jednej klasy.

Przechodząc przez laboratorium otrzymywali hipnotaśmy. Nie było mowy o pomyłce i dostał właściwą. Położył się obok odtwarzacza, bojąc się, że taśma będzie ingerować w jego świadomość, wspomnienia. Jego życie. Lecz jak dotąd wszystko szło pomyślnie, miał tylko niewielkie pojęcie o tym, co się z nim działo. Ogarnęło go uczucie zaufania, które podzielali wszyscy azi naokoło niego, (idy Gutierrez pomyślał, że mogli go jakoś zaprogramować, nie pytając go o zgodę, perlisty pot

wystąpił mu na czoło, zwilżając wygoloną głowę. Ufał swoim przełożonym, właścicielom jego kontraktu, ale przecież zdarzały się błędy, a w Unii wciąż obowiązywało restrykcyjne, ciężkie prawo wojenne. Rząd miał prawo kłamać, dopuszczać się ingerencji w psychikę Obywateli...

Oczy bez wyrazu. Jak przez mgłę słyszał odgłosy doku, huk maszyn, świst startujących pojazdów. Uświadomił sobie, że obserwują go ludzie zza barierki.

To było nieludzkie. Ciężkie do zniesienia. Niełatwo było odwrócić się, zaszuwać stopą, poruszyć w nieruchomym szeregu, wykonać choćby ruch dłoni, by nie wyróżnić się z tłumu - wszak azi nigdy nie mieli ochoty na niesubordynację.

Przynajmniej kilku z szeregu musiało być Obywatelami jak Gutierrez. Nie miał pojęcia, ilu ich było. Kilku kolegów stracił Z OCZU przy załadunku. Właśnie wchodzili na okręt. Długi szereg poruszał się niewyobrażalnie powoli, pełzając w stronę luku jak żółw. Na Cyteen jego towarzysze byli jeszcze ludźmi: śmiali się, rozmawiali, płatali sobie kawały i nie brali nic na serio. Teraz należało to do przeszłości. Potem wywoływano ich pojedynczo do osobnego pomieszczenia, golono głowy, odciskano numery, dawano instrukcje i rozdzielano od towarzyszy. Wtedy misja przestała być zabawna. Jeśli nawet ktoś nie odczuwał strachu, to utrata prywatności, upokorzenie, obawa przed zadaniem gwałtu, mocno dawała się we znaki.

Mógł się wycofać, wystąpić z szeregu, czego żaden azi by nie zrobił. Lecz przed wykonaniem tego ostatecznego kroku powstrzymywała go wiara, że nadal jest panem swego losu, że posiada wolną wolę. Duma nakazywała mu czekać w szeregu.

Ostatnio jednak nieco się to zmieniło, coraz mniej był przekonany o swojej suwerenności. Co się stanie, kiedy szereg posunie się do przodu, w kierunku luku? Co się stanie, gdy sprawy przyjmą nieprzewidywany obrót? Jeśli ludzie, którzy majągo rozpoznać w luku, nie uczynią tego? A przecież jego hipnotaśma była nieomylna, komputer miał jego numer zakodowany w pamięci. •

Wierzył w to. Krok za krokiem zbliżał się do rampy, nie wykonując żadnego zbędnego ruchu, który wyróżniłby go z rzędu azich. Naśladował ich w nadziei, że ci z tyłu pójną jego śladem.

Rząd sylwetek osiągnął wreszcie ciemne pomieszczenia okrętu, przy kilku biurkach otrzymywali dokumenty i przydziały. Jeden za drugim podstawiali strażnikom swoje numery do identyfikacji. Lecz żadnego z Obywateli jak dotąd nie wywołano z szeregu.

Serce biło mu coraz mocniej.

Tak jak poprzednik wsunął rękę z fałszywym numerem. Mężczyzna zza biurka wpisał coś w rejestr. Na monitorze zamigotały paski.

Przechodzić - powiedział kontroler. Gutierrez minął biurko, kolana miał jak z waty. Przeciął ciemne pomieszczenie, kierując się ku wewnętrznej śluzie, nadal nie opuszczając szeregu azich. Opanował go bezwład, gdy zorientował się, że właśnie stracił okazję, by zgłosić sprzeciw.

Lecz cisza w luku był zbyt głęboka, by ją przerwać. Wydawała się niestosowna nawet myśl o zakłóceniu owego hipnotycznego poczucia jedności z klonami, która zmuszała go do pozostawiania z nią w harmonii i nakazywała dalszy marsz.

- 789-5678? - zapytał czyjś głos.

Potwierdził skinieniem głowy. Patrzył przed siebie. Należało patrzeć w dal, gdy wywoływano numery. Tak mówiła taśma. Strażnik pokiwał palcem.

Wystąpił z szeregu. Wykrzykiwano jeszcze inne numery, aż uzbierała się cała grupa ludzi, którą poprowadzono korytarzem. Gutierrez szedł za czarno odzianymi żołnierzami. Posuwali się wśród milczących ścian, wykładzina tłumiła kroki. Ledwo nadązał za żołdakami, skęcili w lewo, znowu w lewo. doszli do wind. Otworzyły się drzwi, weszli do środka.

Proszę nacisnąć 3R - powiedział żołnierz, gdy pomieszczenie wypełniło się postaciami w białych kombinezonach. Część musiała poczekać na drugą windę. - 3R to wasz sektor. Na górze ktoś was odbierze.

Gutierrez nacisnął guzik. Drzwi się zamknęły. Winda pomknęła w górę z przyspieszeniem zatykającym dech w piersiach. Wreszcie wysiedli. Czekał na nich człowiek w czarnym uniformie.

• Pokój R12 - powiedział, wciskając mu w rękę kartę magnetyczną otwierającą zamek. - Nazwisko?

• Gutierrez.

Wreszcie odzyskał swoje nazwisko, zabrane na chwilę na rzecz numeru. Wywołali następnego człowieka, z którym miał dzielić kajutę. Nazywał się Hill.

Winda pomknęła na dół po następną partię personelu. Mundurowy wciąż wywoływał nowe nazwiska, aż wreszcie ruszyli korytarzem. Wokół panowała niczym niezmacona cisza.

- Jesteśmy jak przenicowani - odezwał się Gutierrez, obracając się i patrząc na gołe czaszki mężczyzn i kobiet, bez włosów, brwi,

pozbawione jakiegokolwiek wyrazu, co najwyżej z wytrzeszczonymi z przerażenia oczami. Jesteśmy jak przeniecowani, rozumie pan?

Kilku jego towarzyszy było odważniejszych. Jakieś kobiece oblicze, zadziwiająco nagie bez brwi, o grubych ustach wykrzywionych zmęczeniem. Ciemnoskóry mężczyzna wydał głośny okrzyk, inny podniósł rękę i zdarł z policzka fałszywy numer. Wiele jednak jeszcze musieli wytrzymać, by odrosły im na nowo włosy.

- Ty jesteś Hill? - zapytał Gutierrez człowieka, którego przydzielono do jego pokoju. - Czym się zajmujesz?

Szczupły, starszawy mężczyzna spojrzął w jego kierunku i pogładził się po wygolonej czaszce.

- Moją specjalnością jest rolnictwo.
- To nieźle trafiliśmy. Jestem biologiem.

Inni też zaczęli rozmawiać. Ktoś głośno klął, na co zresztą wyraźnie wielu miało ochotę. Łamało to bowiem dotychczasową niepewność, pozwalało odreagować stres, oddalić od siebie przeżycia ostatnich trzech dni. Ale słowa z trudem układały się w logiczne zdania. Szedł z H i i leżąc wzdłuż korytarza.

- Dwadzieścia sześć, dwadzieścia cztery - mijali kolejne drzwi, aż wreszcie znaleźli swoje: - Dwanaście.

Karla weszła w szczelinę, drzwi otworzyły się, pokazując maleńką kabinę z podwójną koją. Kolory były radosne, dominowała zieleń i błękit. Gutierrez stanął pośrodku, chłonąc atmosferę pomieszczenia. Położył się na łóżku, zakładając ręce pod głowę. W palce kłuły go odrastające powoli włosy. Czuł się groteskowo. Przypominał sobie o jedności, odczuwanej w szeregu azich. Szereg, lekarze, hipnotaśmy.

• Ile masz lat! - zapytał I liii. ~ Wyglądasz młodo.  
• Dwadzieścia dwa - podniósł głowę. Nie było to grzeczne pytanie, ale tym razem nie był oburzony. A ty?

Trzydzieści osiem. Skąd pochodzisz?

- Z Cyteen. -Jaz Wyatta.
- Powiedz coś o sobie, gdzie studiowałeś?
- Na swojej stacji. A ty? Pierwszy raz na statku?
- Zgadza się.

Hipnotyzował go tym rytmem pytań - ich regularność sprawiła, że się uspokoił.

• Co robi rolnik na stacji?  
• Hoduję ryby. To samo zadanie mam tutaj.  
• Ja jestem egzobiologiem. Tam, daleko, czeka nas całkiem nowy świat. To mój cel.  
• Wielu młodych ludzi bierze udział w tej misji. Ja chciałem znaleźć się na jakiegokolwiek planecie. Wszystko jedno jakiej. A przelot jest darmowy.

Nie do końca, właśnie płacimy za ten przelot.

- Też. tak myślę.

Gutierrez zaskoczył nagły skurcz gardła. Wsparł brodę o rękę i zaszlochł. Podniósł głowę i zauważył, że H i i też ociera oczy.

- To chyba normalna akcja fizjologiczna...- Biedny diabeł - mruknął H i i.

Gutierrez nie mógł się połapać, o co chodziło **H i i** lowi.

Na pokładzie okrętu byli azi, kładący się cisano w wielkich pomieszczeniach towarowych. Gdzieś tam siedzieli cicho bądź krzatali się. nie zajmując przyszłością, tym. co stanie się za dzień lub dwa.

Laboratoria na Cyteen potrzebowały trzech lat, aby wyhodować azich potrzebnych do założenia kolonii w nowym świecie. Było ich wielu, naukowcy potrzebowali wszelkiej pomocy w ich szkoleniu. Ale kadra naukowa niechętnie udzielała się w pracy z azimi.

- Możemy tę całą sytuację zapisać na konto Biura Kolonialnego - odezwał się Gutierrez spokojnym głosem. - Opiekunowie nie mają absolutnie żadnego pojęcia, jak poprowadzić azich do takiego zadania. Bezsens. W ten sposób można z klonów zrobić obłąkańców.

Ale chociaż my jesteśmy normalni.

-Tak.

Zdawał sobie jednak sprawę z tego, że odpowiedź, jakiej udzielił, była standardową odpowiedzią klona. Zaciśnął usta, wstał z koi i zaczął miarowo chodzić po kajucie. Miejsca było mało. Poczul dyskomfort.

## 6.

### 12 godzin do startu. Pokład *Rzyka*, dok Stacji Cyteen.

- Beaumont.

Conn zerknął na biurko, gdzie interkom sygnalizował przybycie zastępcy komendanta okrętu..  
Drzwi rozsunęły się.

Wstał, poprawił bluzę i wyciągnął rękę w stronę dowódcy oddziałów specjalnych, stojącej w progu obok męża.

-Ada. Bob... Witajcie. Cieszę się, mogąc was gościć na pokładzie.

Był bardzo uprzejmy wobec małżonków, nie zwracając uwagi na fakt, że Bob Davies był cywilem. Ada Beaumont westchnęła i usiadła wygodnie w fotelu. Jej mąż zajął miejsce obok.

• Przybyliśmy przed chwilą. Wezwali nas z Wyattsy, gdzie kończyłem opracowywanie jednego projektu i polecieli przylecieć kurierskim statkiem na Cyteen, by przesłuchać taśmę, którą rzekomo masz ty. Zapakowali nas pod eskortą i przysłali tutaj.

- Czyli wiecie, o co chodzi. Przydzielono wam kajuty?
- Dostaliśmy dwie na dole, prawdziwy apartament.
- To dobrze - Conn spojrzął na Boba. - Masz dyżur przy załadunku, prawda?
- Dok szósty.
- Świetnie. Cieszę się, że was spotkałem. Te białe kombinezony... Patrzył na małżonków i widział odległą przeszłość: urlop na

Cyteen, spędzany z Jean. Potem Jean umarła, a para Beaumont - Davies siedziała teraz przed nim, na początku drogi ku nowemu światu.

Przybrał kamienny wyraz twarzy, by nie dostrzegł, ile bólu sprawia mu myślenie o przeszłości i wspomnienie, kiedy byli razem we czworo.

Davies musiał przeżyć. Był cywilem zagrzebanym w księgach finansowych, sumującym ciągi cyfr i całkowicie pozbawionym poczucia humoru.

- Nareszcie widzę jakieś twarze z domu... - powiedział przyjaźnie.
- Starzejemy się - odpowiedziała Beaumont. - Wszyscy wyglądają łak młodo. Chyba zbliża się czas, by rzucić gdzieś kotwicę i poszukać bezpiecznej posadki.

-Ajaki macie powód. by...

- Wiesz - na twarzy Ady pojawiło się zdenerwowanie - mamy jeszcze dość sił. by podjąć się udziału w jeszcze jednej wyprawie, a ten nowy świat jest wystarczająco wielki. Dotąd nie mogliśmy znaleźć czasu na dzieci... Wojna... sam wiesz. Nadszedł więc chyba czas. by wreszcie coś zbudować i przestać walczyć z wiatrakami, gdzieś tam, w kosmosie. Ostatnio często myślę o dzieciach. A skoro urządzili już centrum porodowe, to mniejsza o to, jak wygląda kombinacja genów. Sądzę, że chętnie zaopiekujemy się każdym dzieckiem, jakie zechcą nam powierzyć. Mamy za sobą już swoje najlepsze lata. Jim.

Pochylił głowę. Nad laboratorium będą jeszcze pracować parę lat, ale obiecuję wam, że będziecie pierwsi w kolejce, jak skończą. W czym mogę wam pomóc teraz!'

- Do licha, to wielki, piękny okręt - odezwał się Davies.

- Apartament nam wystarczy. To i tak aż nadto. Muszę zrobić spacer i przekonać się, jak rozlokowali te biedne stworzenia. Jesi ktoś, kogo znam?

Pete Oallin.

Jakoś go sobie nie przypominam...

- Poza nim same nowe twarze. Sama młodzież, której na wzmiankę o podróży aż śmieją się oczy. Przysłali mi cały tabun smarkaczy, niby celem podniesienia kwalifikacji młodej kadry. Mnóstwo specjalistów ze świeżutkimi dyplomami i nikogo z doświadczeniem. Nie wiem, co nas czeka. Pewnie jakiś specjalista od statystyki wymyślił sobie, że taki skład załogi to najlepsza proporcja. Wśród cywilów są ludzie o podobnym, co wojskowi, wykształceniu, ale to przecież różne profile. Wielu z nich ma krewnych, ale

wiedzą, że z tej podróży raczej nie ma drogi powrotnej. Ślepi na wszystko albo szaleni. Niektórym może nie przeszkadza, że nie prawdopodobnie wdepniemy w poważne gówno. Czyli same głowy z gorącą głową. Jeśli pragniecie dzieci, macie wybór, bo na dole jest całe przedszkole. I pewnie niejedno z nich stracimy.

Zapadła ciężka cisza. Davies poruszył się w fotelu.

- Powiedzieli nam, że na zewnątrz zostaniemy odmłodzeni.
- To nie problem. Załatwię wam kilka skrzynek najlepszego bourbona z Cyteen. I mydło.

Normalne, przyzwoite mydło, Ada.

Uśmiechnęła się na wspomnienie upiorów z otchłani Fargone. Wlokące się niczym wieczność tygodnie pogrzebania żywcem.

- Tak, mydło. Świeże powietrze, morze i rzeka do wędkowania.

Więcej, niż można sobie zamarzyć.

I sąsiedzi - dodał Davies. Nie zapomnij, że będziemy mieli prawdziwych sąsiadów.

Conn uśmiechnął się krótko.

- Zapewne jaszczury będą się biły z wami o te ryby. Nie należy też zapominać o kupcach z Sojuszu.

Przez twarz Daviesa przemknął cień.

- Powiedzieli nam, że to raczej mało prawdopodobne.

- Bo i jest - poprawiła go żona.

-Ale...

- Sojusz bez trudu może się dowiedzieć, co zamierzamy - odparł Conn. Davies grał mu na nerwach, irytował, powodowa! nie smak. Sądzą, że mogą już coś wiedzieć. Przecież nie mogą zaprzestać budowy statków. Stanęli na głowie, by nawiązać współpracę z Ziemią i Kompanią. Jak dotąd, to ich główne zmartwienie.

- A kiedy odkryją tę nową planetę, co się stanie z nami?
  - Z pewnością nie będzie ich stać na otwarty atak...
- Ale my tam będziemy sami, poza naszymi granicami, na ich terytorium.

- Coś ci powiem... - Conn poruszył się i wycelował palec wskazujący w swoich gości. - Ja uważam, że to wymysł propagandy, ale może rzeczywiście uderzą w ten nowy świat. Ale Sojusz jest przecież kompletnie splukany. Utrzymują się z handlu, a niszcząc nasz świat, pozbawiają się surowców. Oni muszą handlować. Zapewne tam, dokąd się wybieramy, walka jest nieuchronna ale nie od razu. Wcześniej czy później dojdzie do konfrontacji. Nie wygląda jednak na to, że od razu musimy przygotowywać się do obrony. I z pewnością nie będzie ich celem wystrzelanie nas wszystkich - to są kupcy, nie mordercy. Unia chce przeciągnąć sieć przez szlaki Sojuszu. To prawdziwy powód naszej wyprawy.

Davies spojrzął na żonę. zmarszczka między jego oczami pogłębiła się.

- Jim jest nie tylko żołnierzem oddziałów specjalnych - wyjaśniła Ada - ale także członkiem Rady. Sądzą, że nie zaszkodzi, jeśli tajemnicę pozna kilka osób więcej, oczywiście z zachowaniem procedur. Zresztą, mnie także przytrafiły się podobne zadania, a przez ostatnie sześć lat - wszystkie. Z tego właśnie powodu Jim jest ciągle wysyłany w rejony kryzysu, prawda, Jim?

Rozgniewany Conn wzruszył ramionami, ale pewnie miała rację. Nie da się długo ukryć, jaką faktycznie rolę grał na tym okręcie.

- Jim także powoli starzeje się i chciał znaleźć dobrze płatną, niezłą pracę. Robić coś pożytecznego i zabić nudę. Dobrze znam jego motywację, bo moja jest podobna. A ponieważ Rada nalegała, a załoga jest wykwalifikowana, zgodził się. To wszystko.

I tak oto wszystko się dokonało, rozmyśla! Conn, gdy wyprawił już Beaumont na spacer pod pokład, a Daviesa do rozpakowywania bagaży. Byli już skazani na tę akcję, nieodwołalnie. *Ryzyko* powinno wziąć kurs na gwiazdy za kilkanaście godzin, z manewrem sugerującym, że udają się na dalekie rubieże Unii. Nikt bowiem nie powinien wiedzieć, że w rzeczywistości lecą w rejon przestrzeni tuż poza granicami Unii, kompletnie nie zamieszkały. Nawet współrzędne lotu zostaną w komputerach portowych naniesione fałszywie, chcąc uchronić wyprawę przed

niepożądanymi oczami szpiegów.

Personel pomocniczy, wojskowy i cywilny, wraz z. azimi, wciąż odbywał mozolną wędrówkę w stronę głównego luku. Oficerowie spacerowali po pokładzie niby przypadkowo, jakby trwający załadunek był normalnym transportem. Zwyczajna procedura, wszystko zgodnie z planem.

Żaden z wojskowych wchodzących w skład misji nie znał prawdziwych rozkazów i celu lotu, otrzymywał tylko rutynowe rozkazy. które bez. szkody dla misji mogłyby być przechwycone przez obce wywiady.

W doku krzątały się jedynie pododdziały należące do normalnej obsługi statku, troszcząc się o sprawny załadunek azich i wnosząc skrzynie, oznakowane niezgodnie ze swoją zawartością.

Zegar tykał.

Moment startu nadchodził.

## II

# PODROŻ DO GWIAZD

PERSONEL WOJSKOWY MISJI:

Porucznik James A. Conn, generalny gubernator

Kapitan Ada P. Beaumont, wicegubernator

Major Peter T. Gallin, członek załogi

Sierżant Ilya V. Burdette, członek kady technicznej

Kapral Antonia M. Cole

Specjalista Martin H. Anderson

Specjalista Emilie Kontrin

Specjalista Danton X. Norris

Sierżant Danielle L. Emberton, operacje taktyczne

Specjalista Lewiston W. Rogers

Specjalista Hamill N. Masu

Specjalista Grigori R. Tamilin

Sierżant Pavlos D.M. Bilas, szef mechaników

Specjalista Dorothy T. Kyle

Specjalista Egan J. Innis

Specjalista Lucas M. White

Specjalista Eron 678-4578 Miles

Specjalista Upton R. Patrick

Specjalista Gene T. Troyes

Specjalista Tyler W. Hammett

Specjalista Kelley M. Matsuo

Specjalista Belle M. Rider

Specjalista Vela K. James

Specjalista Matthew R. Mayes

Specjalista Adrian C. Potts

Specjalista Vasily C. Orlov

Specjalista Rinata W. Ouarry

Specjalista Kito A.M. Kabir

Specjalista Sita Chamdrus

Sierżant Dinah L. Sigury, szef łączności

Specjalista Yung Kim

Specjalista Lee P de Witt

Sierżant Thomas W. Oliver, kwatermistrz

Specjalista Nina N. Perry

Specjalista Hayes Branson

### *i*

Porucznik Romy T. Jones, dowódca komandosów

Sierżant Jan Vandermeer

Szeregowiec Kathryn S. Flanagan

Szeregowiec Vharles M. Ogden

Sierżant Zell T. Parham, Ochrona



Kapral Quintan R. Witten  
Kapitan Jessica N. Sedgewick, radca prawny  
Kapitan Bethan M. Dean, chirurg  
Kapitan Ribert T. Hamil, chirurg  
Porucznik Regan T. Chiles, informatyk

' i

## 1.

Do startu 00:15:01

Wiadomość dla: dok zielony, Stacja Cyteen. US *Ryzyko*, US *Chyży*, US *Zdolny*:  
„Przygotować się do startu. Stop.”

Do startu 00.2:15

Wiadomość dla: dok zielony. Stacja Cyteen. US *Ryzyko*, US *Chyży*, US *Zdolny*:  
„US *Ryzyko* odlatuje jako pierwszy. Stop”.

Do startu 00:00:49

US *Ryzyko* do doku zielonego, Stacja Cyteen:  
„Program lotu wprowadzony do komputera. Stop. Dziękujemy za gościnność. Stop”.

### **Lot 00:00:20 US *Ryzyko* w drodze.**

Przeciążenie stało się odczuwalne. Lecieli.

Chociaż taśma go uprzedziła, że tak właśnie się stanie, Jin 458 odczuwał drżenie i zmiany grawitacji, a wraz z nim tysiące innych ciał. Przejścia między kojami były wypełnione człekomopodobną masą, stłoczoną jak było w czasie burzy, podtrzymującą się nawzajem, bo tak nakazywały instrukcje z taśm.

Pomimo rozkazów i upokajających instrukcji, Jin odczuwał dziki strach. Wewnętrzne poczucie zagrożenia wypełniało każdy zakątek jego ciała, choć na zewnątrz nie było widać tej burzy emocji.

Gdy przeciążenie nieco zelżało, z tysięcy gardel wydobyło się westchnienie ulgi.

Trzymać się mocno - odezwał się głośnik.

Złapali się mocniej. Palce wbiły się w plecy, uchwyciły prętów żelaznej koi, zakleszczyły na sprzętach, aby kolejny skok grawitacji nie wgniół ich w podłogę. Przeciążenie powróciło z hukiem i wibracją silników, jazgotem maszyn...

Stopy niemal zrosły się z podłożem, białe kombinezony szczelnie opinały ciało, nieodróżniając się od skóry. Znowu mieli uczucie rozpadania się pod naporem ogromnej siły.

- To już koniec - oznajmił głos z głośnika, gdy grawitacja powróciła do normy. - Ta nieprzyjemna przeprawa już za nami. Zajmijcie się poszukiwaniem swoich koi, przydzielonych zgodnie z porządkiem alfabetycznym. W razie kłopotów, zgłaszać się do dyżurnego przy drzwiach.

Jin poczekał nieruchomo, aż powróci mu zdolność czucia. Ci, co byli w stanie poruszać się od razu, powstali z kucek, przystawili drabinki i zaczęli rozglądać się za swoimi legowiskami. M 234-6787, zobaczy! przed sobą napis.

- Główne przejście - kontynuował głos - prowadzi od MI do M7, rząd drugi od M8 do N1...

Jin przysłuchiwał się uważnie wskazówkom. Schylił się, przepuszczając jakiegoś aziego, szukającego koi. Zostali rozmieszczeni według alfabetu i miejsca urodzenia, a nie według kodu genetycznego, na co miał nadzieję. Nie będzie zatem spał w bliskim sąsiedztwie z rodzeństwem.

Wszystko było mocno pomieszane, ale pomimo skomplikowanej organizacji, sprawy przebiegały

zgodnie z planem.

Trudno było utrzymać się na nogach, bo statkiem rzucało jak rybą na wędce, a między kojami panował ścisk, bo wszyscy spieszyli się, by wykonać instrukcje. Jin miał długie rzędy pryczy, chwytając się przy manewrach statku wystających elementów łózek i nie stanął, dopóki nie dotarł na dziób statku. Z westchnieniem ulgi dostrzegł tabliczkę z literą .1. Teraz pozostało mu tylko znaleźć koję.

-10

Przechodził obok zawstydzonych azich, należących do klasy T, a więc nie potrafiących czytać i stąd błąkających się bez celu. Wreszcie dostrzegł J 458-9998 na pryczy bezpośrednio nad podłogą, nie potrzebował więc drabiny, by wędrować po kolumnach koi sięgających aż sufitu. Oni z kolei mogli obserwować wszystko i wszystkich, ale w sumie był wdzięczny losowi za taki przydział.

Usiadł i spuścił nogi z brzegu koi. Właśnie zbliżał się następny Z rodziny Jinów, oznakowany 458-x, lecz zgodnie z kodem genetycznym był to 8974-x, musiał więc pochodzić z innej farmy. Trudno jednak ustalić czyjąś tożsamość jedynie na podstawie łysej czaszki.

Azi lekko wspiął się po drabinie i zajął swoje miejsce. Jin pozostał na koi. Czuł się bezpiecznie, otoczony posterunkami, mając ze wszystkich stron sąsiadów.

Pojawił się jeszcze jeden J. a za nim cała grupka imienników, szybko zniknęli gdzieś pod sufitem. Wszystko przebiegało coraz sprawniej.

Dokonali wielkiego wysiłku celem prawidłowego wykonania instrukcji, a teraz czekała ich nagroda. Spokój.

Ktoś zajął miejsce po sąsiedzku. Wszędzie wokół widział te same kombinezony i wygolone głowy azich. W pomieszczeniu zaległa cisza, gdyż nawet analfabeci odnaleźli swoje miejsca. W zapadłej ciszy głośniej i wyraźniej brzmiał głos z głośnika, który miał dla nich nowe instrukcje. Kazał im wyciągnąć spod poduszki małe, plastikowe pudełka z zestawem do higieny osobistej.

Także Jin wyciągnął pudełko.

- Przeczytajcie rozkład zajęć - komenderował głośnik. - Jeśli nie umiecie czytać, spójrzcie jakiego koloru jest karta w środku. Niebieska oznacza, że zaszeregowano was do grupy pierwszej, czerwona, do drugiej. Wzywał was będą grupami. W tej chwili macie pół godziny na odpoczynek.

Nie było to wiele. Jin zastanawiał się, jak dostosuje swój temperament do tego stadnego życia. Przeczytał dalszą część instrukcji. Znalazł wskazówki, gdzie są toalety i co robić, gdy się rozchoruje. Poza tym dowiedział się, że w czasie lotu, ze względu na bezpieczeństwo, konieczne jest przebywanie w swojej koi.

Należy siedzieć i leżeć, a większość ich czasu zostanie przeznaczona na instruktaż z taśm.

Nie był pewny znaczenia i wartości swojego dotychczasowego życia. Pamięć miał dobrą, wspomnienia przywoływał bez problemu, lecz życie wydało mu się teraz bardziej stabilne, uporządkowane i zorganizowane. Przed nim roztaczała się interesująca przyszłość, czekał nań nowy świat i wierzył, że wszystko potoczy się bardzo pomyślnie. Został bowiem powołany, by uczestniczyć w budowie nowej rzeczywistości.

Misja, którą mu powierzono, była jedną z najważniejszych dla Unii. Nawet urodzeni ludzie nie mogli otrzymać bardziej odpowiedzialnego zadania. Zawdzięczał to szczęściu, dniu, w którym przyszedł na świat, właściwemu kodowi genetycznemu oraz swojej nadzwyczajnej sumienności w pracy.

Czekały na niego tylko dobre taśmy. Kiedy zaś znajdzie się w nowym świecie i rozejrzy się po nim, będzie pracował zgodnie z instrukcjami, wykorzystując wszystkie swoje możliwości.

Ludzie wierzyli w niego.

Został przez nich wybrany.

Był szczęśliwy, wiedząc, że wszystkie kłopoty zostawił już za sobą. Teraz siedział w koi i czuł się bezpieczny, zostało mu akurat tyle czasu, żeby zrozumiał wszystko, co zrozumieć powinien... zanim dotrą do celu... przynajmniej tak obiecywała taśma.

Była tu Pia. Odnalazłby ją w tłumie i chętnie zapytał, co taśma powiedziała jej o nim. Wierzył, że tak było. Przecież ci z ochrony są bardzo dokładni i nie mogli przeoczyć takiej sprawy. Pewnie znali wszystkie odpowiedzi jeszcze przed zadaniem pytania. Jak w jego przypadku.

Niewykluczone, że jego osobisty opiekun maczał palce w tej grze, by móc mieć pieczę właśnie nad ich dwojgiem. On i Pia będą razem. Taśma mówiła, że uczucie jest bardzo piękne, podobnie jak to, gdy otrzymuje się taśmę z nagrodą. Będą się mogli obdarowywać uczuciem, kiedy tylko zechcą, oczywiście nie w czasie, gdy będą mieli jakieś obowiązki.

Jin posiadał informacje na temat świata, ku któremu zmierzali. Znal treść instrukcji i reguły zdobywania nowych doświadczeń. Bardzo chciał odnieść w tym świecie sukces, by zadowolić swych opiekunów.

Głośnik zakończył wykład. Zgodnie z poleceniem Jin wziął środek uspokajający z pakietu medycznego i położył się na koi.

Czeka go mnóstwo pracy, został przydzielony do dwunastej grupy ćwiczebnej i aż korciło go, by natychmiast się zerwać i biec do czekających go zadań.

Jeszcze nigdy nie był tak spięty. Nigdy też nie miał tylu powodów do radości. Kochał państwo, które sprawiło, że przyszedł na świat, które troszczyło się o niego w każdej chwili jego życia, a teraz podpisało z nim kontrakt, gwarantujący mu wspaniałą przyszłość.

Państwo stworzyło Pię i wszystkich innych do podboju nowego świata, który został im oddany w wieczystą dzierżawę. Państwo uczyniło go rozumnym, wykształciło jego inteligencję, z której był tak dumny.

Śmiał się i podziwiał swoje osiągnięcia - rozkoszował się poczuciem własnej wartości, która przeszła jego najśmielsze oczekiwania. Taśma biegła dalej.

Mówiła właśnie o nowym świecie, .lin wsłuchał się uważniej.

Duma wytworzyła w nim uczucie przynależenia do wspólnoty. MY jesteśmy tymi, których numery podawał głos, ONI to oficerowie i gubernator. A w tle jest jeszcze załoga.

### 3.

#### **Lot 00:21:15 Dziennik pokładowy US *Ryzyko*.**

„Skoku dokonano w wyznaczonej godzinie i kolejności. Ładunek i personel w normie. US *Chyży* i US *Zdolny* w szyku konwojowym”.

### 4.

#### **28 godzina trwania misji. Osobisty dziennik Roberta Daviesa.**

9/2/94 Skok wykonany. Cztery dni do zaplanowanego zwrotu i wyjścia z zatłoczonej przestrzeni. Wtedy ruszymy w stronę naszego głównego celu. Dopiero teraz zacznie się ta gorsza część zadania. Nigdy nie lubiłem tej części operacji.

### 5.

#### **Pokład US *Ryzyk*\*.**

Załoga w czasie lotu zajęta była właściwie tylko jednym - gram hazardowymi. Ten lot był dla nich czymś rutynowym, jednym z wielu.

Przed nimi leciał automatyczny statek zwiadowczy. *Ryzyko* miał wprowadzone współrzędne lotu, ale mimo to wystrzelili zwiadowcę.

Grano w sprawdzonych grupkach, wszystkie specjalności były od siebie hermetycznie odizolowane, nigdzie nie widziano mieszanego towarzystwa. „Nie będziemy z wami grać - słyszano. - Zbyt niskie stawki”.

Głównym powodem, dla którego załoga oddawała się grom było to, że w tej chwili przemierzali przestrzeń nieoznaczoną na żadnej mapie i nikt nie wiedział, co za chwilę może ich spotkać. Dlatego każda rzecz, która pozwalała o tym zapomnieć, była pożądana.

Wszyscy oddawali się tanim rozrywkom dającym chwilę wytchnienia, pozwalającym zapomnieć o niebezpieczeństwie wiszącym nad głową, o niewygodach długiego rejsu w nieznaną, o wszystkim, co przeczuwali, że może się zdarzyć.

Dokonywano zamiany kabin, świadczone sobie drobne uprzejmości, rozglądano się za towarzystwem na bezsenne noce - obojętne czy był to kochanek, alkohol czy prochy.

Wśród załogi krzątała się para czujnych, wyszkolonych oczu, przystosowanych do rozpoznawania ludzkiej słabości bądź wielkości.

## 6.

### 20 dzień rejsu. Pokład US *Venture*.

Obowiązkiem Conna był codzienny obchód okrętu i baczenie na nastroje załogi. Na pozostałych statkach misji znajdowali się inni ludzie, którzy wykonywali podobne zadanie. Conn wahał się po pokładach w czasie długich dni lotu, zaskakując żołnierzy i cywilnych pracowników bezwzględnością w egzekwowaniu rozkazów.

Odwiedzał także śmierdzące pomieszczenia dolnego pokładu, gdzie w niemożliwym tłoku jedli, spali i wegetowali azi. Dwadzieścia łóżek w rzędzie, od podłogi, gdzie nie dochodził nawiew wentylatorów, po lśniący owal sufitu, gdzie klimatyzacja poruszała derkami, którymi przykrywali się robotnicy.

Koje wypełniały ludzkie ciała, niemal siłą wtłoczone w niewielkie wymiary. Nic by to nawet tyle miejsca, by swobodnie usiąść w łóżku. Chcąc rozmasować zwiotczale i obolałe mięśnie niektórzy siadali na kantach pryczy. Ale zdarzało się to rzadko, bo opiekunowie zalecali nieopuszczanie łóżek.

Pomieszczenia cuchnęły, tego fetoru nie były w stanie wytłumić chemikalia używane do dezynfekcji. Azi przebywali cały czas w stanie półletargu, a do świadomości wrócą z chwilą dotarcia do celu. Smród pochodził też od taniego jedzenia.

Ogromną hałą wypełniał odgłos pracy nawiewników, wspomagany szmerem rozmów. Azi mówili niewiele, głównie śpiąc. Oprócz tego czas wypełniały im ćwiczenia, zgodnie z regulaminem odbywające się w specjalnym pomieszczeniu. Po treningu wracali na koje i leżeli bez ruchu, by nie przeszkadzać innej grupie.

Spocone ciała szybko musiały zapomnieć o prysznicu, gdyż urządzenia sanitarne statku nie były przygotowane na tak wielkie obciążenia.

Sklonowani ludzie. Kobiety i mężczyźni.

Również niektórzy ze specjalistów, członkowie załogi, urodzili się w laboratoriach. To nie był powód do hańby. W Unii sposób, w jaki przyszło się na świat nikogo nie okrywał hańbą. Po prostu jedni rodzili się tak, drudzy inaczej.

A szkolenie z taśm hipnotycznych dotyczyło dzisiaj każdego, były - obowiązującą w całym poznanym kosmosie - powszechną formą nauki i wychowania. Polegało to na wysyłaniu całej gamy fal oddziaływujących na mózg człowieka, który - bez przymusu i bez problemu - przyswajał sobie to, do czego był zdolny.

Lecz hipnotaśmy dla azich były zupełnie inne.

Miały za zadanie wyprodukowanie posłusznych, człiekopodobnych robotów. Jak ci tutaj: rząd po rządzie, twarz przy twarzy, osobnicy pozbawieni osobowości, zdolni tygodniami tkwić w jednym miejscu. Azi, rozłożeni na pryczach, nie przejmowali się niewygodami i tym, że muszą gnuśnieć w ciasnym pomieszczeniu.

Zwracali uwagę tylko na swoje ciała. Nauczono ich, że są one wartościowe i zbudowane po to, by azi mogli się dzięki nim realizować.

W czasie lotu poddawano ich stałej indoktrynacji - głos z głośnika hipnotycznie opisywał im nowy świat, roztaczał przed nimi kolorowe perspektywy pracy na własną chwałę. W odwodzie mieli jeszcze hipnotaśmy, które otrzymają tuż po wylądowaniu - nie tylko zresztą oni wszyscy członkowie wyprawy mieli je dostać. Hipnotaśmy dla przyszłych pokoleń.

Conn przeszedł się między rzędami prycz i dotarł do pomieszczenia treningowego. Setki azich ćwiczyły w milczeniu. Żołnierze i załoga na ogół dowcipkowali w czasie forsownych ćwiczeń, plotkując o wszystkim. Tutaj panowała niczym nie zmacona cisza.

Czas poświęcony tworzeniu z pojedynczych mózgów jednej bojowej nadjaźni był dla azich okresem zamyślenia nad sobą. Rutynowo wykonywali rozmaite ćwiczenia gimnastyczne, jedni z twarzami świadczącymi o duchowej nieobecności, inni tępo wpatrzni przed siebie, jeszcze inni głęboko zadumani.

Nie prowadzono żadnych rozmów.

Zatrzymał się przy jednym z nich. Wydawał się wyższy i bardziej postawny niż przeciętny azi.

Klon przerwał swoje czynności i spojrzał na gubernatora misji, z całych sił wyrażając uwagę. Umieeli szybko przenosić pełnię uwagi z jednej czynności na drugą.

- .lak się czujesz?

- Dziękuję, sir, bardzo dobrze - azi oddychał głęboko.
- Imię?
- Jin 458-9998, sir.
- Potrzebujesz czegoś?
- Nie, sir.

Ciemne oczy obserwowały go z uwagą. Interesująca odmiana w monotonii pracowicie ćwiczących ciał. Wszystko w porządku? Tak, sir. Dziękuję.

Conn podszedł do drzwi, odwrócił się i jeszcze raz spojrzął na .lina.

Azi podjął już przerwane ćwiczenia. Byli bardzo zdyscyplinowani.

Klony zawsze przejmowały Conna odrazą, zwłaszcza wtedy, gdy coś nie szło zgodnie z planem. Tworzyła się wówczas niemiła, gęsta atmosfera. Wolał nie dostrzegać objawów niezadowolenia.

Stłamszone duchy... Jeśli potrzebowali powrócić do równowagi wystarczyło na chwilę wyłączyć hipnotaśmy.

Niezauważony przemierzał kolejne pomieszczenia okrętu. Azi z pewnością stanowili zwartą zbiorowość, jak reszta ludzkiej zało-

gi, na górnym pokładzie. Azi pielęgnowali w sobie cnotę poświęcenia, tak jak wszyscy, którzy im ufali. Ich oczy były jakies nieobecne, zapatrzone w przyszłość, jakby śnili na jawie.

Nic miał pojęcia, o czym myśleli azi w czasie lotu. Czy oni w ogóle myśleli?

Zmierzał w górę, w otaczającej go ciszy. Nie miał wiele do roboty - Ada Beaumont i Pete Gallin wyreżali go w wielu zadaniach. Jemu pozostawało tylko studiowanie ich raportów.

Na jego biurku stały fotografie przypominające przeszłość i wydało mu się, że czas usiąść do pisania pamiętnika. Lecz jego dziennik rozpoczął się wraz z podróżą i niekiedy opisywał wydarzenia, o których rząd z pewnością nie chciałby sobie przypomnieć.

A przecież te wydarzenia stanowiły większą część jego życia.

Ścisłe tajne.

Taki napis zbyt często musiałby przerywać jego wspomnienia.

Mówił do dyktafonu. Wiele przemilczał, wiele skłamał.

Trudno było otwarcie mówić o celu tej misji i nadziejach, jakie wiązali z nią poszczególni ludzie. I azi też.

## 7.

20 dzień rejsu.

Jeden z wykładów Gutierrezza dla wolnych słuchaczy, sala II.

„...naszym celem jest ekosystem, tak zróżnicowany i bogaty, jak świat Cyteen. Pod pewnymi względami jest nawet bogatszy w formy żywe, pod innymi względami uboższy.

Roślinność. Z flory spotkamy tam wodorosty, krzewy, miejscowe owoce, zbliżone nieco do znanych nam z Cyteen. Sensację wzbudziły wśród odkrywców planety jedyne w swoim rodzaju, piękne drzewa. Proszę się im przyjrzeć... (przerwa na demonstrację ilustracji).

To wszystko zaobserwowała pierwsza grupa zwiadowcza.

Słyszeliście z pewnością o tajemniczych budowlach, przypominających wały ochronne. Wyglądają one na najwyższe osiągnięcie budownictwa na tym świecie.

Chciałbym przestrzec w tym miejscu przed rozpowszechnianiem pogłosek o inteligencji budowniczych tej formacji. Wyniki badan zwiadowców nakazują przyjęcie innej hipotezy. Trzeba jednak pamiętać, że badania prowadzono z orbity stacjonarnej i chociaż można mówić o czymś przypominającym miasto, to należy powstrzymać się przed ferowaniem ostatecznych sądów.

(Zdjęcie).

Teraz chciałbym pokazać wam rozmiary. Wysokość jednej budowli czterokrotnie przewyższa człowieka. Z pewnością zauważyliście, że wały znajdują się na ogół w dolinach rzek i na wybrzeżu morskim, przynajmniej jeśli chodzi o dwa z siedmiu kontynentów. Na pozostałych badan jeszcze nie przeprowadzono. To na zdjęciu znajduje się w pobliżu planowanego miejsca lądowania.

Mury obronne, wały ziemne - jakkolwiek byśmy je nazwali - przypadkiem znajdują się zawsze na najkorzystniejszym ukształtowaniu terenu w okolicy. Niewiele się pomylę mówiąc, że w poszukiwaniu ziemi najbardziej nadającej się pod naszą kolonizację, powinniśmy się kierować przede

wszystkim obecnością tych przedziwnych budowli.

(Zdjęcie).

A oto jeden z budowniczych. Na prywatny użytek nazwałem ich Kalibanami - na cześć osoby z pewnego dramatu, która była wielka i straszliwie brzydka. Pierwsze skojarzenie to podobieństwo do ziemskich dinozaurów.

Wielki dinozaur- tak pewnie pomyśleliście?

Ma pięć metrów od głowy do końca ogona. Jest ciepłokrwisty, poruszając się lubi ślizgać się na brzuchu. Podobny do ziemskich jaszczurek, przestrzegam jednak przed stosowaniem uproszczeń i nazywaniem elementów nowego świata starymi nazwami z ziemskiej przeszłości.

Przyjrzyjcie się czasce. Tu znajduje się mózg zwierzęcia, trzy razy większy od ludzkiego. Płaty mózgowe są inne niż u ludzi. Nie szukajcie podobieństw, bo ich nie ma. Z tyłu głowy znajduje się dziwny narząd o wyglądzie piłki do metalu. Jest pokryty licznymi wyrostkami, niczym glony na zmurszałym dnie statku morskiego.

Wystają stąd trzy płaty mózgowe, po jednym z lewej i prawej strony i jednym u góry. uformowane na kształt ludzkich języków. Wyrastają z jednego miejsca, ale rozchodzą się na wszystkie strony, przypominając pofałdowane, różowe pióra.

Podobne organy, choć znacznie mniejsze, znajdują się z przodu czaszki. I to wszystko, co mogę powiedzieć o mózgu tubylców dzisiaj. Reszła zależy od naszych badań.

Wyznam, że zdziwiłbym się, gdyby oględziny pod mikroskopem nie ujawniły struktury połączeń komórkowych mózgu. Jestem usatysfakcjonowany jego wielkością, ale wciąż nic nie wiem o jego funkcjonowaniu. Jedyny zewnętrzny ślad wykorzystania tego mózgu widzimy w postaci tych ziemnych budowli.

Przeprowadzono sekcję jednego egzemplarza... gdy zorientowano się, że zachowaniem tych stworzeń kieruje instynkt. Badanie było jednak powierzchowne i wciąż nie wiemy, czy to inteligentne stwory, czy zwierzęta.

Jeśli jednak okaże się, że instynkt, którym się kierują, jest racjonalny, trzeba będzie przyznać, że mamy do czynienia z formą inteligentną.

Wiemy jeszcze, że są to stworzenia nieagresywne, mam tu przekaz z osobnikiem mniejszym i znacznie przystojniejszym od Kalibana.

(Zdjęcie).

Ten mały zielony chłopaczek otrzymał imię Ariel. Jest nieodłącznym towarzyszem swych większych kolegów. Dochodzi do metra długości i bez jakichkolwiek przeszkód dostaje się do budowli Kalibanów. Podobnie jak oni żywi się rybami - sekcje ujawniły sporo rybiej treści w ich żołądkach.

Żaden z jaszczurów nie jest jadowity, nie stwierdzono też odruchów agresywnych. Nie gardzą też innym pokarmem, na przykład owocami. Małe Ariele muszą stale uważać na wielkie ogony Kalibanów, gdyż - zwłaszcza, gdy Kalibany wpadają w panikę grozi im stratowanie bądź przynajmniej pogruchtanie kości. Nie sądzmy o nich jednak, że są nieporadne.

Gdy zajdzie potrzeba Ariel potrafi zaatakować i życzę wam, byście nigdy nie musieli się o tym przekonać. Należy zwracać uwagę na nasadę ogona i kark, zwłaszcza wtedy, gdy są uniesione. Mamy sprawozdania, jak piekielnie niebezpieczne są w tym stanie Ariele.

Nie dzieje się to zapewne zbyt często, ale lepiej nie dawać okazji ku temu, by się te stworzenia zdenerwowały. Jednocześnie zauważono, że Ariele nie oddają się żadnej pracy. Korzystają z tego, co zbudują Kalibany.

Załoga sondy miała okazję obserwować ich na koczowisku. Przechadzały się pomiędzy budowlami, czasem przygotowywały coś do jedzenia, jednak nie przejawiały żadnych objawów strachu.

Wydaje się, że Kalibany i Ariele zamykają krąg pokarmowy i nie mają żadnej konkurencji. Nie sądzę, by oba gatunki odnosiły jakieś korzyści z tej koegzystencji, poza tym, że Ariele wykorzystują schronienie Kalibanów. Trudno więc mówić o symbiozie.

Podobne są przez zbliżone tryby życia, chętnie się kąpią i podobnie zdobywają pokarm. Nie są do siebie wrogo usposobione, nie zaobserwowano między nimi żadnej walki.

Kiedy Kalibany rozpoczynają jakieś rytualne płąsy. Ariele schodzą im z drogi. Kiedy czują się obserwowane (jak w przypadku lotu wyprawy zwiadowczej) lub wywęszą niebezpieczeństwo, nieruchomieją. Gdy przyczyna niepokoju znika, powracają do przerwanych zajęć. Snuło rozważania, czy owe odrętwienie nie jest przejawem paniki, czy też hałas czyniony przez zwiadowców wprawił je w osłupienie, gdyż nie są przyzwyczajone do odbioru takiej liczby nowych informacji.

Stawiano możliwość muru obronnego, który miałyby tworzyć napięte i nieruchome ciała, ale niektórzy twierdzili, że w tym czasie wydają jakieś dźwięki o niskiej częstotliwości, które mają przeciwnika odstraszyć.

Trudno to teraz rozstrzygnąć. Mózgi Arieli są podobne do mózgów Kalibanów, lecz odstające z głowy narządy są bardziej miękkie.

Pyski obu gatunków są osobliwe. Lekkie pofałdowanie u nasady nosowej tworzy zamknięcie dużej jamy, wypełnionej czymś w rodzaju włosków. Są to silnie ukrwione naczynia, porastające lączę narządy pełniące rolę płuc.

Tlen potrafią produkować siadając na brzegu zbiornika wodnego i wchłaniając nozdrzami wodę, którą rozkładają potem na pierwiastki proste. Są to więc jednocześnie płuca i skrzela. Dobrze znoszą obecność w środowisku wodnym, nie zaobserwowano jednak, by nurkowały.

Nie wiemy dzisiaj, ile gatunków tych jaszczurek żyje na planecie. Nasze obliczenia mówią na razie o ćwierć tysiącu odmian mniejszych od Arieli, wiele żyje w wodzie. Zauważono też jaszczurki latające.

(Zdjęcie).

O tych nie wiemy jednak nic pewnego, gdyż żadnej nie zdołano schwytać. Prawdopodobnie są ciepłokrwiste, ale naukowcy nie widzą powodów, by na planecie nie miały pojawić się już ssaki.

Tu jest rzecz, na którą chciałbym wam zwrócić uwagę. Na obszarach, które chcemy zasiedlić nie zaobserwowano tego zjawiska, lecz wszędzie indziej latające jaszczurki widziano w stadach. Płynię stąd pewne niebezpieczeństwo.

Wielkość tych zwierząt nie przekracza pół metra, ale nie wiemy, czy potrafią gryźć. W takim przypadku należy brać pod uwagę możliwość przenoszenia chorób zakaźnych, które w takich stadach muszą występować. Jeśli potwierdzi się hipoteza o ssakopodobnych, to odetchniemy. Lepiej jednak być ostrożnym.

Tu wszystko jest nowe. Przy tak nowych formach życia nawet trudno omawiać jakieś analogie do znanych nam stworzeń. Prawdopodobnie wszystkie hipotezy zostaną poddane ostrej, praktycznej weryfikacji. Natura jest niezwykle bogata w możliwości tworzenia życia, więc pierwsze hipotezy zazwyczaj mijają się z prawdą. Insekt nie może oczywiście przekraczać pewnej wielkości, a pod tym pojęciem wyobrażamy sobie żyjątko okryte chi\* tynowym pancerzem, zawierające jakąś wewnętrzną strukturę. Tymczasem TAM wszystko może bardzo daleko odbiegać od ziemskich kategorii.

Nasz przysły świat może się też pochwalić kilkoma osobliwościami...

(Zdjęcie).

...na przykład to dziwne stworzenie, składające się z chityno-wych segmentów, osiągające metr długości i pół szerokości, drążące powierzchnię niczym ziemską glistę. Jest bardzo podobne do tego niewinnego robaka, niech was jednak to nie zmyli. Lepiej na nie nie nadebrać, gdyż potrafi mocno ukąsić, o czym przekonał się jeden ze zwiadowców.

Można natknąć się na rodzaj węży, w odróżnieniu od jaszczurek są zimnokrwiste. Wstępne obserwacje mówią o olbrzymich okazach, nie wykluczamy gatunków jadowitych.

Być może posuwam się za daleko w kreśleniu czarnej wizji tej planety, ale lepiej być ostrożnym. Tu bezkregowce są na ogół jadowite, więc doświadczenie każe przypuszczać, że te widoczne na zdjęciu mają aktywny mechanizm jadowy. Potwierdziły to doświadczenia z dwóch światów pozaziemskich. Pell i Cyteen.

(Zdjęcie).

Ta z kolei jaszczurka, niewiele większa od palca, należy do gatunku latających. Skrzydła są bezpośrednim przedłużeniem żeber.

Igną do światła. Właściwie nie fruują, lecz szybują. Te stworzenia pożerają wszystko, co nadaje się do przetrawienia.

Sądzę, że będą sporym problemem dla rolników, jako odpowiednik ziemskiej szarańczy. Nie sposób się od nich opędzić, czepiają się wszystkiego i zawsze zmierzają w stronę światła. Gnieźdzą się na drzewach i zwykle przez las można iść bezpiecznie, jednak wystarczy oświetlić sobie drogę, by pojawił się od razu cały rój.

Obawiam się, że to utrudni komunikację nocą. Wstydę się tego, ale zapewne jedynym wyjściem będzie destrukcja niektórych gatunków. Są jednak takie piękne! Trzeba je jakoś odstraszyć od ludzkich siedzib, każdy pomysł będzie mile widziany.

A teraz ryby. Słodkowodne i słonowodne.

Nie stwierdziliśmy u nich -jak dotąd - substancji trujących. To ważne, bo prawdopodobnie osiedlimy się na jednym z wybrzeży. Będziemy jednak musieli się nauczyć rozpoznawać gatunki jadalne.

Mikroorganizmy.

Pod tym względem mamy farta. Nikt się nie rozchorował, nie złapał infekcji wirusowej, nie doszło do powstania alergii. Mimo to musimy być czujni, szczególnie w pobliżu icli ssaków, jeśli je znajdziemy.

Znamy pewien fenomen, nazywany rezonansem biologicznym. Mówię o przypadku, gdy mikroorganizmy z dwóch światów stykają się ze sobą, tworzą nowe szczepy i nowe jakości, nieznanne uprzednio nauce. Aby zabezpieczyć się przed atakiem połączonych sił bakterii dwóch światów, jesteście zobowiązani składać personelowi medycznemu dokładne raporty na temat ukąszeń, wysypek, alergii, ciekających nosów, kaszlu, swędzenia.

Zaraz po przybyciu zamontujemy na powierzchni izolatkę i w razie jakichś poważnych tarapatów pacjent będzie w niej oczekiwał na przybycie następnego statku z Cyteen.

Oczywiście mamy komplet medykamentów i postaramy się natychmiast sobie poradzić z każdym problemem. Przestrzegam jednak przed beztróskim traktowaniem spraw zdrowia i rozkazuję niezwłocznie meldować o wszystkim. Miejcie oczy i uszy szeroko otwarte, żebyście zawsze mogli udzielić dokładnej informacji, co robiliście, gdzie byliście, czego dotykaliście.

Zdobycie i zgromadzenie wszystkich informacji należy do mnie. Muszę zbudować jak najdokładniejszy model ekosystemu, aby w razie choroby móc jej skutecznie przeciwdziałać. Im szybciej to zrobię, tym będziemy bezpieczniejsi.

Potrzebna mi do tego wasza pomoc, niech nikt nie uchyla się przed współpracą z biologami planetarnymi. Ludzie mogą współżyć z każdym ekosystemem, dlatego proszę nie niszczyć, nie zabijać, a zbierać i dostarczać do laboratorium. W świecie, ku któremu zmierzamy, nie ma drapieżników, których musielibyśmy się obawiać. Nasze plany zostały tak przygotowane, aby urbanizacja kolonii nie szkodziła enklawom naturalnego życia, a powstała symbioza między cywilizacją a naturą.

Miejsca zaplanowane na budowę kolonii są atrakcyjne dla nas, ale i dla miejscowej flory i fauny. Nie istnieje jednak powód, by nasze budowle musiały sąsiadować ściana w ścianę z tubylczymi konstrukcjami. Byłaby to zbędna ingerencja w naturalny świat dzikiej przyrody. Musimy unikać takich sytuacji.

Pamiętajcie, nie zmienimy i nie terra formujemy tej planety na wzór Cyteen. Musimy uszanować jej odrębność. Ludzie urodzeni na Stacjach najchętniej widzieliby ogromne miasta z rezerwatami dla Kalibanów. Byłoby to jednak wprowadzanie na planecie starego porządku, tyle że nowszymi metodami.

Dysponujemy dużymi możliwościami, dlatego lepiej wybudować drogę dłuższą, a dok postawić dalej, jeżeli miałoby to zaszkodzić miejscowej faunie. Dlatego zostanie utworzony rejestr gruntów - będziecie mieli prawo użytkowania powierzonych wam połaci planety, ale bez tytułu własności. Gruntami będziecie dysponował gubernator i sekcja biologii, która będzie w razie zaistnienia takiej okoliczności - tworzyła wydzielone obszary dla Kalibanów. W ten sposób uniknie się strat finansowych i zabezpieczy przyszłe pokolenia.

Nie będziecie mogli posiadać ziemi należącej do rezerwatów. Więc już teraz nakłaniam was do oszczędnego gospodarowania parcelami.

Dla bezpieczeństwa rodzimych mieszkańców zostaną naokoło ludzkich osiedli wyznaczone „tereny niczyje”, ich przeznaczeniem będzie zrobienie miejsca dla nawiązania kontaktu. Zasady urbanistyczne zostały już ustalone - domy będą zwrócone oknami w stronę rezerwatów, a drzwiami, werandami do centrum miasta.

Zaraz po lądowaniu przystąpimy do wytyczania granic, dzielenia ziemi i budowy osiedli. Biolodzy powierzają wam bardzo odpowiedzialne zadanie pokojowego sąsiedztwa z Kalibanami.

W centrum miast wzniesiemy zakłady produkcyjne, budowa dróg również, będzie podlegała rygorystycznym zasadom. Tak mówi prawo nowego świata. Mam nadzieję, że to akceptujecie.

Dlaczego mówię o takiej ścisłej współpracy wszystkich? Stoimy przed nowymi wyborami jako członkowie nowego ekosystemu. Jesteśmy reprezentantami ludzkości. Nie mamy właściwie żadnych autorytetów, najwyższą instancją jest tu natura - to ona zadecyduje, czy nasza asymilacja będzie udaną operacją. Wiemy, że ekologia tej planety całkowicie różni się od realiów Cyteen. Musimy być świadomi, że uda nam się, jeśli zachowamy równowagę tego świata. Doczepiamy się do obcego łańcucha ekologicznego, co z całą pewnością spowoduje zachwianie naturalnej równowagi.

Mieszkańcy stacji natychmiast rozumieją te delikatne zależności. Będziemy obserwowali proces podobny do tego na Stacji Pełła, gdzie dwa ekosystemy przenikają się wzajemnie. Musimy zbudować strukturę podtrzymywania życia jednych przez drugich, co przyniesie nam korzyści. Jeśli zaczniemy budować od podstaw warunki, by mogła rozwijać się symbioza, to osiągniemy sukces. Przyniesiemy ze sobą przemysł i zanieczyszczenia, ale mam nadzieję, że zakłady szybko uda się przenieść na orbitę.

Działalność oświatową będą prowadziły wszystkie sekcje natychmiast po wylądowaniu. Dla azich i dla przyszłych pokoleń gotowe są już hipnotaśmy. Jest to materiał o wielkiej wartości. Spoglądając wstecz na ludzkie dzieje wiemy, że z deklaracji i dobrych chęci najczęściej nic nie wychodziło. Żywię więc nadzieję, że tym razem poważnie weźmiemy się do roboty.

Proszę zerknąć na swoje plany robocze. Znajdźcie miejsce na dodatkowe szkolenia ekologiczne.



To wszystko. Jutro w tej sali Zell Parham będzie mówił o problemach bezpieczeństwa i prawodawstwa, początek 7:00. Gry odbywają się w sali R 12.

## 8.

### 20 dzień lutu.

- ...powinniście pokochać tę planetę - szeptał głos z taśmy, .lin w pełni akceptował to, ci usłyszał. - Cokolwiek na niej znajdziecie, będzie piękne. Wszystko na nowym świecie musi być chronione.

Będziecie wznosili budowle zgodnie z poleceniami Obywateli i opiekunów, którzy powiedzą wam, co i w jakiej kolejności należy robić.

Jeśli komuś z was przytrafi się nieszczęście i straci życie, należy pogodzić się z tą koniecznością losu. Jeżeli będziecie chcieli oszczędzić jakikolwiek przejaw tubylczego życia, należy to zrobić, ale wybór zostawiamy wam. Musicie zwracać uwagę na dzikie zwierzęta, o każdym kontakcie należy niezwłocznie meldować opiekunowi.

Będziecie uprawiali ziemię. Może się zdarzyć, że któryś z was padnie przy tej pracy, ale wypadki są wliczone w naszą misję i nie będzie to przejaw niczyjej złej woli.

Będziecie łowili ryby i je spożywali. Ryby są na tej planecie po to, abyście mieli co jeść. Zabijane nie czują bólu. Będziecie stanowili nieodłączną część tego świata.

Jeżeli kiedykolwiek pojawią się obcy ludzie, którzy będą wam chcieli szkodzić, chwycicie za broń i obezwładnicie ich. Możecie nawet kilku z nich zabić i nikt nie obciąży was za to winą. Kiedy będziecie musieli sięgać po broń, zostaniecie pouczeni przez gubernatora, który poda również kiedy i przeciw komu jej użyć.

Będziecie pracowali, ponieważ jesteście zahartowani do ciężkiej pracy i jest ona potrzebna kolonii. Macie prawo być z siebie dumni. Im lepiej będziecie pracowali, tym bardziej upodobnicie się do prawdziwych ludzi, Obywateli.

Rząd zawarł z wami kontrakt. Jest z was zadowolony. Uczcie się dobrze. Wkrótce otrzymacie taśmy przeznaczone dla Obywateli. Objasnią wam one istotę nowego świata. Niedługo wyjdziecie, by go ujarzmić.

Jeśli wystąpią jakieś trudności, będzie to znak, że została wam dana okazja, by je przezwyciężyć. Każdy problem, z jakim się zetkniecie, uczyni was mocniejszymi i mądrzejszymi. Coraz bardziej będziecie się zrastać z nowym światem.

Bądźcie szczęśliwi! Nie wszystko w życiu jest przyjemnością, ale po pokonaniu każdego problemu i trudności, wzrastać w was będzie pewność, że staniecie się piękni i lepiej zrozumiecie otaczający was świat, zgodnie z obietnicą waszego kodu genetycznego. Rząd Unii wierzy w was!

Jesteście potrzebni ludziom. Oni także są wam potrzebni, gdy uzyskacie wiedzę większą od nich.

Kochajcie Unię! Kochajcie swój świat!

Troszczcie się o Obywateli i ufajcie, że oni też mają nad wami pieczę. Macie prawo do szczęścia i dumy.

.lin leżał odprężony i zadowolony, czuł radość z powodu pochwał. Czuł się do głębi poruszony i oczekiwał swojego dalszego rozwoju. Jeszcze nigdy nie był) tak doskonałych azich jak oni przekonywała ich hipnotaśma. .lin sądził, że w tej gromadzie jest jedynym mutantem, bo dotąd nikt mu osobiście nie powiedział, jaki jest wyjątkowy. Oczywiście wyobraźni widział już potomstwo swoje i Pii, mieszaninę ich kodów genetycznych. Powstali z prawdziwej tkanki Obywatela - nie wiedział o tym, dopóki nie przekazała mu tego taśma.

Mieli w sobie wiele siły, wiele energii. Zastanawiał się, czy posiada zdolność koncentracji, która pozwalałaby mu przewidzieć problemy, jakie napotka w przyszłości. Tę umiejętność mógłby zamienić w zawsze dyspozycyjny czysty rozum. Nigdy dotąd tak nie myślał, ale też nic był do myślenia zachęcany. Wiedza azich świeciła lukami. Gdyby chciał zrobić użytek ze swoich wiadomości, popadłby w szaleństwo. Lecz gdyby wykorzystał ten stracony przez Obywateli talent i użył całej swojej wiedzy w sposób właściwy, stałby się mędrcem.

Gdy uświadomił sobie, jak bardzo jest pod tym względem obdarowany, powróciła duma. To dlatego opiekunowie zwracali na niego uwagę i nigdy nie dostał złej hipnotaśmy.

Najwyższą formą życia na planecie są Kalibany - pouczał monotonna głos. - Kiedy nauczą się rozumieć ich potrzeby, nie będą nastawiały na wasze życie...

## 9.

### 42 dzień lotu.

Księga pokładowa US *Ryzyko*: \* „Przybycie do systemu Gehenna nastąpiło planowo po 1018 godzinach i 34 minutach lotu. US *Chyży* i US *Zdolny* lecą za nami z godzinnym opóźnieniem”.

„Dług czasowy względem Cyteen - 280 dni. Dokonamy korekt zegarów względem długu czasowego”.

„Potwierdzamy planowe przybycie US *Chyży*”.

„Potwierdzamy planowe przybycie US *Zdolny*”.

„Wchodzimy na orbitę Gehenny 11 po 1028 godzinach i 15 minutach lotu. Wszystkie parametry w normie. Parametry środowiska zgodne z danymi sondy zwiadowczej Merkury”.

„W przyszłości będzie możliwe dokładniejsze obliczenie długości lotu”.

„Opuszczając system będziemy prowadzili dalsze pomiary”.

## 10.

### 42 dzień lotu. US *Ryzyko*. Biuro porucznika Conna.

Ten świat był tutaj. Rzeczywisty ponad wszelką wątpliwość. A jego imię - Gehenna 11. Nowy port nadał nazwę całej planecie.

Oto ich świat.

**Conn** usiadł przy biurku i wpatrywał się w monitor. Splótł palce i oparł na nich brodę. Z przekazywanego obrazu próbował wyłowić więcej szczegółów niż podawały czujniki okrętu.

Drużyna z sześciu planet systemu, niebieskobiała, z brązowymi plamami pustyń, z rzadką przetykaną enklawami zieleni. Nie tak zielona jak Cyteen. Lecz podobna do niej.

Obraz migotał mu przed oczami, ale nie potrafił się skupić na pięknym widoku, bo myślami powędrował w daleką przeszłość, do miejsc, które odwiedził w swoim życiu i... do Jean, którą pochował obok domu. Przypominał sobie, co zwykła mówić, gdy wraz z Be-aumont i Davisem żeglowali przez daleką przestrzeń.

Nie doczekała końca wojny.

Zaświtała mu myśl, że sam jest winien swemu osamotnieniu, że nie powinien wybierać się na gwiazdne bezdroża w poszukiwaniu nowego szczęścia. Porzucił ją i nie pozostawił nawet nikogo, kto miałby baczenie na jej grób. Ale Jean zapewne pochwaliłaby jego wybór.

Nie szkodzi, powiedziała by z charakterystycznym gestem dłonią, rób dalej to, co masz do zrobienia. Takie kwestie wypowiadała zwykle bardzo stanowczo, głosem nie znoszącym sprzeciwu. To jej zdecydowanie, posunięte czasem do determinacji, było mu bardzo drogie. Boże drogi, gdzie przyczyna, gdzie cel? Odkąd odeszła, stracił kawałek siebie.

Być może brakowało mu jej ostrości widzenia albo szybkości wypowiedzenia sądów, a może niezachwianej pewności, z jaką je ferowała, często sprzeciwiając się jego opiniom.

Rób dalej to, co masz do zrobienia - oznaczało wylądowanie i pozostanie na Gehennie. Rób dalej - to była jego dewiza, ale nie miał u boku nikogo, komu mógłby ją powtórzyć. Za wieczór, kiedy się poznali, kiedy zwróciła twarz ku niebu, oddałby wszystko.

Niestety, nie było też nikogo, kto podjąłby się tego zadania. A Conn wiedział, ku czemu misja zmierza.

Ten świat nie był jego ojczyzną wystarczyło nań spojrzeć z orbity.

Lampa nad drzwiami zabłysła, sygnalizując gościa. Nacisnął guzik.

• Ada? - zdziwił się, gdy weszła.

- Chciałam się upewnić, czy już nie śpisz - wskazała ręką na ekran.
- Nie było mowy, bym przespał tak podniosłą chwilę. Sądzę, że w sali obrad wygląda to podobnie.
- Wszyscy oficerowie są w komplecie.
- Zejdę do nich, gdy będziemy widzieli więcej szczegółów.
- Okey.

Wyszła. Na dole czeka) pewnie na nią Davies. Conn był prze-wrażliwony na jego punkcie, wspomnienie jego twarzy wywoływało w nim gniew i niechęć. Oprócz Boba w sali byli Gallin i Sedge-wick. Dean i Chiles...

A teraz czeka go już tylko jedna ziemia i jeden horyzont - całymi lalami będzie doświadczał tylko jednego, tego samego miejsca. Błękit nieba... na zawsze przytwierdzony do ziemi.

Po to tu przyleciał. Jeśli jeszcze dręczyły go jakieś wątpliwości, to teraz nie było już odwrotu. Przyjrzał się tej swojej Ziemi Obiecanej.

Wyobraził sobie, co by o niej powiedziała Jean. „Tylko nie szarżuj. Nie daj się ponieść fantazji. Nie ryzykuj niepotrzebnie!”.

W obecnych warunkach oznaczało to: „Nic nie rób!”.

Ponownie zerknął na ekran, gdzie bładą zielenią migał do niego świat, nie będący jego ojczyzną. Całe to zwariowane przedsięwzięcie było głupim ryzykiem! Porywem ambicji, którego Jean z pewnością by nie zrozumiała i zaakceptowała.

- Poruczniku Conn - odezwał się z interkomu głos Mary Engels. - Jest tam pan?

Potwierdził impulsem.

- Tak, kapitanie?
- Próbuje zlokalizować wyznaczone lądowisko. Dreszczyk emocji przebiegi mu po plecach.

Ile mamy czasu?

- Na orbicie pozostaniemy jeszcze dzień, przygotowując mapy i koiygując dane zwiadowców.

Jutro zamierzamy lądować. Będzie pan potrzebował czasu, by sporządzić listę załogi do pierwszej grupy zwiadowczej - część ekipy budowlanej musi być w gotowości zaraz po wylądowaniu. Jeśli chodzi o mnie, to rozładunek jest dla nas czynnością rutynową, świetnie opanowaną przez załogę. Jeśli mogę coś zasugerować, to proponuję, by zszedł pan z pokładu *Rzyka* jako ostatni. Na wszelki wypadek, gdyby powstały jakieś problemy...

- Niezły pomysł.
- Doświadczenie uprawnia mnie do składania takich propozycji. Pozwoli pan, że przedstawię jeszcze kilka innych...
- Oczywiście. Cenię pani doświadczenie. Oczekuję pani przewodnictwa przy lądowaniu.
- To zawodowe zwyczajności, poruczniku. Musimy wzajemnie cenić swoje doświadczenie.

Umiejętność dowodzenia przychodzi z czasem.

Otworzył barek i wyciągnął butelkę i szklankę z grubego, rżniętego szkła. Musiał uspokoić skołatane nerwy.

Tymczasem na ekranie pokazywały się kolumny liczb i regulamin lądowania. W pierwszej kolejności należało zabezpieczyć i przewieźć wszystkie mikrofilmy, archiwum i hipnotaśmy, które były nieodzowne dla powodzenia misji.

Mundury... na Gehennie traciły jakiegokolwiek znaczenie. Na dole mieli się przecież stać najzwyklejszymi osadnikami. Także żadnych kosmetyków, należało zabrać wyłącznie skrzynie z mydłem. Musiał też wziąć ostatni cywilizowany prysznic w życiu. Kosmetyki, ciepła, czysta woda - z tym będzie musiał się pożegnać. A także ze szklaneczką bourbona co wieczór.

Komputerowe kolumny przesuwają się na monitorze w zawrotnym tempie. Po chwili pokazały się zdjęcia powierzchni. Obraz zgadzał się z próbkami przekazanymi przez wyprawę zwiadowczą. Osobliwe wały ochronne, wydmiaste labirynty, trochę zieleni, delikatna siatka rzek i wybrzeże.

Tam mieli wylądować.

## 11.

Komunikat dla uczestników ekspedycji:

„Pierwsze lądowanie przewidziane jest na 1034 godzinę lotu. Operacją kieruje kapitan Ada Beaumont. Do grupy wyznaczono: sierżant Burdette - pięć miejsc, sierżant Bilas - pięć miejsc, sierżant Sigury dwa miejsca, kapral Ferry, dr Wilson, dr Gutierrez, dr Young i dr Savin. A także azi od numeru A 107-6788 do A 208-0985, czyli trzydzieści miejsc”.

## 12.

43 dzień lotu. Grupa wyladunkowa US *Ryzyko*.

- Nie przyjdzie - spokojnie powiedziała Ada Beaumont, kładąc dłoń na ramieniu męża, ale wypatrując kogoś z przodu. Bob Davies milczał. Nie odzywał się, gdyż w ich małżeńskim kodeksie przyjęli taką zasadę - nie odzywać się, nie będąc pytany.

Ada przyglądała się, jak załoga rozwija oznakowanie drogi do windy. Ładownik spoczywał jeszcze w głębi okrętu. Mieli jeszcze czas na zaokrętowanie.

Winda kursowała między dokiem a pokładami mieszkalnymi, przewożąc dziesięcioosobowe grupy. Jako pierwsi mieli się zaokrętować azi, zajmując miejsca za kabiną. Potem na pokład mieli wejść Obywatele. Ale Conn wciąż siedział w swojej kwaterze.

Od chwili wejścia w system Gehenny, pokazywał się publicznie bardzo rzadko. Poszczególne sekcje uwijały się, przygotowując plany operacyjne, więc w ogólnym rozgardiaszu nikt nie zauważył absencji gubernatora. Porucznik zwykle grywał w karty z załogą, czasem nawet pozwalał sobie na małego drinka, lecz zdawał się unikać Ady i Boba, najbliższych współpracowników.

- Sądzę - odezwała się Beaumont cicho, by nikt z ekipy rozładunkowej jej nie słyszał - że Jim nie powinien był podejmować się tego zadania. Powinien zabrać się z powrotem na Cyteen, póki jest jeszcze czas i możliwości. Pretekst jest nieistotny, na przykład względy zdrowotne...

Ponieważ zapadła cisza, a Bob nie spieszył się z komentarzem, dodała:

- Powiedział mi kiedyś: „To ty będziesz dzierżyła ster, ja chciałbym tylko jakoś to przetrzymać i w odpowiednim czasie odejść”.

- Kiedyś był inny - odezwał się wreszcie Davies.

- Myślę, że przyczyną jego apatii jest świadomość, że porzuca na zawsze Cyteen i grób Jean. Nigdy nie daje po sobie tego poznać, ale nie może przeboleć jej śmierci.

Bob wcisnął głowę w ramiona.

Z lewego korytarza doszedł ich hałas. To weszła kolejna grupa azich. Zegar odmierzał minuty dzielące ich od rozstania. Bob chwycił rękę żony. Byli ubrani, tak jak pozostali, w kombinezony koloru khaki.

- To zapewne jest powodem jego niechęci do towarzystwa. Dobrze wie, że może wyręczyć się tobą. Ufa ci, bo umiesz pokierować misją. Poza tym jest jeszcze Pete Gallin, on też zna się na rzeczy.

- W ten sposób nie powinno się zaczynać dowodzenia poważną misją!

- Przecież nie można zwalić wszystkiego na barki jednego człowieka.

A na moje można? - Beaumont potrząsnęła z niesmakiem głową.

Długi rząd azich w brudnych kombinezonach, dawniej białych, wchodził na pokład ładownika. Niektórzy wyraźnie powłóczyli nogami, gdyż kilkadziesiąt dni leżenia na pryczach dało o sobie znać odrętwieniem mięśni i odleżynami. W dodatku od tygodni nie puszczano im hipnolaśm.

Pewne właściwości klonów, zwłaszcza ich posłuszeństwo i apatyczne zdyscyplinowanie, były trudne do zaakceptowania, jakby w kontraście do atmosfery odprężenia, o jakie zabiegała załoga. Conn nie lękał się schodzić na pokłady zajmowane przez azich i pewnie nie zgodziłby się z tą opinią, ale teraz przecież rzekł się władzy. Przełał jej część na Adę.

Ona doskonale zdawała sobie sprawę, co stoi za aluzjami czynionymi przez gubernatora. Zbyt długo go znała, wicie lat służyli razem. Pił, czasem bardzo dużo. W tej chwili zapewne też miał w ręce butelkę.

Lecz tym nie podzieliła się z mężem.

## 13.

### 43 dzień lotu. Dziennik pokładowy US *Ryzyko*.

„Ładownik i załadowany. Warunki atmosferyczne na lądowisku doskonałe. Wszystkie parametry w normie. Ładownik 2 przygotowany do lotu...”

## 14.

### 45 dzień lotu. Dolny pokład US *Ryzyko*. Pomieszczenia azich.

- Rejs czternasty - z głośników nieustannie sączył się słodki głosik - obejmuje numery od J 429 687 do .1 891-5567. Rejs piętnasty...

.lin był rozbawiony. Siniął się w duchu, bo rysy twarzy miał jak zwykle nieruchome, gdyż nie były przyzwyczajone do wyrażania stanów emocjonalnych. U azich uczucia przebiegały pomiędzy osobnikiem a hipnotaśmą, między Jinem a owym wewnętrznym głosem, który od dzieciństwa nim kierował, obiecywał mu wciąż

coś od nowa, chwalił, utwierdzał w przekonaniu o własnej wartości. I .lin nic potrzebował nic ponad to uczucie.

Nic musiał niczego po sobie pokazywać, gdyż wszystko rozgrywało się w świecie wewnętrznym, bezpośrednio w nim. Głos mówił tylko do niego.

.lin wstał i razem z innymi ustawił się w szeregu, czekając na kolejny rozkaz. Szereg ruszył. Doszli do drzwi, wyszli na korytarz po raz pierwszy od startu ze Stacji Cyteen i doszli do zimnego pomieszczenia, gdzie czekała na nich winda.

Kabina kursowała bez przerwy, zabierając kolejne grupki azich. Wreszcie znalazł się w miejscu, gdzie nie istniała sztuczna grawitacja wytwarzana przez statek. Unieśli się w powietrzu...

-Trzymać się lin - wykrzyknął jakiś Obywatel.

Zgodnie z poleceniem Jin chwycił za linę obok srebrnej klamry.

A teraz, trzymając się klamer, przesuwasz się do przodu! padła kolejna komenda.

Cały szereg posłusznie wykonał rozkaz. Wpłynęli do ładownika, który miał ich zabrać na nowy świat. Wewnątrz też były liny. Upakowano ich gęsto, jeden przy drugim, w pomieszczeniu z tyłu ładownika. Azich wciąż przybywało, wszyscy mieli na sobie brudne kombinezony.

- Wzmocnić uchwyt! Stopy na podłogę!

Posłusznie wykonywali rozkazy. Załadunek trwał. Byli cierpliwi. Wreszcie luk zamknięto i usłyszeli ostatni rozkaz:

- Trzymać się mocno!

A potem rozległ się głośny wybuch i potężne szarpnięcie rzuciło stateczkiem. Ruszyli. Wzrosło ciężenie, mieli wrażenie, że leżą na podłodze, każdy przygnieciony ciałami towarzyszy. A przecież wciąż stali przy ścianach.

Nikt się odzywał. Nie było to potrzebne.

Hipnotaśmy poinformowały ich dokąd leć i jak długo potrwa ten ostatni rejs. Rozmawiając mogliby nie usłyszeć ważnych instrukcji. Każdy z nich z całego serca wierzył w nowy świat i w siebie. Nieprzyjemne uczucie zwiększonego ciężenia cieszyło .lina -oznaczało, że sjaż prawie u celu.

Rozpoczęło się wejście w atmosferę. Temperatura znacznie wzrosła, czoło miał mokre od piekącego potu. Wróciła grawitacja i rozpoczął się wolniejszy etap lotu. Ładowniki przestawiły się na półciąg. jak zwykle w atmosferze.

- Za kwadrans lądowanie - odezwał się ich opiekun.

Wkrótce odczuli zmianę, rozległ się hałas i poczuli, że ładownik opuszcza się, kołyszac nad lądem niczym huśtawka. Czekali w milczeniu, aż. podniosła się płyta osłaniająca główny luk, którego wcześniej nie zauważyli. Do pomieszczenia wtargnęło oślepiające światło słoneczne. Poczuli zimny powiew.

- Wychodzić szeregiem przez luk na zewnątrz! - zakomenderował opiekun. - Zejdźcie na rampę, a potem przed siebie. Otrzymacie

rzeczy osobiste i dokumenty. Do zobaczenia.

Puścili liny zabezpieczające. Jeden za drugim schodzili na ziemię, w odwrotnym niż na początku porządku. Światło planety przez chwilę poraziło oczy .lina. Zobaczył przed sobą rozległą szarą wstęgę jakiejś rzeki, w górze błękit nieba, a w oddali zieleń lasu nad wydmą brzegu. Żółty brzeg był poorany bliznami po buldożerach.

Płuca wypełniło mu rześkie powietrze. Serce zabiło mocniej.

Wiedział, co teraz powinien zrobić. Taśmy powiedziały mu już wszystko.

Stanął u progu nowego życia. Dotąd nie przeżył nic, co byłoby równie ważne.

## III DESANT

Nowy Port 1 rok e.k.

!&&»

&:

### PERSONEL WOJSKOWY MISJI:

Porucznik James A. Conn, generalny gubernator

Kapitan Ada P. Beaumont, wicegubernator

Major Peter T. Gallin

Sierżant Ilya V. Burdette, korpus inżynieryjny

Kapral Antonia M. Cole

Specjalista Martin H. Anderson

Specjalista Emilie *Konlín*

Specjalista Danton X. Norris

Sierżant Danielle L. Emberton, operacje taktyczne

Specjalista Lewiston W. Rogers

Specjalista Hamill N. Masu

Specjalista Grigori R. Taminin

Sierżant Pavlos D.M. Bilas, szef mechaników

Specjalista Dorothy T. Kyle

Specjalista Egan J. Innis

Specjalista Lucas M. White

Specjalista Eron 678-4578 Miles

Specjalista Upton R. Patrick

Specjalista Gene T. Troyes

Specjalista Tyler W. Hammett

Specjalista Kelley M. Matsuo

Specjalista Belle M. Rider

Specjalista Vela K. James

Specjalista Matthew R. Mayes

Specjalista Adrian C. Potts

Specjalista Vasily C. Orlov

Specjalista Rinata W. Ouarry

Specjalista KitoA.M. Kabir

Specjalista Sita Chamdrus

Sierżant Dinah L. Sigury, szef łączności

Specjalista Yung Kim

Specjalista Lee P. de Witt

Sierżant Thomas W. Oliver, kwatermistrz

Specjalista Nina N. Perry

Specjalista Hayes Branson

Porucznik Romy T. Jones, dowódca komandosów

Sierżant Jan Vandermeer

Szeregowiec Kathryn S. Flanagan

Szeregowiec Vhafles M. Ogden

Sierżant Zell T. Parham, Ochrona  
Kapral Quintan R. Witten  
Kapitan Jessica N. Sedgewick, radca prawny  
Kapitan Bethan M. Dean, chirurg  
Kapitan Ribert T. Hamil, chirurg  
Porucznik Regan T. Chiles, informatyk

PERSONEL CYWILNY MISJI: Kierownictwo- 12 Lekarz - 1 Sanitariusze - 7  
Mechanicy - 20 Bezpieczeństwo - 12 Informatycy - 6 Archiwum - 1 Rolnictwo - 20  
Geologia - 5 Meteorologia -1 Biologia - 6 Oświata - 5 Kartografia - 1 Bioinżynieria - 4  
Technologia żywności - 10 Budownictwo - 150 Przemysł- 15 Górnictwo - 2 Energetyka  
- 8

Razem personelu wojskowego 45 Razem personelu cywilnego 296 Sztab cywilny 341  
Członkowie załogi poza przydziałem 111 Łączna liczba Obywateli 452  
PERSONEL POMOCNICZY MISJI:

Klasa Alfa 2890  
Klasa Beta 12389  
Klasa M 4566  
Klasa P 20788  
Klasa V 1278  
Razem azich 41911

Ogólna liczba zaokrętowanych 42363  
Stosunek mężczyzn do kobiet, w procentach 55/45

## 1.

### **Dzień 3 ery kolonialnej. Nowy Port w systemie Gehenna.**

Kłapa uniosła się, podjechała ruchoma rampa.

Conn rozejrzał się. Ujrzał nagą ziemię, długie rzędy dwuosobowych namiotów, wieżę energetyczną błyskającą bateriami słonecznymi. W oddali płynęła rzeka, po lewej stronie szumiało morze.

W górze rzeki dostrzegł zamglone, porośnięte lasem wzgórza. Conn rozpoznał to miejsce, gdyż wielokrotnie widział je na zdjęciach. Wciągnął rozgrzane powietrze, przesycone osobliwym, obcym zapachem. Czuł przyciąganie planety, mile po przeciążeniach lotu z orbity. Było inne od tego, do którego przywykł na Cyteen.

Czuł bliski wybuch paniki, ale postanowił się trzymać. Jego sztab oczekiwał go przy brzegu rampy.

Zszedł niżej. Miał na sobie cywilne ubranie. Ścisnął dłoń Ady Beaumont, Boba Daviesa i Petera Gallina. Był zszokowany zmianą na ich obliczach: włosy przygolone do gołej skóry, żadnego zarostu...

- Nie pytaliście mnie o pozwolenie, a ja nie wydałem żadnego rozkazu - zwrócił się do Beaumont. Był wściekły. Wydało mu się, że pozostali przybyli tu jedynie w roli świadków jego ataku złości. r Co tu się dzieje!?

- Sądziłam, że to właściwe posunięcie - ponurym głosem odezwała się Ada. -Tu się piekielnie kurzy.

Ogarnął ich jednym spojrzeniem, przekonując się, że wyglądają jednakowo. Demokracja a la Beaumont. Styl a la Beaumont. Wszyscy oficerowie, niczym azi, zostali pozbawieni indywidualnych cech i patrzyli nań teraz wyczekująco.

- Problemy?

Nie, to wyłącznie mój pomysł. Wydawało mi się, że w bazie zaczynają bjać górę różne indywidualizmy, co jest niezgodne z regulaminem. Proszę o wybaczenie, sir.

Wystąpiła przeciwko niemu jawnie, przed całym sztabem. Musiał wziąć się w garść.

- Wydaje się. biorąc pod uwagę okoliczności, że nie był to zły pomysł.

Spojrzał za siebie, by przyjrzeć się rozładunkowi. Ładownik przywiózł jego osobiste rzeczy i kilku techników. Potem popatrzył w stronę gór, ponad wydmowym krajobrazem. Wały wznosiły się na przeciwległym brzegu rzeki. Wskazał je ręką.

- Domy sąsiadów?
- Tak, sir. To budowle Kalibanów.

Wyteżył wzrok. Bardzo by chciał, by nikt nie zamieszkiwał tych zwalistych budowli. Badawczo zlustrował obóz. Namioty ciągnęły się długimi rzędami. Azi, czterdzieści tysięcy azich - miasto z plastiku i kurzu.

Buldożery pracowały bez wytchnienia, wyjąc, szarpiąc ziemię. W centrum miasta wznosiły się długie mury.

- Co to za instalacje?

Elektrownia. Uruchomiliśmy ją dosłownie przed pół godziną. Wreszcie nie jesteśmy uzależnieni od generatorów. Musimy zająć się powołaniem zarządu Kompanii Energetycznej, bo wkrótce oddamy do użytku drugą sieć i będziemy mieli nadwyżki energii - wyjaśniła Ada. - Na ciepłą wodę przyjdzie jeszcze trochę poczekać, ale sekcja aprowizacji jest zadowolona. Mają wszystko, czego potrzebują.

Conn w towarzystwie sztabu ruszył w stronę obozu. Robotnikom polecił przeniesienie swojego osobistego bagażu. Przy okazji powiedział kilka ciepłych słów pochwały azim zgromadzonym przy transporterze.

Zdecydował, że chwilowo nie będzie potrzebował środka transportu. Chłonał obce zapachy, kurz, nieznaną aromatem bliskiego morza. Pod pewnymi względami było tu trochę podobieństw do Cyteen, lecz nie potrafił na razie powiedzieć o tej planecie - moja. Miał wrażenie, że przyroda odpycha go, że jest tu zbędny, obcy. Wszystko było nierzeczywiste.

Otrząsnął się z przygnębiających myśli. Rozejrzał się w poszukiwaniu jakichś egzemplarzy miejscowej fauny i flory, chcąc choć w ten sposób poczuć obcość tego świata. Niestety, koparki i buldożery wszystko stratowały. W polu widzenia miał tylko namioty azich, ustawione w nienagannym porządku.

Ze środka przyszłego miasta dochodził ryk buldożerów, obok wznosiły się przezroczyste kopuły, tworząc białą plamę w monotonnym krajobrazie. Trwała tu nieprzerwana praca od sześćdziesięciu trzech godzin.

- Wykonaliście kawał dobrej roboty - pochwalił Adę Beaumont głośno, żeby wszyscy go słyszeli. Właśnie był czas na rehabilitację. Musiał to zrobić, by zatrzeć zgrzyt ze sceny powitania. - Bardzo dobra robota.

Dziękuję, sir.

Widział, że mimo to mają się na baczności. Wszyscy.

Obejrzał się za siebie na orszak złożony z kierowników sekcji, brnący przez kurz i piasek. W międzyczasie dołączyło do nich kilka osób z centrum obozowiska.

- Chciałbym coś z wami omówić - zwrócił się do nich. - Jak dotąd wszystko będzie zgodnie z przygotowanymi planami, prawda? Sądzę, że prowadzenie budów jest ważniejsze od formalnych spotkań, dlatego zebrania przenoszę na później. Lepiej zapewnić sobie dach nad głową, a nie tracić czas na zebrania.

Usłyszał potwierdzające szmery. Wkrótce zaczęli go kolejno przeproszać i opuszczać, udając się do swoich obowiązków.

- Chętnie obejrzę swoją kwaterę. Jestem zmęczony.
- Oczywiście, sir - odrzekła Ada. Proszę tędy. Przygotowaliśmy ją na miarę dzisiejszych możliwości.

Był jej za to wdzięczny. Wyprostował się, gdyż zaczęły go boleć ramiona. Ada, Pete i Bob towarzyszyli mu do kwatery.

Beaumont otworzyła wycięte ze styropianu drzwi, prowadzące do małej, zaopatrzonej w okrągłe plastikowe okno kopuły, doczepionej do innej, większej. W środku stało solidne, pościelone łóżko, przy oknie biurko, a za dywan służył kawałek płóciennego opakowania.

- Nieźle - ucieszył się gospodarz. - Wygląda całkiem przyzwoicie.

Gdy zbierali się do wyjścia, rzucił przez ramię:

- Kapitanie, czy mogę z panią porozmawiać w cztery oczy?
- Oczywiście, sir.

Została. Obaj mężczyźni dyskretnie się wycofali, a technik, który przywiózł bagaże, zostawił je obok drzwi.



- Myślę - odezwał się pierwszy - że coś tu nie gra i ma związek z moim dłuższym pobytem na okręcie.

Rozumiem, że musiałeś tam zostać ze względów proceduralnych, wymagających, by dowódca zszedł z pokładu jako ostatni...

- Nie wykręcaj się!

- Miałam tu kilka problemów.

- W porządku. Miałas problemy - zaczerpnął głęboki haust powietrza i splótł ręce na karku. -

Rozmawiamy poważnie. Sądziłem, że poradzisz sobie z lądowaniem, rozładunkiem i rozbiciem obozu. Jestem spięty, Ada. Sądzę, że to tylko chwilowy stres, ale zaczął mnie męczyć artretyzm. Kręci mnie w stawach!

- Przypuszczam, że możesz mieć jakieś problemy z kuracją od mładzającą?

-Nie wiem, ale połykam więcej leków niż kiedykolwiek. Może to zdenerwowanie misją, w stresie zużywa się więcej prochów... Myślałem, żeby wrócić na Cyteen, tłumacząc się pogarszającym się stanem zdrowia. Jeszcze nigdy nie leciałem w tak głęboki kosmos.

- Jeżeli zdrowie...

- Posłuchaj mnie! Opowiem ci o moich planach. W tej chwili zamierzam wybrać jakiś oddział i przeskoczyć go. Za parę tygodni wrócę i usunę się w cień, ewentualnie zadowolę się stanowiskiem jakiegoś doradcy...

-Sir...

- Nie przerywaj mi! Nie tutaj i nie teraz! Chcę ci właśnie powiedzieć, że utraciłem przekonanie co do sensu prowadzenia (ej misji. To dlatego zdublowano kilka stanowisk. Prawdziwym gubernatorem będziesz ty. I nie ja cię nim mianuję, ale decyzja zapadła jeszcze przed startem. Ja mam być jedynie ekspertem. Nic poza tym.

- Jeżeli nalegasz...

Muszę po prostu odzyskać spokój ducha. Nie po to przyjąłem to wyzwanie, ale sytuacja mnie zmusza, żebym ustąpił wcześniej, niż planowano.

- *Rzyka* wciąż czeka...

-Nie!

- A zatem zatroszczę się o wszystko - wsadziła dłonie do kieszeni i rzuciła mu bezbarwne spojrzenie. - Myślę, że... przepraszam... pod pewnym względem to dobry pomysł, by podzielić oddział i ułatwić ci przejście...

- Boli cię to?

- Jim...

- Mniejsza z tym. Doszłaś już do momentu, gdy zaczynasz wprowadzać własne zasady postępowania. To w porządku.

Sztab był zdziwiony twoją nieobecnością. Gdybyś przedstawił im stan swego zdrowia i porozmawiał z nimi otwarcie, stałbyś się osobą szczególnie poważaną. Ucieszyliby się wiedząc, że nie zignorowałeś ich spraw i wysiłków. Z pewnością zrozumieją twoje pobudki. Zawsze lepiej dla ekipy, że chodzi tu o zdrowie, a nie osobiste niesnaski.

- Głośno o tym mówią?

- Nie wszyscy się orientują, ale część coś przeczuwa. Są zdenerwowani, że w dowództwie coś szwankuje. Można zauważyć pewne napięcie pomiędzy...

- ...wojskowymi a cywilami?

^ Nie. Między dołem a górą. Znacząca różnica. Podrapała się w miejscu na czaszce, gdzie zostawiła wążutkie pasemko włosów. Ponownie wsadziła ręce do kieszeni.

- Dzięki ogoleniu głów zlikwidowaliśmy jedną z przyczyn napięcia, może główną. Ludzie męczą się, a to sprzyja irytacji. Dlatego załatwiłam całą sprawę od ręki. Inni ze sztabu poszli za moim przykładem. Nie wiem, czy to dobrze...

- Jeśli dzięki temu zlikwidowałaś przyczynę niezadowolenia, postąpiłaś słusznie. Porozmawiam z oficerami. Może wytłumaczę im to w inny sposób.

- Tak, sir - potwierdziła spokojnie i powoli.

- Moja droga, twój szacunek oraz subordynacja wpędzą mnie do grobu, choć bardzo chciałbym jeszcze pożyć. Mogłabyś nieco spuścić z tonu? Nie stoję jeszcze nad grobem.

- Spodziewałam się tego i liczyłam, że jednak będziesz wydawał rozkazy. Tymczasem widzę, że podpierasz się mną jak kulawy kulą.

- O, teraz znowu mi się podobasz. Będziesz bardzo urodziwym gubernatorem. I myślę, że to stanowisko cię uszczęśliwi.

Przez chwilę milczała.

Uważam, że ta rozmowa powinna pozostać między nami. To sprawa między przyjaciółmi. I w ten sposób potraktuję swoje zadanie.

- OK, chcę teraz odpocząć. Dobrze - podeszła do drzwi. Przystanęła w nich i odwróciła się: - Muszę cię przestrzec - drzwi należy dokładnie zamykać, gdyż jaszczurki odkryły już obóz i wciskają się wszystkimi otworami. Nie zapomnij o oknie, szczególnie gdy zapalisz światło. Strzeżemy się, ale parę okazji się przedostało. W szybkim czasie przybierze to rozmiary prawdziwej plagi.

Kiwnął twierdząco głową, był jednak już zajęty swoimi myślami.

- Sir wyprężyła się i zasalutowała.

Znikła, zamykając za sobą drzwi, a Conn wyciągnął się na łóżku. Na zewnątrz wyły maszyny, dolatywały go krzyki ludzi. Lecz powoli schodziło to na plan dalszy... Historia z artretyzmem była prawdziwa. Czuł przykre darcie mięśni, ból stawów. Zachciało mu się pić. Próbował oddalić od siebie wizję drinka... Nie chciał pić, bo w każdej chwili mógł ktoś wejść. Musiał opanować swój strach i chęć ucieczki na okręt. Musi tu zostać, aż *Ryzyko* odleci.

Nigdy jeszcze nie zdarzyło mu się, żeby wziął nogi za pas i zdezerterował. Nic zrobi tego i tym razem, choć miała to być jego ostatnia i najtrudniejsza walka.

## 2.

### Trzeci dzień po wylądowaniu.

Tego samego wieczoru (znowu musieli przyzwyczać się do podziału na dnie i noce, jądania posiłków o określonych porach, budzenia się o wschodzie słońca, spania po zachodzie), przy kolacji z członkami sztabu, Conn poinformował zebranych o zmianach **personalnych**.

- Właściwie nie jest zle. że potrzebujemy jakiegoś kierownictwa, które nie opierałoby się na systemie wojskowym. Kwatera Główna Unii i Biuro Kolonialne postanowiły pozostawić wam, jaki rodzaj władzy przyjmiecie na Gehennie: wojskowy czy cywilny. Widzę, że zdążyliście już wyrobić sobie koncepcję rządów opartych na równości i doradztwie. Wszystkie sekcje naukowe będą tworzyły jedno ciało doradcze, któremu będą przewodniczyć kapitan Beaumont i ja, o ile będziemy obecni. Peter Gallin przejmie funkcję zastępcy przewodniczącego. Co do pozostałych, to razem postanowimy o przydzieleniu im odpowiednich do umiejętności i wiedzy rang i stanowisk.

Przerwał i rozejrzał się po twarzach zebranych przy stole ludzi. Wszystkie wydawały się zmęczone i zestresowane. Spojrzał na Bilasa, którego głowa była obandażowana. Bilas, miał pan jakiś wypadek?

- Kamień, sir, w czasie prac budowlanych.

-Ach...

Conn dalej lustrował twarze, świecące łysiny, oficerów i cywili. Patrzył i odruchowo pogładził swoje rzędzące włosy - teraz już siwiejące - skutek kuracji odmładzającej.

- Wiecie co? Chyba też się ogole, choć niewiele pracy zostało dla fryzjera...

Nerwowy śmiech przebiegł przez salę i szybko zgasł. Widział, jak napięta i nerwowa jest atmosfera. Postanowił odwrócić ich uwagę.

- W wielu miejscach zainstalowaliśmy już energię elektryczną. Prądu wystarczy do gotowania posiłków i uruchomienia chłodni. Teren obozu został uporządkowany, wszyscy mamy jakiś dach nad głową. Nie przesadzę mówiąc, że w ciągu trzech dni wykonaliście pracę, na jaką nasi przodkowie potrzebowali siedem tysięcy lat.

Nie bardzo był pewien tych tysiącleci, dawno temu czytał jakąś książkę o rozwoju cywilizacji. Zyskał jednak tyle, że na czas pochwały ich twarze wyrażały skupienie i koncentrację na jego słowach.

- To naprawdę dobry wynik. A teraz mamy wystarczającą wymówkę, by nieco zwolnić tempo robót. Nie zaprzestaniemy pracy, ale będziemy pracować już spokojniej. Dopóki istnieje motywacja, dopóki jest energia, dopóki będziemy tęsknili do ciepłej wody w prysznicach, tak długo będziemy pracować. Pozostaje kwestia rezerwatów. Kiedy zaczniemy realizować ten plan?

- Mam zamiar - odezwała się Beaumont - zbudować do jutra przyzwoite domy dla załogi, nawet jeśli wiązałoby się to z ciężką harówką. Potrzebujemy bezpiecznego schronienia na wypadek burz czy deszczu. Trzeba też rozpocząć budowę drogi przez osiedle azich. aby w razie czego móc im pomóc. Mam też nadzieję, że w ciągu trzech najbliższych dni uporamy się z zasiewami i zdołamy zakończyć prace instalacyjne u azich.

- Pięknie - skinął głową Conn - w ten sposób nawet przekroczymy plan.
- Wszystko zależy od pogody.
- Co...

- Auu! krzyknął nagle ktoś na końcu stołu i wyskoczył z krzesła.

Pozostali natychmiast wstali i podbiegli do niego. Rozległ się czyjś nerwowy śmiech. Ktoś wlał pod stół i po chwili wynurzył się, trzymając w ręku prawie metrową jaszczurkę.

Conn spoglądał na wszystkich ze spokojem. Widział wyginającego się gada, grymas obrzydzenia na wielu twarzach. Człowiekiem, który zdobył się na odwagę i trzymał stworzenie był Gutierrez z sekcji biologicznej.

Tubylec!' - zapytał ciekawie.

- Tak, sir. To Ariel. Jest bardzo zwinny. Prawdopodobnie wśli znął się przez niedomknięte drzwi - położył jaszczurkę na stole. Leżała nieruchomo, zielona, pokryta drobnymi łuskami.

Te stwory powinny jadać raczej samotnie. Wyniesie ją pan, prawda!'

Biolog ponownie chwycił gada, wyszedł, położył go na piachu i pozwolił zniknąć w ciemnościach.

- To zdarzyło się już kilka razy - odezwał się Bilas.

Conn poczuł się nieswojo, myśląc o uporczywości tubylczej fauny. Wrócił Gutierrez. Zajął swoje miejsce, dając przykład pozostałym. Czy są inne jaszczury tej wielkości? - zapytał go Conn.

- Nie, tylko Ariele. Wciąż pchają się do namiotów i baraków, jedyny sposób na pozbycie się ich, to wyrzucenie. Dotąd nikt nie został ranny.

- Chyba będziemy musieli się nauczyć z nimi żyć - powiedział gu bernator. Czuł się roztrzęsiony, usiadł na krześle. - Mamy jeszcze kilka spraw do załatwienia. Okrety, które nas tu przywiozły, od kilku godzin są już w drodze powrotnej. Zobaczymy je najwcześniej za trzy lata. Dowiozą wówczas wyposażenie do laboratoriów, gabinetów porodowych i techników od genetyki. Aż do tego czasu musimy czekać na rozwój nowego życia. Po ich przybyciu oraz zamontowaniu urządzeń inkubacyjnych w ciągu dziewięciu miesięcy kolonia powiększy się o około tysiąc dzieci. Tymczasem musimy się jednak liczyć z samorzutną rozrodczością azich, którzy przecież nic nie wiedzą o pielęgnacji nowopodków. Trzeba sobie poradzić z tym problemem, przygotować dokumentację. Trzeba przygotować też model oświaty. Musimy przewidzieć wszystkie przyszłe problemy, by nagle nie obudzić się nie przygotowanym w obozie pełnym biegających dzieciaków. Trzy lata to mało czasu, zanim statki powrócą, narodziny staną się faktem. Jestem pewny, że już nad tym dyskutowaliście...

Usłyszał nerwowy chichot.

- Mam taką nadzieję, że wszystko pójdzie dobrze. Ciężko pracujemy. Siedem tysięcy w trzy dni to przecież niezłe osiągnięcie. A w następne dni odrobimy następne milenia. Zanim wrócą statki, stworzymy całkiem nową cywilizację. To wszystko, co dzisiaj mam do powiedzenia.

Ktoś uniósł szklankę. Ilya Burdette wznosił toast.

- Za porucznika!

Podniosły się następne szklanki. Wszyscy wychylili je do dna.

- Za kapitana!

Napełniono i ponownie opróżniono szklaneczki. Wreszcie pojawiły się jakieś normalne objawy życia. Rozległ się szmer rozmów. Pojawiła się iskierka optymizmu.

- A co z piwem? - krzyknął ktoś. - Jak długo będziemy czekać na własne piwo?

Zmęczone twarze wykrzywił żalostny grymas.

• Spece od rolnictwa nakreślili już wytyczne ~ odpowiedział jakiś cywil. - Jeśli przygotujecie pola, zasiejemy chmiel i uwarzymy piwo.

• Za piwo!

Wszyscy podchwycili toast. Conn zaczął się śmiać, inni mu zawtórowali.

- Za cywilizację!

Ponownie opróżniono szklanki. Zmęczenie nie pozwoliło im na jakąkolwiek inną pracę.

## **Dziennik pokładowy US *Ryzyko*.**

Odlot z systemu Gehenny rozpoczęto w 1312 godzinie i 17 minucie czasu trwania misji. Wszystkie systemy sprawne. US *Chyży* i US *Zdolny* lecą w szyku w godzinnych odstępach. Ostatnie połączenie z Nowym Portem: Warunki atmosferyczne dobre. Plan realizowany z wyprzedzeniem. Przepuszczalny czas przybycia do Stacji Cyteen - 1020 godzin.

## **4.**

### **Siódmy dzień po wylądowaniu.**

Jin wyszedł, gdy długi rząd azich zbliżył się do zaimprovizowanego stołu, który opiekun rozstawił pomiędzy namiotami. Poranki bywały chłodne, więc na biały kombinezon narzucił kurtkę. Powietrze było rześkie, przyjemne, niczym na planecie, którą opuścił. Gdyby nie wszechobecny kurz, można byłoby powiedzieć, że znowu są czyści.

Zajmowali się układaniem rur i budową przepompowni, która miała dostarczać do obozu bieżącą wodę. Była to świetna okazja do skorzystania z prysznica - stając pod uniesioną rurą z wodą. Była zimna i nie mieli mydła, ale i tak poczuł się wspaniale. Powiedziano im, że mogą się kąpać, kiedy tylko będą mieli wolny czas, bo wody jest pod dostatkiem.

Dostali maszynki do golenia, używali ich jednak tylko do usuwania zarostu - brwi i włosy mogły już rosnąć bez ograniczeń. Twarze zaczęły być rozpoznawalne.

Chociaż nie miał lusterka, wiedział, że włosy mu odrosły. Czuł je pod palcami. Poza tym widział w obozie jedno ze swojego rodzeństwa. Nie musiał więc mieć lustra, bo widział swoje lustrzane odbicie w innej osobie. Był przekonany, że teraz wygląda dużo lepiej niż w czasie lotu.

Drżał ze zdenerwowania. Niepewność kazała mu wstać od stołu i dołączyć do szeregu, w którym stał już dzisiaj rano. Coś mu podpowiadało, że ten podział będzie już ostateczny. Wszystko działo się bardzo szybko.

Opiekun z przenośnym komputerem wpisywał do pamięci podawane mu numery, a komputer dokonywał podziału na oddziały i grupy. Kilku azich odprowadzono na stronę i kazano czekać. Większość przechodziła jednak nie zaczepona, na przykład azi stojący przed .linem.

- Następny - odezwał się opiekun.
- J 458-9998 - powiedział, widząc, jak mężczyzna przebiera palcami po klawiaturze.  
~ Przydzielona towarzyszką?  
- I> 86-678.

Człowiek popatrzył na niego, .lin nie mógł dostrzec ekranu i wiadomości, jakie pokazał komputer. W pamięci maszyny tkwiło całe jego życie, wszystkie czyny, błędy i pochwały, kim był i co z nim zamierzano począć. Opiekun wypisał coś na kawałku plastiku i wręczył .linowi.

- Potwierdzono. Namiot 907, rząd piąty. Idź.

Swoje dane podawał już następny azi.

.lin skierował się w stronę namiotów. W rękach ścisnął cały swój dobytek: maszynka do golenia, pasta do zębów, ręcznik. To było wszystko, co posiadał.

Droga do 5-907 była daleka. Mijał namioty, ciągnące się w tumanach kurzu długimi rzędami. Nielatwo było przeczytać blaszane tabliczki z numerami. Piasek zawiewał oczy.

Przed nim kroczyli inni azi, też ścisnąjący w rękach swój dobytek, podążający do przydzielonych im siedzib. Na wschodzie nisko wisiało słońce. W piasku widać było liczne ślady Arieli.

Jedno z tych stworzeń pełzło powoli wzdłuż drogi, za nic mając nieznaną przybyszów. Zatrzymało się przed płóciennym namiotem, nie zwracając uwagi na jego mieszkańców, którzy właśnie stanęli w wejściu.

Przed nimi wznosiło się dwadzieścia tysięcy kopuł przygotowanych przez obywateli na mieszkania dla ich pomocników. Jin pomagał rozstawiać namioty, dlatego nieźle orientował się w ich układzie. Nie powinien mieć trudności z odnalezieniem własnego domu. Stał nu skrzyżowaniu, na

którym koncentrował się ruch pomiędzy kwartałami. Wielka połać równiny zastawiona namiotami, poprzecinana drogami, sprawiała wrażenie miasta.

Czterdzieści tysięcy azich.

Wszyscy rozmieszczeni w tysiącach prowizorycznych domów. Mijał numery 901,903.905. aż doszedł do 907. Namiot jak wiele innych, niczym się nie wyróżniający. Obszedł swoją nową siedzibę, gdy usłyszał, że ktoś jest w środku.

Uniósł klapę wejściową. Rzucił zawiniątko na wolną pryczę. Na sąsiedniej siedziała ze skrzyżowanymi nogami Pia. patrząc się na Jina. Usiadł naprzeciw niej oświetlony przez pas światła padający przez uchyloną klapę. Nic nie powiedział, bo nic odpowiedniego nie przyszło mu do głowy. Był podniecony. Po raz pierwszy byli sami, bez towarzystwa. To, co mieli po raz pierwszy zrobić, zostało zastrzeżone na noc. po skończonej pracy. Tak nakazała im taśma.

Jej także odrosły już włosy, była brunetką. Brązowe oczy obrzuciły go uważnym spojrzeniem.

- Wyszczuplałeś - przerwała milczenie.
- Tak. I ty także. Bardzo chciałem mieć cię przy sobie w czasie lotu.
- Taśma poleciła mi, żebyś podała imię tego, który mi się podoba. Wspomniałam o Talu 23. ale wtedy zapytała mnie o .lina 9998, specjalnie o ciebie. Nie myślałam o tobie, ale taśma mi podpowiedziała, że ty mnie wybrałeś.

- Tak.
- Teraz sobie myślę, że postąpiłam nierozsądnie. Powinnam była od razu podać im twoje imię. Nie mogłabym żyć z nikim innym. Mam nadzieję, że nie masz mi za złe?

- Nie. Czuję się świetnie.

Popatrzył na nią. Przeniósł wzrok na jej kolana, potem na ramiona, aż wreszcie ich spojrzenia się spotkały. Przypomniał sobie, czego oczekiwano po nich dzisiejszej nocy.

Wielokrotnie widział, jak robi to na łące bydło. Kiedyś podejrzwał Obywateli baraszkujących w delikatnej pościeli na wygodnym łożu. Od dawna wiedział, że takie postępowanie kończyło się przyjęciem na świat potomstwa. Nie znał jednak ani jednego aziego, który mógłby pochwalić się praktyką. Taśmy dawały pewne wyobrażenie doznań tego typu, ale co innego robić to w praktyce. - Uprawiałaś już kiedyś seks? - zapytał.

- Nie. A ty?

- Też nie. - A ponieważ był 9998 i ufał swojemu rozsądkowi, zapytał: - Czy potrafimy?

Wyjął ręce z kieszeni, przetarł spocone czoło.

Pia położyła swoją dłoń na jego. Była całkiem inna. delikatna, filigranowa, żywa. Wzruszała go w sposób, którego nie znał z taśm. Obleciał go nagle strach. Pozwolił opaść jej ręce na kolana.

- Musimy z tym poczekać do nocy.

- Tak.

Zgoda dziewczyny wcale go nie tispokoila. Jej oczy były zamglone i ciemne.

Czuję się tak, jak zapowiadały to taśmy, ale wcale nie jestem przekonany, czy to właściwe.

Nagle rozległ się głos wzywający azich do pracy. Pia spojrzała na niego z pytaniem w oczach.

t Musimy iść - odparł.

- Gdzie pracujesz?

- W polu. Pomagam inżynierom w pomiarach.

- Mnie przydzielono do sekcji rolnictwa. Pracujemy przy zasiewach.

Przytaknął ze zrozumieniem. Przypomniał sobie wezwanie. Pospiesznie wstał i wyszedł na zewnątrz. Pia podążyła za nim.

- 5-907 - odezwała się na pożegnanie, jakby chcąc mu przy  
pomnieć.

Rozeszli się, każde do swoich obowiązków. Był zupełnie zbity z tropu, nie tyle z powodu niepewności, co wrażen i wielkiej liczby zmian w jego otoczeniu. W dodatku czekała go noc, seks i kolejne nowe przeżycia. Czy właśnie tak powinien to odczuwać? Powinien zapytać swego opiekuna, ale nie wiedział, gdzie go znaleźć. Kiedyś, dawno temu, po prostu z nim siadał i zadawał pytania, które go nękały. Teraz jednak opiekunowie byli zapracowani i rozdrażnieni.

Miał nadzieję, że jeszcze będzie mógł wysłuchać taśmy, co pomoże mu dojść do ładu z tyloma problemami. Chciał usłyszeć jasne instrukcje, co powinien zrobić wieczorem. Wszystko powinno się odbywać według planu - na przykład Obywatele, mimo swojej niecierpliwości i popędliwości, przekroczyli już znacznie plan budowy Nowego Portu. I nawet mają czas, by niekiedy pochwalić azich, że są z nich zadowoleni.

Jin czuł się w swoim żywiole. Lubi! swoją pracę. Wszystko starał się wypełniać sumiennie, a gdy usłyszał pochwałę od opiekuna, był bardzo z siebie dumny.

- Powoli, nie spiesz się - przestrzegał go człowiek, gdy wi  
dział, że biegnie gdzieś przed siebie. - Nie musisz się aż tak spie  
szyć. Spokojnie.

Jednak Jin widział, że człowiek jest z niego zadowolony.

Azi chętnie oddałby swoje życie w ofierze, byle dalej móc pracować z ludźmi w polu. Rosła w  
nim pewność, że w ten sposób upodabnia się do Obywateli i dlatego starał się ich naśladować we  
wszystkim.

Przecież taśmy obiecały mu, że wkrótce nie będzie go można odróżnić od prawdziwego  
człowieka.

## 5.

### 32 dzień ery kolonialnej.

Gutienez stał na zboczu. Pochylił się, by zbadać mur, który wyrósł na brzegu rzeki. Eva Jenks z  
sekcji biologicznej przykucnęła obok. Towarzyszył im ochroniarz z odbezpieczoną bronią. Norris z  
sekcji inżynierskiej zbiegł w dół zbocza i dołączył do badaczy. W ręku także miał broń.

Bez dwóch zdań był to nowy mur, w /niesiony ostatniej nocy po ich stronie rzeki. Stare budowle  
leżały oddalone o pół kilometra, dokładnie wzdłuż rzeki, którą nazwali Styks.

Miał to być zwykły żart, podobnie jak z nazwą planety i całego systemu. Gehenna wydawało się  
odpowiednią nazwą dla miejsca, gdzie kurz jest wszędzie, a warunki życiowe nie odbiegają od at-  
mosfery przedśionka piekieł.

Styks także nie był tylko płodem czyjejs zorientowanej w mitologii wyobraźni. Różowoczerwony  
kolor rzeki upoważniał do takich skojarzeń, poza tym ta potoczna nazwa brzmiała lepiej, niż Czerwona  
Rzeka, jak nazwano ją na oficjalnych mapach.

Żyli w świecie ocierającym się o mity. Styks, Gehenna i Kalibany.

Wszystko byłoby w najlepszym porządku, gdyby nie wydarzenia ostatniej nocy. Kalibany  
przekroczyły bowiem umowną granicę rzeki.

- Chętnie wykonałabym zdjęcie lotnicze lej okolicy - powiedziała Jenks. - Wygląda na to, że po  
obu stronach Styksu chcą mieć podobne ukształtowanie terenu.

- A może ma to coś wspólnego z rzeką lub porą roku? - zastanawiał się głośno Gutierrez. - Nie  
wiemy, po co w ogóle wznoszą te budowle.

- Może służyć do orientacji względem pola magnetycznego?

- Może.

- Nie wolno nam dopuścić, aby zaczęły drążyć w naszych polach uprawnych. Nie mówiąc o tym.  
że ten teren też już ma swoje

przeznaczenie w naszych planach. W przyszłości mają tu powstać domy -- denerwował się Norris. -

Trzeba stworzyć jakiś rodzaj bariery, której Kaiibany nie będą mogły przekroczyć. Należy leż poznać  
głębokość tych fundamentów. Ale najpierw lepiej trochę je poobserwować, a dopiero potem  
przepędzić.

- Myślę, że musimy wybić im ze łbów pomysł dalszego budowania tutaj - dodał Gutierrez. choć  
podobny pomysł napawał go odrazą.

- Ten wał nie wydaje mi się równie solidny, co te z rezerwatu

- odezwała się Jenks. Na pewno nie wzniesli tego wału bez przy  
czyny.

- Ach te wasze rezerwaty - ironicznie uśmiechnął się Norris.

- A czy poinformowaliście o ich granicach Kaiibany?

- Nie ustąpimy w tej sprawie nawet o cal - ostro wtrącił

Gutierrez. - To sprawa o fundamentalnej wadze.

- r A zatem odezwał się Ogden z ochrony - musimy zawrócić je za rzekę.

- Proszę spojrzeć - odezwał się Norris i pokazał w dół zbocza.

Możemy postawić ogrodzenie, a jeśli zechcąje podkopać, natych  
miast to zauważymy. Nie będą raczej kopać poniżej lustra wody.

- Ale przecież mają skrzela?

- Owszem, ale wątpię by mogły dzięki nim wytrzymać długo w zalanej wodą podziemnym  
tunelu. - Norris spojrział na słońce i przez chwilę nad czymś myślał. - A jeśli ujrzemy stado Kalibanów

po naszej stronie, suchych, jakby nie kopały pod wodą, to co wtedy? Do licha, jaką funkcję pełnią te wały. skoro budują je w tak szalonym tempie i pomimo oczywistych trudności?

- Sądę odparł zamyślony Gutierrez - że te wały mają coś wspólnego z potomstwem. Przecież Kaiibany składają jaja... może wały to rodzaj inkubatorów, zaopatrzonych w wymyślny system wentylatorów. Tak robią niektóre gatunki robaków. Mam wrażenie, że gdybyśmy przyłożyli się do sprawy i zbadali te wały. to natrafilibyśmy na wielką wylęgarnię.

- Wobec tego rzućmy na to okiem od razu - zaproponowała Jenks.

Gutierrez podniósł się, otrząsał spodnie i poczekał na uzbrojonych towarzyszy. Po chwili wdrapywali się na pagórek, który równały właśnie buldożery. Zbliżyli się do wału, przekroczyli porośniętą trawą kawałek ziemi odgradzający ich pola uprawne od budowli Kalibanów. Gdy od wału byli oddaleni zaledwie o kilka metrów, w hałdach darni zauważyli jakieś poruszenie.

Jakieś stworzenie uniosło się z ziemi na wysokość trzech metrów. Stanęli jak wryci, wpatrując się w brudnoszary kształt. Ogden odbezpieczył broń.

- Nie strzelać - wyszeptał! Gutierrez. - Nie może się pan powstrzymać przed naciśnięciem spustu? Proszę stać nieruchomo. Nie wiemy, z jakiej odległości Kalibany widzą wyraźnie. Lepiej poczekać, aż on sami podejmie jakieś kroki. Prawdopodobnie jest równie ciekawski co Ariele.

- Potworny stwór - skrzywił się Norris.

Z pewnością miał rację. Ariele miały w sobie jakiś urok. Poruszały się lekko i zwinnie, powiewały wyrostkami, czyściły się niczym ptaki. Tymczasem Kaliban przykucnął na szczycie budowli, napuszył się i wysunął do przodu potężny, twardy dziób. Szare ciało miał pokryte zaschniętym, popękany błotem.

- Ta postawa świadczy o agresywności - odezwała się Jenks. - Ale choć wierci się i przestępuje z łapy na łapę, nie robi w naszą stronę kroków.

- O Boże - jęknął Ogden. - Jeśli zechcą kiedyś przejść przez nasz obóz, to będą potrzebowały sporo miejsca.

- Żywią się rybami - wtrącił Gutierrez - więc wątpię, czy zamierzają się oddalać od rzeki.

Jenks poczuła się w obowiązku to wyjaśnić ochroniarzowi. Czyli będziemy w znacznie większym niebezpieczeństwie, znajdując się pomiędzy wałem a rzeką. Wówczas mógłby nas zaatakować albo schronić się w wałach bądź w rzece.

- Proszę pozostać w miejscu - ostrzegł ich Gutierrez i zrobił krok do przodu.

- Sir - odezwał się Ogden, widząc, na co się zanoszą. - Wszyscy oczekują, że wrócimy do bazy z panem!

- Nie zamierzam nie wracać. Po prostu proszę tu poczekać. Eva, ty też!

Zrobił następne kilka kroków, uważnie obserwując budowniczego wałów: ruchy fałdów wokół dziobu, rytm oddechu... Paszcza straszyla dwoma rzędami zębów. Gruby ogon niecierpliwie uderzał w ziemię.

Gutierrez przystanął, chciał dać stworzeniu czas na oswojenie się z obcym zapachem. Kaliban wykonywał jednostajne ruchy

riową, taksując badawczym wzrokiem intruza. Oko było wielkości małego talerza. Fałd z boku paszczy unosił się i zapadał w głąb gardzieli.

Gutierrez postąpił następny krok. Stał teraz u podstawy budowli, przewyższającej go trzykrotnie. Nagle Kaliban wyprostował się, uderzył ogonem w ziemię... Zaschnięte błoto zaczęło zeń odpadać całymi piatami. Podniósł się jeszcze wyżej i obrócił głowę, cały czas obserwując obcego.

Gutierrez czuł się usatysfakcjonowany, powoli, krok za krokiem, wycofał się spod budowli. Kaliban zeskoczył z niej. Spokojnie postępował za biologiem, zachowując stałą odległość.

- Nie strzelać! - krzyknęła Eva Jenks. Gutierrez wcale nie był

pewien, czy jej posłuchają. Przystanął. Bał się wziąć od razu nogi za pas.

Kaliban także przystanął. Przyglądali się sobie nawzajem z odległości nie większej niż trzy metry.

- Proszę uciekać! - krzyknęła Jenks.

Stworzenie z sykiem wysunęło w jej stronę język. Ogon poruszał się nieustannie. Gutierrez wiedział, że w wyścigu biegowym nie ma szans. Z niepokojem obserwował niespokojne ruchy ogona, gdyż prawdopodobnie była to jedyna broń Kalibana, ale za to wystarczająca, by strzaskać człowiekowi wszystkie kości.

Dziób znowu skrył się za fałdami. Kaliban ułożył ukośnie głowę, wytrzeszczając wielkie oczy. Zbliżył się jeszcze bardziej.

- Uciekaj! wrzeszczała już teraz Jenks.

Kaliban zbliżył się i językiem, grubym jak ręka, wylizwał kurz z butów biologa. Przestał i

wężowymi ruchami cofnął się w stronę wału. Jeszcze raz przystanął i łypnął okiem na Gutierreza. Sapnął ciężko i wdrapał się na wał. Biolog dopiero teraz poczuł przyspieszony rytm serca. Odwrócił się w stronę towarzyszy.

Jenks podbiegła do niego. Ogden i Norris stali dalej w tym samym miejscu z bronią gotową do strzału. Gutierrez popatrzył błagalnie na kobietę. Najpierw pomyślał, że zrobił coś niesłychanie głupiego. Potem uświadomił sobie, że Kaliban zachował się kompletnie nie lak, jak tego oczekiwał. Nie uciekał, nie przeląkł się, wszystko niezgodne z raportami zwiadowców.

- Można by o tym książkę napisać - odezwał się pierwszy, wciąż czując drżenie rąk. - Może mają teraz okres godowy?

-Albo polują.

- Sądzę, że lepiej będzie, jak wzniesiemy tu betonowe przeszkody, jak najbliżej lego wału.
- Zgadzam się - powiedział Norris. - Czas wyznaczyć już granice wpływów.

Gutierrez rzucił okiem na Kalibana, który zajął już swoje miejsce na wale. Nie spodziewał się ciekawości świata u tak ogromnych stworzeń.

- On nie skończył na kurtuazyjnych gestach nadających się do dyplomatycznych protokołów - głośno myślał Gutierrez. -- Wcale nie jestem pewien, czy to już koniec tej historii.

Jenks milczała. Istniała pewna granica, której nie mogli przekroczyć, spekulując na temat natury tych stworzeń. Gutierrez czuł jednak, że przekroczył ją dzisiaj znacznie. Nie mógł zapominać, że tam, z tyłu, pracowali w pocie czoła ludzie, którzy nie pragnęli wiedzieć na temat Kalibanów nie więcej ponad raporty sondy Merkury.

- Radzę wszystkim zachować szczególną ostrożność - powie działał.

Ruszyli z powrotem.

Pierwszy front atmosferyczny, z jakim zetknęli się na Gehennie, przyniósł podarunek, lekki deszczyk. Teraz jednak zanosilo się na poważniejszą zmianę pogody. Gdy patrzył na szare morze, widział liczne przybrzeżne wysepki znikające powoli w kłębach siwych chmur. Nie wolno było zapominać, że i w tym świecie może zdarzyć się solidna burza.

Czy zmiany pogody wpływają jakoś na usposobienie Kalibanów? Może wznoszą swoje budowle czując zbliżanie się burzy!'

- Jeśli przyjdzie dłuższa zmiana pogody, nie zdążymy uwinąć się z umocnieniami. Cement zostanie splukany. Myślę, że lepiej będ dzie poczekać, zanalizować mapy i zastanowić się, gdzie dokładnie postawić zapory.

Musimy liczyć się z dwoma kryteriami - odezwał się inżynier. - Trzeba zadbać o swobodny ściek deszczówki i dostęp do miejsc, w których w przyszłości chcemy coś budować.

• Zapomniał pan o najważniejszym - dorzuciła Jenks. - Trzeba zbadać, gdzie Kalibany najchętniej przekraczają granice rezerwatu.

• Nie możemy we wszystkich naszych planach uwzględniać zwyczajów tych jaszczurów! zaprotestował Norris. - Najchętniej zamontowałbym tutaj barierę energetyczną. Parę porażen szybko wybiłoby im spaceru na tę stronę rzeki.

Gutierrez zastanawiał się przez chwilę, po czym rzekł.

- Proszę opracować plan takiej bariery. Ale bez podejmowania kroków, które zaniepokoiłyby naszych sąsiadów. Gdyby bariera przekonała ich do pozostania w swoich dotychczasowych siedliskach, z pewnością postąpiliby rozsądnie.

Spojrzał na zachmurzone niebo i jeszcze raz zerknął na wał Kalibanów. Wciąż próbował pogodzić dzisiejszą obserwację z modelem wypracowanym przez ekspedycję zwiadowczą.

## 6.

58 dzień ery kolonialnej.

Szare chmury sunęły nisko nad ziemią, zimny wiatr dmuchał w okna. Ogrzewanie zainstalowane w kopule już nie wystarczało. Conn siedział owinięty pledem i rozmyślał, czy nie warto złożyć niespodziewanej wizyty w głównej kopule. Może mógłby załatwić dodatkowe ogrzewanie? Powinien tam być ktoś, kto zna się na tych urządzeniach, nie mogą przecież być tak mało wydajne.



Od dwóclit tygodni rozszalałe morze waliło falami o brzeg. Woda była wszędzie, a huk sztormu zagłuszał wszystko.

Nowo założone pola zamieniły się w błotne bajory, w przymusowym odpoczynku utknęły w nich maszyny rolnicze. Wilgoć i chłód dawały radę każdemu rodzajowi ubrania. Nikt nie miał suchej odzieży. Wokół unosił się smród pleśni.

Długie szeregi azich wystawały pod strugami zacinającego deszczu przed dozownikami racji żywnościowych. Kto ją otrzymał, biegł ile sił w nogach do namiotu, by schronić się przed ulewą. Conn nie miał pojęcia, jak mogą wytrzymać w swoich namiotach, wkrótce spodziewał się raportu w tej sprawie od opiekunów.

O plastikową szybę uderzały krople deszczu niesione silnym wiatrem od morza. Słychać był tylko sztorm, plusk, szum ulewy. Gdy tylko wiatr słabł, pojawiała się znikąd gęsta mgła, snując się przy ziemi. Conn patrzył na strumienie deszczu wylewające się przez rynnę w rogu kopuły. Podstawił tam wielką skrzynię i szmaty wchłaniające wodę z tworzącej się kałuży. Podłoga kopuły już przemiękła, wkrótce mogła nie wytrzymać tej nawałnicy. Zasluchał się w odgłosy zawieruchy. Siedząc w szarej smudze światła przedzierającej się z trudem przez wąskie okno i mgłę za nim, dotkliwie odczuwał swoją samotność. Czuł, że zaraz pęknie.

Wstał, nałożył płaszcz przeciwdeszczowy, poczekał, aż minie kolejny atak wichury i ruszył w stronę głównej kopuły. Rozpryskiwał głębokie kałuże i buty zaraz mu przemokły, na szczęście nie miał daleko. Wszedł do nagrzanego, jasnego pomieszczenia, wypełnionego gwarem rozmów.

Mnogość zapalonych lamp skutecznie chroniła kopułę przed wilgocią.

• Może herbaty, sir? - zapytał dyżurny azi. Do jego obowiązków należała dbałość o czystość kopuły i podawanie posiłków.

• Chętnie - mruknął.

Usiadł na końcu jednego z długich stołów. Wokół, nad rozłożonymi mapami, dyskutowało spore towarzystwo z sekcji inżynierskiej. Wszyscy mieli dość zaszepcone twarze i kiwali głowami w zamysleniu.

Azi porzynił mu herbatę. Nieobecny duchem Conn wyszeptał podziękowanie:

To wszystko. Jesteś wolny.

Azi oddalił się ku swoim obowiązkom.

Metrowej długości jaszczurka biegła przy ścianie, nie przeszkadzała jej ludzki tłum - robiła to, na co miała ochotę. Przemykała pod stołem lub stawała obok jakiegoś człowieka. Jak widać udomowiono ją okruchami ze stołu. Miał nadzieję, że zwierzę było czyste.

Jaszczurka tak wytrwale zakładała się do kopuły, gdzie jadano., że w końcu się do niej przyzwyczajono. Wydzielono jej (lub jemu) nawet legowisko do spania. Nie wszyscu angażowali się w dokarmianie, ale już po tygodniu jaszczurka mocno przybrała na wadze i urosła, a nawet zrzuciła warstwę skóry. Teraz siedziała na skrzyni.

Conn popijał herbatę i rzucał w jej stronę spojrzenia. Właśnie otworzyła kaczki dziób i rozpoczęła higienę. Patrzył w jej złote oczy. Jaszczurka dostrzegła to i odwzajemniła jego zainteresowanie. Obserwowali się teraz wzajemnie.

Czy mogę w czymś pomóc? - zapytał ktoś obok.

Drgnął wystraszony. To Bilas przysiadł się do niego i oparł ciężko o stół.

Nikt już nie przestrzegał dawnego protokołu wojskowego, niezależnie, czy był to zwykły członek załogi, czy oficer.

• Nie, dziękuję. Chciałem tylko uśmierzyć ból w stawach. Jak postępy w melioracji?

• Ułożyliśmy drenaż, ale mamy niesłychany problem z błotem. Zamula nam kanały. Meteorolodzy twierdzą, że ta pogoda ich nie zaskoczyła. Wyglądają wręcz na szczęśliwych.

- To prawda. Słyszałem ich prognozy zaraz po wylądowaniu.

Następny członek sztabu przysiadł się do nich, stawiając przed sobą dymiący kubek. Regan Chiles patrzył na nich zakłopotany. Wyglądał na człowieka, który ostatnio bardzo mało śpi.

- Są trudności - odezwał się bez wstępów. - Przestały działać odtwarzacze taśm, zapewne z powodu wilgoci i zasolenia atmosfery. Najbardziej czułe urządzenia zabezpieczyliśmy, ale wszystkie pozostałe trzeba będzie oczyścić. Nie przygotowano nas na taką ewentualność.

- Proszę zrobić wszystko, co możliwe w tych warunkach.

Conn nie miał ochoty już tego słuchać. Rozejrzał się wokół.

Przy stole siedziało mniej ludzi, niżby się wydawało po czynionym przez nich hałasie. Nie miał

pojęcia, dlaczego przychodzili ze swymi problemami do niego. Przecież nie rozwiąże ich za nich.

Chiles wciąż coś mówił, zdawał relację z nowych trudności, a Conn przytakiwał mu, próbując na serio potraktować tę rozmowę. Ale nie potrafił się tym wszystkim przejąć. Na przykład **informatykami**, co lekkomyślnie wynieśli ruchomy sprzęt komputerowy na zewnątrz i wszystko zamokło. Od tego wszystkie awarie ruszyły lawinowo. Zmartwiły go jedynie problemy oświatowe. Postanowił zakończyć sprawę.

Pan podlega rozkazom majora Gallina. Dlaczego nie zgłosił pan swoich problemów przełożonemu?

Chiles spuścił głowę, oczy rozbiegły się, usta zadrżały. Coś tu nie grało.

- Co panu poradził major Gallin?

«- Kazał przywrócić wszystko do porządku i współpracować z innymi sekcjami.

- Niech więc pan tak zrobi, poruczniku! Tylko tym razem, proszę więcej przewidywać.

- Sir... zaczął Chiles. westchnął i zaczerpnął powietrza.

- Proszę o wybaczenie, ale muszę powiedzieć, że gdy jedni pracują bez przerw, to inni się w tym czasie objają.

- i dlatego pańska sekcja ma problemy?

- Tak jest, sir.

• Pomówię z innymi. - Czuł, że Bilas jest świadkiem tej deklaracji. - Mam zaufanie do Gallina, rozumie pan? Nie chcę tu podwójnego dowództwa i podwójnego przepływu informacji. Proszę wypić herbatę, to najlepsze lekarstwo na problemy. A tak prywatnie, lepiej trzymać się następnym razem drogi służbowej przewidzianej regulaminem.

• Tak jest, sir.

Popili herbaty z kubków.

Wkrótce przysiedli się do nich inni oficerowie. Każdy miał jakiś problem, prosił o pomoc bądź wskazówki. Choć przyszedł tu po to, by uwolnić się od samotności, to wpadł teraz w skomplikowany wir obozowych spraw. Dopił herbatę i właśnie zamierza! wstać, by pójść do toalety mieszczącej się na tyłach kopuły, gdy poczuł ból przenikający kości. Jakby go ktoś nakłuwał długą igłą. Zaciskając zęby, wyszedł na zewnątrz. Jakiś Ariel wskoczył przed nim w kałużę, biegnąc na skróty w sobie znanym tylko celu.

Powietrze rozerwał ryk syren.

Rozejrzał się po gęstych oparach mgły, usiłując zlokalizować miejsce, z którego dochodził alarm.

Doszedł do wniosku, że lo od strony pól.

## 7.

### 58 dzień ery kolonialnej.

Musieli wyciągać Adę Beaumont z błota. Z wielkim trudem unieśli bezwładne ciało, a krew i błoto wymieszały się, tworząc rdzawoczną maź.

Bob Davies cały czas towarzyszył noszom, na których leżała zakrwawiona żona, patrząca niewidzącymi już oczami w niebo nad sobą.

Ze ściany deszczu wyłonił się Conn. Spojrzał na zwłoki i zmieszał się, tak był zaskoczony śmieszną bezradnością tego kłęбка szmat i ciała. Ada Beaumont konwojowała wojskowe transportowce w czasie wojny, przeżyła powstanie na jednej ze stacji, wydawała się kobietą ze stali. Była odważna, ale i przezorna, żaden wróg nie mógł jej zlekceważyć. A tymczasem jej koniec wydawał się teraz taki niepozorny...

W gęstej mgłę stali mężczyźni i kobiety, ocierający twarze od lez i deszczu, a Bob Davies patrzył przed siebie w ciężkim szoku, kredowobiały, milczący. Conn wsadził dłonie do kieszeni, czuł pustkę i strach, nie wiedział, co powinien powiedzieć.

• To się stało przy wale Kalibanów - odezwał się Peter Gallin. ocierając zakrwawioną ręką oczy, zalewane przez zacinający deszcz. - Anderson widział dokładnie.

• Anderson! - Conn skinął na mężczyznę, stojącego w tyle.

- Poszliśmy umocnić podmyte fragmenty wału, sir.

Rozmawialiśmy o niezbędnym sprzęcie, gdy nagle ziemia rozstąpiła się pod jej stopami. Wielka koparka, która stała obok, przewróciła się na nią i przygniotła. Musieliśmy wezwać podnośnik, by ją uwol

nić. Podnośnik był podtrzymywany przez inną koparkę, żeby także się nie osunął, ale grunt był bardzo grząski, budowla nowa, wszystko się rozjechało... Kilka razy musieliśmy próbować.

- Proszę zabezpieczyć całość - polecił Conn.

Uświadomił sobie nagle, że wszyscy oczekują, aby się rozpląkał lub w jakiś inny sposób okazał żal po starej przyjaciółce. Jeśli nadal będzie grał twardziela, znienawidzą go.

- Proszę zachować szczególną ostrożność. Nie możemy sobie pozwolić na następny taki wypadek.

Po jego słowach zapanowała ponura cisza. Nosze położono na ziemi, nie osłonięte. Noszowi zamienili się stronami, gdyż w błocie ciężko się szło. Po ogolonych głowach ściekał deszcz.

- Pochowamy Adę Beaumont w ziemi - obwieścił Conn, który z doświadczenia był praktykiem, wbrew nastrojom panującym wśród personelu. - Nad brzegiem morza, gdzie nie planujemy żadnych budynków i instalacji.

Odszedł. Nie był świadomy ani swego milczenia, ani tego, że idzie przed siebie bez celu. Zorientował się dopiero wtedy, gdy było za późno na zawrócenie. Poszedł więc do domu. Zamknął drzwi, ściągnął mokry płaszcz i rzucił na ławę. Później, stojąc pośrodku pokoju, drżąc z zimna, rozpląkał się.

Wiedział, że Pete Gallin ani nikt inny ze sztabu, nie potrafi mu pomóc. Był stary, schorowany i bardzo liczył na pomocną dłoń Ady. Odeszła właśnie wtedy, gdy najbardziej była potrzebna. Było zadzi-

wiające, że choć tkwił w szoku, potrafi! zachować jasność widzenia. Orientował się, że znacznie gorszą nowiną od śmierci Ady był zapal budowlany Kalibanów.

Zakładana przy planowaniu ekspedycji możliwość wspólnej egzystencji obu gatunków, stanęła właśnie pod znakiem zapytania. Te nowe budowle Kalibanów były niczym wypowiedzenie wojny, zmieniało perspektywy powstającej kolonii, gdyż zmuszało ich do podjęcia wyzwania. Musieli odpowiedzieć z pomocą wszelkich dostępnych środków.

Gdy tylko pogoda się poprawi, będą musieli zweryfikować plany, dostosowując się do nowej sytuacji, by uratować czterdzieści tysięcy ludzi na Gehennie.

Trzeba wydać dyspozycje.

Przed wszystkim musi mianować Gallina wicegubernatorem planety. To dobry opiekun i przyzwyczajony człowiek. Kto następny awansuje? Kto pomoże?

Gutierrez? To najbardziej otwarty umysł spośród cywilnego personelu naukowego, rozumiejący nie tylko biologię. Niestety, wynosząc na stanowiska nowych ludzi, nie może zapominać o hierarchii i pomijać szarż. Na przykład Sedgewick, odważnie myślącej kobiety z odpowiednim stopniem oficerskim.

Niestety, ona nie posiadała cech dowódczych, nie była stanowcza i nie potrafiła wyegzekwować od ludzi realizacji swoich decyzji.

Otarł czoło. Zauważył przy tym, że drżą mu ręce. Nie mógł nad tym zapanować.

Ktoś zapukał do drzwi. Nie czekając na pozwolenie, nacisnął klamkę. Do środka wdarł się szum ulewy, zimny podmuch dotarł do .lima. Odwrócił się. Przed nim stał Dean z sekcji medycznej.

• Wszystko w porządku, sir? - zapytał. Conn wzruszył ramionami.

• Można wytrzymać. Co z Bobem?

Przyjął środki uspokajające. Jest pan pewien, że wszystko OK?

• Przebiorę się tylko w suche ubranie i zaraz przyjdę do głównej kapsuły. Proszę mnie zostawić.

• Tak jest, sir!

Dean rzucił mu wściekłe spojrzenie, ale wyszedł. Conn spojrzął na sznur przeciągnięty przez środek pokoju, służący jednocześnie za suszarnię i szafę. Wybrał najcieplejsze ubranie. Założył nową bieliznę; choć wisiała już parę dni, nadal była wilgotna. Miał straszną ochotę na drinka. Rozgrzałby go i nic zaszkodził.

Wbrew pokusie wyszedł jednak na zewnątrz i skierował się do kopuły głównej. Tu czekał na niego już cały sztab. Przedstawił im swoje plany. Z powodu zimna nic był w stanie wyjść na pogrzeb, kondukt poprowadził główny chirurg wyprawy.

Po godzinie zmęczeniu ludzie wrócili z uroczystości. Wszyscy byli totalnie przemoknięci, trzęsąc się z zimna, z pustką w twarzach.

Davics wylądował w szpitalu. Po pogrzebie zaaplikowano mu kolejną dawkę uspokajaczy, gdyż był kompletnie załamany. Krzyczał w przyпадку hysterii, a przecież w obecności żony zawsze był bardzo cichy i zrównoważony.

Gallin siedział z zamkniętymi oczami, trzymając w ręku kubek z herbatą.

Będzie pan musiał przeprowadzić inspekcję terenu od strony Styksu - odezwał się Conn, a wszyscy się temu przysłuchiwali. - Codziennie też trzeba będzie sprawdzać, czy nie-powstały nowe podkopy.

- Tak jest, sir.

Jaszczurka siedząca na skrzyni, wystawiła rozdwojony język. Conn spojrzął na nią i smutno pokiwał głową.

• To był wypadek - powiedział, obserwując spod oka stworzenie. - Nic nie mogliśmy zrobić. Pozostaje nam tylko zabezpieczyć się przed kolejnymi.

• Sir, chętnie bym zburzył cały wał po naszej stronie rzeki - zaproponował Gallin nieśmiało.

Conn spojrzął na biologa, który mocno zacisnął wargi.

• Gutierrez?

• Najpierw wolałbym się dowiedzieć, czy przyczyna wznoszenia nowych wałów tkwi w naszym obozie, czy jest jakiś inny powód, nam nieznan. Jeżeli się tego nie dowiemy, nic uporamy się z tym problemem.

• Proszę przygotować odpowiedni program badań.

• Z przyjemnością, sir.

- Zabieramy się więc do pracy. Należy przede wszystkim sprawdzić tunele i dowiedzieć się, jak daleko sięgają.

Chętnie się tym zajmę, sir. Nawet dzisiaj w nocy.

- Dzisiaj proszę tylko oznaczyć marszrutę na mapie.

O wschodzie wyślemy oddział. Nawet nie mamy przecież pewności, czy w tunelach są Kalibany, prawda?

- Owszem - odparł biolog. - Tu tkwi sedno problemu.

Conti sięgnął po stojącą przed nim butelkę, z której wszyscy korzystali, doprawiając herbatkę rumem. Nalał sobie szczyrę, aż po brzegi. Ręce tak mu drżały, że trochę drogocennego trunku rozlał. Resztę wychylił od razu do dna. Alkohol nieco uśmierzył ból, uspokoił rozdygotane nerwy.

Jaszczurką zeskoczyła ze skrzyni i przybrała jedną z proszących poz. jakiś technik rzucił jej od stołu kawałek chleba, który w jednej chwili zniknął w przepastnej gardzieli.

Conn nalał sobie jeszcze jednego drinka, opróżnił kubek, po czym przeprosił towarzystwo. Wyszedł na powietrze, po drodze się zapinając. Ruszył do domu. Zapadał właśnie zmrok, deszcz przestał na chwilę padać, a w obozie azich rozbłysły światła, przebijając się przez mgłę. Conn przystanął i spojrzął w stronę tysięcy światła.

Wszystko, do czego już doszli na tej planecie, to było za mało, by mogli czuć się szczęśliwi.

## 8.

58 dzień ery kolonialnej.

- Pogrzebali ją w ziemi - odezwała się cicho Pia, wygodnie się układając na ich wspólnej pryczy. Jin objął ją mocniej, aby było im cieplej i w ciemności znaleźli ukojenie. - Wszyscy stali wokół i płakali.

To było nowe objawienie - śmierć Obywatela. Do śmierci azich zdążyli się już przyzwyczaić. Gdy umierali, wynoszono zwłoki do białej budowli i to był koniec historii. Jeśli nieboszczyk dobrze wiązywał się za życia ze swych obowiązków, to mogli mieć chociaż nadzieję, że utworzą nową jednostkę jego rodzaju. Nie chodziło tu o fałszywą dumę, lecz o świadomość dobrej konstrukcji genetycznej. Nic poza tym.

A po Adzie Beaumont nic nie pozostanie. Nie mieli laboratoriów, by móc ją odtworzyć.

• Tęsknię za hipnotaśmami - westchnął .lin. Pia przytuliła się doń mocniej, przywarła twarzą do jego ramienia.

• Ja także. To niesprawiedliwe, że kapitan zginęła pod maszyną. Coś tu jest nie w porządku, może popełniliśmy jakiś błąd?

• Powiedzieli nam, że przy tak fatalnej pogodzie, trudno nad wszystkim utrzymać kontrolę.

- Gdybyśmy mieli laboratorium i dobre taśmy, wszystko poszłoby lepiej.

- To prawda - zgodził się z nią. Lecz laboratorium genetyczne

było odległą perspektywą.

Pocałował ją. Kochali się w ciemności. Seks zastępował im taśmy. Pomyślał, że pewnie byli teraz bardziej szczęśliwi od tej Obywatelki, która zginęła w wypadku. Nigdy nie miała nikogo, kto byłby

identyczny z nią, kto by przeżył, zachwycając jej materiał genetyczny. Przynajmniej nie widział nikogo do niej podobnego.

Jin wiedział natomiast, że obok mieszkają inni z serii 9998 i 667. Kochali się, bo w tej czynności odnajdowali przyjemność, ciepło, piękno. I pozwolono im na to.

W ten sposób robi się też dzieci. Obywatele czasem też posługują się tą metodą. Jin czuł niejasno obowiązek, by kochać się codziennie. Wydawało mu się, że aby ktoś umarł, to powinien się i narodzić. Dlatego polecano im uprawiać seks.

W nocy deszcz ustał. Słońce wyglądało gdzieś przez porwane strzępy chmur. Koparki stały w równym szeregu wzdłuż wykarczowanego pola, całe ubłocone, niemi świadkowie wczorajszego wypadku. Wykopano już nimi długi rów, mający służyć zbadaniu kanałów.

Świat wyglądał zupełnie inaczej. Ubyło w nim jednego Obywatela. Ada Beaumont leżała w grobie na brzegu morza. Ażich powiadomiono, że każdy może odwiedzić samotny grób.

Jin podszedł do stołu opiekuna, ustawionego w słońcu, na środku drogi. Zgłosił się do pracy. Dzisiaj otrzymał metalowy drąg do sondowania gruntu. Miał sprawdzać, krok za krokiem, czy grunt się nie obsuwa. Jin przystąpił, wraz z innymi, do pomiarów. Pracował sumiennie, aż koło południa rozboleły go plecy.

Gutierrez i jego asystenci zapisywali wszystko, co zameldowali im azi.

## 9.

162 dzień ery kolonialnej.

Kopuły wciąż strzelały ku niebu. Słońce mocno przygrzewało, a morskie grzywacze waliły o brzeg. Conn siedział przed główną kopułą w fotelu, pod parasolem chroniącym go przed słońcem. Morska bryza nie służyła jego artretyzmowi.

Jaszczurka śmignęła przez drogę, przedzierając się przez tumany kurzu, aż zatrzymała się w cieniu domu gubernatora. W ten sposób rodzi się instynkt, pomyślał Conn. Ariel przyciągnął ze sobą kawałek krzemienia, był zmęczony tym transportem. Nic, tylko przynosiły kamienie.

To nie był jednak zwykły kamień, a krzemień, należało go przyjąć. Jedynie inny Ariel mógłby zrozumieć przyczynę tej darowizny. Jaszczurki też budowały swoje miasto. Z przynoszonych kamieni stawiały stopy do złudzenia przypominające ludzkie kopuły. Tyle, że zaraz się rozsypywały.

Ostatnia para kamieni całkowicie zajęła uwagę zwierzęcia, aż wreszcie zakończyło budowę. Przynajmniej tak mu się wydawało. Ariel budował kopułę po kopule, szereg za szeregiem, posługując się umiejętnością układania kamieni w spirale, koła... Gutierrez powiedziałby, że to przykład prymitywnego naśladownictwa Kalibanów drążących swoje tunele i usypujących wały. A może to jakiś instynkt? Ariele i Kalibany z zapalem oddawały się architekturze. To właśnie ten fakt najbardziej zdumiewał biologa.

Na szczęście, po ich stronie Styksu większe jaszczury nie były obecne. Wały na przeciwległym brzegu stały nienaruszone, ale tutaj azi rozkopali wszystkie, wyrównując teren.

Zapanował rozejm. Jaszczurom zabroniono kopać na terenie obozu. Buldożery stały bezużyteczne od jakiegoś czasu, a miasto budowało się w kierunku rzeki. Następny statek, jaki przybędzie z Cyteen, będzie zawierał wyposażenie laboratorium genetycznego - jego brak silnie dawał się we znaki. Potem ruszyłaby budowa dróg i właściwego miasta w zakolu rzeki. Na razie były to tylko plany.

W tej chwili azi mieszkali w prowizorycznych namiotach, ich płócienne płachty głośno łomotały na wietrze. Dwadzieścia tysięcy namiotów.

Kiedy przegnali Kalibany za rzekę, próbowali stawiać fundamenty pod nowe budowle, lecz okazało się, że maszyny osiągnęły kres swego żywota, trzeba było czekać na nowe. Działały jeszcze niektóre transportery, ale ledwie ciągnęły na podzespołach wyjętych z popsutych maszyn. Ich dni były policzone. Azi, którzy wydobywali wapienie nad rzeką, musieli go ładować na ręczne wózki, które następnie pchali do obozu. Azi pracowali używając dynamitu, bosaków i, przede wszystkim, pracy rąk. W miejscu wydobywania budulca założono niewielki obóz, około dwóch tuzinów namiotów.

Kto wie, czy nie rozsądniej byłoby przenieść tam cały obóz. Przynajmniej mieliby pewność, że Kalibany nie zrobią pod nimi podkopów w litej skale. Brakowało im jednak środków na tak wielkie przedsięwzięcie. Kopuły stały więc niewzruszenie w starych miejscach, dając schronienie Obywatelom. Pola uprawne były zasiane, mieli elektryczność i ciepłą wodę. Dopóki Kalibany trzymały się z dala od obozu - byli bezpieczni.

Było zbyt późno na zmianę podjętej już decyzji. Conn studiował mapę, rozważając najbliższe decyzje.

Wiosna była zimna i mocno dała się we znaki jego stawom. Ból nie ustępował nawet w skwarze

południa. Myśląc o zimie krzywił się - to była prawdziwa udręka. Lecz misja przetrwała. Wciąż żyli. Do dnia lądowania następnej ekspedycji zostały jeszcze dwa lata. Datę miał wrytą w pamięć.

Każdy dzień przybliżał pomoc. W myśli odhaczał dni, biorąc poprawkę na czas lokalny i dług czasowy w trakcie lotu z Cyteen. Postanowił, że odleci najbliższym statkiem. Jego miejsce jest tam. Miał nadzieję, że przeżyje skok przestrzenny. A nawet jeśli nie, to przynajmniej nie będzie musiał więcej oglądać tej przebrzydłej planety.

Oficjalna nazwa brzmiała Nowy Port. Lecz wszyscy i tak mówili Gehenna. Ta nazwa pasowała do sytuacji, w jakiej się znaleźli i opisywała idealnie ich położenie. Także nazwa Styks przyjęła się i wyparła urzędową Czerwoną Rzekę. Gdy od wozu oderwało się koło, można było usłyszeć: „A czego innego można się spodziewać po piekle?” Wszystkie niepomyślne okoliczności zwalano na fatum ciężące nad planetą.

Przychodzili do niego, by nękać go nieustannymi pytaniami. Conn radził im jak umiał, ale nad większością problemów wzruszał po prostu ramionami. Upodabniał się w tym do Gallina. „To są ważne problemy”, brzmiała dewiza wicegubernatora.



Conn uważał ją za wspaniałą wymówkę. Dziwny człowiek z tego Gallina. Nigdy nie mógł zrozumieć, czym sobie zasłużył na powszechną niechęć załogi.

Siedział zrezygnowany, czekając na nowe pytania, z którymi do niego przyjdą, uzyskawszy tradycyjną odpowiedź Gallina. Siedział tak w fotelu, uciszał podniesione głosy, strzegł spokoju. To było najważniejsze.

Jakaś postać kuśtykała ulicą. Bob Davies, jeden ze straceńców. Bob opracowywał księgi przyszłego laboratorium i udzielał porad. Wbrew protestom lekarzy nie zgodził się na kurację odmładzającą. Teraz więc wśród członków misji było dwóch starców. Bob swoim wiekiem sprawiał znacznie bardziej przykre wrażenie od Jima. w ostatnich miesiącach stał się zrzędlawy, mocno wychudł.

- Dzień dobry - przywitał go gubernator.

Bob ocknął się i wreszcie zauważył Conna.

- Dzień dobry - odpowiedział, ale było widać, że jego umysł krąży gdzieś daleko. - Dzień dobry - i poszedł ku swoim książkom,

komputerom i obliczeniom bez końca.

Wyglądało na to, że obecnie proces budowy idzie w identycznym tempie, co proces destrukcji. Conn rzucił okiem na plany, wykreślając niektóre punkty, które trzeba było odrzucić z braku możliwości ich realizacji.

Jak dotąd nie zawiodły ich tylko dwie rzeczy.

Obsiane pola cieszyły zielenią wschodzących zbóż. Ryb było też w nadmiarze. Niektórzy sarkali na rybny jadłospis, ale jedli.

Działy też niezawodnie instalacje energetyczne, choć stracili kilka podzespołów. Azi też nie wykazywali dostrzegalnego niezadowolenia z barbarzyńskich warunków. Nie mogli jednak nie zauważyć nadchodzącego szybko problemu - zimy.

## 10.

# *m* *i 1*

### 346 dzień ery kolonialnej.

Wiatr walił w drzwi sekcji medycznej. W poczekalni siedział Jin, ze zdenerwowania splatając i rozplatając dłonie. Miał silną depresję, każącą widzieć mu świat w czarnych barwach.

Lekarze powiedzieli mu, że Pia czuje się dobrze, a poród będzie lekki.

Wierzył tej diagnozie, bo wierzył w Pię. Poza tym taśmy wszystko jej powiedziały. Mimo to odczuwała ból, nieustający od chwili, gdy doprowadził ją do szpitala. Godziny wlekły się, a on siedział w korytarzu, obserwując lekarzy wchodzących i wychodzących z sali, gdzie leżała ona.

Znowu wyszedł od niej człowiek w kitlu.

- Chciałbyś być przy niej? - zapytał poważnie, budząc zaufanie fachowym wyglądem. - Jeśli chcesz, możesz tam wejść.

Jin wstał niepewnie i poszedł za lekarzem. Pomieszczenie pachniało środkami dezynfekcyjnymi. Na stole leżała Pia, otoczona lekarzami, ich twarze skrywały maski.

- Tu proszę - powiedział jeden z asystentów, wręczając Jinowi białe fartuch.

- Mogę ją zobaczyć? - zapytał wylekniiony.

Skinął przyzwalająco. Jin podszedł do stołu i wziął jej rękę.

- Mocno cię boli? - zapytał.

Myślał, że ból jest straszny, bo twarz Pii była złana potem. Otarł jej czoło podanym przez lekarza ręcznikiem.

- Nie jest to takie przykre - powiedziała, gdy skończył. - Wszystko jest w porządku.

Mocno trzymał ją za rękę. Jej paznokcie wbiły mu się w skórę, wciąż wycierał jej twarz. Brzuch Pii wypełniało życie, szukające wyjścia na świat. I chciało wyjść niezależnie od tego, czy ktoś sobie tego życzył, czy nie.

- Już idzie... mamy je... - przy stole zaczął się wzmożony nich.

Pia krzyknęła. Potem ciężko westchnęła. Chętnie wyrzekłby się wszystkiego, żeby tylko nie cierpiała.

Wreszcie dokonało się. Pia wyglądała na odprężoną. Zwolniła chwyt na jego dłoni. Mimo to wciąż ją trzymał, rzuciwszy spojrzenie w stronę lekarzy.

- Chcesz je potrzymać? - zapytał jeden z nich, podając niewielkie zawiniątko.

Jin przyjął je ostrożnie i stwierdził ze zdziwieniem, że to coś żyje. Patrzył na czerwoną, pomarszczoną twarzyczkę. Czuł, jak się rusza. Przytulił dziecko do piersi. Nagle sobie uprzytomnił, że istota, która wyszła z brzucha Pii, była czymś zupełnie nowym. Nie mającą poprzednika nową kombinacją genetyczną.

Przestraszył się. Nigdy przedtem nie widział noworodka. Był taki mały...

- To syn - powiedział lekarz do matki. Pochylił się i potrząsnął ją za ramię. - Rozumiesz, co do ciebie mówię? Masz chłopca!

- Pia? - Jin nachylił się, pokazując jej zawiniątko.

-\* Podtrzymuj mu główkę - polecił lekarz. - I kark.

Pomógł mu wydostać dziecko i włożył w ręce Pii. Uśmiechnęła się, cała mokra od wysiłku i bólu. Dziwny, zmęczony uśmiech matki. Obmacała miniaturową dłoń syna.

- Zdrowy - poinformował ją asystent w kitlu.

.lin nie wątpił, że ma zdrowe dziecko. W końcu jego rodzicom niczego nie brakowało.

- Musisz mu nadać imię - odezwał się inny lekarz. - Ten chłopak powinien mieć imię, własne.

Pia zmarszczyła czoło i przez chwilę się zastanawiała. Spojrzała na dziecko. Już wcześniej im powiedziano, że należy wymyślić imię, jakie otrzyma noworodek, gdyż dzieci urodzonych naturalnie nie numerowano. Były przecież całkowicie nową kombinacją genetyczną, pierwszą taką kombinacją w całym wszechświecie, mieszanką 9998 i 687. Nie można mu było nadać numeru.

- Czy mogę mu dać imię Jina? - zapytała.
- Jeśli chcesz.
- Niech będzie Jin - zdecydowała Pia.

Jin spjrzał na noworodka i opanowała go duma, jakiej nigdy dotąd nie czuł. Na zewnątrz padał deszcz, zimny, zimowy. Lecz tutaj czuło się coś więcej niż ciepło.

Lekarze i asystenci porządkowali tymczasem narzędzia. Oni także chcieli potrzymać dziecko. Jin patrzył z obawą, jak wyjmowali je z ramion matki. Był to jeden z nielicznych w jego życiu momentów, kiedy chciał się przeciwstawić Obywatelom i powiedzieć: „Nie”.

- Zaraz ci je oddamy - powiedział lekarz, jakby domyślając się myśli Jina. - Trzeba je wykapać i przeprowadzić kilka badań. Za parę minut będzie wasze. Nie chciałbyś w tym czasie potowarzyć z żonką? Będzie jej na pewno miło.
- Tak - odpowiedział, czując, jak drżą mu mięśnie twarzy. Pomyślał, co by się stało, gdyby zabrali mu dziecko. Wtedy im się przeciwstawię, pomyślał. Trzymał mocno rękę Pii.

Jeden z lekarzy pozostał z nimi.

- Wszystko jest w porządku - uspokoił ich, widząc zaniepokojone twarze azich. - Przecież powiedzieli, że trzeba dokonać badań. Zaraz wam go przyniosą. Pomóż mi lepiej zaopiekować się pacjentką - powiedział do Jina.

Razem umyli Pię i przenieśli ją do czystego łóżka. Po chwili lekarz odszedł, zabierając stolik z narzędziami chirurgicznymi.

- .lin?

Podłożył jej pod głowę rękę. Wciąż się bał.

Wciąż myślał o przyjemności, jaką mieli płodząc to dziecko i o bólu, jaki towarzyszy jego przyjsciu na świat. To była cena za nowego człowieka. Człowieka z urodzenia. To Pia zapłaciła tę cenę...

Jin czuł się winny, jakby otrzymał niewłaściwą hipnotaśmę. Lecz to nie należało do instrukcji z taśm. Ta obawa i strach były nieodwołalnie wbudowane w ich związek.

Wreszcie przyniesiono im syna i położono przy matce. Nie mógł się oprzeć zachwyтови nad małą piąstką wystającą z zawiniątka. Jego. Człowieka z urodzenia. Jego syna.

## 11.

### Rok 2, dzień 189 ery kolonialnej.

Dzieci stawiały swoje pierwsze kroki w ciepłym słońcu - było drugie lato, jakie koloniści spędzali na tej planecie. Dzieciaki piszczwały, płakały, śmiały się i gaworzyły. Tworzyły dobry nastrój dla otoczenia, piękne tło dla walczącej o życie kolonii.

W obozie azich suszyły się na sznurach liczne pieluchy, okrążając białym wieńcem także główną kopułę, wykorzystując każdy ciepły promień słoneczny. Zimą również suszono na powietrzu, wykorzystując silne podmuchy wiatru, choć nigdy nic nie schło do sucha. Latem z kolei problemem był wszechobecny kurz.

Gutierrez usiadł przy drodze, którą dociągnięto wreszcie do pól uprawnych. Z jednej jej strony łopotały białe flagi pieluch obozu azich, z drugiej straszły okryte plastikowymi pokrowcami buldożery i koparki, po których skakały jaszczurki.

Swoje obserwacje prowadził obok miejsca, gdzie wznosiły się pierwsze budynki mieszkalne dla azich, stawiane z wapienia i me-

talowych płyt.

~~~~~

Proste pomieszczenia, po jednym na rodzinę. Plac zasypywały zwały skalnych odłamków. Jakiś Ariel zajęty był właśnie dźwiganiem w pyszczku jednego odłamka. Niósł go w



miejsce, gdzie stawały staranne konstrukcje jaszczurek. Zostawił odłamek na miejscu i pognął po następny.

Na nawadniane pole przedostał się Kaliban.

Chcieli go zabić, Gutierrez zlecił to zadanie kilku wojskowym. Jego sympatia do tych zwierząt nie miała z akcją nic wspólnego. Najlepiej było pozbyć się jaszczura, zanim złoży jaja. Gutierrez nie lubił zabijać, obrzydzenie budziła w nim sterta czaszek Kalibanów. piętrząca się przed główną kopułą. Uważał to za czyste barbarzyństwo.

Ale takie pojedyncze Kalibany trzeba było zabijać, w przeciwnym wypadku doszłoby do większych szkód i zniszczenia domów azich.

Myśliwi wyruszyli już, więc wstał, otrzepał się i ruszył w stronę kopuły. Ludzie pasowali do tej planety - Gehenny. Stracili tylko nieco ze swego człowieczeństwa. Nie można jednak było mówić o poprawnych stosunkach pomiędzy ludźmi a tubylcami, przynajmniej do przylotu następnej ekspedycji. Potrzebowali zastrzyku nowego sprzętu, by rozwiązać ten i wiele innych problemów, zbudować nieprzepuszczalne bariery pomiędzy ludzką enklawą a światem zewnętrznym. Gdyby jeszcze tylko pogoda była bardziej im przychylna. Pogoda...

Wrócił do centrum obozu.

Pod główną kopułą, w cieniu parasola dostrzegł starego człowieka. Ostatniej zimy porucznik postarzał się chyba o dziesięciolecie. Twarz pobruździły liczne zmarszczki. Conn drzemał, na koszuli widniała mokra plama. Gutierrez minął gubernatora, wszedł do mesy, gdzie skierował się do barku, tam - jak zwykle - czekał dzbanek z gotową herbatą. Napenił kubek gorącym, parującym napojem.

Wszędzie unosił się zapach ryb. Z jadalni nie sposób było nawet wywabić tego smrodu. Cała Gehenna śmierdziała rybami.

Usiadł przy stole obok Kate Flanagan, miał do niej kilka spraw. Oddział ochrony nie miał tu nic do rzeczy. Nie mógł nawet sobie przypomnieć, jak i kiedy zaczęła się ich znajomość, ale wiedział jedno - ta kobieta posiadała cechy, które mu się podobały.

- Załatwione? - zapytał.

- Tak, wysłałam ich. Sama nie mam już do tego zdrowia.

Skinął głową w zrozumieniu. Wykształcono ją do zabijania ludzi, nie dzikich zwierząt. Jej komandosi siedzieli bezrobotni i rdzewieli - jak maszyny na polach.

- Pomyślałem sobie... - odezwał się ponownie - że mógłbym zrobić obchód. Czas przygotować raport, więc nie obędzie się bez inspekcji. A do tego będę potrzebował eskorty.

Oczy Kate zaślniły z radości.

Niestety, w czasie kolacji gubernator sprzeciwił się jego pomysłowi, gdy Gutierrez poprosił o akceptację wyprawy.

- Sir...

- Zatrzymamy na nasze potrzeby tylko teren, który już mamy

- oznajmi! porucznik głosem nie znoszącym sprzeciwu. Kłótnia z nim nie miała sensu.

Przy stole zaległa cisza. Nikt nie spodziewał się takiej decyzji, ale w głosie porucznika brzmiała stanowczość.

- Mamy wystarczająco pracy bieżącej i trzeba kontynuować to, co zaczęliśmy. Z resztą planów wstrzymujemy się do czasu przylotu drugiej ekspedycji.

Głucha cisza trwała nadal. Porucznik zaczął jeść, słychać było tylko zgrzyt jego sztucców.

- Sir - Gutierrez nie kapitulował - z całym szacunkiem, z mojego zawodowego punktu widzenia mamy powód do poszukiwań. Musimy wiedzieć, jak przedstawia się sytuacja na drugim brzegu Styksu...

- Trzymamy się obozu i troszczymy o zachowanie tego, co już mamy. Na tym chciałbym zakończyć tę dyskusję. Zrozumiano?

- przerwał mu Conn.

- Tak, sir.

Później Gutierrez i Kate znaleźli sposobność, by spotkać się mniej oficjalnie. Był w swoim mieszkaniu. Pod ścianą kopuły jakiś Ariel przyglądał im się krytycznie.

- Uważam, że co najmniej z tuzin tych typów to szaleńcy

- szepnęła mu do ucha Kate w krótkiej przerwie między aktami miłosnymi. Rozmawiali o Kalibanach, o narzuconym im programie badawczym i o tym, czego jeszcze chcieliby dokonać. -Znam ludzi, którzy przyjechali tu z nadzieją, że wyrwą się z rutyny i będą dzia

łać. Komandosi uważali, że mogą być tu przydatni. Tymczasem we getują i marnują czas. Starzec wbił sobie do łba, że wokół czają się niebezpieczeństwa i postanowił zamknąć wszystkich w obozie. Boi się tych jaszczurek, może mógłbyś mi to wytłumaczyć, Marco?

- Spróbuję, ale tu nie chodzi tylko o Kalibany. On ma własne poglądy na temat bezpieczeństwa kolonii. Najlepszym sposobem jest dla niego: okopać się i nic nie robić. I przetrwać do przylotu wsparcia. To wszystko. Ale spróbuję... - Doskonale znał jednak od powiedź.

-Nie - usłyszał, gdy kilka godzin później opowiedział gubernatorowi o swoich planach. Conn rzucił mu spojrzenie starego człowieka. - Nic z tego. Proszę wybić to sobie z głowy.

Marco dalej spotykał się z Kate. A pewnego dnia, gdy zbliżała się jesień, Flanahan oświadczyła lekarzowi, że nie ma okresu i chyba jest w ciąży. Badania to potwierdziły. Poszła do Gutierrezza.

Przynajmniej nie zmarnowali ubiegłego roku. Praca biologa utknęła w martwym punkcie, bo nie mógł opuszczać kolonii, a wokół miał cały obcy świat, wymagający poznania.

A gdy jesienią kolejny Kaliban przeszedł przez ogrodzenie, nie uciekł i oglądał całą scenę. Usiadł i oglądał polowanie, a potem przez cały dzień miał silne bóle głowy. Myśliwi widzieli jego wzrok. A wieczorem przyszedł do Gutierrezza ten, który zabił jaszczura.

- Więcej nie będę strzelał - powiedział.

Także Flanahan nie brała od jakiegoś czasu udziału w polowaniach.

## 12.

### Rok 2, dzień 290 ery kolonialnej.

Na przednówku zimy, gdy zaczęły padać ulewne, mroźne deszcze, a przy ziemi snuły się mgły, pojawiły się w obozie pierwsze Kalibany, chcąc przenocować. Wynurzały się z mgły niczym duchy, pojedynczo jak Ariele, ale ich zachowanie nie było tak zwierzęce.

.lin obserwował je, śpiące pod namiotami, przeciągające się cicho, ocierające i skrobiące w płótno. Wtedy przyciskali z Pią syna ze strachu. Kalibany zdecydowanie różniły się od zielonych jaszczurek, do których wszyscy zdążyli się już przyzwyczaić.

- Nie powinny zrobić nam nic złego - szepnęła Pia. - Hipnotaśmy mówiły, że są łagodnie usposobione.

- A śmierć pani kapitan? - przypomniał jej Jin o Adzie Beaumont.

- To był przecież wypadek.

- Ale ludzie stale strzelają do Kalibanów.

Na to wspomnienie zasępił się. Dotychczas nikt na poważnie nie rozważał dylematu, czy Kalibany są zwierzętami, czy czymś więcej. Z góry założono, że są zwierzętami, bo ich kod genetyczny jakoby nie pozwalał na rozwój procesów myślowych. Jin mógł się z tym zgodzić, jeśli chodzi o małe Ariele, ale Kalibany były wielkie, poruszały się jakby z namysłem i przyprawiały go o strach.

Ciągnęły przez cały obóz. Nie było słyhać żadnych krzyków, wycia alarmu, mimo to azi mocno zasznurowali wejście do namiotu i czuwali. Ich syn spał w łóżku. Przy najmniejszym ruchu na zewnątrz obejmowali się mocno ramionami. Gdy następnego dnia wzeszło słońce, w obozie rozległy się krzyki. Jin wyszedł na zewnątrz i zobaczył, że kamienie przygotowane do budowy nowego domu zostały przez Kalibany ułożone w niski wał łączący się z jednym z domów. Sporo się namęczyli przy demontażu tej budowli. I właśnie wtedy po raz pierwszy odczuli dziwny lęk przed jaszczurami, który od tamtej pory stale im towarzyszył. Do zabobonnego lęku przed urodzonymi ludźmi doszedł nowy stres. A spowodowany był tą dziwną budowlą, którą teraz Jin rozbierał.

- Przerwać pracę! - krzyknął opiekun. - Niech obejrzą to spe cjaliści.

Z głównego obozu zbliżała się grupka ludzi. Jin przerwał pracę i przyglądał im się. Marco Gutierrez ze swoją ekipą robili zdjęcia i z zainteresowaniem oglądali wał ze wszystkich stron. Jin znał Gutierrezza, to do niego miał zwracać się w przypadku natknięcia się na jakieś osobliwości lub kontaktu z fauną planety. Twarz biologa zdradzała spore zaniepokojenie.

- Reagują zgodnie ze stadnym instynktem - oświadczył wresz

cie. Tyle to rozumiał nawet Jin. - Ariele wznoszą kamienne obozy, więc wydaje się, że to zostało wpisane w ich zachowanie.

Ale przecież Kalibany postawiły swoją budowlę w środku obozu, łącząc ją z budowlą ludzką, pomyślał azi.

W nocy wcale nie czuł się bezpiecznie, chociaż wokół obozu postawiono ogrodzenie pod prądem i Kalibany ich nie niepokoiły. Pomyślał, że powracają tylko wtedy, gdy pomiędzy namiotami snuje się mgła. Przytulił się mocniej do Pii i dziecka, szczęśliwy, że nie musi pełnić tej nocy wachty.

## 13.

### Rok 3, dzień 120 ery kolonialnej.

Wraz z nadejściem wiosny w całym obozie dało się wyczuć pełne napięcia oczekiwanie. Trzeciej wiosny miały przybyć statki. Wymowny szereg grobów nad brzegiem morza w jednoznaczny sposób pokazywał uszczuplenie kadry ludzkiej, przewodzącej zdobywaniu nowego świata. Oczekiwanie na przyłot ekspedycji uświadomiło wszystkim, że są jedynie pyłkiem w niezmierzonej przestrzeni kosmicznej.

- Kiedy oni wreszcie przylecą?

Przyłot był tematem większości rozmów. Wraz z przybyciem statków mieli ponownie mieć tak luksusowe i deficytowe towary jak mydło, żywność, leki. Miał też przybyć nowy sprzęt, który pozwoli zakończyć rozpoczęte prace budowlane i konstrukcyjne. Miały też przybyć nowe twarze, tak oczekiwana pomoc. Wszyscy liczyli również na laboratorium genetyczne i nowych azich, by przyrost naturalny regulować odtąd według potrzeb.

Wiosna jednak minęła, minął planowany dzień przyłotu i trzeba było wrócić do normalnego życia, w które zakradło się jednak zwątpienie. Przesztano mówić o statkach. Czekał na nie już tylko Conn.

Bolały go wszystkie stawy. Druga misja przywiozłaby konieczne mu lekarstwa i lekarzy, na których radach mógłby się wesprzeć. Ciągłe rozmyślał o Cyteen i grobie Jean, który - pozbawiony jego opieki - pewnie zarósł już chaszczami. Myślał o projektach, które musiał porzucić dla wyprawy. Rozpamiętywanie tego wpędziło go początkowo w nerwowy chichot, potem zamilkł, aż wreszcie zamknął się w swoim mieszkaniu.

Ciągle wierzył w rząd Unii. sądził, że musiało zdarzyć się coś, co przeszkodziło w wysłaniu misji. Ale przecież było to mało prawdopodobne. Nawet awaria po jakimś czasie jest naprawiona i konwój rusza dalej.

Dlatego wciąż czekał. Dzień po dniu.

A pewnego dnia Bob Davies zażył wszystkie lekarstwa, jakie przepisał mu lekarz. Przez cały dzień nikt nie zauważył jego nieobecności, wszyscy myśleli, że przebywa akurat na innym stanowisku pracy. Tymczasem Bob zamknął się w swoim pokoju i poszedł spać. Na zawsze.

Pochowali go obok Ady, spełniając jego ostatnią wolę. Ludzie zaczęli szeptać, że żona pociągnęła go za sobą. Ale Conn doskonale wiedział, że to brak statków drugiej misji pchnął go do tego kroku. Bob zawsze myślał, że przyłot statków jest pewny. To była nadzieja, która podtrzymywała go przy życiu, a gdy jej zabrakło, wyciągnął logiczny wniosek.

James Conn był na pogrzebie. Gdy było już po wszystkim, a azi przestali sypać grudy brunatnej ziemi na grób, poszedł do swojego mieszkania, zamknął się i nalał sobie porządnego drinka. A potem jeszcze jednego.

Tej nocy obóz otuliła gęsta mgła. Ludzkie sylwetki przemykały w niej jak duchy, podobnie obłe kształty Arieli. Słyszał też czyjeś ciężkie kroki, myślał, że to Kalibany. ale przecież mieli ogrodzenia, na ogół wywiązujące się ze swej roli.

Conn siedział przy jedynym na Gehennie biurku, popijał bo-urbona i rozmyślał o grobach: jednym na Cyteen, drugich na Gehennie, wspominał przyjaciół czasu wojny, którzy nie doczekali się pochówku, bo nie było co grzebać. Myślał o chwilach, gdy był blisko z Adą Beaumont, tak blisko, jak nigdy nie zdarzyło mu się być z Jean. Tydzień spędzony razem na stacji Fargone - nigdy nawet o tym nie wspomnieli swoim partnerom. Ich oddział stracił wówczas jedną trzecią stanu pacyfikując rebelię, jaka wybuchła w tunelach stacji.

Wspominał tamte dawno minione dni, przywoływał twarze, nazwiska. Czuł się szczęśliwy, że uśmierceni przez sklerozę towarzysze broni dołączyli teraz do niego. Pił z nimi wszystkimi.

1 zanim wzeszło słońce przyłożył do skroni pistolet i nacisnął spust.

## 14.

### Rok 3, dzień 189 ery kolonialnej.

Dojrzałe zboża kołysały na wietrze żółtymi kłosami. Azi używali do żniw starych, zapomnianych kos. Maszyny rolnicze stały popsute, a statki nadal nie przybywały.

Gutierrez spacerował na granicy obozu, przyglądając się żniwiarzom. Po jego prawej wznosiły się prowizoryczne, bo budowane w czasie wolnym od pracy, zabudowania azich. Materiałem był kamień, ale budowle groziły zawaleniem. Styl architektoniczny dyktowała matka konieczność - większość budowli przylegała do siebie, gdyż w ten sposób zaoszczędzono jedną lub dwie ściany. Gdy azi postawili pierwszy budynek, opiekunowie pochwalili ich za inicjatywę i wtedy budowle zaczęły powstawać jak grzyby po deszczu.

Ponieważ również potrzebowali miejsca, Marco i Kate poszli w ślady azich i ze starych cegieł wzniesli dobudówkę, która miała być pokojem małej Jane Flanagan-Gutierrez.

W polu widzenia pojawił się Kaliban. Marco już dawno zauważył, że ich aktywność zależy od pór roku. Jesienią pojawiały się w obozie, próbując przechwycić lokale na zimowe leża. Gdyby chociaż można udowodnić, że taktycznie są pozbawione inteligencji. Gutierrez wciąż przekonywał Radę, że należy zbadać wały za rzeką.

Tymczasem jednak wszystkie siły kolonii pochłaniały żniwa i owocobranie. To był teraz priorytet.

Gutierrez zaproponował, żeby obserwacje czynić na Kalibanie, który przedostał się przez ogrodzenie.

- A co się stanie, jeśli wykona podkopy pod domami azich? - protestowała Gallin, teraz przewodniczący Rady. - Albo, co gorsza, zniszczy plony?

- Musimy przecież nauczyć się żyć na tej planecie - argumentował Gutierrez, głośno wypowiadając wreszcie to, o czym nikt dotąd nie mówił. - Żaden statek z Cyteen tutaj już nie przyleci. Jak długo zamierzacie się izolować od świata, w którym przyjdzie wam żyć?

Zapadła głucha cisza.

Gutierrez zachował się grubiańsko. Zniszczył niepisana umowę. Teraz zbierał mściwe spojrzenia członków Rady. Ale większość twarzy nie wyrażała niczego. Wyglądali jak azi, nauczeni tłumić swój strach.

Poszedł więc sam, zanim zdążą wyjść z osłupienia, złapią za broń i rozpoczną polowanie. Mijał pola uprawne, wspinał się i schodził z kolejnych pagórków, aż wreszcie oddalił się od obozu poza zasięg głosu, co było wbrew regulaminowi. Wtedy usiadł na stoku i ujął lornetkę.

Długi czas obserwował ciągnące się nad rzeką wały. Widział jak dwa Kalibany używają całej dostępnej im siły, aby wrzucić bryłę ziemi na dach swojej budowli. Było już około południa, gdy zanotował swoje obserwacje i ruszył w stronę wałów. Kalibany skryły się wewnątrz budowli.

Przystanął.

Ogromna głowa wyłoniła się z dziury w wale. Z paszczy wysunął się rozdwojony język, potem jaszczur ukazał się w całej okazałości. Ten egzemplarz był brązowy, dwukrotnie większy od pozostałych, ze złotozielonymi pręgami na skórze. Nowy gatunek, którego jeszcze nie mieli okazji poznać.

Nie musiał już odpowiadać na pytania. Wszystko, co wiedzieli na temat Kai i banów, rozsypało się w gruzy. Nie było sensu układać nowej hipotezy. Nie wiedzieli nic. o niczym nie mieli pojęcia.

Gutierrez ciężko westchnął.

Siedmiometrowej długości stwór przyglądał się człowiekowi. Po chwili z wału wyszły jeszcze dwa szare, normalnej wielkości Kalibany, pływając wokół kolosa. Olbrzym zbliżył się w tym czasie do intruza. Marco mógł dostrzec więcej szczegółów jego budowy, więcej, niż miał na to ochotę. Kaliban nagle wyskoczył wysoko, na kilka metrów w górę i schował dziób w fałdy. Pozostałe tymczasem zaczęły schodzić ku rzece, niczym dwa zabłocone duchy stąpające dostojnie po trawie.

Brązowy osobnik jeszcze raz lypnął okiem na intruza, po czym też pognął ku rzece. Gutierrez odprowadził go wzrokiem. Pocałił, że drżą mu kolana. Zapomniał o swoich notatkach. Wrócił zamyślony do obozu.

Jak należało się spodziewać, tego wieczoru Rada postanowiła przegnać Kalibany na drugi brzeg rzeki. Następnego ranka

Gutierrez pociągnął z ekspedycją uzbrojoną w broń palną, długie kije i bosaki.

Lecz Kalibanów już nie było. Gutierrez domyślał się, co się stało. Jaszczury uczyły się na swoich błędach. Ich podkopy i budowle po tej stronie rzeki różniły się od wałów za Styksem.

Przyglądał się polowaniu i myśliwym, starając się nie uronić ani słowa ich komentarza. Wszystko należało zbadać i przemyśleć, dochodząc do wniosków, których najwyraźniej nikt nie chciał przyjąć

do wiadomości. Chociaż nikt już nie wierzył w przybycie statków.

- Nikogo nie schwytali - odezwała się ICate Flanagan. - Nie powiodło im się, prawda?

• Nie.

Nic więcej już nie powiedział.

## 15.

### Rok 3, dzień 230 ery kolonialnej.

• Jin! - wydierał się Jin Senior, a wtórowała mu Pia. Przeszukali już ulice wewnątrz obozu, a teraz przemierzali kwartały w pobliżu ogrodzenia. Bali się. Nie znali świata poza namiotami, a K.alibany mogły nadejść w każdej chwili.

- Widzieliście naszego syna? - pytali przechodniów, nikt jednak nie mógł im pomóc.

Pia chciała już wracać, ale Jin stawiał coraz dłuższe kroki. W brzuchu nosiła drugie dziecko. Słońce chyliło się ku zachodowi, a oni przeszukali już cały obóz, teraz nawet wyszli poza zasieki. Styks fascynował ich syna, bardziej niż inne dzieci.

- W północnej części obozu bawi się samotnie jakiś chłopak - pod powiedział im napotkany azi, kiedy byli już bliscy paniki.

Jin pobiegł we wskazanym kierunku i tak odnalazł wreszcie syna. w miejscu, gdzie kończyły się mury, a teren obniżał się, schodząc do rzeki. Kawałki wapienia znaczyły miejsce, gdzie wydobywano budulec na domy. Tam właśnie siedział Jin młodszy, pocierając o siebie dwa białe kamienie. Asystował mu przy tej czynności Ariel, dostarczając odłamków. Chłopak odwrócił głowę, by zobaczyć, kto nadbiega.

- Synu - odezwał się Senior. - Spójrz na słońce. Wiesz, Je nie wolno oddalać się przed zmierzchem. Zdajesz sobie sprawę, zeszkaliśmy cię z matką po całym obozie?

Mały Jin podniósł ku ojcu twarz, która nie była podobna do żadnego z rodziców, i spojrzał zabawnie przez czarne kosmykiwłosów opadających mu na oczy.

- To był błąd. Myśleliśmy, że uprowadziły cię Kalibany. -Miał nadzieję, że tymi słowami zawstydzi małego. Chłopak jednak się dział bez ruchu, podobnie jak jego towarzysz zabawy.

Wreszcie dotarła do nich Pia. Zdyszana oparła się o róg baraku azich. Objęła wyduęty brzuch i spojrzęła z powątpiewaniem na męża.

- W porządku, nic się nie stało - uspokoił ją.

• Wracamy do domu - wydyszała, wciąż nie mogąc dojść do siebie po nadmiernym wysiłku. - Jin! Natychmiast wstawaj!

Nic, ani słowa. Tylko uważne spojrzenie. Ojciec pogładził go po ciemnych lokach. Był zły i zatroskany. Odezwał się cicho:

- Powinni byli dać wam taśmy. Wszystko byłoby inaczej.ędyby taśmy jeszcze działały.

Odtwarzacze od dawna były popsute. Wszystkie, z wyjątkiem kilku, przeznaczonych do użytku Obywateli.

• Nie wiem co się dzieje z tym chłopakiem - zdenerwowała się Pia. - Pytałam opiekuna, ale mówi, że każde dziecko musi przejść przez taki etap i nic się nie da zmienić.

Jin potrząsnął głową. Syn przysparzał im wiele kłopotówwiro-ski. A użycie siły wobec niego napawało ich lękiem.

- Porządnie mu przylejcie! - powiedzieli kiedyś opiekunowie.

Raz Jin to zrobił, ale łyzy, krzyk i cała związana z tym atmosfera zszargały mu nerwy. Nigdy jeszcze nie płakał w taki sposób jak wtedy.

- Chodź, synu. Proszę - zwrócił się do chłopca. - Robi się już ciemno. Trzeba wracać.

Nie zwracając na nich uwagi junior dalej układał kamyki, wykańczając dzieło i dopełniając sploty spirali. Ariel krzątał sicprzy budowlu, wciskając brakujące kawałki dokładnie w luki, tam, gdzie było trzeba. Wzór składał się ze splotów i spiral, podobnie jaUały Kalibanów w obozie.

- Podnieś się wreszcie!

Pia nie wytrzymała, podeszła i wzięła dziecko na ręce, burząc przy tym misterną budowlę. Jin wyrwał się jej, wykręcał, chcąc dalej się bawić. Wyglądało, że chce uderzyć matkę. Wtedy nie wy-

trzymał ojciec. Złapał wpół dzieciaka i nie zważając na kopniaki ruszył ulicą w stronę domu.

Dopóki junior był mały potrafili okiełznać jego krnąbrny charakter. Ale teraz podrosł i kiedyś miał nadejść dzień, że sobie z nim nie poradzą. Leżąc wieczorem przy żonie i rozkoszując się ciszą, Jin rozmyślał, jak bardzo różnił się rozwój jego dziecka od tego, co mówiły hipnotaśmy. zanim się popsuly.

Najważniejszy i najmądrzejszy z Obywateli został pogrzebany nad morzem wraz z azimi, którym przytrafiły się nieszczęśliwe wypadki. Statki więcej nie przybędą.

Opanowała go nagle tęsknota za transmisjami podkorowymi, uspokajającym głosem taśmy, która zawsze mówiła mu to, co należało robić. Teraz miał wątpliwości. Nie był pewny, czy rzeczy na Gehennie toczą się ustalonym porządkiem. Syn, który jako mały brzdąc lubił się przytulać i przywracał im wiarę w ład świata, teraz ten ład wywracał na nice. Jego zachowanie klóciło się z wyobrażeniem, jakoby można oczekiwać od azich, by byli kiedykolwiek zdolni osiąść wiedzę pozwalającą okiełznać ich krnąbrne dzieci.

Czasem odczuwał strach przed własnym synem, a także przed tym nienarodzonym, które spoczywało jeszcze w brzuchu Pii.

Kiedy przybędzie statek - mieli w zwyczaju mówić azi.

Lecz już dawno przestali tak mówić.

I to też było nie w porządku.

## IV

# DRUGIE POKOLENIE

..■AUIIWg- ,>VMi.V.VJtt...-iEH\*ili-. ■>>■

Baza Gehenna 22 rok e.k.

i  
%

~/<<M

;\*:  
\*.....\*\*rrzt!

*mmmm*

!.:...:..

*m*

*sm*

S\$\*

\*CVf-

#

Wo<>

Baza Gehenna

\*sS8-

S%<sup>^</sup>

PERSONEL WOJSKOWY MISJI:

Porucznik James A. Conn, generalny gubernator, *zmarł w 3 roku ery kolonialnej*  
Kapitan Ada P. Beaumont, wicegubernator, *zmarła w roku lądowania*  
Major Peter T. Gallin, *zarządca*, przewodniczący rady  
Sierżant Ilya V. Burdette, korpus inżynieryjny  
Kapral Antonia M. Cole  
Specjalista Martin H. Anderson  
Specjalista Emilie Kontrin  
Specjalista Danton X. Norris  
Sierżant Danielle L. Emberton, operacje taktyczne  
Specjalista Lewiston W. Rogers  
Specjalista Hamill N. Masu  
Specjalista Grigori R. Tamilin  
Sierżant Pavlos D.M. Bilas, szef mechaników  
Specjalista Dorothy T. Kyle  
Specjalista Egan J. Innis  
Specjalista Lucas M. White  
Specjalista Eron 678-4578 Miles  
Specjalista Upton R. Patrick  
Specjalista Gene T. Troyes  
Specjalista Tyler W. Hammett  
Specjalista Kelley M. Matsuo  
Specjalista Belle M. Rider  
Specjalista Vela K. James  
Specjalista Matthew R. Mayes  
Specjalista Adrian C. Potts  
Specjalista Vasily C. Orlov  
Specjalista Rinata W. Ouarry  
Specjalista Kito A.M. Kabir  
Specjalista Sita Chamdrus  
Sierżant Dinah L. Sigury, szef łączności  
Specjalista Yung Kim  
Specjalista Lee P. de Witt  
Sierżant Thomas W. Oliver, kwatermistrz  
Specjalista Nina N. Perry  
Specjalista Hayes Branson  
Porucznik Romy T. Jones, dowódca komandosów  
Sierżant Jan Vandermeer  
Szeregowiec Kathryn S. Flanagan  
Szeregowiec Vharles M. Ogden  
Sierżant Zell T. Parham, Ochrona  
Kapral Quintan R. Witten  
Kapitan Jessica N. Sedgewick, radca prawny  
Kapitan Bethan M. Dean, chirurg  
Kapitan Ribert T. Hamil, chirurg  
Porucznik Regan T. Chiles, informatyk

#### PERSONEL CYWILNY MISJI:

Kierownictwo- 12  
Lekarz - 1  
Sanitariusze - 7  
Mechanicy - 20  
Bezpieczeństwo -12  
Informatycy - 6  
Archiwum - 1  
Rolnictwo- 10  
Harold B. Hill  
Geologia - 5  
Meteorologia - 1

Biologia - 6  
Marco X. Gutierrez  
Eva K. Jenks  
Jane E. Flanahan-Gutierrez, *urodzona w 2 roku ery kolonialnej*  
Oświata - 5  
Kartografia - 1  
Bioinżynieria - 4  
Budownictwo- 150  
Przemysł- 15  
Górnictwo - 2  
Energetyka - 8

PERSONEL POMOCNICZY MISJI: Klasa Alfa 2890

Jin 458-9998

Pia 86-687

Jin junior, *urodzony w roku lądowania*

Mark, *urodzony w 3 roku ery kolonialnej*

Zed, *urodzony w 4 roku ery kolonialnej*

Tam, *urodzony w 5 roku ery kolonialnej*

Pia Młodsza, *urodzona w 6 roku ery kolonialnej*

Green, *urodzony w 9 roku ery kolonialnej*

Klasa Beta 12389

Klasa M 4566

Ben, *urodzony w 2 roku ery kolonialnej*

Alf, *urodzony w 3 roku ery kolonialnej*

Ninę, *urodzony w 4 roku ery kolonialnej*

Klasa P 20788

Klasa V 1278

## **1. Rok 22, dzień 192 ery kolonialnej.**

To była bardzo długa wędrówka. Samotna droga pomiędzy pagórkami usypanymi przez Kalibany, ale przecież tam byli jej bracia. Pia szła z trudem, ledwie łapiąc oddech i powłócząc nogami. Ten odcinek prowadził pomiędzy najstarszymi wałami, porastały je krzaki. Nigdy nie zgadzała się ze swoimi braćmi nawet w błahych sprawach, ale teraz zdobyła się na wysiłek przebycia tej drogi.

Przed nią wznosiły się wapieniowe klify. Starsi dochodzili do tego miejsca z wapienia, a czasem nawet brali stąd budulec, ale dzisiaj nie o to im chodziło. Chcieli poradzić się jej braci. Bali się, odczuwając lęk na sarną myśl, że muszą przejść przez ziemie Kalibanów.

Chłopcy mieszkali w bardzo głębokiej jamie, utworzonej w naturalny sposób na początku ich pobytu. Posiadali całe sterty kamiennego budulca, który niekiedy wymieniali w osadzie na potrzebne im towary. Wielu młodych azich tutaj przychodziło, ale starszyznie nie zdarzało się to nigdy. Starszyzna skryła się w obozie głównym za palisadą z elektrycznym drutem i pod kopułami.

Pia dostała kolki od szybkiego marszu. Musiała nieco zwolnić.

Przeszła przez mały pagórek i wyszła na starą drogę, kiedyś pełniącą rolę łącznika pomiędzy kamieniołomami a obozem. W licznych pęknięciach uwiła sobie gniazdka roślinność, czasem wędrowcy musieli przedzierać się przez prawdziwe chaszczce. Minąwszy zakręt, Pia obejrzała się za siebie.

Za nią rozciągała się szeroko perspektywa całego poznanego świata, zakola Styksu, budowle Kalibanów, porozrzucane po obu stronach rzeki niczym niedbale rzucony szal. Niektóre wały były świeże, nagie, pozbawione roślinności, na najstarszych wyrosły już drzewa. Gdzieś tam widziała kopuły jaszczurów, małpujące budowle głównego obozu.

Ojciec mówił jej, że dopóki nie zobaczyły ludzkich budowli, nigdy nie wznosiły kopuł. Ale jak już posiadały tę sztukę, stawiały najpiękniejsze kopuły na tym świecie.

Jeszcze dalej widniały łagodne wzniesienia pól uprawnych, a na nich brązowiały rdzewiejące szkielety maszyn. Niedaleko od niej wznosiła się połyskująca w słońcu wieża z bateriami słonecznymi, zasilająca kilka kopuł przy głównym budynku obozu.



Wszystko to otwierało się na nią tylko dzięki jednemu długiemu spojrzeniu - z tej wysokości widziała cały świat.

To dlatego jej bracia lubili tu przychodzić, chcąc mieć prawdziwy i pełny widok obozu. Ona miała wtedy dopiero szesnaście lat i nie chcieli jej ze sobą zabierać.

- Za młoda jesteś - mówili, gdy chciała także brać udział w ich wyprawach. Ale ona wiedziała, co powiedzieliby rodzice, gdy by wiedzieli, gdzie się chce wybrać. Bracia odmawiając jej zgody, w pewien sposób spełniali rozkazy Rady, przestrzegające przed tak dalekimi eskapadami.

Ruszyła dalej. Minęła pagórek, przedzierając się przez gęste krzaki. Czuła się jednak bezpiecznie, bo w dzień należało się jedynie obawiać węży, które stanowiły pokarm Kalibanów. Oba gatunki odstraszał hałas, czyniła więc swoim przemarszem jak największy rumor.

Zza skał dobiegł ją gwizd. Odwróciła się błyskawicznie i dostrzegła za kamienną krawędzią czyjąś głowę, a potem ramiona. Wiatr rozwiął czarne włosy i wtedy dojrzała twarz. To był jej brat. Zed.

- Idę do was! - krzyknęła.
- Czekamy - odpowiedział.

Bez jego pozwolenia nie mogłaby się dostać na górę, gdzie czekało całe towarzystwo. Otrzeptała się z kurzu po wspinaczce. Przyspieszyła kroku, minęła kilka ostatnich zakrętów i wreszcie stanęła na płaskiej, skalnej płycie. Jedyłą roślinność na tym pustkowiu stanowiły dzikie jagody. Za wrota służyły dwa kamienne bloki.

Tu mieszkali jej wszyscy starsi bracia.

A także .lane Flanahan-Gutierrez z głównego obozu, ciemnoskóra kobieta z czarnymi, kędzierzawymi włosami. Sama w towarzystwie mężczyzn.

W jednej, nagłej chwili uświadomiła sobie, co oni robili na tym odludziu. Wyczytała to w oczach swoich braci, były w nich jakieś dziwne ogniki, igrające jak letni skwar przed wieczorem.

Wyglądali teraz starzej, poczuła się nieswojo w ich obecności. Także .lane wydawała się nieobecna duchem, w podartym i rozpiętym kombinezonie, patrzyła na Pię, jakby była powietrzem. Oprócz braci było tu jeszcze kilku chłopców, poznała Bena, Alfa i Nine'a z dolnej dzielnicy. Wraz z Zedem, Jinem, Markiem i Tamem stanęli naprzeciwko nieproszonego gościa, tworząc zwartą ścianę ciał.

- Dlaczego pozwoliłeś jej tutaj przyjść? - zapytał Ben Zeda.
- Wiem, co tutaj robicie - przerwała mu, nie pytana. Czuła, że się czerwieni.

Ciągle jeszcze odczuwała zmęczenie po długiej wspinaczce, oddychała z trudem, nieco szpatmatycznie. Zdawała sobie sprawę z własnej śmieszności, wywieszzonego języka, zadyszki.

Tymczasem Jane Flanahan-Gutierrez nonszalancko usiadła na skale, podparła się pod boki i przyjęła wyzywającą minę.

- Myślicie... -- wychrypiała z trudem, nie mogąc pozbyć się suchości w gardle - że dokonaliście czegoś nadzwyczajnego? Przysłał mnie wasz ojciec, Jin, żebym sprowadziła was do domu, wszystkich. Green znowu zaginął i trzeba pomóc w poszukiwaniach.

Bracia usiedli na skale, jedynie Jin nadal stał, patrząc na nią spode łba. Green był najmłodszy z rodzeństwa.

• Chłopczyk zniknął? - zapytał Ben, odwracając ku pozostałym twarz wykrzywioną niesmakiem, zupełnie jakby chciał zbuntować resztę rodziny przeciw najmłodszemu z braci. Ale Jin przybrał poważną minę. Był najstarszy i miał posłuch u pozostałych.

• Siedź cicho - odezwał się tonem, którego musieli usłuchać. Widać było, że się zmartwił. - Kiedy to się stało? - zwrócił się do siostry.

- Chyba rano odpowiedziała, a w jej serce wkradła się nadzieja. Przypuszczalnie wyszedł z obozu z innymi dziećmi, a potem się od nich odłączył. Nikt nie wie nic pewnego. Pia szuka go w mieście, a Jin wśród wałów. Prosi was o pomoc. Słyszycie? Wasz ojciec was prosi... jest naprawdę przestraszony.

Wkrótce zapadnie noc.

• Mimo to nie przerywaj poszukiwań. Przecież Green mógł wpaść do jakiejś jamy. Jin nie przestanie szukać, dopóki go nie znajdzie.

- Wszystko dla jednego Greena...
- Jin •\* Pia zwracała się tylko do niego, bo on tu był przywódcą. - Ojciec prosi cię o pomoc.
- Zatem chodźmy.

Stało się jak chciała. Pozostali chłopcy kiwnęli głowami na zgodę.

- A co zrobić z waszym bratem, jak już go znajdziemy? - zapytał Ben, patrząc na Pię.

Wtedy o swojej obecności przypomniała im Jane:

- Ja muszę z powrotem do obozu. Obiecaliście mnie odprowadzić.
- Ja mogę to zrobić - powiedziała Pia, z nagłym błyskiem w oku. - Ścieżka w dół jest rzeczywiście

trudna. Ktoś bez troski łatwo może wpaść tam w tarapaty...

- Licz się ze słowami! Nie zapominaj, z kim rozmawiasz!
- Aaa, to o to chodzi, księżniczko z głównego obozu. Urodzona, a ja jestem tylko zwykłą azi...

Myślisz, że to wystarczy, by mnie przestraszyć!'

- Zamknij się, Pia! - krzyknął Jin.

• Jeden z was... - Jane potoczyła wzrokiem po chłopcach - musi mnie odprowadzić. Nie będę tu siedzieć sama, czekając, aż odnajdziecie swojego brzdąca. Wiem o nim wszystko.

- Nie zabawimy długo, musisz tylko cierpliwie czekać...
- Najpierw ona musi stąd zniknąć - Jane wskazała palcem Pię.

Pia podniosła się bez słowa i ruszyła ścieżką w dół. Ledwie dotarła do pierwszego wzniesienia, gdy usłyszała za sobą chrobot zsuwających się kamieni i dostrzegła idących młodych mężczyzn.

- Poczekajcie! krzyczała gdzieś z góry Jane. - Nie możecie

mnie tak tutaj po prostu zostawić.

Pia uśmiechnęła się z satysfakcją. Jane zostanie odprowadzona do obozu nie wcześniej niż znajdzie się Green. Krzyczała za nimi, sypiąc wiązanką, jaką Pia słyszała pierwszy raz w życiu. Nie zwracała jednak na to uwagi, szła ścieżką, po której hulał wiatr, podnosząc chmury pyłu.

- Co za gamoń z tego Greena mruknął Ben. - On zawsze będzie robił to, na co ma ochotę. Wcześniej czy później spotka go coś złego...

Cisza! - przerwał te wywody Jin.

Ben posłusznie zamknął gębę, zachowując dla siebie swoje teorie.

Droga powrotna wydała się Pii bardziej przyjemna, chyba z racji towarzystwa, jakie szło za nią. Czasem tylko pokazywała z przemęczenia. Jej bracia byli bardzo wyrośnięci - łatwiej przychodziło im pokonywanie piaszczystych wzniesień, poza tym ona miała już za sobą drogę w jedną stronę. Mimo zmęczenia nie chciała jednak, by zwolnili.

Green...

Kto wie, może Ben miał rację co do ich najmłodszego brata. Był z nich wszystkich najdzikszy, pomimo swych trzynastu lat wałęsał się bez strachu pomiędzy wałami. Starsi również łązikowali, ale nie wypuszczali się nigdzie samotnie. W dodatku Green nie zniknął po raz pierwszy; zdarzyło się to już trzykrotnie.

- Tym razem... - mówiła z przerwami dla zaczerpnięcia oddechu - to my musimy być tymi, którzy go odnajdą. Wątpię, by udało się to ojcu.

Jin zbliżył się do niej i powiedział tak, by inni tego nie dosłyszeli:

- Tym razem mamy chyba do czynienia z sytuacją, o której wspominał Ben...

Prawdopodobnie miał rację. Pomimo tego szli dalej. W dole widzieli już lasy, w których można było natknąć się na Kalibany. Tuż przed nastaniem nocy dotarli do wałów okolonych zielenią.

- Gdzie mamy go szukać?

Pia wskazała odległe zabudowania.

- Od obozu w kierunku rzeki.
- To dobry pomysł - zgodził się Jin.

Pochylił się, wygładził ręką kawałek piasku i patykiem nakreślił znak. Pozostali zebrali się wokół niego.

- Myślę, że ja i Mark powinniśmy poszukać ojca. Mamy przed sobą najdłuższą drogę. Zed z Tamem pójdą trasą średnią, towarzyszyć im będą Ben i Alf. Rozdzielcie się w miejscu, gdzie do przeszukania wałów wystarczy dwóch ludzi. Ninę z Pią pójdą w stronę rzeki i to oni mają największe szanse na odnalezienie Greena. Chciałbym, żeby to właśnie wam się udało. Prowadząc poszukiwania w ten sposób, zakreślimy kolo, w którym powinniśmy odnaleźć ojca, zanim dopadną go Kalibany.

To był cały lin. Chłodny, rozsądny i wyrachowany.

Pia spojrzała na nakreślony znak, podniosła się i chwyciła za rękę Nine'a. Miał osiemnaście lat, podobnie jak Zed. Promienie zachodzącego słońca oświetlały go krwawą poświatą. Jak wszyscy

chłopcy poruszał się zgrabnie, cicho i zwinnie. Pia odczuła pewne odprężenie. Cieszyła się, że nie była podobna do matki, która poruszała się bojaźliwie nawet po mieście. Pia była dumna ze swojej niezależności i umiejętności podejmowania decyzji. Taki sam był Green, dojrzały i wyrosnięty ponad wiek.

Teraz pewnie stracimy go na zawsze, pomyślała. Green powinien odejść, aby mieć to wszystko za sobą. Skończyłoby się nieustanne zabieganie o jego względy, w czym przodowali rodzice. Jeśli jednak mieliby go stracić, nie wolno zapominać o stwarzaniu pozorów. Urodził się w ich domu i chociaż był wyobcowany z rodziny, nie wolno było zapominać o pokrewieństwie fizycznym.

Ręka w rękę, krok za krokiem przemierzali zarośniętą drogę pomiędzy budowlami jaszczurów. Gdy mijali ciemne wyloty wyjściowe, przyspieszali kroku. I choć czasem wyglądały z zarośli spodkowane oczy lub wysuwał się rozdwojony język, większość Kalibanów pozostawała skryta przed ich wzrokiem.

Droga stawała się coraz bardziej podmokła, od ziemi ciągnęło wilgocią i chłodem. Prawdopodobnie tej ścieżki używały zwierzęta, idąc do wodopoju. W błocie widniały ślady potężnych łap. Wszędzie śmigaly, jak zwykle zabiegane i zaafierowane. Ariele, z głuchym plaskaniem wałąc ogonami o blocko.

Z drzew wynurzały się czasem jaszczurkopodobne stwory, by zaraz zniknąć w otwartej paszczy większych osobników. Jakże Pia brzydziła się tych zwierząt. Patrzyła na ich oślizgłe karki i przepastne gardziele, i przechodziły ją dreszcze.

Przeszli ostatni odcinek drogi dzielącej ich od brzegu rzeki. W sitowiu porastającym brzeg Kalibany wytyczyły mnóstwo ścieżek, nad którymi unosiły się chmary insektów.

Kompletne pustkowienie. Ani śladu ludzkiej stopy.

- Musimy chyba tu poczekać - odezwała się do towarzysza. - Nie mógł pi"zej.ś obok nas, chyba że wybrał drogę na wschód, przez pagórki.

Przykłęka nad lustrem wody. nabrała jej pełne dłonie i połała głowę. Ninę zrobił to samo.

- Dlaczego nie mielibyśmy sobie pozwolić na chwilę wytchnienia? - odparł i spojrzał na nią błagalnie.

- Sądzę, że powinniśmy ruszyć w stronę pól uprawnych.

- To strata czasu.

- W takim razie wracaj!

- Myślę, że moglibyśmy zrobić coś przyjemniejszego.

Spojrzała na niego spod półprzymkniętych powiek. W jego oczach dojrzała ten sam błysk, który widziała u Jina na szczycie.

- Wybij to sobie z głowy.

Przyciągnął ją gwałtownie do siebie. Uderzyła go mocno po rękach. Cofnął się.

• Idź sobie do Jane. Sprowadź ją tutaj. Na co czekasz! "

• Co ci jest? Boisz się?

• Wracaj do Jane!

• Zwariowałaś.

Napędził jej strachu. Serce waliło jej jak młotem.

- Wierzę, że miło jest baraskować z Jane, zwłaszcza w licznym towarzystwie, aleja stanowczo odmawiam i radzę ci, żebyś się ode mnie odwalił.

Ninę był wyższy od niej o ponad głowę. W mieście mieszkali Z rodzicami w jednym namiocie. Mimo to wszyscy wiedzieli, że między Pią a nim nigdy do niczego nie doszło. Już ona troszczyła się, żeby przekonać o tym swoich braci.

Wreszcie zrozumiał. Nadąsał się i otrzepał dłonie z pyłu.

• Masz rację. Wracam, nic tu po mnie.

• Jasne, zmiataj stąd!

• Jesteś strasznie zimna.

• Mów sobie, co chcesz. Z pewnością usłyszysz ode mnie właściwą odpowiedź. Zmuszasz mnie, żebym ci nawymyślała. W ten sam sposób przywozisz do zła moich braci. Nie zapominaj jednak, że was jest tylko trzech, a nas sześcioro...

- W tej chwili jest was już tylko pięcioro.

Odszedł.

Dopiero teraz spostrzegła, że ma wilgotne dłonie. Nie była pewna, czy to z powodu skwaru, wściekłości czy złości, że zniechęciła do siebie Ninc'a, który przecież wcale nie byłby zły na ten pierwszy raz. Lecz jego osobowość - o ile taką posiadał - wcale jej nie odpowiadała. Co do wyglądu i powierzchowności - tu nie miała zdania.

Teraz, gdy decyzję już podjęła, pomyślała o matce, gdy była jeszcze młoda, przed narodzinami Greena. Przypomniała sobie te wszystkie lata jego dzieciństwa, gdy całe rodzeństwo musiało się o niego troszczyć, porzucając inne, ciekawsze zajęcia.

Ninę miał chyba rację, w tej chwili było ich tylko pięcioro. Green mógł przepaść bez wieści.

Wraz z jego zniknięciem wreszcie ustana wszelkie udreki. Będzie mogła przecież udowodnić, że poszukiwała brata. A potem, gdy już wspomnienie o najmłodszym wyblaknie w umysłach jej rodziców, wszystko pójdzie normalnie, swoim właściwym trybem.

Rodzeństwo było zdecydowane odzyskać rodziców dla siebie. Dlatego bracia poszli za nią.

Gdy Ninę odszedł, postanowiła zostać na brzegu rzeki, rozglądając się po okolicy, zgodnie z instrukcją najstarszego brata.

Przybrzeżne skały zapewniały jej dobry punkt obserwacyjny. Nie bała się Greena ani innych. W tej chwili potrzebowała tylko takiego miejsca, z którego mogła obserwować okolicę, sama nie będąc widzianą.

## 2.

Słońce było już w zenicie, gdy Jin Starszy przemierzał pustkowia, całkowicie zdesperowany, ale i pełen wątpliwości co do celowości dalszych poszukiwań. Oddech miał płytki, zmysły napięte do granic możliwości, wszędzie wyczuwał zagrożenie. Otaczały go wary, ziejąc ciemnymi wylotami wejść, a z każdego mogły się wynurzyć Kalibany.

Młode jaszczury, wielkości człowieka, wyprzedzały go na ścieżce, czasem przystawały, by mu się ciekawie przyjrzeć. Wtedy schodził ze szlaku, obchodził niebezpieczny teren, a potem znowu wychodził na trakt.

Mógłby głośno wywoływać syna, ale Green nigdy nie reagował na dźwięk swego imienia, zresztą, mówił też niechętnie i niezmiernie rzadko. Jin postanowił więc oszczędzać głos.

Musiał sprowadzić syna do domu. Mimo niedogodności postanowił odnaleźć go w tym obłąkanym, szalonym pustkowiu, innego rozwiązania nawet nie brał pod uwagę. Green był jego synem. To był fakt, pomimo bezspornego wyobcowania najmłodszego członka rodziny. Gdy tylko spostrzegli, że chłopak znikł, udali się na poszukiwania. Pia zaglądała do wszystkich domów:

- Widzieliście może naszego chłopca? Albo wasze dzieci o nim słyszały? Czy możecie mi w jakiś sposób pomóc?

Wiedział, że inni mieszkańcy miasta będą zamykali przed nią drzwi swego domu, nie chcąc, by cudze problemy zburzyły rodzinne szczęście, równowagę ich domostw.

Nie mieli żadnych szans.

Wiedział o tym, podobnie jak to, że poszukiwania nic nie dadzą. Jediną nadzieję pokładał jeszcze w swoich zbuntowanych dzieciach, które - podobnie jak Green często przebywając na odludziu - mogły się lepiej w nim orientować.

Zwolnił. Przedzierając się przez zarośla porastające wały, ogarnięty czarną rozpaczą opadł już prawie z sił. Słońce miał cały czas za plecami, bezustannie podążał za swoim cieniem.

Jakaś postać poruszyła się za przydrożnym krzakiem, wyskakując na trakt. Spojrzał na nią, nie wierząc własnym oczom. Przypomniał sobie wszystkie gatunki jaszczurów, jakie widział, lecz ten tutaj był całkiem inny. Cały las pełen był tego paskudztwa. Małe jaszczurki wczepiały się w jego ubranie, wdrapując na plecy, sprawiając wrażenie, jakby napadło go stado polnych myszy.

Zrzucił je z siebie i poszedł szybko dalej. Te jaszczurki też należały do fauny planety, dopiero teraz uświadomił sobie, że gatunków musiało być mnóstwo, znacznie więcej, niż mogły wybić pistolety i ogrodzenie pod napięciem.

Nocami dzikie, miejscowe życie wdzierало się do miasta, wprowadzając dzieci, odzyskując stopniowo zagrabioną przez ludzi przestrzeń.

Jakieś masywne cielsko wychylnęło z jednego z wylotów - Ariel. Zaraz za nim wysunął się język jakiegoś Kalibana. Ariel

hcl, I n l, ; ml. vii ii N,mi, ,! ; , t, i, , , i, uih. ui. ^1 i i ) i i ^niMiąi vv ciLiuiostiaui uuiuiu.

Jin rzucił się w bok i pobiegł na oślep przed siebie. Nie stać go już było na młodzieńczą prężność ruchów. Wreszcie zatrzymał się i usiadł, opierając plecami o ścianę jednej z budowli, tuż obok wzniesionej przez Kalibany kopuły.

Podskoczył, gdy między drzewami mignęła mu biała sylwetka.

- Green!

To nic był jego syn. Jakiś nieznany mu chłopak przykucnął przy skale, całkiem nagi. Miał chude nogi, sterczące żebra, zmierzwiłone włosy i dziki wzrok.

- Zejdź na dół! - krzyknął Jin, ile sił w płucach.

W jego głosie była prośba. Przemawiał do chłopca łagodnie, nie chcąc go przestraszyć. Ten chłopak był jego nadzieją...

Chłopak podskoczył i pognął przed siebie w dół zbocza, przez las. Jin także się podniósł i pobiegł za zbiegiem, widząc jak ten znika w ciemności wejścia do jednego z wałów. Potwierdziły się najgorsze obawy Jina, który od dawna podejrzewał, że to właśnie tam żyją wszystkie zagubione dzieci z miasta.

- Green! - krzyczał, sądząc, że może ich tu być więcej, a Green po prostu przyłączył się do ich grupy. Może któryś z dzieciaków słyszał o jego losie, może Green miał tu swoich przyjaciół.

Nie otrzymał jednak żadnej odpowiedzi. Ciemności tunelu nie wydały swojej zdobyczy.

Podszedł bliżej, cały spięty. Zbliżył się do wejścia, wetknął w nie głowę. Poczł wyraźny, silny zapach wilgoci i pleśni.

W oddali, z głębi tunelu dobiegł go jakiś odgłos. Ktoś się tam poruszał.

- Green!

Ziemia stłumiła jego krzyk. Ukląkł, walił dłońmi w ziemię, czując beznadziejność swoich wysiłków.

Jego dzieci były wyrodne, całkowicie stracone dla niego i Pii. Były ogarnięte szaleństwem tej planety, każde z osobna i wszystkie razem. Green, który wydawał się być inny, był jeszcze większą osobliwością niż pozostałe dzieci. Jego oczy zawsze patrzyły w dal, Jin nigdy nie poznał jego myśli.

Green otrzymał złe imię. Był całkowitym przeciwieństwem wiosennej zieleni, był raczej ciemną stroną bytu. podobny do kogoś wiecznie zanurzonego w mglistych oparach nocy. Nocy, które Kalibany upodobały sobie, by pokonywać bariery i wchodzić do obozu. Green był ucieleśnieniem tajemnicy. Pograżał się w mrocznym szaleństwie, uwielbiał elektrowstrząsy, dla których wybierał się do ogrodzenia, kochał taplać się w błocie, ganiał po okolicznych wzgórzach z Arielami, wraz z nimi układał z kawałków wapienia piramidy.

Jin płakał.

Doświadczył tego, co przeżywają prawdziwi ludzie.

Dowiedł, że jest do nich podobny. Oddał się rozpacz, wiedząc, że znikąd nie przyjdzie pocieszenie. Hipnotasmy dawno wyszły z użycia. Nie miał nic, co mogłoby ukoić jego ból.

Teraz będzie musiał stanąć przed Pią, a nie był jeszcze na to gotowy. W wyobraźni zobaczył swój powrót do domu bez syna - kapitulacja przed zachodem słońca. Gdyby ją teraz rozczarował, sama by poszła na wały. Postarzała się, zmęczona licznymi ciężkami. Jak mogłaby teraz stracić syna, po przeżytym bólu porodu.

Tutaj nie miał czego szukać. Wstał i ruszył dalej traktem pomiędzy wałami. Wciąż zapuszczał się w nieznany sobie teren. Musiał dojść aż do rzeki, niezależnie od strachu, który paraliżował mu nogi. Musiał się trzymać ścieżki wiodącej od miasta do Styksu, inaczej się zgubi.

Krzaki nad nim poruszyły się. Spojrzał tam, spodziewając się zobaczyć syna lub Kalibana.

Znalazł syna. A nawet dwóch.

Jin i Mark, niczym lustrzane odbicia tego samego modelu, stali na zboczu, otoczeni rachitycznymi drzewkami porastającymi zbocze.

- Ojcie - odezwał się Jin Junior, w jego głosie dała się wyczuć nuta dumy i wyższości, że oto może przemawiać do zrozpaczonego ojca z wyżyn wału. W pozie, którą przybrał, czuć też było chłód i obcość. - Ojcie...

Jin 458 stał z podniesioną głową, patrząc na syna. Ból po stracie Greena odebrał mu pamięć. Nie wiedział, czego chcą od niego na tym pustkowiu ci dwaj młodzi ludzie.

- ...to chyba za daleko, jak na twoje możliwości.
- Green zniknął. Posłałem do was Pię, widzieliście ją? -Tak. Dlatego wyruszyliśmy na poszukiwania.

Jin Senior odetchnął. Kolana mu drżały, a brzemień straty jeszcze bardziej przygięło go do ziemi, jakby nagle przybrało na wadze.

- Czy możemy go tutaj odnaleźć?

• Trudno powiedzieć - odezwał się Mark, wyglądający niczym cień swego starszego brata

• Pia... - stary azi odwrócił się w stronę domu. - Powiedziałem jej, że pójde nie czekając na was, żeby obejść jak największy obszar. Miała tu przyjść po przeszukaniu miasta, ale, jak widzicie, jestem sam. Chyba zabrakło jej sił...

- Powiedz nam - przerwał mu Jin młodszy - czy gdyby to któreś z nas się zgubiło, też byś

przyszedł na wały? Czy zrobiłeś to tylko z powodu Greena?

- Przecież gdy byliście młodszy, robiłem to samo dla was.
- Jin cofnął się, jak uderzony. Nie spodziewał się takiej odpowiedzi.
- Nasza siostra poszła w dół rzeki. Dobrze byłoby okrążyć cały obszar niecki, żeby złapać Greena w kleszcze.

- A gdzie Zed i Tam?
- Szukają w okolicy. Pewnie spotkamy ich po drodze.
- To Pia jest sama nad rzeką?
- Nie. Poszła z Nine'cm. Od Greena nie powinno jej spotkać nic złego.

Jin zbiegł po pochyłości wału, tuż za nim pobiegł Mark. Obaj stanęli przed ojcem.

• Nie wiem czemu przejmujesz się tak losem naszej siostry, przecież dopiero co wysłałeś ją samotną do naszej siedziby.

- Powiedziała, że dobrze zna do was drogę.

Obaj synowie popatrzyli na ojca wzrokiem, w którym wyraźnie dostrzegł swoją słabość wobec ich zaradności. Oni byli przecież ludźmi z urodzenia, wolnymi w swych decyzjach, niezależnymi w sądach i suwerennymi w uczuciach i nastrojach. Nie byli zależni od niczego i nikogo.

- Chodź z nami! - powiedział jego najstarszy syn.

Więc poszedł za nim, zawstydzony tą ich wolnością, swobodą widoczną w każdym ruchu. Oni nie pracowali na polach jak pozostali azi, lecz robili, co chcieli, handlowali z osadą, sprzedawali im swoje wynalazki. Byli dzicy. Nie byli podobni do Kalibanów, którym można było podrzucić przynętę. Byli leniwi, a własną wygodę przedkładali nad wszystko inne.

Jin 458 próbował kiedyś nimi kierować, prowadzić ich przez życie, ale oni przecież nigdy nie słuchali taśm, nie wiedzieli, co to posłuszeństwo. Ani synowie, ani córka.

A jego najmłodszy syn, Green, sam dla siebie był wyrocznią, nie trzymał nawet ze swoimi rówieśnikami. Prawdopodobnie była to najlepsza droga, lecz Jin czuł się winny, nie mogąc przekazać im własnego doświadczenia, historii, którą przeżył. Jednak dzieci nie chciały słuchać o kolonizacji, o statku, który przywiózł osadników, o lądowaniu i oczekiwaniu na nowe statki, które nigdy nie przybyły. Nie chciały wiedzieć, co było powodem powołania kolonii na Gehennie, ani o swoich obowiązkach wobec tego planu.

Te poszukiwania Z najstarszymi synami były pierwszą wspólną ich wyprawą. On - stary azi, podążający za swoimi młodymi synami, czuł się jak dziecko.

### 3.

Droga wzdłuż brzegu rzeki była nadzwyczaj interesująca. Pozostawili w tyle korytarz pomiędzy wałami i szli teraz doliną Styksu, po białych kamieniach wyrzuconych na brzeg, omijając wykroty i pagórki powstałe w trakcie kolejnych wylewów rzeki.

Kalibany potrafiły się odgradzić od humorzastej rzeki skalnymi płytami, co zabezpieczyło je przed podniesieniem poziomu wody. Skały otaczały zarośla, przez co całe miejsce wydawało się nieprzyjazne. Pia przysiadła na kamieniu do połowy zanurzonym w wodzie, chłonąc chłód i wilgoć od wymytych korzeni jakiegoś drzewa, które wystawały z wody, obejmując czule skałę. Kamień był cały porośnięty mchem.

Ryby co rusz wyskakiwały z wody, a wśród wapiennych załomów przemknął wąż, goniąc coś w kierunku przybrzeżnych kałuż. Na przybrzeżnym piasku pełno było śladów Arieli i pomniejszych jaszczurek, ślady czerniały też wilgocią na kamieniach. Pia spojrzała w stronę skał rzucających wydłużone cienie, w ich szczelinach rosło sporo rachitycznych krzaków i drzewek. Dostęp do nich miały tylko co zwinniejsze zwierzęta, człowiek, bez odpowiedniego sprzętu, mógł tylko pomarzyć o wspinaczce. Pewnie mieszkało tam wiele gryzoni, ale nie mogła żadnych dostrzec.

Pia zatęskniła już do braci.

Z zamyślenia wyrwało ją głośnie pluśnięcie, jakiś kształt przemknął obok.

Obróciła się gwałtownie. Oddech powrócił, gdy dostrzegła sylwetkę w kombinezonie, idącą pomiędzy skałami.

- Green - odezwała się cicho, spokojnie, z całą delikatnością, na jaką było ją stać. Chłopak rzucił przestraszone spojrzenie w jej

stronę, widać było, że też ma pietra. - Green, nasz ojciec cię szuka...

Skiniecie głową. Charakterystyczne spojrzenie. Pewnie chciał jej powiedzieć, że niczego innego się nie spodziewał. Rozumiała go bez słów. Znała jego sposób wyrażania się.

- Dobrze wiesz, jak bardzo są z matką zdenerwowani...  
Powtórne skinięcie. Ale twarz nie wyrażała żadnej troski.  
Wtedy przypomniała sobie, dlaczego tak bardzo nie lubili młodszego brata. Głównie za sprawą tej jego kamiennej twarzy, nie okazującej żadnych uczuć, bezbarwnej w wyrazie. Ta obojętność ze strony Greena wiele zmieniła w życiu ich rodziny, a pojawiła się wraz z jego narodzinami.

- Widzę, że nic cię to nie obchodzi. Rzucił jej uroczyste spojrzenie.
- Co chcesz zrobić? Zamierzasz zagłodzić się na tym pustkowiu? Pokręcił przecząco głową.
- Powiedz coś! Chociaż ten jeden raz odezwij się do mnie. Green kucnął przy brzegu, podniósł płaski kamień i położył na

drugim. Przestał ją słyszeć. Wiedziała to.

- Ładnie - pochwaliła brata. Przez chwilę miała ochotę ostrzec brata, że wkrótce będą tu inni, w głębi ducha chciała, by miał czas umknąć i zniknąć, nie przysparzając im więcej kłopotów. Ale nie wypowiedziała tych słów głośno, wygrało wyrachowanie. Nie dla tego, żeby miała jakieś skrupuły, ale ze względu na ojca. Nie mogła by spojrzeć mu w oczy i powiedzieć, że Green po prostu jej uciekł.

Ostrożnie zbliżała się do Greena, zaabsorbowanego układaniem kamieni. Była coraz bliżej...

Dotknęła jego ramienia...

Budowla z kamieni rozsypała się, potrącona ręką budowniczego. Green wyprostował się, obrócił i powalił ją na wilgotny mech. Zaczęli się szarpać. Nagle wyrwał się z jej uścisku.

- Green! - krzyknęła, ale on skrył się już za skałami. Zniknął jej z oczu.

Usiadła w wodzie, poruszona tą jego ucieczką. Ten fakt wstrząsnął nią do głębi. Była też wściekła, bo młodszy brat ją pokonał, a zdarty naskórek na kolanach mocno piekł.

Zniknął.

Wreszcie się go pozbyli!

Podniosła się i spróbowała oczyścić.

Gdy przybyli jej bracia z ojcem, opowiedziała im, co zaszło.

- Wepchnął mnie do wody - relacjonowała ponuro. - Uderzył mnie, a potem uciekł.

Nie była pewna, czy właśnie tego od niej oczekiwali. Uważnie przypatrywała się reakcji ojca.

- Zadał ci ból? - zapytał Jin Młodszy tonem, który napenił jej serce ciepłem. Nie mówił tak do niej od czasów dzieciństwa.

Bracia troszczyli się o nią, interesowali jej losem. Jin wziął ją w ramiona i przytulił, czego nie robił od bardzo dawna. Spojrzała na innych. Na jej twarzy zagościł uśmiech i triumf.

Znowu była dla nich siostrą.

Patrzyła na Marka, Zeda, Tama. Oni wiedzieli, co to znaczy. Wiedzieli, że już niejedną raz dawała z siebie wszystko. Była jedną z nich, spiskowcem. Kto wie - może także morderczynią...

- Zrobiłaś, co do ciebie należało - powiedział ojciec.

Spojrzała mu prosto w oczy. Nie odczuwała żadnych wyrzutów sumienia. Tak, w jego mniemaniu zrobiła wszystko.

• Musisz wrócić z ojcem do domu - rozkazał Jin Młodszy. - A my jeszcze rozejrzemy się po okolicy.

• Nie! Nie chcę tego - zaprotestował ojciec. Bał się tego miejsca, w tej chwili musiał się zatroszczyć o resztę dzieci. - Green jest już stracony.

Jakże słodko było usłyszeć te słowa, Pia od dawna ich oczekiwała.

- Ja jeszcze będę prowadził poszukiwania - stwierdził najstarszy z jej braci, po czym obrócił się na pięcie i poszedł brzegiem rzeki między skałami, nie pytając nawet, w którą stronę pobiegł Green.

To był zły kierunek.

Mark poszedł za nim. Pia zrozumiała, o co w tym wszystkim chodzi.

- Wracajmy lepiej do domu - zaproponował Zed. - Robi się całkiem ciemno, wkrótce Greena nawet nie dostrzeżemy, choćby przeszedł obok nas. Tylko się zgubimy.

- Tak. Masz rację - odpowiedział ojciec, zrezygnowany.

Wtedy Pia poczuła wstyd. Nie z powodu rezygnacji ojca, ale z powodu jej samej.

Proste „lak” po wielogodzinnych poszukiwaniach, w terenie, którego bał się całe życie. Jej bracia byli skłonni wracać z każdego powodu, ale ostatnią motywacją byłby dla nich Green. On już ich nie interesował.

Jin i Mark wracali tylko po tą, którą zostawili w kryjówe. Zbliżała się noc, trzeba było odprowadzić Jane Gutierrez do domu, zanim wpadnie w panikę i zgubi się na bezdrożach.

Co zaś dotyczyło się ich najmłodszego brata. To on sam zdecydował się na ucieczkę, na pozostanie w ciemnościach. Sam wybrał to mroczne pustkowia, sam podjął decyzję.

Ninę wracał do domu ze swoimi braćmi. Nie mieli nic wspólnego z ich ojcem, a jeszcze mniej ze swoim.

A Jin Starszy należał wreszcie do nich, jak wcześniej, przed urodzeniem się Greena.

#### 4.

Jane Flanahan-Gutierrez wędrowała szybko ścieżką między wałami, a słońce zachodziło, rzucając ostatnie blaski na ciemne skały. Nogi jej drżały ze zmęczenia, poruszała się coraz niepewnie w zapadających ciemnościach. Strach uczynił pierwszy wyłom w jej odwadze, w dodatku z brzucha rozlegało się co chwila niepokojące burczenie.

Potykając się na nierównościach terenu przeklinała azich, tak pięknych, ale jednocześnie tak pustych i próżnych. Jej matka wielokrotnie powtarzała, żeby trzymała się od nich z daleka.

Ojciec nie mówił nic. Jak zwykle.

Ich rozmowy ograniczały się do nudnych wykładów, których przedmiotem były statki kosmiczne, laboratoria rozrodcze z klonami i dalekosiężne plany, których nigdy nie udało się zrealizować. Ojciec wciąż ją pouczał, kazał rozmyślać o przyszłości, ona tymczasem wcale nie miała ochoty tego słuchać.

Piękni i próżni.

Bez serca.

Żaden mężczyzna z głównego miasta nie dorównywał im urodą, nikt nie był tak przystojny jak Jin i jego bracia. Byli stworzeni po to, by swą twardą męskością zaludnić szybko ten nowy świat. Tęskniła za nimi, tylko z ich powodu zgodziła się na tę wędrowkę, zrodzoną z obyczajów nowo narodzonych azich.

Powędrowała więc z nimi, a oni ją zaraz potem opuścili, zostawili na stromej górze, samotną na pustkowiu, w zapadających ciemnościach. Potraktowali ją jak obcą, przestało dla nich znaczyć to, że Jane Flanahan-Gutierrez poszła z nimi, by ich osiąść.

Wściekłość dodała jej sił w wędrowce przez czepiające się kombinezonu zarośla, przez skalny labirynt. Szła pomiędzy wałami, orientując się gwiazdami widocznymi już na niebie. Nagle dostrzegła jakiś ruch.

Tuż przed nią stanął chłopiec.

Serce załopotało jej w piersi.

W słabym świetle dostrzegła brudny kombinezon, długie włosy. Z pewnością był to człowiek. W obozie takich, którzy wybrali życie w interiorze - jak Green - nazywano nieprzystosowanymi. Chłopak nie miał nawet dziesięciu lat, ale mógł być lepszym przewodnikiem niż Jin i jego towarzysze, którzy ją uwiedli i porzucili. Mógł jej pomóc.

- Mieszkam w obozie - powiedziała, mimowolnie przybierając nonszalancką pozę, z jaką zwracała się do azich. - Muszę odnaleźć drogę do domu. Prowadź!

Chłopak bez słowa odwrócił się do niej plecami i zanurzył z powrotem w krzakach, z których wyszedł.

- Zaczekaj na mnie! - krzyknęła, bo zalała ją fala paniki. Dodatkowo obawiała się gniewu matki, gdy spóźni się za bardzo. Ale chłopak najwyraźniej nie miał zamiaru jej pomóc. Kiedy się ściemni, jej ojciec pewnie wyśle w teren poszukiwaczy. Jane zaczęła w myślach przygotowywać odpowiedzi na wymówki ojca i usprawiedliwienie długiej nieobecności. Zgubiłam się, jestem taka bezbronna...

- Poczekaj na mnie!

Krzaki ponownie się rozstały i dostrzegła cienie kilkunastu nieprzystosowanych, wyciągających ku niej ręce w milczeniu.

- O, co to to nie... Nie róbcie tego... Serce waliło w jej piersiach jak oszalałe.

- Pójdę sama, dziękuję wam za pomoc. Rozmyśliłam się... Zdażyła się dokładniej przyjrzeć kilku z nich. Zauważyła w ich

oczach tę samą intensywność i dzikość, co w oczach Arieli. Szaleńcy.



- Muszę iść do domu. Moi przyjaciele już mnie szukają. Podeszli do niej bliżej. Przez szereg przebiegło ledwie widoczne drzenie. Niektórzy nosili kombinezony, ale większość była byle jak okryta jakimś łachmanami, szmatami. Wszyscy milczeli, wariaci, aż niespełna rozumu. Przypomniała sobie o tym pierwszym, który stał teraz za jej plecami. Odwróciła się i spojrzała mu w oczy. To wystarczyło.

- Zostaw mnie. Nie dotykaj mnie swoimi łapami! - krzyknęła, ile sił w płucach. W ogóle starała się zachowywać jak najgłośniej.

Miała nadzieję, że ci obszarpańcy choć przez krótką chwilę mieszkali w mieście i przyzwyczaili się do słuchania rozkazów. Matka uczyła ją w szpitalu, jak być zdecydowaną w kontaktach z azi mi, jak dowodzić ludźmi. Musi wiedzieć, co chce osiągnąć, a jeśli będą się wzbraniaли wykonać rozkaz, powinna go im dokładnie wyjaśnić. Matka cały czas przysposabiała ją do życia w społeczności klonów.

A ojciec...

Wpychając gdzieś palce, powinnaś wiedzieć, co cię może spotkać, mówił jej, gdy została pogryziona przez owady.

Teraz długo przyglądała się chłopcu i dopiero poniewczasie zorientowała się, że została otoczona. Nieprzytomnie kręciła się wkoło, próbując ich przestraszyć, znaleźć jakąś lukę w szeregu.

Oni jednak zacieśniaли krąg, aż poczuła bliskość ich ciał. Pomyślała, że chyba nadszedł czas jej śmierci. Chociaż jednemu postanowiła przyłożyć, lecz po chwili była unieruchomiona, trzymali ją za ramiona, za włosy. Kilku trzymało pałki, gestami pokazali jej, co się stanie, gdy zacznie krzyczeć.

To idiotyczne, pomyślała. Żaden z nieprzystosowanych nikogo dotąd nie zabił. Byli dziwni, ale konsekwencja działania nie była ich zaletą. Pewnie za chwilę tracą nią zainteresowanie i wtedy im uciekną. Prowadzili ją pomiędzy sobą, ledwo dotrzymywała im kroku. Rozglądała się uważnie, starając się zapamiętać jak najwięcej szczegółów z ukształtowania terenu. Jeśli nie odnajdzie jej lin z braćmi, to na pewno uczynią to rodzice, znający ten obszar. Za rodzicami pojawiają się uzbrojeni strażnicy, a wtedy ci smarkacze dostaną za swoje. Ale teraz najważniejsze było, żeby nie użyli wobec niej przemocy.

Droga wiała się między formacjami skalnymi, ledwie się domyślała kierunku, w którym zmierzali. Zaczęła ją dopadać depresja i zwątpienie, ale zdrowy rozsądek kazał jej te uczucia zwalczyć.

Wreszcie doszli do ciemnego wzniesienia - kopuły jaszczurów. Jakiś chłopak pokazał jej ręką, że ma wejść do środka.

- O nie. Nie zmusicie mnie, żebym weszła do tej nory, rozumie cie?! Oni tu przyjdą i zabiją was! - krzyknęła, przypominając sobie polowanie na Kalibany.

- Włóż! - chłopak wyciągnął rękę, wskazał palcem ciemny otwór, po czym zacisnął dłoń w pięść, demonstrując tym siłę. Wydało jej się, że ten gest zmusił do posłuchu całą okolicę. Czyjeś ręce zaciśnęły się wokół jej ramion i pociągnęły, bezwładną, w stronę otworu do kopuły. Prowadzili ją do młodego, pięknego mężczyzny.

- Green - szepnęła w chwili, gdy rozpoznała tę twarz.

Był bardzo podobny do swoich pięknych braci, ale jednocześnie odmienny.

Był szalony.

Wszyscy pozostali też podeszli do niej. Mężczyźni i kobiety.

-- Już was poszukują - powiedziała. - Lepiej się stąd wynoście.

Podszedł do niej jeden. W jego oczach widziała obłęd. Jane chciałaby być kamieniem, ta myśl ją uspokoiła, do czasu, gdy mężczyzna dotknął jej piersi.

- Ludzie z obozu z pewnością tego nie pochwalą.

Zaraz pożałowała swych słów. Jeśli chciała stąd wyjść żywa, nie powinna im grozić. Chłopak obmacał jej odzież, a Jane stała bez ruchu, bojąc się o swoje życie. Nie chciała znaleźć się pod tym brudasem. Oni wszyscy byli bardzo brudni, ale ich ruchy były łagodne. Byli przyjaźni, głaskali ją po włosach, delikatnie dotykali. To uspokoiło ją nieco, skierowało w stan między marzeniem a snem.

## 5.

- Nie ma jej - powiedział Jin, rozglądając się po płaskowyżu. Spojrzał na brata, jakby Mark

wiedział, co pchnęło Jane do samotnej wędrówki. - Po prostu zniknęła.

- Widocznie zdecydowała się zejść sama - Mark stwierdził rzecz oczywistą dla nich obu.

Jin ruszył do przejścia pomiędzy dwoma skałami i zaczął zbiegać w dół.

- Musimy zwołać pozostałych - krzyczał za nim Mark. - Trzeba zorganizować poszukiwania.

- Ty idź! - odkrzyknął Jin.

Brat jeszcze wołał coś za nim, ale on tylko biegł w dół. Na zachodzie błyskało jeszcze trochę pomarańczowe słońce, ale wokół zapadła już ciemność. Ta kobieta przyszła tu za nimi - a głównie do niego - bo on i jego bracia posiadli umiejętność zdobycia każdej kobiety, jakiej pożąkali. Przyszła tu dobrowolnie, łamiąc tym samym wszelkie obowiązujące zasady. To była jej własna decyzja, nikt jej nie zmuszał, ale trudno było dociekać, co ją spowodowało.

Było im cudownie, w ich kryjówce - oni tylko się zmieniali, a ona, równie dzika co oni, nawet nie poprosiła o chwilę przerwy. Była odważna, ale Jin nie przypuszczał, by ktokolwiek z głównego obozu, nawet gdyby wspiął się samotnie pod górę, potrafił sam zejść. Ona widać miała więcej odwagi niż rozsądku, dlatego nie mogła usiedzieć w jednym miejscu.

Jane Flanahan-Gutierrez była kimś więcej niż tylko człowiekiem z urodzenia. Jej ojciec zasiadał w Radzie, a matka dowodziła ochroną, więc na pewno czekały ich specjalne szykany.

- Jane! - krzyknął, zbiegając ścieżką w stronę wałów. W krętym labiryncie co chwila gubił w ciemnościach drogę, ale zawsze ją odnajdywał. Po omacku.

-Jane!

Przypomniawszy sobie jej chmurną minę, gdy ją opuszczali na górze. Jeśli udało jej się zejść w dolinę, musiała przechodzić między wałami Kalibanów. Miał nadzieję, że szła tędy. Lecz im bardziej zagłębiał się między budowle, słysząc syczenie i stąpanie Kalibanów, coraz bardziej ogarniał go strach. Nie dbał już o własne bezpieczeństwo, obawiał się tylko, co mogło przytrafić się dziewczynie, nie znającej tutejszych niebezpieczeństw.

Można było bowiem przejść tędy niepostrzeżenie, nie będąc zauważonym przez jaszczury, ale istniały jeszcze inne pułapki: głębokie wykroty, nagłe spadki terenu oraz nieprzystosowani, koczujący w tych stronach. Te dzikie dzieciaki miały zwyczajnie dużo groźniejsze od zachowań Kalibanów.

Obsiadły go skrzydlate jaszczurki, które całymi stadami gnieździły się w drzewach. Ledwo zdołał się od nich opędzić.

- Jane! Jane!

Kiedy dotarł do ostatniego wału, był totalnie zmęczony i spocony. W mroku widział już światła obozu. Opadł na kolana i próbował uspokoić oddech. Powoli mszył dalej. Niewiele osiągnął w swoich poszukiwaniach, a myśl, że przyjdzie mu stanąć przed Gutierrezem prawie go sparaliżowała. „Przepraszam, sir, ale czy pańska córka już wróciła? Zostawiłem ją na wzgórzu, a jak wróciłem, już jej tam nie było”.

Fakt, nigdy nie widział ojca Jane zdenerwowanego, ale mimo to wołał uniknąć tego spotkania. Sprawy jednak powoli przybierały taki obrót, że nie było innego wyjścia.

Wtem ktoś zawołał obok niego.

- Ej, ty! Wracasz z obozu azich?

Jin prawie stanął na baczność. Z ciemności wyłonił się Masu - strażnik.

-Tak, sir.

Skłamał, ale przecież nie do końca. Szedł bowiem wzdłuż obozu azich.

• Znikła kobieta z sekcji biologicznej. Flanahan-Gutierrez. Rano wyszła z miasta i dotąd nie wróciła. Może wiesz, czy tę okolicę niżej już przeszukano?

• Nie wiem - odpowiedział Jin, czując jak oblewa go zimny pot. - Nikt nie wie, gdzie mogła pójść?

• Nie. Powiedz tym w obozie, że tutaj jestem, dobra?

• Oczywiście. Zorganizuję pomoc - obiecał, a serce prawie wypadło mu z piersi. Pognał przed siebie tak szybko, jak tylko mógł.

Teraz będącej szukać, myślał ze strachem, a ci z głównego obozu zawsze znajdują to, czego szukają. Dowiedzą się, kto zawinił i oskarżą ich. Nie miał pojęcia, jakie mogą być konsekwencje takiego czynu. Dotychczas żaden człowiek nie zgubił drugiego.

Jin wiedział tylko, że nie ma ochoty natknąć się na poszukiwaczy.

Zaczął się drugi dzień od zaginięcia Jane. Gutierrez siedział na skalnym okapie i zwilżał usta wodą z manierki. Poszukiwacze przemierzali wszystkie sektory pomiędzy górami a obozem i pomiędzy obozem a rzeką.

Obok niego usiadła żona. Spojrzała na niego straszonym wzrokiem, pełnym cierpienia.

Żołnierze poruszali się dwójkami. Do poszukiwań włączyli się azi znający teren. Jeden z nich przyszedł do nich, opowiedział co się stało, a teraz pomagał w poszukiwaniach. Przestraszony chłopak, pomimo zmęczenia zebrał wokół siebie ochotników i ruszył pomiędzy wały. Jego upór nie brał się z bezinteresownej chęci niesienia pomocy. Powodem była Jane.

Dziwny był ten świat. Gehenna.

Dopiero zaginięcie jego córki spowodowało, że zaczęli dokładniej badać ten teren, którego przez lata tak się obawiali.

Tymczasem Jane była dzieckiem Gehenny. Nigdy nie widziała innych światów, miast, technologii. Nie przejawiała żadnych chęci do nauki. Widziała tylko len osobliwy świat, na nim skupiała swoje spojrzenia i ciekawość, obdarzając zainteresowaniem rzeczy, których pożądała. Dla niej istniała tylko rzeczywistość. Nie było przeszłości ani przyszłości. Gdy próbowali ją uczyć historii, pytała, na co jej się przyda tutaj ta wiedza. Ona pragnęła wiedzieć, jak zbudowana jest łuska jaszczurów, co robią zwierzęta za rzeką.

Do czego miałyby jej służyć wiedza o innych planetach? Przecież ma żyć tutaj. Tu się przecież urodziła. Na Cyteen jest chyba za wiele reguł.

Dzień minął, po nim noc i nastał kolejny poranek, a Kate nic już nie mówiła, oparła się tylko o ramię męża, a on ją przytulił.

- Niektórzy opuszczają swoje domy - odezwał się po długim milczeniu. - Dzieci azich porzucają miasto, wybierając pustkowia. Może Jane także zapragnęła zamieszkać na tych wzgórzach?

- Nie! - sprzeciwiła mu się z całą stanowczością Kate. - Jane nigdy by czegoś takiego nie zrobiła! To przerwało dalsze rozważania.

- Zatem zabłądziła. Nietrudno o to w tym labiryncie chaszczy i skał. Na szczęście uczyłem ją przetrwania na pustkowiu...

- A może wpadła w jakąś rozpadnię? - Kate podała inną ewentualność. - Może teraz cierpi... W tych warunkach trudno rozpaść ognisko.

- Wciąż wierzę, że ona jeszcze żyje - powiedział Gutierrez.

- Nawet z połamanymi nogami powinna znaleźć sobie wodę i coś do jedzenia. Jeśli czeka w jakimś jednym miejscu, to na pewno ją odnajdziemy. Jest rozsądna i jest dzieckiem tej planety. Czy sama tak nie twierdziła?

Rozmawiali jeszcze przez chwilę, podobnymi rozważaniami dodając sobie odwagi, a potem ruszyli na dalsze poszukiwania.

## 7.

Jane przebudziła się w zupełnych ciemnościach z krzykiem. Wrzask zamarł jej w gardle, gdy poczuła intensywny zapach mokrej ziemi i uświadomiła sobie, że zaraz pochwycy ją silne ręce...

Było jednak cicho. Nie słyszała żadnego szmeru czy oddechu. Leżała nasłuchując. W okalających ją ciemnościach wzrok był bezużyteczny. Bolało ją całe ciało, straciła poczucie czasu. Przeszłość wydała jej się nierealna, zastąpiona koszmarem sennym o nagich ciałach, zwierzęcym spółkowaniu, śliskiej skórze, łuskach. Jane czuła się bezradna, odarta ze swych umiejętności przetrwania, a nawet pozbawiona zdrowego rozsądku.

Leżała w ciemnościach sama, nieprzystosowani, po wykorzystaniu jej, zniknęli. Co teraz? Wypełniło ją przerażenie, choć wydawało jej się, że strach majuż za sobą. Bycie opuszczoną i zagubioną odkryło przed nią nowe pokłady strachu. Nigdy dotąd nie zdarzyło jej się być tak zagubioną.

Myśl, powtarza) jej zawsze ojciec. Całą swoją uwagę poświęć swemu otoczeniu.

Znajdowała się w labiryncie podziemnych korytarzy. Jak mocny mógł być sufit? Tunele w kopułach miały zwykle kilka wylotów, gdyż tylko w ten sposób ich budowniczy zapewniali sobie przepływ powietrza. Wyraźnie czuła na twarzy chłodny powiew.

Te tunele wykopały Kalibany. Jeśli pójdzie w złym kierunku, może zginąć w labiryncie. Wzięła głęboki oddech i poruszyła się.

W tym samym momencie poczuła na swym gołym ciele czyjeś macki. Jakaś potężna postać nachylała się nad nią.

Krzyknęła przeraźliwie, ale głos stłumił ziemny labirynt. Rozpaczliwie zamachała rękami.

Odszedł, zaskoczony jej determinacją.

Ariel. Samotny, stary Ariel. Wycofywał się tyłem w kierunku wyjścia, jak to zwykły czynić jaszczurki, gdy coś je wystraszyło. W ten sposób poznała właściwy kierunek - to stamtąd wyraźnie do-  
latywał powiew wiatru.

Odetchnęła z ulgą i ruszyła na czworakach za Arielem. Po omacku przedzierała się tunelami, wciąż bojąc się wstać, by nie uderzyć o powałę. Wreszcie ujrzała przed sobą mętne światło, początkowo nikle, wreszcie coraz jaśniejsze, większe. Wyszła na zewnątrz, chroniąc oczy, porażone nagłym blaskiem.

Kątem oka dostrzegła jakiś ruch.

Zobaczyła młodego mężczyznę, jednego z azich, klęczącego przy wylocie tunelu. To był ten sam, którego spostrzegła jako pierwszego. Był sam.

- Gdzie reszta? Ukryli się?

Wokół było mnóstwo chaszczu, porastających przejścia między wałami i skałami, wydawało się, że rosna wszędzie.

Wtedy spojrzała w lewo i zobaczyła zwałistą postać Kalibana, przycupniętą nad zwałowiskiem kamieni. Wyprostowany mógł mieć ze cztery metry wysokości, może nawet więcej... Był brązowy, potężniejszy od tych, które zwykle widziała. Patrzył na nią jednym okiem, którego źrenica - w odróżnieniu od innych jaszczurów - nie była podłużna, a okrągła. Łapę wspierał o ziemię... nagle spadła jakaś gałązka, a jaszczur przeniósł ciężar ciała nieco do przodu.

Patrzyła na Kalibana jak urzeczona. Wydawał się być, co było nieprawdopodobne, oswojony. Zwierzę ostrożnie stawiało kolejne kroki, zbliżając się do dziewczyny. Dopiero wtedy uświadomiła sobie niebezpieczeństwo.

Krzyknęła. Rzuciła się na porośnięte krzakami zbocze. Nikt jej nie zatrzymywał. Spojrzała za siebie na zwierzę, które stanęło zdezorientowane, na aziego, siedzącego w kucki. Młody mężczyzna wtedy podniósł się i podszedł do jaszczura. Spojrzył na Jane i położył ręce na karku zwierzęcia.

Rzuciła się do biegu. Gnała przez skalny labirynt, przedzierała przez zarośla i pokonywała kolejne wzniesienia. U podnóża jednego z pagórków dostrzegła Kalibana, obok drugiego. Serce podeszło jej do gardła. Jaszczur podniósł się, walnął ogonem o ziemię, po czym ruszył w stronę widocznej dalej rzeki. Wtedy rozpoznała teren, w jakim się znalazła: skały sterczące z wałów i Styks.

Straciła oddech. Nie mogła dalej biec, nie miała już sił. Przystanęła, ciężko dysząc. Drżącymi dłońmi doprowadziła do jakiegoś porządku strzępy ubrania okrywające jej ciało. Skryła się w krzakach. Walczyła z napływającymi łzami, brudną ręką ocierała pot i łzy z twarzy, rozsmarowując na niej ziemię.

- Hej! - ktoś krzyknął z tyłu.

Podniosła się i rozejrzała, czuła się jak dzikie zwierzę w potrzasku.

To byli strażnicy z obozu - Ogden i Masu. Stali na polanie między wałami.

Drżąc, wyprostowała się. Z jej twarzy odpłynęła prawie cała krew, gdy zauważyła, że obaj mężczyźni spostrzegli jej nagie ciało.

• Na górze! - krzyknęła, pokazując skały za ich plecami. - Tam mnie schwytali i uprowadzili! Widzicie ich?

• Kto? - zawołał Masu. - Kim byli?

• Tam, z tyłu! - krzyczała dalej chaotycznie, nie chcąc składać im szczegółowszych wyjaśnień, pragnąc, by wspomnienie uśmiechniętej bandy azich zostało wymazane z jej pamięci.

• Zaopiekuj się nią - polecił Masu Ogdenowi -- a ja zawiadomię pozostałych, że ją znaleźliśmy. Musimy zbadać okolicę.

• Tam są Kalibany - wychrypiała, patrząc to na jednego, to na drugiego. Ogden ujął ją za ramię. Gdy poczuła dotyk jego palców, zdała sobie sprawę z nagości. Zakryła dłońmi piersi.

- Widziałam tam gatunek Kalibanów, jakiego nie znamy...

Ogden pociągnął ją za sobą. Obejrzała się za siebie. W niebo wystrzeliła raca.

• To sygnał - wyjaśnił jej Ogden. - W ten sposób wszyscy się dowiedzą, że cię znaleźliśmy.

• Tu mieszkają dzicy ludzie - mówiła. - Żyją między wałami i w nich...

• Cicho już, wszystko będzie dobrze... - Ogden wydawał się nie słuchać jej paplaniny.

• Ale to prawda. Oni tam żyją. Nieprzystosowani. Razem z Kalibanami.

Ogden patrzył na nią wzrokiem jej ojca. Był równie stary jak on.

- To się już skończyło, zabieram się stąd. Możesz iść o własnych siłach?

Wzięła głęboki oddech. Drżała. Kiwnęła mu głową.

Ogden wziął ją na ręce, jakby była piórkiem.

Wkrótce spotkali innych poszukiwaczy, pragnących powitać zaginioną kolonistkę. Zobaczyła rodziców. Chciała do nich podbiec, lecz nie zrobiła tego. Stała czekając, aż oni podejda do niej, przycisną do piersi. Najpierw matka, potem ojciec. Oboje płakali. Jane już się wyplakała.

- Wróć po Masu - powiedział Ogden. - Może mieć kłopoty.
- Powinniście ich wykończyć - zimnym i nienawistnym głosem odezwała się Jane.

Powoli odzyskiwała godność, skrywając swą nagość w ramionach rodziców.

• Jane... - zapyta! ojciec. W jego oczach widziała łzy. jej oczy były suche. - Co właściwie się stało?

• Schwytali mnie w przejściu między wałami Kalibanów, a potem... potem... Nie chcę o tym mówić...

Spuściła głowę na piersi.

Ojciec jeszcze mocniej ją przytulił.

- Wracamy do domu! - zakomenderowała matka.

Jane ruszyła z nimi, nie czując już strachu, oprócz chłodnego dystansu do tego, co jej się niedawno przytrafiło.

Niedaleko granicy obozu ojciec wspomniął o wizycie u lekarza.

- Nie! - zaprotestowała stanowczo. - Chcę od razu do domu.
- Czy oni cię... - pytanie matki pozbawiło ją pewności siebie, poczuła się niezręcznie.

Zaczerwieniła się.

-O, tak. Wiele razy...

## 8.

• Musimy być stale czujni! - Gallin potoczył wzrokiem po szefach poszczególnych sekcji, zebranych na nadzwyczajnym zebraniu. - Cała załoga. Trzeba je wreszcie przegnać i postanowić, co z nimi zrobimy na przyszłość. Zamknięcie się w obozie było poważnym błędem. Nie powinniśmy byli dopuścić do ucieczek dzieci i młodzieży. Koniecznie musimy wzmocnić ogrodzenie. Poza tym wyprawimy się na wały z karną ekspedycją i oczyścimy je z nieprzystosowanych.

• Oni są ludźmi - zaprotestowała prawniczka. Aż uniosła się z krzesła. Miała popielate włosy od kuracji odmładzającej. - Nie możemy do nich strzelać!

Poparł ją Gutierrez.

- Powinniśmy zmobilizować wszystkich mieszkańców miasta i wrócić do niezrealizowanych planów z początku kolonii - położyć głębokie fundamenty pod mocne bariery. Możemy ich wystrzelać i zniwelować wały, ale nikt nie da nam gwarancji, że historia się nie powtórzy. Ekspedycje karne nie spełnią swych zadań. Za ogrodzeniem dzieją się rzeczy, których nie rozumiemy. Może kształtuje się swoista symbioza dwóch gatunków. Powstaje nowa społeczność... nie wiem. Nie znamy ich zwyczajów i zasad, n/e mamy pojęcia o motywach, które nimi kierują. Możemy ich zabić, ale wątpię, byśmy coś przez to osiągnęli.

• Zmobilizujemy azich - poparł go Gallin. - Uzbroimy ich i wyszkolimy.

• Na litość boską, po co?! - wykrzyknęła prawniczka. - Chcecie wysłać ich przeciwko Kalibanom? Czy żeby pozabijali swoje dzieci?"

• Najwyższy czas zaprowadzić w tej kolonii porządek! - zdenerwował się przewodniczący Rady. Podwójny podbródek falował ze złości, gdy patrzył na swych antagonistów. - W życiu azich musi wreszcie zapanować ład. Odtwarzacze hipnotaśm już dawno się zepsuły, coś więc musimy im dać w zamian. Inaczej zwariują! Rozmawiałem z opiekunami - potrzebujemy jakiejś przewodniej idei, na której oprzemy ich społeczność. Inaczej wszystko się rozpadnie. Zorganizujemy więc oddziały bezpieczeństwa i zbudujemy strefę buforową. Postawimy warty, zapewnimy obozowi bezpieczeństwo.

• Przed czym? - jeszcze raz zapytał Gutierrez, a ponieważ dobrze znał wybuchowy charakter Gallina, dodał: - Sir!

• Uspokój się! - Gallin aż podniósł się z krzesła i zaczął mówić wolno, wyraźnie akcentując każde słowo: - Na tym świecie musi zapanować porządek. Zabraniam wycieczek poza ogrodzenie. Zero tolerancji.

Gutierrez usiadł, zrezygnowany. Od pozostałych zebranych uniósł się pomruk aprobaty, wyraźnie jednak podszyty strachem.

Mijały lata, a Kalibany coraz bardziej zbliżały się do miasta. Nikt nie znalazł skutecznego sposobu na przeciwstawienie się tej ekspansji. Gutierrez wątpił, by zmilitaryzowane oddziały cokolwiek tu

zmieniły.

Tego dnia wrócił do domu przygnębiony i z rozstrojem żołądka.

Kate i .lane przywitały go z zadowolonymi obliczami. Jego córka obejmowała matkę ramionami, ciesząc się z decyzji Gallina.

W .lane dokonała się zasadnicza zmiana. Nigdy wcześniej nie miała tak twardego spojrzenia. Od czasu wyprawy na ziemię Kalibanów wydorowała i oddaliła się od ideałów ojca, akceptując punkt widzenia i światopogląd matki. Nic już jej nie dziwiło. Przestała prowadzić swoje małe badania nad otaczającym ją środowiskiem. Ciutierrez obserwował jak coraz bardziej zamykała się w sobie. Ten proces postępował i miał trwać do momentu, aż obóz oddzieli się od reszty Gehenny i powróci uczucie bezpieczeństwa.

Wkrótce azi mieli rozpocząć musztrę.

## 9.

Pia Młodsza wyniosła z domu wiadro. W ich maleńkim, dwuizbowym mieszkaniu pełno było porozwieszanych przedmiotów: mokrych ubrań, cebuli, ziół, plastikowych garmków. Łóżko dziewczyny stało w kącie, a małżeńskie łóżko rodziców w drugim pokoju. Zwinięte koce i karimaty należały do braci, szykujących się do wyprawy.

Matka siedziała na podwórzu i ostrzyła siekiere. Stara, milcząca kobieta.

Pia wyszła przed dom. Dotknęła ramienia starszej kobiety. Oselka śmigała wzdłuż ostrza.

Jej ojciec...

Ojciec poszedł z synami. Matka niewiele się tym przejmowała, ostatnio mało uwagi poświęcała światu zewnętrznemu, skupiając się na pracy.

- Idę - powiedziała Pia do matki. - Zobaczę, jak to wygląda.

Nagle, w porywie gniewu, chwyciła oburącz ręce matki.

- Posłuchaj mnie! Oni nigdy nie odnajdą Greena. Ale nie martw się, on nie zginie. Da sobie radę.

Obiecując to matce czuła wyrzuty sumienia. Sama nie wierzyła w swoje słowa, w dodatku nigdy nie darzyła najmłodszego brata wielką miłością.

Jej wybuch nic odniósł skutku - matka spokojnie wróciła do ostrzenia siekiery.

Pia Młodsza podniosła wzrok i spojrzała w stronę granic miasta, gdzie budowano specjalny obóz. Jej ojciec tam był, wykonując

rozkazy Obywateli. Pomagali mu synowie, chociaż oni raczej markowali pracę.

Wolno wyszła na drogę prowadzącą na teren budowy. Początkowo nie chciała pokazywać matce, że tam idzie, ale Pia Starsza nie zwracała na nią uwagi.

Trening żołnierzy lubiła oglądać ze starego wału Kalibanów, w pobliżu miasta. Przykucnęła, wpatrując się w manewry.

Na polach uprawnych nie było żywej duszy. Młodzież porzuciła swoje normalne zajęcia.

Pia wiedziała, co postanowili jej bracia między sobą. Nosili broń i stwarzali pozory, że uczą się walczyć, ale gdyby miało dojść do ataku na nieprzystosowanych i dezertów, to mieli uciec i przyłączyć się do buntowników. Trzymali to w tajemnicy przed ojcem, który nosił broń z poczuciem dobrze spełnianego obowiązku i bardzo dokładnie starał się wykonywać rozkazy oficerów.

To była właśnie zasadnicza różnica pomiędzy ojcem a synami.

Pia zastanawiała się, jak bardzo dom opustoszeje, gdy zabraknie w nim braci. Zapewne opustoszeje też obóz, bo nie tylko jej bracia mieli zamiar uciec. Ona sama miała wkrótce skończyć szesnaście lat, czyli wkraczała w wiek dorosły. Wciąż rozmyślała, jaką podejmie decyzję.

Ale jej rodzice nie zrozumieliby jej odejścia. Ale właściwie nie rozumieli niczego, co robiło młodsze pokolenie. Pia od dawna wiedziała, że jest inna od nich, azich, klonów. Inne dzieci też to wiedziały.

Obserwowała manewry żołnierzy przez dłuższą część dnia.

Wieczorem jej bracia nie wrócili do domu.

Wrócił ojciec, wrócili sąsiedzi, rodzeństwo nie.

Długo czekali z kolacją. Zwinięta pościel leżała pod ścianą. Rodzice siedzieli przy stole bez słowa, wreszcie zabrali się za jedzenie, w milczeniu, ze wzrokiem wbitym w ziemię. W ciszy, jak zawsze, gdy zmagali się z dręczącym ich wewnątrz bólem.

W nocy przyszli oficerowie.

Zapukali do drzwi. Zapisali imiona braci, które podała im Pia. Rodzice nawet nie wstali z łóżka, ale nie spali. Drżeli, choć nie z zimna.

Wkrótce pojęli, co się wydarzyło.

## 10.

- Czas ruszać w dalszą drogę - powiedział Jones, gdy dotarli do linii posterunków obserwacyjnych. Kate Flanagan skinęła głową potakująco, patrząc na rozciągające się w oddali wały. Poprawiła pas z bronią.

- Wiemy, gdzie ukryli się uciekinierzy. Otrzymaliśmy szczegółowy raport od Masu i jego strażników, którzy obserwują całą dolinę. Musimy oczyścić ten teren jak najszybciej. Mamy już dwunastu dezertów, powiązanych drutem. Aż dziw bierze, skąd się wzięło to rozprężenie w oddziałach. Trzeba wyeliminować czynnik ludzki, wybić uciekinierów, zanim wszyscy aż nie uciekną z obozu. Uciekają całymi pododdziałami - jak widać, nie żywią sympatii do akcji pacyfikacyjnej. Ta powszechna mobilizacja to był błąd. Nie było potrzeby tak rozbudowywać oddziałów. Sami uniemożliwiliśmy płynny rozwój kampanii. Od tej chwili żadnego uciekiniera więcej. Gdy opanujemy sytuację, zatrudnimy starszych azich przy budowie zasieków. Sajakieś pytania?

Nie było żadnych. Sama Flanagan nie miała żadnych wątpliwości.

Czuła wyłącznie nienawiść do nieprzystosowanych za to, co musiała wycierpieć jej córka, z powodu utraty niewinności, z powodu ciszy, w jakiej się pogrzyżyła. Czuła nienawiść za to, że Jane całymi dniami nie wychodzi z domu i oddaje się studiom, których wcześniej nienawidziła. Teraz zajmowała się wyłącznie nauką.

- Zatem ruszać się! - zakomenderował Jones.

Ruszyli z wawo, zapuściwszy się pomiędzy niewielkie pagórki, wkraczając na ziemie Kalibanów. Ludzie Billa nieśli materiał wybuchowy. Vandermeer opracował nowy rodzaj ładunków i granaty łzawiące, które miały wykurzyć uciekinierów z ich kryjówek. A potem... Potem wystarczy tylko kilka strzałów.

Rozkazy nakazywały co prawda wstrzymanie się od zabijania i eksterminacji, ale Flanagan dobrze wiedziała, że w czasie akcji może zdarzyć się nieprzewidziany wypadek z bronią. Ta wymówka zawsze skutkowałą. Trzeba tylko odpowiednio przedstawić fakty.

Szli ostrożnie, reagując na każdy szmer w zaroślach. Nie mieli jednak powodów do niepokoju - drogę znali dobrze, a pla-

ny i strategia działania zostały przygotowane bardzo skrupulatnie. Zabezpieczał ich także oddział Embertona. Mieli dobre wiadomości o wrogu, miejscach ich zbiórek i przemarszach.

Spotkali patrol Ogdena, który miał się przyłączyć do nich. Zabrali ich ze sobą. Na grupę Embertona natknęli się chwilę później, by przekazać mu rozkaz sztabu do przejścia w górę, na grzbiet wzniesienia. Wszyscy szli odtąd bardzo sprawnie, sprężyście, nie zagłębiając się w zarośla bez wyraźnego celu.

Odpędzili rój latających jaszczurek, który opadł ich, gdy przechodzili pod drzewami. Zimny pot spływał po plecach Kate - drżała z podniecenia. Oto wreszcie nadarzała się okazja zemsty na tych, którzy byli przyczyną kłopotów i trosk. Kilka strzałów i zdrowego strachu napędzonego tym odmieńcom, i wkrótce będzie można zacząć od nowa budowanie tego świata.

Wdrapując się na zbocze oddychała ciężko. Broń była ciężka, a i ona wyszła już z wprawy. Nie tylko zresztą Kate, dotyczyło to raczej wszystkich. Jones przybrał na wadze chyba dwukrotnie, Emberton osiwiła wskutek chemicznego odmłodzenia. Kate patrzyła na dowódcę sekcji technicznej, gdy weszli na górę i zwołano szybką naradę strategiczną.

Uciekinierzy wciąż tu byli.

Kate i pozostali przycupnęli na krawędzi zbocza. Rozkaz podawano wzdłuż szeregu. Vandermeer zarepetował broń. Rozdał granaty, po czym wycelował w ciemny wylot prowadzący do tunelu, widniejącego w dole. U wylotu siedzieli dwaj nieprzystosowani, wyciągnąwszy w słońcu swoje brudne, pokryte zaschniętym błotem ciała.

Kalibanów nie było widać. Tym lepiej dla nich.

Jones odbezpieczył karabin, Flanagan poszła za jego przykładem. Minuty płynęły, a ona czuła zimny pot przylepiający jej odzież do ciała.

Te obdarte kreatury, odszczepieńcy ludzkiego gatunku, były tuż przed nią. Skrzywdzili Jane, upokorzyli i zgwałcili jej córkę, zaspokoili na niej swe chutliwe żądze. To przez nich straciła dawną .lane i nigdy już jej nie odzyska. Pragnęła śmierci tych dwóch obdartsów. Na początek wycelowała w pierwszego. Ruszać się! - Jones wydał rozkaz.

Poszli przed siebie tyralierą, zgodnie z planem. Zakreślili wokół zbiegów koło, schodząc w dół

zbocza.

Flanahan wystrzeliła pierwsza. Widziała jak wyższy chłopak pada niczym ścięte drzewo.

A po chwili grunt pod ich nogami zachybotał, zadrżał, ziemia jakby spulchniała. Rozległy się krzyki przerażenia. Ktoś darł się opętańczo. Pobliskie drzewa wygięły się, jak pod niewidzialną siłą.

A potem ziemia rozstała się i Kate Flanahan zapadła się w czarną jamę, w którą osunął się cały pagórek. Odrzuciła broń. Próbowwała Walczyć z opadającymi zewsząd bryłami ziemi, ale przygniotły jej ramiona, zasypały usta i nos. Poczula ból zgniatanych żeber.

I to było wszystko.

## 11.

Wszyscy krzyczeli. Jane Flanahan-Gutierrez natychmiast zrozumiała wszystko, jak tylko zobaczyła ojca, idącego przekazać jej straszną wiadomość. Przeczula to chwilę wcześniej, gdy w obozie umilkło radio i podniósł się harmider. Przyjęła to jednak spokojnie.

Już dawno przyjęła za pewnik, że w jej życiu nie zdarzy się już nic, co mogłoby ją zaskoczyć.

Ojciec milczał. Jego ukochane Kalibany nie uległy eksterminacji, ale nie było już Kate, a jaszczury okazały się jej zabójcami.

Mijały miesiące, uśmiechał się coraz rzadziej, coraz mocniej też pochylał się ku ziemi.

Zaproponował Jane zabieg, który uwolni ją od rosnącego w jej brzuchu płodu, efektu pamiętnej nocy w kopule. Ale córka stanowczo zaprotestowała. Nie przejmowała się złośliwymi spojrzeciami i złymi językami jej rówieśników, któi-yh kiedyś nazywała przyjaciółmi. Miała siebie, ojca i... dziecko, podobne przecież do Kate Flanahan, Marka i tego obcego chłopaka, zaginionego gdzieś w gąszczu.

Gdy dziewczynka przyszła wreszcie na świat, nazwała ją Elly - Eleanor Kathryn Flanahan, czczą w ten sposób swą matkę. Dziadek nie wzbraniał się od noszenia małej na rękach, wydawało się, że z chwilą narodzin wnuczki znalazł trochę ukojenia. Jane nie miała nic przeciwko macierzyńskim zapędom ojca. Nie była przecież pewna, czyje to dziecko. Może Jina albo któregoś z jego braci? Przecież niekoniecznie musiało się to stać pod wzgórzem...

Kołysała niemowlę, karmiła, opiekowała się dziewczynką, spędzając dużo czasu w ramionach dziadka.

Obserwowała, jak ciemnowłosa Elly raczkuje po podłodze, nieśmiało stawia pierwsze kroczki, bawi się z jaszczurkami. Właśnie wtedy Jane szczególnie uważnie przyglądała się córeczce, ale nie dostrzegała jakiejś głębszej więzi ze zwierzętami. Elly wszędzie towarzyszyła Gutierrezowi, który pokazywał jej zwierzęta, rośliny, delikatne wzorki na ich liściach. Jane zupełnie wystarczało takie życie. Nie pragnęła już niczego więcej, oprócz spokoju i ciszy.

Areał pól uprawnych wokół miasta znacznie zmalał.

Pomagający im dotychczas azi zajęli się własnym rolnictwem, obsiewając ziemię znacznie dalej, na pagórkach. Tym rozdziałem chciano uniknąć rozruchów.

Gallin umarł. Zwykle przeziębienie, jakie złapał na początku zimy, przerodziło się w ostre zapalenie migdałów, a potem nastąpił szybki koniec. Bilas poszedł w ślady przewodniczącego.

Teraz Obywatele nie wychodzili już poza obóz.

Kalibany nie zaprzestały swojej działalności. Przychodziły nocą i budowały wytrwale swoje wały, odgradzając ludzi od rzeki, czyli głównego źródła pokarmu. Postanowiono wzmocnić bariery i zasieki.

Jaszczury mimo to wciąż przychodziły.

Tego roku, gdy zmarł jej ojciec, Jane siedziała w letnich promieniach słońca, patrząc, jak z jej dziecka robi się powoli podrostek. Elly wyrosła na młodą, ciemnowłosą kobietę o żelaznej sile, skutecznie używanej w potyczkach z azimi.

Jane nie uważała za konieczne odciągać jej od bójek.

To wszystko, co można było powiedzieć o metodach wychowawczych jej matki.

## 12.

**Rok 49, dzień 206 ery kolonialnej.**

Liczba grobów stale rosła wokół tych kilku pierwszych, jakie wykopano w pierwszym roku po



wylądowaniu. Jin Starszy znał je wszystkie: Ada Beaumont i jej mąż. Davies, Conn i Chiles, Dean poznany w czasie pierwszego porodu Pii, Bilas, White, Innis, Gallin, Burdette, Gutierrez i inni.

Znał wszystkie nazwiska, tylko nie pamiętał już twarzy.

Leżeli tu także jego krewni, polegli w nieszczęśliwych wypadkach w pierwszym roku. Ledwie kilku azich, wyrwanych jako pierwsi z ich szeregów przez Śmierć. Bo resztę azich chowano w innym miejscu, pod miastem, bez specjalnych ceremonii. Także Pia, wymęczona wielokrotnymi porodami, znalazła tam wreszcie spokój dla siebie.

Przychodził tu niekiedy, żeby naciąć trzciny, wraz z gromadką starszych wnuków, w ogóle nie pamiętających już Cyteen. Teraz też zabrał kilkoro: dzieci swojej córki Pii i troje z potomstwa Jina Młodsze. Za nimi biegła jeszcze hałaśliwa gromada towarzyszy zabaw, istny tłum wyrostków biegających między grobami lub grających w trzcinach w swoje zabawy.

- Słuchajcie mnie! - podnosił czasem głos dziadek, chcący, by dzieci zaprzestały zabaw i spojrzały na niego. - Przyproceedziłem was tutaj, żeby pokazać, po co trzeba dobrze wykonywać swoją pracę. Na tę planetę przybyliśmy na statku kosmicznym. Wysadzono nas tutaj, żebyśmy dbali o ten świat i ludzi - Obywateli. Obywatele zbudowali wszystko, co nas otacza - cały obóz!

- Nieprawda! Kalibany to robiły - zaprotestowała wnuczka, zwana Pią Rudowłosą. Pozostałe dzieci zachichotały.

- To MY zbudowaliśmy miasto! Azi! Każdą z tych budowli, nawet tę wysoką wieżę, którą tam widzicie. Ale żeby to mogło po wstać, Obywatele musieli nam powiedzieć, co i jak trzeba robić. Ta, co tutaj leży, nazywała się Ada Beaumont, była jedną z najlepszych. A Conn - wszyscy się do niego zwracali, poruczniku - był silniej szy od Gallina. Hej, przestań wreszcie!

Najmłodszy z Jinów rzucił kamieniem, odlupanym z płyty nagrobka.

- Musicie to zrozumieć. Nabrać respektu. Oni byli Obywatelami, żyli w kopulach.

- A teraz żyją w nich Kalibany - wtrącił jeden z wnuków.

- Mimo to nadal musimy ochraniać obóz. Ludzie wydali nam takie rozkazy.

- Ale przecież oni już nie żyją.

- Rozkazy obowiązują nawet wtedy, gdy rozkazodawca już nie

- A po co mamy słuchać zmarłych!'

- Bo byli Obywatelami i wszystko tu zaprojektowali - cierpliwie tłumaczył dziadek.

- My też jesteśmy Obywatelami, ludźmi z urodzenia - odezwał się najstarszy dzieciak. -

Urodziliśmy się jak oni...

W ten sposób wykład dziadka się nie udał.

Dzieci rozbiegły się po wybrzeżu, rzucając kamieniami, zbierając muszelki bądź ganiając się po plaży. Szybko dołączyły do nich Ariele, zawsze skore do zabaw.

.lin 458 pokręcił głową i zabrał się z powrotem do domu. Utykał na jedną nogę, co było zwiastunem artretyzmu, wzmagającego się w zimne, wilgotne noce. Wciąż jeszcze pracował na polu, ale co to była za praca? Z kurczących się upraw nie dało się zebrać wystarczającej ilości zboża. U własnych dzieci wymieniali ryby na ziarno i warzywa. Rok po roku plony były coraz gorsze.

Jin powoli wracał do obozu, bezskutecznie wołając, żeby dzieciarnia poszła za nim. Szerokim łukiem ominął miejsce, gdzie od lat rdzewiały maszyny, co odebrały życie Adzie Beaumont. Niektórzy azi zamieszkali w kopulach. Kolektory wciąż łapały energię słoneczną, ale wokół wieży energetycznej rozpanoszyły się dzikie zarośla.

Nad głowami fruwały jaszczurki - istna plaga dla wędrowców. Na polach rosły drzewa, konsekwentnie wkradając się do wnętrza obozu. Większość dawnych mieszkańców przeniosła się w góry, gdzie można było bez trudu zdobyć budulec. Za nimi szły dzieci.

W dawnej bazie pozostały tylko groby.

Jin czuł się bardzo stary. Jego liczne potomstwo obrało własną drogę. Mark już nie żył - mówiono, że się utopił.

Reszty dzieci nie widywał przez większą część roku. Tylko Pia przychodziła do ojca, przynosiła prezenty, przyproceedzała swoje dzieci, często zostawiając je pod jego opieką. Jesteś w tym dobry - mówiła. Wątpił jednak, czy mógłby wnukom wpoić jakiegokolwiek zasady.

Tak jak teraz - on odchodził, a dzieciaki bawiły się w najlepsze, nie reagując na jego wołania.

Kiedy dorosną, pewnie też powędrują w góry. Tak jak pozostali. Będą wolni i będą robić, co im tylko przyjdzie do głowy. Mimo to próbował je czegoś nauczyć, zaprowadzić jakiś ład w ich chaotycznym życiu, nauczyć czegoś o świecie... Z pewnością Gehenna nie była wymarzoną światem do

życia.

Świat, w którym żył, nie mieścił się w planach jego Opiekunów, ale Jin wycęzał wszystkie siły, żeby wywiązać się dobrze z kontraktu, jaki podpisał.

V

# UNIA

m

## 1.

Fragment wykładu na temat skolonizowanych obszarów kosmosu:

*Unia przyjęła do wiadomości wszystkie roszczenia Sojuszu do nowych terytoriów gwarantowanych paktem, określanych roboczo jako Strefa Gehenny albo System McLarena. Ze swej strony Sojusz zobowiązał się, że pięćdziesiąt procent handlu z Gehenną będzie się odbywało za pośrednictwem stacji tranzytowych Unii, aż do czasu wyrównania bilansów, a obrona tego terytorium zostanie zorganizowana zgodnie z ustaleniami Pokoju z Pell...*

## 2.

Prywatny apartament przewodniczącego rady w stolicy Cyteen.

- Oczekiwaliśmy tego odkrycia wkrótce, zdarzyło się ledwie parę lat przed prognozą...

Twarz Harada, z natury długa, wydłużyła się jeszcze bardziej. Przerwał swoje wypowiedziane na głos rozmyślenia i nalał wina dla siebie i sekretarki. Dalej zamyślony, podniósł kieliszek.

- To przecież nasz wyrób. A tu... wino z Pell, z samego centrum Sojuszu.
- Chce się pan sprzeciwić sygnowaniu?
- Skąd! Wprost przeciwnie...

Harad upił łyk wina i wyciągnął się wygodnie w fotelu. Przez panoramiczne okno były widoczne betonowe wawozy miasta i metaliczny połysk rzeki. Tam, w dole, nie zaprzestawano robienia interesów.

- Zanoszą się na to, że statki handlowe Sojuszu nadal będą obsłużywały nasze stacje i Wielki Krag. Ani słowa o bojkocie. Im dłużej utrzymamy to status quo, tym mniej prawdopodobne będą działania represyjne wobec nas. Muszę przyznać, że dobrze wybraliśmy miejsca do kolonizacji, będziemy mogli trzymać Kupców na dystans.

-Zawsze będą mogli ewakuować kolonistów, dobrze pan o tym wie. A jeśli w którejkolwiek z kolonii wybuchnie bunt, będziemy mieli nóż na gardle. Kryzys rządowy...

• Nie zrobią tego, nie może już dojść do żadnego niebezpiecznego wypadku. Zapewne Kupcy będą coś podejrzewać, ale od nas zależy informacja. Musimy ich dezinformować, wprowadzać chaos... Na pewno oskarżą nas o złą wolę, zażądają wglądu do dokumentacji, ale przecież już wiedzą, że jest zdekompletowana... My tylko musimy sprawiać wrażenie chętnych do współpracy. Takie mamy polecenia.

- Wydaje mi się, że podobna taktyka nie jest logiczna.
- Dlaczego?

• Kapitulacja. Znam tę demagogię. Cywilizować na siłę światy, które mają kłopot z własnym rozwojem. Użyliśmy Sojuszu jako narzędzia, by zdobyć nowe terytoria... zgadza się. Ale gdy spojrzeć na to trzeźwym okiem, odniesie się wrażenie, że więcej nie powinniśmy się wtrącać. Modłę się, by nie nadszedł dzień, w którym zapłacemy z tego powodu.

- Ekonomia czasu i długu czasowego...
- Ale nie naszych obecnych granic.

Harad zmarszczył brwi.

- Myślałem nad tym. Mój poprzednik pokpił sprawę. Te wszystkie nowo odkryte planety nie nadają się do założenia na nich cywilizowanej kolonii. Gdy pierwszy raz zajrzałem do akt... Powiem pani

w sekrecie, te kolonie były przewidziane na straty!

Sekretarka spojrzała nań zimno, wąskimi, stalowoszarymi oczami.

- Naprawdę?

- Tak. W tamtych czasach nie mogliśmy sobie pozwolić, żeby Sojusz odniósł zwycięstwo. Nawet paktowanie z nim nie wchodziło w rachubę. Nie mogliśmy oddać im tej planety za darmo. Dlatego upchano tych wszystkich kolonistów na trzech statkach i wywieziono, nieprzygotowanych. Planowano bardzo szybki wzrost ludności, eksplozję demograficzną, która miała doprowadzić do ekologicznej degradacji planety. Kolonistom z góry nie planowano dać wsparcia logistycznego, choć, oczywiście, ich o tym nie poinformowano. Nie wysłano żadnego statku więcej.

-Ale to byli obywatele Unii! Ludzkie istoty...

- Tak właśnie rozumowano w czasie wojny. I z tego właśnie powodu nie dopuściłem do wypełnienia postanowień sprzed lat. Dzisiaj negocjujemy, a właściwie dyktujemy Kupcom nasze własne warunki, określające dalszą ekspansję i kolonizację kosmosu. Chcemy w ten sposób ustalić kierunek ich ekspansji. Jeśli chcą zyskać coś w przyszłości, muszą dzisiaj się układać z nami.

- Ale ludzie, panie przewodniczący! Ludzie... Oni czekali na te statki!

- Zgadza się, ale w ten sposób postawiliśmy na swoim. Przyzna pani, że to bardziej opłacalny środek do osiągnięcia pożądanых celów, niż kosztowna wojna w przestrzeni. Prawda?

## VI

# POWRÓT W ATMOSFERĘ

PERSONEL WOJSKOWY MISJI:

Porucznik James A. Conn, generalny gubernator, *zmarł w 3 roku ery kolonialnej*

Kapitan Ada P. Beaumont, wicegubernator, *zmarła w roku lądowania*

Major Peter T. Gallin, zarządca, przewodniczący rady, *zmarł w 37 roku ery kolonialnej*

Sierżant Ilya V. Burdette, korpus inżynieryjny, *zmarł w 32 roku ery kolonialnej*

Kapral Antonia M. Cole, *zm. 32 r. e.k.*

Specjalista Martin H. Anderson, *zm. 31 r. e.k.*

Specjalista Emilie Kontrin, *zm. 31 r.e.k.*

Specjalista Danton X. Norris, *zm. 22 r.e.k.*

Sierżant Danielle L. Emberton, operacje taktyczne, *zm. 22 r.e.k.*

Specjalista Lewiston W. Rogers, *zm. 22 r.e.k.*

Specjalista Hamill N. Masu, *zm. 22 r.e.k.*

Specjalista Grigori R. Taminin, *zm. 22 r.e.k.*

Sierżant Pavlos D.M. Bilas, szef mechaników, *zm. 34 r.e.k.*

Specjalista Dorothy T. Kyle, *zm. 40 r.e.k.*

Specjalista Egan J. Innis, *zm. 36 r.e.k.*

Specjalista Lucas M. White, *zm. 32 r.e.k.*

Specjalista Eron 678-4578 Miles, *zm. 49 r.e.k.*

Specjalista Upton R. Patrick, *zm. 38 r.e.k.*

Specjalista Gene T. Troyes, *zm. 32 r.e.k.*

Specjalista Tyler W. Hammett, *zm. 42 r.e.k.*

Specjalista Kelley M. Matsuo, *zm. 44 r.e.k.*

Specjalista Belle M. Rider, *zm. 48 r.e.k.*

Specjalista Vela K. James, *zm. 25 r.e.k.*

Specjalista Matthew R. Mayes, *zm. 29 r.e.k.*

Specjalista Adrian C. Potts, *zm. 26 r.e.k.*

Specjalista Vasily C. Orlov, *zm. 44 r.e.k.*

Specjalista Rinata W. Ouarry, *zm. 39 r.e.k.*

Specjalista Kito A.M. Kabir, *zm. 43 r.e.k.*

Specjalista Sita Chamdrus, *zm. 32 r.e.k.*

Sierżant Dinah L. Sigury, szef łączności, *zm. 22 r.e.k.*

Specjalista Yung Kim, *zm. 22 r.e.k.*

Specjalista Lee P. de Witt, *zm. 48 r.e.k.*  
Sierżant Thomas W. Oliver, kwatermistrz, *zm. 39 r.e.k.*  
Specjalista Nina N. Perry, *zm. 45 r.e.k.*  
Specjalista Hayes Branson, *zm. 48 r.e.k.*  
Porucznik Romy T. Jones, dowódca komandosów, *zm. 22 r.e.k.*  
Sierżant Jan Vandermeer, *zm. 22 r.e.k.*  
Szeregowiec Kathryn S. Flanagan, *zm. 22 r.e.k.*  
Szeregowiec Vharles M. Ogden, *zm. 22 r.e.k.*  
Sierżant Zell T. Parham, Ochrona, *zm. 22 r.e.k.*  
Kapral Ouintan R. Witten, *zm. 22 r.e.k.*  
Kapitan Jessica N. Sedgewick, radca prawny, *zm. 38 r.e.k.*  
Kapitan Bethan M. Dean, chirurg, *zm. 46 r.e.k.*  
Kapitan RibertT. Hamil, chirurg, *zm. 32 r.e.k.*  
Porucznik Regan T. Chiles, informatyk, *zm. 29 r.e.k.*

PERSONEL CYWILNY MISJI:

Kierownictwo -12  
Lekarz -1  
Sanitariusze - 7  
Mechanicy - 20  
Bezpieczeństwo - 12  
Informatycy - 6  
Archiwum -1  
Rolnictwo - 10  
Harold B. Hill, *zm. 32 r.e.k.*  
Geologia - 5  
Meteorologia - 1  
Biologia - 6  
Mark X. Gutierrez, *zm. 39 r.e.k.*  
Eva K. Jenks, *zm. 34 r.e.k.*  
Jane E. Flanagan-Gutierrez, *(2-50 r. e.k.)*  
Elly Flanagan-Gutierrez *(ur. 23 r.e.k.)*  
Oświata - 5  
Kartografia - 1  
Bioinżynieria-4  
Budownictwo - 150  
Przemysł -15  
Górnictwo - 2  
Energetyka - 8

PERSONEL POMOCNICZY MISJI:

Klasa Alfa 2890  
jin 458-9998  
Pia 86-687, *zm. 45 r.e.k.*  
Klasa Beta 12389  
Klasa M 4566  
Klasa P 20788  
Klasa V 1278

**1.**

Telegram: Służba Bezpieczeństwa Sojuszu do SS *Ajax*: „Sprawdzić i sporządzić raport!”

**2.**

### **Gehenna. Rok 58, dzień 259 ery kolonialnej.**

Po orbitalnym skanowaniu miejsca wybranego na lądowisko i upewnieniu się, że w pobliżu nie ma żadnych ludzkich osiedli, statek powoli opuścił się na powierzchnię planety. Wylądowali.

Westin Lake, reprezentująca interesy Sił Zbrojnych Sojuszu, wydała rozkaz otwarcia luków. Z ciekawością wyglądano przez nie na zewnątrz. Ujrzeni tłum ściskający w uniesionych dłoniach różne nakrycia głowy, od kapeluszy przez czapki po zwykłe chusty. Tuż za tłumem otwierał się widok na dziki, obcy krajobraz, zdecydowanie różniący się od tego, co obiecywały przekazane przez Unię mapy.

Ktoś głośno zaklął.

- To nie w porządku - odezwał się inny.

Zdawali sobie sprawę z tego, że rzeczywistość może nieco odbiegać od ich oczekiwań, ale różnice w odniesieniu do danych ze starych map były zbyt duże. W ich sytuacji nie mogli sobie pozwolić na takie błędy. Dwie godziny czekali, aby z tłumu wyłonił się komitet powitalny. Nikt jednak nie wykazywał zbytniej ochoty, by bratać się z załogą ekspedycji. Jedyne kilka jaszczurek rozbiegło się po korytarzach statku, a między drzewami snuły się smugi dymu. W powietrzu unosił się ostry zapach ognisk.

### **3.**

W niewielkoprzestrzchn pokoju, w którym leżał stary człowiek przy-ki-yty kocem, wdarł się hałas podobny do grzmotu. Jakiś Ariel płaśał na parapecie, inny baraszkował w stosie koszy, zwalonych przy drzwiach.

Hałas wzmógł się.

- Czy to burza? - zapytał Jin Starszy, budząc się z podobnej do letargu starczej drzemki, w którą ostatnio często zapadał.

Pia starała się mu coś odpowiedzieć. Był zdziwiony, gdy dostrzegł Jina Młodszego, siedzącego na stołku obok córki. Wielki, atletycznie zbudowany mężczyzna patrzył na starca ze spokojem. Zmierzwioną brodę miał przetykaną srebrnymi nitkami, podobnie jak włosy Pii.

Kiedy zdążył się tak zestarzeć? Pia -jego piękna Pia - od dawna już nie żyła. Pozostali krewni także poszli w jej ślady. Ostatni odeszli tej wiosny. Wszyscy, którzy pamiętali statki kosmiczne już nie żyli, poza nim jednym. On przeżył ich wszystkich. Ciągle żył, o ile tę marną egzystencję można było nazwać życiem. Nie było już nikogo, kto mógłby pamiętać wydarzenia z początków kolonii. Tylko on nosił je w pamięci. Twarze przesuwaly mu się przed oczami, aż poczuł zawrót głowy. Teraz byli już tylko mieszańcy, ale i oni swoim wyglądem przypominali swoich przodków, tych, których on znał w czystej odmianie, w pierwowzorach.

- Mark! Green!

Lecz Mark już nie żył, a Greena uznano za zaginionego. Już dawno zaginęły wszelkie śluchy po najmłodszym, a ostatnio usłyszał, że Zed także zniknął.

- Tu jestem - odezwał się czyjś głos przy łóżku.

Jin. Przypomniiał sobie ich wszystkich, chociaż mimo usilnej koncentracji wspomnienia wciąż mu się rozmywały, jak na zamglonych obrazach. Jego dzieci... przynajmniej Jin i Pia są tutaj.

- Sądzę, że on już nikogo nie rozpoznaje - to był głos jego córki, dobiegający szeptem z przeciwległego końca pomieszczenia. - Jin, to naprawdę nie ma już sensu...

-Tato...

~ Przecież miał już wiele okazji, by gawędzić o statkach!

- Moglibyśmy go tam zanieść.

- Wątpię, czy cokolwiek by zrozumiał.

Przez chwilę było cicho. Zapadły ciemności. Miał wrażenie, że odpłynął gdzieś bardzo daleko.

- Oddycha?

- Ledwo, ledwo. Ojcze, słyszysz mnie? Z nieba przybyły statki...

Gdzieś, z tamtej strony, wysoko na błękitnym niebie zawisł srebrzysty krąg. Wiedział jak wygląda lądowanie. Kiedyś sam odbył gwiazdną podróż. To był bardzo gorący dzień...

- Ojcze?

Gdy skończyli żniwa, mogli się kapać w potoku, a słońce prażyło ziemię, wyciskając z pleców ostatnie krople potu.

- Ojciec?

Jasne, gorące słońce...

#### 4.

Pia, obecnie Pia Najstarsza, wściekła wybiegła na zewnątrz i stanęła przed gromadką dzieciaków, które pewnie wysłał jej naprzeciw Jin.

- Poszedł sobie - powiedziały dzieci. Miały poważne miny, niektóre skończyły już pięć lat, lecz większość liczyła ledwie dwa lata. Jakie poważne one miały oczy!

-- Idźcie stąd! Natychmiast! - krzyknęła, podnosząc uschniętą gałąź. - Wynocha do starego Jona, Bena, czy dokądkolwiek chcecie. Nic tu po was!

Pobiegly. Niektóre z płaczem. Dobrze znały siłę jej ręki. Pia Najstarsza była jedną z tych, które wychowały się w górach i miały ciężką rękę. Należała do ludzi, którzy rzadko przychodzili do miasta. Nie było w niej nieśmiałości czy bojaźni, cechującej większość mieszkańców osady, często pozwalających się bezkarnie szykanować.

Spojrzała na gromadę maluchów czmyhającą wzdłuż rzędu osuwających się domostw, wzniesionych z wapienia. Ostatni tabun dzikich dzieci, które tak chętnie włóczyły się za starym Jinem, jej ojcem. Nieważne, czy były jakoś spokrewnione ze starcem, czy też były zwykłymi włóczykami. Stary człowiek lubił je, a one odwzajemniały to uczucie. Nie obawiał się nawet tych najbardziej nieznosnych urwisów. Żadnego dziecka nigdy nie uderzył, chociaż często podkradały mu jedzenie. Do czasu, aż nakryła ich na tym procederze Pia. Od tamtej pory kradzieże urwały się.

Ponownie zanurzyła się w zaduch rozpadającego się domu, stając wobec obecności śmierci. Brakowało jej zajęcia, czegoś, co zajęłoby jej ręce i umysł. Uświadomiła sobie ze zdziwieniem, że tutaj nie ma nic do roboty, .lin przeszukał już kufer i teraz badał stos okryć, które przykrywały nieboszczyka. Pia, podpierając się sękatym kijem, przybrała ponurą minę.

- Nie chcesz stąd nic zabrać? - zapytał ją Jin. Był od niej o głowę wyższy. Oboje nosili krótkie, szerokie spodnie z grubego płótna wyrabianego w miejskiej przędzalni. Byli do siebie podobni, tak jak reszta sąsiadów starego Jina i Pii. - Możesz zabrać narzutę.

Zaskoczył ją. Mimo to pokręciła przecząco głową, nie zmieniając chmurnego wyrazu twarzy.

- Niczego po nim nie chcę. Mam wszystko, czego mi trzeba.

• Weź ją! Przecież karmiłaś go przez ostatnie trzy lata. Wzruszyła ramionami.

• Ty także dawałaś mu jedzenie.

• Ciągle go odwiedzałaś...

• Nieważne. Nic nie chcę w zamian.

• Uważam, że należy ci się za to jakaś zapłata - nie ustępował brat.

- Może kiedyś zabiorę ją od ciebie. Ale teraz nie chcę żadnego łacha, który śmierdzi miastem. Cóż my w nim znaczymy?

.lin obrzucił małą, zwiędniętą postać dziwnym spojrzeniem.

• Idziemy?

• Poczekam na pogrzeb.

• Możemy przecież zanieść go w góry. Na pewno znajdziemy kogoś do pomocy. Był tu poważany.

Ponownie zaprzeczyła.

- Nie. Jego miejsce jest tutaj.

-Tutaj!?! -lin zawinał maszynkę do golenia i kubeczek zmarłego w kawałek płótna. Wsunął zawiniątko pod pachę. - Śmierdząca dziu-

ra Wracam w góry. Niedługo przyjdą tu ci nowi prawdziwi ludzie, Obywatele. Tylko napsująkwi, nic poza tym. Statki Jina. Ojciec myślał, że wszystko, co robi się w głównym obozie jest ważniejsze. Jak to możliwe, żeby był jednocześnie taki mądry i taki głupi?

• Miałam kiedyś jednego z nich w domu. Mówił jak stary Jin. Myślę, że ci wszyscy starzy azi musieli tak myśleć. Nie mogli inaczej.

• Może rzeczywiście jest tak, jak mówił ojciec. Może oni faktycznie mają jakąś wyższą rację. Ale teraz w głównym obozie jest mnóstwo nowych ludzi. Sama wiesz, jacy są. Pamiętasz, co się działo,

gdy ostatnie słowo należało do Gallina? Teraz znowu powrócą stare porządki. Posłuchaj, Pia, nie czekaj na pogrzeb, bo zmuszą cię tutaj do uprawiania ziemi.

Wydało mu się, że lekki uśmiech wypełził na jej twarz.

• Posłuchaj mnie - nalegał dalej brat. - To stara historia. Właśnie z tego powodu uciekliśmy w góry... Mark, Zed, Tam i ja.

• Ja także uciekałam. To było łatwe. - Podniosła grzebień, który upuścił Jin. - To zatrzymam dla siebie.

• Oni tu przyjdą. A wraz z nimi pojawią się... taśmy. Będą wyłapywali młodzież, aby znowu zmusić ją do pracy dla siebie.

• A może powinni to zrobić?

• Myślisz jak on?

Podeszła do drzwi i spojrzała na opuszczone, rzadko teraz odwiedzane przez Kalibany kopuły i zniszczoną wieżę elektrowni. Od czasu gdy miasto przestało istnieć, zagnieździły się w nich ptaki. Na horyzoncie, ponad dachami porzuconych domów, srebrzył się ogromny statek.

• Nie idź tam! - nastawał Jin. Podszedł i objął ją za ramiona. - Nie idź tam i nie rozmawiaj z nimi.

• Nie pójdę - zgodziła się z bratem.

• Zapomnij o tych śmierdzących Obywatelach.

• Czyż my sami nie jesteśmy nimi?

• Co!?

• Czy my też nie urodziliśmy się naturalnie? Przecież przyszedliśmy na świat tutaj.

• Idę. Nie chcę tego słuchać. A ty chodź ze mną.

• Dobrze, odprowadzę cię do ścieżki.

Poza laską i zawiniątkiem z dobytkiem starego Jina, nie mieli nic do dzwigania. Gdy tylko wyszli, do domu wdarli się sąsiedzi, kradnąc, co tylko im wpadło w ręce.

Stary Jin umarł.

Gdy przyszli nowi ludzie, na progu siedziała Pia. Niepokoiła ją swoją obcością, jak to zwykle bywa z ludźmi z miasta. Niektórzy spodziewali się zapewne, że samą swoją obecnością nastraszą mieszkańców domu - mogła to wyczytać w ich butnych twarzach, ale na ich pytające spojrzenia odpowiadała chłodno, z rezerwą, grzebiąc ich zamiary.

Była przywoicie ubrana. Taki strój był w dzisiejszych czasach rzadkością, gdyż równie cienkie przędzy nie wytwarzały miejskie fabryki. Obcy mieli krótko przycięte włosy, jak ludzie z gór, wydzielali też ostry zapach.

- Powiedziano nam, że tutaj żyje człowiek, który przybył przed laty statkiem - powiedział pierwszy z nich. Wyrażał się w śmieszny sposób. Nie dlatego, że dziwnie artykułował zgłoski, lecz dlatego, że jego mowa brzmiała w inny sposób.

Pia pokręciła głową.

• Umarł.

• Pani jest jego córką? Powiedziano nam, że moglibyśmy porozmawiać. Bylibyśmy radzi, gdyby zgodziła się pani pójść z nami w tym celu na pokład statku.

• Nie pójdę tam. - Serce biło jej mocno, ale twarz wyrażała spokój. Wiedziała, że są uzbrojeni. - Proszę usiąść.

Wyglądali nieprzyjemnie, groźnie, wydawali się czymś urażeni. Jeden kucnął przed nią - mężczyzna w niebieskim mundurze z wielką liczbą metalowych odznak, co u Obywateli świadczyło o wysokiej pozycji w hierarchii. Przypomniała to sobie z opowieści ojca.

- Pani ma na imię Pia?

Skinęła głową.

-- Czy pani wie, co się tutaj stało? Mogłaby nam opowiedzieć o tym?

• Mój ojciec umarł.

• Czy był urodzony?

Zacisnęła mocno usta. Wszyscy oni wiedzieli coś, co dla niej było pustym, pozbawionym sensu pojęciem. Jak człowiek mógłby żyć, nie urodziwszy się wcześniej.

- On był inny - powiedziała po chwili milczenia.

- Co pani pamięta z przeszłości ojca? Jak było na początku w kolonii? Co stało się z kopułami? - wskazał ręką miny, wśród których Kalibany wzniosły swoje budowle. - Czy to była epidemia? Choroba?

- Zestarzeli się - odparła. - W większości zestarzeli się.

- Ale dzieci, następne pokolenia...

Śmiejąc się w duchu przypominała sobie dzień, w którym dzieci Obywateli uciekli z miasta.

Spoważniała.

- Przecież rodziły się dzieci - mężczyzna uporczywie domagał się odpowiedzi. -- A może nie?

Odcisnęła w piasku odcisk swojej dłoni. Końcem palca zakreśliła jakiś rysunek i podniosła dłoń wypełnioną piaskiem. Jego cienka strużka wyciekała spomiędzy palców.

- Późno już. Co stało się z dziećmi?
- Mam dzieci. Własne.
- Gdzie?

Podniosła głowę i obdarzyła obcego mocnym spojrzeniem.

- Kilko z nich jest tutaj, kilko tam, jedno umarło. Mężczyzna zagryzł wargi w zamyśleniu.
- Żyje pani w górach?
- Żyję tu, w tym domu.
- Powiedziano nam, że pochodzi pani z gór. Oni się ciebie boją, Pia. To było głupie z jej strony, że nakreśliła na piasku ten znak.

Mężczyzna był bardzo spostrzegawczy. Przysypała piaskiem spiralę DNA, którą przed chwilą wyrysowała na ziemi.

- Żyję trochę tu, trochę tam.

- Niech mnie wreszcie pani wysłucha! - powiedział poważnie i poruszył się. - Istniał kiedyś plan. Zgodnie z nim miało powstać tu miasto i kolonia. Czy pani wie coś o tym? Przypomina sobie maszyny, latarnie, wieże?

Niepewnie wskazała na reflektory oraz ruiny miasta, wśród których wznosiły się teraz wały jaszczurów.

- Wszystko zburzone. Maszyny już dawno się zestarzały i po psuły. - Przez chwilę próbowała wyobrazić sobie, co by było, gdyby miasto odbudowano i wróciło do niego życie - teraz, gdy wrócili ludzie z gwiazd. Pomyślała jednak zaraz, że maszyny znowu by skrzypiały, równając ziemię i burząc wały Kaiibanów. Te obrazy płynące z wyobraźni napawały ją wstrętem.

Jej brat miał rację. Przybysze rzeczywiście chcieli wziąć się za odbudowę miasta i uprawę roli. Zrozumiała to, gdy spojrzała w oczy mężczyzny przed nią.

• Chce pan zobaczyć stary obóz? Łatwo znaleźć młodych ludzi, którzy najmą się za przewodników. - Czuła do niego niechęć, nie wzbudził w niej zaufania. Zapanowała cisza. Z pewnością widzieli już wały - były dla nich czymś kompletnie obcym.

- Pani także mogłaby z nami pójść.

Wstała. Rozejrzała się wokół, wszędzie widząc ciekawskich z miasta, usiłujących zatrzymać wzrok na czymkolwiek, byle nie na niej. Patrzyli w ziemię, oglądali przybyszów, gapili się w niebo. I słuchali.

- Zatem chodźmy!

Porozumieli się ze statkiem. Pia przypomniała sobie, że podobne sztuczki nie były jej całkiem obce, lecz rozbrzmiewające z powietrza, dosłownie znikąd, głosy, pobudziły dzieci do płaczu. Stare sztuczki, pomyślała zrzędlawie. Wyciągnęła rękę po ojcowski kostur podpierający niedomknięte drzwi i wsparła się na nim, jakby była bardzo zmęczona.

Dwóch przybyszów postanowiło jej towarzyszyć, trzech zostało w wiosce. Pia prowadziła obcych w dół drogi, pomiędzy wyrosniętymi chwastami i ruinami domów. Szła powoli, mocno dzierżąc łagę. Gdy tylko weszli w chaszczę, uderzyła mocno kosturem swych towarzyszy i zostawiła ich nad głębokim wykopem. Na ile jej pozwoliły siły uciekła z tamtego miejsca. Biegła, dopóki nie poczuła bólu w klatce piersiowej. Teraz kostur rzeczywiście się jej przydał.

Teraz liczyła się tylko odzyskana wolność. Gdy zaczęły się wały, nie przestraszyła się swej samotności. Dobrze wiedziała, jak poruszać się w ich labiryncie i gdzie znaleźć wyjście. Kiedy zapadł zmierzch, dotarła do przełęczy otwierającej się na prawdziwe góry. W oddali usłyszała wystrzał. Dochodził z lasów, gdzie buszowały Ariele i przemykały stada latających jaszczurek. Jeden ze strażników dostrzegł jej ucieczkę, a strzał oznaczał, że znalazła się w swojej ojczyźnie.

W tej dzikiej krainie można było spotkać przyjaciół i wrogów. Na tych drugich miała długi nóż. Do tego nosła grzebień ojca. Podpierała się kosturem. W drodze była, jak zwykle, przezorna i bacznie obserwowała otoczenie. Niosła pocieszającą pewność, że jej ojciec nie był szalony, oczekując przybycia srebrnych statków. Teraz wiedziała to na pewno, sama widziała statki, rozmawiała z Obywatelami.



Przypomniała sobie starych Obywateli z miasta. Wszyscy dawno umarli, zaś ich potomkowie, wymieszawszy swoją krew z krwią azich żyli w górach lub drewnianymi pługami orali ziemię. Teraz zaś ponownie przybyły statki, przywożąc ludzi, którzy jeszcze raz chcieli zawładnąć ich światem.

Jin opowiadał jej o azich maszerujących w wojskowym szeregu. Lecz Pia nie należała już do tamtych posłusznych azich. Nigdy jej się nie zdarzyło, by słuchała rozkazów intruzów.

## 5.

Obcy.

Green pokręcił nosem. Nie ulegało wątpliwości, że wzór ułożony na gładkiej powierzchni został zniszczony. Wokół siebie czuł podziemne wstrząsy. Wszyscy znali już tę nowinę. Niepokój wzrastał, póki nie osiągnął rozmiarów grożących wybuchem.

Zanurzył się w ciemność. Drogę odnajdywał raczej dotykiem niż zmysłami. To było pole do popisu dla jego instynktów. Oczy na niewiele się zdawały w mroku. Mali ludzie mijali go po drodze, coś lepkiego otarło się o kolana jego nóg, poruszających się w przedziwny sposób. Już dawno nauczył się tego kroku... ręce wyciągnięte przed siebie, wymacujące przeszkody, bosa stopy posuwające przesuwanie się po bagnistym gruncie.

Palce stóp zetknęły się z czymś żywym, prawdopodobnie z węzłem. Wymacał jakieś wąskie przejście - powinien się w nie wślizgnąć. Słuch wyłapał ciche posapywanie stworzenia. Jeszcze zanim palce napotkały przeszkodę, wiedział, co ma przed sobą. Bez zastanowienia wdrapał się na ogon i przeskoczył plecy wielkiego, brązowego jaszczura. Sprawił mu tym skokiem trochę bólu, ale na pewno mniej niż właściciel potężnego ogona, usiłujący podrapać chłopca tępych pazurami. Za późno, przeszkoda została sforsowana.

Kaliban westchnął chrapliwie i wyciągnął długi, rozdwójny język, chcąc zorientować się, co dzieje się za jego plecami. Ale Green już dawno był daleko. Wkroczył w tę odnogę tunelu, która prowadziła ku obcym. Green był już dorosłym mężczyzną- najstarszym wśród siebie podobnych. Wyjaśniał to Kalibanowi, cierpliwie podążającemu za nim tunelem i bardzo ciekawemu, po co ten pośpiech. Green musiał wyjaśnić my swoje plany.

Bez dalszej zwłoki ruszył ku widniejącemu w mroku wyjściu. Z wylotu tunelu otwierał się widok na drzewa wieńczące wał i leżące w dole miasto oraz górujący nad nim srebrzysty przedmiot. Kaliban przykucnął obok chłopca, równie uważnie obserwując obóz obcych. Green nakreślił na piasku znak przedstawiający dwie spirale, prawo i lewoskrętną.

Brązowy jaszczur poruszył się ociężale, uniósł przednimi łapami jakąś gałąź i przegryzł ją potężnym kłapięciem kłów. Grzebień na czubku płaskiej czaszki sterczał sztywno jak pióropusz. Oczy ściemniały, tracąc złotą barwę. Patrząc jak mięśnie na karku Kalibana powoli się napinają, Green odczuwał żal - te wspaniałe zwierzęta oddawały swoje uczucia poprzez bogaty język ciała, a ludziom brakowało podobnego środka ekspresji. Green żałował, że nie może żadnym gestem powiadomić zewnętrznego świata o swym głębokim poruszeniu.

Kaliban dźgnął chłopca nosem, popychając z powrotem w głąb korytarza. Green poddał się. Pozwolił się popychać w zimną, wilgotną i bezpieczną ciemność, w kierunku najniższych pięter budowl, aż znaleźli się w pomieszczeniu, gdzie oczekiwały ich inne zwierzęta. Drepcząc w miejscu przepychały się wzajemnie, aż pojawił się jeden brązowy. Wtedy ruszyły wąskim i ciemnym tunelem. Całymi dniami wędrowali w górę rzeki, aż dotarli do miejsca, gdzie stały nowe wały. Tu się zatrzymali.

Znowu mogli się wylegiwać w słońcu, budować kopuły, a młode bez przeszkód i obawy o swoje życie mogły wyruszać w długie wyprawy na tereny całkowicie wolne od ludzi.

## 6.

### 51 dzień lotu, statek zwiadowczy Sojuszu *Boreasz*.

Poufne sprawozdanie dostarczone przez specjalnego kuriera do sił bezpieczeństwa. Kod Col/m/Taylor/ASB/spec/projekt Nowy Port:

„...początkowe poszukiwania w sektorze A, oznaczonym na mapie symbolem A1, wykazały całkowity upadek urzędu gubernatora planety oraz pozostałych przedstawicielstw Unii.

Wzniesione zaraz po lądowaniu kopuły mieszkalne przedstawiają obraz miny - zostały opuszczone i oddane na łaskę rodzimej roślinności. Baterie elektrowni słonecznej z sektora oznaczonego na mapie A1 leżą w gruzach u stóp zniszczonej wieży, porośnięte dziką roślinnością.

Pytając ocalałych kolonistów o przyczyny katastrofy nie otrzymaliśmy nawet jednej zwiezłej czy wyczerpującej odpowiedzi. Dla każdego obserwatora jest jednak jasne, że zniszczenie miało miejsce wiele lat temu. Trudno jednak wyciągać jakieś własne wnioski, a to z braku wystarczających danych. Nie ulega jednak wątpliwości, że katastrofie są winne jedynie warunki atmosferyczne.

Kopuły mieszkalne wznoszą się pośrodku rozrośniętego, rozchodzącego się spiralnie systemu kanałów, podobnego do systemu zaobserwowanego na drugim brzegu Czerwonej Rzeki i opisanego w sprawozdaniu orbitalnym 1-23. Kanały Kalibanów znaleźliśmy w okolicach podanych przez zwiadowców Unii, ale ich usytuowanie odbiega od raportu obserwatorów. Jako przykład podajemy teren z lądowiska kolonistów, wymieniany już sektor A1. Trudno sobie wyobrazić, by pionierzy stawiali kopuły mieszkalne i pola uprawne wśród instalacji Kalibanów.

To, co opisy zwiadowców unijnych nazywają pustynną równiną, jest dzisiaj rozległym płaskowyżem porośniętym krzewami, taki teren my nazywamy sawanną. Na pytanie o mieszkańców kopuł potomkowie kolonistów odpowiadają, że wywedrowali w góry lub przenieśli się do miasta.

Obserwacje przeprowadzone z orbity odnalazły ślady osady ludzkiej w niskim masywie górskim, odległym o dziesięć kilometrów od głównego obozu (sektor A2). W celu zebrania szczegółowych informacji należałoby dokonać wizji lokalnej, nie znając jednak tutejszych realiów i przyczyn upadku kolonii, nie chcieliśmy narażać członków ekspedycji na zbędne niebezpieczeństwo i ograniczyliśmy penetrację do terenu lądowiska kolonistów.

Zwracamy uwagę na rozmowę z kobietą imieniem Pia (brak dokładniejszych danych), która, pojmana przez ekipę zwiadowczą, zadeklarowała gotowość złożenia relacji z historii kolonii (patrz sprawozdanie 2). Rzeczona kobieta wymknęła się jednak z rąk zwiadu i zniknęła z terenu osady, prawdopodobnie ukryła się w górach. Opis rozmowy z kobietą znajduje się w sprawozdaniu jako dokument C.

Gospodarka miasta oparta jest najprawdopodobniej na jakiejś, nieznaney nam bliżej, współpracy z górskim osiedlem. Chodzi zapewne o wymianę towarów.

Na pytania o Kalibauy mieszkańcy osiedla wyraźnie odwracają wzrok i mówią, że nie chcą o nich rozmawiać. W przypadku dalszych nacisków, zbywają nas byle czym lub milczą jak zakłęci. Trudno powiedzieć, czy jest to spowodowane strachem przed jaszczurami, czy niechęcią do załogi statku. Należy stwierdzić, że potomkowie kolonistów mają nikle, jeśli nie powiedziec - żadne, wiadomości na tematy polityczne, a ich styl życia nie różni się od życia człowieka z epoki kamienia łupanego.

Wspomniana wyżej Pia przypomniała sobie, że kiedyś posługiwano się w kolonii technologią, zaś mieszkańcy nie wydawali się zdziwieni czy przestraszeni urządzeniami, jakie przywieźliśmy ze sobą, ale nie spostrzegliśmy, by sami używali skomplikowanych narzędzi, których przecież pierwsza ekspedycja przywiozła w nadmiarze.

Ziemia uprawiana jest drewnianymi pługami, stal jest nieznaną, poza nielicznymi przedmiotami odziedziczonymi po przodkach. Najwyraźniej nic nie wiedzą o technologii odlewu, a przecież planeta jest bogata w rudy metali. W mieście funkcjonują prymitywne przędzalnie i zakłady garncarskie, opierające się na miejscowych surowcach.

Nie odkryliśmy żadnych przejawów życia religijnego, rytuałów, obrzędów inicjacyjnych i tym podobnych. O ile ich wyobrażenia dotyczące Kalibanów nie są pochodzenia rytualnego. Nie stwierdziliśmy rodzimego piśmiennictwa, poza spisami inwentarza i produktów spożywczych. Przy zapisywaniu słów kierują się najprostszymi zasadami gramatycznymi, ale znajomość pisma ogranicza się do wykonywania ww. spisów i wystawiania weksli.

Język potoczny mocno ewoluował w stosunku do języka używanego przez pierwszych kolonistów. Lingwiści spodziewają się po analizie tych zmian uzyskać wiele informacji na temat dziejów kolonii. Po stu latach izolacji takie zmiany, łącznie z akcentem, świadczą o wczesnym upadku systemu oświaty. Nadal istnieją podstawowe formy gramatyczne, jednak są rzadko stosowane przez tubylców pochodzących od azich. Warto tu zauważyć, że wielu potomków azich uważa nadal wykonywanie instrukcji z hipnotaśm za cnotę.

Zmianie uległa nomenklatura. Tylko nieliczni potomkowie kolonistów znają nazwę Nowy Port, jako oficjalną nazwę planety.

Powszechnie używana jest nazwa Gehenna, zaś centralna gwiazda systemu to po prostu Słońce. Czerwoną Rzekę, płynącą obok lądowiska nazywają Styks. Poprawny literacko język zanikł. Nic nie wskazuje na to, by mieszkańcy kolonii wiedzieli cokolwiek o swojej politycznej przynależności do Unii. Nie wiedzą też nic o opozycji wobec Sojuszu. Pozostaje w tym względzie zachować daleko posuniętą ostrożność i rozważyć w przecieku informacji. Musimy wstrzymać się z tym do czasu

otrzymania ścisłych instrukcji.

Dokumenty Unii stwierdzają, że w razie zastania kolonii w stanie innym, niż kwitnący, należy przyjąć tezę o ingerencji Kalibanów. Z naszego punktu widzenia, hipoteza wydaje się być spekulatywna i przyjęta na wyrost. Jednakże upadek kolonii jest całkowity i wszystko wskazuje na to, że dokonał się bardzo szybko. Można tu przyjąć, że wywołany został przez nieporozumienia i niesnaski w gronie kolonistów, lecz nie wydaje się, by były to różnice w poglądach politycznych. O ile zinterpretowaliśmy to właściwie, ludność miasta nie żywi strachu do współobywateli, nikt nie nosi broni, z wyjątkiem takich przedmiotów - raczej codziennego użytku - jak noże i pałki.

Nie przeprowadziliśmy jeszcze spisu ludności, ale pobieżne szacunki wskazują, że kolonistów jest mniej, niż należałoby się spodziewać. Wychodząc z założeń polityki kolonialnej Unii, po pięćdziesięciu latach ludność Nowego Portu powinna liczyć około stu tysięcy. Sądzymy, że niż demograficzny został spowodowany zaniedbaniami w opiece zdrowotnej. Nie można też wykluczyć jakiegś epidemii bądź zamieszek wewnętrznych w kolonii.

Biorąc pod uwagę skąpe informacje uzyskane od kolonistów oraz czynnik migracji ludności, która żyje w warunkach koczowniczych, nasze prowizoryczne obliczenia wskazują na siedemdziesiąt tysięcy mieszkańców miasta, żyjących w strasznych warunkach bytowych oraz tysiąc ludzi poza głównym osiedlem. Są to głównie rolnicy uprawiający ziemię i ich odosobnienie należy tłumaczyć jedynie praktyczną koniecznością.

Centrum miasta to zabudowa z wapienia, na obrzeżach dominują domy z cegieł i drewna, pochodzące ze znacznie późniejszego okresu. Tę odmienność tłumaczy zapewne trudność w pozyskiwaniu kamienia po załamaniu się (usterki) technologii. Poza tym kamieniołomy są odległe. Możliwe, że z wyjaśnieniem tego punktu zyskamy jakieś informacje dotyczące współpracy mieszkańców mia-

sta z górskim osiedlem. Podział większości prac w mieście związany jest z cegielnią, przędzalnią, zakładami garncarskimi i produkcją rolną. Nie istnieje hodowla, nikt nie trzyma zwierząt w obejściu.

■ Ubrania wytwarzane są z przędzy podobnej do lnu, uzyskiwanej z surowca miejscowego. Zresztą, cała produkcja kolonii opiera się na miejscowym surowcu, więc kolonia będzie mogła prowadzić dotychczasowy tryb życia, jak długo będzie zaopatrywana w niezbędne surowce. Ta samodzielność i samowystarczalność to jedyny, ale niewątpliwie sukces kolonii w Nowym Porcie, zwanym przez tubylców Gehenną. Panuje tu klimat sielskości i wszechobecny spokój, aczkolwiek nasi doradcy wojskowi ostrzegają przed nimi, uważając, że koloniści tylko czekają na nasz odlot. Nieustannie obowiązuje pogotowie bojowe. Zespół naukowy wątpi w zagrożenie ze strony tubylców, ale nie rezygnujemy ze środków bezpieczeństwa. Biolodzy przestrzegają przed kontaktami z miejscową florą i fauną.

#### **Dokument D. Fragment dziennika dr Giny Kendrick.**

Inteligencja nie jest pojęciem ściśle naukowym. Już wcześniej przeciwstawiałam się opisom „władzy rozumu”, teraz ponownie przeciwstawiam się biologom, nie potrafiącym zrezygnować z przykładania tej teorii do ciągle niezbadanej zdolności ludzi do adaptacji w obcym środowisku.

Należy tu rozważyć dwa aspekty.

Po pierwsze, trzeba się zastanowić, jaki czynnik powoduje, że żywy organizm potrafi się odnaleźć w pewnych całkowicie nowych warunkach i nadal normalnie funkcjonować, a przeniesiony do innych nowych warunków, traci swoją zdolność adaptacji i umiera.

Po drugie, musimy się dowiedzieć, dlaczego w jednych warunkach system przetwarzania informacji i zdolność logicznego myślenia działa bez zarzutu, a w daigich ulega rozprzężeniu, popadając w informatyczny chaos.

Ta dziwna właściwość, zwana - dość mętnie - inteligencją, jest, zgodnie z powszechnym osądem, umiejętnością przetwarzania danych, wyciągania wniosków z przeżytych sytuacji i przenoszenie tak powstałych struktur per analogiam na inne sytuacje, zaistniałe w odmiennych warunkach. W skrócie - jest to zdolność dopasowania się organizmów do nowych warunków egzystencji. Trzeba jednak zauważyć, że słowo „analogia” niesie ze sobą antropocentryczny punkt widzenia.

„Logika” jest przecież takim samym błędem, powstałym przez antropocentryczne skłonności badaczy, którzy na wszystkim chcieliby odcisnąć piętno ludzkiego porządku rzeczy. Logika jest skłonnością do filtrowania wszelkich informacji przez ludzki aparat poznawczy, posługujący się kryterium prawdy i fałszu. Czyli jest to dążenie do układania danych dostarczanych przez zmysły w binarnie bądź sekwencyjnie następujące opozycje.

Takie generalizowanie problemu powoduje, że powstają uproszczenia typu: „Każde środowisko nadaje się do zamieszkania, o ile osobnik, który się w nim znalazł, ma wystarczająco wysoki iloraz

inteligencji". To samo można powiedzieć o mechanizmie generalizowania jako domniemanym podstawowym kryterium inteligencji, szczególnie w przypadku, gdy uważa się za nieodłączny element żywego organizmu i jedyny powód do życia w ogóle.

Dotyczy to głównie sytuacji, kiedy na jednym obszarze zamieszkuje człowiek i istoty, o których nic nie wiemy.

Generalizowanie danych pozwala na swobodną zmianę środowiska naturalnego na korzystne dla siebie, niezależnie od tego, czy narusza się wtedy czyjaś własność i siłą wdziera do obcego świata, czy nie. Takie skrupuły nie są ważne dla gatunku przywłaszczającego sobie obcą przestrzeń życiową, dodającego do mechanizmu doboru naturalnego broń palną, gaz i pałki.

Ostatecznie można się zgodzić na taką interwencję, jeśli owi ekologiczni włamywacze zadowolą się jakąś wydzieloną enklawą i poprzestaną na operacjach na własnym materiale genetycznym. Jeśli jednak wyjdą poza swój obszar, chcąc ingerować w obcy kod genetyczny, eksperymentacji na wiarygodności.

Na Gehennie II dominującą formą życia miejscowego są łu-skowate, endotermiczne czworonogi pozbawione z ludzkiego punktu widzenia wdzięku i jakichkolwiek walorów estetycznych. Termin „jaszczury”, użyty na ich określenie przez pierwszą misję zwiadowczą, nie jest odpowiednim opisem tych skomplikowanych w swej budowie wewnętrznej stworzeń, odbiegających swym charakterem od wszystkiego, co zwykliśmy kojarzyć z tą nazwą. Z pewnością było to bardzo nieszczęśliwe skojarzenie, które skatalogowało te istoty w naszym rozumieniu. Żadne pojęcie z ludzkiego słownika nie jest odpowiednie do nazwania budowlanych przez Kalibany. Nic nie uprawnia nas do wtargnięcia na to terytorium.

Niestety, nie potrafimy opisać procesu adaptacji Kalibanów, co zakończyło się całkowitą wygraną nad ludzkim miastem, a przecież nie wolno zapomnieć, że osadnicy byli wyposażeni w nowoczesną broń i ciężki sprzęt budowlany, mieli też doświadczenie w przedsięwzięciach kolonizacyjnych. Z całej siły przeciwstawiam się funkcjonującemu wśród członków ekspedycji przekonaniu, że koloniści mogli „zarazić” inteligencją rodzime formy życia. Stanowczo przeciwstawiam się planom dalszej kolonizacji tej planety i ingerowaniu w jej ekologiczną strukturę.

Protestuję przeciwko próbom oceny nieznanego świata miarami ludzkich wartości i narzuceniu mu tychże wartości. Ma to bowiem tylko jeden cel: przywłaszczenie sobie świata, który jest wyjątkowy, specyficzny i rządzący się własnymi prawami, wynikającymi z genetycznej unikalności w skali kosmicznej.

#### **Dokument E. Sprawozdanie dr Carla Ebrona.**

Obserwacje prowadzą do wniosku, że ludzkie osiedla porzucane w górach przed długie lata wtapiały się w krajobraz tej planety. Żeby zabrać stamtąd ich mieszkańców, uważających te tereny za swoją ojczyznę, trzeba by chyba użyć siły. Mieszkańcy miasta też zapewne podążyliby za wezwaniem do obrony swej własności.

Wydaje się wątpliwe, by można było zabrać z tej planety kogokolwiek. Wywoząc potomków kolonistów osiągnęlibyśmy jedynie to, że zatarlibyśmy ślady pobytu ludzi na Gehennie 11 i stracilibyśmy możliwość zbadania społeczeństwa wyrosłego bez osiągnięć technologicznych. Nie rozwiązałibyśmy ani swoich problemów, ani kolonistów, pewne jest natomiast, że po sprowadzeniu ich z powrotem siałiby ferment wewnątrz naszego państwa. Złośliwym zrządzeniem losu stanęlibyśmy przed koniecznością znalezienia wspólnego języka z naszym własnym gatunkiem i przynieśliśmy na Gehennę U poważne ryzyko destabilizacji tamtejszej sytuacji.

Moim zdaniem należałoby wszystko pozostawić w stanie zastanym na planecie, postulowałbym jednak założenie zakamuflowanej stacji obserwacyjnej i zagwarantowanie tej społeczności spokojnej możliwości dalszego rozwoju cywilizacyjnego.

Istnieje, oczywiście, jeszcze jedno alternatywne rozwiązanie, czyli całkowita sterylizacja planety, wyeliminowanie z niej ludzi i śladów ich pobytu. Uważam, że jest to jednak niedopuszczalne z punktu widzenia etyki i zwykłej przyzwoitości. Jesteśmy przecież ludźmi i chociaż takie rozwiązanie zaradziłoby prawdopodobnie większemu złu w przyszłości, to etyka nie pozwala nam tego uczynić.

Nie wiem, czy dzieje się tak za sprawą inteligencji człowieka (dr Kendrick pewnie polemizowałaby ze mną), ale ponieważ na Gehennie II nic nie wydaje się zagrażać ludzkim istotom, należy zachować na tym świecie istniejące status quo przynajmniej do czasu, aż będziemy dysponowali większą ilością danych.

#### **Dokument G. Autor dr Chandra Cartier.**

Wysłuchałam z wielką uwagą raportów dr Kendrick i dr Ebrona, i muszę z całą stanowczością przeciwstawić się ich tezom i poglądom. Tezy dr Kendrick można odnieść do każdej istoty zamieszkującej Gehennę II. Uważam jednak, że na tym świecie czai się niebezpieczeństwo grożące nie tylko ze strony istot żywych, nieważne, obdarzonych inteligencją czy nie. Groźny jest też atawistyczny strach w nas samych wobec istot zamieszkujących badany świat.

Protestuję przeciwko obłożeniu Gehenny U kwarantanną, by obserwować z ukrycia mieszkających tam ludzi w ich upokorzeniu, cierpieniu i nieświadomości własnych korzeni. Nie widzę też sensu przypisywać jaszczuropolodnym istotom tubylczym jakiegokolwiek uzdolnienia, bo to zwykłe domniemanie. Protestuję przeciwko pogładowi, że operujemy tu pojęciem relatywnej wartości. Czy można mówić o jakiegokolwiek względności, gdy w grę wchodzi dobro ludzi znanych nam z imienia, taplających się w błocie i pozbawionych możliwości właściwej oceny sytuacji, w jakiej się znaleźli przez nas?

Błoto i szaleństwo są zapewne pojęciami naukowymi i dla nas abstrakcyjnymi, ale w tym świecie ochrzczonym mianem piekła, te pojęcia mają kluczowe znaczenie. Podzielam pogląd, że nakładając na planetę kwarantannę, skazalibyśmy tych ludzi na zagładę, opuszczając w potrzebie.

Powinniśmy wybudować tam szpitale i szkoły, które wprowadziłyby tych ludzkich rozbitków z powrotem w nowoczesność i zamieniłyby Gehennę U w kwitnącą kolonię ludzką. Z pewnością skok z ery kamienia łupanego w erę kosmiczną byłby za trudny dla jednego pokolenia, ale metalowe pługi i ciągniki całkowicie wystarczyłyby na początek. Współczesna medycyna ze swoimi możliwościami, chociażby z procesem odmładzania, także przekracza prawdopodobnie ich możliwości pojmowania, ale możemy przecież na początek zabezpieczyć ich przed głodem, niepogodą, możemy importować rośliny i bydło.

Przedstawiona przez Ebrona teza o nikłej wartości życia ludzkiego jest zapewne ideałem z punktu widzenia ekologów, ale nie warto jej rozpatrywać, gdyż jest po prostu nieludzka.

Co się zaś tyczy rozważań dr Kendrick na temat wartości... sędzę, że są interesujące tylko w chwili, gdy będziemy je rozpatrywali nie w realnych okolicznościach, a w świecie abstrakcji. Prowadzą bowiem nieuchronnie do jednego tylko wniosku: w razie ich urzeczywistnienia stanęlibyśmy wobec zagłady ludzkiego gatunku. Nasza inteligencja, nieważne, antropocentryczna czy inna, każe nam przypuszczać, że przez czyny - dobre lub złe - jesteśmy w stanie zapewnić ludzkości przetrwanie. Wieloryby, foki i inne ziemskie gatunki przeżyły w oceanie Cyteen. Niedźwiedzie i inne zwierzęta poradziły sobie w jej puszczech. Czy to moralne, że w wyniku doboru naturalnego przetrwały tylko najsilniejsze i najsprytniejsze?

Czy moralne jest choćby to, że opuściliśmy rodzimy system Sol, planetę naszych przodków? Historia ludzkości składa się z gwałtownych wojen i bitew, przedzielanych krótkimi okresami pokoju.

Nieludzkim byłoby pozostawienie kolonistów na łasce losu bez zapewnienia im godnego poziomu egzystencji. Trzeba ponownie wyznaczyć obszar, na którym mogliby zamieszkać razem wszyscy potomkowie kolonistów. Trzeba to miejsce zabezpieczyć przy użyciu wszystkich dostępnych nam środków obronnych, dopóki nie wyjaśnimy przyczyn katastrofy, jaka spotkała pierwszą kolonię.

Argumentowanie na rzecz tezy o takim czy innym przebiegu ewolucji i o konieczności ekologicznej, która zepchnęła kilkanaście tysięcy ludzi w epokę kamienia łupanego, jest nawoływaniem do odwrócenia biegu historii, aby uczynić ludzi mądrzejszymi o to straszne doświadczenie. Bez konieczności rezygnacji z tego, co ludziom przysługuje zgodnie z prawem natury.

## 7.

### **Nowy Port. Misja Gehenna. Komunikat odebrany przez AS Borcasz.**

Załoga, która odbierze poniższy komunikat, uczyni wszystko, co w jej mocy, aby przygotować obszar wyznaczony na lądowisko, zabezpieczyć miasto oraz pola uprawne i zapewnić dostęp do rzeki. Należy szczególną uwagę zwrócić na zorganizowanie opieki zdrowotnej dla mieszkańców Nowego Portu/Gehenny i otwarcie szkół. Nie należy zapominać o bezpieczeństwie własnej załogi i statku, mają one znaczenie priorytetowe.

Zaleca się ostrożne i oszczędne używanie broni i nieingerować bez potrzeby w naturalne środowisko planety. Należy pamiętać o możliwości sabotażu ze strony agentów Unii i nie lekceważyć możliwości ewentualnych wystąpień ze strony potomków kolonistów.

Nasze biuro ma stały kontakt z urzędami kolonialnymi Unii. Rozpoczęliśmy rokowania na temat

możliwości udzielenia przez nich pomocy humanitarnej ich własnym kolonistom na Gehennie, ale nie należy oczekiwać jakichś szybkich postępów ze strony rządu na Cyteen.

Misja powinna, nie czekając na dalsze polecenia, natychmiast przystąpić do zabezpieczenia terenu, gromadząc w wyznaczonej strefie sprzęt w ilości zapewniającej przewagę taktyczną. Nie wdawać się w konflikty z rdzennymi mieszkańcami planety oraz kolonistami, pomijając przypadki bezpośredniego zagrożenia.

Należy powstrzymać się przed wyciąganiem pochopnych wniosków na temat inteligencji Kalibanów i cierpliwie czekać na dane, które wkrótce misji dostarczymy.

Lista priorytetów jest następująca: "

- zabezpieczenie terenu;
- zorientowanie się, czy druga strona przejawia jakąkolwiek aktywność, w razie gdyby tak było, przedsięwziąć środki zaradcze;
- zabezpieczenie miasta i osiedli satelickich, z uwzględnieniem problemów ekologicznych;
- zapewnienie kolonistom pomocy medycznej i oświaty;
- dokonanie centralizacji handlu tubylczego w mieście, które ma stać się stolicą podległą Sojuszowi, co powinno zjednoczyć ludzi rozproszonych po wioskach. Kolonistów zachęcać do skupiania się w jednym miejscu, głównie przez udostępnienie im żywności;
- kolonistów zapoznawać z pojęciami higieny osobistej, wiedzą rolniczą i naszym systemem politycznym;
- zabezpieczyć się przed ewentualnością ataków ze strony Kalibanów.

Po wykonaniu powyższych zaleceń, na Gehennę dotrze kolejny statek kupiecki, przywożąc komponenty do budowy stacji orbitalnej. Powstanie takiej stacji i obsadzenie jej stałą załogą zapewni nam kontrolę nad dużym obszarem planety, ewentualne wsparcie będą stanowić okręty zwiadowcze, krążące na różnych orbitach wokół Gehenny.

Polityka Sojuszu nie dopuszcza obojętności, która może doprowadzić do upadku kolonii. Niezależnie od swego pochodzenia, ludzkie istoty zamieszkujące Gehennę, są obywatelami Sojuszu. Przy wszelkich próbach porozumienia się z nimi należy mieć na uwadze wskazówki z punktu dziewiątego instrukcji o pierwszym kontakcie.

Misja powinna dostarczyć odpowiedzi na pytanie, czy na Gehennie istnieje inteligencja tubylcza oraz wytyczyć obszary, na których ludzkość będzie mogła egzystować bez możliwości kontaktu z wyższymi formami życia tubylczego.

Największy zatem nacisk należy położyć na zagospodarowanie terenu wokół lądowiska...

## 8.

### **Baza Nowy Port. Sala konferencyjna.**

• Powinniśmy rozpocząć eksploatację - powiedział stanowczo Ebron - godząc się z koniecznością ignorowania potrzeb rdzennych mieszkańców planety.

• To jest rozstrzygnięcie polityczne - zaprotestowała Kendrick. - Znajdujemy się na jak najlepszej drodze do ekspansji. Oni chcą Gehenny tylko dla siebie, stąd powstał na Cyteen ten program. Unia każe nam przystąpić do realizacji wyznaczonych zadań, ale w rze-

ystwość są zadowoleni z obecnego status quo. Niech piekło pochłonie Kalibany. Ich obchodzi jedynie to, że kolonia cofnęła się do epoki kamienia łupanego...

- O tym nie było mowy w raporcie - przerwał jej Cartier.

FCendrick głośno wciągnęła powietrze.

• O tym nie ma mowy w raporcie. A po co mieliby o tym wspominać? Dostali, czego chcieli. To pan sam sporządził dokument, prawda? Zgodnie ze swoimi własnymi intencjami?

• Akurat pani nie zgadła.

## 9.

### **Rok 72, dzień 130 ery kolonialnej. Góry.**

Po wielu dniach wędrówki Pia wreszcie dotarła na szczyt góry i usiadła na ziemi, obserwując z

daleka gorączkową krzątanicę w mieście. Miała za sobą ciężką drogę, za długą dla leciwej kobiety. Cloud, ciężko dysząc, wdrapał się za nią, zadowolony, że wreszcie odnalazł starszą panią.

Serce biło mu mocniej, kiedy wspinał się po stromym zboczu. Pia siedziała na ziemi tak spokojnie, że stanęła mu przed oczami nieżyjąca już matka. Obawiał się Pii, wychudzonej, o wysuszonej skórze, przypominała mu kostur, którym się podpierała. Jej wygląd pasował do trybu życia, jaki prowadziła - kochała wstawać przed świtem, by o wschodzie słońca patrzeć na miejsce, gdzie już nie będzie mogła przebywać.

- Matko Pio - powiedział spokojnie i kucnął przed kobietą, podparłszy się łokciami.

Zimny poranny wiatr spowodował, że zmarzł. Zadrzał, spojrzawszy w twarz kobiety, pomarszczoną niczym zasuszony owoc, w którym tkwiły niczym poczemiałe kamienie studni jej oczy. Przydługie włosy opadały w nieładzie na czoło. Jest zaniedbana, pomyślał.

- Matko Pio, ojciec składa ci życzenia wszystkiego dobrego.

Przez chwilę jej oczy patrzyły przed siebie, nieodgadnione, jakby nie docierały do niej słowa przybysza. Potem jednak kobieta podniosła kościstą rękę i wskazała przed siebie.

- Dużo budują tej wiosny...

Spojrzał we wskazanym przez nią kierunku.

W mieście przybyło ostatnio budowli, wyższych i odmiennych od dotychczasowych. Starsza kobieta była chyba dzisiaj rozmownie usposobiona.

Spojrzał na nią ponownie, ufając, że dzisiaj łatwiej przyjdzie mu wykonać zadanie ojca i sprowadzić staruszkę na dół. Do domu.

- Zburzyli wały, wyrównali drogę do rzeki. Ty nie pamiętasz, jak to wyglądało wcześniej...

- Wyrównali wały?

- Tak. Budują, wciąż budują. Spójrz tylko, jak powiększyły się pola uprawne, zabierając całe połacie równiny. Zobacz, jak powiększył się obóz. Nie można dotykać drutów w ich ogrodzeniu. Elektryczność sprawia ból. Lepiej nie zbliżać się do tego ich ogrodzenia.

Koścista ręka spróbowała schwytać chłopca. Cloud zgrabnie uchylił się przed kościstymi palcami, przestraszony nagłym atakiem kobiety. Gdyby miała pod ręką kij, z pewnością oberwałby w ucho.

- Ogrodzenia! - powtórzyła gniewnie.

-Tak, ogrodzenia - potwierdził automatycznie, nie rozumiejąc, co mogło tak rozgniewać babkę. Trząśnięcie z zimna i strachu przed starą kobietą.

- Skąd się tego nauczyłeś? Od bandy Nine'a?

- Nie, matko Pio.

- Powinieneś wysławiać się poprawnie, słyszysz? Nie tak prostacko, jak głupcy Nine'a, ani nie tak, jak mój brat Jin. A wiesz dlaczego?

- Aby iść i dojść - wymamrotał znane od dziecka formuły. -Aby stać się takimi, jak ludzie z urodzenia...

Drgnął wymawiając ostatnie słowa, raz z niechęcią do formuł, dwa z dotkliwego chłodu poranka. Czarne oczy kobiety patrzyły nań natarczywie. Przełknął ślinę i dokończył, starając się rozważnie dobrać słowa:

- Jak ci, co mieszkają w obozie. Aby zostać człowiekiem z urodzenia.

Przez długą chwilę kobieta patrzyła na chłopca. Podniosła swoje okrycie i ofiarowała mu ciepło pod swoim ramieniem. Zgodził się, bo czuł respekt przed staruszką. Ale zrozumiał doniosłość tego gestu. Odkąd pamiętał, nie uczyniła nic podobnego. Miał już dziesięć lat, wystarczająco dużo, by nie lękać się jej starczego ciała, które już dawno przestało być kobiece. Była tak stara, chuda, zarazem harda i krucha, że nie mógł zrozumieć, jak mogło się w tym ciele mieścić jednocześnie tyle sprzeczności.

Czuł od niej aromat ziół i zapach dymu. Gdy go przygarnęła, poczuł się jak Ariel w obecności Kalibanów. Jej ramię obejmowało go z niespodziewaną delikatnością, budzącą wspomnienia z dzieciństwa, kiedy kołysała go matka. Twarz Pii nie znała uśmiechu.

- Miałam brata... - przerwała przedłużające się milczenie. - Miał na imię Green. Poszedł kiedyś przed siebie, zniknął między wałami.

Ale jeszcze wcześniej zapomniał ludzkiej mowy. Nigdy nie idź w jego ślady, Cloud. Nigdy!

- Umiem się podpisać!

Przycisnęła go mocniej.

- Co roku przybywa w obozie nowych budowli. Ludzie z rów

niny chcą, byśmy się do nich dołączyli. Otwierają przejścia w zasiekach, zapraszając do siebie. Czasem mam ochotę zejść, żeby obejrzieć te wszystkie ich nowe zabawki. Wiele się zmieniło na dole od czasu, kiedy ostatni raz tam byłam. Ale tacy jak ja nie są wpuszczani do bazy, bo ich miejsce jest w mieście, gdzie dawno temu stały kopuły i mieszkali ludzie z urodzenia. Obywatele. Pamiętam ich. Przypominam sobie dzień, kiedy przybyły statki, a w miejscu, gdzie dziś wznosi się baza, rósł las. Były też wały, a Kaiibany nie wszystkie wyniosły się w górę rzeki. Zanim przybyły statki ludzie żyli po staremu. A potem odbudowano ogrodzenia. Wtedy uciekły ostatnie Kaiibany, a ci, którym się to nie podobało, także mszyli w górę rzeki. Tak jak przepadł Green. Myślę, że już nie żyje. To było tak dawno temu...

Cloud milczał.

• Twój ojciec był moim najstarszym synem. Gdy tak patrzę na ciebie, staje mi przed oczami jak żywy. Jesteście tak podobni...

• Gdzie spotkałaś dziadka? - odważył się spytać, poruszając pod derką i patrząc w jej oczy.

• Już tego nie pamiętam. Wtedy znałam wielu chłopców - jej odpowiedź od lat brzmiała tak samo. - Sądzę, że pochodził od ludzi z urodzenia. A może był jednym z nieprzystosowanych? Co ty o tym sądzisz?

Zmierzyła mu włosy. Poczerwieniał.

- Nie, myślę, że nie. Zresztą, nie pamiętani. Nigdy nie mogę sobie tego przypomnieć. Zrobiło się zimno, wracajmy do domu.

- Powiedz mi!

Zacisnęła wąskie usta.

• Myślę, że jego ojcem był ktoś z obozu. Raczej na pewno, bo był przystojnym chłopcem. Miał piękne włosy. Jak twoje. Poszedł w góry. ale nie przeżył nawet pierwszej zimy. Nazywał się Mayes. Był taki piękny, ale zmarł. Mój syn nie jest do niego podobny. A twoja matka...

• Umarła przy narodzinach dziecka. Wiem.

• Trudno jest kobiecie wydawać na świat potomstwo.

• Wiele kobiet jakoś sobie z tym radzi.

• A wiele umiera.

Starczą dłonią dotknęła jego twarzy. Pochyliła się i mógł spojrzeć w jej czarne oczy. Derka zsunęła mu się z pleców. Znowu poczuł zimno.

- Nazywała się Elly Flanahan-Gutierrez. Miała takie włosy jak ty. Pochodziła z załogi statku, którym wszyscy tu przybyliśmy. Jej matka zaszła w ciążę, gdy udała się między wały.

Pokrecił głową z niedowierzaniem, szcękając zębami z zimna. Pia nie chciała go wypuścić z objęć.

• Moim ojcem był Jin, a matką Pia. Mieli wytatuowane numery. Wyprodukowali ich Obywatele. Byłam ich córką, a poza mną mieli jeszcze Jina i Marka. Mark już nie żyje. Zeda nigdy nie znałaś, był myśliwym i kiedyś nie wrócił z wyprawy. Potem narodzili się Tam i Green, który zaginął pomiędzy wałami ICalibanów. Jin Drugi był ojcem Jina Młodszeo i Pii Młodszej, następnie urodzili się Tam Młodszy i Cloud Senior oraz Summy i inni. Zed w ogóle nie miał potomstwa, lecz Elly mogła być jego córką. Jeśli to prawda, to była jego jedynym dzieckiem, jakie widziałam. Tam Starszy spłodził Tama Młodszeo, Jina Młodszeo Drugiego, Pię Rudą i Clouda Jednookiego. A może Elle Flanahan była jego córką? Green, co przepadł bez śladu, porwał Jane Flanahan. Uciekła, ale teraz ty, Cloud Najmłodszy, jesteś z całej naszej rodziny najbardziej do niego podobny. Macie te same włosy, te same oczy, jesteście podobnego wzrostu w tym wieku. Może to Green był twoim ojcem? A może którykolwiek z setki innych mężczyzn? Któż to wie? Tylu ich przecież żyje w chaszczach między wałami. Ale ty umiesz mówić, umiesz czytać, a nawet się podpisać. Może pewnego dnia wrócisz do miasta i tam zaczniesz uprawiać ziemię?

• Jestem górale! - To był mocny protest, aż drżał z oburzenia. - Moja matka nie była taka, jak mówisz.

- Nazywaj ją Elly Najstarszą - odparła staruszka. W tym momencie pomyślał, że ona rzeczywiście zwariowała, dokładnie tak, jak głosiła wioskowa plotka. - Ojca zaś nazywaj Greenem.

Przerwała i zapominając o chłopcu, zaczęła kreślić na ziemi jakieś rysunki.

• To jest wschodzące słońce - narysowała prawoskrętną spiralę. - A to jest zachodzące słońce. Lub znak oznaczający zmianę istniejącego stanu rzeczy. Kamień postawiony na drugim kamieniu oznacza



dom. Ten symbol oznacza Kalibany, ten Ariele, a ten małe zielone jaszczurki. A w ten sposób rysujemy plemię żyjące na morskiej plaży, wychodzące na ląd jedynie w nocy. Widziałam jednego z nich, był podobny do Kaiibana, ale wiele ich różniło. Był bardzo duży i nigdy już nie spotkałam innego z jego gatunku. O wielu rzeczach jeszcze ci nie opowiadałam, podobnie jak starszyźnie wioski. Wiem wiele, ale jeszcze nie o wszystkim mogę ci powiedzieć. Chyba dobrze postępuję?

• Jest mi zimno, matko Pio. Chodźmy już do domu. proszę. Ojciec kazał mi zaraz wracać.

Ujęła derkę, na chwilę odsłaniając ciało okryte kilkoma zszytymi skórami. Owinęła chłopca i wstała, opierając się na grubym kij. Poruszała się wolno, z wysiłkiem. Cloud podniósł się w ślad za nią a ona jeszcze raz zmierzwiła mu włosy i pogłaskała po policzku. Takiej delikatności nie zaznał od niej nigdy w życiu.

Potem skierowała się na północ.

- Matko Pio! - krzyknął, czując, że ogarnia go złe przeczucie.

Pognał za kobietą, szczelniej owijając się derką. Jej rąbki trzepotały na wietrze. - Matko Pio! To zła droga. Przecież tędy idzie się w stronę rzeki.

Starcy ciągle zapominali drogi. Czuł się zażenowany wiadomościami usłyszczanymi od kobiety. Był wściekły na wszystko, co mu powiedziała, a jednocześnie wdzięczny za okrycie i czułość.

- Trzeba iść tędy!

Zatrzymała się.

- Myślę, że nadszedł czas, bym zeszła do miasta. Co jednak mogę tam zastać? Może zadowoli mnie rzut oka na maszyny rolnicze, może dostanę łyżkę ciepłej strawy. Przedtem jednak będę musiała przejść przez ogrodzenie, prosić strażników, by pozwolili mi wejść i wrócić z powrotem. Może pomyślą, że tak stara kobieta jest chora i wkrótce umrze? Pewnie umarłabym, gdyby mnie zamknęli w bazie na dłużej. A zatem to zły pomysł. Ale przecież nasza własna wioska śmierdzi tak samo jak miasto w dniu, kiedy umarł Jin Najstarszy, jestem już zmęczona tym odorem. Nie pozostaje mi więc nic innego, jak wędrówka w górę rzeki. Chcę zobaczyć, gdzie udały się Kalibany.

- Matko Pio, to przecież bardzo długa droga. Nie dasz rady!

Zostań tutaj.

Uśmiechnęła się, rozjaśniając chmurne czoło. Ten uśmiech wstrząsnął do głębi Cloudem.

Zrozumiał, że do tej pory nic nie wiedział o swojej babce.

- Mam nadzieję, że tego dokonam - odezwała się łagodnie. -

Ty zaś ucz się mówić, czytać i pisać. Nie zapomnij o tym!

Poszła przed siebie.

Cloud sam był winny swemu tchórzostwu. Stał w miejscu, nie zamierzając za nią pobiec. To tylko zwariowana staruszka, tłuma czył sobie w duchu. Jest nastarsza we wsi, stara jak górskie szczyty. Na pewno zna drogę i jak będzie chciała zawrócić, to zrobi to. Wie, dokąd zmierza. Zaraz potem pomyślał, jak piękna i mądra jest ta kobieta.

Jeszcze nigdy w swoim życiu nie myślał tak o Pii, ale przecież rzeczywiście była piękna: smukła, wysoka, nie zgarbiona ciężarem przeżytych lat. Szła ku rzece, a wiatr rozwiewał frędzle jej skórzanej sukni i siwe strąki jej włosów. Szła tam, dokąd chciała iść.

Pobiegł z powrotem do wioski i zdał ojcu szczegółową relację. Ojciec natychmiast rozesał gońców, aby znaleźli staruszkę. Jednak wszelki ślad po niej zaginął. Nie było w tym nic dziwnego, wszak wychowała się w górach i przeżyła w nich tyle lat, że nikt nie znał lepiej od niej ich tajemnic.

Cały dzień upłynął, nim Cloud w końcu zapłakał z żalu za staruszką, ale łzy szybko wyschły. Wyobraził sobie, co się stanie, gdy Pia odnajdzie Kalibany. Całe życie rozmyślał o tej kobiecie, o jaszczurach, a kiedy spłodził syna, opowiedział mu tę historię. Znało ją też kilku ludzi, którzy pewnego dnia zdecydowali się opuścić wioskę i zamieszkać obok bazy.

Wkrótce po wyruszeniu Pii w jej ostatnią podróż, pod górską wioską powróciły Kalibany. Cloud nie był pewien, czy ten powrót ma coś wspólnego z Pią, ale niewątpliwie Kalibany wróciły.

AM:LM.....ilj..n.....Fr

## 10.

Rok 72, dzień 98 ery kolonialnej. Baza na Gehennie II.

- Boisz się? - zapytał mężczyzna.

Siedzący w rogu pokoju operacyjnego Dean rzeczywiście miał stracha, lecz nie zwierzył się z tego głównemu lekarzowi. Wiedział, że dzieci zrobiły to samo - po prostu przyszły do bazy i uczyły się. Siedział tu, bo w wyniku selekcji oddzielano od zwykłych mieszkańców tych, co lubili pracę w polu, objali się w faktoriach lub podpadli strażnikom. Akcja najbardziej dała się we znaki takim podrostkom jak on.

Dean od początku przysparzał problemy.

W czasie prac polowych podszedł do brygadiera i próbował mu wyjaśnić, w jaki sposób należałoby właściwiej pracować i organizować pracę. Jedyne co zyskał, to zarzut porzucenia stanowiska. Nie mógł jednak postąpić inaczej, bo miał już powyżej uszu swojego kierownika. A teraz izolowano tych, którzy nie potrafili przystosować się do przydzielonych im zadań.

Żołnierze wyciągali ich z domów i zaciągali do miejsca pośrodku bazy, odgradzonego dodatkowym zasięgiem pod napięciem. Zbierali nawet dzieci, kusząc je łakociami, odciągając od rodziców obietnicą nieznanymi bliżej dobrodziejstw. Poddawano je różnorodnym testom, a następnie codziennie miały się meldować w wyznaczonych miejscach.

Ponieważ czynili to także z młodszymi dziećmi, a one nie żywiły żadnych obaw, Dean wstydził się swojego strachu.

Umiesz czytać? Umiesz pisać? Znasz kogoś, kto umie czytać lub pisać? Nie odpowiadał na takie pytania.

Nazywał się Dean i było to imię człowieka z urodzenia. Matka pokazała mu, jak się ma podpisywać. Umiał przeczytać szyldy i drogowskazy, choć to ostatnie szło mu z trudem. Długo łączył litery w zrozumiałe dlań słowa.

- Czy moja matka otrzyma jakąś zapomogę? - zapytał, bo przecież jeśli ma już wywalczyć coś dla siebie, to może uda się wytar gować też coś dla matki.

- To zależy wyłącznie od ciebie - odezwał się mężczyzna znad książki, naśladowując styl wypowiedzi Deana. - Dobrze że przystałeś na naszą propozycję. Pamiętaj, że zawsze możesz dostać więcej, ale wszystko zależy od ciebie.

Popatrzył na niego nieufnie. Chcemy wreszcie rozpocząć nauczanie. Teraz możesz sobie obejrzeć sprzęt, jakim dysponujemy. Jeśli będziesz bystry i przyswoisz sobie wszystko, otrzymasz zapłatę. Nie zapominaj, że zawsze stać cię na więcej. Zobaczmy, na co cię stać w tej chwili.

Usiedli przed tablicą, na której płonęło światło z literą A, czemu towarzyszył cichy odgłos buczenia. Później to samo stało się z literą B, zaraz potem ukazała się sylaba AB. Nauczono go posługiwania się klawiaturą komputera, aby mógł przekazywać i opisywać swoje uczucia. W głowie miał chaos, zbyt wiele możliwości.

Wreszcie przeszedł przez testy przewidziane na ten dzień.

- Umiem czytać! - wykrzyknął.

Do tej pory umiał tylko obsługiwać maszynę, która podawała mu w formie gotowych słów i zdań to, co wystukał na klawiaturze, gdzie litery zastępowały obrazki i ikony. W tej chwili chciałby już zawsze siedzieć przed komputerem i stukając w klawisze, obserwować pojawiające się na ekranie, jarzące litery.

- Jestem człowiekiem z urodzenia. Umiem czytać i pisać! - Zamiast uśmiechu szczęścia przybrał poważną minę, był teraz kimś. Lekarze wyszli, by omówić wyniki eksperymentu, a on ciągle się dział przed komputerem, czując jak coraz bardziej bolą go plecy. Miał nadzieję, że wypadł dobrze.

Do pokoju wróciła jedna z lekarek. Była starannie ubrana i rozsiewała wokół woń charakterystyczną dla przybyszów, dającą się wyczuć z ich ubrań, odmienną od zapachów ziemi i dymu ognisk.

- Zostaniesz tu na noc - oznajmiła. - Wypadłeś w teście bardzo dobrze. Chcemy cię mieć blisko siebie, abyś dalej rozwiązywał nowe testy, które wkrótce przygotowujemy.

Poczuł się odprężony, gdy usłyszał tę nowinę, ale nie wiedział, dlaczego. Coś spowodowało, że poczuł się lekko i błogo. Ale uświadomił sobie jednocześnie, że na zewnątrz czekała na niego matka, która nie miała pojęcia, co się dzieje z synem. Ostatecznie miał dopiero trzynaście lat - był za młody, by o sobie decydować.

Z kolei „baza” znaczyło „autorytet”.

Dlatego został.

Ich nowe pytania nie dotyczyły już A i B.

Interesowali się głównie nim samym, co myśli na temat dobra i zła, co pamięta... Pytaniom nie było końca, aż poczuł wreszcie silny ból głowy i zrobił coś, co dotąd zdarzało mu się tylko przy matce. Zapłakał. Coś w nim pękło.

Ale oni nie przestali pytać.

Z trudem przezwyciężył płacz. Odpowiadał, tak jak sobie tego życzyli. Przemiana, która w nim nastąpiła, wynikała z chęci zostania kimś innym, niż mieszkańcy miasta.

Na jego głowę spadała istna lawina pytań.

Wreszcie przestali. Pozwolili mu zjeść i położyć się spać.

Rankiem - nie był pewien pory dnia czy nocy - kazali mu przenieść się do innego pomieszczenia. Ukłuli go w ramię igłą, po czym zapadł w dziwny letarg. W jego świadomość zaczęły sączyć się różne informacje. Jego umysł wirował w zimnej przestrzeni, oglądał rzeczywistość, jakby stał z boku. Uczyli go, kim jest i skąd pochodzi.

Po obudzeniu chciał iść do domu.

- Matka przysłała ci obiad - powiedzieli, przyjaźnie się uśmiechając. - Wie, że dobrze ci idzie. Przekazaliśmy jej, że zostaniesz tu kilka dni. Już wkrótce wrócisz do swoich. Teraz jednak posil się, czeka nas praca.

Zjadł chleb upieczony przez matkę. Dziwnie smakował w tym obcym miejscu. Poczuł, jak znowu płacze, łzy kapąły na posiłek. Spróbował się opanować, nie lubił, gdy oglądano go w podobnym stanie; wstydził się.

Teraz już wiedział, co czyniono ze schwytanymi dziećmi. Nie musiały tu pracować. Śmiały się, zapisując w zeszytach nowe pojęcia, paplały bezustannie, ciesząc się, że nie muszą pracować w polu. Uczyli się w szkole. Ale on przecież nie był dzieckiem. I chociaż był już bliski osiągnięcia dojrzałości, to po powrocie do miasta nie stałby się zaraz mężczyzną. Coś w nim pękło, zmieniło się.

Co mógłby powiedzieć sąsiadom z miasta?

Widziałem gwiazdy! Zgarniałem je rękami...

Na własne oczy przekonałem się, że istnieją inne światy, ale my jesteśmy wyłączeni z kosmicznej wspólnoty, bo jesteśmy inni. Nie uczymy się, wegetujemy, a miasto jest... jest... właściwie niczym.

W czasie nowej lekcji był już opanowany. Wziął środek uspokajający i przysłuchiwał się taśmom. Zagubił się w tym wszystkim, zatracił- Chciał tego, miał nadzieję, że w ten sposób stanie się jak oni-

Nie miał innego wyjścia.

- Jesteś bardzo inteligentny - powiedzieli mu.

Pochwała sprawiła mu radość, nigdy dotąd go tak nie chwalono.

Ale gdy podszedł do drzwi domu, matka zapłakała. Po raz pierwszy widział ją płaczącą.

Przycisnęła go mocno do piersi, potem objęła dłońmi jego twarz i patrzyła w oczy, próbując pojąć, co się w nim zmieniło.

Matka nie chciała, by jego życie tak się potoczyło. Wyraźnie ją to dręczyło.

- Obdarzyli mnie wszystkimi dobrodziejstwami, jakie mają - powiedział pierwszy, chcąc jej w ten sposób coś ofiarować. - Jeśli chcesz, mogę ci przynieść nowe ubranie.

Nic na to nie powiedziała.

Wstała nagle i zabrała się do gruntownych porządków, zaczynając od szorowania podłogi, jakby chciała z niej zedrzyć niewidoczną plamę, kalającą czystą przecież posadzkę. Próbowała w ten sposób wznieść barykadę przeciwko temu, co przyniósł ze sobą. Prała, czyściła stół, wytrzeпаła sienniki, wdrapała się pod sufit, myjąc powałę i kamienne obramowania izby, uszczelniła mokrymi pakułami szpary pomiędzy blokami wapienia.

Dean pomagał jej w tych porządkach, przynosił wiadrami wodę, aż sąsiedzi zaczęli go wypytywać, co się dzieje.

Kiedy już w domu wszystko lśniło jak nowe, usiedli zmęczeni do kolacji, próbując od nowa stać się matką i synem.

- Chcieli nauczyć mnie pisać - opowiadał - ale już to umiałem, bo ty mnie nauczyłaś.

- A ja posiadałam tę umiejętność od swego ojca - odpowiedziała, choć było mu to wiadome. - Jesteśmy ludźmi z urodzenia. Jak oni.

- Powiedzieli mi, że jestem inteligentny.

Wtedy podniosła wzrok znad talerza, dając do zrozumienia, że niepotrzebnie próbuje ratować

swój honor.

- Przecież to oczywiste.

Syn szybko zmienił temat, streszczając matce, czego nauczył się w bazie.

Ale już teraz czuł się samotny.

Ona go nie rozumiała. Nigdy nie będzie miał okazji wyjaśnić jej, co działo się w jego wnętrzu.

Przybysze pytali go o rzeczy, których przedtem nie mówił, ani nad którymi dotąd się nie zastanawiał. Pytali o książki, dokumenty... on wiedział, że ludzie z gór mają trochę starych druków.

Ale nie powiedział im tego.

Nie dlatego, że nie wiedział tego na pewno. Czuł się zmęczony, a oni chcieli poznać prawdę od razu. On nie mógł sobie pozwolić na kłamstwa czy nieprecyzyjność.

Siedział teraz naprzeciw matki i jadł zupe, przerażony jej wiedzą o tym, co w nim zaszło.

Matka nie miała złudzeń.

Był obcy.

## 11.

• On nie jest obywatelem Unii - orzekł szef zespołu uczonych. - Testy psychologiczne nie dają praktycznie żadnego pojęcia na temat jego światopoglądu czy wiedzy politycznej. To pewne. Również w jego rodzinie nigdy nie było takiej świadomości.

• Jego matka poprosiła nas o większe mieszkanie - odezwał się człowiek odpowiedzialny za bezpieczeństwo misji. Cała rozmowa miała miejsce w sekcji oświatowej. - Mówi, że zawsze żyli w odosobnieniu. Jego ojciec pochodził z gór, lecz matka nie wie, kim był dokładnie.

Głos zabrał specjalista od oświaty.

• Chłopak twierdzi, że jego ojciec urodził się w sposób naturalny. Jego matka uważa z kolei, że syn ma w sobie krew ludzi z urodzenia, ale jest to wyłącznie jej zasługą. Jej ojciec był lekarzem, to on nauczył ją czytać i pisać. Potrafi udzielić czasem drobnej pomocy lekarskiej czy pielęgniarskiej, ale nie jest w stanie zaspokoić wszystkich potrzeb miasta w tym względzie. Ale nikt jak dotąd nie uskarżał się na jej fachowość.

• Czyli jest to kobieta godna naszej uwagi. Warto ją poddać testom.

• Możecie zaoferować jej pracę w klinice. W ten sposób przeciągniemy na swoją stronę matkę z synem.

\_ Wciąż próbujemy zrekonstruować model stosunków społecznych, obowiązujący na Gehennie - wtrącił przewodniczący spotkania. - Gdyby udało nam się znaleźć jakieś zapiski, dokumenty, książki, o ile, oczywiście, istnieją...

• Przeprowadzony wśród ludności wywiad - przerwał mu szef bezpieczeństwa - pozwala przypuszczać, że jeśli jakiegokolwiek dokumenty istnieją, to w ich posiadaniu są górale.

• Kiepsko idzie nam nawiązanie z nimi kontaktu. Pewnie śmieją się z naszej bezradności.

• Zrobimy w tej kwestii wszystko, co tylko możliwe - zapewnił przewodniczący. - Jeśli będzie trzeba, dokumentację kolonii wydostaniemy choćby spod ziemi.

• Nie jesteśmy aż tacy bezradni i nie krążymy po omacku. Dysponujemy pewnymi danymi z początku kolonizacji. Wiemy, że zostali zaatakowani przez Kalibanów. Próbowali je przegnać, ale czy im się udało - nie jest pewne. W każdym bądź razie utracili w jakimś momencie kontrolę nad sytuacją i zostali zmuszeni do opuszczenia tego miejsca. Linia Deana i jeszcze kilka rodów zachowała w pokoleniowej tradycji świadomość swego pochodzenia, ale większość - z reguły nie należąca do azich - odeszła w góry. Mam tu na myśli potomków rodu Flanahan, Rogersa, Innis. Coś przegnało ich stąd. Hipoteza wielkiej powodzi odpada, sprawdziliśmy to. Pozostaje możliwość niesnasek politycznych, ale osobiście bym ją również wykluczył. Ewakuacja odbyła się nagle, jakby wszyscy mieszkańcy starego obozu skapitulowali. Pytanie - przed czym lub przed kim? Kalibany - to warto rozpatrzyć, bo wszędzie pełno śladów ich działalności: wały, zakopane maszyny...

• Rzeczywiście, mamy pewien niezły obraz wyjściowy - odezwał się jeden z uczonych - ale im więcej pytań, tym nędzniejsza wydaje się nam dokumentacja, którą zgromadziliśmy. Jeżeli istnieją jeszcze jakieś zapiski... Albo anomalie w osobie tego chłopca...

• Postawiliśmy bazę mocniejszą niż nasi poprzednicy - przerwał mu przewodniczący. - Więc dopóki jest spokój, będziemy kontynuować program badawczy.

-Ale tylko w obrębie miasta, czy także poza nim?

• Z wojskowego punktu widzenia - odezwał się dowódca straży - to jedyna rozsądna droga. Nie

możemy zbliżyć się do górskich osiedli, nie osłabiając miasta...

- W tym punkcie się nie zgadzam...

- Ja tylko przekazuję panu opinie moich podwładnych, oparte na chłodnej ocenie sytuacji. Nie powinniśmy dążyć do konfrontacji.

Nie powinniśmy wygrażać góralom pięścią.

Poparł go przewodniczący:

• Z politycznego punktu widzenia powinniśmy przede wszystkim chronić miasto. Do osiedli w górach mamy bardzo utrudniony dostęp.

- Kalibany...

• Wystarczy mieć na nie oko i obserwować je z daleka. W razie ataku, zdążymy ogłosić alarm.

• To już się stało - uczonego nie poprzestawał. - Tegoroczne ich wały są o kilometr bliżej obozu niż w zeszłym roku...

• Killy opracował bardzo interesującą teorię w tej sprawie. Uważa, że budowa wałów, rozprzestrzenianie się lub skurczanie obszarów, na których występują, ma związek z wyżem bądź niżem demograficznym Kalibanów.

• Nasze teorie mają jedną, bardzo poważną wadę - brak danych. Powstają w czterech ścianach laboratoriów, w oderwaniu od rzeczywistości.

• Zanim przejdziemy do problemu Kalibanów, musimy zaprowadzić porządek i dyscyplinę w mieście - szef bezpieczeństwa zmienił temat. - Dopiero wtedy możemy mówić o wyprawie za ogrodzenie.

## 12.

### Rok 89, dzień 203 ery kolonialnej. Brzeg Styksu.

Mieszkańcy miast razem z ludźmi z urodzenia szli w górę rzeki. Robili wiele hałasu, który wzmagał się w miarę przybliżania się grupy do miejsca, skąd Styks brał swój bieg.

Jin przykucnął na skalnej półce, ze zdumieniem obserwując procesję. Nigdy nie widział czegoś podobnego. Pierwszy raz widział ludzi z miasta poza ich ogrodzeniem.

Dostrzegli go.

Kilkoro miało broń i wymierzyło nią w Jina, bardziej ze strachu niż z powodu zagrożenia ze strony samotnego wędrowca. W Jinie zamarło z przerażenia serce. Starał się nie poruszać.

Wreszcie najstarszy z przybyszów kazał narwańcom opuścić broń, przemawiając do nich w bardzo dziwny, gardłowy sposób. Jin przekonał się, że ludzie posłusznie reagują na te szczekliwe komendy-

- Jesteś góralem?

Jin potwierdził skinieniem głowy.

Wciąż klęczał na półce, starając się nie wykonywać gwałtownych ruchów, które mogłyby spowodować użycie broni. Ręce oparł na skórzanych nagolennikach, ale w każdej chwili był gotów dać nura w zarośla.

- Czy znasz swój numer?

Jin utkwiał w rozmówcy zdziwione spojrzenie.

- Nie posiadam numeru, człowieku. Jestem myśliwym i nie zajmuję się handlem z ludźmi zza ogrodzenia - powiedział.

Mężczyzna zbliżył się do Jina o kilka kroków.

- Nie żyjemy już za murami - powiedział. - I nie chcemy ci nadać żadnego numeru. Chciałbyś z nami pohandlować?

- Czym?

-Znasz Kalibany?

Jin czujnie zmrużył oczy.

• Aaa, to o nie wam chodzi. Lepiej zostawcie je w spokoju. Jaszczury nie przepadają za polowaniem na nie i nie lubią ludzi wędrujących w górę rzeki.

• Przyszliśmy tu uczyć się - odezwał się drugi mężczyzna, który minął poprzedniego rozmówcę i jeszcze bardziej zbliżył się do Jina. Miał siwe włosy i wydawał się bardzo stary. - Nie chcemy na nie polować, tylko pragniemy poznać ich obyczaje.

• Ha, ha - Jin zaśmiał się tak, jak wszyscy górale, krótko i cicho.

- Stare brązowe jaszczury nie przepadają za naukowcami.

Bardzo dawno temu przepędziliście je z obozu, a teraz chcecie odzyskać! Przecież, burzyły wasze domy, grzebały w uprawach, wciągały was w swoje kanały. Po co wam one teraz?

• Pójdę tam na górę i... - wyrwał się młody mężczyzna, ale starszy powstrzymał go jednym ruchem ręki.

• Zostań, gdzie stoisz. On wydaje się być w porządku i chętnie go posłucham. Góralu, jak ci na imię?

• Jin, a ty?

• Jestem Spencer. Pozwolisz, że wdrapię się do ciebie?

• Sir! - próbował zaprotestować uzbrojony młody mężczyzna, ale było już za późno. Starzec podciągnął się z trudem na skalną półkę. Jin pozwolił mu na to w myślach. Zabawne było, gdy stary człowiek przykucnął obok w niego w pozie mieszkańców gór.

• Zapewne sporo wiesz o Kalibanach? - zapytał Spencer.

.Jin wzruszył tylko ramionami, sądząc, że w ten sposób ludzie okazują sobie szacunek.

• Polujesz na nie? - dopytywał się dalej starzec. - Nosisz ich skóry!'

• Tylko z szarych - Jin wskazał nagolenniki. - Nigdy z brązowych.

- Dlaczego?'

Głupie pytanie.

Jin przyjrzał się dokładnie pytającemu. Zdał sobie nagle sprawę, że podoba mu się ten lekko otyły mężczyzna z dobroduszną twarzą, z widoczną siateczką zmarszczek wokół oczu. Ubrany był w miękkie ubranie.

Otyłość była oznaką dostatku. Musiał być więc kimś ważnym, kto rozkazywał innym myśliwym. Był też odważny, bo bez namysłu odłączył się od grupy. Jin skrzywił się i wskazał kierunek, z którego przybyła procesja.

• Powiedz swoim ludziom, żeby wrócili "do domu. Robią za dużo hałasu. Ja mogę ciebie zaprowadzić w górę rzeki. Sam.

• Nie mogę tego uczynić.

• Jeśli nadal będziecie robili taki hałas, Kalibany wpadną w panikę, a wtedy są nieobliczalne. Jeśli chcesz je zobaczyć, pokażę ci drogę.

Pewnie o to chodziło starcowi, o takim handlu mówił. Jin zobaczył to w jego oczach - zupełnie błękitnych. Takiego odcienia nigdy nie widział u żadnego człowieka.

Mężczyzna zszedł po stromym zboczu. Przystanął przy uzbrojonym strażniku i zaczął z nim gwałtowną wymianę zdań. Obaj nie przebierali w słowach.

• Pan nie ma prawa tego zrobić!

• Proszę natychmiast zawracać - żądał starzec. - Po dotarciu do bazy proszę złożyć raport i skargę na mnie!

Po dłuższej chwili osiągnęli kompromis. Siwowłosy miał iść z .linem, a reszta miała poczekać w miejscu spotkania, przy skale.

- To niedaleko - pocieszył Spencera Jin. Zgrabnie zeskoczył z półki i miękko wylądował na ugiętych nogach, obutych w skórza ne ciżmy. Głową wskazał kierunek.

Strażnik próbował jeszcze zmienić decyzję.

• Doktorze Spencer, nie można się układać z góralem. Przecież to dzikus, nawet nie ma numeru.

• Gdyby go miał, prawdopodobnie nie mógłby być wojownikiem. - Skinieniem głowy nakazał Jinowi prowadzić. Wyraźnie było widać, że świetnie się bawi.

Jin po raz pierwszy mógł z bliska przyjrzeć się mieszkańcom miasta, ich delikatnym ubraniom, mocnym butom. Fascynowali uo... Starzec z pewnością nie był szeregowym mieszkańcem miasta, pewnie mieszkał w bazie, w tych wysokich budowlach, do których niewielu miało prawo wstępu. A mieszkańcy gór nie mieli go w ogóle. Z pewnością nie był jednym z myśliwych, co nie posiadli numeru identyfikacyjnego, wytatuowanego na przegubie i uprawniającego do przejścia przez strefę ochronną.

- Chodź! - ponaglił Spencera. - Zaprowadzę cię, ale w zamian chcę twoją koszulę. Zgadzasz się?

Wiedział, że przywódcy opływają w dostatki. Spencer dotrzymywał mu kroku, nie potrzebował pomocy, tylko od czasu do czasu poprawiał na ramieniu rzemienie, które służyły do niesienia różnych dziwnych urządzeń. Jin nie znał ich przeznaczenia.

W zagłębieniach skalnych biegały jaszczurki, a Spencer dreptał za swoim przewodnikiem, zdany na jego łaskę, bezradny jak dziecko. Jin pomyślał, że teraz mógłby go z łatwością obrabować. Rozbój nie był niczym nadzwyczajnym w codziennym życiu górali. Ale Jin zaraz pomyślał o zaufaniu, jakim

obdarzył go ten człowiek, godząc się na marsz w nieznaną z całym swoim bogactwem, nie obawiając się zwinniejszego i silniejszego od siebie obcego. Zastanawiał się, czy starzec wie, że rabunek jest czymś zwykłym w górach i czy w mieście nie znają tego pojęcia.

Kalibany były dokładnie tam, gdzie Jin chciał je odnaleźć.

Były znacznie bliżej niż przed rokiem, a towarzyszyły im licznie Ariele, których ślady były widoczne wszędzie w białym piachu plaży nad rzeką. W okolicy przebywały wszystkie gatunki wielkich jaszczurów, oraz liczne stada innych zwierząt, podążających za Kalibanami. To był po prostu dobry czas na polowanie - istny róg obfitości.

- Patrz! - Jin pokazał na środek rzeki, gdzie szeroko rozlane, muliste wody odbijały kontury drzew i niebo. Spencer przystanął, próbując coś dostrzec, ale Kaliban był bardzo słabo widoczny dla niedoświadczonego obserwatora, który nie wiedział czego szukać wzrokiem. Kaliban właśnie łowił ryby i nie zamierzał się wynurzać. Poszli więc kawałek dalej, do skalnego nawisu, otoczonego zewsząd wałami i oplecionego korzeniami drzew, czerpiących w zaciemionych szczelinach wodę.

Zaszumiały liście, lekko potrącone powiewem wiatru.

One są wszędzie - tłumaczył Jin towarzyszowi, zajętemu właśnie odrywaniem z nosa małej jaszczurki. Przewodnik uśmiechnął się. - Posłuchaj - pochylił się nad skałą.

Spencer poszedł za jego przykładem, patrząc uważnie na gesty chłopaka, pokazującego mu coś między drzewami nad rzeką.

- Po drugiej stronie Styksu znajdują się ziemie należące wyłącznie do Kalibanów, rozciągające się aż do słonej wody. Człowiek tam się nie przedrze, Kalibany są bardzo sprytne.

- Słyszałem, że niektórzy z was żyją w tamtych stronach. Czy mógłbym z nimi porozmawiać?

Jin drgnął zaskoczony zmianą tematu. Spojrzał w stronę rzeki, świat, któremu mógł zaufać. »

- Powiem ci coś człowieku z urodzenia! Lepiej zrobisz poskramiając swoją ciekawość i nie chcąc spotkać tych ludzi.

- Czy są źli?

Jin wzruszył ramionami, nie kontynuując tematu.

- Chcesz zobaczyć Kalibana z bliska? Mogę jednego tu zwabić.

- Niebezpieczne są dopiero w stadzie, tak?

- Każdy okaz jest niebezpieczny. To chcesz czy nie?

Nie czekał na odpowiedź, tylko wydał niski gwizd. Dokładnie wiedział, jaka będzie reakcja jaszczurów. Pierwszy wystawił łeb ten, który pełnił straż i rozejrzał się po okolicy. Po krótkiej chwili z zarośniętego krzakami wylotu tunelu wypełzło wielkie cielsko. a za nim cały szereg Kalibanów.

Wtedy Jin usłyszał obok siebie cichy terkot. To Spencer włączył jakieś urządzenie, którym śledził teraz jaszczury. Jin wyrwał mu je z ręki.

- Nie rób tego!

- Mogą to usłyszeć?

- Tak. Nie wolno wydawać żadnych obcych odgłosów.

- Ależ wielki jest ten na przedzie! - Spencer powiedział to tak, jak zwykle czynią dzieci, gdy po raz pierwszy zobaczą brązowe Kalibany. Jin obliznął wargi.

\_ Dostyc, starcze. Od tego miejsca zaczyna się ziemia jaszczurów, dalej nie możemy pójść.

- Ale ci ludzie... Ci, co żyją w głębi wałów. Dlaczego nie należy o nich mówić? Nie handlujecie z nimi?

Jin stanowczo pokręcił głową.

\_ Oni tam żyją i to wszystko, co mogę o nich powiedzieć. Żywią się rybami.

Nad nimi pojawił się łeb Kalibana z bojowo wysuniętym grzebieniem i rozdwojonym językiem. Czas było się wycofać.

- Już na nas czas, musimy wracać.

- Czy on nam grozi?

- Jeszcze nie. tylko bada teren.

Wtedy Jin usłyszał dźwięk, który zjeżył mu włosy na głowie. Wiedział, co oznacza.

Pchnął starca, chcąc go skierować z powrotem na ścieżkę.

Za późno.

W zaroślach dostrzegł mieszkańca tuneli - długowłosą, ubłoconą istotę. Spencer nadal zwlekał z powrotem.

- Szybko - ponaglił go Jin. - Nie ma czasu, uciekajmy!

Kątem oka dostrzegł marszczącą się taflę wody. Musieli ucie

kać, ile sił w nogach.

- Tam jest jeszcze jeden. Znikajmy, to stanowczo za dużo jak na nas.

Odetchnął z ulgą, kiedy Spencer wreszcie podniósł się i poszedł za nim. Powoli oddalali się z zagrożonego obszaru, ale stary człowiek najwyraźniej opóźniał wędrówkę, wciąż oglądał się za siebie, aż usłyszeli lekki plusk, oznaczający przybycie kolejnego z „obcych”. Spencer zapytał:

- Czy oni polują na innych ludzi?
- Czasami...
- A ten człowiek za nami?
- Ludzie są zagadkowi z natury, a ci, co żyją w tunelach - w szczególności.

Spencer mruknął coś niesłyszalnie pod nosem, ale wyraźnie przyspieszył kroku.

• Do czego potrzebne są ci Kalibany? Czego od nich chcesz? -zapytał Jin.  
• Niczego specjalnego. Po prostu mnie ciekawia- starzec wzruszył ramionami. Pomimo sprzętu wiszącego mu na ramieniu i podeszłego wieku, trzymał się dobrze. - Ten pierwszy idzie za nami.

Jin rzucił krótkie spojrzenie w stronę rzeki.

- Rzeczywiście.
- Mogę iść jeszcze szybciej - zaproponował Spencer.
- Mogłoby to wyglądać na ucieczkę, co nie byłoby rozsądne. Idziemy dalej tym samym tempem.

Jin starał się nie stracić z oczu dzikiego człowieka zza rzeki, jednocześnie pilnował wzrokiem linii drzew, z których w każdej chwili mogły wyłonić się Kalibany. Zbyt dobrze je znał.

Wydało mu się, że słyszy ich ciężkie kroki za sobą, ale może była to tylko wyobraźnia. Wkrótce odgłosy ucichły. Zbliżali się do zakola rzeki, gdzie miała ich oczekiwać grupa towarzyszy Spencera.

Wyglądali na zdenerwowanych.

Gdy tylko dostrzegli nadchodzącą dwójkę, podnieśli się z ziemi i zarepetowali broń. Wszystkie dźwięki zagłuszał plusk fal załamujących się w zakolu rzeki o skały.

• Już jesteśmy - odezwał się Spencer do młodego strażnika. - Zdobyłem kilka cennych informacji, ale wydaje mi się, że przeszkadziliśmy paru Kalibanom w drzemce. Lepiej wracajmy do domu.

• Jest mi pan winien koszulę - przypomniał Jin, stojący z boku. Założył ręce na piersiach i postanowił nie dać się wyrolować.

• Hobbs! - zwrócił się Spencer do młodego mężczyzny i mimo protestów ściągnął z niego koszulę i wręczył ją Jinowi.

Chłopak przyjrzał się delikatnemu materiałowi, z jakiej ją uszyto. Takiej koszuli potrzebował. Spencer przerwał oględziny.

- Jin, chciałbym z tobą dłużej porozmawiać. Zapraszam cię do miasta.
- Akurat - Jin wsadził koszulę pod ramię i zaczął zbierać się do drogi. - Mnie nie przekabacisz, człowieku.

• Postaram się dla ciebie o dokument, który otworzy wszystkie bramy w bazie. Będziesz mógł wchodzić i wychodzić, kiedy tylko zechcesz. Nie dostaniesz żadnego numeru. Obiecuję. Jak będziesz starszy przekonasz się, że czas jest najcenniejszy, znacznie droższy od tej koszuli. Obiecuję ci za twój czas godziwą zapłatę, zgodnie z cennikiem obowiązującym w mieście.

Jin zastanawiał się przez moment. Wtedy rozległ się dźwięk podobny do plaśnięcia mokrą dłonią.

Brązowy jaszczur powoli gramolił się z rzeki na brzeg, ociekając wodą.

Któryś z ludzi krzyknął ze strachu i wystrzelił. Jaszczur zachwiał się, syknął rozeźlony i ruszył na nich.

\_ Nie strzelać! - krzyknął Jin i wziął nogi za pas, co było najmądrzejszym posunięciem. Oni jednak go nie posłuchali.

Rozległ się strzał, po nim następny.

Kaliban jeszcze raz syknął z bólu i obrócił się. Skalna półka, na której stał, zachybotała się, gdy potężny jaszczur odbił się i skoczył do wody. Od tego miejsca rozeszły się potężne kręgi, znikły jednak w bystrym nurcie Styksu.

Jin klęczał na swojej skale, skurczony, czując, że jego żołądek się buntuje. Ludzie coś krzyczeli jeden przez drugiego. Spencer zawołał do strzelca, żeby uciszył harmider. Nad plażą zapadła cisza.

- To był brązowy.

Stary człowiek spojrzał na chłopca z niezrozumieniem, wyraźnie nie wiedział, co tu zaszło.

- Wynoście się stąd! - powiedział Jin. - Szybko!
- Chciałbym z tobą porozmawiać...
- Przyjdę pod twoją bramę, człowieku, kiedy zechcę. Ale teraz uciekajcie stąd.

'- Jeśli ten wielki jeszcze...- odezwał się strażnik, ale Spencer uciszył go gestem ręki.

- Idziemy stąd! - rozkazał, a w jego głosie zabrzmiał autorytet władzy.

tet władzy.



Ludzie zebrali postawione na ziemi pakunki i ruszyli szeregiem w stronę wzgórz. Za nimi pozostał zdeptyany piasek plaży. Jin odprowadził ich wzrokiem, aż zniknęli za zakrętem. Potem spojrzął w stronę lustra wody, oczekując, że jeszcze zobaczy kręgi wody po skoku Kaiibana.

Wtedy za jego plecami rozległ się szelest zarośli.

Powoli wyprostował się i spojrzął w tamtym kierunku. Dwóch dzikich stało przed nim. Okryci płóciennymi szmatami, na twarzach i ciele mieli warstwę zaschniętego błota. Najgrubsza warstwa była na kolanach. Patrzyli w górę rzeki.

A potem przenieśli wzrok na niego. Ich ciemne oczy spowodowały, że poczuł w całym ciele chłód.

Jin zrozumiał, że stoi w obliczu śmierci.

Nie miał szansy na ucieczkę. Mógł zresztą uciekać tylko do miasta, bo wioska w górach nie zapewniłaby mu ochrony przed dzikimi. Ale w mieście pewnie też czekała na niego śmierć.

Jeden z dzikich uniósł głowę w geście, który Jin zrozumiał jako wyzwanie.

Uśmiechnął się. Zanim umrze, postara się im uprzykrzyć życie. Był zdecydowany walczyć, ale w każdej chwili mogło z zarośli wyskoczyć jeszcze kilku dzikich, gotowych pomóc swym współplemieńcom. Wyzwanie było już rzucone, ucieczka nie miała szans, więc zsunął się ze skały i podszedł bliżej dzikich. Oni tymczasem rozstąpili się, robiąc mu przejście.

Poczuł jak ogarnia go panika. Najwyraźniej chcieli go pojmać, ale jak najbliżej ich własnego terytorium. Spojrzął w lewą stronę, na rwący nurt Styksu, rozbijający się o skały na brzegu. Miał nadzieję zobaczyć postrzelonego Kalibana, ale nic z tego, zniknął. Nie wiedział, czy jaszczur był martwy czy tylko zraniony.

Jakaś dłoń trąciła go lekko, wskazując kierunek marszu. Zastanawiał się, czy ma jakieś szanse na przeżycie.

Poszedł z dzikimi tą samą wąską ścieżką, którą przemierzył ze starym człowiekiem. Szli po obu jego stronach, przytrzymując za ramiona. Ten z lewej zwinnie wyłuskał zza pasa Jina nóż, jego jedyną broń.

Nie miał pojęcia, dlaczego idzie z nimi tak spokojnie i potulnie, ale chyba dlatego, że wokół czaiła się śmierć, a ucieczka nie miała szans powodzenia. Dzicy - podobnie jak brązowe Kalibany byli nieobliczalni, nikt nie był w stanie przewidzieć ich posunięć. Mogło się nawet zdarzyć tak, że po odprowadzeniu go do wałów - puszczą wolno.

Szmer wody ucichł za ich plecami, a oni dotarli do pierwszych wzniesień. Rozpoznał ślady swoje i Spencera. Może za chwilę z wału wyłoni się brązowy, zerknie na nich okiem i znudzi się. Podobnie dzicy, mogą zaraz się nim znudzić i zostawić go samotnego na wolności.

Żadne z jego przypuszczeń nie sprawdziło się.

Wdrapali się po stromym zboczu jednego z wałów i stanęli przed ciemnym, wilgotnym otworem tunelu.

Wtedy szarpnął się i wyrwał dzikim. Skoczył w krzaki, gdzie zerwał kilka gałęzi i przykrył nimi twarz i ramiona. Za nim rozległ się groźny syk. Otwarta paszcza brązowego Kalibana wynurzyła się z listowia tuż nad nim.

Jin zerwał się na nogi, czując jak gałązki drapią mu ramiona i policzek. Jaszczur przechylił łeb i spojrzął na intruza żółtawym ikieni- Chłopak poczuł, że sztywnieje ze strachu. Słyszał zamierające tykanie serca, stracił władzę nad ciałem. Ze zdziwieniem spostrzegł- że kolana drżą mu jak w febrze. Zasłonił usta dłonią i jak we śnie poczuł, że coś uniosło go do góry, a potem opuściło na ziemię.

Leżał na wilgotnej ziemi, otoczony ludzkimi postaciami, które po przyjacielsku wyciągały ku niemu chude, długie ramiona. Delikatnie obrócili go na plecy.

Obraz nieba zachybotał.

Nie umarł. Czuł się tylko sparaliżowany. Dzicy, bez żadnego oporu z jego strony, podnieśli go i ruszyli w stronę wydrążonej w ziemi jamy. Gdy zrozumiał, gdzie go niosą, chciał walczyć, wierzgać rękami i nogami, ale nie mógł nawet poruszyć palcem. Nie mógł również zamknąć otwartych do krzyku ust, gdy spadły na niego pierwsze grudy ziemi.

Nic poruszył się nawet, gdy otoczyła go ciemność. Był w niej sam, z jej ciszą i niepokojem.

## 13.

**Rok 89, dzień 208 ery kolonialnej. Baza na Gehennie.**

- Wciąż żadnego znaku życia od tego górala? - zapytał Spencer.

- Nie, sir - odparł Dean, splatając ręce na piersiach.

Stary człowiek potarł nerwowo czoło i odsunął się od stołu, spoglądając na młodego, pełnego zapału człowieka; swojego współpracownika, którego wyblakły numer wytatuowany na przedramieniu wskazywał, że kiedyś należał do ludzi z miasta. Teraz koordynował pracę w rolnictwie, czyli ponownie miał do czynienia ze swoimi ziomkami.

- Szukałeś go?

- Tak. Rozpytywałem wśród górali, którzy przychodzą do nas w celu wymiany handlowej.

Wszyscy mówią, że go nie widzieli.

- A znają go?

Dean przyciągnął sobie krzesło do stołu, który ugiął się pod stertami dokumentów i sprawozdań. Wciąż zachowywał się jak człowiek wolny, zachowujący niezależność. Pachniał ziołowym mydłem, zapachem tutejszych pól i łąk. Był strasznie uczulony na punkcie higieny osobistej, miał też, co zauważył Spencer już wcześniej, wielkie ambicje. To była dobra cecha, o ile nie przekraczało się pewnych subtelnych granic.

- Tak, znają jego imię. Nie wszystko dobrze rozumiałem, ale starałem się to ująć w raporcie. Jin jest potomkiem pierwszych azich, którzy przybyli tu statkiem kolonizacyjnym. Chce pan usłyszeć historię, czy woli przeczytać raport?

- Mów proszę, to może być ważne...

- Pochodzi od aziego, który żył najdłużej z pierwszych kolonizatorów. Jego potomkowie wywędrowali w góry, stąd wzięła się cała linia. Można o nich usłyszeć, ale nikogo nie spotkaliśmy dotąd osobiście. Żaden też nie figuruje w miejskich rejestrach. Trudno więc zweryfikować zasłyszane opowieści. Zwłaszcza, że napotkani tu górale bardzo niechętnie mówią o swoich współplemieńcach. Gdy pytałem o tego chłopaka miałem złe przeczucia...

- Jak to?

Dean wzruszył ramionami.

- Pierwsze wrażenie było takie, jakbym pytał o kogoś, kto do nich nie należy. A potem, jak gdyby to Jin nie miał z nimi nic wspólnego. Może to tylko jakieś niuansy językowe?

- Jak motywowałeś swoje pytania?

- Mówiłem, że zetknąłem się z czymś, co wiąże się z ich rodem. Sądziłem, że złapią się na ten haczyk, przecież jego przodek tu mieszkał, a mieszkańcy miasta latami zaopatrywali górali w potrzebne przedmioty. Powinni więc coś o nim, lub jego rodzinie, słyszeć...

-- Czyli należy wnioskować, że Jin od początku żył poza ich wioską i nie utrzymywał z nimi kontaktu?

- Bardzo możliwe. Przeważnie wyglądało to tak, jakby w pewnym momencie wyczerpywał lub urywał się ich zasób wiadomości na ten temat. Plotki o moich poszukiwaniach szybko rozchodzą się w mieście, ale dotąd nie mam żadnych nowin... Czy mogę zapytać, czemu tak bardzo interesuje pana los tego chłopaka?

Spencer zacisnął usta, jakby nie chciał nic powiedzieć, ale po chwili namysłu wyjął kilka zdjęć i rozłożył je na stole przed Deanem.

- To jest Styks z lotu ptaka.

- To widzę.

Wtedy Spencer uruchomił odtwarzacz i na monitorze pokazał się zapis filmowy. Oglądał go już ze dwadzieścia razy, kadr po kadrze. Tym razem obserwował twarz Deana, patrzącego na film. Ekran rozjaśnił się, a gdy na monitorze ukazał się wyłaniający się zza wału Kaiiban, a za nim człowiek. Dean gwałtownie się cofnął, a dłonie, którymi trzymał się blatu stołu, zbieleły.

- Mało przyjemne, co?

Dean bez komentarza obejrzał film do końca. Spencer wyłączył odtwarzacz, a Dean powoli powiedział:

- To nic szczególnego. Po prostu duży Kaiiban. Ale ktoś musiał podejść bardzo blisko, żeby nakręcić ten film.

- To było w pobliżu źródeł Styksu. A teraz obejrzyj zdjęcia satelitarne - postukał palcem w te, na którym było coś widać, ale obraz przesłaniał baldachim drzew i zarośli. Dean spojrział... a potem pochylił się z uwagą, już bez pozornej obojętności i nonszalancji.

- Czy to ma coś wspólnego z poszukiwanym człowiekiem? - spytał.

- Nie wykluczam tego.

- I to pan nakręcił ten film?
- Jesteś istną skarbnicą pytań, a ja tymczasem potrzebuję odpowiedzi.
  - Poznają po prostu na zdjęciach miejsca, które pan niedawno odwiedził.
- Może masz rację...
- Czy ten myśliwy, .lin, służył tam panu za przewodnika?
- Czyżbyś nie pochwała! wykorzystywania miejscowych przewodników?
- To nie było dobre posunięcie. Kalibany lepiej omijać z daleka.
- Pokażę ci coś innego. - Spencer wyciągnął ze sterty dokumentów plik odbitek i pokazał je Deanowi. Ten przejrzał je po kolei, wciąż w ponurym nastroju.

- Wiesz, co przedstawiają?
  - Planetę widzianą ze stacji orbitalnej.
  - A dokładniej?

Zapadła dłuższa cisza, gdy Dean jeszcze raz przeglądał odbitki.

- Rzeki -- odezwał się wreszcie. -To są rzeki na całej planecie.

Nie znam nawet ich nazw. Poza Styksem.

- 1 to wszystko? - drążył Spencer.

Jeszcze raz zapadła cisza. Tym razem Dean starał się nie patrzeć na zwierchnika.

- Wzory Kalibanów - podpowiedział mu Spencer. - Rozpozna jesz je?

Tak.

- Więc pokażę ci coś jeszcze - stary człowiek odszukał zdjęcie górskiej wioski, przedstawiające kamienne chaty kryte trzcina, pochylone ku ziemi, nadgryzione zębem czasu, niszczone. Obok położył zdjęcie satelitarne bazy, miasta i przyległych pól uprawnych, wyglądających jak szachownica.

- Czy widzisz może coś szczególnego w tych obrazach?

Widziałeś kiedyś coś podobnego?

Dean siedział nieruchomo, wpatrując się w zdjęcia.

- No, co o tym myślisz?

- Plan miasta jest dziełem jego założycieli. Górale budowali swoje wioski sami...

- W takim razie dlaczego nie uczynili tego na wzór znany im z miasta? Przecież w nim się urodzili.

- Bo im się to nie podobało. Nasza estetyka im nie odpowiada, wolą wzorować się na budowach Kalibanów. Stąd tak często widać w ich osiedlach motyw spirali. Tak, rozumiem teraz... Wiele razy widziałem ich, jak kucnąwszy, rysowali na ziemi znak spirali. Kiedy prowadzi się z nimi pertraktacje, czynią tak wielokrotnie. Najczęściej, gdy nie akceptują punktu widzenia rozmówcy.

- Nigdy nie widziałem czegoś podobnego.

- To oczywiste.

- Cóż więc ma to znaczyć?

- Weźmy sytuację, w której wysłał mnie pan na zbieranie informacji o .linie. Nie mogłem uzyskać żadnej konkretnej informacji, gdyż górale są niechętnie nastawieni do ludzi z bazy. Załogę zresztą łatwo odróżnić od tubylców po ubraniu. Wszystko, co nie ma związku z handlem, funkcjonuje u nich na odmiennych prawach. Żeby uzyskać takie dodatkowe informacje trzeba zapłacić znacznie wyższą cenę. A jeśli nie ma się czym zapłacić - odwracają wzrok, plują na ciebie albo kreślą znak...

- Ten wzór! Co on oznacza?!

- Spirale. Jak ktoś ma do ciebie interes, kuca na ziemi i przesie wając między palcami garść piachu kreśli na ziemi znak. Albo rysują. g° pa<sup>cenl</sup>. ' tok rysują, domalowując kolejne elementy wzoru, w tym czasie myśląc nad sprawą, w której się układają... Gdyby się temu pan przyglądał, pomyślałby, że całkowicie się w tym zatracają, zapominają o pańskiej obecności, o całym bożym świecie. Ale dzieje się wprost przeciwnie. Ta czynność jest rodzajem wymiany wiadomości, informacji, nawet rozmową... Któż to wie? Może też być tak, że nie mają wtedy nic do powiedzenia. Chyba nie zdołamy pojąć sensu tej czynności. Ostatecznie wymyślono ją po to, żeby niewtajemniczeni nie mogli zgłębić ich tajemnic...

Spencer wpatrywał się w Deana tak długo, aż ten odwrócił wzrok.

- I w żaden sposób nie możemy rozszyfrować tego kodu?

- Nigdy nie sądziłem, że to cokolwiek znaczy. Brałem to raczej za teatralny rytuał...
- Nie mylisz się? - Spencer wyciągnął ze sterty zdjęć jeszcze dwie odbitki. Pierwsza przedstawiała nieznaną rzekę na jakimś półwyspie na wschodzie, a druga północny brzeg morza, z mozaiką delty Styksu, bazą i osiedlami górskimi. Wskazał miejsce, gdzie widoczny był kierunek budowy wałów - ku morzu.

- One są inne. Spirale Kalibanów ze wszystkich zakątków lej planety są delikatniejsze, mniejsze od tych, spotykanych w delcie Styksu. Nad naszą rzeką spotykamy potężne budowle, z wysokimi wałami rozchodzących się spiralnie ramion. Pokażę ci powiększenie - rozrzucił stertę zdjęć, by wyciągnąć zbliżenie jednej z budowli. Nie można się było oprzeć wrażeniu, że przedstawia ono spiralnie wznoszącą się górę. - Teraz rozumiesz, co chcę powiedzieć? Tylko tutaj, w pobliżu naszej bazy, mamy do czynienia z ich monumentalną architekturą. Czy można to uznać za wyjątkowe dzieło Kalibanów!'

- Jak duże są te budowle?
- Jeden zespół ma około kilometra średnicy, a wysokość od podstawy do wierzchołka czterdzieści metrów. Sam wierzchołek wznosi się od spiralnych ramion na dwadzieścia metrów. Widziałeś gdzie indziej podobne budowle?

Dean pokręcił głową przecząco i nachylił się nad stołem, by jeszcze raz przyjrzeć się fotografiom.

- Ja nawet nie widziałem żywego Kalibana. Tylko na zdjęciach.
- Nie jest im w smak sąsiedztwo bazy, dlatego się wyniosły.
- Ale wrócą. Bo zawsze wracają na południowy brzeg Styksu. One nie pozwolą myśliwym na przekroczenie rzeki. Nie podejrzewam pana o takie zamiary, ale radzę, by ich nie zaczepiać, podobnie jak górali.

- Dlaczego?

Dean wzruszył ramionami i odwrócił głowę.

- Nie wiem. Zawsze mi się wydawało, że nie należy się mieszać do spraw Kalibanów i ludzi z gór.
- Swoją pensję otrzymujesz nie za takie wypowiedzi...  
-i Uważam, że to bardzo niebezpieczne. Górale mogliby się przestraszyć, a Kalibany żyją obok nich. Jeśli zaczniemy urządzać polowania na jaszczury, możemy zrazić do siebie górali.

Konkurencja...

- To oni polują na Kalibany?

Ponowne wzruszenie chudych ramion.

- Handlują przecież ich skórą. Proszę jednak pamiętać, że istnieje kilka gatunków jaszczurów...

- Brązowe!'

- Brązowe i szare.

- Na czym polega różnica pomiędzy nimi? Dean znowu wzruszył ramionami.

- Górale polują tylko na szare. Oni wiedzą, co im wolno...

- A co w takim razie wolno?

- To, co jest dozwolone, wiedzą tylko sarni górale. To oni żyją blisko natury. Ja o tym nie mam pojęcia.

Spencer westchnął ciężko i zaczął relacjonować Deanowi zajścia sprzed paru dni, ostrożnie dobierając słowa:

- Staliśmy dokładnie na wprost wału. Chciałem nakręcić film o Kalibanach - właśnie oglądałeś cały mój materiał, jaki zdołałem zrobić - to Jin zaprowadził mnie do ich siedliska. Z budowli wyszedł olbrzymi jaszczur, brązowy. Jin nalegał, żebyśmy wrócili do żołnierzy czekających na nas nad rzeką. Zrobiliśmy to. Wtedy z wody wyszedł znowu ten sam brązowy Kaliban. Żołnierze zaczęli strzelać w panice, zupełnie na oślep. „To był brązowy” - powiedział ten chłopak, mój przewodnik, a później krzyknął, żebyśmy wynosili się do siebie. Co o tym myślisz?

Dean przyjrzał się Spencerowi przenikliwie i przybrał kamienny, nieruchomy wyraz twarzy, co robił, gdy był przygnębiony.

- Wróciliście wtedy do bazy?

- Tak.

- Sądzę, że góral też uciekł do swojej wioski i to najszybciej, jak potrafił. I nie przyjdzie do pana na rozmowę.

- A to dlaczego?

- Bo będzie się bał. On nigdy nie przejdzie przez ogrodzenie

bazy.

-A czego będzie się obawiał? Kalibanów? Dzikich? Dean błysnął w odpowiedzi białkami oczu.

• Istnieją powody, dla których on zawsze będzie się obawiał takiego spotkania. Górale mogliby to wyjaśnić słowami, ja nie potrafię... Lepiej, żeby pan tam nie wracał. I nie wysyłał żołnierzy. Najlepiej w ogóle nie wychodzić poza ogrodzenie.

• Obawiam się, że takie postępowanie nie leży w mojej naturze.

• Niech pan powie żołnierzom, żeby stąd nie wychodzili!

• Dobrze - Spencer przyglądał się Deanowi z zastanowieniem. - Jesteś więc zdania, że dalsze poszukiwania nie mają sensu?

• Nigdy go pan nie odnajdzie, jeśli on tego sam nie zechce.

• Trzymaj więc oczy i uszy otwarte.

• W tej chwili marzę raczej o spokojnym wyspaniu się we własnym łóżku.

• A ja wołałbym, żebyś nocował dzisiaj w mieście i uważnie słuchał, co mówią ludzie.

• Na co mam zwracać uwagę?

• Na to, co mówią ludzie z gór. Albo co mówią ludzie o nich. Czy poszedłbyś poza ogrodzenie, gdybym dał ci nowe ubranie?

Dean zaprzeczył.

• Nie. Tego nie zrobię.

• Ludzie z miasta od dawna chodzą za rzekę i w góry.

• To nieprawda!

• Skoro ty nie wychodzisz poza ogrodzenie, nie znaczy, że inni tego nie czynią.

Zapadła cisza.

• Ci w mieście znają mnie, wiedzą, że wychowałem się wśród nich. Ale w górach to co innego.

Gdyby mnie schwytali górale, którzy ostatnio są bardzo wzburzeni, i zobaczyliby, że pochodzę z bazy...

• Sądzisz... Myślisz, że posunęliby się do zabójstwa?

• Nie wiem, to tylko przypuszczenia.

• W porządku. Zastanowię się, mamy czas. Idź więc do miasta i dowiedz się czegoś konkretnego...

-Tak jest, sir.

Dean powstał i ruszył w stronę drzwi, ale w progu zatrzymał się jeszcze i spojrzał na Spencera.

Sprawa miała wrażenie, jakby chciał coś jeszcze powiedzieć, ale w ostatniej chwili się powstrzymał.

Wyszedł milcząco, cicho zamykając za sobą drzwi.

Spencer jeszcze raz spojrzał na rozrzucone na stole zdjęcia.

Kolejny raz włączył film, który nakręcił w czasie wyprawy nad rzekę.

Ubiegłej nocy Kalibany rozciągnęły w górze Styksu kolejne wały. Zdarzyło się to pierwszy raz od ponownego wylądowania człowieka na Gehennie.

Należało przedsięwziąć konieczne środki ostrożności.

## 14.

### Rok 89, dzień 208 ery kolonialnej. Brzeg Styksu.

Chyba zwariował, ale czasami chciał zostać w tej ciejmności i ciszy, przerywanej jedynie dalekimi odgłosami kroków i własnym, przerywanym oddechem. Innym razem chciał ze szlochem i krzykiem pobiec w głąb ciemnych tuneli. Na chwilę się uspokajał, ale zaraz potem bolesny skurcz wracał.

Nie skrępowali go.

Wystarczyły grudy ziemi i nieprzenikniona ciemność. Czuł, ale nic nie widział.

Opuszkami jego palców zapewne krwawiły od rozpaczliwej próby wygrzebania się z jamy, w którą go wrzucono. Chciał wykopać niewielką niszę, dając mu choć niewielką swobodę ruchów, aby móc rozprostować kończyny i w razie czego bronić się, gdy znów ujrzy dzikich nad sobą.

Rozsądek podpowiadał mu co innego, ale niewiele sobie z tego robił. Zupełnie stracił zmysł orientacji. Nie wiedział, w którą stronę kopać, ani jak głęboko jest zagrzebany.

Nie, na pewno nie będzie potrafił z nimi walczyć.

Właściwie to dziwił się, dlaczego jeszcze żyje.

Rozmyślał nad swoim życiem, młodością.

Przecież powinien udusić się, przywalony tymi grudami ziemi, jej wilgotne kawałki oblepiały mu oczy. Usta, nos, ale nadal mógł rozdrzeć palcami czarną masę.

Kiedy kopał, oni przychodzili, był pewien, że go słyszą.

Piątego starał się zachowywać cicho.

Przynieśli mu posiłek - rybę i wodę. Miał nadzieję, że jest czysta. Gdy przychodziła pora karmienia szarpali go jak złośliwe dzieciaki- Wtedy najbardziej myślał o umieraniu. Nędzny posiłek był jedyną czynnością, którą podjęli, by zachować go przy życiu. Marzył, nic nie chroniło go też przed wszechobecną wilgocią. Ziemia przypominała szlam, na przemian nasiąkał wodą i sechł, w zależności od miejsca, do jakiego prowadzili go labiryntem długich korytarzy. Włosy zlepiała gruba warstwa gliny. Zapewne już nie przypominał nawet z wyglądu człowieka.

Próbował jakoś powiązać kawałki swego skózanego ubrania, gdyż te nędzne łachmany były jego jedyną ochroną przed zimnem bijącym od wilgotnych ścian. Wreszcie padł omdlały, wyczerpany bardziej niż na początku. Jego godny pożalowania widok zupełnie nie wzruszał kobiet, które niedawno udaremniły jego pierwszą i ostatnią próbę ucieczki.

Wciągnęły go z powrotem do ciemnego lochu, przycisnęły do ziemi, dając brutalny pokaz swojej siły i stanowczości.

W tej chwili jednak nic nie krępowało mu ruchów - poza ponurą świadomością beznadziejności swego położenia, strachem, poczuciem nędzy i osamotnienia. Czuł, że w każdej chwili może zostać pozbawiony życia, a śmierć przyjdzie z rąk sfrustrowanych, dzikich kobiet.

Ale one milczały. Nie okazywały mu żadnych uczuć, nie dawały poznać swego gniewu czy usposobienia. Nic. Pozornie nic nie wskazywało na otaczające go szaleństwo.

On sam już dawno przekroczył ów próg świadomości, za którym, w ciemnym zakątku duszy, przeżywa się samego siebie.

Gdyby go teraz wyniesiono nad brzeg Styksu - nie wierzył w to, ale wciąż myślał o Styksie jako o symbolu świata zewnętrznego, bo o swoich słonecznych górach dawno już zapomniał - gdyby znowu ujrzał słoneczne światło, promienie słońca odbite od fal, przybrzeżne trzciny kołysane podmuchem wiatru... gdyby odzyskał wolność, to chyba nie potrafiłby się już śmiać, ani podjąć normalnego życia, jakie dotąd prowadził.

Nie mógłby więcej udowodnić, że jest mężczyzną, nawet w tym fizjologicznym znaczeniu tego słowa.

Seks nie został w nim stłumiony, ale wiedział, że stracił poczucie swojej odrębności jako jednostka, zagubił osobowość, świadomość płci. Został wewnętrznie wydrążony, przenicowany. W tej chwili potrafił jedynie odbierać naturalne podziemne szmery i bezosobową ciemność labiryntów. Przestał odczuwać jakąkolwiek wspólnotę z ludźmi. Wyraźnie czuł, jak ten proces ogołocenia go z ludzkiego dziedzictwa postępuje, był świadomy, że jego wnętrze pustoszeje, a dusza się ulatnia. Zrozumiał, że właśnie dlatego dotąd nie umarł, bo zdał się na naturalny bieg rzeczy, stracił całkowicie zainteresowanie otoczeniem, życiem...

Jego umysł żeglował pomiędzy tysiącami punkcików, a spomiędzy nich wyzierał strach. Jin był już zmęczony ciągłą trwogą. Spróbował skoncentrować się na stałych, nieruchomych fragmentach świadomości.

Wtedy przyszli oni. Myślał, że może przynieśli mu posiłek, ale przecież jedzenie wydziela zapach, a on nic nie czuł. Chodziło im o niego. Leżał więc nieruchomo, czując, że serce bije mu mocniej, a rozsądek podpowiada, że teraz czekają go prawdziwe nieprzyjemności i ból. Znacznie większy od tego, który już stał się jego udziałem.

Otoczyli go, sądząc po odgłosach kroków, było ich wielu.

Poczuł ukłucie igłą.

Krzyknął, tak niespodziewane to było. Opanowała go wściekłość na nich, zaczął na oślep wymierzać ciosy. Nie przeszkadzało im to, zaczęli wyciągać go z jego kryjówki. Pod jego zimnymi, bezwładnymi nogami, coś się poruszyło. To Ariel biegł gdzieś w swoich sprawach, nie przejmując się tym, co się wokół dzieje.

Uderzył w miejsce, gdzie poczuł dotyk jaszczurczego ciała, ale trafił w pustkę. Ariel zdążył uciec.

Posadzili go pod jakąś ścianą. Czekał, a jego ciało powoli ogarniała niemoc, wdzierająca się w każdy zakątek ciała, wypełniająca - niczym płomień - wszystkie zmysły.

Podnieśli go, obmacali, jakby sprawdzając, gdzie jest jego przód, a gdzie tył, chwycili za przeguby dłoni i pociągnęli bezwładnego przez wąski tunel. Był całkowicie sparalizowany, jak w chwili porwania, ale umysł zachował jasność myślenia. Wolałby, żeby przewrócili go na brzuch, wtedy osypująca się ziemia nie wpadałaby mu do oczu.

Gdzieś daleko z przodu dostrzegł jasny punkcik. Wlekli go do góry, do wyjścia! Na słońce!

Dzienne światło ukłuło jego zmysł wzroku niczym nóż, wyciskając łzy, ale znikło, zasłonięte

listowiem. Jeden z dzikich zarzu-

jj &0 sobie na plecy. Potem przejął go inny, i następny, aż dotarli do rzeki. Chłód wody poraził go. Spróbował się poruszyć, podnieść ijlowę. zaczerpnąć głębiej powietrza, ale czyjaś silna ręka trzymała ieuo kark jak w imadle, uniemożliwiając samodzielne ruchy. Leżał po szyję w wodzie, a fale obmywały mu twarz.

Dławił się nią, zachłystywał i czuł, że coraz bardziej się boi. Wreszcie go wyciągnęli po przeprawie na drugi brzeg i ruszyli wzdłuż koryta rzeki. Z przemokniętych resztek ubrania skapywała woda, a z ust wyleciał strumyk, który wdarł się do płuc. Jin czuł, że z wolna wraca mu czucie w członkach i zdolność do reagowania na bodźce zewnętrzne.

Poruszał niezdarnie nogami, podtrzymywany przez dzikich. Szli pomiędzy zarośniętymi wałami, weszli w jeden z nich. Nagły skurcz przygiął go do ziemi. To żołądek domagał się opróżnienia. Gdy wszystko zwymiotował, opadł na ziemię, wyczerpany.

Ręce dzikich, które przed chwilą rozluźniły uchwyt, ponownie chwyciły go za przeguby i kolana. Ruszyli szybko przez ciemność. Spróbował zaprotestować, ale z ust wydobył mu się tylko nieśmiały szept, który zanikł, roztopił się w otaczającej ich ciszy.

Przez wiele dni, nie wiadomo ile, leżał w ciemnościach, poznając reguły życia bez słońca. Teraz wypracowany porządek runął. Powrócił stan odrętwienia i stracił ochotę, by zaradzić niemocy. Nagle stał się ślepy, świadomość przestała rejestrować bodźce, stała się nieczuła na cokolwiek. Stał się nawet wdzięczny za ból. bo dzięki niemu potrafił odróżnić stan czuwania od nieprzytomności.

Wreszcie przystanęli.

Pomyślał, że pewnie doszli do miejsca jego przeznaczenia i wreszcie go opuszczą, ale słyszał obok ich chrapliwe oddechy. Znak, że nie chcieli zostawić zdobyczy samej. Z oddali dobiegały piski Arieli i szelest, jaki wydają latające jaszczurki. Czuł też drgania gruntu wywołane stąpnięciami Kalibana.

A może to ich nowa tortura? Chodzenie z nimi po ciemnych tunelach, obnoszenie go, aż im się znudzi?

Postanowił stawiać im opór, mimo zdrętwiałego ciała nie będzie im lekko.

Jeden z dzikich poruszył się, potem następni. Zaczęli go obmacywać, ich dłonie świetnie orientowały się w ciemnościach. Wymierzył na oślep cios, ale unieruchomili jego ręce i podnieśli do góry. Wiedział, do czego są zdolni. Nie chciał też otrzymać kolejnego zastrzyku, dlatego próbował współpracować z prześladowcami, aby jak najszybciej dotrzeć do miejsca przeznaczenia. Tunel wyraźnie się obniżał, na krótko pozwolili mu na samodzielny spacer, ale wdzając, jak bardzo jest wyczerpany, ponownie go unieśli. Z naprzeciwna usłyszał tupol kroków i poczuł obcy zapach. Obcy pachnieli inaczej.

Opuszczono i położono go na ziemi. Przejęły go obce dłonie.

Z oczu pociekły mu łzy. Poprzednich prześladowców trochę zdążył już poznać, rozumieli go, nawiązali jakąś nić porozumienia. Teraz wszystko miało zacząć się od początku. Obcy nieśli go bezceremonialnie, potrząsając jego obolałym ciałem mocniej niż poprzednicy.

Opadła go senność. Obojętnie poddawał się wszystkiemu, co z nim robiono, bo bał się igły. Miał jeszcze trochę sił, ale oszczędzał je na koniec. Mogą się przydać, gdy dotrą do celu. Teraz wyraźnie się wspinali.

Powróciła mu świadomość, zaczął rejestrować otoczenie. Spiralne podejście, suchy grunt, światło. Przechylił głowę, chcąc spojrzeć w kierunku, gdzie zmierzali. To był dla niego za duży wysiłek, szyja nie była w stanie utrzymać głowy. Zauważył tylko rozszerzającą się plamę jasności i sylwetkę człowieka przy swoim ramieniu.

Znaleźli się w pomieszczeniu oświetlonym słonecznym światłem, wpadającym przez wąskie szczeliny. Na klepisku siedział mężczyzna. Chyba, bo widział tylko cień postury, wydawało mu się, że męskiej. Jego oczy wciąż przesłaniała mgła. Położono go na ziemi. Przez chwilę leżał nieruchomo, kontemplując zapadłą ciszę. Potem obrócił głowę, próbując dostrzec gospodarza tego pomieszczenia.

Gdzieś już widział tego starego mężczyznę, odzianego w lniane ubranie, o poznaczonej zmarszczkami twarzy, wpatzonego w .lina z wyczekiwaniem.

Tragarze rozsiedli się wokół niego w kucki. Musieli długo czekać, aż Jin weźmie się w garść i zbierze myśli. Wsparł się na ramieniu i chłonął skąpe oświetlenie pomieszczenia. Jeden z tragarzy przyniósł miskę z wodą i postawił przed więźniem. Jin napił się. Chciał przepłukać gardło i pozbyć się gorzkości w ustach. Drżącymi dłońmi trzymał naczynie, woda ciekła mu po brodzie, spływając na pierś. Wypił wszystko i odstawił miskę. Spojrzał na starca, oczekui'1° wyjaśnień. Zdążył się już przyzwyczaić do otaczającego go świata groteski i nonsensu.

- Mów! - rozkazał mężczyzna.

Gdyby kamień umiał mówić, to pewnie by teraz przemówił ze zdziwienia, .lin potrzebował chwili namysłu. Przetarł dłonią twarz, podkulił kolana i podparł się z tyłu na rękach, gdyż nie czuł się pewnie

w pozycji siedzącej.

- Dlaczego przyprowadziliście mnie tutaj? - odezwał się wreszcie, cicho i spokojnie, równie rozważnie co gospodarz. Nie otrzymał odpowiedzi.

Gospodarz wydawał się trwać w amoku, jak pozostali dzicy. A może zadał niewłaściwe pytanie?

Cisza stawała się coraz głębsza i Jin ścisnął kolana, chcąc opanować drgawki. W pomieszczeniu było ciepło, przez szczeliny wpadało silne światło. Na zewnątrz była pełnia lata. świat istniał, jakby nigdy nie.

- Znaleźli mnie nad rzeką - wyszeptał.

Przypomniawszy sobie wielki tors Kalibana... Szybko stłumił odgrzebany przez pamięć obraz, koncentrując się na łysej czaszce starca i jego białej brodzie, spływającej na piersi. Zwrócił uwagę, że jest czysty. Nigdy nie sądził, że w tunelach spotka czystego człowieka. On sam śmierdział potem, moczem, wymiocinami i zgnilizną.

• To chyba stało się kilka dni temu... powtórzył, po raz pierwszy mając nadzieję, że ktoś chce go wysłuchać. - Schwytałem mnie nad rzeką. Nie wiem, dlaczego...

• Imię?

• Jin.

Starzec spojrzawszy na niego uważniej swoimi inteligentnymi, ciemnymi oczami.

- Ja nazywam się Green.

Rodzinne legendy. To imię poruszyło najgłębsze pokłady jego świadomości. Poczł jak ogarnia go chłód.

• Pozwól mi odejść. Chcę odzyskać wolność.

• Pewnego dnia... - wyszeptał Green zachrypniętym, od dawna nie używanym głosem - ... zabito brązowego Kalibana...

• To był wypadek! Nikt tego nie chciał...

Starzec tylko popatrzył na więźnia, ujął kilka kamieni leżących obok niego na stosie i ułożył z nich jakiś wzór.

Ariel ułożony dotąd na kolanach Greena podniósł się, obszedł dookoła rząd kamieni, przyjrzał im się uważnie i zgarnął je z powrotem w kopczyk.

- Pozwól mi stąd wyjść! - powtórzył Jin zdławionym głosem.

Miał trudności z jasnym sformułowaniem myśli. -To był wypadek.

- Czy rozumiesz, co oznacza ten wzór? - zapytał Green. - Nie od razu sam udzielił sobie odpowiedzi. Zebrał kamienie i ponownie utworzył wzór. Ariel jeszcze raz go zburzył.

• Czego ode mnie chcesz? - Jin chciał wreszcie pojąć, czego od niego żądają. - Czy nie możemy dojść do porozumienia?

• Obejrzyj dokładnie to pomieszczenie!

Jin rozejrzał się. Ściany z utwardzonej ziemi, klepisko, szczeliny okien, strażnicy siedzący w cieniu.

Green klasnął w dłonie.

Odpowiedziało mu echo, przy ścianie coś się poruszyło.

Usłyszał ciężki oddech, podobny do sapania. Jin spojrzawszy w ciemny kąt, a potem podniósł wzrok ku oknom, ku słońcu. Droga do wolności lub śmierci.

\*

- Żadnego bólu - szepnęła Green.

Sapanie zbliżyło się. Ujrzał wielki łeb, większy niż kiedykolwiek widział. Cofnął się przerażony, aż plecami napotkał ścianę. W pomieszczeniu jakby zabrakło miejsca, gdy wypełniło je ogromne cielsko brązowego Kalibana, jeszcze większego, niż ten zabity nad rzeką. Wypełniał sobą całą przestrzeń. Patrzył na jeńca złocistym okiem, na grzebieniu wyraźnie było widać zielone pasma. Opadł na brzuch, a ogon wyciągnął wzdłuż ściany, czyniąc w ten sposób miejsce dla ludzi.

Dzicy nawet nie mrugnęli okiem.

Kat (ban podniósł łeb, przyjrzał się linowi, podniósł się i podszedł bliżej. Zamknął oczy. Na twarzy czuł ciepły oddech jaszczura i jego szorstki język, obmacujący ofiarę.

-> Siedź spokojnie - rozkazał Green.

Jin klęczał obok pokrytej łuską łapy.

Kaliban kiwał się nad nim, rzucając nań wielki cień. Wtem pochylił łeb i szturchnął skazańca paszczą. Jin krzyknął. Kaliban odskoczył, odwrócił się i zniknął w ciemnym wylocie wyjścia. Więzień stał, dygocząc.

Inni pożegnali się przy tym z życiem wyszeptał Green, który ponownie siedział pośrodku



pomieszczenia i układał z kamieni kolejny wzór.

„Nie”, odpowiedziały mu kamyki, wnosząc powiew nikłej nadziei- Green pozbiierał je z ziemi, jak zwykle, gdy Ariel zburzył konstrukcję. Spojrzał na strażników, w milczeniu przyglądających się całej scenie.

.lin przetaił twarz. Drżenie ustało, oddech się uspokoił. Gniew został zawieszony.

Gniewali się z jego powodu - oburzało ich jego istnienie, drżenie, którego nie mógł opanować. Oni zawsze czynili to, na co mieli ochotę.

Przypomnił sobie co czuł, gdy krzyknął. Gdy opuścił go cały rozsądek, nieprzydatny wobec nadchodzącej śmierci.

Nie chciał być dalej tym, kim był - żalonym, rannym mężczyzną. Nigdy już nie stanie się człowiekiem, jakiego znano w przeszłości, nigdy już nie będzie taki naiwny.

Cafe swoje życie taki był, cały jego lud taki był.

Pożegnał się ze swoim człowieczeństwem, czując głęboką, pulsującą wściekłość.

## 15.

### Rok 89, dzień 222 ery kolonialnej. Baza.

Dean wszedł do laboratorium. Stał pod ścianą, krzyżując ręce na plecach, widząc, że Spencer wciąż zajęty jest pracą.

- Dzień dobry - powiedział starzec, odwracając się od stołu laboratoryjnego.

- Dzień dobry, sir - Dean dostrzegł, że jego zwierzchnik jest w złym nastroju, gdyż spojrzał ponuro na młodego mężczyznę.

- Coś się stało?

- Słyszałem, że...

- Czy panika, którą widzę w twoich oczach, panuje już w całym mieście?

- Sir, dzisiejszej nocy strażnicy wymaszerowali poza ogrodzenie.

- Fałszywy alarm.

- Od kilku dni nie widać żadnych górali...

- Wiem o tym - Spencer wstał, podszedł bliżej i wsparł się całym ciałem o biurko. Potem nagle cofnął się i skrzyżował ramiona

na piersiach. - Przyszedłeś do mnie z jakimiś konkretnymi nowinami?

- Nie, sir.

- W takim razie już wiem, jak ocenić twój raport: Nic się nie stało, górale jak zwykle przesadzają z ostrożnością, są nerwowi...

- Nie wiemy, jakie skutki może wywołać w mieście...

- Sądzę, że masz inne zajęcia.

- Sir, ale chętnie siedziałbym teraz w bazie.

- Też dajesz się ponieść nerwom?

- Nie, sir, uważam tylko, że moja obecność w mieście jest bezcelowa.

- Ja uważam inaczej. Wydaje mi się, że właśnie teraz jest tam twoje miejsce, kiedy mieszkańców ogarnęła panika z powodu irracjonalnych plotek.

- Sir, Kalibany są naprawdę wielkie i nieobliczalne.

- I dlatego myślę, że twoja obecność w mieście, jako przedstawiciela bazy, może stabilizować wzburzenie i przeciwdziałać panice. Powiedz ludziom, że panujemy nad sytuacją i nie spodziewamy się żadnych ataków na ogrodzenie. Może ten niepokój ma jakiś związek z porą roku albo z jednostajną dietą? Jesteś wykształcony, Dean. więc twoje miejsce jest w mieście. Otrzymujemy prośby o przeniesienie się z miasta do bazy i z bazy poza ogrodzenie. Wielu robotników rolnych symuluje chorobę... To niepokoi mnie bardziej niż Kalibany. Nie możemy sobie pozwolić na przerwę w pracach polowych. Dlatego nie odwołam cię z miasta.

- To może potrwać długo...

- Masz wykonywać swoje zadanie niezależnie od czasu. Masz mieć baczenie na wszystko, co dzieje się w mieście. Posiadasz znaczne przywileje, możesz rozmawiać z oficerami z bazy, więc nie licz na zwolnienie z obowiązków. Masz być w mieście.

- Tak jest, sir - Dean zacisnął pięści i schylił głowę, próbując opanować oddech i powiedzieć spokojnie: „Do widzenia”. Wykonał wojskowy zwrot i wyszedł.

Jego matka umarła, nie żyła już od miesiąca. Lekarze nie mogli jej pomóc - serce odmówiło po prostu dalszej pracy. Dom w mieście stał się dla niego za duży, sąsiedzi nie odzywali się do odszczerpieńca, tym bardziej, że jego obecność w mieście nie pozwoliła im przywłaszczyć sobie mieszkania matki.

Nie miał żadnych przyjaciół. Dla swoich uczniów był za stary, wśród rówieśników traktowano go jak obcego. Nie posiadał żony ani nawet kochanki - miał status niedotykalnego, gdyż dysponował przepustką do bazy, gdzie potomkowie azich nie mieli w ogóle wstępu.

Przeszedł wzdłuż czworokąta, który zajęła baza. Mijał strzeliste budowle z betonu, które postawili przybysze z innego świata, osobliwe ogródki, niepokojące swym kształtem. Dla niego betonowe wzornictwo nie miało żadnego sensu. Czasem tylko wciął podobieństwa do wzorów, jakie malowali górale, ale oni przecież robili to dla zmylenia osadników.

Na tyłach budynków znajdowała się brama. Wszedł do przylegającego do niej domu, zdjął ubranie obowiązujące wewnątrz bazy i wciągnął kombinezon, jaki nosiła większość mieszkańców miasta.

Był oszustem. Albo to ubranie było oszustwem, on zaś był w porządku. Nie czuł się tego ranka pewnie, czuł wyraźny dyskomfort. Wyszedł z budynku, minął strażników, którzy nawet nie zapytali go o personalia, gdyż znali go doskonale, i doszedł do posterunku miejskiego. Tu też go znali, ale jeszcze się nie zdarzyło, by uśmiechnięto się do niego lub zaniechano skrupulatnego sprawdzenia numeru na przegubie ręki.

Strażnik dokładnie zapisał, kto i o której godzinie wszedł do miasta. Dean ruszył betonową drogą, która za posterunkiem rozwidlała się na odnogę północną i południową, podobną do litery T. Ta droga była jedynym luksusem w mieście. Resztę stanowiły miny i pył. Domy, wzniesione z kamieni i cegieł własnej produkcji, chyliły dachy ku ziemi, oddając pokłon wysokiej bryle betonowej kliniki - podarunkowi dla miasta od bazy.

Podobne do siebie domy ciągnęły się szeregami wzdłuż udeptanych ścieżek, po ich bokach biegły otwarte kanały, służące do odprowadzania ścieków i nieczystości.

Łaźnia publiczna była tylko jedna, wokół niej unosił się smród, roznoszony przez wiatr, a cały teren naokoło niej wciąż podchodził wodą. Wszechobecne błoto było rozdeptywane bosymi stopami i roznoszone po całym mieście.

Do wzgórz rozciągały się pola uprawne, właśnie dojrzewały na nich zboża. Nad cokolwiek sielskim krajobrazem górowały strażnicze wieżyczki, pomiędzy którymi rozciągnięto druty pod napięciem i betonowe zapory.

Przybysze z gwiazd zapewniali, że to wystarczająca ochrona, która zapewni im spokojny sen.

## 16.

### Rok 89, dzień 223 ery kolonialnej. Górska wioska.

Po zapadnięciu zmroku przed chatą Toma wynurzył się z zarośli Kaliban, niosący na grzbiecie jeźdźca. Za nim pojawił się drugi jaszczur, towarzyszący pierwszemu dla bezpieczeństwa. Mała dziewczynka, gdy ujrziała tę parę, wyprostowała się nagle i zaniemówiła.

Pozostali mieszkańcy wioski również wpatrywali się zdumieni w niecodzienne zjawisko.

Na grzbiecie Kalibana siedział mężczyzna, trudny do rozpoznania z powodu panujących ciemności. Niewiele można też było powiedzieć o drugim jeźdźcu. Z zarośli wyłonili się dzicy, sprawnie otaczając wioskę. Sylwetki o ziemistej cerze, odziane w łachmany, zlewające się z mrokiem nocy. Mężczyzna siedzący na pierwszym Kalibanie, podniósł rękę i krzyknął:

- Musicie opuścić to miejsce! - Słowa wymawiał w typowy dla dzikich, przeciągły sposób. Już obecność jednego jaszczura strwożyła mieszkańców wioski, ale z cienia wyłaniały się kolejne Kalibany. Jedne z jeźdźcami na grzbietach, drugie samopas, poruszając się niczym duchy - wielkie cienie na zboczu. Jaszczur, który niósł przemawiającego jeźdźca, wyciągnął przed siebie rozcapierzoną łapę, zbrojną w pazury, wsparłszy ją na stosie kamieni.

Górale cofnęli się, przerażeni.

Byli wśród nich myśliwi, ale nikt nie zasiadał do posiłku z bronią w ręku. Byli starcy, doświadczeni życiowo, ale wydało się, że wręcz zaniemówili. Były dzieci i właśnie jedno z nich zaczęło płakać, wyciągnąwszy rozpaczliwie małe ręce, ale rodzice nie mieli siły, by uspokoić niemowlę, więc przycisnęli je tylko mocno do piersi i szeptali słowa pociechy.

Między jaszczurami krzątały się Ariele, zalewając cały plac między napastnikami a wioską, podnosząc wysoko głowy, pokazując podgardla, jakby od dawna przygotowywały się na tę chwilę -

wywarcia zemsty na myśliwych.

- Dla wioski nadszedł koniec jej dni - oświadczył jeździec.

L najwyższy czas, żebyście się wynieśli z tych terenów. Ta noc na leży do Kalibanów. Właśnie nadchodzi nowa epoka. Obcy, co przy byli z nieba i wabią was żywnością i dostatkiem, otrzymali już wszystko. Zastrzelili brązowego Kalibana. Nie puścimy tego pła zem. Po tej stronie rzeki powstaną nowe wzory, przybysze zobaczą rzeczy, o jakich nawet nie śnili. Ta wioska ma należeć o świcie do Arieli i hulającego w górach wiatru. Jest miejsce, gdzie będziecie bezpieczniejsi, ale skały nie będą was już chronić. Od dzisiaj musi cie poszukać nowych schronień.

Nagle ktoś wykrzyknął głuchym głosem:

- Przecież to Jin!

Jego imię podawano sobie z ust do ust, aż powtarzała je cała wioska.

• To Jin, który przepadł nad rzeką.

• Jin! - krzyknął jakiś starszy mężczyzna, w którym rozpoznano Jina Starszego, przepychającego się przez tłum do przodu. Z jego oczu płynęły łzy, a głos drżał ze strachu. - Jin, zejdź na ziemię, chodź do nas. Przecież to twoje plemię.

Z boku rozległ się cichy syk.

Jin Starszy złapał się za szyję i w momencie, gdy do przodu przepchała się jego żona wraz z krewnymi, padł na ziemię. Kilku górali chciało się nim zająć. Jeden przyniósł płachtę, by położyć na niej bezwładne ciało, gdy syk rozległ się ponownie i żona Jina padła na ziemię, rozkrzyżowawszy ramiona.

- Zabierzcie ze sobą tylko rzeczy osobiste! - krzyczał dalej jeździec, wskazując na domy. - Możecie zabrać, ile udźwigniecie, ale pospieszcie się! Sądzicie, że jesteście tu bezpieczni, bo siedzicie na skale, ale to miejsce od dzisiaj należy do jaszczurów. Pospieszcie się, one nie lubią czekać!

Ruszajcie się! - wrzasnął, gdy nadal stali, niezdecydowani. Dopiero wtedy posłusznie uczynili, co im kazał.

Cloud, gdy doszedł do domu, z trudem łapał oddech. Zaszył się w cieniu, obserwując stamtąd światło z kominka, pełgające po ścianach. Wreszcie, wściekły, skierował się do drzwi, ledwo widocznych w mroku.

-To ja - rzekł, żeby nie przestraszyć domowników. Za progiem natknął się na żonę Dal, siostrę Pię, babkę Elly i syna. Tama, mającego już osiem lat.

Żona objęła go ramionami, a on przycisnął jej głowę do piersi i wyciągnął ręce po siostrę i syna. Tam zaszlochał, gdy zrozumiał, że ojciec szykuje się do wyjścia. Babka stanęła mu na drodze.

- Dokąd się wybierasz, Cloud? - spytała z groźbą w głosie.

Obawiał się myśli, że będzie musiał wkrótce strzelać do ludzi bądź Kalibanów, ale przecież sam się na to zdecydował. Słyszał pokrzykiwania z zewnątrz, gdzieś w oddali usłyszał czyjś krzyk.

- Wracaj! - stara kobieta, która przez połowę jego życia zastępowwała mu matkę, chwyciła go za koszulę. - Masz rodzinę. Musisz o nią zadbać. Słyszysz?

• Matko Elly... Jeżeli nie stawimy im teraz czoła...

• Nie pójdziesz tam! Wracaj, oni cię zabiją! Co chcesz zyskać przez swoją śmierć?

Żona również chwyciła go mocno, idąc w ślady babki. Syn złapał go za pasek i wszyscy troje odciągali go od drzwi.

Stracił całą nagromadzoną odwagę. Zgasł ogień, który w sobie podsyczał. Na powrót zaczął myśleć.

• Co potem? - dopytywała się Elly, a on nie potrafił dać jej odpowiedzi. Objął ramionami żonę i siostrę.

• Już dobrze.

• Do roboty! - zakomenderowała babka. Tam wrzucił natychmiast do kominka nową szczapę, próbując rozjaśnić mrok panujący w pomieszczeniu.

Nie! - krzyknął Cloud i wyciągnął drewno. Uderzył chłopca w ramię i potrząsnął jego drobnym ciałem. - Niech będzie ciemno! Zbierz ubrania, wszystkie, jakie znajdziesz.

Chłopak skinął w milczeniu głową, przelękając łzy. Po chwili zabrał się do wykonania polecenia

ojca. Cloud spojrział w prawo, gdzie Elly klęczała przy składziku z opałem, usiłując wyjąć jedną z płyt w podłodze. Schylił się obok niej. Nożem podważył płaską płytę i dźwignął do góry. Nic nie mówił, gdy babka podawała mu, owinięte w skrawki skóry, książki - największy skarb ich rodziny. Cloud układał je na stos, nie zwracając uwagi na krzątanicę reszty rodziny.

- Nigdy nie zamieszkamy w jakiejś jaszczurzej norze! - sapała ze złością stara kobieta. Słyszał, jak z głębi jej krtani dobiega szloch. Babka nie płakała od czasu śmierci jego matki. - Posłuchaj mnie, Cloud! Kiedy już opuścimy ten dom, to idziemy prosto przed siebie!

-Tak.

Zawsze tak było, że gdy nie widział innej możliwości, to poddawał się woli rodziny. Jednak nie do końca był pewny, czego chciała. 'I w końcu by' głosem instynktu. Ale rozumiał ją- musieli ocalić siebie, spróbować się ukryć.

Ale głos rozsądku odkrywał przed nim prawdę o tym, co się dzieje. Najeźdźcy oddzielali dzieci od dorosłych, oddzielali też starych i chorowitych - oddając każdego w niewolę Kalibanom. A jeśli ktoś próbował walczyć, czekała go śmierć. Ujść z życiem mogli tylko jako cała rodzina, decydując się na długą wędrówkę w nieznaną.

To szaleństwo, odzywał się w nim rozsądek. Ale głupotą jest też nocna walka z Kalibanami i karabinami najeźdźców. Wziął więc tobolek, który podała mu żona, podszedł powoli do drzwi i wyjrzał przez nie - na placu zgromadzeń uwijały się przy słabym świetle Kalibany. Cloud już był spokojny.

• Idziemy! Trzymajcie się blisko mnie. nie oddalajcie. Pia zamyka pochód.

• Tak jest! - odpowiedziała, gdyż, mimo swych piętnastu lat, była już łowczynią.

Cloud przekroczył próg. nałożył strzałę na cięciwę i okrążył dom. kierując się w stronę południowego zbocza. Jakiś szary jaszczur rzucił się w jego stronę, więc Cloud naciągnął łuk i wystrzelił. Zatrute ostrze utkwilo w ogromnym cielsku, a jaszczur syknął głośno z bólu.

Cloud kiwnął na rodzinę, która zebrała się u podnóża zbocza i ruszyli. Najpierw truchtem, potem marszem, który szybko zmienił się w paniczny bieg. Wciąż oglądali się do tyłu, skąd dochodziły wrzaski i strzelanina.

- Ogień! - krzyknęła Pia.

Cloud odwrócił się. Domy ich osiedla stały w płomieniach.

- Idźcie dalej, nie zatrzymujcie się! - sapnęła babka Elly, z trudem łapiąc oddech.

Za nimi rozległ się szept nóg. Nie było to ciężkie stąpanie Kalibanów. Cloud wymierzył w ciemność łuk, dostrzegł sylwetki mieszkańców osady.

- Kim jesteście? - zapytał, ale nie doczekał się odpowiedzi.

Obcy przebiegli obok nich bez słowa. Może wstydzieli się swojej ucieczki, może obawiali się nieznanym. Rodzina Gouda pobiegła za nimi, tak szybko, jak pozwalały im na to siły. Cloud oddał książki żonie, a sam wziął na ramiona syna.

Płakał.

Nie wiedział dlaczego płacze, choć lzy ciurkiem leciały mu z oczu po policzkach. Czasem oglądał się na lunę pożogi, oznaczającą utratę wszystkiego, co znał. Jeśli Kalibany puszczą się za nimi w pogoń, nic ich nie ocali. Pozostawało mieć nadzieję, że Kalibany zapomną.

Miały krótką pamięć. Przynajmniej tak mu się zdawało.

## 17.

Miasto.

Krzyki, trzask ognia i luna rozjaśniająca na czerwono ciemność nocy - spowodowały, że zdenerwowani ludzie zebrawi się przed wejściem do bazy, natarli na zasieki. Ale baza nie reagowała.

- Otwórzcie nam! - krzyczał Dean wraz z innymi. - Otwórzcie bramę!

Nikt nie reagował.

Nie chcieli otworzyć bram, by ludzkie mrowie w śmierzących łachmanach zalało betonowe ogrody, wnosząc za zasieki strach i panikę. Dean właściwie ich rozumiał. Wiedział, że nie otworzą, zanim jeszcze inni zebrani zrozumieli swoje położenie. Odwrócił się, przedarł przez tłum uciekinierów

i pobiegł w miejsce, gdzie mógł być sam. Gorączkowo łapał powietrze pełne dymu i patrzył na osadę.

Na jego oczach rozstąpiła się ziemia, a domy zapadły się w nią. Rozpadlina wciąż się poszerzała, betonowe płyty drogi zadrgały, rozrzucając na boki ludzi nią biegnących. Od bramy podniósł się w niebo wrzask trwogi - inni też to zauważyli.

Szczelina wciąż się rozszerzała, polykając coraz to nowe domy. W smugach reflektorów bazy wychynęła olbrzymia głowa Kalibana. Dean ruszył! biegiem w kierunku, który podały mu same Kalibany. pozostawiając fragmenty nienaruszonej ziemi. Przeciął na ukos pola uprawne. Dopiero wysoki pisk z tyłu osadził go w miejscu. Obejrzał się.

Większość reflektorów i latarni leżała na ziemi poprzewracana, a w świetle pozostałych zobaczył smugi dymu wznoszące się nad zabudowaniami bazy. Jedna z dużych budowli całkiem się zawałiła.

Kalibany podkopały się pod bazę, naruszyły fundamenty betonowych instalacji. Baza powoli zapadała się pod ziemię.

Dean ruszył przed siebie.

Nie był jedynym, któremu udało się przedrzeć przez wewnętrzne zasieki. Nie miał jednak nikogo, z kim mógłby dzielić swój ból. Był sam.

Biegł przed siebie i biegł, aż krzyk za jego plecami zginął w ciemnościach nocy.

## 18.

W górach.

Rano znaleźli go między skałami. Cloud podniósł swój łuk i wycelował nim w głowę obcego - teraz każdy był wrogiem. Człowiek z miasta opierał się o skałę i patrzył nieprzytomnie, wyciągnął rękę, jakby w ten sposób mógł zatrzymać strzałę. W jego oczach czała się taka trwoga i zmęczenie, że Cloud opuścił łuk.

• Kim jesteś? - zapytał, kucając na drugim brzegu strugi, która ich oddzielała od siebie. Pia, żona, syn i babka zaspokajały tymczasem pragnienie, nabierając wodę w złączone dłonie. - Jak się nazywasz?

• Dean - odezwał się obcy, patrząc na nich już trochę przytomniej. Ukląkł nad wodą, wsparłszy rękę o kolana. Strzępy delikatnej tkaniny miejskiej odzieży powiewały na wietrze.

• Ja nazywam się Cloud.

Podeszły do nich żona i Pia, trzymając w rękach jedzenie. Obcy nie odzywał się.

- On jest głodny, trzeba go nakarmić - powiedziała Pia.

Cloud zastanowił się, oderwał kawałek bochenka i wyciągnął

go w stronę Deana. Obcy podniósł się i wszedł do rzeki, z trudem brodząc w płytkiej wodzie. Wdrapał się na brzeg, przyjął chleb i zaczął go powoli żuć. Chociaż łyż ciekły mu z oczu, trudno było wywnioskować z jego twarzy, co czuje. Również jego oczy wydawały się martwe.

• Jesteś z miasta? - zapytała go Elly.

• Miasta już nie ma.

Żadne z nich nie wiedziało, co odpowiedzieć. Miasto przecież było bogate i potężne, i istniało od... zawsze.

- Budynki bazy zostały zburzone. Sam widziałem.

• My idziemy na południe - odezwał się po chwili milczenia Cloud.

• Ścigają nas Kalibany - dorzuciła Pia.

• Chcemy dojść do wybrzeża - dodał Cloud, gdyż już zdążył się zastanowić, gdzie na znanym obszarze mogą liczyć na schronienie i znalezienie żywności.

• Na południu jest duża rzeka - spokojnym głosem powiedział Dean. - Znam ją, ci z bazy nazywali ją Rzeką Obłoków.

Wzięli go ze sobą.

Po drodze mijali innych uciekinierów, niektórzy byli z osady w górach, inni z miasta, a wszyscy uciekali na południe, ile sił w nogach.

Kilka razy ktoś do nich strzelał.

Czasem widzieli w oddali Kalibany, zwalniali wtedy i starali się ominąć je szerokim łukiem.

## 19.

Wiadomości z Gehenny przekazane do Kwatery Głównej Sojuszu przez AS *WInfried*.

„...otoczenie bazy zostało zabezpieczone przy pomocy desantu marines, którzy wkroczyli do akcji natychmiast po zakończeniu ataku. Straty własne wyniosły 14 zabitych i 46 rannych, z czego 9 w stanie ciężkim...

...całość załogi, wyłączając siły bezpieczeństwa i personel niezbędny do działania bazy, odtransportowano na stację satelitarną.

Miasto zostało doszczętnie zniszczone. Straty w ludziach nie zostały oszacowane. Mamy informacje o 20 ofiarach śmiertelnych, ale z pewnością są to dane mocno zaniżone. W związku z zagro-

żenieni dalszego obsuwania się budynków, poszukiwania zostały chwilowo wstrzymane.

Dwustu dwóch rannych przyjęto na teren bazy. Według ich relacji większość mieszkańców została pogrzebana żywcem. Pod osłoną nocy Kalibany wciąż wracają, szukając czegoś w ruinach. Szczególną aktywność przejawiają w sektorze 2.

Górskie osiedle także doznało widocznych strat, co wykazują obserwacje satelitarne. Do tej pory nie stwierdzono tam żadnej aktywności ludzkiej...

Niektórzy z uciekinierów powrócili do miasta. Doszło do kilku sporów pomiędzy tubylcami i przybyszami. Ze stacji dostarczono żywność i podjęto próbę mediacji pomiędzy zwaśnionymi stronami.

Ze względów humanitarnych prosimy o chwilowe wstrzymanie decyzji o dalszym losie kolonii. Mamy zamiar wycofać się z planety"

## 20.

Depesza od Kwatery Głównej Sojuszu do Stacji badawczej Gehenna / Nowy Port. Odebrana przez AS *Feniks*.

„...w pełni doceniając waszą trudną sytuację i uwzględniając konieczność swobody manewru, przychyłamy się do waszej prośby o wstrzymanie dalszych decyzji dotyczących kolonii, aż zapanujecie nad sytuacją...

...obiecujemy pełną pomoc w odbudowie...

Przypominamy, że polityka Ministerstwa Nauki wobec obcych form życia nadal zakłada nieingerencję w życie tubylczych form inteligentnego życia, nawet wtedy, gdy jest to związane z utratą kolonii.

Stacja orbitalna powinna zagwarantować pełnomocnikowi Kwatery Głównej pełną pomoc, zgodnie z żądaniem doktora Florio..."

## 21.

### **Rok 90, dzień 144 ery kolonialnej. Konferencja sztabu na Stacji Badawczej Gehenna.**

- Brzmi to jak zapowiedź katastrofy - powiedział doktor Florio i złożył dłonie jak do modlitwy - lecz ci, co nie zgadzają się z naszą polityką, będą musieli złożyć rezygnację z zajmowanych stanowisk.

Obecni przy stole kobiety i mężczyźni milczeli. Ich twarze wyrażały różne, mieszane uczucia. Byli starymi wygami. Mieli doświadczenie w postępowaniu z planetą pod nimi.

- Rozumiemy główne założenia tej polityki - odezwał się wreszcie dyrektor Stacji - ale trudno przyjąć ją teraz, w obecnej sytuacji panującej na planecie.

- Czy pragnie pan własnej śmierci? - zapytał spokojnie Florio.  
- Szalone parcie ku własnej zgubie wyszło już z mody. Ludzie na planecie jakoś zdołali się podnieść po klęsce i odnaleźć w nowych warunkach. Żyją tam, na dole, i całkiem nieźle im się wiedzie.

Zaczął wertować stertę raportów.

- Gdybym miał w tej chwili szukać czegoś, by uzasadnić twar-  
dą politykę Ministerstwa Nauki, to proszę... Oto ona - opis nor-  
malnego, ustabilizowanego życia na Gehennie. Planeta przeszła już  
przez nieuniknione wstrząsy i obecnie ukonstytuowały się na niej  
dwie społeczności. Przeprowadzone inspekcje wypadły pozytyw-  
nie. Obie osady istnieją dzięki stałej pomocy bazy, ostatniej zimy  
uczyniliśmy wiele, by zapewnić kolonistom podstawy egzystencji.  
Ostatni transport dowiózł żywność i sprzęt...

-A umożliwiliście im wejście na teren bazy?

- Zapewniliśmy im pomoc medyczną i żywność... - Florio da-  
lej kartkował raporty. - O ile dobrze pamiętam, ci spośród miesz-  
kańców miasta, których przewieźliśmy na orbitę ze względu na zły  
stan zdrowia, nie czuli się na stacji dobrze. Mieli poważne proble-  
my z psychiką, z przystosowaniem się. Czy uważacie, że to huma-  
nitarne? Moim zdaniem sprawy powinny potoczyć się tak: uczeni  
winni przeprowadzać badania bez ingerencji bezpośredniej w życie  
kolonii, w prywatne życie jej mieszkańców. Po co narzucać im nasze wzorce społeczne, skoro oni  
wypracowali swoje normy i dobrze się z nimi czują? Dlatego nie pozwoliłem na wwóz broni.

Przy stole zapadła cisza.

- Musimy ograniczyć się do badań z dystansu - Florio przybrał łagodniejszy ton. - Natknęliśmy się  
na niewątpliwie przejawy obcej inteligencji. Poza światem Pella nie natknęliśmy się dotąd na inne  
istoty, wykazujące umiejętność myślenia. Dlatego tym badaniom przyznajemy pierwszeństwo.  
Tragedia Gehenny ma podwójny wymiar, można ją rozumieć w pojęciach ludzkiego pojmowania  
świata. Po pierwsze - to, co dotyczy problemu Kalibanów. Po drugie wszystko, co dotyczy praw  
kolonistów do własnego życia, bez narzucania im zewnętrznych wzorców. To prawda, to problemy z  
obszaru etyki. Kwatera Główna Sojuszu zajmuje w tej sprawie jednoznaczną postawę. Wciąż jednak  
pozostaje do rozwiązania problem współżycia Kalibanów i ludzi. Tu wciąż nie ma nawet pomysłu na  
rozwiązanie tej kwestii. Ludzie i Kalibany w jakiś sposób komunikują się ze sobą, niestety, zbyt późno  
dowiedzieliśmy się o tej możliwości. Gdybyśmy wiedzieli o niej wcześniej, przyjęto by inne  
wytyczne. Dwadzieścia lat obserwacji prowadzonej przez najnowocześniejszy sprzęt badawczy nie  
wskazało takiej możliwości, tymczasem okazała się faktem. Możliwe, że wtedy zmienilibyśmy nasz  
stosunek do Kalibanów.

Załóżmy, że znaleźliśmy się na obcym terenie i napotkaliśmy przejaw obcej inteligencji, nie  
pokrywający się z naszymi definicjami ani z dotychczasowym doświadczeniem. Co wówczas należało-  
by zrobić? Co powinniśmy byli zrobić, gdyby okazało się, że owe istoty dysponują możliwościami  
obronnymi przed naszą ingerencją i obecnością?

Kwatera uważa, że Gehenna jest obecnie wspaniałym poligonem doświadczalnym, na którym  
możemy poznać pewne mechanizmy cywilizacyjne, poligonem, na którym możemy wypracować  
metody postępowania z obcymi formami życia, na które możemy w każdej chwili natknąć się w  
odległej przestrzeni.

Z drugiej strony, musimy też nauczyć się porozumiewać z ludźmi, którzy już tu mieszkają i mają  
inny stosunek do tej planety. W jakiś sposób musimy wszczepić w tutejszą rzeczywistość system  
wartości i politykę Sojuszu. Chodzi tu jednak o zaszczepienie, nauczanie, a nie o podporządkowanie i  
przywłaszczenie.

• A cena ludzkiego życia? - pytanie padło z końca stołu, gdzie siedzieli wojskowi. Florio spojrzął  
w tamtą stronę i zmierzył się wzrokiem z pytającym, świadom swoich racji.

• Ten świat sam stanowi o swoim losie. Niczego mu nie doradzamy, nie uszczęśliwiamy go też na  
siłę naszą technologią. Żadnych wynalazków, surowców, ani dóbr handlowych. Nie wolno nam  
ofiarować im niczego, co byłoby dla nich obce lub niezrozumiałe. My także nie będziemy korzystać z  
bogactw Gehenny. Jeśli stacja znajdzie się w potrzebie, możemy liczyć tylko na siebie i na dostawy z  
macierzystych światów.

-A ludzkie życie? - wojskowi nie ustępowali.

- Każdy świat to narodziny i śmierć, zgodnie z prawami natu-  
ry. Nie możemy im niczego narzucać. Aż do następnego roku prze-  
rywamy naszą pomoc. Od dzisiaj na Gehennie nie wyląduje za-  
den statek z żywnością i narzędziami, nawet z pomocą medyczną.  
Koniec!

Zapanowała głucha cisza.

Nikt nie miał już nic do powiedzenia.

## 22.

### Rok 90, dzień 203 ery kolonialnej. Osiedle Clouda.

Do chat, które uciekinierzy zbudowali nad nieznaną rzeką na południu, podeszły Kalibany i obrócili wszystko w perzynę. Mimo zniszczeń wciąż jeszcze mieli ziemianki, gdzie mogli się schronić.

Kalibanów przychodziło coraz więcej. Uciekinierzy zamykali się w lepiankach i starali się nie słyszeć odgłosów dochodzących z zewnątrz, z miejsc, gdzie ulokowały się jaszczury. Nie bronili się, nie wystrzelili w ich stronę ani jednej strzały.

Kalibany bez przeszkód rozłożyły się nad rzeką, wzniosły swoje wały, rzeźbiąc nimi nowy wzór, którego sercem było ludzkie osiedle. Mimo zniszczenia nędznych chat, Kalibany oszczędziły ogródki, jakie uciekinierzy pozakładali przy zagrodach.

- Przyszły do nas - odezwała się Elly - tak samo, jak przyszły do Jina.
- Musimy tu zostać - powiedział stary mężczyzna. - One nie pozwolą nam odejść.

To była prawda.

Mieli swoje nędzne ogródki.

Nie było miejsca, gdzie mogliby uciec.

## 23.

### Osiedle nad Rzeką Obloków.

- ...przybyli ze świata zwanego Cyteen - opowiadał Dean, siedząc przy ognisku, które było jedynym źródłem światła w ich schronieniu. Pełgające płomienie rzucały światło na twarze młodych i starych, którzy przyszli go słuchać.

Dean posiadał wiedzę.

Opowiadał wciąż, bez znużenia, przekazując im całą swoją mądrość, przelewając ją w głowy ludzi z miasta i osady z gór, dzieci i dorosłych, kobiet i mężczyzn.

Elly siedziała wraz z rodziną najbliżej. Cloud tradycyjnie straszyl ponurym wyrazem twarzy, Dal siedziała bez ruchu, a Pia i mały Tam wyglądali bardzo uroczyście, słuchając w nabożnym skupieniu, przez co wyglądali jak wiekowi starcy. Dzisiaj zebrało się tu dwadzieścia osób, siedząc rzędem, jeden obok drugiego. Było bardzo ciasno, ale im to nie przeszkadzało. Dean rozumiał książki, które rodzina Clouda zabrała z miasta, lepiej rozumiał ich treść, umiał też lepiej je opowiedzieć. Tak, że nawet najgłupszy wszystko rozumiał.

Cloud szanował go za to.

Pia kładła się z nim do łóża, nazywając go „Mój Dean”, a w jej głosie brzmiała duma i radość z posiadania.

Pod pewnym względem był to najszczęśliwszy okres w życiu Deana. Troszczono się o niego i poważano jego słowa. Pilnie słuchano jego opowieści i zabiegano o jego rady. Dean ofiarowywał im swą miłość, a oni podporządkowywali się jemu, tworząc nienazwaną hierarchię ważności, z której tylko Pia była wyjęta i traktowana specjalnie.

Cloud i Dal baczyli na każde jego słowo. Babka Elly przedstawiała z nim chętnie, ciągnąc w nieskończoność rozmowy o dawnych czasach. Tam bywał nieznośny, ale czasem, jak dzisiaj, gdy zebrała się cała wioska, był grzeczny. Lecz Dean przeczytał więcej, niż mógł im opowiedzieć.

Ponieważ pragnął, by zrozumieli, co ma im do przekazania, ze swoich opowieści stworzył strawną papkę, zdolną do przetrwania nawet przez prymitywne umysły. Nic więcej nie mógł dla nich zrobić. Był sam ze światem pojęć, które mu wpojono. Ale ta wiedza czyniła go bardziej zgorzkniałym od innych. Czytał książki i znał wiedzę ludzi oglądających ich świat z perspektywy obcych przybyszów.

Wiedział, że mógł wrócić za zasieki. Zapewne zostałby przyjęty. Ale na drodze stało właśnie zgorzknienie.

Swój prywatny świat zbudował z historii wyczytanych w starych księgach, których stęchły zapach starczał mu za kadzidło, a sądy w nich zawarte uformowały jego wiedzę o rzeczywistości.

I tylko czasami, jak tej nocy, gdy Kalibany złupiły ich wieś, gdy rozmyślał o zacieśniającym się



pierścieniu jaszczurczych wałów, które miały stłamsić ludzkie życie...  
 ...wtedy się bał.

*UFE*  
**aa—aa**

4 4 4 4 4 4 4 4 4 4

Rzeka Styks i Obłoków 178 rok e.k.

**DRZEWO GENEALOGICZNE KOLONII NA GEHENNIE 178 rok e.k**

**r**

Jin 4 30-88 (ojciec Matthew R. Mayea -22+29)

**i r~**

Jin 3 Pia 3 29-78 30-89

Jin 6 43-69

Jin 7 58-89

|

Jin 8  
 (który poszedł między wały)  
 71-162

Jin 9 90-172

Jin 10 124-

Tam3 38-94

Jin 458-9998- Pia86-687

**J |**

-18-+58  
 T

Mark 3-29  
 Zad 4-?

Jin 2 0-62

**"1**

**1**

Tam3 32-89

Tam 2 32-89

Pia Ruda 32-89

**~i**

Sunny

**r**

Cloud

Jin 5 30-89

Jednooki

31-89 30-89

\*

◆

◆

◆

Elly m.

Flanahan-Gutierrez  
 23-90

Dean 62-130

Pia Flanahan 74-130

Pia 2 6-27 (babcia Pia)  
 Groen 8-? 29-78

|

**T**

Mark 3 32-90 (ojciec Ben)

Zed 2 35-99 (ojciec Bran)

Pia3 40-115 (ojciec Kes)

t \* ◆

Cloud 2  
47-87  
|

|  
Dal 61-111  
Cloud 3 (który rozmawiał zPią) 62-128

Jin11 156-  
Clouda tam 81-200

Jin 12 170-  
Cloud 94-168

Rzeka Obłoków  
Cloud 114-159

Cloud3 134-162

Paeria 154-  
1

Team  
135-  
(dziedzic  
nowych  
wież)

Team 168-

## 1.

### Osiedle nad Rzeką Obłoków.

Przyszła na świat w najwyższej z dwunastu wież na piaszczystym brzegu Rzeki Obłoków. Heroldowie obwieścili jej narodziny oczekującym w dole ludziom, odzianym w długie płaszcze, targane zimowym wiatrem. Posłańcy obwieścili, że Ellai ma dziedziczkę i ród zostanie przedłużony.

Nazwano ją Elai. uproszczoną formą imienia matki: Elai, córka dziedziczki dwunastu wież i wnuczka samej Najstarszej.

Kiedy babka podała matce czerwone, rozwrzeszczane zawiniątko, ta przycisnęła je do piersi z czułością i delikatnością, jaką rzadko się u niej widywało. W tym geście był też triumf, zwycięstwo odniesione nad naturą, która spowodowała, że jej pierwsze dziecko - syn - narodziło się martwe.

Kalibany podziwiała dziecko, gdy spoczęło już w kołysce. Pokłon przyszły złożyć brązowe i szare, ale nie było w tym nic dziwnego, bo to one wybudowały wieżę, w której nastąpił poród. Chodziły po jej korytarzach wszędzie lam, gdzie miały na to ochotę.

Ariel złożył w kołysce nagrzązany kamień zatrzymujący światło słoneczne, tak jak to robił przy jajach własnego gatunku, w tej chwili spoczywających bezpiecznie w gnieździe. Gdy jeden z szarych ujrzał, że Elai wykluło się małe, pobiegł nad rzekę po ryby. Nie doniósł prezentu, bo pożarł go jeden z brązowych.

Elai śmiała się do rozpuku, widząc te dowody zainteresowania, cieszyła się na pokłapywanie olbrzymich paszcz, w których przecież mogłaby się cała zmieścić. Widziała radosne klekotanie dziobów Arieli i spojrzenia ich bursztynowych oczu. Sądziła, że ta cała wrzawa ma służyć tylko jej zadowoleniu.

Gdy nauczyła się raczkować, wymknęła się z rąk matki i wspięła na gzyms otaczający jej pokój, tam spotkała Ariela, który natychmiast włączył się do zabawy z nią. Razem układali kamienie, a Elai śmiała się hałaśliwie z tej sztuki, dopóki sama nie nauczyła się układać kamiennych kopców.

Kiedy umarła jej babka zaprowadzono małą do komnaty na górze wieży, aby włożyć rękę dziewczynki w dłoń Ellai Najstarszej i złożyć życzenia pomyślności. Wtedy powstał Dziobaty, żeby ją odprowadzić. Był Kalibanem należącym do jej babki.

Jaszczury miały zupełnie odmienną psychikę. Prawdopodobnie najwięcej o tym wiedziała właśnie Ellai Najstarsza, ale nic ją to nie obchodziło, gdy zapadała w ostatni sen. Nie potrzebowała już niczyjej wierności i oznak poddaństwa.

W wieży panował straszny zamęt. Matka Elai, przyszła dziedziczka, EllaiterazprawieNajstarsza stała z boku i przyglądała się wszystkiemu w milczeniu. Służący podpierali ściany i też milczeli. Ellai Najstarsza odeszła.

Dziobaty po jej śmierci powinien był odejść albo - w zgodzie ze zwyczajem swego gatunku - popełnić samobójstwo przez odmowę przyjmowania jedzenia lub przez rzucenie się do morza. Tymczasem Kaliban zamiast śmierci wybrał służbę u małej Elai. Potężne cielsko leżało cierpliwie na podłodze, znosząc dzikie harce dziewczynki, która skakała bezlitośnie na jego grzbiecie. Zamknął wielkie oczy, spuścił głowę i zwarł na głucho dziób jakby wygrzewał się na słońcu, a nie znosił fanaberie dziecka.

Tego wieczoru był szczęśliwy. Elai także.

Ellaiteraz Najstarsza siedziała tymczasem obok na krześle, gładząc zrogowaciały łeb swojego własnego Kalibana, siedzącego spokojnie, ale bardzo czujnego. Jeśli Dziobaty nie wybrał śmierci, to powinna go przyjąć do własnego domu, przegnać starego Gałązkę i na jego miejsce wprowadzić jaszczura babki. Wiedziała, że jej Kaliban nie mógłby władać żadnym innym. Bardzo obawiała się walki tych dwóch jaszczurów, czuła, że i ona nie potrafiłaby zapanować nad tą nienaturalną sytuacją. Bała się Dziobatego. Zresztą, Gałązka bał się go także, podobnie jak reszta domowników. Dziobaty miał w sobie wielką siłę i moc, był stary, wręcz sędziwy według ludzkiej miary.

To on sam, nie pytany przez nikogo o zgodę, wybrał służbę u dziecka. Jakby w dwunastu wieżach nie było nowej Najstarszej, która miała tu przecież władzę. Służący i inni władcy wież, gdy przyszli tu następnego dnia rano, przekonali się, że wszędzie panuje wielki bałagan. Ellai była bezradna.

Rozmyślała jak odwrócić sytu-

ację i zyskać autorytet jej przynależny, ale nie mogła znaleźć wyjścia z tej sytuacji.

Przyszło jej do głowy, że może ktoś próbuje zabić jej córkę, jedyną spadkobierczynią jej linii. Wiedziała, że nie ma już szans na następnej<sup>90</sup> potomka. Musiała pogodzić się z losem, dobrze wychować dziedziczkę i nauczyć ją sprawowania władzy.

Dzieci...

Po śmierci Jina 12 nad Styksem panował jego ośmioletni syn. Pokój między nimi był więc pewny przez co najmniej dziesięć lat, a później...

Dziobaty przeszedł nad jej władzą do porządku dziennego, jakby jej panowanie było tylko okresem bezkrólewia, jakby była in-terrexem. Jej panowanie zapowiadało długi pokój, przynajmniej do czasu, aż dorośnie nowe pokolenie. Dziesięć lat wytchnienia. Oczekiwała tych lał z nadzieją, bo była mądrą kobietą. Wiedziała, że z tego pokoju zrobi dobry użytek, bo czuła, co nastąpi potem.

## 2.

### Rok 184, dzień 5 ery kolonialnej.

Roczne sprawozdanie z działalności bazy Gehenna / Nowy Port. Do kwatery głównej Sojuszu.

„...w ciągu ostatnich pięciu lat sytuacja na planecie znacznie się ustabilizowała. Pomiędzy wioską nad rzeką Styks, a wioską Gouda zapanował pokój i prawdziwe odprężenie. Wydaje się, że między obydwoma osiedlami zapanowały przykładowe, pokojowe stosunki. Wioska nad Styksem wybudowała wieżę na terytorium przylegającym do bazy, jednak w zgodzie z naszą polityką nie podjęliśmy żadnych środków zapobiegawczych, mających utrudnić jej budowę lub komunikację kolonistów...

...obie wioski gwałtownie rozszerzają strefy wpływów. Niektóre obserwacje socjologiczne pozwalają nam przypuszczać, że ludzkość na Gehennie przeszła już przez punkt krytyczny.

Pomimo wciąż istniejących zdrażnień i starej zawiści z poprzednich zatargów, pomimo wzajemnych oskarżeń i pojedynczych starć, obie wioski przetrwały i mają się dobrze. Nieporozumienia, jakie wciąż

mają miejsce, mają podobne tło do zamieszek, jakie wybuchały w górach w latach 124-125 e.k.. czyli podtekst rabunkowy. Obecny pokój niesie jednak wzrost zapasów żywności, a co za tym idzie przyrost naturalny, i jest precedensowy w dotychczasowej historii Gehenny.

W związku z tą sytuacją, powołując się na konieczność wprowadzenia w życie naszych dalekosiężnych celów, prosimy o pozwolenie nawiązania kontaktu z obiema osadami, oczywiście mając baczenie na ich suwerenność i prawo samostanowienia. Uważamy, że dzięki temu będzie można przedłużyć okres zawieszenia broni".

## 3.

## **Rok 185, dzień 200 ery kolonialnej.**

Kwatera Główna Sojuszu do bazy Gehenna.

proszę zapewnić pełnomocnikowi Biura wszystkie możliwości współpracy przy podejmowanych przez niego zadaniach, m.in. w przygotowaniu i przeprowadzeniu wykładów na temat osiedli ludzkich na Gehennie.

Chociaż Biuro zgadza się na bezpośrednią obserwację obu wiosek i nawiązanie kontaktu z ich mieszkańcami, przypominamy o bezwarunkowym zakazie rozpowszechniania technologii i zakazie prowadzenia działalności handlowej.

Nawet jeżeli zajdzie potrzeba udzielenia pomocy humanitarnej, nie wolno zapominać, że podobna interwencja może doprowadzić do przedwczesnego rozwoju techniki, szkodliwej dla naturalnej ewolucji cywilizacji Gehenny, lub poprowadzić ją w złym, niepożądanym kierunku".

## **4.**

### **Rok 185, dzień 201 ery kolonialnej. Baza na Gehennie, zebranie sztabu.**

- ...co oznacza, że bardziej są zainteresowani życiem Kalibanów niż ludzką kulturą i swoim dziedzictwem - skonkolidował złośliwie szef bezpieczeństwa.

- Raczej naszym modelem społecznym - poprawił go dyrektor bazy.

- Chce pan ich zachować na potrzeby badań?

- Z łatwością moglibyśmy wszystkich mieszkańców planety wytrzebić, wybić do nogi, otumanić hipnotazmami i błyskawicznie wynieść ich z barbarzyństwa na właściwy poziom cywilizacyjny. Ciekawe tylko, jak zareagowaliby na podobną akcję. Z kolei, ile Kalibanów musielibyśmy zabić przy tej okazji i co zaproponowalibyśmy temu światu w zamian? Dostalibyśmy planetę pełną trupów i człowieka w środowisku kompletnie zdemolowanym...

Można by zrobić dla nich coś znacznie więcej, niż tylko traktować jako obiekt badań.

- Naprawdę? Już to przerabialiśmy. To nierozwiązywalny spór od czasu naszego wylądowania na Gehennie. Cała sprawa sprowadza się do tego, że wciąż nie wiemy, jaką politykę przyjąć. Trzeba nam zachować daleko posuniętą rozwagę. Jesteśmy tu przybyszami, którzy muszą się wiele nauczyć. Ludzie z Gehenny są inni. Musimy się nauczyć z nimi współżyć.

Siedzący u końca konferencyjnego stołu wojskowi przybrali niepewne miny.

-Albo jeszcze inaczej... Na Gehennie nie stajemy wobec pytania o istnienie obcego modelu życia, ale stajemy wobec faktu istnienia takiego modelu.

- Studiowaliśmy antropologię - odezwał się kierownik misji. - Rozumiemy te zastrzeżenia.

Przylecieliśmy tu, żeby naocznie przekonać się, gdzie leży prawda.

- Chcemy tu prowadzić badania ponownie wtrącił się dyrektor - których istoty nie sposób zrozumieć, jeżeli wyłącznie czyta się raporty i sprawozdania.

- Biuro zna pewne fakty, które nie poddają się jednoznacznej analizie... chodzi o Unię. Z tego powodu musimy wzmocnić środki bezpieczeństwa. Kwarantanna powinna zdenerwować ewentualnych jej szpiegów, którzy może wykonają jakiś ruch. Będziemy także prowadzili rozmowy poprzedzające prace poza terenem bazy.

Ten ktoś na wszelki sposób będzie próbował maczać palce w naszym przedsięwzięciu. Musimy mu to uniemożliwić.

- Unia chce wrócić na Gehennę?

- Z pewnością nie będziemy tego ogłaszali głośno. Jeśli jednak niefrasobliwość agentów Unii doprowadzi do jakiegoś spięcia z cywilizacją Gehenny, będziemy musieli stanowczo temu przeciwdziałać. Sądzę, że najlepszą metodą jest upublicznienie raportów przekazywanych do kwatery głównej. Może to ich czegoś nauczy? Powinni się opamiętać, gdy zrozumieją, że swoimi działaniami mogą zburzyć niepowtarzalną kulturę.

Kilka twarzy spochmumiało, najbardziej oblicze dyrektora.

- Naszą troską należy objąć każde ludzkie życie. Dlatego...

- Rozumiemy pańską motywację.

- Musimy coś począć z nowo narodzonym pokoleniem, w przeciwnym razie obie wioski mogą

pójść w niepożądanym kierunku.

- Boi się pan o swoje stanowisko.
- Nie. raczej o to, co tu się w tej chwili rodzi.
- Ale przecież to zupełnie obca kultura.
- Zgadzam się. Nie wyobrażam sobie, by Gehenna kiedykolwiek zasymilowała się z naszym modelem, zwłaszcza z modelem społecznym Sojuszu. Może pan ich wspomagać taśmami albo zmieniać w inny sposób... Skoro jednak nie pojmuję pan, że to są zupełnie inni ludzie niż my. to co pan powie, jeśli za sto czy dwieście lat ich cywilizacja nadal będzie szła w kierunku wytyczonym przez nich samych dzisiaj? Jeśli nie wpłynię pan na nich teraz, to jak zamierza sterować nimi za parę pokoleń, gdy ich kultura okrzepnie? Chcecie permanentnej kwarantanny przez tysiąc lat? Rządy zmieniają się, polityka też nie jest jednorodna i niezmienna. Pewnego dnia ktoś zechce zdobyć tę planetę, jej surowce. Zaś o tym, jacy będą wtedy jej mieszkańcy, decydujemy my - teraz! Właśnie zapanował na dole pokój. Można go wykorzystać na przełamanie lodów...
- Rozumiemy pana obiekcje. Po to tu jesteśmy. Aby potwierdzić ten program.  
...na co mamy kilka lat dokończył dyrektor. - To prawdopodobnie wszystko, więcej czasu nie będziemy mieli.

## 5.

### Rok 188, dzień 178 ery kolonialnej. Osiedle nad Rzeką Obłoków.

Ten kraj leżał nad morzem. Zza horyzontu, zza oparów siwej mgły. przebijało się kilka górskich wierzchołków - dowód na istnienie lądu.

- Co tam jest? - pytała Elai matkę, tęskniąc do zarysów ledwo widocznych wzgórz.

- Góry - odpowiedziała Ellai Najstarsza, wzruszając ramionami. Góry w morzu?
- A kto tam mieszka? - dociekliwie pytała dziewczyna.

- Nikt - brzmiała sucha odpowiedź. - Nikt, o ile gwiazdne statki nie zdążyły jeszcze tam dotrzeć.

Któż jeszcze, poza nimi, zdołałby pokonać morskie głębiny?

Wśród wystających z mgły wierzchołków osiedliły się marzenia Elai. Jeśli w miejscu, gdzie żyła, spotykały ją jakieś nieprzyjemności, patrzyła w dal na ledwo widoczne szczyty, które z pewnością były wolne od wszelkich trosk. Kiedy w długie zimowe wieczory przychodziło znużenie, wówczas zamglona wyspa stawała się wyśnioną krainą tajemnic. Kiedy słyszała „nie”, „poczekaj, Elai” albo „bądź już cicho”, wówczas po drugiej stronie morza otwierał się przed nią świat przygód.

Dalekie szczyty, na których nie stanęła ludzka noga domagały się, by ktoś je zdobył. Niewidzialne rzeki zapraszały do kąpeli. Jeśli kiedyś miałyby tam dotrzeć gwiazdne statki, aby na dziewiczej ziemi postawić zwaliste betonowe maskary, wówczas te góry zapadłyby się, a z ich wnętrza wyszliby waleczni wojownicy, budując wspaniałe wieże i broniąc ich przed najeźdźcami. I wówczas ta ziemia weszłaby w posiadanie Elai. Wówczas wysłałaby do swojej matki i kuzynki Pii zaproszenie, by zechciały zamieszkać tam razem z nią. oczywiście, o ile zgodziłyby się przestrzegać jej praw.

Ci znad Styksu nie mieliby żadnej możliwości przeprawy przez morze. W jej królestwie rzeki nie występowałyby z brzegów, by zatapiać uprawne pola. A ze zdobytych górskich szczytów otwierałby się widok na kolejne, żyzne ziemie do osiedlenia. Tylko czekające na odkrywców i osadników.

I byłoby lak na zawsze, po wsze czasy.

Elai zbudowała łódkę, a nad nią postawiła baldachim. Ze słomy spłotła kilka lalek, które obdarowała kilkoma kamieniami do budowy gościńca i wież, i zepchnęła wszystko na wodę. Fale szybko rozbiły kunsztowną konstrukcję, poniosły lalki w dal. a kadłub łodzi wyrzuciły na brzeg.

Wtedy nożem otrzymanym od starego Dala wystrugała nową łódź, wzmacniając jej burty, aby mali podróżnicy nie mogli wypaść. Gdyby miała siekiere, jaką widywała u drwali, mogłaby zbudować prawdziwą łódź. Kamienny nóż nie wystarczał do tego zadania, o czym przekonała się, mozolnie obrabiając drewniany kłoc. Zresztą, deszcz przerwał jej zabawę.

Obok niej cały czas siedział Dziobaty, niechętny do jakiegokolwiek pracy. Pomyślała, że to niesprawiedliwe, że ogromne gwiazdne statki mogą przemierzać bez przeszkód wielkie przestrzenie, a ona nie może się uporać z budową prostego czółna. Kiedyś próbowała wystrugać latający statek z drewna, za skrzydła posłużyły liście. Już przy pierwszej próbie statek spadł jak kamień. Więc marzyła dalej. Przynajmniej w marzeniach jej życzenia się spełniały. Wiedziała, że gwiazdne statki latają wytwarzając wiatr, co wystarczało, by oderwać się od ziemi. Gdyby jej udało się schwytać i poskromić wiatr, skierować go na plażę, uderzyć nim o ziemię i odlecieć ku niebu! Elai widziała

często liście unoszone prądem rzeki, obracające się na falach. Gdyby udało się zbudować takie lekkie statki! Gdyby mogły stać się ptakami i pofrunąć w przestworza!

Elai zbudowała ptaka, wkładając w długi patyk parę wielkich liści. Ku jej zachwytowi wiatr porwał konstrukcję, przeniósł nad rzeką i rzucił w niebo, aż ku chmurom, ale po chwili uderzył nią o skały, rozbijając doszczętnie.

Ocli, gdyby posiadała umiejętności i siłę drwali, to zbudowałyby solidny okręt ze skrzydłami... Taki latający statek z łatwością dotarłby do przybrzeżnych skał i przebrnął mieliznę. Wyobraziła sobie, że skały, o które rozbijają się fale, są wymarzonymi górami z oddali. To złudzenie trwało jednak krótko.

Tuż przed nią wyloniły się zza mgły prawdziwe szczyty, pełne obietnic i marzeń, ale bardzo odległe. Elai obserwowała, jak jej ostatni model idzie na dno. Wszystko się w niej wzburzyło - chciała być już dorosła i mieć wpływ na świat, aby móc spełnić swoje życzenie.

W swoim dotychczasowym życiu zdziałała dotąd tylko drobniaki, bez znaczenia. Umiała znosić głód. Była gotowa spać na mrozie i cierpieć ból od ran (Cloud Najstarszy miał straszne bliźni na całym ciele), a kiedy przyjdzie potrzeba - nawet umrzeć, ciesząc się ze śmierci, jeśli nie szła na darmo... Słyszała takie opowieści przy ognisku. Los ich bohaterów był z pewnością bardziej godny pozazdroszczenia niż śmierć jej babki, która umarła w łóżku. Najpiękniejsze z tych opowieści mówiły o zmarłym młodo wujku Elai. Ona mogłaby być nim i dokonać wszystkiego, co on. Czuła, że z powodzeniem nadawała się na bohaterkę legend. Ale nie miała siekiery, a jej nóż był jedynie zaostrzonym kawałkiem kamienia.

Miała za to Dziobatego, który to fakt zawsze ją pocieszał. Może niewielkie było to zadowolenie, ale przyjaźń i duma z posiadania Kalibana była mocna. Dziobaty walczył kiedyś przeciwko plemieniu znad Styksu, więc siedząc na jego grzbiecie czuła się kimś więcej niż zwykłą dziesięciolatką. Kaliban był przecież olbrzymi, silny i niebezpieczny, a z nią bawił się i pozwalał jej na wszystko. Matka wciąż ją upominała i przypominała o odpowiedzialności, jaką się ponosi za to groźne stworzenie.

Elai dane było poczuć jego moc, gdy brutalnie się z nim obchodziła lub gdy dosiadała go, śmiejąc się z podrostków w jej wieku, wciąż zadowolających się układaniem kopców z Arielami. Rówieśnicy złościли się, widząc ją na grzbiecie jaszczura, ale kończyło się tylko na pogróżkach pod jej adresem, bo wszyscy bali się Dziobatego. Stary opiekun tylko czekał, aż jego towarzyszka dorośnie. Znał ją tak dobrze, jak ona jego.

Reszta świata nic nie wiedziała o marzeniach i planach Elai, zresztą, nawet gdyby je poznała, to nie zrozumiałaby z nich nic. Czekwała niecierpliwie na mające nadejść objawienie, a wraz z nią brązowy Kaliban, który tymczasem wylegiwał się na plaży, z typowym grymasem na pysku.

Niepocieszona losem ostatniego modelu statku, zagwizdała dwukrotnie. Podobne do wielkiej lampy oko skierowało ku niej •spojrzenie, język wysunął się badawczo. Dziobaty powstał weźwotym ruchem i nastroszył czub, patrząc na Elai. Był dzisiaj przeje-dzony rybami, zadowolony z obrzmiałego posiłkiem brzucha, więc leniwie podszedł do dziewczyny, podkładając kłapiącą paszczę i podgardle do pieszczot.

Objęła go maleńkimi rączkami, a on opuścił łeb, podstawiając kościsty grzebień, na którym wsparła dłonie. Zapiaszczoną stopę oparła o przednią nogę gada i lekko wskoczyła na grzbiet. Spodnie zostawiła na skałach, bo były mokre, podobnie jak resztę bielizny. Cale jej skromne odzienie przemoczyło się, gdy brodziła w morzu między skalami.

Zabłocony grzbiet jaszczura nie był miły w dotyku, zwłaszcza gdy stawiała na nim bose stopy, lecz pieszczotliwie uderzyła go udem w bok, wskazując na morze, gdzie chciała znaleźć nieco ochłody i wyleczyć się z napadu melancholii zabawą z Kalibanem.

Szli po piaszczystej plaży, którą obmywały fale. Dziobaty przeszedł w kłus, który był - jak się wydawało Elai - najszybszym poza fruwaniem sposobem poruszania się w znanym jej świecie. Zanurzyli się w morzu.

Kaliban podniósł dziób i ciało ogromnego susa, obryzgując jeźdźca rzęsistym deszczem. Dziewczyna, gdy spojrzała na odległe góry, wpadła na zwariowany pomysł. Cicho zagwizdała i pogłaskała jaszczura po grzbiecie. Obrócił łeb, a potem szyję. Czuła jak grają mu mięśnie pod zrogowaciałą skórą, gdy zmieniał kierunek. Fale rozbijały się o jego płaski dziób, podniósł łeb wyżej i ruszył mocniej do przodu.

Elai, cała mokra, czuła w ustach smak soli i z trudem orientowała się w położeniu, gdyż prawie oślepla. Mocniej złapała się grzebienia, wiedząc, że Dziobaty zaczął mocniej pracować, nie zbaczając z zadanej mu marszruty. Walcząc z ciężarem zalanych powiek uniosła je i spostrzegła, że odpłynęli już daleko od brzegu, ale wcale nie płyną dokładnie w stronę celu. Wbiła pięty w bok jaszczura, on zaś na ten znak mocniej rzucił się do przodu, próbując pokonać prąd znoszący go w bok. Poczula kielkujący gdzieś w głębi strach. Mimo to trzymała się mocno na grzbiecie jaszczura, myśląc nad wybrnięciem z

groźnej sytuacji. Powoli ogarniała ją panika.

Nagle wszystko uległo zmianie. Dziobaty obrał właściwy kurs. zaczął pracować łapami i ogonem bardziej rytmicznie. Popłynęli wyraźnie szybciej.

Obok nich przepłynął jakiś przedmiot, zapewne gałąź przygnana tu z brzegu.

Elai próbowała dostrzec, gdzie się podziała, gdy coś wstrząsnęło mocno wierzchowcem i jeźdźcem. Jakiś potężny grzbiet, przynajmniej trzykrotnie większy od Kalibana, rozdarł obok powierzchnię wody.

Dziobaty szarpnął się gwałtownie i zawrócił. Dziewczyna resztką sił utrzymała się na jego grzbiecie, gdy zalała ich fala. Wynurzyli się. Silne pchnięcie ciężarem całego ciała i pomknęli naprzód. Elai wbiła paznokcie w skórę jaszczura. Łapczywie chwyciła powietrze w przerwach, gdy nie zalewała jej woda. Zsunęła się z Dziobatego.

Rozpaczliwymi ruchami rozgarniała fale. Woda zalewała jej oczy. Nie widziała nic, ale czuła, że coś płynie obok niej. Silny prąd odciągał ją od celu. Poddała mu się.

Płynęła teraz szybciej, dając się unosić fali. Dostrzegła w oddali jakieś światło, ale zaraz zalała ją woda. Odkasznęła, obróciła się na plecy, aby nie dać się wciągnąć w głębiny i nieco odpocząć. Pod sobą czuła jakiś ruch. Płynęła, choć nie miała pewności, czy uda jej się cało wyjść z tej przygody. Walczyła, by dotrzeć do majaczącego w oddali, chybliwego blasku żółtej plaży.

Coś wstrząsnęło jej słabym ciałem. Jakies szpony schwytyły ją i wciągnęły pod wodę. Wyrwała się. Jeszcze mocniej zaczęła walić słabnącymi ramionami w wodę, choć straciła poczucie kierunku. Wreszcie ręce i nogi odmówiły jej posłuszeństwa.

Wtedy pod kolanami wymacała piasek. Rzuciła się rozpaczliwie do przodu. Ciężko łapała powietrze, wpływając do małej zatoczki.

- Dziobaty! - krzyczała, machając rękami, chcąc dać znać jaszczurowi, gdzie się znajduje. Niezdolna była do większego wysiłku.

Rozplakała się. Do szczypiącej oczy soli dołączyły łzy. Bardzo chciała doczołgać się choć kilka centymetrów do brzegu.

Odwrociła głowę w stronę morza, patrząc na żywioł z przerażeniem i grozą. Wtem jakiś wielki kształt wynurzył się tuż przed nią. Krzyknęła ze strachu i chciała odbić w przeciwną stronę, ale rozpoznała Dziobatego. Jego potężne cielsko zbliżało się szybko, rozdzierając wzburzone fale. Wyszedł na brzeg i otrząsnął się, ale nie tak, jak czynił to zazwyczaj w trakcie zabaw. Z paszczy skapywała mu woda wymieszana z piaskiem. Zanurzył łeb, chcąc przepłukać gardziel. Parsknął, przecyszczając nozdrza. Z tyłu ciała miał głęboką ranę, z której wolno sączyła się krew.

Drżąc podbiegła do jaszczura, czując, że i z nią nie wszystko jest w porządku. Czuła ból w nodze. Spojrzała w dół: z jej łydki sączył się cienki strumyk krwi. W strachu rzuciła spojrzenie na brzeg, na plażę dostrzegła jakąś ludzką postać.

- Ratunku! Pomocy! - krzyknęła, wierząc, że to jeden z jej wymarzonych rycerzy przybył na odsiecz. Szybko zmieniła zdanie, gdyż ów człowiek najwyraźniej nie przejawiał ochoty, by podejść do rozbitków.

Dziobaty odzyskał zdolność poruszania się, powoli zbliżając się do niej. Elai wyszła mu naprzeciw, mimo bólu w łydce, rwania w płucach, do których dostało się nieco słonej wody. Krew ciekła z nogi coraz obficie, jej strach rósł.

Teraz mogła już rozpoznać ludzką sylwetkę. Na pewno nie był to żaden mieszkaniec wież - oni nie nosili takiego ubrania. Na brzegu stał człowiek z gwiazd - ten, który wszystko badał, wszystkiemu chciał się przyjrzeć i wszystko chciał wiedzieć.

Elai stała na brzegu obok Dziobatego. Obficie krwawiła, czerwona strużka powoli wsiąkała w piasek. Czuła, jak kipi w niej złość za to, co spotkało ją dzisiaj. Czuła się słaba, musiała usiąść, co też zrobiła, znajdując szczelinę wśród przybrzeżnych skał. Zrobiło jej się słabo. Spróbowała zatamować krwotok, ściskając ranę, myśląc też o ubraniu, które zostawiła na plaży. Nie miała nic, z czego mogłaby zrobić choćby przepaskę.

Dziobaty podniósł łeb. Elai spostrzegła obcego człowieka nadal stojącego nieruchomo, lecz jakby bliżej. Serce zabiło jej mocniej.

To plemię było jeszcze bardziej osobliwe niż Nieprzystosowani. Ostatnio chodzili na pola uprawne, przyglądając się pracy rolników. Jego obecność tutaj musiała jednak mieć jakiś sens, bo przecież potrzebowała pomocy, a nikogo innego nie było w pobliżu.

- Mogę ci jakoś pomóc? - krzyknął ów człowiek.

Może mógł jej pomóc w zatamowaniu krwi i uciekającego z niej życia. Sama była winna swojej głupocie i teraz trzeba było za to zapłacić. Przybysz miał na plecach torbę, a w niej zapewne jakiś opatrunek. Pomyślała chwilę, po czym gwizdnęła na Dziobatego, żeby przepuścił człowieka. Jaszczurowi nie podobało się to. ale posłusznie cofnął się, stając przy Elai. Człowiek w dziwnym

ubranie ostrożnie przeszedł obok niego i stanął nad raną dziewczyną.

Dopiero teraz zorientowała się w swojej pomyłce. Nie miała przed sobą mężczyzny z gwiazd, którego znała już z widzenia, a kobietę, ubraną w jasny, połyskliwy kombinezon. Widniało na nim mnóstwo kolorowych wzorków. Elai z zaciśniętymi ustami przyglądała się, jak kobieta uklękła, otworzyła torbę i coś z niej wyjęła.

- Niedobrze to wygląda - powiedziała, obejrawszy ranę.

~ Zaszuj ją! - rozkazała jej dziewczyna ostrym tonem. Bała się, że czuła coraz większy ból.

Pomyślała, że ludzie z gwiazd, którzy „mieli zmusić statki do latania, umieją wszystko.

Kobieta odkręciła jakiś pojemnik, nacisnęła plastikową główkę i po chwili z puszkii wydobyła się zimna piana, pokrywając szczelnie ranę. Elai drgnęła, instynktownie cofając nogę, jednak ból zniknął jak za dotknięciem czarów. Biała piana zaróżowiła się, potem poczerwieniała, a krew przestała lecieć. Elai westchnęła głęboko, odpężona wsparła się na rękach. Ludzie z gwiazd rzeczywiście mogą wszystko. Ból po prostu minął! Znowu miała uczucie, że panuje nad sytuacją. Dziobaty przyglądał się uważnie całej sytuacji.

Czuła jeszcze trud morskiej wyprawy, ale z zainteresowaniem patrzyła na to, co robi obca kobieta. Przyklejała właśnie cło rany coś, co przypominało kolorem ludzką skórę.

- Musi przez chwilę przyschnąć.

Elai kiwnęła z powagą głową i cofnęła nogę. Starła się nie patrzeć na ranę, ale czuła się już bezpiecznie. W dodatku Dziobaty był obok.

- Możesz zrobić na próbę kilka kroków?

Potwierdziła krótkim skinieniem głowy. Wskazała w stronę odległego przylądka, gdzie zostawiła swoje ubranie.

- Tam jest moje okrycie... - powiedziała to rozkazującym tonem, który oznaczał jednoznacznie, że chce, aby kobieta poszła po nie. Lecz obca najwyraźniej nie zrozumiała, czego od niej wymaga. Elai zmarszczyła gniewnie brwi. Dodała: - Możesz wysłać kogoś, kto je przyniesie.

Kobieta obrzuciła ją chmurnym spojrzeniem. Miała jasnobrą-zową cerę i piegi, zapewne od opalania.

- Myślę, że nie mogę tego zrobić. Poza tym jesteś zmęczona i nie powinnaś tyle mówić.

Elai zgarnęła dłonią piasek i usypała chaotyczny wzór, jako komentarz do całego zajścia.

• Jestem Elai... córka Ellai...

• Też Ellai?

Spojrzała na kobietę. Ucieszyła się, że wreszcie ją czymś zaskoczyła. Wskazała na morze.

• Mogłam przepłynąć to morze, gdyby nie przeciwny prąd, który zniósł nas aż tutaj.

• Obawiam się, że nie tylko prąd był przeciwny...

• Wiem. Morskie plemię...

To wspomnienie zwróciło jej uwagę na Dziobatego, wciąż, pochylonego nad nią. Wstała i chwyciła go za kark, chcąc odciążyć chorą nogę. Oparła się o łuskowaty bok, oglądając rany jaszczura.

• Pomóż i jemu.

• Boję się, że prędzej bym mu zaszkodziła.

Kobieta z gwiazd wyraźnie się bała. Elai rzuciła jej zagniewane spojrzenie.

- On nie gryzie. Zabieraj się do pracy!

Obca drgnęła, słysząc podniesiony ton i podniosła pojemnik z lekarstwem. Dziobaty skulił się i syczał, ale dziewczyna uspokajała go pieszczotami.

- Hai... hai... hai... - przemawiała cicho.

Jaszczur stanął wreszcie spokojnie. Złapała go tak, jakby chciała wskoczyć na jego grzbiet. To podziało - Kaliban położył się płasko na piasku. Lecz sama Elai nie czuła się wciąż najlepiej. Wsparła się o Dziobatego, przypatrując się, jak kobieta zakłada opatrunek jaszczurowi. Sam pacjent też obrócił łeb i przyglądał się wszystkiemu z wielką uwagą.

• Pójdę już - powiedziała wreszcie Elai, wstając z klęczek.

• Możesz spać z, jego grzbietu i połamać się - kobieta obrzuciła ją krytycznym spojrzeniem.

Elai nic nie powiedziała, czekając, aż minie nagły zawrót głowy.

• Myślę, że na wszelki wypadek potowarzyszę ci kawałek.

• Najpierw pójdę po ubranie - wspięła się na jaszczura, a ten podniósł się na cztery łapy i powoli skierował się ku morzu, w kierunku przylądka.

• Nie rób tego! - krzyknęła kobieta, puściwszy się biegiem za nimi. - Zamoczysz ranę, a to



niedobrze!

Elai wsparła nogę o dziób wierzchowca i zmieniła kierunek jazdy. Ból głowy nasilił się. Kaliban ruszył spiesznie, jak zwykle podrzucając rytmicznie jeźdźca, ale tym razem nie sprawiało to Elai przyjemności; z trudem utrzymywała równowagę. Starła się trzymać nogami, ale Dziobaty nie lubił, gdy opinano mu szyję, bo to utrudniało mu oddychanie. Trochę to trwało, ale wreszcie dotarli do skał, gdzie zostawiła ubranie.

Usiadła na ziemi, z trudem oddychając. Serce łomotało jak oszalałe. Teraz miała jeszcze dalej do domu.

Na plaży też była wprawdzie wieża, a pomiędzy wybrzeżem a wioską jeszcze jedna, ale nie miała ochoty pokazywać się ludziom w tym stanie: półnaga, ledwie przytomna, niezdolna nałożyć spodni. Ponownie wdrapała się na swego wierzchowca, przyciskając do piersi zawiniątko z odzieżą. Dziobaty cierpliwie czekał, aż dziewczyna zajmie pozycję do jazdy i dopiero wtedy wolno się wyprostował, szukając najłagodniejszej drogi z plaży na wydmy.

Elai mocno trzymała ubranie, ale coś działo się z jej wzrokiem. Błękit nieba, żółć diuny i zieleń traw powoli zasnuwał welon mgły. Nagle usłyszała czyjeś kroki i dyszenie jak po forsownym biegu. To kobieta z gwiazd biegła wzdłuż brzegu. Dziobaty obejrzał się na nią. Elai uderzyła go bosymi piętami i pogłodziła po karku. Powoli ruszyli. Kobieta dogoniła ich, ale z trudem dotrzymywała kroku jaszczurowi.

• Czego chcesz? - zapytała ją z góry Elai.

• Chcę cię odprowadzić do domu. Ktoś musi przypilnować, żebyś nie spadła na ziemię. - Mówiąc to ledwie dyszała ze zmęczenia.

Elai kazała Kalibanowi jeszcze zwolnić. Nazywam się Elai - powiedziała już po raz drugi, tym razem jednak delikatniejszym tonem.

• Już to mówiłaś.

• Elai - powtórzyła, dziwiąc się nieuprzejmości kobiety.

• Aaaa. McGee - przedstawiła się wreszcie, jakby dopiero teraz zrozumiała aluzję. - Nie chcę być posądzona o narzucanie się, ale uważam, że powinnam cię przypilnować aż dotrzesz do domu. A tak w ogóle, po co wypłynęłaś w morze?

Elai przybrała skwaszoną minę. Obca najwyraźniej pozwalała sobie na zbyt wiele. Jej marzenia były jej prywatną sprawą. Jeszcze się nie spełniły, a ta dzisiejsza próba ich urzeczywistnienia przyniosła jej tylko upokorzenie. Czy ona musi poruszać ten temat?

- Obserwowałam cię z brzegu - ciągnęła dalej McGee. - Widziałam tego wielkiego jaszczura. On mógł was zabić!

Elai podniosła dumnie głowę.

- On tylko płynął obok nas. I właściwie to on nas zatrzymał, a nie prąd.

- Zmusił do powtórnego przemyślenia pomysłu, prawda?

Wcale nie była pewna, czy w głosie wścibskiej kobiety słyszy współczucie.

• One są wielkie...

• Wiem to doskonale. Mają też olbrzymie kły.

• Dziobaty też ma zęby.

• Ale nie tak wielkie jak morskie jaszczury.

• Gdzie zdążyłaś im się tak dobrze przyjrzeć? - Elai była tego bardzo ciekawa.

McGee stała się nagle oszczędna w słowach.

• Chcę tylko powiedzieć, że dużo wiem o ich zębach, a nie, że je widziałam z bliska. To pewna różnica. Jeśli więc następnym razem zgubisz swego opiekuna, radzę o tym pamiętać.

• Opiekuna?

• No, łódkę...

• Statek! - zamknęła tę głupią licytację Elai i spojrzała ponuro na biegnącą obok kobietę. - McGee, czy umiesz fruwać?

Tamta wzruszyła ramionami.

- A jak produkuje się wiatr do lotu? ~ Elai postanowiła skorzystać z okazji i dokładnie wypytać człowieka z gwiazd o jego tajemnice. - To znaczy, co robicie, żeby podnieść statek do nieba.

Sądziła, że uzyska jakąś odpowiedź, ale wyglądało na to, że jej słowa nie wzbudziły w kobiecie żadnych uczuć.

- Może kiedy będziesz dorosła, nadejdzie moment, że poznasz

tę tajemnicę.

Zaległa ponura cisza. Elai biła się ze swymi myślami. Zaczął wracać ból w nodze. Czyli nawet lekarstwa ludzi z gwiazd nic nie mogą poradzić na zwykłe cierpienie. We wszystkim tkwi jakaś niedoskonałość. W ludziach też.

- Przecież kilka waszych statków wylądowało niedaleko.
- Nic widziałam - odparła McGee. - I mam nadzieję, że ich nie zobaczę.
- Gdyby moje statki posiadały umiejętność lotu, zobaczyłabym cały świat!
- One są i tak całkiem niezłe. Widziałam je - pocieszyła dziewczynę McGee. - Kto nauczył cię tej sztuki?

• Sama je wymyśliłam! - w głosie Elai zabrzmiała duma.  
• Pewnie zmyślasz. Jestem pewna, że u kogoś to podpatrzyłaś.  
• Ja nigdy nie kłamię!  
• Zgoda. Przepraszam cię - powiedziała po dłuższej chwili McGee, badawczo spoglądając dziewczynie w oczy. - W takim razie naprawdę dobra robota.

~ Twoje lekarstwo przestało działać - poskarżyła się Elai, nie mogąc już wytrzymać z bólu. -- Boli mnie!

- I będzie bolało jeszcze mocniej, jeśli będziesz trzymała nogę w ten sposób.
- Ale przecież nie mogę inaczej jechać. Prawda?
- Owszem, to chyba jedyny sposób. Musisz więc pogodzić się z bólem, dopóki nie zejdziesz z Kalibana.

• Ojej... - westchnęła Elai, niepocieszona. Mimo wszystko miała nadzieję, że kobieta potrafi w jakiś sposób uśmierzyć ból. Lecz wspomnienie jej modeli latających zatarło to wrażenie. Była dumna, że wzbudziła zainteresowanie człowieka z gwiazd.

Skąd wiesz o morskiej rzece, która zniosła nas na morzu? - zapytała.

- Właściwe słowo brzmi „prąd”. W morzu jest wiele prądów, bardzo silnych i niebezpiecznych.

Elai skwapliwie zapisała to w swojej pamięci.

A kto je produkuje? McGee wzruszyła ramionami.

- Czy ty zawsze tylko zadajesz pytania? Dziewczyna zamyśliła się.
- A gdzie biorą swój początek rzeki?

Kobieta skrzywiła się. Najwyraźniej jednak stroiła sobie żarty z ciekawości Elai. Nie zraziło to jednak dziewczyny.

- Pewnego dnia wezmę Dziobatego i pójdę w górę Rzeki

Obłoków i odnajdę jej źródło.

McGee spojrzała na nią tak, jakby nie wiei-zyła w to, co usłyszała.

- Nie powinnam się przysłuchiwać twojej paplaninie.

-A to dlaczego?

• Dlaczego i dlaczego, wciąż tylko dlaczego. Ciągłe o coś pytasz. Zamiast tej pustej gadaniny powinnaś postarać się jak najszybciej dotrzeć do domu. Byłabym też bardzo wdzięczna, gdybyś nikomu nie powiedziała, że udzieliłam ci pomocy.

• Dlaczego?

• I znowu pytanie! - McGee poprawiła plecak, nie przerywając truchtu, choć ich szybkość sprawiała jej trudność.

• W jaki sposób zmuszacie statki do latania?

- Nie mam ochoty odpowiadać na twoje pytania.

Aaa, więc pewnie nie wiesz, jak to się robi?

McGee rzuciła krótkie spojrzenie na plecy Dziobatego.

- Rozmawiasz z nim, prawda?

- Z Dziobatym? - Elai poklepała Kalibana po karku. - Tak, roz

mawiamy ze sobą.

• A kiedy układasz wzór, to po co to robisz? Wzruszyła ramionami:

• Nie chcesz o tym mówić?

Elai nakreśliła w powietrzu znak spirali.

• To zależy od tego...

• Od czego?

• Jak się czuje Dziobaty, czego chce i na co ja mam ochotę.

• Chcesz powiedzieć, że ten sam znak oznacza różne sprawy? Elai ponownie wzruszyła ramionami i popatrzyła na biegnącą

kobietę zmieszonym wzrokiem.

- W jaki sposób poznajesz, co spirala oznacza w danym przypadku?
- Najpierw mi powiedz, w jaki sposób poruszają się statki.
- Jak dużo jest w stanie zrozumieć Kaliban? - kobieta wydawała się nie słyszeć jej ostatniego pytania. - Czy on myśli jak człowiek?
- Kalibany rozumieją siebie nawzajem. Dziobaty jest największy spośród tych, które żyją w naszych wieżach. Jest bardzo wiekowy, dużo walczył i zabijał mieszkańców wioski nad Styksem.
- Czy należy do ciebie?"
- Skinęła głową twierdząco.
- ~ Czy kupujecie Kalibany? Czy może jesteście ich naturalnymi właścicielami?
- Dziobaty sam przyszedł do mnie w dniu, w którym umarła moja babka.
- Dlaczego?
- Elai zamyśliła się. Nigdy się nie zastanawiała, co skłoniło jej przyjaciela do podjęcia takiej decyzji. Kiedyś dowiedziała się, całkiem przypadkiem, że jej matka była zagniewana faktem, że Dziobaty wybrał ją na swą właścicielkę, a nie Ellaię Najstarszą. Teraz jednak nie miała ochoty na ten temat rozmawiać.
- On jest bardzo stary, prawda?
- Tak -jeszcze raz pogłaskała łuskowaty łeb.
- Ile ma lat?
- A skąd pochodzi gwiazdny lud?
- McGee skrzywiła się niezadowolona, zaś Elai zdało się, że właśnie odniosła nad tą kobietą małe zwycięstwo. Przed nimi pojawiły się wieże nad rzeką. Straciła już zbyt wiele czasu, zajmując się błahostkami. Trzeba dobrze wykorzystać ostatnie chwile.
- Mieszkasz w bazie?
- Tak.
- Elai jeszcze przez chwilę się zastanawiała, pomyślała jednak, że nic się nie stanie, jeżeli swoje największe marzenie odsłoni przed obcą kobietą.
- Czy byłaś już kiedyś w górach, które widać za morzem?
- Nie.
- A czy jest to bardzo daleko od plaży?
- Czy właśnie to było celem twojej wyprawy? Po to budowałeś te okręciki?
- Pewnego dnia zbuduję naprawdę wielki. McGee milczała.
- Muszę tam dotrzeć.
- Taka podróż wymagałaby wielkiego okrętu.
- Jak wielkiego?
- Co, znowu pytania?
- Powiedz mi chociaż, czy to daleko?
- Mniej więcej taka odległość, jak od wieży Nine'a do bazy.
- Czy żyją tam ludzie?
- McGee nic nie odpowiedziała, lecz zatreymała się i wskazała wieże.
- Dotarliśmy do twojego domu.
- Elai mocniej wbiła palce w kark wierzchowca. Właśnie w takiej chwili najbardziej odczuwała swoją siłę, znacznie większą od tej, jaką miało gwiazdne plemię. Czowała coś, co po części było dziękością, a po części żalem za czymś utraconym.
- Przyjdź jutro na plażę! - rozkazała.
- Chyba nie będę mogła... - McGee niechętnie ulegała cudzym zachciankom. -Ale spróbuję.
- Elai uważnie przypatrzyła się obcej kobiecie, jakby chciała wryć sobie w pamięć jej rysy. Gdyby miała tysiące do niej podobnych, pomyślała, mogłabym poprowadzić je do bitwy, zawładnąć Styksem, wypami i niebiosami, z których przybyli ludzie. Lecz McGee ani myślała dzielić się z nią tajemnicami, nie była ani jej własnością, ani własnością jej matki.
- Hai! - krzyknęła.
- Kaliban ruszył do przodu jak dźgnięty rozpalonym żelazem, z prędkością, która sprawiła, że jej chorą nogę przeszył przenikliwy ból. Gdy schodziła na rodzinną ziemię mocno kulała, więc z ulgą oddała się troskliwosci domowników.

## 6.

Rok 188, dzień 178 ery kolonialnej.

Pamiętnik członka sztabu. Elizabeth McGee.

„Uwzględniając fakt, że w przyszłości mogą wystąpić znaczne komplikacje, sztab uważa, że powstała okoliczność należy wykorzystać na wszechstronne badania”.

## 7.

### Dwanaście Wież.

Tej nocy Elai spała bardzo niespokojnie. Nieprzystosowani próbowali uśmierzyć ból Dziobatego, a nad ogniskiem gotowała się w kotle woda z kompresami, którymi obkładano jej nogę. Przez senny koszmar czuła, że wokół niej poruszają się jakieś postaci.

Dziobaty czuwał nad nią, sycząc ostrzegawczo i nie dowierzając żadnemu z domowników. Odwiedziła ją matka ze swoim Kalibanem, który jednak ze strachu przed jej opiekunem nie odważył się wejść do pomieszczenia. Stał tylko w wejściu i niespokojnie syczał. Elai Najstarsza chłodno wypytała o stan zdrowia swojej córki, a potem zwróciła się do niej osobiście, chcąc poznać prawdę na temat tego, co się wydarzyło nad morzem.

- Nic - zbyła matkę najkrótszą odpowiedzią, jaka przyszła jej do głowy.

Atmosfera w komnacie była wyraźnie napięta. Najstarszej nie pozostawało nic innego jak uzbroić się w cierpliwość i zostawić opiekę nad dziewczyną domownikom. Tak właśnie uczyniła i pośpiesznie opuściła salę.

Przez najbliższe dwa dni sytuacja nie uległa zmianie. Na szczęście opuchlizna zeszała, co pozwoliło Elai na wycieczkę nad morze. Wkrótce przekonała się, że na plaży nie czeka na nią nikt z gwiazdznego plemienia.

Nie było McGee, wiadomości, nawet najmniejszego śladu życia. Siedziała na grzbiecie Dziobatego i patrzyła w morze. Była zła, głównie na nieprzystosowanych, że tak marudzili przy leczeniu jej

Kalibana. Sama zresztą nie mogła im pomóc, bo dopiero tego dnia poczuła się nieco lepiej.

Postanowiła codziennie przyjeżdżać na plażę i wreszcie, pewnego dnia, znowu spotkała kobietę z gwiazd. Siedziała na piasku i przyglądała się nadjeżdżającej dziewczynie.

- McGee - przywitała ją Elai, zeskakując z Kalibana. Starła się zapanować nad głosem, żeby nie okazać, jak bardzo cieszy się ze spotkania.

- Jak noga? - usłyszała w odpowiedzi.
- Już w porządku, całkiem zdrowa.

Nie był to temat, któremu chciała poświęcić czas. W jej głowie kłębiły się pytania odnoszące się do otaczającego ich świata. W ludzkich głowach zawsze rodzi się wiele pytań i wszystkie zależą od tego, jak je uformował świat wokół nas - nawet wtedy, gdy źródłem wątpliwości jest sam człowiek.

Elai usiadła na piasku. Zadając pytania i czasem udzielając odpowiedzi swojej rozmówczyni, układała na piasku wzory pozbawione znaczenia. Uzyskane od McGee odpowiedzi rozdziły jednak jeszcze więcej pytań, co wprawiało ją w coraz większe zdumienie.

- Pomóż mi zbudować statek - poprosiła kobietę z gwiazd.

McGee zaśmiała się tylko i powiedziała „nie”, co było jej najczęstszą odpowiedzią. Tak biegła większa część rozmowy.

Mijały kolejne dni. Niekiedy McGee nie przychodziła na ich stałe miejsce spotkań. Spotykały się coraz rzadziej, aż kiedyś Elai straciła nadzieję na następne rozmowy. Wtedy pojechała na Dziobatym aż do bazy. Podeszli do bramy w zasiękach, przez którą ludzie wciąż wchodzili i wychodzili. To była naprawdę długa przejażdżka. Z grzbietu Kalibana widziała wierzchołki wież wioski nad Styksem, co jej przypominało, że lud Clouda miał rywali, którzy także pragnęli wydrzeć tajemnice gwiazdnemu ludowi.

- Chcę mówić z McGee - powiedziała srogiemu strażnikowi przy bramie, przez cały czas nie spuszczać wzroku z wież nie przyjaciół. Porównywała i oceniała je wzrokiem, konstatując z niezadowolaniem, że są ustawione bardziej regularnie niż wieże jej ludu. Wreszcie spojrzęła na bazę.

To tutaj, po drugiej stronie zasięków z drutu wylądowały statki. Chciała zobaczyć choć jeden z nich. Uważnie badała wzrokiem teren, lecz nie dostrzegła nic ciekawego.

Strażnik pisał... tak, *pisał* coś na jakiejś kartce, czemu Elai mogła się tylko dziwić. Potem wysłał z kartką swojego kolegę do bazy. a dziedziczka dwunastu wież tylko mogła czekać na rezultat posel-

stwa. Czula się bardzo nieswojo. Próbowala nawiązac jakas rozmowe z patrolujacym teren zolnierzem, ale jego bardziej interesowala para oczekujaca na wejscie przez brame. Mial fatalny akcent, duzo gorszy niz McGee. Poza tym rozmawial z niajakby byla dzieckiem. Nie wytrzymala.

~ Nazywam się Elai - powiedziala i wyniosle wskazala kierunek, z ktorego przybyla. - Elai z pierwszej wiezy.

Straznik nadal stal nieruchomo. Jej slowa nie zrobily na nim zadnego wrazenia. Poczula, ze oblewa sie szkarlatnym rumieniecem zażenowania.

Przekaz McGee, ze powinna sie pospieszyc, jesli chce mnie zobaczyc - polecila rozkazujacym tonem, lecz męczyzna nadal stal nieporuszony.

Wrocil poslaniec. Straznik pokazal dziewczynie droge do domu.

- Dyrektor powiedzial „nie”.

Wsiadla zagniewana na Dziobatego i ruszyla w droge powrotna. Dala sie ponizyc - zraniona duma bardzo boli. Byla wciekla glownie na siebie, szloch dlawil jej gardlo, lecz gdy dojechala do wioski, oczy miala juz suche. Nie odpowiadala na troskliwe pytania, jakie jej zadawano, nie zdradzila, dokad pojechala.

## 8.

Dyrektor bazy do czlonka sztabu, Elizabeth McGee.

„...nalezyla sie pani pochwala za poczynione, swietne obserwacje. Proszę o napisanie szczegolowego raportu, aby te cenne informacje mozna bylo udostepnic wszystkim czlonkom ekspedycji. Sadze jednak, ze dalsze badania nalezyla prowadzic w innym kierunku i prosze, by byla pani do dyspozycji...”

McGee do dyrektora bazy.

„...mieszkanicy osiedla nad Styksem nie sklaniaja sie do blizszych kontaktow z misja. Lezace przede mna sprawozdanie Genleya mowi o napaści na czlonka jego oddzialu w czasie powrotu z misji obserwacyjnej do bazy. Genley clice koniecznie wrócic na miejsce napaści, ale ze swej strony stanowczo odradzam takie postepowanie, przynajmniej do czasu, az Kalibany przestana okazywac wrogość zwiadowcom”.

R.Genley. sprawozdanie dla dyrektora bazy.

„Doktor McGee jest zbyt ostrozna. W wyniku incydentu doszlo jedynie do drobnego stluczenia ręki zwiadowcy. Wypadek nastapil, gdy wycofowalismy sie z bezposredniego sasiedztwa Kalibana zajetego usypywaniem walu. Zaden z mieszkancow wioski nie byl swiadkiem zajscia”.

McGee do Genleya. Kopia z archiwum bazy.

„Wspolpraca pomiedzy ekspedycja a Kalibanami jest i tak wyjatkowo delikatna i krucha, zeby mozna bylo usprawiedliwic wypadki niepokojenja przez naszych ludzi jaszczurów. To calkowicie zbędne”.

R.Genley do dyrektora bazy.

„Nie zgadzam sie z opinia doktor McGee. Znajdujemy sie pod stala, bardzo uważna obserwacja mieszkancow wioski nad Styksem. Jezeli teraz wycofamy sie ze swoich codziennych obserwacji, moga uznac, ze sie boimy. Protestuje przeciwko takiemu wykorzystywaniu informacji, ktore juz zebralismy, do jakiego dopuszcza sie doktor McGee”.

Dyrektor bazy do R. Genleya.

„Proszę kontynuowac badania, ale prosze o wieksza ostrozność. Ryzyko w granicach rozsądku wydaje mi sie usprawiedliwione”.

McGee do dyrektora bazy.

„Proszę o pozwolenie na kontynuowanie moich badan. W przeciwnym razie mozemy stracic znakomita okazje obserwacji bezposredniej wioski Clouda.

Zbyt dlugo zajmujemy sie ostatnio Kalibanami, natomiast mieszkancy wioski nad Styksem sa

bardzo niechętni nawiązania kontaktu z naszymi obserwatorami. Sądzę, że będzie lepiej, jak to im pozostawimy tę inicjatywę. Tymczasem proponuję przerwać działania grupy *Genleya*, gdyż cisza jaka zapanowała ze strony wioski nad Styksem jest oznaką niebezpieczeństwa. Uważam, że odwrót jest konieczny.

Proszę szybko podjąć taką decyzję i poinformować o niej *Genleya*, zanim dojdzie do nieszczęścia".

E. McGee do R. *Genleya*.

„Proszę przerwać swoją misję. Badania będzie pan prowadził po tej stronie rzeki. Skoro *Kalibany* zaczęły wznosić wały ziemne, przekazują w ten sposób informację, że nie życzą sobie naszej obecności na ich terenie".

R. *Genley* do dyrektora bazy.

„Otrzymałem raport od doktor *McGee*. Jej błyskotliwe teorie opierają się na kilku rozmowach z dzieckiem, a jej troskę o nasze bezpieczeństwo tłumaczyć należy raczej zwykłą zawiścią. Doktor *McGee* po prostu nie chce się dać wyprzedzić w badaniach.

Mam też wrażenie, że metoda obserwacji doktor *McGee* nie dorównuje wymaganiom, jakie stawiamy wszystkim stykającym się bezpośrednio z obcą kulturą.

Sądzę, że wzajemne oceny naszego dorobku oraz dwustronne sprawdzanie wyników obserwacji byłyby znacznie korzystniejsze dla naszej misji, niż akcja, jaką doktor *McGee* prowadzi obecnie wobec mnie. Przenosząc swoje obserwacje *Dwunastu Wież* na osadę nad Styksem doktor *McGee* popełnia podstawowy błąd, gdyż zakłada, że obie te społeczności niczym się nie różnią.

Bardzo chętnie zapoznałbym się z raportem doktor *McGee*, zanim zostanie przedstawiony Radzie".

*McGee* do R. *Genleya*.

„Jest pan w błędzie przyjmując, że *Kalibany* nie stanowią same w sobie odrębnej cywilizacji, sięgającej wpływami zarówno do wioski nad Styksem, jak i osady *Clouda*.

Co się tyczy mojego raportu, to zapewniam, że został napisany profesjonalnie i zgodnie ze wszystkimi zasadami i wskazówkami Rady. Jest w nim więcej rzetelnej wiedzy, niż zajądłości w pańskich donosach na mnie".

Dyrektor bazy do R. *Genleya*.

„Rada wysoko oceniła raport doktor *McGee* i wciąż ma pełne zaufanie do jej pracy i osiągnięć".

Dyrektor bazy do E. *McGee*.

„Pani prace prowadzone na zewnątrz bazy mają dla nas nie mniejsze znaczenie, niż inne badania. Rada podjęła prawidłową decyzję o podziale załogi.

Gdzie jest kopia raportu badań wioski nad Rzeką *Obłoków*? Archiwum chce mieć możliwość przejrzania całości dokumentacji, zanim przekaże ją na statek kurierski, który przylatuje za cztery dni".

## 9.

Dwanaście *Wież*.

Myśli *Elai* bezustannie krążyły wokół statków. Ogromnych statków, które kiedyś zbuduje, kiedy już zostanie *Najstarszą*. Na razie wydała polecenia kilku nieprzystosowanym i przeprowadzała eksperymenty z modelami zbudowanymi z patyków i liści. Nieustannie puszczała kolejne modele ze szczytu pierwszej wieży.

Delikatne modele czasem krótko wirowały na wietrze wokół wieży, by zawsze jednak runąć w końcu w dół. Kilku jej ziomków nie mogło się przy tym powstrzymać od śmiechu.

*Elai* *Najstarsza* obserwowała wyczyny córki z niechęcią, ale nie miała zamiaru odwozić jej od szalonych pomysłów, żeby nie wystawić na szwank honoru rodziny \* nigdy nie zwracała ze złej drogi tych, którzy mogli w przyszłości stać się niewygodni.

*Elai* nurtowała z kolei myśl, że jej matka tylko czeka na jakiś wypadek, który zagrozi jej zdrowiu lub honorowi rodziny. Czasem widziała w oczach matki ten szczególny wyraz niezadowolenia. Nie była to nienawiść, nie, jej matka była zbyt rozsądna, żeby się tak łatwo zdradzić. Jej córka także. W tym były podobne do *Kalibanów*, które nigdy nie zapomniały, komu należy się pierwszeństwo.

- Spotkałam ludzi z gwiazd - opowiadała Elai, chcąc usunąć niedomówienia i tajemnice pomiędzy nią a matką - a dokładniej kobietę z gwiazd, która opatrzyła moją nogę na plaży. Potem rozmawialiśmy o lataniu i innych sprawach. Było to bardzo interesujące...

- Powinnaś przestać zrzucać te dziwactwa z wieży - matka przeszła wreszcie do kontrataku. - Ludzie zaczynają się z nas śmiać!
- Nie zważam na nich. Niech się śmieją.
- Rób tak dalej, a się doczekasz!

## 10.

### Rok 188 ery kolonialnej.

Raport doktor Elizabeth McGee do Ministerstwa Nauki Sojuszu.

Do rąk własnych: dr R.Genleya, dr P.Mendla, dr T.Galliano, dr T.Mannin, dr S.Kinn.

Osadnicy nad Rzeką Obłoków tworzą zbiorowość, nazywaną przez nas - o ile jest w jakiś sposób określana przez samych mieszkańców - Dwunastoma Wieżami lub Wieżami Clouda. Trudno wypowiedzieć się dokładnie na temat ich struktur społecznych i organizacyjnych, nie mieszkając wśród tego ludu.

Wiemy na pewno tyle, że w każdej z dwunastu wież władzę sprawuje udziałowy władca - mężczyzna bądź kobieta. Władza jest przekazywana dziedzicznie, ale nie wiemy nic o zależnościach pomiędzy poszczególnymi wieżami.

Na podstawie poczynionych obserwacji możemy jedynie przypuszczać, że władca pierwszej wieży jest upoważniony do zwoływania całego ludu na wojnę lub wspólny wiec - rodzaj parlamentu.

Zakładam, że Elai, córka Ellai, jeszcze nie obdarzona żadnym oficjalnym tytułem, ma dziedziczne prawo rozkazywania w pierwszej - i zarazem najstarszej - wieży, a w szczególnych wypadkach także władcom pozostałych wież.

Jeżeli ten schemat wydaje się być niejasny, warto przypomnieć patrymonialne struktury plemienne z ludzkiej historii, oparte na starszeństwie, prawie dziedziczości, tradycji oraz podziale odpowiedzialności między ojców oraz matki poszczególnych rodzin. Takie struktury nie były skodyfikowane, ale cieszyły się zrozumieniem członków społeczności i były poparte pełną subordynacją.

Źródłem niejasności opracowanego schematu może też być sto-sunkowo niski poziom wiedzy mojej informatorki - młodej dziewczyny, aczkolwiek dziedziczki pierwszej wieży. Moim zdaniem posiada ona jednak umiejętność wnikliwej analizy i rozumienia świata lepiej, niż mi okazywała. Przypuszczam, że nie była gotowa, bądź nie chciała mi mówić wszystkiego.

Większość mieszkańców osiedla to rybacy i rolnicy. Ci ostatni pracują w dobrowolnych wspólnotach, chociaż system podziału obowiązków zależy od wieży. Tu narzuca się skojarzenie, że cała wioska jest federacją złożoną z autonomicznych jednostek społecznych.

W przypadku rybołówstwa, należy z naciskiem powiedzieć, że partnerami rybaków w połowach są Kalibany, wspólnie z ludźmi troszczące się o obfitość połowów. Na ogół ryby łowią szare Kalibany, czasem można przy tej czynności zastać brązowe. Między wieżami kwitnie handel wymienny.

Współpracę między ludźmi i Kalibanami zauważyłam także w sferze budownictwa. Wszystko wskazuje na to, że to właśnie Kalibany wznoszą wieże i strzegą ich bezpieczeństwa. W wieżach żyją z ludźmi wszystkie gatunki Kalibanów, nie wyłączając Arieli.

Każda wieża zbudowana jest na kształt spirali zwieńczonej płaskim szczytem, zawiera też część podziemną, znacznie rozbudowaną w system tuneli, komnat i odgałęzień oraz tajemnych przejść. W części podziemnej mieszkają zwykle robotnicy, w nadziemnej starszyzna, wojownicy, rybacy i rolnicy. Po całej wieży stale krzątają się Kalibany, mogą wejść dosłownie wszędzie. Ich pielęgnowaniem zajmuje się jakaś bliżej nie sprecyzowana klasa ludzi.

Elai. Ta dziewczynka wydaje się być przedwcześnie dojrzała. Charakteryzuje się napastliwą ciekawością, żądzą wiedzy, wręcz niezwykłym zainteresowaniem okazywanym wszystkiemu, co ma związek z techniką. Nie wiem, czy jej zainteresowanie bierze się z wyjątkowej inteligencji, czy podstaw wiedzy, jaką nabyła w jakiejś ich formie szkolnictwa. Obserwując u niej łatwość radzenia sobie z nowymi sytuacjami, celność odpowiedzi na zadawane trudne pytania, dochodzę do wniosku, że nie jest to nabyta, ale wrodzona cecha jej prężnej, choć jeszcze młodej umysłowości. Mam poważne obawy co do dalszego rozwoju tej dziewczynki. Myślę tu o Leonardo da Vincim, Eratostenesie i całym

szeregu genialnych ludzi, nie rozumianych przez swoich potomnych.

Ten wciąż jeszcze naiwny, mimo to wielki i prawdziwy talent, może się doczekać tragicznego końca, będąc skazanym na plemienne życie na Gehennie. Wciąż mi się wydaje, że Elai jest jedyną osobą godną, by w przyszłości poprowadzić całą społeczność Dwunastu Wież.

Wieże Gouda można porównać na zdjęciach satelitarnych ze schematem wioski nad rzeką Styks oraz analizą przeprowadzoną przez doktora R. Genleya. Wydaje mi się, że możemy tu mówić o czymś w rodzaju starożytnych greckich polis - centralnie zorganizowanych miast-państw, których poszczególne człony pozostają w ścisłym związku między sobą. Pomijam tu dwie wieże wzniesione na wybrzeżu - wszystko wskazuje na to, że tworzą one oddzielny organizm społeczny.

Budowle znad Styksu są otoczone dużymi połaciami pól uprawnych i przypominają feudalne warownie górujące nad ziemiami należącymi do pana strażnicy. Tymczasem w wiosce Gouda wieże otaczają małe ogródki, a pas ziemi uprawnej pozostaje wspólną własnością mieszkańców wież.

Na pytanie, kto uprawia ziemię, moja informatorka odpowiedziała, że rolnicy, ale w czasie żniw pomagają im wszyscy wolni od innych zajęć robotnicy.

Zapytałam się także, jak to się dzieje, że budowle ziemne nie rozpuszczają się w ulewnym jesiennym czy wiosennym deszczu. Informatorka powiedziała, że w wieżach stale są naprawiane jakieś usterki, lecz przeciwdziała się im dodając do podstawowego budulca kamienie, a stropy wzmacnia się drewnianymi belkami. To samo zaobserwowaliśmy też w osiedlu nad Styksem.

Wydaje mi się, że pomimo młodego wieku, można zaufać informacjom Elai. Nieustanne remonty szkód powstałych w wyniku pory deszczowej to zadanie szarych Kalibanów, grupy wojowników (będącej czymś w rodzaju tutejszej arystokracji) oraz kasty nieprzystosowanych. Zapytałam Elai, czy należy do arystokracji. Potwierdziła.

Zapytałam wtedy, czy przyszła władczyni ma jakieś zadania. Śmiejąc się, odpowiedziała, że każdy musi pracować. Jeśli chodzi o najnowsze budowle stawiane przez mieszkańców znad Styksu, to Elai twierdzi - w odróżnieniu od opinii doktorów Genleya i Kinna - że nie mają związku z chęcią obserwacji bazy, ale są widomym znakiem wrogości wobec ludu Gouda.

Struktury władzy osiedla znad rzeki Styks są bardzo mało zbadane, w odróżnieniu do osiedla Gouda. Jednak z wypowiedzi mojej informatorki wynika, że rządzi tam młody władca dziedziczny j wojna jest nieunikniona. Fakt wznoszenia nowych budowli ma na to wskazywać. To jej przekonanie o nadchodzącym konflikcie jest bardzo pewne, co powinno nas niepokoić.

## 11.

### Rok 188, dzień 344 ery kolonialnej. Brzeg Rzeki Obłoków.

Elai rozboleła noga w miejscu, gdzie została raniona. Może to z powodu chłodu?, pomyślała. Pamiętała, że stary Cloud zawsze mocniej utykał, gdy nadchodziła pora deszczowa, a wewnątrz wieży panowała przejmująca, zimna wilgoć. Znacznie utrudniało mu to życie, a w przypadku Elai oznaczało, że na razie nie powinna opuszczać wieży. Elai sądziła, że przejmujący ból w nodze jest wy-nńTiem postępującego procesu zdrowienia, jednak blizna poczerwieniała. Miejsce wokół niej zrobiło się gorące.

Nie mogła dłużej udawać, że nic jej nie dolega. Coraz wyraźniej utykała i dziewczęta z jej otoczenia dostrzegły, że Elai jest chora. Natychmiast pobiegły po starego Karela. Starzec przydreptał, niosąc w rękę żelazny nóż. Podano jej wywar z gorzkich ziół, który miał ukoić ból, ale to nic nie pomogło - czuła tylko podwójną samotność - cierpiała z bólu i poczucia wyobcowania.

Mocno zacisnęła zęby i nie wydała żadnego dźwięku, gdy błyszczące ostrze na nowo otworzyło ranę. Na czoło wystąpił jej zimny pot.

- Zostawcie mnie! - krzyknęła do wojowników, którzy przyszli z zamiarem przytrzymania jej. Karel tymczasem bezlitośnie grzebał w jej ranie, aż coś znalazł. Mocno szarpnął, a w jego zakrwawionych palcach ujrzała cienką, zaostrzoną kosteczkę.

- Oścień morskiego plemienia - mruknął, przyglądając się kości. - Utknął w twojej nodze i powodował ból. Za szybko ranę opatrzone, nie tak należało z nią postąpić.

Odłożył na bok czerwony strzęp i ponownie zaczął grzebać ostrą końcówką noża w otwartej ranie. Elai wiano do gardła jeszcze więcej gorzkiego naparu, ale ona natychmiast wszystko zwróciła. Potem przyszło omdlenie i sen.

Pojawiła się jej matka, popatrzeć na śpiącą dziedziczkę owiniętą w grube derki. Dziobaty siedział niespokojny w towarzystwie nieprzystosowanych. W pokoju dziewczynki czuwał tylko Kaliban jej matki. Ellai zastanawiała się, czy zagrożenie ze strony buntującej się córki już zmałało, czy to tylko



pozory. Czy należy przyjmować za dobrą monetę spokój dziewczyny, bo równie dobrze może to być z jej strony przebiegły chwyt.

Elai obudziła się i z trudem uniosła powieki.

- A zatem już wiesz, córko, co warte są umiejętności twojej kobiety z gwiazd - powiedziała wyniośle i wyszła.

Elai w odpowiedzi wpatrzyła się w ciemny sufit.

## 12.

### Kok 189, dzień 24 ery kolonialnej.

R. Genley do dyrektora bazy.

„Z powodu pogarszającej się pogody dalsze obserwacje są utrudnione. Gęsta mgła okryła cały brzeg rzeki Styks, uniemożliwiając badania. Ostatniej nocy Kalibany znacznie przybliżyły się do naszego obozowiska, słyszeliśmy jak je okrążają. Kiedy wyszliśmy im naprzeciw, cofnęły się. Zachowujemy stosowną rozwagę”.

## 13.

### Rok 189, dzień 24 ery kolonialnej. Biuro dyrektora bazy.

- Genley jest w niebezpieczeństwie - odezwała się McGee. - Sir. chciałabym przypomnieć, że ta baza już raz została zburzona przez Kalibany. Uważam, że właśnie otrzymaliśmy sygnały ostrzegawcze. Powinniśmy się mieć na baczności i brać jaszczury na poważnie.

- Pani doktor, te Kalibany są dość oddalone od bazy. - Dyrektor siedział wygodnie w olbrzymim fotelu, dłonie splótł na brzuchu. Przez okna widać było betonowe konstrukcje bazy spowite w oparach mlecznobiałej mgły. - Zgadzam się jednak z pani opinią. Mamy chyba właśnie do czynienia z sytuacją, która może wywołać konflikt. Ale na zewnątrz.

- To więcej niż możliwość. Pora deszczowa zawsze wzmacnia aktywność Kalibanów. Na drugim brzegu Styksu wręcz wrze od ich krzataniny.

- W jaki sposób ową aktywność w porze deszczowej da się kontrolować? - sadziła pani wczesną tezę, że Kalibany tworzą prymitywnie zorganizowane stada?

- Czy opala się pan w zimie?

- Mówimy tu o zachowaniach agresywnych...

- W dawnych czasach, prymitywna ludzkość planowała swoją działalność w zależności od pór roku. Wszystkie wojny toczyły się w dogodnych do tego miesiącach.

- Cóż zatem oznacza pora deszczowa dla jaszczurów?

- Nie odważę się jeszcze sformułować jednoznacznych odpowiedzi, ale na obecnym etapie powinniśmy się raczej ograniczać do obserwacji z daleka, niż podchodzenia pod ich siedliska. Najwyraźniej ta pora roku ma dla nich jakieś znaczenie.

- Genley o tym nie zapomina, proszę mi wierzyć.

- Myślę, że on nie jest świadomy skutków swoich ryzykownych czynów. Po prostu nie słucha dobrych rad, jeśli dotyczą jego poletka.

Dyrektor patrzył na nią w milczeniu, rozważając problem.

- Dam polecenie, by nie spuszczano go z oka i cały czas monitorowano. Pani uwagi na ten temat znam.

- A moja prośba...

- O niej także nie zapomnę.

## 14.

### Rok 189, dzień 25 ery kolonialnej.

R. Genley do dyrektora bazy.

„...nawiązałem kontakt. Po naszej stronie rzeki pokazała się rano grupa jeźdźców na Kalibanach. Wydawało się, że niczego się "ie obawiają. Podeszli blisko obozu, obserwując nas. Z powodu mgły nie mogłem przyjrzeć się dokładnie jeźdźcom..."

Dyrektor bazy do R.Genleya.

„Proszę ostrożnie zbliżyć się do obcych. Prognoza pogody na dzisiejszą noc i poranek pomyślna, zapowiada przejaśnienia.

Doktorzy McGee, Mannin i Galliano z dziesięcioosobowym oddziałem poruszają się wzdłuż rzeki w waszą stronę. Proszę zapewnić ich grupie dobrą atmosferę i warunki pracy. Proszę też podzielić się własnymi spostrzeżeniami i udostępnić raporty.

Jeśli chodzi o kontakt bezpośredni, zdaję się na pańskie wyczucie sytuacji".

## 15.

### Rok 189, dzień 26 ery kolonialnej. Obóz nad brzegiem Styksu.

Do obozowiska dotarli o poranku, zmęczeni, przemoczeni do suchej nitki i złaknieni gorącego posiłku.

- Pani obecność, doktor McGee, jest tu raczej zbędna - tymi słowami powitał ją Genley. Był potężnie zbudowanym mężczyzną, podobnym do kamiennego posągu. Ubrany był w mundur khaki.

McGee usiadła przy biurku wytrącona z równowagi. Bolały ją nogi po wyczerpującym nocnym marszu. Dokuczał jej zapach gnijącej roślinności i błota - wypełniał całe pomieszczenie, zabijając zapach kawy i ciepłych bułeczek, drapał w nos i gardło, tworząc wraz z chłodem ciągnącym od rzeki nieprzyjemną atmosferę. Ale był to też zapach wolności, którego brakowało jej za zasiekami.

Spojrzała na kierownika obozu.

• Myślę, że zechce się pani przyłączyć do obserwacji według naszego harmonogramu - kontynuował Genley. - Mieszanie się w ustalony program nie byłoby mile widziane.

• Co najwyżej mogę panu posłużyć dobrą radą - odezwała się McGee, przybierając dobrotliwy wyraz twarzy starszej i bardziej doświadczonej koleżanki po fachu. - I proszę się tak bardzo nie kierować naszymi opiniami na temat pańskich raportów dla Rady.

W drzwiach stanął Mannin.

- Ci zza rzeki dostrzegli już naszą obecność.

• Prognoza pogody jak zwykle była do bani. Mgła w ogóle się nie podnosi.

• Uważam, że powinniśmy wyjść im naprzeciw - odezwała się McGee.

• A ja uważam, że lepiej będzie, jak zajmie się pani śniadaniem, a my zatroszczymy się o resztę - Genley natychmiast ostudził jej zapał.

McGee zmarszczyła gniewnie brwi, przełknęła kęs bułki i wyszła na zewnątrz za mężczyznami.

Wysoko stojące słońce próbowało przebić się przez mgłę. Czerwonozłote refleksy odbijały się na nadrzecznych kamieniach i skałach, a pomiędzy nimi przemykały podłużne cienie ludzkich sylwetek, ledwie widoczne w mgli oparach.

Wilgoć była wręcz namacalna. Mokry chłód wpełzał za kołnierze, w rękawy, za cholewy butów. Wilgoć zbierała się na włosach i na twarzy. Pomimo tego stali niewzruszenie na granicy obozowiska, naprzeciw mieszkańców osiedla nad Styksem i olbrzymich sylwetek Kalibanów, kołyszących się niespokojnie na łapach.

• Nadchodzą- szepnęła McGee, widząc coraz wyraźniej obce sylwetki.

• Stoimy i czekamy! - krzyknął Genley. - Przywitamy ich w tym miejscu. Czekamy na ich pierwszy krok.

Ludzkie kształty stawały się coraz wyraźniejsze, dostrzegali już więcej szczegółów. Za nimi szedł zwarty mur z eiał jaszczurów. Pięć... sześć Kalibanów. Były coraz bliżej...

• A może jednak powinniśmy wyjść im naprzeciw? - Genley nagle zmienił zdanie.

• Nie uważam, by był to dobry pomysł - szepnął powątpiewająco Mannin. Kierownik obozu nie słuchał go jednak, po prostu ruszył przed siebie. Za nim poszła McGee, a na końcu zdecydował się i Mannin. Żołnierze zostali z tyłu, obserwując wszystko uważnie. Nie mieli przy sobie broni, zgodnie z rozkazem. Obawiano się, że ktoś o mniej stalowych nerwach, mógłby wszystko popsuć niepotrzebnie

salwą. Wtedy życie zwiadowców zawisłoby na włosku, ich zadaniem była wyłącznie obserwacja i nieingerencja w życie tubylców.

Widzieli już twarze nadchodzących. Było to trzech starszych i trzech młodszych mężczyzn. Ten, który ich prowadził, był najmłodszy. Miał długie włosy spięte w ogon, zmierzwioną czarną brodę, a schludną, skórzaną odzież przyozdobił sznurami kolorowych kamieni i muszelek. Był niższy od pozostałych. Nie wyglądał nawet na dwadzieścia lat. Nie przypominał też wodza, swoim wyglądem przywołał raczej na myśl herolda, ale jego pewne siebie, zwinne ruchy, znamionowały władzę.

Byli już całkiem blisko. Przywódca wyglądał wręcz na nastolatka.

Może to Jin we własnej osobie - mruknęła cicho McGee.

- Wiek zgadza się z naszymi danymi. Zachowajmy ostrożność!

- Spokój! - warknął Genley. Przykucnął i wypuścił do wody trzymany w dłoni kamyk. Po chwili zrobił to z drugim.

Przybysze zatrzymali się. Kalibany opadły na brzuchy.

- Oni nie przyszli tu rozmawiać. Nie dadzą nam posłuchu

- s/epnęła McGee.

Genley wyprostował się, bacznie obserwując obcych. Zapomniał już o kamieniach, z których chciał ułożyć jakiś wzór.

- Nazywam się Genley - powiedział wolno i wyraźnie w stronę przybyszów.

- Jin - przedstawił się młodzieniec, który przewodził.

- Czy jesteś tym, kto wydaje rozkazy w osadzie nad rzeką?

- Tak - młokos wsparł ręce o biodra, podszedł kilka kroków, ale zaraz zawrócił. Kalibany podniosły się i wyprostowały. Były olbrzymie.

- Genley... - powtórzył nowe słowo Jin.

McGee - przedstawiła się doktor. - A to Mannin - wskazała na swego towarzysza.

- McGee... tak... znamy... - znowu zrobił kilka kroków, nie pstrząc nawet w jej stronę. Spojrzał ostro na Genleya. - To nasza ziemia.

- Przyszliśmy tu, żeby z wami się spotkać - odpowiedział pospiesznie Genley. - Chcemy tylko porozmawiać - dorzucił.

Chłopak rzucił mu szybkie spojrzenie, zaciekawionych, choć drwiących oczu. Potem obrócił się i ruszył ku swoim.

On z nas drwi, pomyślała McGee, ale nie była pewna, czy dobrze odczytała wyraz twarzy Jina. To prowokacja!

Jin ~ powiedziała, jakby zamyślona, nie zważając na twarde spojrzenie złych oczu. - Jin. czego od nas żądasz?

Chłopak nie spojrzał na nią, nawet nie wiedział, czy ją dosłyszał - cały czas mierzył się wzrokiem z Genleyem i Manninem.

- Chcieliście z nami mówić. Więc interesuje was więcej niż to, czego my chcemy. Pytajcie!

Nie. pomyślała McGee. Uprzejmość wobec tych tubylców nie jest odpowiednią metodą pertraktacji.

- Nic nas nie interesuje - powiedziała głośno i równie twardo jak Jin. Genley, Mannin, idziemy stąd!

Obaj mężczyźni nie poruszyli się, zdezorientowani.

- Chcemy rozmawiać - Genley przestąpił zdenerwowany z nogi na nogę. Z trudem tłumił gniew. McGee znowu wtrąciła się w nie swoje sprawy.

Niech sama wraca do obozu, nie pozostało jej nic innego w tej sytuacji. Nawet się nie obejrzała.

Powoli oddalała się od milczącej grupki, nagle usłyszała jednak za sobą tupot czyichś nóg. McGee! - krzyknął Genley, z trudem biegnąc po podmokłym, gliniastym podłożu. Za nim biegł Mannin. Obaj byli wściekli. Co? Wrócił za rzekę? - zapytała pogodnie.

## 16.

**Rok 189, dzień 27 ery kolonialnej. Baza główna, biuro dyrektora misji.**

Oczekiwała na to wezwanie. Stała w milczeniu, zmęczona, a błocko na jej ubraniu powoli zasychało. McGee i trzech członków sił bezpieczeństwa zostało wycofanych z obozu do bazy. Ledwo

wrócili, a już wezwał ich do siebie szef. Nie zdążyli się przebrać, ani zjeść. Rozglądała się w poszukiwaniu jakiegoś krzesła, ale nie podsunęto jej nawet zydła. Dyrektor patrzył na nią ponuro.

- Popsuła pani próbę nawiązania kontaktu - wysapał. - Co to miało znaczyć? Sabotaż? Jak długo jeszcze zamierza pani sabotować działania Genleya?

- To nie był sabotaż. Zrobiłam, co uważałam za stosowne. Postanowiła sama sięgnąć po krzesło, skoro jej go nie zaproponowano. Ciężko opadła na nie i westchnęła.

Co zatem teraz?

- Ten cały .lin po prostu sobie z nas zakpił. Wystawił na pośmiewisko Genleya, który nawet niczego nie zauważył...

- Obraz z taśmy przedstawia zupełnie inny zapis wydarzeń. Jin powiedział, że panią zna.

Niewykluczone. Wiadomości rozchodzą się tu bardzo szybko.

- Podważyła pani wiarygodność Genleya jako negocjatora.

- Skoro już o tym mowa, to Genley nie potrzebuje niczyjej pomocy, żeby podważyć swoją wiarygodność. Jin jest bardzo niebezpieczny. Tego nie możemy lekceważyć.

- Czy pani nie jest przypadkiem zbyt jednostronna w swoich ocenach?

- To niemożliwe. Jednostronność ocen jest właśnie nie moją wadą.

Zapadło ciężkie milczenie. Dyrektor mierzył ją wzrokiem, obracając w palcach pisak. Widok za oknem był bardzo ponury - betonowe budowle, zasięki z drutu, strażnice, gęsto umieszczone detektory ruchu. Człowiek mimo upływu lat wcale nie czuł się pewnie na Gehennie.

- Nieźle nam pani pomieszała szyki, McGee...

- Nie można było inaczej postąpić, sir, skoro ci znad Styksu nie czują wobec nas respektu...

- A jaką rolę odgrywa tu respekt? My nie gramy tu o jakieś punkty, ani o zaspokojenie własnych ambicji.

- Wiem, że nad Styksem mamy dobry zespół badawczy. Ich żyćcie zależy od tego, czy mieszkańcy osady będą się ich choć trochę obawali, czuli respekt. Mam nadzieję, że szanse Genleya na przeżycie tej przygody nieco wzrosły po tym incydencie.

- Czyli nadal pani uważa, że ludzie .lina są przeciwni jakimkolwiek pokojowym rozwiązaniom?

- To opinia ich sąsiadów, ludzi Clouda.

- Czy raczej opinia dziesięcioletniej dziewczynki?

- To trzeba było widzieć z bliska. Każdy ruch Jina, każde jego spojrzenie było jawną prowokacją. Nawet jego Kaiiban poruszał się w prowokacyjny sposób.

-Teorie i słowa bez pokrycia, McGee.

- Z przyjemnością odświeżyłabym swoje kontakty z osadą Clouda, panie dyrektorze. Może tam znalazłabym odpowiedź na dręczące nas pytania.

- Czy im także pokazałaby pani plecy?

- Tak, zrobiłabym to samo, jeśli wymagałaby tego sytuacja.

- A co z pani troską o bezpieczeństwo obozu nad Styksem? Nie obawia się pani, że jej postępowanie tylko postawiło tych ludzi w niebezpieczeństwie? I że mogą mieć teraz prawdziwe kłopoty?

- Jeżeli racja jest po stronie Genleya, to moje postępowanie nie będzie miało żadnego znaczenia. Jeżeli to ja mam słuszość, odbiorą to jako sygnał do zmiany postępowania. Gdybym siedziała cicho, uznaliby, że jesteśmy słabi. A wtedy mogliby zaatakować.

- Pani uważa, że ludzie .lina nas obserwują i wiedzą, że nasze rezerwy są na wyczerpaniu?

- Stan naszych rezerw jest tu bez znaczenia. Proszę nie zapominać, że już raz baza została zburzona, choć była lepiej zaopatrzona. Gdyby rzeczywiście potrafili rozumować zgodnie z pana sugestią, znaczyłoby to, że posiadli umiejętność wyciągania logicznych wniosków. Osobiście nie mam na ten temat zdania. Ich logika zdecydowanie różni się od naszej. Mamy tu do czynienia nie tylko z ludźmi, ale i z ich instynktami.

- Co, znowu Kalibany? - skrzywił się dyrektor.

- Mieszkańcy Gehenny odnoszą się do nich z pełną powagą. Przecież my też jesteśmy w jakiś sposób uzależnieni od jaszczurów. Według miejscowych Kalibany myślą...

- Co pani proponuje?

i? Nic poza tym, co już powiedziałam. Musimy mieć oczy szeroko otwarte.

Dyrektor zmarszczył czoło. Pochylił się do przodu i nacisnął guzik interkomu. Na monitorze pokazał się obraz satelitarny z nad rzeki - grupa ludzi, Kalibany i gęste kłęby mgły, które co jakiś czas zasłaniały widok.

## 17.

Sprawozdanie R.Genleya.

„Ludzie Jina pozostali na swoim brzegu rzeki, obserwując nasze poczynania. Dzisiaj zdecydowali się przerwać milczenie -jeden tubylec zbliżył się do obozu. Podeszedł blisko, a gdy wyszliśmy mu naprzeciw, zawrócił do swoich. Poszliśmy za nim”.

Brzeg Styksu.

H - Siadaj - poleci! Jin i Genley usiadł posłusznie, wewnątrz kręgu światła padającego od ogniska.

Kiedy młody tubylec przyszedł po raz drugi pod obóz, jakby zapraszając ich do wioski nad rzeką. Genley i Mannin postanowili skorzystać z tej szansy. Poszli bez broni, a nawet oddziału ubezpieczającego.

Przy ognisku poczęstowano ich napojem alkoholowym, podobnym w smaku do piwa, lecz znacznie mocniejszym. Po pierwszym łyku aż go zatkało, a do oczu napłynęły łzy. Podał czarę towarzyszowi, a sam popatrzył na .lina.

• Nieźle - pochwalił go protekcyjnym tonem gospodarz. Jego postać w migotliwym świetle z ogniska jawiła się reliktem z zamierzchłej przeszłości. Ludzka figurka odziana w skóry, z jarzącymi się w ciemności zagadkowymi oczami.

• Dobrze. Kogo tu mamy! Genley i Mannin. - Z trudem mogli dostrzec wykrzywioną ironicznie twarz młodzieńca. - Przyszliście, żeby ze mną porozmawiać?

Tak odpowiedział Genley. A o czym!'

- Noo... chyba nie zabraknie nam tematów.

Genley czuł, że pod wpływem wypitego napoju rozchodzi się po całym jego ciele ciepło, szczególnie w palcach, które powoli zaczęły sztywnieć. Gdzieś z głębi podświadomości wypłynął strach.

• Mógłbyś na przykład powiedzieć, co to za napój, który przed chwilą wypiliśmy?

• To zwykłe piwo - odparł Jin, lekko podniecony dawką wypitego alkoholu. - Czyżbyś oczekiwał czegoś innego, Genley?

.lin popijał z naczynia, które wciąż napełnia! mu jakiś mężczyzna, siedzący z tyłu, w półmroku. Wokół ogniska zebrało się dwunastu wojowników, wszyscy byli młodzi, choć nie tak bardzo, jak ich przywódca.

• W tej czarze mogą pływać różne zarazki, co może wam grozić chorobą lub śmiercią - ostrzegam was. Nie przynieśliście ze sobą żadnej broni.

• Nasi dowódcy chętnie porozmawialiby z tobą, Jin.

A ile płacicie?

- Sądzę, że zapłatą mogłaby być możliwość poznania bazy.

W ten sposób obie strony byłyby usatysfakcjonowane.

-A jeśli nie?

• Od dawna was obserwujemy - po raz pierwszy przemówił Mannin. -- Żyjemy w pobliżu waszego osiedla.

• I co z tego?

• Ostatnio przekonaliśmy się, że znacznie poprawiły się warunki waszego życia...

.lin wyprostował się gwałtownie i obrzucił obu mężczyzn taksującym spojrzeniem.

- Podglądacie nas...

- Jeśli zechcecie, z przyjemnością zgodzimy się na szersze spotkanie. Oczywiście, z gwarancją bezpieczeństwa - odezwał się po nownie Genley.

• Gdzie?

• Choćby w pobliżu rzeki. W ten sposób cały twój lud mógłby przybyć i poznać się z naszymi ludźmi.

Jin zastanowił się.

- Przyjaźń? - wydawało się, że długo smakuje to słowo, jak by chciał się przekonać, jakie treści niesie. - Przyjaźń z ludźmi

z gwiazd?

Wyciągnął rękę po następną czarę. Pijane spojrzenie spoczęło na twarzach gości.

- Przyjaźń? Zatem przystąpmy do rokowań.

Rok 189, dzień 30 ery kolonialnej.

R. Genley do dyrektora bazy.

„Udało się nawiązać wreszcie bezpośredni kontakt z Jinem. Po przykrym incydencie sprowokowanym przez doktor McGee .lin nie zniechęcił się, lecz zaprosił mnie z Manninem do swej osady. Długie milczenie, jakie zapadło po wspomnianym incydencie miało zapewne ukość nadszarpniętą dumę plemienia. Teraz, już bez wcześniejszej arogancji, podjął nas napitkiem i jedzeniem. Młody wódz, choć nadal pełen rezerwy, wydawał się rozmowny i skory do porozumienia.

Nie chcę tu uprawiać osobistych i zawodowych sporów, ale uważam, że doktor McGee unika kontaktów z tymi ludźmi, nieważne pod jakim pozorem.

Jej nazwisko jest tu znane i - muszę to jasno stwierdzić - nie wymawiane z uznaniem, co zapewne związane jest z wrogością panującą pomiędzy dwoma osiedlami. Powszechnie wiadomo, że sympatia McGee stoi za ludźmi z osady Clouda. Oczywiście, jest to tylko hipoteza”.

## 19.

Rok 189, dzień 35 ery kolonialnej. Dwanaście Wież.

McGee stwierdziła ze zdziwieniem, że miała niewiele trudności z dotarciem do osady Clouda. Z jeszcze większym zaskoczeniem przyjęła fakt, że nikt i nic nie broni jej swobodnego przejścia pomiędzy wieżami.

Bazę opuściła samotnie, o brzasku. Miała ze sobą tylko plecak i dyktafon.

Bała się, ale był to inny rodzaj strachu, niż ten, jaki wzbudza! w niej .lin. Przyczyny tego strachu tkwiły w niej samej. Była to przede wszystkim obawa przed wstydem, jakim się okryje, jeżeli Elai nie pojmie jej intencji. W obecnej sytuacji nie pozostawało jej nic innego jak pójść do Dwunastu Wież. Nie wiedziała, czyjej samotna wędrówka spotka się z czyjąś reakcją. Miała nadzieję, że zanim dojdzie do osiedla spotka brązowego Kalibana z małą dziewczynką na grzbiecie, która - kiedy już obrzuci ją ponurym spojrzeniem - ostatecznie przemówi przyjaźnie, jak to czyniła już tyle razy. Ale aż do wioski nie spotkała nikogo. Wieże sterczały cicho pośród równinnego krajobrazu, zadziwiając swym ogromem.

To prawdziwe miasto, pomyślała bezwolnie, poddając się pierwszemu wrażeniu. Miasto z ziemi i kamieni, o ukośnych murach, wysokich, lekko pochyłych basztach, wkręcających się w niebo gigantycznymi spiralami, mających swój początek gdzieś przy wałach Kalibanów.

Sylwetkę pierwszej wieży знаła dobrze, stała najbliżej rzeki. Tam mieszkała Elai. O ile mówiła jej prawdę.

Szła przejściem pomiędzy niskimi wykopami, dziwiąc się niezwyklej ciszy. Do tej pory nie napotkała żadnych ludzi. Mijała szeregi okien, do których zaglądała, spodziewając się zobaczyć dzieci baraszkujące z Arielami, ale wszędzie było pusto. I cicho.

Dotarła do pierwszej wieży. Tu zastąpiły jej drogę trzy jaszczury. Jej serce zamarło na chwilę, gdy trzy ogromne cielska otoczyły ją ze wszystkich stron. Zdrętwiała, czując na twarzy szorstkość wielkiego jęzora. Wtedy straciły nią zainteresowanie i znikły w ciemnym wejściu jednej z baszt.

Nie wiedziała, czy dobrze robi idąc ich śladem. Poprawiła jednak plecak i zagłębiła się w chłodny mrok ziemnego labiryntu, potykając się na nierównościach podłogi. Ściany w licznych miejscach były obłupane, sprawiały wrażenie bardzo starych. Ta wieża musiała być naprawdę *pierwsza*.

Wszędzie panował mrok, rozświetlany czasem przez promyk wpadający przez wąskie szczeliny okienne. Choć czasem nie były to okna, a naturalne obsunięcia i pęknięcia ścian. To miejsce było idealne do zamieszkania dla pierwotnych lęków ludzi -tu mogłyby mieszkać gnomy, koboldy, smoki. Znalazłyby idealne warunki do zamieszkania. I tę ciemność krętych korytarzy potomkowie Clouda nazywali swoim domem.

W wątlym świetle dostrzegła ludzką postać. McGee stanęła jak wryta, zaskoczona nagłym jej pojawieniem się.

-- Chciałabym mówić z Elai - odezwała się, gdy tylko odzyskała zdolność mówienia.

Cień odwrócił się i zaczął wspinać do góry, pokonując kolejne zakręty. McGee mocno zaczerpnęła powietrza i uspokoiła nerwy, zanim ruszyła za widmową postacią.

Gdzieś przed sobą usłyszała silny męski głos, a po chwili dobiegł ją szmer głosów. Trwożnie przyłgnęła do ściany, kiedy jakiś Ariel przemknął koło niej w szaleńczym biegu na dół. Ruszyła dalej za swoim przewodnikiem, pokonując kolejne zakręty, niekiedy mijając zamknięte drzwi. Kilka razy, gdy drzwi były otwarte, widziała ogromne pomieszczenia wypełnione Kalibanami i ludźmi, odwracającymi za nią zdziwione Iwarze. Dziecięca wrzawa mieszała się z głosami dorosłych, przekonując ją, że życie w wieży toczy się swoim normalnym rytmem.

Korytarz stawał się coraz węższy, wreszcie stanęła pośrodku zalanej słońcem komnaty, której sklepienie podtrzymywały drewniane słupy, rozmieszczone dość regularnie.

Na McGee czekało kilkanaście osób i co najmniej taka sama liczba jaszczurów, zasiadających koncentrycznie wokół otworu W podłodze, którym weszła na górę. Wyglądali tak, jakby spodziewali się jej przybycia. Czowała się obserwowana uważnie przez setki oczu, ludzkich i gadzich, trochę z gniewem stwierdziła, że tym razem to ona jest obiektem inwigilacji.

Między McGee a siedzącą na masywnym, drewnianym krześle kobietą, była spora wolna przestrzeń. U stóp kobiety ułożył się Kaliban, po prawej stronie dostrzegła znajomą dziewczynę, patrzącą na nią równie ponurym wzrokiem jak kobieta na tronie. Obok Elai stał znajomy Kaliban, z dużą bliźną na tylnej łapie. Widząc dziedziczkę, McGee poczuła, że odzyskuje utraconą pewność siebie.

- Nazywam się McGee - przedstawiła się, patrząc na Najstarszą.

-Elai.

- Przybyłam tu - rozpoczęła wyraźnie i głośno, starając się mówić z akcentem ludzi z osady - gdyż mieszkańcy wioski nad Styksem roz poczeli z nami rokowania. Nasze kierownictwo uważa, że w tych rozmowach nie powinno także zabraknąć waszych przedstawicieli.

Akcentu uczyła się od Elai, która nadal stała pod ścianą, udając, że nie zna przybyłej kobiety z gwiazd.

- Co masz nam do powiedzenia?

- Chętniej bym się przysłuchiwała waszym żądaniom.

Elai wolno skinęła głową. Podniosła rękę i skierowała palec w stronę McGee.

- W takim razie musisz odpowiedzieć na kilka pytań. Co się dzieje z chłopcem znad Styksu?

McGee zagryzła wargi w zamyśleniu.

- Sądzę, że już dawno wyrósł z wieku dziecięcego. Porusza się z całą gromadą wojowników.

- A wieża tuż na granicy z bazą? Dlaczego tolerujecie coś podobnego?

- To prawda. Nie chcemy się najlepiej w jej sąsiedztwie. Nie mamy jednak zwyczaju wtrącać się w nie swoje sprawy.

- Zatem jesteście głupcami - stwierdziła kobieta.

- Nie chcemy po prostu mieszać się w wasze życie.

- Po co więc tu jesteś?

- Nie chcemy, żeby wzrost terytorialny osady .lina odciął nas od was. Lecz gdybyśmy utwierdzili was w przekonaniu, że też powinniście zbudować nowe wieże, doprowadziłoby to do wojny. Tego chcemy uniknąć.

- Skoro, jak mówisz, nie chcecie wtrącać się w cudze sprawy, jak zamierzacie przeszkodzić tamtym w budowie nowych wież?

- Moglibyśmy wspólnie coś zrobić w tej sprawie...

- Co?

- Zamierzamy tym znad Styksu wskazać inny cel. Niech zajmą się czymś innym.

Elai zmarszczyła czoło. Przez chwilę zastanawiała się, wreszcie rzekła stanowczym tonem, pokazując jej wyjście:

- Zatem idź i uczynź to!

Przez zgromadzonych w komnacie przeszła jakby niewidzialna fala. Kalibany podniosły łby, zaniepokojone. McGee nie czuła się pewnie, nie wiedziała, co miało oznaczać to nagle poruszenie. Rozejrzała się niepewnie. Jakiś starszy, łysy mężczyzna podszedł do Elai, ukląkł przed nią i położył szponiaste palce na jej Kalibanie. Elai ponownie uniosła rękę.

- Idź i nigdy nie wracaj!

Serce zabiło jej mocniej. Jej misterny plan runął. Mimo to nie chciała się tak po prostu poddać.

- Jeśli więc ludzie Jina przedstawią swoje żądania i zaczną wznosić wieże, gdzie im przyjdzie ochota, nie będziecie skłonni ich powstrzymać?

- Idź precz!

Kilka innych postaci poruszyło się w cieniu. Jakiś Ariel śmignął między Kalibanami. McGee przyjrzała się im uważniej - tylko kilkoro ludzi sprawiało na niej wrażenie normalnych: jakaś kobieta przy tronie, wojownik odziany w skóry. Inni rzucali jej dzikie, szalone spojrzenia. Niewiele różnili się od jaszczurów, pomiędzy którymi stali. Wszyscy wydali jej się nagle obłąkani i bezduszni.

Jakiś Kaliban podczołgał się do jej stóp i przyturlał ze sobą kamień. W jego ślady poszedł następny, i jeszcze jeden. Czyste szaleństwo!

McGee poczuła ukłucie strachu. Rozsądek nakazywał natychmiastowe wycofanie się z tego miejsca, powstrzymywało ją jednak wspomnienie długiej i ciemnej drogi na dół.

Kolejny kamień, czwarty, piąty... powoli rósł przed nią kamienny murek oddzielający ją od Najstarszej.

- Droga jest wolna! - odezwała się Ellai. - Wracaj, skąd przy szłaś.

Ostatnie ostrzeżenie.

McGee odwróciła się, rzuciła jeszcze tylko spojrzenie na dziewczynkę, jakby prosząc o wstawiennictwo. Miała nadzieję usłyszeć jej głos, inny od gniewnych pomruków.

Elai wspierała się na swoim Dziobatym. Nagle demonstracyjnie zrobiła kilka kroków w jej kierunku. Wyraźnie utykała. Widocznie rana nadal jątrzyła się i sprawiała jej ból. Nawet to się jej nie powiodło! McGee zbiegła pospiesznie spiralnym korytarzem i wybiegła na świeże powietrze, gdzie poraził ją blask nieprzyjaznego, obcego słońca.

## 20.

### **Rok 189, dzień 43 ery kolonialnej.**

Raport dr E. McGee.

„...odniosłam pewien sukces nawiązując bezpośredni kontakt z Najstarszą pierwszej wieży. Należy rozwijać tę współpracę, zachowując wszelką ostrożność...”

### **Rok 189, dzień 45 ery kolonialnej.**

Biuro dyrektora do E. McGee.

„Pani ocena wydarzeń wydaje nam się nieuzasadniona i przesadnie optymistyczna...”

## 21.

### **Rok 189, dzień 114 ery kolonialnej. Brzeg Styksu.**

Genley rozgląda! się uważnie. Poruszając się dobrze utwardzoną, gliniastą drogą, pilnie zapamiętywali wszystkie szczegóły. Za nim szli Mannin i Kim. Przed ich trójkąjechał na Kalibanie wojownik, pełniący funkcję ich przewodnika.

Zbliżali się właśnie do wieży znanej im dotąd tylko ze zdjęć satelitarnych lub z obserwacji przez dalekosiężne lornetki. A teraz mieli ją przed sobą w całej okazałości, z polami uprawnymi, na których pracowały kobiety, wystawiając nagie plecy na łagodne wiosenne słońce i lekką bryzę od morza. Plewiły pola z chwastów. Zdumione patrzyły na przybyszów, przerywając pracę, a w ich oczach tliło się niezadane pytanie: kim są i po co tu przybyli?

## 22.

### **Rok 189, dzień 134 ery kolonialnej.**

Sprawozdanie R. Genleya.



„...wieży nadali imię Parma, który był głównym projektantem tej imponującej budowli. Dotychczasowe dane na temat budowy wieży od wewnątrz oraz warunków życia w niej nie były dokładne. Większa część mieszkańców zamieszkuje podziemia, gdzie za sypialnie służą im wygrzebane w ziemi nisze. W Parmie żyje około dwóch tysięcy ludzi i podobna liczba Kalibanów. Moim zdaniem około pięćdziesięciu to brązowe, a reszta należy do szarych.

Panuje tu podział pracy jak we wspólnocie pierwotnej, stąd nasz postulat rozpoczęcia badań antropologicznych na Gehennie. Mamy możliwość bezpośredniej obserwacji takiej wspólnoty, a przez analogię dowiedzenie się czegoś o naszych ziemskich przodkach.

Wieża to nie tylko pomieszczenia mieszkalne. Górne piętra służą za magazyny zbożowe, co znamy już ze zwyczajów starożytnych Greków. To najlepszy sposób na ochronę płodów przed wilgocią. Kobiety zajmują się rolnictwem. Polowania i rybołówstwo, rękodzieło i sztuka użytkowa to domena mężczyzn. Łowiectwo to przywilej związany z posiadaniem brązowego Kalibana. Jaszczury to jedyna znana tu sita pociągowa. Rybacy korzystają wyłącznie z pomocy szarych jaszczurów, pracują one także przy orce, bronowaniu, wydobywaniu wody ze studni głębinowych. W takich pracach dosiadają ich nieprzystosowani, stanowiący w tym plemienu odizolowaną klasę.

Ludzie ci, mężczyźni i kobiety, do tego stopnia identyfikują się z Kalibanami, że zaprzestali używać ludzkiej mowy, niechętnie się odziewają, często wychodząc nago nawet na przejmujący chłód i sprawiając wrażenie, jakby było to źródłem jakiejś perwersyjnej przyjemności. Nieprzystosowani rozumieją słowa i gesty. Choć sam nie miałem okazji porozumiewać się z nimi, widziałem, jak reagują na polecenia myśliwych. Chociaż opiekują się jaszczurami, to trudno dostrzec taki związek uczuciowy pomiędzy nieprzystosowanymi a ich podopiecznymi, jak pomiędzy Kalibanami a myśliwymi i wojownikami.

Każdy z łowców posiada jednego tylko Kalibana, któremu nadaje imię. Myśliwym zostaje się wyłącznie z urodzenia.

Małżeństwa między myśliwymi z poszczególnych wież godne są szczególnej uwagi, bo dokonują się zgodnie z regułami związku poligamicznego. Każda narzeczona wraz z mężem poślubia wszystkich jego męskich krewnych, a narzeczony wraz z żoną wchodzi w związek z jej krewniaczkami. Młodsze siostry wychodzą za mąż na ogół za mężczyzn spoza rodzinnej wieży, przy czym czyni się starania, aby powiększyć możliwość wyboru partnera. Ci ludzie, mimo swego prymitywizmu, wiedzą sporo o dziedziczeniu i genetyce, choć nazywają tę wiedzę „prawami krwi”.

Jak dotąd nie podjęliśmy choćby próby określenia związków pokrewieństwa między mieszkańcami poszczególnych budowli.

Kobiety należące do kasty łowczyń pełnią wyłącznie funkcje reprezentacyjne i poza drobnymi zajęciami, jak na przykład naprawa dziecięcej odzieży, nie wykonują żadnych prac. Przy wychowaniu potomstwa chętnie korzystają z pomocy nianiek. Wywodzących się z kobiet normalnie pracujących w polu.

Najważniejsze decyzje podejmowane są przez mężczyzn. Oni decydują o polityce osiedla. Zauważyłem tylko jeden wyjątek od tej reguły. Żyje tu jedna starsza kobieta, która przeżyła wszystkich swoich krewnych i współplemionców i teraz zyskała prawo aktywnego uczestniczenia w życiu następnego pokolenia. Ubiera się jak wojownik, ma własnego Kalibana i nosi nóż. Posiłki spożywa wraz z mężczyznami.

Żony rzemieślników i rybaków wraz z córkami pracują na polach. Chłopcy mają prawo starać się o wejście do każdej z klas, nawet do grona myśliwych. Jeśli jednak jakiemuś chłopcu uda się ta sztuka, musi być przygotowany na liczne szykany ze strony swojej nowej grupy i stale pojedynki. Musi to znosić w pokorze. W Parmie żyje taki osobnik, imieniem Matso, który urodził się jako syn rybaka. Niedobrze traktują go kobiety, obawiając się, że może wybrać kobietę z niższego stanu, przez co popełni mezalians.

Nad wszystkimi mieszkańcami wioski władzę sprawuje Jin. To człowiek godny naszej szczególnej uwagi. Władza samodzielnie, choć jest młodszy wiekiem od wszystkich członków swojej przybocznej Rady. Wprost kipi energią i chęcią działania.

Kalibany bardzo nerwowo reagują na obecność Jina, ale może ma na to wpływ osobisty jaszczur władcy, zwany Kolcem. Jest równie wielki, co agresywny. Na ogół jednak słucha rozkazów swego właściciela. Jin nie posiada żadnego wykształcenia, wydaje się być jednak urodzonym mówcą i wygrywa we wszystkich sporach.

Przez osiem lat pozostawał pod opieką starszych mieszkańców wioski. Władzę przejął w wieku szesnastu lat... nie obeszło się przy tym bez nagłych zgonów, tak przynajmniej twierdzą niektórzy ludzie z osady. Jin jest bardzo głodny wiedzy, uwielbia łamigłówki i bardzo lubi, gdy jego przeciwnik w sporze ucieka do kunsztownej argumentacji - może wówczas błysnąć własnym, naprawdę wielkim talentem krasomówczym.

Jin rozdaje często podarki - bardzo hojnie szafuje kosztownościami. Ma harem. Pewna liczba jego żon stale czeka w gotowości, by spełnić jego zachcianki. Nie biorą jednak udziału w jego wyprawach poza osiedle - nigdy nie opuszczają miejsca zamieszkania.

Przebywając w innych wieżach Jin korzysta z usług kobiet tamtejszych myśliwych, ale jest to dozwolone tylko wtedy, gdy myśliwi ci mają jakiś dług wdzięczności do spłacenia. To wzajemne wypożyczanie sobie kobiet i wiążąca się z tym niepewność co do ojcostwa dzieci, wbrew pozorom spajają i wzmacniają organizację plemienną, zadzierzgując więzy pomiędzy Jinem i wojownikami. Trudno jednak odpowiedzieć, czy wódz też udostępnia myśliwym swoje kobiety.

Mieliśmy w czasie wizyty pełną swobodę ruchów, z tym, że musiał nam zawsze towarzyszyć jeden łowca.

Jin osobiście podjął nas w swojej wieży i obdarował prezentami, co miało oznaczać, że nie będzie akceptował żadnych wrogich poczynań wobec swoich gości.

Mieszkańcy osady są dobrze odżywieni i nieźle ubrani. Wyglądają na zdrowych. Jin przedstawił mi swoje plany zwiększenia areali pól uprawnych, budowy kolejnych wież oraz zdobycia nowych obszarów łowieckich na północy..."

Doktor E. McGee do Rady.

„Założenie, że osada nad Styksem przedstawia w skrócie rozwój ludzkiej cywilizacji jest dość karkołomnym uproszczeniem. Doktor Genley dobiera na poparcie swojej hipotezy pojedyncze, bardzo starannie dobrane fakty, zapominając, a może ignorując, że niedaleko stąd rozwinęła się - także w wolnych od ingerencji z zewnątrz warunkach - zupełnie odmienna kultura ludu Gouda".

Doktor R. Genley do Rady.

„Dziękuję za ustosunkowanie się do mojego raportu. Co do zastrzeżeń doktor McGee, dotyczących selekcji faktów, z których jakoby miał wybierać jedynie te, które są mi przydatne i wygodne do hipotez, proponuję, żeby doktor McGee mogła zapoznać się z całym materiałem badawczym, a nie tylko z wyciągiem, sporządzonym na cele ewidencyjne.

Bardzo chętnie zapoznam się też z całym materiałem badawczym, jaki doktor McGee zebrała nad Rzeką Obłoków.

Jeżeli zaś chodzi o moje dotychczasowe badania, podkreślam, że za ich wyniki ręczę całym swoim autorytetem. Nie widzę nic zaskakującego w fakcie, że jedna ze społeczności ludzkich powstałych na Gehennie postanowiła się trzymać modelu życia swoich przodków. Nie dziwię się, że tak konsekwentnie kroczą raz obraną drogą - a przecież równina, którą zamieszkują, jest dość jałowa. Przeszli daleką drogę od chwili, gdy z gór zeszli uciekinierzy, ale wciąż jeszcze poziom ich życia jest bardzo prymitywny.

Uprawiają niewielki kawałek ziemi, ich tereny łowieckie są skromne. W większości są rybakami, preferują więc ten rodzaj pracy, jaki na Gehennie wymaga wielkich nakładów i wysiłku.

Ich upodobanie do rybołówstwa wynika zatem z ich skromnych możliwości wyboru. Tym samym stajemy przed faktem ograniczonego rozwoju cywilizacyjnego tej osady, wynikającym z ograniczeń właściwych w ogóle całej rasie ludzkiej".

E. McGee do Rady (kopia przesłana R. Genleyowi).

„Oddzielić obserwatora od obserwacji, przedmiot badań od badającego podmiotu, to naprawdę bardzo trudne zadanie. Myślę jednak, że nie dlatego zdecydowaliśmy się na tak wielkie ofiary, żeby wątpliwej jakości teoriami dowodzić, jak drogie są nam uprawiane dyscypliny.

Moim skromnym zdaniem, celem naszych badań na Gehennie powinno być: 1) stwierdzanie faktów; 2) podawanie w wątpliwość hipotez, które w świetle otaczającej rzeczywistości nie wytrzymują krytyki.

Nie od dziś wiadomo, że historie wojen piszą zwycięzcy. Dlatego proszę zwrócić uwagę na fakt, że przy silnym zaangażowaniu emocjonalnym obserwatora wyniki jego badań mogą zostać w sposób niezauważalny zastąpione pobożnymi życzeniami.

Fakt pierwszy: na Gehennie żyją dwie formy inteligentnego życia.

Fakt drugi: więcej niż jedno skupisko ludzkie na Gehennie może się poszczycić stworzeniem zrębów społeczności zorganizowanej.

Proponuję, zamiast rozważań i tworzenia pustych teorii, powstających w wyniku naszych przyzwyczajenia i bagażu antropocentrycznej logiki myślenia, zastanowić się nad następującymi sprawami:

- 1) Ludzie są w stanie udzielić różnych odpowiedzi na temat świata, w którym żyją.
- 2) Jeżeli celem wyjaśnienia określonej struktury należy stworzyć system pojęć przeciwstawnych,

wokół których skupione są możliwe do przyjęcia odpowiedzi, to źródeł tego spolaryzowania pojęć nie należy poszukiwać w nich samych, lecz trzeba dopatrywać się ich we względnych sukcesach tych osobników danej struktury, którzy mają skłonności do zaanektowania innej, sąsiedzkiej kultury. Jedne cywilizacje potrafią w jakiś sposób uporać się z tym problemem, inne nie. Te ostatnie przyjmują na ogół postawę wspierającą się na sentencji, że dzieje spisują ci, którzy przeżyli je wraz z panującymi, aby stworzyć w ten sposób wzór do naśladowania przez potomnych.

Nieprawdą jest, że kultura znad Rzeki Obłoków nie rozwinęła się w sposób naturalny. Nieszczęśliwym zrzędzeniem losu ta grupa musi się ciągle mieć na baczności przed sąsiadami, grożącymi zniszczeniem wszystkiego, co zbudowali przez stulecie. Ludzie Jina będą potrzebowali całych wieków, żeby osiągnąć harmonię i sposób życia, jakiemu hołduje lud Clouda.

Barbarzyńcom dlatego udają się ich podboje, gdyż z punktu widzenia natury wszystkie wyższe cywilizacje powstają na gruzach tejsze".

Komunikat od R.Genleya.

„Ponownie domagam się, żeby doktor McGee przedstawiła swoje tezy w sposób formalny, jeszcze przed ponownym nawiązaniem kontaktu z opisaną przez siebie cywilizacją, aby potwierdzić dotychczasowe i nowe, dokładniejsze obserwacje".

## 23.

### Rok 190 ery kolonialnej.

Brudnopis tekstu komunikatu dr E.McGee do Kwatery Głównej Sojuszu.

*(W związku z trudnościami personalnymi, wiążącymi się z pozostaniem na tym stanowisku...)*

*(W związku z zawieszeniem...)*

*(W związku...)*

*(W związku z niesprzyjającymi warunkami, które przyczyniły się do przysporzenia mi osobistych wrogów wśród ludu znad Rzeki Obłoków...)*

W związku z coraz trudniejszymi warunkami bytowania na Gehennie i moim pogarszającym się stanem zdrowia, proszę o odwołanie mnie z ekipy badawczej na tym świecie.

*{Mam wrażenie, że mój projekt badawczy utknął w martwym punkcie...}*

Przy obecnym zaawansowaniu prac badawczych jestem przekonana, że moi współpracownicy bez problemu mogą poprowadzić samodzielnie dalsze prace. Chcę prosić o wyznaczenie doktor Leroy H.Coopera na mojego następcę. Uważam, że jest lepiej przygotowany i utalentowany od reszty ekipy.

*(Sądzę, że niektóre skłonności tego człowieka i jego kulturowe predyspozycje...)*

Niniejszą dymisją nie chcę podważać wiarygodności pozostałych członków ekspedycji i sztabu całej misji. Kierują mną wyłącznie względy natury osobistej i stan zdrowia. Jawna wrogość okazywana mi przez...

## 24.

### Rok 191, dzień 202 ery kolonialnej.

Kwatera Główna Sojuszu do E. McGee / baza Gehenna.

„...pomimo współczucia z powodu stanu pani zdrowia, uważamy, że pani obecność w dalszych pracach projektu jest niezbędna. Uwzględniając trudności i koszty wymiany personelu, z żalem oddaliśmy pani podanie...

...przeanalizowaliśmy sytuację personalną w bazie Gehenna, poszukując możliwości pełnego wykorzystania pani kwalifikacji. Wysyłamy także lekarstwa, które - mamy nadzieję - ułatwią pokonanie trudności..."

### Rok 195, 205 dzień ery kolonialnej.

Recepta wystawiona dla dr McGee, apteka bazy. „...przeciwko bezsenności proszę używać

przepisanych środków. Alkohol absolutnie przeciwwskazany".

## 25.

### Rok 200, dzień 33 ery kolonialnej.

Raport polowy dr E. McGee.

„...z wiadomości od stałego informatora w nowej wieży ludu Clouda wynika, że władczyni Elai powiła drugiego syna. Ponieważ źródło nic jest pewne, a moje kontakty bardzo ostatnio nieregularne, należy poczekać na potwierdzenie z innego źródła".

## 26.

### Rok 200, dzień 98 ery kolonialnej. Brzeg Styksu.

- Genley - odezwał się .lin, siedzący w swojej komnacie, przesyconej charakterystycznymi woniami wieży Parma: ludzkim potem, odorem Kalibanów i warzonego piwa. - Co ty właściwie o mnie piszesz?

- Różne rzeczy. -A dokładniej?
- Piszę o sposobie życia, czego dokonałeś, o twoich planach...
- Troszczysz się, żeby ludzie z gwiazd dobrze mnie poznali?
- Oh, znają cię już wystarczająco dobrze.

.lin stuknął go dłonią w plecy. Byli właściwie sami, nie licząc drzemiących w kącie Parma i kilku zaufanych myśliwych.

- Mannin, Kim... i reszta, co się tu pałętają... Wiesz że oni się boją? I wiesz, Genley, skąd ja wiem o ich bezustannym strachu? Widać go w ich oczach. Spójrz tylko na nich uważnie! Zawsze od wracają wzrok, gdy chcę im spojrzeć w oczy. Z tobajest inaczej...

Genley spojrział mu w oczy, wzruszając ramionami. Jin poklepał go przyjacielsko po ramieniu i uśmiechnął się.

- Jesteś moim ojcem - powiedział.

Mannin, gdyby był na jego miejscu, natychmiast odnotowałby ten fakt i zapytał, co ten gest naprawdę oznacza. Lecz Genley siedział dalej, patrząc w oczy Jina. Podobne czolobitności nie robiły na nim wrażenia.

• Jesteś moim ojcem - powtórzył Jin, wciąż klepiąc go w ramię - który ciągle stawia mi pytania, jedno za drugim, chcąc wiedzieć, co robię i jak. Słuchając twoich nieustannych pytań ucę się. Dlatego będę cię traktował jak ojca. Tylko dlaczego wśród tylu twoich prośb nigdy nie padła prośba o podarunki?

- A powinienem o nie prosić?
- Mężczyzna nie może żyć bez kobiety. Chciałbyś niewiastę? Jeśli tak, to zjeżdź niżej i korzystaj, kiedy tylko przyjdzie ci na to ochota. Nie masz prawa do kobiet łowców, ale możesz posiadać każdą inną. O ile oczywiście chcesz. Co ty na to?

Sprawozdanie R. Genleya.

„...lord Jin poczynił kolejne wyraźne postępy w umacnianiu swojej władzy. Rzekome kwestie sporne pomiędzy wieżami zostały zażegnane przez osobistych doradców Jina, który wysłał ich z misjami rozjemczymi.

Wszystko wskazuje, że władza Jina w społeczności nad Styksem jest absolutna i cieszy się pełnym poparciem poddanych".

E. McGee do dyrektora bazy (kopia przesłana do Genleya). „*Lord Jin..?*”

## 27.

### Rok 200, dzień 203 ery kolonialnej.

Raport polowy R. Genleya. >

„...wszystkie plany Jina zostały całkowicie zrealizowane. Tegoroczna produkcja rolna wzrosła o 5%, a w samych dobrach Jina o 112%. Budowa utwardzonej drogi pomogła w szybszym dostarczeniu wapiennego surowca do budowy nowej wieży. Wydaje się, że pomysł budowy drogi Jin zaczerpnął z obserwacji naszej bazy, gdy rozbudowywaliśmy wewnętrzny pierścień obrony. Embargo nałożone na handel z tubylcami i bliska obecność bazy wpłynęły **stymulujące** na rozwój przedsiębiorczości mieszkańców osady. Widok naszej organizacji i techniki spowodował, że mocniej odczuli własne ubóstwo i niedostatki, i postanowili poprawić swój byt.

Lord Jin szczególnie łasy jest na technologię wytopu żelaza, ale na razie nic nie wskazuje, by był w stanie wybudować choćby prymitywną hutę. Wina leży tu głównie po stronie przodków, którzy założyli osadę na równinie, z dala od jakichkolwiek złóż rudy. Jin planuje wyprawę w kierunku południowo-wschodnim w poszukiwaniu złóż.

Temu też celowi jest podporządkowany plan budowy kamiennej drogi.

Ta progresja ich cywilizacji rozpoczęła się z chwilą, gdy nawiązaliśmy z nimi bezpośredni kontakt. W tej chwili zachęca nas do zamieszkania w jego wieży. W tej sprawie poprosiłem Jina o zwłokę, chcąc najpierw skontaktować się z bazą. Mam nadzieję, że dyrektor podejmie pozytywną decyzję...”

E. McGee do R. Genleya.

„Sądzę że budowa kamiennej drogi oraz chęć zatrzymania was dłużej w ich osadzie to dowód na wzrost tendencji wojennych. Wasza obecność w jego osiedla jest rękojmnią, że w razie działań wojennych baza nie opowie się po stronie ich przeciwników, gdyż wy zostaniecie zakładnikami. Budowa drogi przewiduje przebieg traktu tuż przy terenach należących do ludu Clouda”.

R. Genley do E. McGee.

„Nie jestem skłonny wyznaczać stref wpływów obydwóch osiedli, nie mam też ochoty zważać na prywatne sympatie bądź antypatie niektórych członków misji. Pozostanę w wieży Jina nie dla własnych ambicji i dobrze by było, gdyby pani doktor naśladowała mój przykład w kontaktach z mieszkańcami Dwunastu Wież”.

Dr McGee do R. Genleya.

„Został pan przekabacony przez bardzo podstępного łajdaka. Mam wrażenie, że pańskie uzależnienie od Jina znacznie się teraz pogłębi po przyjęciu przez pana jego zaproszenia do przedłużenia pobytu i odwiedzenia innych wież. Nie wolno dopuścić, by w ręce tego drania wpadła jakakolwiek technologia, gdyż stanowi on wielkie zagrożenie dla pokoju na tej planecie.

Z tego powodu stanowczo protestuję przeciwko pańskim nierozważnym posunięciom. Nie czynię tego z powodu prywatnego sporu, choć wątpię, by uwierzył pan temu zapewnieniu”.

Dyrektor bazy do E. McGee.

„Rada przyjęła do wiadomości pani przestrogi, uważa jednak, że korzyści płynące z misji Genleya przeważają nad ryzykiem”.

Dyrektor bazy do R. Genleya.

„Można rozpocząć przygotowania do wyprawy. Przypominam o zachowaniu regulaminowych środków ostrożności”.

## 28.

### Rok 201, dzień 2 ery kolonialnej.

Raport polowy R. Genleya, wieża Greena, obszar po drugiej stronie Styksu.

„Przekonałem lorda Jina, żeby zgodził się na przyjazd Mannina i Kima, którzy mieliby dotrzymać mi towarzystwa. Zostałem tu nadzwyczaj uhonorowany, otrzymując do własnej dyspozycji oddzielną komnatę. To bardzo ciemne pomieszczenie, ale w porze deszczowej zapewnia wystarczające wygody - jest tu ciepło i sucho. Mam możliwość badania życia mieszkańców wieży przebywając między nimi.

Ponawiam swoją prośbę o sprzęt monitorujący. Bez kamery nie możemy zilustrować bogatego materiału etnograficznego; z upływem czasu coraz więcej ciekawych szczegółów nam umyka i ulega zapomnieniu. Zapis filmowy zapobiegnie temu.

Sprzęt filmowy nie powinien być wielkim wstrząsem kulturowym dla tych ludzi, bardzo szybko przyswajają sobie wszelkie nowości. Warto tu wspomnieć, że dotąd nie skradziono mi żadnych przedmiotów osobistych, nie stwierdzono nawet próby kradzieży. Lord Jin jest gwarancją naszego bezpieczeństwa.

Mannin i Kim mogliby zabrać potrzebny sprzęt..."

## 29.

### Rok 203, dzień 45 ery kolonialnej.

Raport polowy dr E. McGee.

„Elai urodziła czwartego syna - tak brzmi powtarzana pomiędzy wieżami nowina. Stan zdrowia Ellai Najstarszej znacznie się pogorszył. Słyszałam, że po ostatnim porodzie także jej córka nie czuje się najlepiej. To wszystko mocno niepokoi mieszkańców Dwunastu Wież. Nie jestem optymistką, jeśli chodzi o los ludzi Clouda. Elai nie może umrzeć, dopóki jej najstarszy syn nie osiągnie pełnoletności, tymczasem ta ewentualność jest bardzo realna. Niewykluczone, że będzie potrzebna regencja, w przeciwnym razie władza musiałaby przejść w ręce dalekich kuzynów Elai, czyli rodu kobiety imieniem Paeia. Liczę na to, że Rada podejmie jakieś środki zaradcze, nie uchylając się przed doraźną pomocą dla osady, wszak od dawna udzielamy takiej wieżom znad Styksu.

Nie chcę w tej chwili podnosić alarmu, ale stała obecność naszych doradców w wieżach Jina zagraża interesom sąsiedniego<sup>1</sup>, ludu. Do tego tematu wrócę w oddzielnym sprawozdaniu.

Nalegam na utworzenie stałego punktu obserwacyjnego w sąsiedztwie Rzeki Obłoków, co nie tylko byłoby realną pomocą dla tamtejszej społeczności, ale i byłoby aktem sprawiedliwości, zważywszy na długotrwałą obecność naszej ekipy w państwie Jina.

Moi informatorzy twierdzą, że lud Clouda liczy się cały czas z możliwością ataku. Nie wiem skąd bierze się ich przekonanie o nadchodzącej wojnie, ale przypuszczam, że jakiś wpływ na to przekonanie mają Kalibany..."

R. Genley do dyrektora bazy.

„...powtarzające się argumenty doktor McGee, która w obronie swoich tez sięgnęła nawet po hipotezę o spisku Kalibanów, nie zasługują na poważne potraktowanie. Te urojenia można obalić w bardzo prosty sposób - pani doktor od wielu lat walczy samotnie z faktami, gdyż za wszelką cenę chce otoczyć specjalną opieką lud Clouda. W tych jej wysiłkach widać wyraźnie osobiste ambicje i urazy.

Jeśli chodzi o sugestię o nadchodzącej wojnie, to całym swoim autorytetem zapewniam Radę, że nic podobnego Jin nie planuje. Na temat komunikacji Kalibanów także posiadam wiele spostrzeżeń, popartych długoletnią obserwacją. Jestem przekonany, że w tym przypadku mamy do czynienia z prymitywną, symboliczną formą przekazu, informującą na przykład o dostępności czy obfitości pożywienia, sposobie zabezpieczania jaj, o dostępie do rzeki itp. Nie może tu być mowy o jakichkolwiek komunikatach dotyczących ludzkiej działalności.

Zapoznałem się ze studium doktor McGee o relacjach między ludźmi i jaszczurami w wieżach Clouda i znam jej poglądy na temat rzekomego partnerstwa Kalibanów i ludzi. Ta hipoteza jest prawdopodobnie podstawą innych teorii pani doktor. Opierając się na tym studium nie można się oprzeć wrażeniu, że owe partnerstwo ludzi i zwierząt powoduje niekorzystne zmiany cywilizacyjne w społeczności ludzkiej, powodując jej regres.

Zgodnie z informacjami doktor McGee związek z Kalibanami powoduje, że ludzie zapominają o własnej tożsamości.

Dwanaście Wież nadal pozostaje niezbadanym, tajemniczym labiryntem, w którym McGee straciła czas i zdrowie. Jestem osobiście zainteresowany tym, aby dalsze badania nad ludem Clouda przekazać komuś innemu. Może nowe spojrzenie jakiegoś młodszego badacza wniesie coś nowego i zakończy niepotrzebne spory".

## 30.

## Kok 204, dzień 34 ery kolonialnej. Równina nad Rzeką Obloków.

Ziemiańska w żaden sposób nie chroniła przed wilgocią i zimnem. Obiad minął jej w bardzo ponurej atmosferze, co było normą w zimowe miesiące. Dostała pomocnika, ale z zastrzeżeniem, żeby nie prowadzić z nim żadnej działalności edukacyjnej wśród tubylców. Oszust, jak tylko przyszła pora deszczowa, zmył się do bazy.

McGee wysmarkała nos i podniosła tarczę promiennika - podarowano jej to urządzenie, dalekie od osiągnięć współczesnej technologii, ale przydatne w zimowe wieczory.

Ubikację zastępowała dziura w ziemi w szczerym polu i łopata do zasypywania ekskrementów. Wodę filtrowała z deszczówki, na jej brak nie narzekała. Kombinezon chronił przed zimnem, ale stopy i dłonie wciąż miała zmarznięte. Płaszcz bez przerwy suszył się nad promiennikiem i miała wrażenie, że nigdy już nie będzie suchy od wszechobecnej wilgoci. Dobrze, że choć buty miała suche. Te wysokie, ciepłe buty z cholewami były jej jedynym luksusem na tym pustkowiu.

Poza ciepłą odzieżą istniały oczywiście inne zbytki, ale na Gehennie dostęp do nich zależał od widzimisie Rady misji i tego, czy zapotrzebowanie zostało wystarczająco uzasadnione. Bo transporty z dalekiej przestrzeni były bardzo rzadkie, w dodatku większość z nich pochodziła z Unii i zależała od dobrej woli rządu na Cyteen.

W bazie były potrzebne jej rzeczy, ale ich podział zależał od stanowiska, potrzeb poszczególnych sekcji i osiąganych przez siebie wyników. Pracujący w terenie badacze zazwyczaj nie dostawali żadnych przydatnych gadżetów, częściowo w obawie przed przechwyceniem ich przez tubylców. Pozostawało więc chuchanie w dłonie i dreptanie wokół promiennika.

Wszelkie inne zbytki dyrektor nazywał „produktami zaawansowanej technologii” i odmawiał zgody na wynoszenie ich poza zasieki. Ale sam jakoś nie potrafił zrezygnować z ogrzewanych butów, nawet w czasie spaceru na zewnątrz ogrodzenia.

Do diabła z nim!

McGee wreszcie udało się przedmuchać nos i usiadła na polowym łożku. Wsunęła stopy w ocieplone skarpety i wysunęła nogi w stronę promiennika. Jakoś nie mogła sobie przypomnieć momentu, w którym nie odczuwała tutaj zimna. Jeśli nie marzły dłonie, to chłód przejmował nogi albo plecy, albo uszy... Wciąż coś marzło. Marzyła o ciepłej kąpieli, ale już zapomniała jakie to uczucie.

Po ubraniu się zasiadła do pisania kolejnego raportu. Jej uwagę przykuł odgłos czyichś kroków, posykiwania, trudne do zrozumienia głosy. Chwilę nasłuchiwała z pisakiem w ręku, potem podniosła głowę. Jakiś Kaliban zapuścił się na wycieczkę w stronę jej obozu, deszczową porą, przez pustkowia. Jaszczury zwykle nie miały tego w zwyczaju. McGee szybko schowała notatki do pojemnika, którego nie mógłby otworzyć żaden obcy.

Odgłosy wyraźnie dobiegały z coraz mniejszej odległości. Nie miała żadnej broni, zgodnie z dyrektywą o nieingerencji w życie tubylców. Podeszła do drzwi i wyjrzała przez plastikową szybę. Z gęstej mgły wynurzył się Kaliban z jeźdźcem na grzbiecie. Jaszczur był niespokojny, nerwowo uderzał ogonem o ziemię. Jego wielka sylwetka wyglądała groteskowo na tle tumanu mgły; jeździec pozostawał nadal niewidoczny.

Usłyszała gwizd. Chwyciła płaszcz i wyszła na zewnątrz.

- Ma-Gee - odezwał się młody mężczyzna. Nigdy wcześniej go oie widziała.

Nie był ani murarzem, ani rzemieślnikiem. Prócz nich dosiadać brązowych Kalibanów mogła tylko jeszcze jedna kasta, wojowników. O przynależności do niej świadczyła krótka włócznia.

- To ja jestem McGee.

- Jestem Dain. Pochodzę z pierwszej wieży. Ellai nie żyje.

Dziedziczka wzywa cię do siebie. Natychmiast!

McGee spojrzała w kłęby gęstej mgły, daremnie próbując przebić je wzrokiem. Na twarzy osiadły jej wielkie krople wilgoci.

- Czy dziedziczka powiedziała, do czego jej jestem potrzebna?

- Objęła rządy w pierwszej wieży. Stwierdziła, że powinnaś przyjechać.

- - Tylko zmienię ubranie.

Młody mężczyzna skinął przyzwalająco. Krótki ruch głową, jednoznaczny i pewny siebie, tak charakterystyczny dla mieszkańców wioski Gouda. Czyli zrozumiał. McGee wzięła się w garść, choć nie wiedziała jeszcze, co powinna zrobić. Krzątała się bez celu po swoim schronieniu, wreszcie otworzyła pojemnik z raportami. Wyrwała kartkę z notatnika i nabazgrała na niej: „Ellai nie żyje. Jej następczyni wezwała mnie do siebie przez posłańca. Nic mi nie grozi. Przez kilka dni zabawię w pierwszej wieży”.

List był do pomocnika, który może wrócić do obozu z zapasami, a może znajdzie go ktoś inny. Kartkę zostawiła w kasetce, wzięła osobiste przybory i zapasową bieliznę. Wyłączyła promiennik i wyszła.

Kaliban leżał na ziemi. Jeździec wskazał oszczepem przednie nogi jaszczura, co oznaczało, że zaprasza ją na grzbiet. Spełniła to polecenie, choć z duszą na ramieniu. Nie była to dla niej absolutna nowość, ale ostatni raz dosiadała Kalibana szesnaście lat temu.

Widząc, jak niezręcznie gramoli się do góry, wojownik wciągnął ją za kaptur płaszcza.

## 31.

### Rok 204, dzień 34 ery kolonialnej. Rzeka Obłoków.

Z malej dziewczynki stała się kobietą - ciemnowłosą, z grymasem uśmiechu, błędzącym w kąciku ust. Siedziała na tronie w centrum głównej komnaty na szczycie pierwszej wieży. Dziobaty leżał u podnóżka. Leb trzymał wysoko, uważnie obserwując wszystkich obecnych w komnacie. Panował uroczysty nastrój, co McGee zdawała z wyraźną niechęcią. Nie najlepiej zniosła długą jazdę z obozu, a teraz jeszcze musiała znosić groźne spojrzenia nowej władczyni.

Tylko Dziobaty nie przejmował się sytuacją. Wielu wojowników było odzianych w skórzane zbroje i dzierżyło w dłoniach włócznie.

Elai ubrana była w czerwoną suknię, podobny kolor nosili mężczyźni z ogolonymi głowami. Ich kościste ręce i blade twarze sprawiały nieprzyjemne wrażenie. W nowej Najstarszej można było jeszcze dostrzec ślady dziewczęcej urody i wdzięku, ale oczy należały już do starszej kobiety. Były zimne jak oczy jaszczurów.

- Elai - McGee postanowiła przemówić pierwsza, jak tylko umilkły rozmowy. - Wtedy, przed laty. nie mogłam wyjść do ciebie. Zabroniono mi...

W zamian otrzymała jeszcze bardziej zgorzkniałe spojrzenie.

- Ellai nie żyje. Jej Kaliban wypłynął w morze i już nie powróci. Dlatego posłałam po ciebie.
- Cieszę się - odpowiedziała, wiedząc, że w tej chwili ryzykuje wszystkim.

Wszyscy zamilkli. Jakiś szary jaszczur podniósł się i stanął pomiędzy kobietami. Wówczas Dziobaty zerwał się błyskawicznie, otworzył! ogromny pysk i pochwyił śmiałka, podnosząc go do góry. Szary wisiał mu z pyska, nieruchomy i cichy. McGee wydało się, że przed nią wyrosła wielka wieża. Po długiej, pełnej grozy chwili. Dziobaty otworzył pysk, a szary runął na podłogę i wężowatym ruchem odpełznął pod ścianę, gdzie leżał, liżąc zraniony bok. Dziobaty stał pośrodku pomieszczenia jak pomnik z brązu. Nad łbem pulsował mu nastroszony grzebień. McGee wstrzymała oddech. Jakiś (Arie) przemknął koło jej nóg i upuścił kamień. Jeden. Dziobaty nie zwrócił wszakże na niego uwagi.

- McGee - zapytała Elai - czy wiesz, co to znaczy?
- Chyba to, że powinnam być ostrożna.

Uśmiech na ustach Elai zamarł, spłoszony nagłym zmarszczeniem brwi. Widocznie powiedziała coś, co nie mieściło się w ramach zwyczajowego ceremoniału, coś niestosownego. Jednak na twarzy dawnej dziewczynki tliła się jeszcze iskierka spontanicznej wesołości. Elai wskazała otwór wyjściowy:

- Wynoście się wszyscy! Chcę porozmawiać ze swoją dawną przyjaciółką!

Powoli wychodzili, niektórzy z oporami. Nie śmieli się jednak przeciwstawić Kalibanom, które syczały groźnie.

Kiedy przebrzmiał odgłos ich kroków, ginąc w labiryncie korytarzy. Dziobaty podniósł się ze swego miejsca i położył pod nogami pani.

- Ellai nie żyje - powtórzyła Elai. W tych słowach musiało się kryć coś więcej niż tylko sucha informacja o śmierci matki.
- Zatem wszystko się zmieniło.

Elai podniosła się z tronu. Była bardzo chuda, wręcz sucha jak obumarła gałąź. Szła wolno, utykając, podobna do starej, schorowanej kobiety. Nie oddaliła się daleko od krzesła, bo po prostu zabrakło jej sił. Wzrok zawiesiła gdzieś w pustce przed sobą, w miejscu odległym w czasie i przestrzeni. Sprawiała wrażenie zombi, człowieka pozbawionego umysłu lub wybiegającego myślami gdzieś daleko.

- Minęło już szesnaście lat, McGee.
- Tak, i mnie ten czas kosztował wiele. Elai spojrzała na kobietę z gwiazd.



- Wyglądasz na zmęczoną...

McGee nie spodziewała się takich słów ze strony Elai, wietrzyła w tym jakiś podstęp.

- Nie jestem przyzwyczajona do szybkiej jazdy na Kalibanie.

Elai przyglądała się jej z ironią, której jako dziecko była pozbawiona. Podeszła do Dziobatego i poklepała go po boku. Wielkimi lampami oko rozbłysło pomarańczowo.

• Teraz jestem Elai Najstarszą - oznajmiła podnieconym, a jednocześnie znużonym nieco tonem. - Nie zapominaj o tym. Jeśli popełnisz jakiś błąd, będziesz musiała umrzeć. A śmierci ci nie życzę, McGee.

- Jak więc powinnam się do ciebie zwracać?

• Elai. Chyba nie myślałaś, że inaczej...

A skąd mam o tym wiedzieć? Czy mogę ci zadać pytanie? -Jakie?

McGee czuła, że ze strachu pulsują jej żyły w skroniach. Wreszcie wzruszyła ramionami.

- W czym mogę ci pomóc?

Otrzymała w odpowiedzi bardzo chłodne spojrzenie. Ale potem pojawił się uśmiech.

- Czy to znaczy, że wreszcie zrozumiałaś, o co chodzi? Nie.

Wątpię... W niczym nie możesz nam już pomóc, McGee, Nic nie możesz. Mój najstarszy syn ma dopiero sześć lat, niewiele brakowało, a by go zabili. Ostatnie dziecko już nie żyje. Słyszałaś o tym?

Tak, lecz nie wiedziałam, czy to nie jest plotka. Jin jest zapewne lepiej zorientowany...

- Oczywiście. Kalibany donoszą mu o wszystkim.

Kalibany, pomyślała McGee. Było jej zimno, pomimo ciepła panującego w pomieszczeniu. Po plecach spływały jej kropelki potu.

- Czy mogę zdjąć kurtkę? Jak długo tu pozostanę?

• Zamieszkaś tutaj. Spojrzała na władczynię.

- Jak długo?

Elai rozsunęła palce, pomiędzy nich wytoczyły się cienkim strumieniem kamyczki, opadając na podłogę.

- Chyba już nauczyłam cię, co to znaczy?

O tak, nauczyła. Rozmowa skończona. Ale McGee nie chciała się tak łatwo poddać.

- Spójrz na mnie i wysłuchaj. Ci z bazy upomną się o mnie...

• Idź na dół, gdzie przygotowano dla ciebie komnatę. Ich zdołam przekonać.

-: Elai, posłuchaj! Możesz się narazić na ich gniew. Pozwól mi przynajmniej wysłać im wiadomość. Jeden z twoich wojowników mógłby zostawić dla nich wiadomość w moim obozie. Z pewnością zaczną mnie poszukiwać i dotrą tutaj. Ja i tak chciałam tu zostać, ale ci z bazy powinni o tym wiedzieć...

- Po co? Kamienne wieże nie są przecież twoim domem.

• Ale pracuję dla nich.

• Od dzisiaj wypowiadasz im pracę. Idź na dół, McGee. Nie możesz mi odmówić. Jestem Najstarsza, nie możesz o tym zapominać...

• Potrzebuję jednak swoich rzeczy... Elai... Władczyni syknęła. Dziobaty uniósł łeb.

- Dobrze, dobrze, już idę -- szybko powiedziała McGee.

Przydzielono jej mały pokoik przy zewnętrznej ścianie wieży. Pomimo braku udogodnień cywilizacyjnych mieszkała tu lepiej niż w obozie. Pokój był przewiewny, całkiem jasny, oświetlony przez okno, w którym umieszczono drewnianą ramę z półprzezroczystą błoną. Gdy okno było otwarte, rozpościerała się z niego rozległy widok na inne wieże. W pomieszczeniu, w którym nie było ani jednej prostej ściany, było sucho. Przez drzwi wychodziło się na korytarz, tuż za zakretem były drzwi do pomieszczenia ze skrzynią pełną piasku, pełniącą w wieży funkcję toalety.

Mogliby jeszcze przynieść mi coś do jedzenia, pomyślała. Potrzebowała też wody. Gorączkowo przeszukała kieszenie w poszukiwaniu rezerwowego racji żywnościowych.

Długo siedziała ze skrzyżowanymi nogami na czymś, co miało jej służyć za łóżko. Był to standardowy mebel, będący w posiadaniu wszystkich mieszkańców wieży. Zawinęła się w płaszcz i napawała się odrobiną ciepła. Wiele musiała się nauczyć, wśród ludzi Cloudu czuła się jak prymityw uczący się najprostszych, codziennych czynności. Była wolna. Mogła całymi godzinami siedzieć w swojej komnacie i rozmyślać. Może był to odchył od normy, objawy początków schizofrenii, ale było jej z tym dobrze.

Gdy zapadła noc, w jej serce wkradł się niepokój - siedziała oto samotnie w budowli wzniesionej

przez obce jaszczury. Zza drzwi wyrzwał Ariel - całe ich tabuny wałęsały się po wieży. Po chwili zniknął, a w jego miejsce pojawił się większy gość.

Szary Kaliban ostrożnie przeczołgał się przez drzwi i przyjrzał nowemu domownikowi.

Po nim pewnie przyjdzie jakiś brązowy gigant, pomyślała, starając się nie poruszyć. Elai, stroisz sobie ze mnie żarty. Szary jaszczur otworzył pysk i upuścił na podłogę błyszczący od śliny kamień. Po spełnieniu swej misji zastygł nieruchomy, Jaszczury tego gatunku nie były zbyt inteligentne, jak powiedziała jej kiedyś Elai. Przez chwilę siedział, jakby zapomniawszy, po co przyszedł. Wreszcie wyczołgał się z powrotem, ciągnąc za sobą długi ogon.

Pozostał kamień. Leżał na podłodze niczym drogocenny dar albo bariera. McGee nie była pewna znaczenia tego gestu. A później usłyszała cichy dźwięk, jakby ktoś schodził z góry korytarzem. Może był to Kaliban, może ktoś inny. Starła się nie patrzeć w otwór wyjściowy. Wreszcie pojawiły się w nim dwie kobiety, niosąc talerz z rybą, rodzaj musu i kubek wody. McGee podziękowała im skinieniem głowy, a one postawiły posiłek obok podwyższenia, na którym siedziała.

Nie zauważyła, by darzyły ją jakimś rodzajem szacunku. Zachowywały obojętność, tylko rzuciły jej krótkie, ostre spojrzenia. Gdy wykonały swoje obowiązki, odwróciły się i wyszły.

McGee zjadła i wypła wszystko, co jej przyniesiono.

Następnego ranka zaprowadzono ją do komnaty władczyni.

- Dzień dobry - powiedziała Elai.

Salę skąpo oświetlało słońce, skryte za grubą warstwą chmur. Przez okno dostrzegła Rzekę Obłoków, nad którą leniwie snuła się mgła, pola uprawne, zabudowania rybaków, gdzie zamiast okien rozpięto rybnie pęcherze.

U podnóża pierwszej wieży panował ożywiony ruch. Ludzie i Kalibany krzątali się w swoich sprawach. W oddali, niczym widma, sterczały we mgle upiorne sylwetki pozostałych wież. Przyglądała się im, niepokojąco długo zwlekając z odpowiedzią na powitanie Elai.

- Dzień dobry - odpowiedziała wreszcie, odrywając wzrok od okna. McGee zachowywała się, jakby nadal miała przed sobą przedwcześnie dojrzałą dziewczynkę. Chciała sprawiać wrażenie wyluzowanej, choć wiedziała, że ryzykuje głową. Musiała jednak sprawić, by na twarzy Elai zagościł na dłużej uśmiech, znak dawnej przyjaźni i szacunku. - Co z Dziobatym?

- Chyba łowi ryby.
- Nie wybierasz się dzisiaj nad morze?
- Nie - po jej twarzy przemknął wyraz bólu.
- Budujesz jeszcze łódki, Elai?
- Kto wie... - Elai podniosła głowę i zacisnęła wargi. - Oni myślą, że wkrótce umrę.
- Kto taki?

Elai zatoczyła ręką koło.

- Dlaczego po mnie posłałaś?

Elai nie odpowiedziała natychmiast. Odwróciła się i spojrzała na Ariela, który właśnie wdrapywał się na jedną z chat.

- Moja kuzynka Paeia włada drugą wieżą... Za nią jest cała linia Taema, zamieszkująca wieżę dziewiątą. Moim dziedzictwem jest wieża szósta. Jin... ten znad Styksu... wkrótce wkroczy do mojej wioski.

- Czy ustaliłaś już, kto ma przejąć po tobie władzę?

Spojrzała na nią swoimi ciemnymi oczami. Był w nich gniew.

- Wy, ludzie z gwiazd, wiecie bardzo dużo. Znacie rzeczy, które nam nawet do głowy by nie przyszły. Być może zechcecie powstrzymać uchodzące ze mnie życie? Porozmawiamy o tym. Statki... tak, bardzo mi się podobały. Już wiem, jak je budować, ale kto mógłby na nich polecieć? Mój lud nigdy z tobą nie rozmawiał, ale teraz ma okazję. Mogą cię zobaczyć i zastanowić się...

McGee patrzyła na bardzo chorą kobietę. Patząc i myśląc o Elai, zawsze miała przed oczami dziewczynkę. Wtedy było inaczej: żółty piasek, przestrzeń wokół, słońce, wiatr. Teraz stała przed nią stara, złamana cierpieniem kobieta.

- Zrobię wszystko, co w mojej mocy - McGee bardzo szybko podjęła decyzję. - Pozwól mi tylko poinformować bazę, w przeciwnym razie nic nie zdziałam. Postaram się sprowadzić tutaj to wszystko, co otrzymał Jin. Powinno wystarczyć, przynajmniej na początek.

Elai nie zmieniała wyrazu twarzy. Trwała bez ruchu, jakby zapomniała o czym mowa. Wreszcie odezwała się:

- Dobrze - i pogładziła pieszczotliwie Ariela po końcu dzioba.

## 32.

### Rok 204, dzień 41 ery kolonialnej. Biuro dyrektora bazy.

• Przyszedł doktor Genley - asystentka odezwała się przez in-terkom, informując o zapowiedzianej wcześniej wizycie.

• Proszę go wprowadzić.

Dyrektor cofnął się wraz z krzesłem pod okno. Deszcz wygrywał monotonną melodię, bębniąc po parapecie, tańcząc na szybie, niesiony wiatrem hasającym pośród betonowych zabudowań bazy.

Genley musiał narzucić spore tempo, by tak szybko przybyć znad Styksu. Gra była jednak chyba warta świeczki.

W drzwiach stanął mężczyzna zupełnie inny od tego, którego dyrektor wysyłał za zasięki, by obserwował Kalibany. Szef bazy wręcz zamarł w bezruchu, wpatrując się w grubokościstego olbrzyma okrytego skórą, z długą zmierzwioną brodą, przetłuszczonymi włosami i bruzdami wyrytymi na twarzy przez wiatr.

■+ Chciałbym porozmawiać o McGee - odezwał się od progu.

• Także mam taki zamiar.

• McGee ma poważne trudności. Ludzie Gouda są szaleni.

• Doktor McGee zostawiła mi w swoim obozowisku wiadomość - dyrektor pochylił się nad pulpitem i wcisnął przycisk monitora.

• Słyszałem o tym - Genley ledwie raczył zerknąć na kopię listu.

• Czy wszyscy mieszkańcy wioski Jina są równie dobrze poinformowani co pan?

• Owszem, zostali poinformowani. Ktoś przyniósł im tę nowinę.

• Czy jest pan zdania, doktorze Genley, że mogli o tym wiedzieć znacznie wcześniej, jeszcze przed przybyciem kuriera?

Oni doskonale wiedzą o wszystkim, co się dzieje w Dwunastu Wieżach. Pisałem już o tym w swoich raportach... - Genley zaczął się rozglądać za krzesłem.

- Przepraszam, przecież pan powinien być zmęczony - dyrek

tor nagle się zreflektował. - Może coś ciepłego do picia?

- Chętnie. Jestem w drodze od poprzedniego wieczora. Jechałem bez odpoczynku.

- Tyler! - dyrektor nacisnął interkom. - Dwie kawy poproszę, migiem!

Ponownie rozparł się wygodnie w krześle i spojrzął na Genleya.

- W wiosce Gouda sytuacja zmieniła się radykalnie. Nowa władczyni jest przyjaźnie usposobiona do McGee. Biuro nie zamierza wtrącać się w ten sprzyjający układ.

Genley gwałtownie poczerwieniał na twarzy.

• Potrzebuje środków łączności...

• Pomyślimy o tym.

• Potrzebuje pomocy. Czterech lub pięciu ludzi ze sztabu...

- O ile jest to w ogóle możliwe.

Genley spojrzął ostro na dyrektora.

• Jestem przeciwny pozostawianiu jej tam samej. Mogę postarać się o doświadczoną ekipę. Jeśli wyznaczeni ludzie nie zostaną zaakceptowani, możemy ich wymienić.

• Czy w tej propozycji mam się dopatrywać wotum nieufności dla doktor McGee?

Genley rozejrzał się.

• Czy w tej chwili jesteśmy nagrywani?

• Nie. Jeszcze nie uruchomiłem dyktafonu.

• Więc... Cóż, uważam, że McGee nie panuje nad sytuacją w stopniu wystarczającym, by pozostawiać ją samą na posterunku. Nie byłbym tego pewny nawet w przypadku, gdyby to nie McGee tam była...

• Co pan chce przez to powiedzieć?

• Chcę powiedzieć, że od czasu do czasu musimy u Jina spotkać się z całym zespołem badawczym, by przypomnieć sobie, skąd pochodzimy, kim jesteśmy i jakie są nasze cele. Nie jestem pewien, czy McGee jest wystarczająco silna do zachowania własnej tożsamości bez pomocy drugiego człowieka. Trzeba być naprawdę twardzielem... Nieprzystosowani. Czytał pan mój raport o tych isto-

tach?

- Owszem.
- Zatem wie pan, jak bardzo mogą zdziwić ludzie przebywający w pobliżu Kalibanów. Sądzę, że profil psychiczny McGee jest jakby idealny do tego, by stała się jedną z nieprzystosowanych. Mocno i bardzo długo marzyła na ten temat. Boję się, że jest świetnie przygotowana do stopienia się z tym światem.

Dyrektor spojrzał znacząco na siedzącego przed nim człowieka, odzianego w skóry, wyglądającego jak barbarzyńca wśród cywilizacyjnych gadżetów. Genley wniósł ze sobą w dodatku dziwny zapach. Nie był to odór niemytego ciała, ale woń ziemi, ostry zapach piżma, drewna i jeszcze coś nienazwanego.

- Uważa pan, że może stać się nieprzystosowaną?
- Ona już dawno upodobniła się do tubylców z wież. Nie posiada własnych dzieci, jest kobietą i nagle na pustej plaży spotyka inteligentną dziewczynkę... ucieleśnienie marzeń o własnym dziecku. Pan dobrze wie, co z tego może wyniknąć.

Dyrektor przyglądał się Genleyowi spod półprzymkniętych powiek.

- Mówi mi pan zatem, że niektórzy ludzie przebywający za za siekami szukają... czego? Czy dobrze zrozumiałem? Zaspokojenia swoich najgłębszych marzeń i potrzeb psychicznych?

Nie wiedzieć czemu rumieniec na policzkach Genleya przybrał ciemniejszą barwę.

- Nie mam żadnych podstaw do tego - ciągnął dyrektor - by wątpić w szczerość intencji i motywacji pani doktor McGee, oraz w jej zawodową uczciwość. Jestem też świadkiem waszych nieustannych sporów, które prowadzicie od kilkunastu lat. Mam nadzieję, że przynajmniej pan będzie w stanie powstrzymać swą zajądłość... zwłaszcza teraz. Nie będę tu przypominał, jak Ministerstwo Nauki reaguje na każdą, najmniejszą nawet próbę manipulowania danymi. I nieważne, czy chodzi tu o Styks, czy o Clouda...

Genley kręcił się na krześle, jakby siedział na rozżarzonych węglach. Wyraźnie był wściekły.

• Mam nadzieję, że podobne ostrzeżenie otrzyma także McGee. Muszę powiedzieć, że Elai traktuje ją jako poważny problem, wymagający szybkiego rozwiązania.

- Ma pan na myśli wioskę nad Styksem?
- Dokładnie.
- McGee donosi, że Elai bardzo podupadła na zdrowiu, więc w tym stanie raczej nie jest niebezpieczna.

Genley ponuro spojrzał na dyrektora.

- Posiada za to bardzo niebezpiecznego Kalibana.
- A cóż to znaczy?

Genley przez chwilę zastanawiał się nad odpowiedzią. - To sprawa przywilejów łowców. Jak wcześniej pisałem w raporcie, pozycja człowieka wspiera się na dominacji nad Kai i banami. Ci, którzy posiadają najlepsze, najbardziej waleczne, zajmują szczyt drabiny społecznej.

• Proszę mnie zatem oświecić w pewnej kwestii. Jaką pozycję zajmuje pan w hierarchii społecznej wież nad Styksem, skoro nie przyznano panu nawet najskromniejszego Kalibana, a do bazy pędził pan pieszo?

• To zupełnie inna sprawa. Elai odziedziczyła Kalibana będąc dzieckiem. Coś jak spadek po babce...

• Niech mi pan powie... bo chyba nie podziela pan żadnego zdania McGee, że tam życie na równi z jaszczurami i z ludźmi, nie robiąc żadnej różnicy pomiędzy dwoma gatunkami?

• Nie! Nic podobnego nie myślę! - odpowiedź Genleya była natychmiastowa i jednoznaczna. - Co najwyżej przychylam się do hipotezy, że plemię Clouda jest niewolniczo przywiązane do legend o inteligencji jaszczurów. Cóż, starożytni Rzymianie też podjęcie decyzji wspierali różnymi wróżbami. Myślę, że podobnie wygląda sprawa z Kalibanami. Posiadają jakiś niezawodny instynkt albo coś w tym rodzaju. W każdym razie na nich można polegać równie dobrze jak na tym, gdy Rzym budował swoją pomyślność na obserwowaniu gęsi.

• To już chyba lekka przesada. Gęsi ziemskie i te jaszczury trochę się różnią...

• To sprawa dla biologów. Radzę przyjrzeć się nieprzystosowanym. To znakomity przykład komunikacji ludzi z Kalibanami. Wałęsają się razem z nimi labiryntami korytarzy, nie mówią, nie ma z nimi kontaktu oprócz tego, że wykonują czasem słowne polecenia. Chce pan wiedzieć, co sądzą Kalibany? Proszę spytać nieprzystosowanych... Sir, musimy jak najszybciej dotrzeć do McGee, jeśli chcemy, by wykonała swoje zadanie właściwie.

- Jej hipotezy znacznie różnią się od pańskich. Czy ta różnica powstała w wyniku odmienności kultur, które obserwujecie?
- Wątpię.
- Ale nie wyciąga pan z tego konsekwencji?
- Myli się pan. Ja czekam na wyniki jej badań, ale od szesnastu lat nie otrzymuję nic, poza bzdurnymi, wyssanymi z palca historyjkami. Mam nadzieję, że obecna szansa kontaktu z ludem Clouda nie zostanie zaprzepaszczone. Chciałbym zapewnić cały Komitet, że tym razem nie chodzi o osobiste porachunki. Wkroczyliśmy w świat dwóch obcych kultur i stoimy na rozdrożu. Albo swoimi działaniami przyczynimy się do ich rozkwitu, albo pogorszymy i tak już napiętą sytuację, doprowadzając do otwartego konfliktu. Jin czeka na rozwój wypadków.
- I to tylko z powodu jednego - jak pan to mówi „niebezpiecznego” - Kalibana?
- I tak, i nie. Jin uważa, że Elai przywłaszczyła sobie więcej honorów, niż jej zwyczajowo przysługiwało. Jest zadufana i pewna siebie. Nie przejęła się reakcją bazy na uwięzienie McGee. Warto się zastanowić, jakie są jej plany.
- Potwierdza pan właśnie teorie doktor McGee.
- W naszym rozumowaniu tkwi zasadnicza różnica. McGee uważa, że Kalibany mają umiejętność logicznego myślenia i rozumnego podejmowania decyzji o losie swoim i ludzi. Nie zgadzam się z tym. Jaszczury są po prostu własnością tych ludzi, gdyż widzą ich siłę i potrafią wyciągnąć wnioski dotyczące hierarchii. Elai jest na szczycie drabiny społecznej, wywierając presję na współplemieńców. Co będzie, jak zażąda ofiar? Ilu istnień będzie potrzebowała, żeby zaspokoić swoje szaleństwo? Myślę o McGee i Styksie. Ostatnia wojna pochłonęła wiele ofiar.
- A może nie dojdzie do wojny z powodu Elai, ale z innego?
- Tę drogę zbudowaliśmy dla podniesienia wydajności rolnictwa. Wojna cofnie obie kultury o setki lat.
- One liczą sobie sto lat, pytanie więc brzmi, kogo cofnie o setki lat? Genley zamilkł zmieszany. Przybrał wojowniczą minę.
- Być może - kontynuował dyrektor - to Kalibany nie dopuszczą do wojny. Albo ją wywołają, a ludzie pójdą za nimi.
- Pańskie słowa brzmią jeszcze bardziej radykalnie niż teorie McGee.
- Zgadza się. Różne myśli przychodzą człowiekowi do głowy, gdy tak siedzi zamknięty w bazie. Rozsądnie postąpiła ta strona, która zachowała rezerwę wobec swoich pomysłów. Myślę jednak, że skoro McGee złapała wreszcie wielką szansę, nie powinno się jej odsuwać. Trzeba ją wspomóc.
- A czy nie pomyślał pan, że lud Gouda wykorzysta McGee do własnych celów? Jin jest o tym całkowicie przekonany.
- Cóż... - westchnął dyrektor. - W tej chwili nie pozostaje mi nic innego, jak pozostawić sprawę własnemu biegowi. Mówiąc szczerze, nie widzę tu możliwości manewru. A może pan mógłby mi coś doradzić?

### 33.

#### Rok 204, dzień 42 ery kolonialnej.

Wiadomość E.McGee do bazy, przekazana przez Daina z Fla-nahanów na polecenie Elai Najstarszej.

„Jestem bezpieczna i w dobrych rękach. Udało mi się przekonać nową władczynię do przekazania następującej wiadomości (dla dobrego samopoczucia służb bezpieczeństwa **informuję**, że mój identyfikator to 8097-989. a na moim biurku w bazie stoi hologram róży):

Po śmierci Ellai cała władza przeszła na jej córkę, Elai. Na początku panowania władczyni wysłała wojownika, by sprowadził mnie do pierwszej wieży. Obchodząc się ze mną dyplomatycznie i jestem zadowolona z położenia. Nadarza się wreszcie świetna okazja, by poznać bliżej tę kulturę. Poruszam się po całej wieży bez problemów i wypytyję, co takiego się zmieniło w ciągu ostatnich szesnastu lat, że lud Gouda dojrzał do nawiązania kontaktu z nami.

Potrzebne mi jest chociaż minimum sprzętu. Elai wykazała zrozumienie dla moich potrzeb, dlatego za siedem dni udam się do swojego obozowiska, gdzie -jak mam nadzieję - pozostawicie mi potrzebny sprzęt. Są mi niezbędne:

- przybory do pisania;
- całe dozwolone wyposażenie ekip pracujących poza bazą;
- cztery zmiany bielizny;
- zapasowa para butów;

- mydło;
- lekarstwa i medpakiet pierwszej pomocy.

A także, co najważniejsze, pakiet antybiotyków klasy A, pakiet witamin i preparatów mineralnych i pakiet preparatów dietetycznych.

Wiem, że to niewielkie zapotrzebowanie, ale moje możliwości transportowe zależą od Elai. Ponieważ nie wiem, kiedy będę mogła ponownie otrzymać wasze wsparcie, stawiam głównie na medykamenty, aby wystarczyły na dłużej. Chodzi głównie o moje dolegliwości żołądkowe, wynikające z nieprzystosowania się do nowych pokarmów. Podobny transport dostała zresztą także ekipa znad Styksu. Dziękuję, McGee".

### **Rok 204, dzień 42 ery kolonialnej. Biuro dyrektora bazy.**

• Zezwalam na wszystko, o co prosił doktor McGee - powiedział dyrektor do asystentki. Tyler nie była jednak do końca przekonana racjami, kierującymi jej przełożonym.

• Ale doktor McGee domaga się całych pakietów. Przypominam, że w jednym pakiecie znajduje się tysiąc porcji po pięćdziesiąt centymetrów sześciennych. Doktor myślała chyba o kartonach, zawierających sto porcji...

- Proszę jej wysłać tyle, ile prosiła. W pakietach!
- Tak, sir - asystentka wreszcie skapitulowała.
- Czy nadeszła jakaś wiadomość od Genleya?
- Tak, ale to nic pilnego. Poinformował tylko, że jest w drodze do osiedla nad Styksem.

- Czy otrzymał kopię listu od McGee?

Asystentka szybko przebierała palcami po klawiaturze komputera.

- Tak. Czy to błąd? O ile pamiętam dokument nie był oznaczo

ny jako tajny.

• Nie, wszystko w porządku. Chcę być natychmiast powiadamiany o każdej informacji nadchodzącej z zewnątrz. Także wtedy, gdy przyniesie ją tubylec. Niezależnie od pory dnia czy nocy.

• Tak, sir.

• Transport dla McGee potraktujemy jako drobną przesyłkę. Proszę szybko przygotować dokument, chciałbym go zaraz podpisać.

-A co ze Smithem?

• Smith?

- Asystent doktor McGee. Czy ma wracać nad Rzekę Obłoków? Bo złożył pytanie w tej sprawie.
- A czy on chce tam na pewno wracać?
- Prosił jedynie o jakieś towarzystwo, jeśli otrzyma rozkaz wyjazdu.

-A o jakie towarzystwo prosi ten facet?

- Cały oddział bezpieczeństwa i fura sprzętu - pokazała na ekranie listę Smitha.

- Zapomnijmy o nim. Z transportem wyślę jednego człowieka z bezpieczeństwa. Znajdź mi kogoś z doświadczeniem, a jednocześnie takiego, co był dotąd z dala od spraw wioski nad Styksem. Tacy ludzie znani są obu stronom... o ile te opowieści o obiegu informacji nie są wierutną bzdurą. Proszę dokładnie zanalizować teczkę personalne. Nie chcę wysyłać kogoś o słabych nerwach i ze skłonnością do szybkiego pociągania za cyngiel.

Dyrektor do członków Rady.

„Mam zamiar rozpocząć nowe przedsięwzięcia wśród społeczności Gouda. Nawiązaliśmy świeży kontakt, bardzo obiecujący. Zależy mi przede wszystkim na zebraniu **materiału** porównawczego".

Dyrektor bazy do E.McGee. Wiadomość przesłana wraz z zaopatrzeniem.

„Mam nadzieję, że w ten sposób zdołam doprowadzić do polepszenia pani stanu zdrowia. Całe przedsięwzięcie popieram. Proszę pozostawać w kontakcie".

## **34.**

**Rok 204, dzień 200 ery kolonialnej. Dwanaście Wież.**

Elai śmiała się. Bardzo głośno, czym wystraszyła Kalibany znajdujące się w komnacie Najstarszej. Tylko Dziobaty pozostał niewzruszony i nie przerwał drzemki, wylegając się w promieniach zachodzącego słońca. Obok siedziała McGee i opowiadała dziadkowi Elai, w jaki sposób jego matka próbowała pewnego dnia przepłynąć morze, aby dostać się na wyspy.

W oczach małego Dina widniało zdumienie i niedowierzenie. Wolno odwrócił się ku matce, niemo pytając, czy to prawda. W tym czasie starszy o pięć lat brat grał z Arielami w kamienie.

Team nigdy nie był rozmowny. Najchętniej przebywałby sam w czterech ścianach, nic nie mówiąc. To usposobienie odziedziczył po linii Flanahanów, która przez tę milczkowatość prawie już wyginęła. Bywały jednak chwile, gdy ta jego małowówność bardzo się przydawała.

Po Teamie przyszedł na świat Cloud, teraz trzyletni. Był hałaśliwy, niezwykle ruchliwy, wciąż przewracał kunsztowne konstrukcje z kamieni, które ułożył jego brat pospołu z Arielami. Jaszczurki były cierpliwe, odbudowywały wciąż od nowa to, co zniszczył Cloud, a gdy chłopiec stawał się zbyt niezdolny, do akcji wkraczały niańki.

Dziobaty miał na szczycie wieży stałych towarzyszy - Kalibana imieniem Krasnał, należącego do Cloud i Kamyka, który był własnością Dina. Team nie posiadał jaszczura, gdyż nie lubił posiadać niczego. Przyszyci się, że mało mówił, a jego jedynym zajęciem było układanie kamieni. Tę sztukę opanował prawie do perfekcji.

- Jeden w całej wieży - powiedziała Elai, patrząc na Teamę. - Dobrze.
- Ale co by było, gdyby był jedynakiem? - zapytała McGee.
- Najmłodszy zwykle opuszcza wieżę - odpowiedziała, zamyślona. - Sądziłam, że to Cloud pójdzie między wały, ale gdy miał rok - zmarł Marik. Myślę, że w jakiś sposób wpłynęło to na chłopca...

McGee tak nie uważała. Dla niej wywody matki chłopców pełne były przesądów w tym względzie.

Ale kobieta z gwiazd miała jakiś specjalny wpływ na Dina, który uwielbiał słuchać jej opowieści.

- Naprawdę tak zrobiłaś? - wypytywał teraz matkę. - Wypłynęłaś daleko w morze?

Elai uniosła suknię i pokazała mu starą bliznę na nodze.

- Właśnie z tego powodu nie potrafię teraz szybko chodzić. Umarłabym na plaży z upływu krwi, gdyby McGee mnie nie opatrzyła.

- A co jest za morzem?

Oczy Dina były równie ciemne jak oczy matki i tliła się w nich ta sama ciekawość świata i żądza wiedzy, która rozpaliała młodą Elai.

- Są tam rzeczy, których nikt nie widział.

- Ale co dokładnie? - wypytywał dalej Din, coraz głośniej, aż jego Kaliban podniósł się na nogi. Dziobaty usadził go jednak w miejscu ostrzegającym sykiem.

- Koniec z bajkami - przerwała Elai. - Takich rzeczy nie powinno się opowiadać małym dzieciom.

- Może jutro - pocieszała go McGee. - Musisz być tylko grzeczny...

- Zmiataj stąd! - przerwała jej ostro Elai. - I to szybko, bo oboje rwiesz łanie.

Din pociemniał na twarzy z gniewu. Jego brązowy Kaliban, bardzo jeszcze młody, węszył głośno zapach ewentualnego wroga.

- I zabierz swoich braci - dodała matka.

Do akcji wkroczyły niańki - te same, stare kobiety, które kiedyś przyniosły McGee pierwszy posiłek w wieży. Chłopcy nie mieli wyboru. Wiedzieli, że lepiej słuchać się matki, bo awanturowanie się w pobliżu Dziobatego mogło się źle skończyć. Ich krzyki umilkły na korytarzu.

Władczyni stanęła pod oknem, spoglądając na swoje dziedzictwo, skąpane w czerwonym słońcu zachodu. Wokół wieży kołysały się złote łany zbóż, wraz z kolorowymi pasami ogródków tworząc dziwny wzór, jak pasy plisowanej spódnicy. Nad rzeką siedzieli nieprzystosowani, za ich plecami suszyły się ryby.

McGee uśmiechnęła się na ten widok skrycie, w duchu, tak jak to czynili tubylcy. Czują, że odniosła niewielki sukces. Widziała, że Elai jest zadowolona - każdy, kto umiał czytać język ciała i gestów ludzi z ludu Clouda, mógł to zauważyć. Jej młody dziedzic zaczął mówić, a nawet zadawać ważne pytania. Przeszedł od strachu przed dorosłymi do trochę bolesnej, bo nigdy niezaspokojonej żądzy wiedzy. Zapewne nie obawiał się już matki, a nawet zaczął się zastanawiać, kim ona naprawdę jest.

Wraz z nadejściem wiosny Elai rozkwitła jak drzewo, które po długim czasie utajonego życia

wypuszcza nową gałąź. Wyraźnie zaczął się dla niej nowy okres w życiu. Z całą pewnością jakąś zasługę miały tu zalecane przez McGee ćwiczenia, podawane antybiotyki, witaminy i odżywki. McGee nie do końca była pewna kierunku swoich działań, ale postanowiła zacząć od wprowadzenia wśród ludu Clouda nowych nawyków żywieniowych.

- Jeść ryby? - Elai, podobnie jak jej współplemieńcy jadła ryby tylko przymuszona głodem.

Posłuchaj mnie uważnie - cierpliwie tłumaczyła McGee. - Ludzie Jina, żeby otrzymać wartościowe pożywienie, zjadają szare Kalibany. One zaś żywią się rybami, które zjadają mniejsze ryby. które z kolei jedzą mały plankton. W ten sposób łańcuch się zamyka. Ponieważ nie polujecie na szare Kalibany, musicie zacząć jeść

ryby. Trzeba nauczyć rybaków, jak je suszyć i wędzić. To nietrudne. A tak przyrządzone ryby smakują lepiej i są odżywcze.

- Ja wolę tabletki - protestowała Elai.

- Nie mam icli tak wiele, żeby starczyło dla wszystkich. Chcesz mieć zdrowych poddanych?

Po rybach przyszła kolej na sieci, zupy rybne i przetwory. Ci za ogrodzeniem natychmiast powiedzieliby, że wtrąca się w nie swoje sprawy. Ale McGee wiedziała co robi.

Osobiste notatki McGee. Zakodowane.

„Wciąż stawiałam chłopcu nowe pytania i opowiadałam różne historie. Stopniowo jego wrogość wobec mnie topniała, teraz wyczuwam w jego głosie respekt. A na początku, gdy patrzył na mnie lub matkę, widziałam w jego oczach wyraźną wrogość.

Stosunek Elai do dzieci jest dziwny. Zwykle używamy skrótu myślowego na określenie tych wszystkich czynników i pojęć, które definiują wzajemne stosunki pomiędzy matką a dziećmi, mówiąc - instynkt macierzyński. Tutaj sytuacja wygląda zupełnie inaczej. Nie chcę sugerować, że Elai nie kocha swoich dzieci lub nie darzy ich żadnym uczuciem. Mówi z niepokojem i bólem o śmierci jednego z synów, ale nie mogę stwierdzić, czy jest to żal po stracie czegoś, co się nie udało, czy zwykła, typowa dla matek troska o dzieci.

Dzieje ludzkości pełne są przykładów macierzyństwa bez uczuciowej ekspresji. Czy jednak badacz może podawać w wątpliwość podstawę wszelkich więzi rodzinnych? A może mylimy się, budując domniemany obraz naszego świata na fantazjach, zamiast opierając się na doświadczeniu? Ileż takich fantazji stworzyliśmy, pragnąc uczynić nasz świat bardziej znośnym, przytulnym, czy - krótko mówiąc - bardziej ludzkim?

A może umiejętność budowania fantazji, kreowania nie istniejących rzeczywistości jest nieodłączną cechą każdej inteligencji, która tworzy świat pojęć abstrakcyjnych w chwili, gdy nigdzie nie można znaleźć odpowiedzi na dręczące nas pytania o sens egzystencji? Czyli etnografia mogłaby być pseudogenetyką, wprowadzającą nas w bardziej zawity świat kodów - wzorców kulturowych.

Poza tym ciekawe staje się pytanie, czy instynkt macierzyński jest potrzebny wszystkim istotom? Sądzę, że nie jest konieczny do przeżycia. Ale może mój osobisty światopogląd wypacza ten osąd.

Tych ludzi wyprodukowano w laboratoriach Unii dwieście lat temu. W tym czasie zdążyli spłodzić kilka pokoleń: dzieci, wnuków, prawnuków i praprawnuków. Synowie Elai mają różnych ojców. Niektórzy ludzie nad Rzeką Obłoków łączą się w trwałe związki, przeważnie jednak są to przelotne romanse. Zapytałam Elai, czy zna imiona ojców swoich dzieci.

- Oczywiście - odpowiedziała. - Jeden nazywał się Din, drugi Cloud, trzeci Team, a czwarty Marik...

Zatem synowie noszą imiona ojców biologicznych. Ani razu nie spotkałam ich w pierwszej wieży, nie zostali mi przedstawieni. Kiedyś Elai powiedziała coś, co rzuca trochę światła na tę sprawę:

- Ten człowiek pochodził z Nowej Wieży. Dziobaty i jeszcze jeden Kaliban mieli niemałe trudności... zdołał im uciec. Od tamtej pory wszelki słuch po nim zaginął.

- Czy Dziobaty go zabił? - zapytałam, nie będąc pewna, kto zdołał uciec.

- Nie - usłyszałam tylko.

Team panuje w wieży nad morzem, sądzę, że syn Elai jest właśnie jego ojcem. Moja przyjaciółka utrzymuje z nim serdeczne stosunki, chociaż na odległość. Powiedziałam jej kiedyś w gniewie, że nie posiada w sobie macierzyńskiego ciepła. Gdy patrzę na nich, mam wrażenie, że ich wzajemne stosunki to rodzaj rywalizacji, w której Kalibany też odgrywają jakąś rolę. Dzisiaj dostrzegłam coś, co mi wcześniej umknęło: Elai traktuje swoich synów jak dorosłych.

Cloud potrafi już chodzić, jak to zwykle u dzieci w jego wieku. Opiekują się nim niańki i nieprzystosowani.

W przypadku Teama trudno powiedzieć cokolwiek o jego potrzebach i inteligencji. Te same



niańki troszczą się, by miał co jeść. Ten sześciolatek nie zachowuje się jak dziecko. Przez ostatnie dwadzieścia lat widziałam tylko dzieci urodzone na Gehennie, ale on wprawia mnie w zdumienie. Wydaje się być całkowicie pozbawiony świadomości. Fizycznie jest podobny do Elai, ale zachowuje się tak, jakby nie widział i nie słyszał. Autystyczne dziecko.

Czy zatem dzieciństwo jest także tylko jednym z naszych wyobrażeń? A może tak zwana dorosłość należy do świata iluzji, który wspólnie wykreowaliśmy, żeby siebie okłamywać?

Mieszkańcy Dwunastu Wież są ludźmi - ich kod genetyczny świadczy o przynależności do naszego gatunku. Zastanawiam się jednak, do czego doprowadzą nas geny, a do czego nasza cywilizacja? Ta kosztowna awanturnicza konstrukcja, jaką przywieźliśmy na ten świat.

Co się z nami stanie?

A może należy sformułować pytanie tak: co się stało z czterdziestoma tysiącami z Gehenny? Wyglądają jak my, lecz przebywając z nimi straciłam już perspektywę. Powinam wysłać do bazy jakiś uspokajający raport.

Lud Gouda zdołał mnie już zaakceptować, nadal jednak nie wiem, w jakim charakterze..."

## 35.

### Rok 2(0)4, dzień 232 ery kolonialnej. Wieże nad Rzeką Obłoków.

W obozie zwano ją McGee. Z którejś z dalszych wież przybyła do niej kobieta, tocząc wyglądzony w wodzie kamień. Był tak wielki, że tylko brązowe Kalibany mogły go podnieść. Ale ta kobieta zdobyła się na ten wielki wysiłek i jakoś przyturlała go do pierwszej wieży. Położyła go u stóp McGee w czasie zgromadzenia mieszkańców.

- Co to ma znaczyć? - spytała zdumiona McGee.
- To kamień węgielny - odpowiedziała Elai. - Skupia światło słoneczne i zapowiada narodziny dziecka. To podziękowanie.
- Co powinnam zrobić?
- Nic. Zostaw go, niech sobie leży. Jak tylko jakiś Kaliban będzie go potrzebował, weźmie go sobie.

Osobiste notatki McGee. Zakodowane.

„Ilekoć wydaje mi się, że zdołałam coś zrozumieć, odkryć, zaraz natykam się na kolejną zagadkę, która burzy zbudowane już teorie. Jakaś obca kobieta położyła u moich stóp wielki kamień. Był jeszcze ciepły, nagrany od słońca. Kalibany używają ich do budowy swoich gniazd, gdzie składają ją. Kamień oznacza tu dziecko... ten rytuał był bardzo ważny dla składającej go kobiety. Wyglądała na wielce przejętą. Ale nie płakała - w ogóle nie widziałam tu jeszcze nikogo, kto by płakał.

Myślę, że gdyby uroniła choć jedną łzę, straciłaby poważanie.

Miłość macierzyńska. Czy oni znają to pojęcie?

W jaki sposób powinnam im odpowiedzieć na to pytanie? Czasem jestem już blisko odnalezienia odpowiedzi, ale zawsze mi ona w końcu umyka.

Elai coś czuje w stosunku do mnie. Nazywa mnie przyjaciółką, dyskutujemy na różne tematy. Liczy się z moją opinią. Kto wie, może to tylko jej zły stan zdrowia sprawił, że czuła się wyobcowana z rodziny i oddała dzieci niańkom na wychowanie.

Gdy ludzie tu umierają, ich Kalibany wypływają w morze, by nigdy już nie powrócić. Czasem jest inaczej. Dzisiaj jeden poszedł na plażę i tam umarł. Grupa ludzi udała się na plażę i obdarła go ze skóry, a ich Kalibany pożarły resztę. Ludzie pozbierali ogryzione kości, bo to bardzo cenny materiał, u nich robi się z niego rzeczy, które u nas są zwykle metalowe. Z kości Kalibanów robi się też ozdoby, to surowiec na wagę złota.

Większość rzeczy codziennego użytku wykonuje się z drewna lub kamienia, stąd tak wysoka wartość twardej kości. Oni robią, co tylko w ich mocy, żeby utrzymać jakieś minimum luksusu, ale to bardzo trudne. Gdyby znali inny sposób życia, natychmiast by porzucili obecny.

Na brzegu rzeki rozpoczęto jakieś prace budowlane. Elai twierdzi, że Kalibany wnoszą nową wieżę. Ludzie przy tym nie pracują. Jestem pewna, że stacja orbitalna zauważyła to poruszenie. W raporcie nazwałam tę konstrukcję *budowlą o nieznanym przeznaczeniu*. Wierzę, że bardziej byłaby pożądana interpretacja dla nas zrozumiała, ale nic innego nie przychodzi mi do głowy.

Elai, jak mi się wydaje, także nie wie, o co tu chodzi".

## 36.

### Rok 204, dzień 290 ery kolonialnej. Wieże nad Rzeką Obłoków.

Obie kobiety siedziały na dachu pierwszej wieży, grzejąc się w promieniach letniego słońca.

- McGee. jakie to uczucie, kiedy się lata?

Ostatnio Elai znowu zaczęła ją wypytywać, wręcz zasypywała pytaniami. Jakby przypomniawsobie swoją dawną pasję.

- To takie samo uczucie, jakbyś siedziała na czymś, co bardzo trzęsie. Niekiedy statek kołysze mniej, innym razem więcej. Czasem żołądek podchołdzi ci do gardła. Z góry wszystko wygląda na małe: rzeki są jak nitki, morze jest płaską, lśniąca powierzchnią. Góry przypominają pomietą, porzuconą chustę, a lasy krople wody.

Elai popatrzyła na nią uważnie. Gdzieś w jej głębi obudziło się coś, co zginęło, stłumione dorosłością. Wyraźnie posmutniała.

- Nigdy tego nie widziałam.
- Ja także od wielu lat nie latałam. Może nigdy nie będzie mi to już dane!' Nie wiem... Zmarszczki na czole Elai pogłębiły się.
- Do nieba bronią wstępu zasieki z drutu. -Ależ skąd! Co ci przyszło do głowy?
- Czyli mogłabyś latać, gdybyś miała na to ochotę?

McGee zastanowiła się. Nie była pewna, dokąd zmierza ta rozmowa, dokąd może je obie zaprowadzić.

t- Łódki, które wypuszczałam w morze, płynęły dokąd chciały, nie miałam na to wpływu. Kiedy wasze statki sfruwają z nieba, wy nimi sterujecie. Latacie, gdzie wam się żywnie podoba, my tylko w jedną stronę. A wstępu broni nam drut. Czym zasłużyliśmy na tę karę?

Serce McGee zabiło mocniej.

• Niczym nie zasłużyliście. Powiedz mi, Elai, skąd biorą się u ciebie podobne myśli? Długo nad tym myślałaś?

- Z książek. Ze starych książek - odparła po długiej chwili namysłu.
- A czy mogłabym... - serce biło jej coraz szybciej - ...czy moglibyśmy zajrzeć do nich razem? Elai spojrzała na nią bystro.
- Po co? Myślisz, że dowiesz się z nich czegoś, czego jeszcze nie wiesz? Przecież doskonale ci wiadomo, skąd pochodzimy. Wiesz wszystko... prawda, McGee?

- Wiem tylko to, co widać, nie wiem, co jest w środku.
- Na przykład?
- Kalibany. W jaki sposób z nimi rozmawiacie?
- W książkach o tym nie przeczytasz. One mówią tylko o nas, wyjaśniają genealogie poszczególnych rodów, opowiadają historię plemion i skąd się wzięło plemię znad Styksu...

- A skąd?

Elai umilkła czymś zagniewana, potem wskazała na wnętrze swej dłoni.

- Tego nie można wyrazić słowami. O tym mówią wzory.

Osobiste notatki McGee. Zakodowane.

„Można wyodrębnić tysiące gestów, którym lud Gouda nadaje szczególne znaczenie. Według moich dotychczasowych obserwacji nie różnią się niczym od gestów, jakich używa lud Jina. Często używa się przy nich kamieni, noszonych specjalnie do tego celu w kieszeniach lub sakiewkach zawieszonych na szyi.

Najbardziej ciekawy sposób wysławiania się mają łowcy i wojownicy, przepuszczając kamienie pomiędzy rozcapierzonymi palcami. Nie można się w tym systemie doszukać żadnych prawidłowości pozwalających wskazywać na specjalny alfabet. Są to sekwencje prostych, bardzo jednoznacznie umotywowanych sygnałów, których treść zależy od kierunku ruchu.

Pomimo tego systemu, niektórzy mieszkańcy wioski umieją pisać.

Jeśli spojrzymy na te dwa systemy porozumiewania się, musimy przyznać, że ci ludzie posiadają pewne wykształcenie. Co się zaś tyczy komunikacji ludzi z Kalibanami...

Jaszczury potrafią zapytać o kierunek jazdy i codzienne czynności. Sama nauczyłam się już tyle,

że potrafię w miarę ogólnie porozumieć się z Dziobatem. Polega to mniej więcej na powiedzeniu „chcę na górę”, by dostać się do pomieszczenia władczyni, lub odwrotnie.

W wieży na każdym kroku można natknąć się na nieprzystosowanych. Opiekują się dziećmi i pełnią funkcję gońców. Większość jest bardzo wychudzona, co należy tłumaczyć ciągłym wysiłkiem fizycznym i skromnymi posiłkami. Na ogół składają się one ze zboża i ryb. Pomimo tego są nad podziw sprawni fizycznie, ale na ich sprawność psychiczną, czy raczej odchył od normy, wciąż nie mogę znaleźć wytłumaczenia.

Wcale nie jestem pewna, czy tego rodzaju dyferencja ma związek z modelem tutejszej cywilizacji, czy zadziałały inne czynniki.

Hipoteza pierwsza:

Nieprzystosowani są tacy z powodu pewnego rodzaju psychicznych komplikacji spowodowanych bliskim współżyciem z gatunkiem rodzimym Gehenny - Kalibanami. Istoty ludzkie - przynajmniej te psychicznie mniej odporne - identyfikują się z Kalibanami, od których zależy ich przeżycie.

Hipoteza druga:

Być może jest to optymalny sposób dostosowania się azich do życia na Gehennie.

Hipoteza trzecia:

Nieprzystosowani umieją rozmawiać z Kalibanami.

## 37.

### Rok 204, dzień 293 ery kolonialnej. Dwanaście Wież.

- Uważasz, że tego nie można wyrazić słowami..?
- Tak. Nie ma takich słów w ludzkim języku.

Elai uśmiechnęła się, robiąc przy tym rękami jakiś dziwny gest.

• Och, McGee. potrafiłabym wytłumaczyć to Dinowi i on by zrozumiał, ale z tobą nie jest to takie proste.

- Naucz mnie układać wzory! Przynajmniej w stopniu, w jakim umieją to dzieci.
- Żebyś zdradziła tę tajemnicę ludziom z kamiennych wież? Żeby wiedzieli, kiedy zamierzamy podejść pod ich zasieki? Kamienne wieże już kilka razy legły w gruzach, raz nawet cała baza zapadła się pod ziemię. Pamiętamy o tym.

Na te słowa Dziobaty, dotąd całkiem spokojny, znacznie się ożywił. Podpełzt pod rozmawiającą kobiety i Ariela, który w pośpiechu opuścił wznoszony z kamieni mur. Elai podrapała jego szorstki łeb, patrząc na McGee znad ogromnego cielska.

- Ludzie Jina stawiają tuż pod waszym nosem kolejną wieżę.

- Sądzisz, że baza jest w niebezpieczeństwie?

- Styks z jego mieszkańcami zawsze był źródłem kłopotów.

Możesz to przekazać kamiennym wieżom. - Elai wskazała ruchem głowy w stronę rzeki, a potem zadrzewionego horyzontu, - Nasi łowcy pójdą w tamte okolice. Kilku bandytów Jina skrócą o głowę. Jeśli nie w tym, to na pewno w prejszłym roku. Tak mówią wzory...

- Jak to?

Elai zakreśliła dłonią duże półkole wskazując linię horyzontu.

- Wy piszecie na małych tabliczkach. Kalibany natomiast piszą na górach i wzgórzach, odciskają informacje na wałach, wszędzie tam, gdzie coś budują.

McGee poczuła zimny dreszcz, który przebiegł jej wzdłuż kręgosłupa.

- Naucz mnie je odczytywać.

Elai ponownie pogłaskała Dziobatego i zrobiła zamyśloną minę.

- Kalibany mogą was zjeść na obiad.

- Ludzi?

- Oczywiście, wszyscy to wiedzą. Gdybym cię wysłała z Kali-banem na dół, mogłabyś mieć poważne kłopoty.

- Wcale cię o to nie prosiłam. Chcę tylko, żebyś mnie czegoś nauczyła. Ty, a nie Kalibany.

- Pokazałam ci już wszystko, co mogłam. Jeśli chcesz więcej, musisz się zgłosić do nich. Możesz nadal rozmawiać ze mną, uczyć się komend „na dół”, „na górę”, „stop”, ale jeśli chcesz poznać

prawdziwy język wzorów, musisz porozmawiać z nim.

Potężne oko spojrzało na McGee, w rozszerzonej źrenicy błysnęło żółte światło, podobne do słonecznika wtopionego w żywicę. Dziobaty badał ją.

- W porządku - zgodziła się. Była na tyle przerażona, że chęć nie uciekłaby, lecz zdołała przezwyciężyć strach i przybrać odwagę na minę. - Czy one umieją wyczuć, że ktoś się ich boi?

Chociaż z wiekiem twarz Elai nabrała twardych rysów Ellai Najstarszej, to w kącikach ust pojawił się wyraz rozbawienia.

• Zejdź na dół. Tak daleko, jak będziesz mogła. Myślę, że Dziobaty zechce ci towarzyszyć, choć nie mam tej pewności.

• Jak długo będę tam musiała być? Co zjedzeniem?

- Oni ci wszystko zapewnią. Nieprzystosowani tam żyją i o wszystko się zatroszczą. Stań się ponownie dzieckiem, McGee.

E. McGee do dyrektora bazy.

„Przez najbliższe dni nie będę nawiązywała łączności, gdyż mam do przeprowadzenia niesłychanie ważne badania”.

Osobiste notatki McGee. Zakodowane. „W podziemny labirynt zapuściłam się niezmiernie ostrożnie. Zgodnie z moimi obawami, panuje tam kompletna ciemność.

Wszędzie pełno Kalibanów i nieprzystosowanych. I jedni, i drudzy przyprawiają mnie o gęsią skórę. Boję się, jestem wręcz przerażona. Jeszcze nigdy tak się nie bałam. Może ten strach jest równy przeżyciu śmiertelnego zagrożenia. Śmierć...

Czymże innym, jak nie narażeniem się na śmierć, jest samotna wędrówka po podziemiach, gdzie dosłownie wszystko jest obce? Czyż nie jest śmieszne, że ksenolog z długoletnim doświadczeniem boi się właśnie tego, co obce? A może właśnie dlatego wybrałam ten zawód?

Czemu zdecydowałam się na tę wyprawę? Czuję się jak na wspinaczce w niebezpiecznych górach, ale muszę poznać tę tajemnicę. Strachu nie można wykluczyć z mojej pracy, jest jej nieodłącznym elementem.

A jeśli to nie strach, tylko szaleństwo?

Gdybym ich poprosiła, mogłabym wrócić na górę. Ale nie chcę, zostanę tutaj. Jakbym stchórzyła, Elai wyśmiałaby mnie, mówiąc, że właśnie tego się spodziewała. Straciłabym poważanie i szansę na dalsze badania w wiosce.

Od tej chwili przestałam być obcą, „kobietą z gwiazd”. Zamknęłam za sobą drzwi. Gdybym zrezygnowała - zawsze by się za mną ciągnęło: „To McGee, ta, co zawiodła”.

Naraziłabym Elai na złą sławę. Mogłaby stracić prestiż, a to dla Najstarszej złe. Nie wiem, co mogę tu robić poza trwaniem”.

## 38.

### Wieża Clouda. Podziemia.

Przyszedł czas na posiłek.

McGee wyczuła jego zapach, więc ruszyła po omacku w stronę jego źródła. Nie potrzebowała żadnego przewodnika, ale jeden z Kalibanów podjął się tego zadania. Dotykając szorstkiej skóry, po jej fakturze i wielkości jaszczura poznała, że to brązowy. Nazwała go w myśli „Pasterzem”.

Z początku bała się ich twardych łusek, kościstej paszczy, giętkiego i wielkiego ciała drapieży. W ciemnościach podziemi wciąż się z nimi zderzała, potykała o ruchliwe ogony - działo się tak, dopóki nie nauczyła się korzystać ze swego słuchu.

W mroku uwijały się liczne Ariele. Tych się nie obawiała. Gdy potrzebowała przejść dłuższy odcinek, chętnie podążała ich śladem, a one zachowywały się wobec niej przyjaźnie.

Wyczuwała w pobliżu stałą, nie natrętą obecność Dziobatego. Wysłała go władczyni, i McGee byłajej wdzięczna za troskę. Starła się zawsze mieć Kalibana Elai pod ręką. Przy nim nie obawiała się nawet nieprzystosowanych. Ich zachowanie nie było może normalne, ale wydawali się przyjaźnie nastawieni. Gładzili ją po włosach swymi długimi, szponiastymi

dłońmi, obejmowali, podtrzymywali na duchu, gdy traciła pewność swego wyboru.

Kilka razy spotkała się z kimś niezwykłym, czułym, przenikającym nawet te nieprzeniknione wydawałoby się ciemności. Gdy przyszedł do niej sam kapłan Kalibanów, niemy mężczyzna, z początku zachowywała się agresywnie. Wkrótce jednak zapomniała II o swojej przeszłości, o tym, kim była.

Kiedy później leżała w ciemności, pozbawiona uczucia i zmysłów, i straciła orientację w czasie i przestrzeni, pomyślała: McGee, zrobiłaś to, ale co będzie, jeśli to był błąd? Lepiej się podnieś i uciekaj.

Jednak zaraz z głębokiej podświadomości wypłynęła inna myśl - on mnie rozpozna, ale ja jego - nigdy.

Jeszcze później pomyślała: Nie ma się czym przejmować. Tylko ta ciemność jest rzeczywista, tylko to miejsce jest realne.

Wstała i pospiesznie ruszyła wzdłuż ściany, odnalazła jedzenie, usiadła w kucki i zaczęła pochłaniać surową rybę, dziwnie bez smaku. Ale przyzwyczała się już do jednostajnego menu.

Coś przemknęło koło jej stóp. To był Ariel, zebrzący o resztki z posiłku, więc zostawiła mu wnętrzności ryby i łeb. Bóg jeden wie, jakich chorób się tu nabawię - zaprotestowała cywilizowana część jej świadomości. Jestem silniejsza niż przypuszczałam, pocieszała się w duchu, mądrzejsza niż przed paru dniami. A były to dni, kiedy nie myślała w ogóle o sobie.

Ariel uciekł z miejsca posiłku w popłochu, co oznaczało, że ktoś się zbliża. Był to szary Kaliban, słyszała jak się powoli przemieszcza, więc cofnęła się nieznacznie, by mu zejść z drogi. Lecz on przyszedł po nią. Dotknął jej nozdrzami. Poglaskała jego ogromny łeb, ale on popchnął ją znowu. Kazał jej iść.

Nie pozostawało jej nic innego, jak spełnić to żądanie. Posłusznie poszła za jaszczurzym pasterzem.

Teraz nie szli bez jakiegoś określonego celu, a wyraźnie zmierzali ku jasnemu punktowi w oddali. Czyżbym ich zawiodła, spytała siebie, chcąc mnie wyrzucić? Przecież nawet nie zaczęli jej uczyć, nie widziała obok siebie żadnego z nieprzystosowanych od czasu... od czasu, gdy straciła rachubę czasu.

Przed nią zamajaczył niewielki okrągły otwór, przez który wpadało światło słoneczne. Zwolniła, by przyzwycząć wzrok do blasku. Szary Kaliban ją poprzedzał. Przecież już dawno zostawiliśmy za sobą wieże, pomyślała. Przed nią rozpościerała się rzeka. Podziemnym labiryntem dotarli do miejsca, gdzie rybacy rozkładali do suszenia sieci.

Czas odnaleźć Elai i zawiadomić bazę. Ile to już dni upłynęło? Coś rzuciło na nią od tyłu cień. Odwróciła się i zadarła głowę, patrząc pod słońce. Na zboczach stał ogromny brązowy Kaliban, szary stał nadal koło niej. Teraz przyniósł kamień i położył obok. Spostrzegła gniazdo Arieli i tuzin ichjaszczurzych ciał stłoczonych w skalnej niszy. Spokoju i ciszy nie mącił nawet plusk wody uderzającej o kamienne występy.

- Jestem tutaj - powiedziała i aż przestraszyła się brzmienia własnego głosu; od dłuższego czasu otaczała ją cisza - teraz słowa zabrzmiały bardzo obco.

Jakiś Ariel wyszedł z gniazda z kamieniem w pyszczku.

McGee kucnęła, podniosła kawałek skały i położyła obok jego kamienia. Ariel pognął po następny.

## 39.

### Rok 204, dzień 300 ery kolonialnej.

R. Genley znad brzegu Styksu do dyrektora bazy. „Przestałem otrzymywać regularne raporty od McGee. Czy powinienem sam się po nie zgłosić?”.

Dyrektor bazy do R. Genleya.

**1** „Proszę o cierpliwość. Doktor McGee wciąż zajęta jest swoją pracą”.

Dyrektor do szefa bezpieczeństwa.

„Wszystkie pytania o doktor McGee proszę kierować bezpośrednio do mnie. Jestem zatroskany brakiem wiadomości od niej. Proszę przygotować plan posunięć na wypadek jej przedłużającego się milczenia”.

Dyrektor bazy do stacji orbitalnej.

„Zarządzam ścisłą inwigilację Dwunastu Wież. Zebrany materiał kierować do mnie”.

Drugi brzeg Styksu. Wieża Greena.

Wokół wieży rozciągały się puste, świeżo zaorane pola, szarzejące w świetle zimowego słońca. Na zachodzie przestrzeń zamykały bagna, a na wschodzie las. Wiatr targał ciemnymi włosami Jina, słońce błyskało na wytartym, skórzanym odzieniu.

- Mój ojciec... - jego głos zabrzmiał ciepło. Położył rękę na ramieniu Genleya i pociągnął go ku wyjściu, gdzie rosły ciemiste krzewy, a drugą ręką wskazał ziemię przed nimi, ciągnącą się aż po horyzont. - To należy do mnie. Te wszystkie pola, ludzie, ich dobytek, plony i ziarno... Wszystko jest moje. Wiesz, mój ojczu, że w chwili obejmowania władzy miałem tylko jedną wieżę? Te, przy której stoimy. A teraz... sam popatrz, Genley. Popatrz i powiedz, co widzisz...

Były chwile, gdy z Jina wychodziło jego szaleństwo. Umiał wykorzystywać te momenty, gdy zasiewał w sercach rozmówców niepewność. Genley obserwował go uważnie, z podniesionymi brwiami, wahając się, co odpowiedzieć.

- Czy potrafisz sobie wyobrazić - dalej pytał Jin - że dzisiaj je den człowiek próbował mnie zabić?

To nie był żart. Genley zrozumiał to i z miejsca opuściło go dobre samopoczucie. Zmienił się na twarzy, zrobił się czujny.

- Kto? Kiedy?

- Mes Młodszy nastął na mnie zabójcą. Popelniał poważny błąd i poniesie tego konsekwencje. - Jin uderzył rękaw ścianę wieży. -To wszystko z powodu tej kobiety, Genley. Kobieta jest temu winna!

- Elai?

- McGee!

Jin obrócił się do niego twarzą, ukazując gniewne, czerwone z wściekłości oblicze.

- Zmowa kobiet! Wszędzie spiski! I to nie koniec zamachów.

We wsi mówią o mnie, że ciężko myślę i jestem marionetką w rękach ludzi z gwiazd. Myślą, że wykonuję twoje polecenia, a ty z kolei działasz według instrukcji z bazy. A ci z kamiennych wież słuchają tego, co mówi Elai, bo tego żąda McGee. Skoro jestem idiotą, to można mnie wystawić na próbę, prawda?

Genley wziął oddech.

- Ostrzegłem bazę przed podobnymi krokami.

- Jak widać nie zważają na twoje zdanie!

- Wniosem zażalenie, jak tylko zdobędziesz na to jakieś dowody. Już ja się postaram, żeby nas przepaszali.

Jin spojrział na wyższego od siebie Genleya. Cały drżał z wściekłości, z trudem się hamował.

- A jakiego dowodu potrzebują, żeby zrozumieć swoje niestosowne zachowanie?

- Wszystkiego o działaniach McGee. Na przykład, gdzie znajduje się w tej chwili. Wszelki słuch o niej zaginał. Nie wiesz czegoś na jej temat?

-To baza nie wie nawet, gdzie jest McGee?! Przecież podejmuje ją Elai! Od tygodni siedzą w wieży Gouda!

- Powiedz mi dokładnie, co w tej chwili robi McGee, a powiadomię bazę...

- Nie! - Jin wyciągnął rękę w geście, jakby chciał go uderzyć pięścią i podszedł do linii krzewów przy wejściu do wieży. Jego Kai i ban podniósł się z ziemi. Jin obrócił się i jeszcze raz wyciągnął do niego rękę. To nie była już wściekłość, a władczy gest. - Od dzisiaj nie będziesz rozmawiał z bazą. Genley, mój ojczu, udzielający mi rad... Jeszcze dziś wieczorem zostaniesz wysłany do wieży Parma, razem z Kimem i Manninem.

- Może lepiej przedyskutujmy powstałą sytuację...
- Nic! - Jin wskazał północ. - Teraz pójde tam i zabije człowieka, któremu wydaje się, że jestem głupcem. Ty zaś pójdziesz do Parmy. Będziesz miał wystarczająco dużo czasu, by zastanowić się nad kosztami posunięć tej kobiety, namawiającej Elai do tak głupich kroków.

Wszedł do wieży. Tylko drżące gałązki krzewów świadczyły o tym, że przed chwilą stał tutaj człowiek. Za Jinem podążył jego Kai i ban.

Genley oddychał ciężko, całkowicie wyprowadzony z równowagi.

## 40.

### Rok 204, dzień 321 ery kolonialnej. Dwanaście Wież.

~ McGee! ~ zawołała Elai.

Kobieta z gwiazd patrzyła na nią, spojrziała w jej oczy i Elai usłyszała tę straszną ciszę, jaka wypełniała wszystko wokoło, przenikając do szpiku kości.

Byli tu ludzie Elai. za nimi przyszyli ich Kalibany, które wniosły tę obcą kobietę. Była naga, włosy miała porozrzucane w nieładzie, wszystko to mówiło dużo o drodze, jaką przeszła. Mimo to nic nie wskazywało, by McGee straciła dawną moc. Ale też nie była to ta sama kobieta, która schodziła w podziemia pierwszej wieży. Nie była już dzieckiem.

- Wyjdźcie! - rozkazała McGee zebranym. - Wyjdźcie wszyscy.

Powoli pomieszczenie pustoszało, tylko Din nie chciał posłuchać rozkazu.

- Wynoś się stąd, chłopcze! - krzyknęła w jego stronę.

Niechętnie ruszył się ze swego miejsca, za nim Kaliban.

Pozostało tylko kilka szarych jaszczurów i Dziobaty.

Jakiś człowiek zza ogrodzenia przyszedł do nas - powiedziała Elai. - Pytał, co się z tobą dzieje. Odesłaliśmy go z powrotem. Było to cztery dni temu.

- Muszę więc porozmawiać z bazą.

- I opowiesz im prawdę o Kalibanach?

McGee zamilkła. Było oczywiste, że nie zdobędzie się na odpowiedź. Elai otworzyła dłoń, zamykając tym drażliwy temat. Bardziej ufała ciszy niż słownym zapewnieniom.

Żadnych słów - odezwała się McGee dziwnym, żarliwym tonem. - Dobrze wiesz, że nie zdradzę...

Elai dotknęła jej dłoń. Jej oczy pozostały nieporuszone. McGee wszystko rozumiała, każdy najdrobniejszy jej gest - w każdym bądź razie wystarczająco, by rozumieć mowę ciała.

- Chcę wrócić do swojego pokoju - powiedziała. - Mam już tego dość.

- Idź - bez słów i ze współczuciem przekazała jej Elai.

McGee wolno ruszyła w dół wieży.

### Rok 204, dzień 323 ery kolonialnej.

McGee do dyrektora bazy.

„Proszę wstrzymać swoje psy. Pogłoski o mojej śmierci to lekka przesada. Żyję i mam się dobrze. Ostrzegalam o przerwie w komunikatach. Właśnie piszę raport. Jak tylko go skończę - wyślę”.

Dyrektor do McGee.

„Proszę natychmiast wracać do bazy z pełnym raportem z przebiegu badań”.

McGee do dyrektora bazy.

„Raport wyślę natychmiast, jak będzie gotowy”.

### Rok 204, dzień 326 ery kolonialnej.

Osobiste notatki McGee.

„Ciężko przychodzi mi przyzwyczajenie się do starego rytmu pracy. Nie jestem już tym samym

człowiekiem, co wcześniej. Mam tego świadomość. Wiem..."

## 41.

### Rok 204, dzień 328 ery kolonialnej. Wieża nad Rzeką Obłoków.

Przyszedł na polecenie sekcji bezpieczeństwa.

Killey był przyzwyczajonym mężczyzną, rozsądnym, o ukształtowanych upodobaniach. McGee najpierw usłyszała, że coś się dzieje na dole. Potem doniesiono jej, że przybył człowiek z zaogrodzenia. Zrozumiała o co chodzi.

Włożyła służbowy kombinezon, przycięła włosy, obficie skropiła się perfumami. Później pobiegła do sali, gdzie wojownicy otaczali intruza.

- Killey - odezwała się, chcąc przerwać panujące ponure milczenie.

Posłaniec należał do starych wyjadaczy. Był wytrwały i dobrze wyszkolony. Taksował spokojnym spojrzeniem wojowników.

- Cieszę się, że widzę panią doktor w dobrej formie - odpowiedział. - Dyrektor chciałby odbyć z panią krótką naradę. Wysłano mnie, żebym zadbał o pani bezpieczeństwo w drodze powrotnej.

- Przykro mi, ale w tej chwili nie jest to możliwe, jestem zajęta.

Czuje spojrzenie.

• Zatem chętnie porozmawiam z panią na miejscu, zabiorę notatki i materiały badawcze, wniosek o posiłki. Wszystko to przekażę osobiście dyrektorowi.

• Niczego nie potrzebuję. Proszę przekazać bazie, żeby nie przysyłali mi żadnych wiadomości radiowych, a w szczególności nie narzucali się z pomocą. Wszystko, co mam do przekazania, mogę powiedzieć panu. Czy to sprawi jakieś trudności?

• Nie sądzę.

• Proszę zatem powrócić do bazy z wiadomością, że ze mną wszystko jest w porządku.

• Pani doktor, moje rozkazy...

• Rozumiem. Niech więc im pan przekaze, że odnoszę duże sukcesy, może nawet przełomowe...

• Czy mam przekazać Radzie, że wzbraniała się pani przed powrotem do bazy?

• Nie. Wystarczy to, co powiedziałam.

• Czy jest pani wolna i może wrócić w dowolnej chwili?

• Prawdopodobnie tak. Lecz obecnie nie widzę takiej konieczności.

• Tak jest, ma'am - odrzekł Killey z naciskiem. McGee zwróciła się do Elai:

• Ktoś powinien go odprowadzić.

Władczyni dała znak i Maet, stary wiarus, skinął w stronę Killcya. Obaj wyszli. A później...

- Zostaniesz tutaj! - język gestów Elai nie pozostawiał wątpliwości co do przesłania.

Osobiste notatki McGee. Zakodowane.

„Znowu mogę pisać, choć nie przychodzi mi to łatwo. Swoją uwagę muszę dzielić na dwa sposoby myślenia, ale nie mogę na to nic poradzić.

Nie....

Napiszę o tym później. A może w ogóle o tym nie pisać? Nikt nie musi wiedzieć, że rozmawiałam z Kalibanami, że przekazałam im kilka informacji, podzieliłam się paroma myślami. Dla człowieka z zewnątrz ten sposób rozmowy jest niedostępny, niczego nie zauważy. Nic dziwnego, że kompletnie nie zdajemy sobie sprawy z tego, jak wiele informacji o nas otrzymują te istoty, pozornie zajęte czymś innym, lub wydające się kompletnie nie interesować otoczeniem.

Ale po długiej zabawie w grę, którą nazwałam *położ -podnieś*, po spędzeniu z nimi sam na sam tak długiego czasu... Bawiłam się pozornie z Arielami w układanie kamieni. Można to robić godzinami, aż do zapomnienia, z kim się gra. Z nimi, czy ze sobą. Wszystko dlatego, że Ariele błyskawicznie uczą się naśladować ruchy, sposób zachowania i myślenia partnera w grze. Kalibany tylko przypatrują się zabawie, do czasu, gdy same przynoszą kamień. A później wszystko staje się jasne. Wiem już, co oznaczają ruchy ich ciał. Opowiadają, w jaki sposób wnoszą wieżę, jak jej bronią... To wszystko potrafią mówić tylko brązowe, bo szare potrafią rozmawiać tylko na mniej skomplikowane tematy. Nie mają tak rozwiniętej inteligencji, co ich więksi bracia. Rozumieją proste komendy lub pojęcia: *Stój, Ruszaj, Wieża*. Jeden z nich zamiast kamieni używał piasku. Z zewnątrz



mogło to wyglądać na zabawę, a nie rozmowę. W każdym razie niewiele go rozumiałam, był wyraźnie głupszy od pozostałych.

Gdy potem przyszedł Dziobaty, otoczył mnie ciasno z trzema innymi Kalibanami. Tu nie chodziło o manifestację siły, ale raczej o rodzaj ochrony.

Bardzo ostatnio zyskałam na odwadze, nie boję się już tak jaszczurów. Spróbowałam położyć przed Dziobatym jeden z nagranych słońcem kamieni. Nie było nic dziwnego w tym geście. Zszedł na dół i przyglądał mi się uważnie jednym okiem, większym od mojej głowy. Z tej odległości nie mógł mnie wyraźnie widzieć, może widział mnie tylko jako poruszający się punkt. Podeszedł jeszcze bliżej, a ja próbowałam go nakłonić, żeby mi coś powiedział. Zgodził się! Dowiedziałam się, że gniew przyjdzie z północnego wschodu. Dopiero teraz zrozumiałam, że spiralne płasy Arieli oznaczają mapę świata.

Kalibany odciskają swoje myśli na wszystkim. Cała ich planeta jest dla nich tablicą, na której piszą. Świat Gehenny traktują jak odbicie kosmosu. Z upływem lat zmieniającego kształt.

Nie mają żadnej techniki, ona nie ma dla nich żadnego znaczenia. Zupełnie nie są podobne do ludzi, z ich manią zakładania miast i skomplikowanych struktur cywilizacyjnych. Ale dzięki swoim wielkim mózgom przeobrażają świat, w którym żyją. Wskazał mi wieże nad Rzeką Obłoków i wyraźnie oczekiwał, co mu powiem swoją reakcją.

Nie wiem jak to napisać, ale poczułam wtedy, że ogarnia mnie trwoga - zwykle nie używam tego słowa, zachowując je na specjalne okazje. Chciałam płakać, gdyż nie rozumiałam tego, co mi pokazał - mój umysł i zmysły nie były przygotowane do przyjęcia obrazu, jaki mi pokazał.

W tej chwili się boję. Piszę raport ze świadomością, że ten, co go przeczyta, uzna mnie za szaloną. Kiedyś już słyszałam, że Genley powiedział o mnie, że dopóki umiem jeszcze pisać i czytać, należy mnie odwołać z wioski. Później weszłam na szczyt wieży... jakże jej budowniczy musieli być rozkochani w swej architekturze. Dla porównania pomyślałam o koparkach i spychaczach wyrównujących teren, na który potem wkraczają budowniczowie, wyznaczający kąty proste pod betonowe bunkry.

Na całej Gehennie Kalibany budują w oparciu o wzór spiralny. Ale nad Styksem i Rzeką Obłoków wzniosły wieże, przy których powstały ludzkie ogrody. Jesteśmy dla nich kimś w rodzaju Arieli i szarych braci - jednym z elementów złożonego kosmosu.

My posiadamy pewne umiejętności, ale tylko Bóg raczy wiedzieć, czy potrafimy zrobić z nich użytek i przystosujemy się do świata Gehenny. Czy nauczymy się ich języka, czy pojmimy, co oznaczają wzory...

To nie jest martwy, statyczny zapis - spirale żyją, każdego dnia, każdego roku mówią co innego. Niczym Styks i Rzeką Obłoków.

Niczym pojedyncze wieże i całe wioski.

Dwa różne słowa na określenie tego samego świata.

## 42.

### Rok 204, dzień 235 ery kolonialnej.

Dyrektor bazy do R. Genleya.

„Ministerstwo Nauki niepokoi się coraz rzadszymi raportami. Treść sprawozdań także pozostawia wiele do życzenia. Za dużo w nich rutyny, za mało faktów. Proszę przybyć do bazy na konsultację z Radą. Mamy do przekazania wiadomości na temat doktor McGee”.

### Rok 204, dzień 356 ery kolonialnej.

Dyrektor bazy do szefów grup badawczych i operacyjnych.

„Genley nie odpowiedział na wezwanie do powrotu. Zdarzały się już w jego przypadku dłuższe okresy milczenia, ale uwzględniając napięte stosunki pomiędzy obiema wioskami i przeciągającą się ciszą radiową, należy uznać to za ostrzeżenie.

Do McGee **zamierzam** wysłać jeszcze jedną prośbę o powrót, choć nie sądzę, byśmy zdołali coś w ten sposób osiągnąć. Zwłaszcza w przypadku, jeśli została uwięziona lub nie ma ochoty wracać. Ale jest to jedyna możliwość potwierdzenia albo zaprzeczenia wiadomości uzyskanej od Genleya na jej temat.

Zamierzamy wzmocnić satelitarną obserwację Dwunastu Wież.

W związku z zaistniałą sytuacją oraz nadciągającą zimą, proszę o dokładne skontrolowanie systemów bezpieczeństwa”.

## Rok 205, dzień 20 ery kolonialnej.

Fragmety rocznego sprawozdania dyrektora bazy dla Ministerstwa Nauki.

„...wkrótce prześlemy olbrzymie ilości danych i szczegółowych raportów, zgromadzonych w trakcie badań w zeszłym roku. Osiągnęliśmy wyraźne postępy... trzeba tylko jak najstaranniej zinterpretować wyniki obserwacji. Głównym źródłem troski jest utrata kontaktu z grupą badawczą w wiosce nad Styksem, choć pociesza-  
my się, że doktor Genley i jego ludzie znaleźli się w sytuacji, która nie pozwala im składać regularnych raportów. To samo dotyczy doktor McGee.

W związku z bardzo napiętą sytuacją, w jakiej się znalazła pani doktor, odwołaliśmy wcześniejsze polecenie jej natychmiastowego powrotu do bazy. Musimy teraz bardzo uważać na ponawiane co jakiś czas próby nawiązania kontaktu.

Sprawozdanie doktor McGee, które załączam do raportu, wzbudziło bardzo wiele kontrowersji wśród członków sztabu misji. Ale Rada jest zdania, że to niezwykle ważny dokument, bardzo wnikliwie opisujący położenie naszej obserwatorki, jej wątpliwości i rozterki powstałe w zetknięciu z obcą kulturą. Rada uważa, że ten materiał należy poddać bardzo szczegółowej analizie i sformułować wnioski, które będą przydatne w przyszłych pracach...”

### Fragment sprawozdania doktor E. McGee.

w ten sposób, z wieloma opisanymi już wcześniej szczegółami, zdołałam poznać system porozumiewania się z Kalibanami. Jestem przekonana, że przecieki informacji z Dwunastu Wież nad Styks nie są wynikiem akcji szpiegowskiej, a pochodzą od immanentnych wad samego języka, jakim się posługują...

Dostrzegam ostatnio narastającą tendencję do określania nazwą *mieszkańcy Gehenny* ludzi zamieszkałych na tej planecie w charakterze *naiWalcowanych tubylców*, a unika się stosowania tego określenia w przypadku Kalibanów. To zabieg nieprzypadkowy, choć zupełnie nieuzasadniony.

Język Kalibanów, może z kilkoma wyjątkami, jest podobny do kodów używanych przez niektóre gatunki owadów. Byłoby znacznym uproszczeniem z mojej strony, gdybym chciała porównać oba systemy. Powstałoby podobne nieporozumienie, z jakim mielibyśmy do czynienia, chcąc porównywać języki ludzi i zwierząt.

Kod Kalibanów jest znacznie bogatszy, gdyż operuje dużo bardziej abstrakcyjnymi i różnorodnymi pojęciami niż najprostsze określenia życiowych czynności (prokreacja, pożywienie, ruch, itp.).

Sporządzając niniejszy raport miałam spore trudności z usystematyzowaniem zebranych danych, chociaż głównym ich powodem było moje rosnące przekonanie, że podjęłam się pracy przekraczającej własne zawodowe kompetencje.

Stałam na przykład przed koniecznością rezygnacji z terminów bądź ich modyfikacji, gdyż nie odpowiadają realiom badanej cywilizacji. Należą do nich takie pojęcia jak: inteligencja, przycyżna, język, kultura i inne.

Ludzie zamieszkujący Gehennę, przeszczepieni na nią bez swojej zgody, aby móc porozumiewać się z Kaiibanami, biorą udział w czymś, co przypomina kurs albo obrzęd. Wszystkie moje obserwacje wskazują, że jego uczestnicy są traktowani dość przyjaźnie, choć w tym przypadku odwołujemy się do pojęć czysto ludzkich, a nieznanych cywilizacji Kalibanów. Wojna i pokój to tylko nasze wyobrażenia, podobnie jak wszelkiego rodzaju rządy i systemy polityczne - o nich Kalibany nie mają najmniejszego pojęcia.

Rozumieją określenie *panować nad innymi*, potrafią stosować przymus fizyczny, popełniają samobójstwa, są zdolne do ofiary z siebie, znają motywacje o naturze emocjonalnej. Trudno jednak w ich postępowaniach doszukiwać się paraleli z ludzkimi ambicjami, zachciankami, zawiściami czy żądzami, jakie kierują naszym życiem. Nie można przypuszczać, że kontakt pomiędzy naszymi cywilizacjami nastąpił jedynie w wyniku sporu o terytorium.

Samo pochodzenie słowa *Kaliban* wydaje się niejasne. Początkowo określenia tego używano jedynie wobec szarych jaszczurów. A przecież brązowe to wyraźnie inny gatunek, więc trudno nadawać im to samo miano. Prowadzono już na ten temat dłu- ' -gie dysputy, czy szare są podgatunkiem, czy może wcześniejszym stadium ewolucyjnym. Ci, co pracowali nad Kaiibanami wiedzą, że obie hipotezy są chybione. Brązowe i szare jaszczury są dwoma odrębnymi gatunkami fauny Gehenny, żyjącymi ze sobą w ograniczonej symbiozie. Jeśli doliczymy Ariele, otrzymamy trzy

gatunki jaszczurów.

Chociaż Ariele nie zostały obdarzone inteligencją, są wyśmienionymi naśladowcami. Trudno znaleźć tu analogię do świata ludzkiego, chcąc opisać symbiozę tych gatunków. Trywialnie rzecz ujmując - Ariele zbierają informacje, brązowe zajmują się obróbką danych, a szare wykonują polecenia wydawane na podstawie analizy informacji.

Wydaje mi się, że brązowe odnoszą się w sposób instynktowny do otaczającego świata - nie manipulują nim, lecz się integrują. Jestem całkowicie przekonana, że zanim podejmą jakąś decyzję, w ich mózgach zachodzą abstrakcyjne operacje myślowe, a to z kolei oznacza, że spełniają jedyny i wystarczający warunek definicji istoty inteligentnej. Chociaż Styks i Rzeka Obłoków nie są Tygrysem i Eufratem (wciąż szukam ziemskich analogii), to w każdej chwili mogą się nimi stać. Nadal jednak nie możemy kultury Kalibanów zdefiniować jako cywilizacji, gdyż bardzo się ona różni od tego, co ludzie za cywilizację uważają. W niektórych przypadkach Kalibany podążają za instynktem stadnym, lecz tylko ten jeden fakt nie upoważnia nas do niezaliczenia ich do społeczności cywilizowanych.

Tak dochodzimy do tej części moich rozważań, w której muszę się przyznać, że początkowo starałam się przeforsować mylnie, oparte na wymyślonych hipotezach, przypuszczenia. Dopiero bezpośrednia obserwacja wpłynęła na zmianę moich poglądów. Otóż jaszczury, których sposób życia i biologia diametralnie odbiegają od ludzkich wyobrażeń, okazały się zdolne do przystosowania i zintegrowania z nową kulturą. W ten sposób powstał symboliczny język.

Przyznaję, że wystarczyło mi umiejętności i zdolności do takiego poznania tego języka, jakim dysponuje sześciolatek dzieckiem azich. Podejrzewam jednak, że każdy dorosły osobnik miałby kłopot ze zrozumieniem i zaakceptowaniem pewnych rzeczy.

Niepokoje mnie wygląd wzorów, które Kalibany zostawiły na brzegu Styksu. Wzniesione tam wały są murem obronnym! To posłanie, że nadchodzi niebezpieczeństwo.

Uważam, że jestem wystarczająco obiektywna, aby móc dzisiaj odpowiedzieć na pytanie, którą z istniejących na Gehennie wspólnot ludzi i Kalibanów należy uznać za przynoszącą większe korzyści. Odpowiedź jest jednoznaczna - *tę, która nie pożera Kalibanów*".

### **Raport doktor D. Hampton.**

„Jeśli chodzi o moje ogólne wrażenia z lektury raportu doktor McGee, to stwierdzam, że czytałam go z dużym zainteresowaniem i uważam za bardzo wartościowy. Żałuję jedynie, że autorka wyraża się mało precyzyjnie, a najciekawsze spostrzeżenia ukrywa między wierszami; musimy się ich domyślać, zamiast otrzymać dane liczbowe. Stąd obawiam się, że mamy tu do czynienia z większą liczbą hipotez niż faktami”.

## **43.**

### **Rok 205, dzień 35 ery kolonialnej. Brzeg Styksu.**

Na falującej powierzchni rzeki odbijały się słoneczne złote kręgi, połyskując w mokrych, bazaltowych, skalnych płytach na brzegu. Równina wokół wieży Parmy przypominająca zwykłe pustynię, nabrała przez to żywszych barw.

Jakiś **Kaliban** płynął nurtem Styksu, kilka innych rozsiało się na skalistej plaży, trwając w jednej pozycji przez cały dzień. Oznaczało to, że są z czegoś niezadowolone.

Po kamienistej drodze ciągnęli długim szpalerem wojownicy. To oni byli głównym źródłem niepokoju jaszczurów. Wśród wojowników pojawił się Jin ze swoim osobistym jaszczurem. Na ten widok Kalibany z brzegu czmychały jak najdalej.

Jin nadciągał z wojskiem bezszelestnie, bez heroldów, bez fanfar zwycięstwa lub lamentów po klęsce, jednak każdy jego ruch mówił, że załatwił sprawę na północy zgodnie ze swoimi zamierzeniami.

Przyjął przygotowany mu posiłek, a potem brodząc przez kałuże na dróżce między obsianymi polami uprawnymi, skierował się do wieży.

Izolacja Genleya była zakończona, dwa miesiące izolacji, sześćdziesiąt dni spędzonych w wyniosłej budowli na pustynnej równinie, przerywanych jedynie posiłkami -nieodmiennie składającymi się z ryb i wody. Czasem posiłkom towarzyszyły uszczypliwe, ironiczne uwagi Parma, którego mianowano ich strażnikiem. Po przybyciu do wieży władca polecił przyprowadzić przed swoje oblicze więźnia. Genley najpierw pobiegł do Kima i Mannina, zajętych układaniem łamigłówek.

- Pamiętajcie jak należy się zachowywać wobec niego? - ostrzegł ich. - Mocno obstawać przy swoim i żadnych ustępstw. Lepiej jednak nie wystawiać jego cierpliwości na próbę. A jak od razu

wspomnimy o dostępie do nadajników, to wylądujemy na dnie Styksu. Zatem żadnych próśb o zwrot naszego sprzętu, jasne?

Kim skinął cynicznie głową. Mannin wyglądał na przestraszonego. Pewnie, nie spędzili tu ostatnio miłych chwil. A w ciągu

dwóch tygodni Mannin nie odezwał się do nikogo. Ale teraz przemówił:

- Niech mnie pan posłucha! Chcę tylko jednego! Wrócić do bazy.
- Jak tylko znajdę stosowną okoliczność, udzielę panu urlopu - zapewnił go Genley. - Proszę się tylko za łatwo nie poddawać.

Mannin pociągnął nosem i wyjął chustkę. Od czasu przybycia do wież nad Styksem nie opuszczał go katar.

- Chodźmy już!

Jin kiedyś mu powiedział, że to jego ludzie i jego problem, co z nimi robić.

## 44.

### Rok 205, dzień 35 ery kolonialnej. Wieża Parma.

Komnata na szczycie wieży była wypełniona Kalibanami. Kolec, Kaliban należący do Jina, przegonił jaszczura gospodarza i rozłożył się w najwygodniejszym miejscu. Pozostali zachowywali hierarchię według zasług i ważności. Kalibany i wojownicy wyraźnie byli jeszcze rozgrzani stoczoną walką. Genley najchętniej trzymałby się z daleka od tej komnaty, ale na odwrót było już za późno. Stał z towarzyszami pod ścianą.

- Lepiej stąd pryskajmy - szepnął Mannin.

• Proszę się uspokoić - odpowiedział mu przyciszonym głosem Genley. Mannin w ogóle nie rozumiał sytuacji, w jakiej się znaleźli, nie miał pojęcia, co by się stało, gdyby teraz opuścili salę. Był podszyty tchórzem, bał się Kalibanów. Chociaż mieszkał w wiosce już tak długo, nie mógł się przyzwyczaić do wszędobylskich jaszczurów. - Niech pan zachowa rozsądek, Mannin.

Jin dostrzegł Genleya w tłumie. Właśnie przyniesiono mu misę z gorącą wodą, rozebrał się do pasa i zaczął myć, nie zważając na harmider i cały czas patrząc w twarz Genleya.

- Podejź bliżej!

Genley ostrożnie zaczął się przeciskać przez zgromadzony tłum. Nie było to przyjemne ani bezpieczne, ale nieprzystosowani mogli go w razie czego wyciągnąć z tarapatów. Kalibany gęsto obsiadły podłogę, gapiąc się na swoich panów. To była dobra i czujna ochrona. Genley zbliżył się do władcy, zachowując stosowny dystans. Wódz promieniał zadowoleniem. Jego oczy odzyskały dawny blask.

- Gen-ley... powiedział, przeciągając zgłoski. Całe ciało miał po kryte bliznami: ramiona, plecy i boki, gdzieniegdzie były to jeszcze świeże szramy. Zmierzyli się spojrzeniami. Genley nie odzywał się, bo Jin nie lubił zbędnego gadania. Jak większość myśliwych wołał posługiwać się gestami i językiem ciała: wzruszeniem ramion, marszczeniem brwi, ruchem głowy... Zapadła niezręczna cisza.

Obok Jina stał Parm z obnażonym mieczem i Blue, jak zwykle z obłędem w niebieskich oczach, drugi po wodzu. Jego długie białe włosy przysłaniały odcięte ucho.

- Ilu jeszcze? - dopytywał się właśnie Parm, lecz Jin przerwał mu, odwracając się doń plecami.
- Mamy jeszcze czas, aby o tym porozmawiać. - Wódz skinął na Blue. - Mógłbyś się wreszcie umyć - mruknął i spojrzął przez ramię na Genleya. - Teraz chciałbym zamienić parę słów z tobą, ojczce.
- Jak ci poszło? - zapytał Genley.
- Załatwiłem go - odrzekł Jin, co oznaczało, że spiskowiec został zabity. I z pewnością nie on jeden. - Noże i miecze nie próżnowały.

Jin skończył się myć, rozsznurował spodnie i usiadł na krześle, żeby ściągnąć buty z cholewami, pokryte grubą warstwą błota. Kobiety odłożyły na bok brudne ubranie i przyniosły nową misę wody: Obficie polały nią Jina, na podłodze utworzyła się spora kałuża.

- Masz zamiar zostać tu jakiś czas? - zapytał Genley.

Jin sięgnął po ręcznik. Siostra Parma wbiegła z informacją z łaźni, że kąpiel już gotowa. Wódz odsunął ją zdecydowanym ruchem - kilka wiader wody w zupełności mu wystarczyło. Podano mu gliniany kufel. Przechylił go, pijąc łąpczywie, ale znad brzegu kufla wciąż taksująco obserwował

Genleya.

- Podoba ci się tutaj?

- Trochę za wilgotno.

Jin nie uśmiechnął się.

- Nie myślałem, że to potrwa tak długo - Genley nie odwa

żył się wyłuszczyć prosto z mostu, o co mu chodzi. Jako człowiek z natury ostrożny, postanowił najpierw wybać grunt. Jin najwyraźniej nie był w dobrym nastroju, musiał go ugłaskać przymilnymi słowami.

W jakiś sposób mu się to udało, w oczach wodza dostrzegł nagły błysk i choć nie zmienił marsowej miny, wyraźnie trafiły do niego słowa.

- Usiądź! - powiedział Jin. po czym sam usiadł na krześle.

Nie brzmiało to jak rozkaz, raczej propozycja. Genley kucnął obok krzesła. Jin patrzył na niego, wydymając usta i dłuższy czas milczał.

• Nad Styksem zawsze jest zimno - zauważył.

• W wieży także. I nie ma tu kobiet... Jin spojrzał na niego, oburzony.

- ...i nikt nie zwraca uwagi na potrzeby młodych mężczyzn - ciągnął dalej Genley. wpatrzony w kałużę wody, która nie mogła znaleźć ujścia w twardym klepisku.

Jin jeszcze raz na niego spojrzał, ale w kącikach jego ust pojawił się nikły uśmiech.

- Parm to dziecięciniały staruch, trudno się dziwić, że zapomniał o igraszkach z kobietami - śmiał się, bezgłośnie potrząsając ramionami. - Ojciec... ty cały czas... Biedny Genley! Dwa miesiące celibatu...

Otarł oczy z łez.

- Naprawimy ten błąd! - mówił z trudem, gdyż cały czas próbował opanować chichot.

Genley patrzył na niego lekko przestraszony. O Parmie mógłby mówić jeszcze długo, bo taką miał listę zarzutów. Skulił się i spojrzał na wodza.

Najczęściej łowiłem ryby, trochę też polowałem... Nie dochodziły żadne wieści z twojej wyprawy, ale cieszę się, że wreszcie wysłałeś tamtego skurwysyna w zaświaty.

• Tak. Mes już nie będzie mi szkodził.

• Jeśli masz trochę czasu, chciałbym porozmawiać...

• O czym? - przerwał mu Jin. - Jeśli to coś ciekawego, to chętnie wysłucham nowinek.

• Nie mam żadnych ciekawostek. Musimy ustalić, co przekażemy bazie, bo z pewnością zauważyli twój wymarsz z wojownikami...

• A niech pytają!

• Pewnie wiedzą, że na północy były walki. Będą się domagać ode mnie wyjaśnień.

• No i dobrze. A co zrobią, kiedy już dowiedzą się, kto z kim walczył?

-Tego nie wiem.

- Przecież dotąd nie wtrącaли się w moje sprawy.

W głowie Genleya zabrzmiały ostrzegawcze dzwonki. Dotąd rzeczywiście obchodziło ich jedynie to, co dotyczyło bazy. Ale teraz mam wrażenie, że osiągnęliśmy punkt przełomowy... -- próbował wydostać się z pułapki, jaką nieopatrznie sam na siebie zastawił.

- Powiedz mi, Genley, jacy wy naprawdę jesteście? Kim jesteście ty. Kim albo Mannin?

Genley zmarszczył brwi. Uświadomił sobie, że wpadł i pod presją .lina nie pozostaje mu nic innego, jak wycofać się powoli z wypowiedzianych słów, z tego, co Jin wyczytał między słowami i co miało jeszcze zostać powiedziane.

• Chcesz wiedzieć, co może uczynić baza, jeśli nie otrzyma ode mnie żadnych wieści?

• Niezupełnie. Być może wiem to od dawna - czarne oczy Jina nieustannie go badały. Wódz pociągnął z kufla długi łyk. - Jesteście pionkami w tej grze.

• Jedni tak. drudzy nie - Genley pochylił się do przodu, chcąc spojrzeć Jinowi w oczy. - Posłuchaj mnie uważnie! Zawsze ci mówiłem, co powinieneś zrobić. Co możesz, a czego ci nie wolno. Ostrzegałem, że istnieje nieprzekraczalna granica. W tej chwili jesteś panem całego Styksu. Zbudowałeś drogi, nowe wieże, zgromadziłeś zapasy budulca, powiększyłeś pola uprawne. To wszystko ludzie z gwiazd mają przed oczyma. Nie możesz jednak z bazą postępować tak, jakby jej dyrektor był kimś nieznacznym, jakimś rolnikiem z kawałkiem ugoru. Spójrz w niebo ~ tam, nad światem wisi stacja, która stale obserwuje, co dzieje się na ziemi. Nic nie może się ukryć przed jej licznymi oczami. A teraz wyobraź sobie setki świałów jak ten, a na każdym miliony wież. Czy umiesz

rachować takie liczby? Milion to tysiąc tysięcy. Nie ma tylu ludzi na całej Gehennie. Zauważ, że swoim postępowaniem nieuchronnie zmierzasz do konfliktu z bazą. Jeśli chcesz prowadzić z nią układy, możesz to zrobić, ale wszystko w stosownym czasie. I nie teraz!

Jin spoważniał momentalnie, teraz cedził słowa:

- A kiedy nadejdzie ten czas?

- Może w przyszłym roku będziesz mógł udać się do bazy i wejść do środka. Będę nad tym czuwał i wszystko zorganizuję. Jeśli nic nie pokrzyżuje nam planów, będą się liczyć z twoim zdaniem. Pierwszym warunkiem jest rozwiązanie im języków. Po drugie, trzeba ich przekonać, że muszą rozpocząć z tobą pertraktacje - a to już moje zadanie. Musisz jednak wiedzieć, że nic nie osiągniemy, jeśli będziesz z nimi prowadził otwartą wojnę. Oprócz bazy pod twoim bokiem są jeszcze stacje na niebie, których nawet nie możesz dostrzec, lecz to nie znaczy, że nie są groźne dla ciebie. Ludzie z gwiazd nie są słabi i znają swoją potęgę. Posłuchaj wreszcie moich rad, a przekonasz się, że wkrótce twoje imię poznają na innych światach.

Coś zabłysło w głębi oczu Jina. Jakiś zły chochlik. Jego rysy stwardniały. Odstawił kufel, poprawił ręcznik, którym się opasał i niespokojnie się poruszył.

- Dlaczego pozwolili pójść McGee do tamtych?

- McGee nie ma tu nic do rzeczy.

- Ale ją wysłali. Powiedz mi, o czym rozmawia Elai z tą kobietą?

- McGee niczego tam nie osiągnęła. Nic, co dałoby się porównać z twoimi osiągnięciami, Jin. Nie poświęcaj jej tyle swojej uwagi-

- Robią ze mnie szaleńca! Tak dłużej być nie może, Genley!

- Na skroniach wodza wystąpiły żyły, twarz mu spurpurowiała.
- Zniszczyłem swojego wroga, jego żonę, jego dzieci, całe jego plemię. Ale to jeszcze nie wszystko. Pozostała mi jeszcze ta kobieta w Dwunastu Wieżach. Chcesz, żebym czekał, wstrzymał się z wyprawą, żebym rozmawiał z bazą. To popytaj moich wojowników. Dowiesz się, że myślą inaczej. Za długo wykazywali dobrą wolę. Mój lud widzi, że buduję drogi i zakładam nowe pola, ale wróg w tym czasie cały czas rośnie w siłę. McGee rozciąga w pierwszej wieży sieć spisku, a ja mam się temu tylko przyglądać? Nic z tego, mój ojczu!

- Nie bądź durniem! - Genley chwycił Jina za rękę. - Elai i McGee nie są warte zachodu. Zostaw je i rozpocznij rozmowy z bazą.

- To ty jesteś durniem, Genley. Teraz zajmę się nimi. Wystarczy, żeby walka rozgrzała zimą moje kości.

Genleya ogarnął chłód.

- Wojownicy już wyruszyli. To, co uczyniłem Mesowi, powtórzę nad Rzeką Obłoków, ale bardziej krwawo.

- Posłuchaj mnie...

- Nie!

- Zrazisz do siebie bazę...

- I tak dobrze wiem, po czyjej stronie stoi baza. A ty pójdziesz z wojownikami, Genley. I twoi towarzysze też. Chcę was mieć przy sobie.

- Do tego mnie nie zmusisz.

Ciemne oczy Jina wydawały się patrzeć przez Genleya, na wylot.

\* Już nie możesz się wycofać. Jesteś zaangażowany w tę wojnę. Pomożesz mi dokonać czegoś, co ułatwi bazie dobór sojusznika. Tylko ja będę mógł stanąć do pertraktacji. Nikt więcej.

-Gdzie jest nadajnik?

- Nie ma go tutaj. Do czego ci potrzebny?

Właściwie już do niczego, pomyślał Genley.

- Do niczego - odpowiedział sam sobie Jin, doskonale wiedząc, że Genley nie może już nic zrobić. -Także później nie zrobisz z niego użytku.

Owinął się szczelniej ręcznikiem i powiedział ironicznie:

- A teraz idź już i znajdź sobie jakąś kobietę. To ci dobrze zrobi. Genley.

## 45.

### Rok 205, dzień 48 ery kolonialnej. Dwanaście Wież.

Coś się stało. Elai od razu poczuła. Na brzegu rzeki wybuchło zamieszanie, jakby nastąpił atak przyrody, a zimny wiatr przypuścił gwałtowny szturm, porywając tumany piasku i liści. Ale to było coś innego, groźniejszego. W świadomości Kalibanów coś się ostatnio działo, a teraz, wczesnym rankiem, kiedy tylko pierwsze promienie słońca padły na równinę, można było zobaczyć nowy wzór wałów. Ogromne zwały ziemi przybrały inny kształt. Nieprzystosowani także okazywali dziwny niepokój, przez co praca w wieży została zdeorganizowana. Wojownicy i rzemieślnicy musieli przerwać swoje normalne zajęcia i zabrać się za zabezpieczanie wieży od chłodu, wiatru i deszczu.

Elai wyszła z wieży, żeby zobaczyć, co to za zamieszanie wybuchło nad brzegiem rzeki. Dain i Ast reperowali mur u podstawy budowli. Rozebrani do pasa, oblepieni błotem, mieszały ziemię z kamieniami i zalepiali nią dziury i szczeliny. Taem i Cloud przyglądali się im uważnie. Musieli wymknąć się niańkom, których towarzystwo przedkładali nad pomoc jednemu z wiekowych nieprzystosowanych - teraz siedzieli w trójkę, przyglądając się pracy wojowników.

Podeszła do niej McGee.

• Coś się stało - wskazała na wały od strony Styksu. - Zmieniły się wzory.

• Tak - Elai potwierdziła skinieniem głowy. Wiatr rozwiewał włosy obu kobiet, targał sukniemi, zatykał dech.

• Co to oznacza? - dopytywała się kobieta z gwiazd, ponieważ jednak nie otrzymała odpowiedzi, sama zaczęła głośno myśleć: -A może nadciąga Jin z wojownikami?

Elai wzruszyła ramionami.

Słońce czasem wyglądało zza chmur, ale porywisty wiatr sprawiał, że było bardzo zimno.

- To forpoczty - odezwał się Dain, który przerwał na chwilę pracę. -- Już wyruszyli?

- Tak Elai ocknęła się z zamyślenia. - Nadchodzą.

Spojrzała na swoją wieloletnią przyjaciółkę. Od lat czekała na ten moment, była na jego nadejście przygotowywana, ale teraz, gdy miał nastąpić - bała się. McGee położyła dłoń na jej ramieniu, ale władczyni odwróciła się gwałtownie i ruszyła w kierunku otworu prowadzącego do podziemi.

• Elai! Zatrzymała się.

• Muszę powiadomić bazę.

• Nie będzie żadnej łączności z kamiennymi wieżami.

• Czy im samym grozi niebezpieczeństwo?

Najstarsza spojrzała na McGee. Miała w tej chwili tyle spraw do załatwienia. Z podziemi wychodził nieprzerwanie szereg ludzi. Wśród nich stanął Din ze swoim Kalibanem. Obok czekali Dain i Ast. Z podziemi wyszli nawet starcy, wiatr rozwiewał ich siwe

włosy. Din stał ze skrzyżowanymi ramionami, a jego jaszczur powoli podchodził ku Dziobatemu. Coś nie spodobało się staremu Kalibanowi, bo chwycił podrostka w paszczę, potrzymał chwilę w górze, po czym rzucił o ziemię.

Poczekaj, aż nadejdzie twoja kolej, pomyślała Elai, pogardliwie wzruszyła ramionami i odwróciła do syna, chcąc pokazać mu swój gniew.

Rozległ się tupot bosych stóp i kolejna grupa mieszkańców, Arieli i Kalibanów wybiegła na zewnątrz z wieży. To już była prawdziwa ewakuacja. Dostrzegła niańki przytrzymujące wyrrywającego się Gouda. Taem przyglądał jej się chłodnym wzrokiem, a Din... czuła, że tego syna straciła już na zawsze. To właśnie znaczyło urodzić się Najstarszą.

Dobrze pamiętała chwilę, kiedy przyszedł do niej Dziobaty, a ona stała się tym, kim jest do dzisiaj. A teraz ten młokos... i jego głupi Kaliban.

Najmądrzejszym posunięciem byłoby od razu zabić swoich rywali do tronu. Unicestwić, zanim podrosną i przypuszczą silniejszy atak. Musiała walczyć nie tylko z Linem i Styksem - nadchodziła bitwa o przyszły kształt jej świata. Wszyscy rywale powinni zostać pokonani, aby wszystkie wieże zjednoczyły się w jeden organizm. O to właśnie chodziło wszystkim kolejnym Jinom.

Spojrzała na stojącego obok Daina, wiernego wojownika. Nieostrzegalnym dla innych gestem

nakazała mu: „Idź i przyprowadź ich!”. Głośno dodała:

- Paeia!

Dain ruszył w kierunku wejścia.

- 1 Taema - dorzuciła po chwili. Jej syn odwrócił się, zmieszany, usłyszawszy imię ojca. - Przyprowadź też Taema. Powiedz mu, żeby zważał na swoje maniery. On będzie wiedział, o co chodzi.

Wzory niezwykle rzadko przedstawiały Taema jako aktywny element układanki w osadzie. Nowe wieże żyły prawie w całkowitej izolacji od pozostałych, więc Kalibany przedstawiały je jako spirale z pustym centrum. Z kolei Paeia zawsze była oznaczana jako słońce stojące w zenicie.

- Przyprowadzić ich... - powtórzył beznamiętnie Dain, jakby nie rozumiał polecenia. - A co, jeżeli nie zechcą przyjść?

Myślała głównie o Taemie. Co będzie, jeśli nie zechce przyjść z pomocą?

Odprawiła Daina bez dalszych instrukcji. Wskoczył na swego Kalibana i ruszył.

A może jej syn także rozumiał wszystko, co niosły ze sobą nowe wzory? Może przeczytał o swojej śmierci, tam, na zewnątrz? Jego Kaliban mówił: „Przemoc”. Dziwne, taki młody, a już zdolny do niesubordynacji. Oczy jej syna mówiły z kolei: „Matko, chcę żyć!”. Podobnie jak ona czekał całe swoje życie na tę chwilę. Elai wolałaby być teraz sama, jedynie w towarzystwie Dziobatego i McGee. Poczula się słabo, jak zawsze, gdy zanosilo się na deszcz. Czula wtedy świdrujący ból w nodze, ale musiała go znosić w milczeniu z powodu tylu otaczających ją ludzi, a zwłaszcza tych wrogo na nią patrzących. W tłumie było dwunastu ewentualnych spadkobierców tytułu Najstarszej. „Pragniesz śmierci?” - mówiły ich twarze.

Byli tacy, co uważali, że jej śmierć już dawno jest przesądzona. Ale jej przybocznicy nie mieli powodu do obaw - byli lojalni wobec niej. Gwałtowny poryw wiatru niósł ze sobą zapowiedź wydarzeń, które także dla nich mogły się okazać ostatnimi w życiu.

„Podaj mi piasek”, rozkazała gestem jednemu z nieprzystosowanych. Ktoś podał jej skórzany miśzek. Taem klęknął obok niej, przyglądając się, jak przygotowuje się do usypania wzoru. Otoczyli ich ciasno ludzie, osłaniając od wiatru.

Sypiąc piasek formowała spiralne zakręty wałów, koryto rzeki i jej strome brzegi.

Wtedy oznajmiono krzykiem, że Taem i Paeia przybędą. Między ludzi starały się wcisnąć Ariele, próbując pokrzyżować zamiary Elai, uformować wzór na kształt tych znad rzeki. Arieli nie interesowały przyszłe losy. Dla nich istniało i liczyło się jedynie to, co było *teraz*. Elai podniosła w górę najbardziej upartą jaszczurkę. Ariel zeszytywniał na chwilę ze strachu, a opuszczony na ziemię natchmiast powrócił do poprzedniej czynności - zacierania wzorów przyszłości na rzecz teraźniejszości.

Elai wstała, otrzepując dłonie. Ktoś podbiegł z workiem kamieni i utrwalił nimi nakreślone przez Najstarszą kontury, z których jasno wynikała porażka Styksu i zwycięstwo ludu Gouda. Gdzieniegdzie się roześmiano, ale w tym śmiechu nie było rozbawienia. Raczej zdenerwowanie.

Elai dobrze wiedziała, że gdy odejdzie zaczną się potajemne rozmowy i szept, że niepotrzebnie sypała wzór w miejscu, w który mogły go zobaczyć Kalibany. Będą mówić: Elai jest skończona, jeśli pójdzie na wojnę, to już nie zobaczy swojej wieży, a gdy przyjdzie Jin, tylko nieliczni umkną przed jego mieczem.

- Wyoście się! - krzyknęła.

Posłuchali jej potulnie, a gdy się rozeszli, wiatr dopadł wzoru i wkrótce nic nie pozostało z wróżby. Tylko McGee i Dziobaty widzieli, jak rozwiewają się kształty przyszłości. McGee zastanawiała się, co robić. „Czy mam zostawić ją samą?”. Usłyszała głos Najstarszej:

• Chcę cię o coś zapytać...

• Pytaj!

• Jeśli będziemy musieli się poddać, co uczynią wtedy ludzie z gwiazd?

• Nic. Myślę, że będą tylko obserwatorami.

• Czy to nie oni stoją za tym atakiem?

• Nie. Nigdy nie ingerowali w waszą historię, chociaż bardzo chcą zobaczyć, jak dalej się ona potoczy. Chcą ujrzeć, jak wypełnicie przeznaczenie.

To było jak grom z jasnego nieba. Nie wiedziała jak wytłumaczyć sobie wyraz twarzy McGee, która stała spokojnie, jak najedzony i wylegujący się w słońcu Kaliban. To był zaplanowany efekt.

Tak, moja droga przyjaciółko. Tak to wygląda. Oni już dawno wiedzieli, jak to się skończy.

McGee podniosła głowę, żeby zobaczyć reakcję Dziobatego. Kaliban próbował jakoś pocieszyć Elai, która wydawała się odległa od nich jak jej milczący, nieprzystosowany syn.

• Niewiele możesz utrzymać w tajemnicy przed Jinem?

• Właściwie nic.

Ludzie z gwiazd, głusi i ślepi na język wzorów mogli kryć przed innymi swoje zamiary. Ale lud



Gouda żył w świecie, gdzie kamienie, a nawet drobiny piasku mogły nieść posłanie. Wiadomość, jaką przed chwilą posłali Jinowi, była widoczna z daleka. Przestrzegała i groziła. nadsięgającym wojownikom. „Nadchodzę, człowieku, który pragniesz władać całym światem. A za mną idą wszyscy, którzy zdołali ująć śmierci z rąk Greena. Zniszczę twoje wieże, przegnam cię z tych równin, zmiotę z powierzchni ziemi wszystko, co zbudowałeś”.

- McGee - Elai przysłała nagle do głowy pewna myśl. - Ciebie przecież nie obowiązują prawa rządzące wzorami. Nie jesteś poddana przeznaczeniu wiszącemu nad naszym ludem. Powiedz mi, co ty byś zrobiła na moim miejscu. Może w ten sposób mu przeszkodzimy... Nie mogę.

- Czyli coś wiesz.

- A niby co mogę wiedzieć? Myślisz, że posiadam jakąś tajemnicę, której nie znają nawet Kalibany? Jeśli zacznę dawać ci rady, zmienię przeznaczenie i porządek tego świata. A tego mi nie wolno!

- Moi rywale odziedziczą po mnie w spadku i zechcą wykorzystać twoje umiejętności. Jin, Taem, Paeia... dwoje ostatnich nie wyrządzi ci krzywdy, ale Jin cię nienawidzi. Nad Styksem znajdzie sposób, żeby zmusić cię do współpracy. Więc jeśli nie chcesz pomóc Styksowi, zostań moim doradcą.

McGee zacisnęła szczęki, spojrzała hardo na przyjaciółkę... a potem skinęła głową na znak zgody.

- Najpierw wyznaczylabym na bitwę miejsce z dala od wież i pól. Chyba już o tym pomyślałaś?

- Tak. Kalibany również mi to doradzały. -A co jeszcze?

- Żeby do walki doszło nad rzeką.

- Cóż to za dziwna wojna, w której obie strony wiedzą wszystko o zamiarach przeciwnika, jeszcze zanim uczynią pierwszy krok. To raczej randka niż wyzwanie na śmiertelny bój. Elai. przecież możesz zginąć. Czy zdajesz sobie z tego sprawę?

Najstarsza drgnęła, jakby obudzono ją z letargu. Przez plecy przebiegł jej zimny dreszcz przerażenia.

- Może porozmawiamy z Jinem? Mogłabyś zbudować statki - McGee przypomniała się chwila, gdy się poznały.

- Co chcesz przez to powiedzieć?

- Może wystarczyłoby, żebyś oddała się tylko temu jednemu zajęciu, niczemu więcej.

- Czy ty też uważasz, że wkrótce umrę?

- A jeśli tak, to pomyślałaś, co po tobie zostanie?

McGee mówiąc miała zwyczaj błędzenia wzrokiem po ziemi, co niektórzy uważali za chęć uniknięcia cudzego spojrzenia. Elai wpatrzyła się w nią, kiwając, jak pograżony w półśnie jaszczur. Machnęła ręką niecierpliwie.

- Nie wiem. Nikt tego nie wie. - Podeszła do Dziobatego, stanęła przy drgającym ogonie. - Jeszcze nigdy nie nałożyłam na siebie skór. choć mam kilka. Czasami nachodzi mnie ochota, by zrzucić suknie, ubrać się jak mój lud i gdzieś pognać. Zniknąć na zawsze.

- Statki, Elai... *Statki*.

Władczyni spojrzała na nieugiętą, upartą kobietę z gwiazd.

- Czy naprawdę uważasz, że właśnie to powinnam uczynić?

Właśnie tego po mnie oczekujesz? - Przypomniała sobie ten dawny, ciepły dzień na plaży, gdy po raz pierwszy się spotkały. - No tak, oczywiście - szepnęła, choć McGee milczała.

Na chwilę zamarło jej serce, gdy uświadomiła sobie, że tak jak Dziobaty wybrał ją nie bez powodu, tak i ludzie z kamiennych wież nie wspierali jej bezinteresownie. Elai była *Pierwszą*. Była odmienna od pozostałych, a to właśnie oznaczało bycie *Pierwszą*. W tej chwili była z siebie dumna i bolała nad sobą jednocześnie. Spojrzała w stronę morza.

- Czy mam zbudować statki i uczynić z nich dar pojednania dla Jina? Gdybym umiała je budować, on umiałby to także. Przecież wic, jak wygląda wzór. Rozmawiamy ze sobą, od lat prowadzimy niekończący się dialog. Ja zawsze wiem, co on robi, a on wie, co ja zamierzam. Zna mnie i bardzo nienawidzi. Statki? Może one także są jego największym marzeniem, poza tym głównym - posiadaniem na własność całego świata. Znasz już jego zamiary. Aby je zrealizować nie zawaha się przed zabiciem tych trzech mężczyzn.

- Jakich mężczyzn?

- Ludzi z gwiazd. Kogo? Genleya?

- Nie znam ich imion, wiem tylko, że jest u niego trzech.

- Skąd to wszystko wiesz? - W głosie McGee słychać było zakłopotanie, wyraźnie widoczne także w jej oczach. Elai odwróciła się w jej stronę i spojrzała na przyjaciółkę.
- Kalibany wciąż mówią do ciebie, ale ty nie wszystko pojmujesz. Nie posiadasz całej wiedzy, kobieto z gwiazd. Jeszcze.
- Tym bardziej muszę ostrzec bazę!
- Lepiej zostaw w spokoju ten nadajnik. Sama mówiłaś, że nasza wojna ich nie obchodzi. A może kłamałaś?

- Nie... mówiłam prawdę.

Elai przyjrzała jej się uważnie.

- Ostatnio bardzo schudłaś, McGee. Teraz dobrze wyglądałaś byś w skórach. Pójdiesz więc ze mną i porzucisz wszelkie myśli o połączeniu się z bazą, rozumiesz? Należysz do mnie!

Jeszcze tego samego dnia doszło do spotkania z Paeią, która w towarzystwie swego Kalibana, uzbrojona jedynie w długi nóż, weszła z chmurnym spojrzeniem do komnaty Najstarszej. Zatrzymała się przed krzesłem służącym za tron, za którym zwykle stawała za rządów Ellai matki. Teraz patrzyła na jej córkę.

- Umiesz dobrze czytać wzory i wiesz, co głoszą. Mamy udać się w dół rzeki, a ty pójdziesz ze mną.

Elai przyglądała się spokojnie, jak Paeia zaczerpnęła głęboko powietrza. Jej twarz wydawała się zwykle nieostra, jakby topornie wyciosana z kamienia, a teraz to wrażenie się pogłębiło. Kobieta była najwyraźniej zmieszana. Poświęciła wiele czasu, by w trakcie audyencji dobrze się zaprezentować. Dawniej kruczoczarne, teraz przetykane pasmami siwizny włosy, starannie ułożyła, w uszach miała kolczyki z pereł. Zapewne w czasie przygotowań wielokrotnie zastanawiała się, czy przybyć przed oblicze Najstarszej, czy jej odmówić.

-Z tobą?

- Nie jestem tak głupia, żeby nie zauważyć faktu, jak bardzo jesteśmy słabi. Powiedz, że zgadzasz się na sojusz, a nie będę wymagała żadnych innych przyrzeczeń.

- Zgadzam się - odezwała się krótko Paeia, a Elai rzeczywiście powstrzymała się od składania obietnic, jakich można było od niej żądać. Obie miały swoje tajemnice i wiedziały, o co chodzi.

- Przyjdzie jeszcze Taem...

- A zatem. Pierwsza, jednak jesteś głupia.

Elai posłała jej chmurne spojrzenie. Musiała jakoś zareagować na takie słowa. Uśmiechnęła się wyniośle i nieprzyjaźnie, ciesząc się z respektu, jaki widniał na twarzy Paei.

- A jednak przyjdzie. Skłoniłam go do tego.

Taem potrzebował trzech dni, aby sforsować równinę. W tym czasie wzory codziennie zmieniały się i głośiły nowe, niepokojące wieści. Ale kiedy wreszcie Taem przybył, było ich tak wielu, że wzniecone przez kawalkadę chmury pyłu przesłoniły widnokrąg. Stanęli na popas po drugiej stronie rzeki, a przez wodę przepłynął tylko Taem na swoim Kalibanie i z jednym towarzyszem. Kiedy stanął przed tronem Elai, stwierdziła, że niewiele się postarzał, w przeciwieństwie do niej. Zmierzyła go uważnym wzrokiem.

szacując, ile był wart za dnia, a czego można było oczekiwać w nocy. Trzymał się prosto, wydawał się być pełen wigoru. Ciekawe, czego spodziewał się po niej, po latach mocno podstarzałej, już nieatrakcyjnej. Razem z nim przybył Din, wojownik, również ojciec jej syna. I nic poza tym. Din junior stał koło Paei, podpierając ścianę. W komnacie byli też obecni Cloud i ojciec Clouda- dwaj z całej linii mężczyzn o tych imionach, żyjących i umierających w Wieży Wiatrów. Zebrali się tu razem wszyscy mężczyźni Elai.

- Dlaczego mnie nie zabiłaś? - rzucił jej w twarz Taem.

Syn i ojciec byli podobnie szczerzy.

### **Rok 205, dzień 51 ery kolonialnej. Z osobistych notatek McGee.**

Elai wezwała na pomoc Wieże znad Jezior oraz wszystkich swoich mężczyzn, którzy mogli być przydatni w nadchodzącej bitwie. Wśród nich był Taem, ojciec juniora.

Wygląda na bardzo niebezpiecznego typu - to widać po tym, jak zachowują się w jego obecności Kalibany.

- Dlaczego mnie nie zabiłaś? - zapytał zaraz po wejściu do sali audiencyjnej. Wydawało się, że wszyscy też zadają sobie to pyta

nie.

Elai przyglądała mu się, nie wstając z krzesła. Uczyniła jakieś znaki, nie do końca je rozumiałam, ale chodziło - zdaje się - że sieje postrach wśród mieszkańców wioski.

- To nie Styks - odpowiedział bardzo głośno i wyraźnie. - A ja nie będę kupczył, czym się tylko da. To metody Jina.

Jego zachowanie było wyraźnie aroganckie. Po chwili milczenia zapytał:

- Co z chłopcem?
- Wszystko w porządku - odparła Elai.

Taem musiał wiedzieć coś o swoim synu, trudno byłoby przypuszczać, by za pośrednictwem Kalibanów nie dowiedział się o kontaktach młodego Taema z nieprzystosowanymi.

Wydaje mi się, że domyślam się powodów, dla których Elai zdecydowała się posłać po tego mężczyznę. Wygląda młodo, jest przystojny i z pewnością u niejednej kobiety wywołał przyspieszone bicie serca. Nigdy jeszcze nie widziałam mężczyzny, który poruszałby się z taką gracją i przyczajoną siłą. Biedna Elai, pewnie wciąż kochała tego człowieka.

Kiedy wychodził, by dopilnować wojowników i rozkładania obozowiska, rzucił przelotne spojrzenie Paei, stojącej w pobliżu drzwi. Wyraz ich twarzy dał mi wiele do myślenia.

Próbując wczytać się w nieustanny taniec wzorów, ogarnia mnie przerażenie. Wszystko wskazuje na to, że jedynie Elai jest w stanie spojrzeć Dwanaście Wież i utrzymać jedność ludu Clouda. Jeśli coś się jej przytrafi, zapanuje chaos. To zebranie miało wszystkim pokazać, że bez pomyślności wioski nie jest możliwe utrzymanie niezależności Wież znad Jezior. Że bez Elai nikt z pozostałych władców, Taem czy Paeia, nie może niczego dokonać.

## 46.

### Stacja orbitalna do dyrektora bazy.

Nasze obserwacje wykazują wzmożoną aktywność Kalibanów - powstają co rusz nowe wały, zapewne jako reakcja na wymarsz wojowników z wioski nad Styksem. Wydaje się, że nad Rzeką Obłoków już wiedzą, co się święci. Nad Styksem, oprócz przemarszów wojowników, nie zauważyliśmy aktywności Kalibanów, która przejawiałaby się sypaniem nowych wałów.

Zauważyliśmy duże zgrupowanie Kalibanów i wojowników nadciągające od strony dwóch wież w pobliżu wioski Clouda. Widać, że następuje mobilizacja wszystkich dostępnych sił. Liczba ludzi i Kalibanów wciąż wzrasta.

Bezpośrednie obserwacje grożą poważnym niebezpieczeństwem.

Dyrektor bazy do dr McGee.

„Genley i jego zespół zniknęli bez wieści gdzieś nad Styksem. Czy ma pani jakieś wiadomości na ich temat?”

Szef służb bezpieczeństwa do dyrektora bazy.

„Nasi obserwatorzy przedsięwzięli zalecane im środki ostrożności. Meldują o niezwyklej aktywności i agresywności Kalibanów. Zdaje się, że stanęliśmy w obliczu wojny”.

Dyrektor bazy do szefa służb bezpieczeństwa.

„Moim zdaniem Genley, Kim i Mannin znajdują się w kolumnie wojsk zmierzających w stronę wioski Clouda. Nie mam żadnych wiadomości od McGee. Zachować wszelkie środki ostrożności. Zwiadowcom nakazać powrót do bazy”.

## 47.

### Rok 205, dzień 60 ery kolonialnej. Rzeka Obłoków.

W korytarzach pierwszej wieży panowała niezwykle cisza - wszyscy mieszkańcy przebywali nad rzeką. U powały wisiały pajęczyny kurzu, na klepisku walały się porzucone sieci. Dzisiaj spod wody

wynurzyło się coś ogromnego, wielkie cielsko nie widzianego tu nigdy stworzenia. Ktoś zażartował, że przybyło, bo spodziewało się obfitego żeru.

Z lasów wyszły ogromne Kalibany, nie należące do nikogo i przedostały się na obrzeża wioski, poruszając się wzdłuż rzeki. Nieprzystosowani stali jednak na posterunku, nie dopuszczając ich bliżej.

McGee pomyślała, że to dzika, pierwotna i nieoswojona siła wychodzi ze swych kryjówek, aby na powrót zawładnąć ziemią, odebraną im przez ludzi.

Wojownicy są niespokojni. Wydaje się, jakby z dawna ustalony porządek tego świata nagle stanął na głowie. Wszystkie drogi, trakty, leśne ścieżki, zarosły kurzem, gdyż nikt z nich teraz nie korzysta. Tylko słońce przynosi czasem otuchę, rozświetlając panujący wokół mrok.

Na jednej z nieuczęszczanych teraz ścieżek McGee spotkała Dina z jego Kalibanem.

- Din - powitała go, szczerze zadowolona ze spotkania. - Dawno cię nie widziałam...

Chłopak nie odezwał się, tylko spróbował ją ominąć.

- Din? Dobrze się czujesz?

Osobiste notatki McGee. Zakodowane

„Dzisiaj rozmawiałam z Dinem. Chyba niewiele zrozumiał z moich słów. W pierwszym porywie chciałoby się tego chłopaka

umyć, uczesać, ubrać w czyste ubrania, bo obecnym wyglądem mało przypomina człowieka. A kiedy patrzy się w jego oczy, natychmiast odechciewa się go przytulić i nachodzą człowieka wątpliwości.

Jak tylko doń przemówiłam, podniósł kamień i cisnął nim we mnie. Z pewnością od dawna jest dorosły, ale w tym momencie zachowywał się jak małe dziecko. Zapłakał i próbował ukryć się w zaroślach.

*Nie chcę umierać*, przypomniałam sobie jego słowa. Nie uchyliłam się przed kamieniem, popatrzyłam tylko na niego tak, by zrozumiał, że obojętna jest mi jego wrogość. Pewnie stąd jego łyż. Boisz się Jina? - spytałam.

- Nie - odpowiedział, próbując zachowywać się arogancko, w ten sposób próbował zatrzeć pierwsze wrażenie.

- Spójrz na morze - powiedziałam.

Wydawało mi się, że nie bardzo wie, o co mi chodzi. Rozejrzał się wokół - staliśmy pośrodku lasu, tu nawet nie było słuchać szumu morza.

- Spójrz na morze, gdy następnym razem tam będziesz - powtórzyłam.

- Dlaczego?

- To moja rada dla ciebie.

Zaczął mu opowiadać o łódkach i statkach, które kiedyś konstruowała Elai. Nie wydawał się tym zainteresowany. Postanowiłam zmienić temat.

- Bądź chytry! - Spojrzał na mnie zaciekawiony i trochę zdziwiony tą nagłą zmianą. - Jeśli pragniesz długo żyć i zostać prawdziwym mężczyzną, musisz się nauczyć, jak być przebiegłym. - Mówiłam szybko, trochę bez przekonania, bo jak mogłabym mu wyjaśnić świat, w którym przyszło mu żyć. - Twoja matka pragnie, abyś przeżył tę wojnę. Dlatego ściągnęła pomoc z innych wiew, bo ten, który ku nam nadciąga, jest zły i potężny.

Patrzył na mnie.

- Lubię cię - powiedziałam w końcu.

Din przykucnął i wydawał się mnie słuchać. Zmierzwiałam mu i tak potargane już włosy. Zacisnął usta, ale widać było, że jest zadowolony.

- Walcz, lecz bądź mądry i sprytny. Bądź przebiegły.

- Czy to Elai kazała ci to powiedzieć?

Cóż, władczyni powiedziała mi, że bym troszczyła się o jej synów, zatem przemawiałam w jej imieniu. Niewiele więc skłamałam, gdy kiwnęłam potakująco głową.

Rozmawiałam jeszcze tego dnia z ClouDEM, ale niewiele wskórałam. Ten chłopak jest za młody, by rozumieć, co się wokół niego dzieje. Taem z kolei wie chyba aż za dużo rozmawia z Arielami, Kalibanami, nieprzystosowanymi. A nawet z DziobatyM.

Mój czas powoli dobiega końca. Nie wezmę ze sobą tego notatnika, ale zakopię go w ziemi, na wszelki wypadek. Otrzymałam własnego Kalibana. To jeden z tych, które w ostatnich dniach wyszły z lasu. Dain powiedział, że on urodził się na obszarze, który należy do ich ludzi. Nakreśliłam przed nim wzór z kamieni, ale nie otrzymałam odpowiedzi. Trudno udawać, że jestem całkowicie zadowolona z

tego podarunku, ale ufam Dainowi, który pociesza mnie, że mój wierzchowiec nie ma nic przeciwko mnie samej, ale nie bardzo podoba mu się konieczność noszenia kogoś na swoim grzbiecie.

## 48.

### W stronę Rzeki Obloków.

Jak tylko słońce skryło się nisko za konarami drzew, zatrzymali się na popas. Rozłożyli prowizoryczny obóz, a żony łowców rozpały ogniska i zaczęły przygotowywać strawę. Składały się na nią jak zwykle ryby, placki i korzenie jadalne.

- Mam już dość tego świństwa - odezwał się Mannin, który ostatnio bardzo zmizerniał. Miał stale jakieś dolegliwości żołądkowe. - Może właśnie od tych korzeni dostałem tej wysypki?

- Przestań wreszcie! - skarcił go Genley. - Musimy coś jeść.

- To raczej wina wody - wtrącił się Kim. - Już dawno mówiłem, że nie pociągniemy długo pijąc wodę z rzeki. Za dużo ostatnio w niej naszych ścieków.

- Zamknij się!

- On już ledwo ciągnie - odezwał się Hes, na którego Kalibanie jechał Mannin. - Ci znad Rzeki Obloków wykorzystają cię na paszę dla swoich Kalibanów.

Mannin odepchnął go gniewnie i opuścił ich, kierując się w stronę rzeki. Wokół zapadły gęste ciemności.

- Uff- odetchnął Genley.

Wszyscy mieli już powyżej uszu zrzędzenia Mannina. Od kilku dni nic, tylko marudził.

Genley powoli jadł podaną mu kolację, przyglądając się setkom ognisk, wokół których siedzieli mężczyźni i kobiety. Podobne obrazy można było zobaczyć na przestrzeni kilku mil. Kiedyś zapytał .lina, ilu ludzi wyruszyło na wyprawę. W odpowiedzi otrzymał wzruszenie ramion. Genley jednak i bez odpowiedzi wodza wiedział to, gdyż przeprowadził pewne obliczenia. W stronę Dwunastu Wież ciągnęło tysiące ludzi i Kalibanów, wzbijając w dzień kłęby pyłu. a nocą rozpalając setki ognisk.

Stacja na pewno dostrzegła ten przemarsz i dokonała szacunkowych obliczeń. Byli jednak bezradni. Ten dzikus, Cezar znad Styksu, dobrze wiedział, że zdobędzie ten świat przy niemej aprobacie ludzi z gwiazd. I nikt mu się nie przeciwstawi.

Pociągnął łyk piwa i splunął, bo napój przypominał smakiem szczyny. Trzeba będzie gotować wodę i pilnie uważać na jedzenie. Człowiek przywiózł na Gehennę cały pakiet swoich bakterii i wkrótce będzie musiał zbierać żniwo swej nieprzezorności. A słabi pójdą w wyniku tego do piachu. Oto co ich czeka w najbliższych latach.

- Mannin - ktoś krzyknął w ciemnościach.

W przybrzeżnych zaroślach dały się słyszeć inne krzyki. Łowcy zaczęli szukać Mannina. Choć żyli z tymi ludźmi tyle już lat. nadal traktowano ich jako obcych i pilnowano.

- Proszę ich powstrzymać, Genley - powiedział Kim.

Za późno. Rozległ się krzyk i po chwili kilku łowców weszło w krąg światła. Trzymali Mannina.

- Niech pan z nimi porozmawia. Przecież on jest chory...

- Zamknij się! wrzasnął Genley i przyjrzał się choremu towarzyszowi niedoli. Po bladej twarzy spływały strużki potu, błyszcząc w blasku ognisk. Mannin drżał i szczykał zębami, patrzył nieprzytomnym wzrokiem na otaczających go ludzi.

- Przynieś mu wody!

- Nie jestem chłopcem na posyłki - odpowiedział Kim. - Jakim prawem wydajesz mi rozkazy?

- Przynieś wody - powtórzył Genley. - A jeśli zajdzie potrzeba, zostaniesz pan pielęgniarą.

W pobliżu zauważył Jina. Zerwał się pospiesznie i podbiegł do wodza. Jin zerknął na dowódcę łowców, a potem na Genleya. Nie miał ochoty na kłótnię, gdyż wokół było za mało publiczności mogącej docenić wielkość wodza, wydającego wyrok. Wskazał więc w stronę jednego z większych ognisk. Genley posłusznie poszedł za nim. Kucnęli przy ogniu. Dopiero wtedy Jin zapytał:

- Mannin?

- Jest naprawdę ciężko chory, to pewnie infekcja układu pokarmowego.

Jin klepnął go dłonią w kolano.

- Czy wszyscy ludzie z gwiazd są tacy delikatni?

- Mannin jest bardzo przydatny...

- Tak? A do czego? - Jin wyciągnął dłoń w stronę ogniska i oderwał kawałek po.dpłomyka rozłożonego na szerokim kamieniu. - Dla niego nie ma już ratunku, mój ojciec. To nie żołądek ma

chory, ale umysł. Mannin boi się i sra w portki.

- Nie można go traktować na równi z łowcami. On jest inny... trochę jak nieprzystosowani.

Jin przyjrzał mu się spod wpełprzymkniętych powiek, żując kęs placka.

- Masz rację. Jak nieprzystosowany.

- Wielu z nas jest takich.

• To widzę - w głosie Jina pojawiło się rozbawienie. - Dlatego powierzam ich twojej opiece. Od teraz Kim i Mannin należą do ciebie, lordzie Genley!

Genley zamilkł. Nie wiedział, co o tym sądzić. Czy to przejaw dobrego humoru Jina, czy wręcz odwrotnie, jakaś złośliwość.

- Umiesz walczyć, Genley?

Wzaiszył ramionami.

- Od dawna nie miałem w ręku broni gwiazdnych ludzi. Nie wolno nam wynosić jej z bazy.

Jin spojrział na niego z wyraźnym zainteresowaniem.

To był błąd. Ponownie udało mu się wciągnąć go w zasadzkę. Wytrzymał jednak spojrzenie Jina i zaczął się tłumaczyć, żeby zatuszować poprzednią niezręczność.

- Jest trochę broni w bazie, ale najważniejsze dla nich jest to, co mają na stacji... na górze - wskazał niebo. Gdy opuścił rękę za uważał, że rozmowie przysłuchują się w ciszy wszyscy zgromadzeni przy ogniu. Wstrzymali rozmowy i śmiechy, i słuchali rozmowy swego wodza z człowiekiem z gwiazd. - Najpierw trzeba pertraktować, zrobić ten pierwszy krok. Na wszystko jest właściwa pora.

- McGee...

- Jej czas już upłynął. Ją też daj mi pod opiekę. -Nie!

Zrobił, co było w jego mocy. Od tej chwili nie wolno mu było mieszać się w konflikt między wieżami. A może McGee wreszcie poszła po rozum do głowy i wróciła do bazy? O ile nie jest zakładnikiem Elai, jak on **Jina**.

### **Rok 205, dzień 98 ery kolonialnej. Dwanaście Wież.**

Zaraz o brzasku, McGee wraz z innymi dosiadła swojego wierzchowca i ruszyła nad rzekę. Miała nowe ubranie, skórzane, ściśle przylegające do ciała i ciężkie, ale wygodne. Boże, pomóż nam, wdychała co chwilę. Co ja robię w tym dziwnym ubraniu, pędząc na Kalibanie w dół zbrocza. Gdzie jest moje miejsce w szyku? Jej przewodnikiem miał być jeden z nieprzystosowanych, ale w panującym ścisku, skupiona na tym, żeby nie spaść z grzbietu jaszczura, straciła go z oczu. Dopiero gdy dotarli do celu, dostrzegła go w słabym świetle, bo słońce nie potrafiło się przebić przez tumany kurzu wzbijane przez kolumnę wojsk.

Jej Kaliban chyba stracił cierpliwość - syknął niezadowolony, huknął o ziemię ogonem i wszedł po brzuch do rzeki. Wbiła piętę w jego pokryty łuskami bok. Potem wyrznęła pięścią w uniesiony dziób i zmusiła, żeby ruszył we właściwym kierunku. Zbliżyli się do miejsca, gdzie zbierali się wojownicy z innych wież. Elai, Taem i Paeia znacznie ją wyprzedzili, nie chciała jednak przepychać się do nich przez kłębowisko ogromnych jaszczurzych cielsk. Jeszcze czekało ją sporo niewygód w najbliższych dniach, cała ta wojenna zawierucha. Wiedziała, że już wkrótce stanie naprzeciw muru wrogich Kalibanów, dosiadanych przez jeźdźców z zatrutymi strzałami.

Wiedziała, jak i dlaczego wplątała się w tę całą awanturę. Drżała z zimna, była też głodna, bo przed wyruszeniem nie zdążyła nic zjeść. Pocieszała się, że bitwa nie zacznie się za chwilę, że zostało jeszcze trochę czasu. Przewodnik dał jej znać, żeby przesunęła się w stronę rzeki.

Na brzeg, McGee.

No tak, pomyślała, popychana masą ciał Kalibanów, napierających z tyłu. Moja obecność tutaj stawia pod znakiem zapytania wiarygodność przepowiedni ze wzorów. Elai to zaplanowała, westchnęła z niejaką dumą. Z drugiej strony odczuwała jednak strach. To nie był jej świat, jej dom, nie była nauczona walczyć. Wyobraziła sobie Dziobatego rozszarpującego jakiegoś szarego, unoszącego go w górę i potrząsającego, jakby był wątłym drzewkiem.

To nie mój świat - pomyślała jeszcze raz. - Ale będę musiała oddać za niego życie.

Ujrzała przed sobą Elai, Daina i jeszcze kilku wojowników, których знаła. Przybywała do nich niejako obserwatorka, ale jako uczestniczka zbliżającej się bitwy.

Będzie walczyć za Dwanaście Wież. Za Elai. Za *Pierwszą*.

Nikt nie wznosił okrzyków, w porannym wietrze nie łopotały żadne sztandary. Wczoraj dostała od Elai sznur z nanizanymi, wygładzonymi kośćmi - tutejszy odpowiednik biżuterii.

- Masz tu drobną ozdobę. McGee - powiedziała jej Elai. - Kościane klejnoty. Zawiązała sznur na szyi, w dowód przyjaźni.

## 49.

### **Rok 205, dzień 107 ery kolonialnej.**

Dyrektor bazy do załogi.

„Obserwacja ze stacji wykazuje, że wojownicy Jina zbliżają się wzdłuż rzeki do Dwunastu Wież. Dzieli ich jeszcze około dwustu kilometrów.

Mieszkańcy Dwunastu Wież opuścili swoje domostwa i forsownym marszem zmierzają do miejsca oddalonego o siedemdziesiąt kilometrów od ich osady, a które wydaje się być naturalnym pasem obronnym. Zapewne tam dojdzie do pierwszej bitwy”.

Dyrektor bazy do stacji orbitalnej.

„Na wasze pytanie dotyczące miejsca przebywania naszych czterech agentów, z żalem odpowiadam, że nie mamy z nimi od dłuższego czasu żadnego kontaktu. Sądzymy, że Genley ze współpracownikami znajdują się z wojskiem .lina maszerującym wzdłuż rzeki. Nie można ich jednak w żaden sposób wyśledzić.

Proszę o staranną inwigilację terenu wokół bazy.

Stwierdziliśmy w naszym rejonie wyteżoną aktywność (Calibanów. W połączeniu z działaniami wojennymi obu osad, sytuacja ta zmusza nas do zachowania szczególnej ostrożności”.

### **Rok 205, dzień 109 ery kolonialnej, godzina 02:33.**

Główny inżynier do dyrektora bazy:

„Zaminowujemy przedpole bazy, korytarze między zasiekami i niektóre sektory wewnątrz niej. Zanotowano podziemne przekroczenie strefy ochronnej w rejonie czujnika numer 30”.

Godzina 02:36.

Dyrektor bazy do służby bezpieczeństwa.

ogłaszam pierwszy stopień gotowości bojowej...”

Godzina 03:40.

Dyrektor bazy do stacji orbitalnej.

„System bezpieczeństwa jest w stanie pokrzyżować plany intruzów, którzy weszli nielegalnie na teren bazy, już przy pierwszym stopniu bezpieczeństwa. Członkowie sztabu są zdania, że agresja Kalibanów jest skierowana przede wszystkim przeciwko naszym urządzeniom, a nie ludziom.

Wysialiśmy ostrzeżenie do obserwatorów przebywających poza bazą. Uważamy, że powinni zostać w ukryciu tam, gdzie aktualnie się znajdują. Pobyt w bazie stwarza aktualnie większe zagrożenie dla ich życia, niż pobyt wśród tubylców.

Załączani raport do depeszy”.

## 50.

### **Rok 205, dzień 112 ery kolonialnej. Rzeka Obłoków.**

- Kalibany podeszły pod samą bazę - powiedziała Elai.
- Wiem - potwierdziła McGee, która dowiedziała się o tym wcześniej. Siedziała ze skrzyżowanymi nogami obok władczyni i Dziobatego. Jej Kaliban gdzieś poszedł za swoimi sprawami; robił tak zawsze, kiedy tylko zsiadała mu z grzbietu. Inne jaszczury zawsze pozostawały przy jeźdźcach.

Kiedy dzisiejszego poranka spojrzała we wzory Arieli, które w pomniejszonym formacie kopiowały to, co ułożyły z ziemi i kamieni Kalibany, poczuła się naprawdę przygnębiona. Patrzyła na

bezduszne kamyki przekazu, przedstawiające planetę, słońce i gwiazdy, i zastanawiała się, czy baza zdoła przetrwać. A Jin był już naprawdę blisko.

W jaki sposób zdołali przepłoszyć Kalibany? - zapytała Elai.

McGee wzdrygnęła się, wyrwana z zamyślenia. Zastanowiła się nad odpowiedzią, musiała ona być jasna i zrozumiała. Pierwsza była jej przyjaciółką, dała jej możliwość życia w tym nowym świecie, zyskała nową rodzinę. Elai czekała cierpliwie na odpowiedź - była w rym bardzo podobna do Kai i banów.

- Żołnierze wpuszczają pod ziemię śmierdzący dym, utrudniający oddychanie. Jak się nim poodycha dłużej, traci się siły. To tylko jedna ze sztuczek bazy, majajeszcz inne, przy których dym wydaje się zabawką dla dzieci...

Ale tego nie zrobią... - pokręciła głową Elai.

- A niby dlaczego miałoby się powstrzymać? - wyraził swoje przekonanie Taem, który podszedł cicho do ich ogniska.

• Bo chcą zobaczyć, jaki wzór realizujemy - odparła spokojnie. - Zatem przystąpmy do rzeczy.

• Dobra - mruknął Taem i zajął się swoimi strzałami. Ich ostrza owijał starannie szmatkami, żeby nie zadrasnąć się nimi przez przypadek. Groty były posmarowane śmiertelną trucizną.

McGee wróciła do spisywania swoich notatek.

„...dzisiejsza noc jest spokojna. Mają bardzo dziwny sposób wojowania. Obie strony wiedzą dokładnie, gdzie znajduje się przeciwnik. Mamy też pewność, że nie uderzą dziś wieczorem. Może rano... Dowiedziałam się o ataku na bazę. Najprawdopodobniej były to Kalibany znad Styksu. Ludzi z Dwunastu Wież raczej nie podejrzewam o podobny wyczyn, ich jaszczury są inne. Chciałabym bardzo pojąć, dlaczego nawet jaszczury z tych obu społeczności tak od siebie się różnią. Może i w ich przypadku istnieje jakaś plemienna przynależność?

Boże, ponownie zaczynani myśleć ludzkimi kategoriami. Wciąż nie mam zielonego pojęcia, o co chodzi w tej przeklętej wojnie. Żeby chociaż wiedziała, kto ją wywołał: ludzie czy Kalibany...

Mój jaszczur znowu przyszedł do mnie i pokajał się. Dziwne - ogromne, dzikie bestie, same, z własnej woli, służą ludziom jako wierzchowce. Ten pomysł wyszedł ponoć od Kalibanów. Nie od ludzi. Poza tym nie zauważyłam, by jaszczury miały jakąś wewnętrzną organizację czy hierarchię. Nie charakteryzują się nawet karnością, tak przecież niezbędną w wojsku. Poruszają się, gdzie chcą, czasem to-warzyszą jeźdźcom, innym razem nie, nie wystawiają wart...”

McGee podniosła wzrok znad kartek. Na granicy kręgu światła rzucanego przez ognisko spacerowała jakaś para. Znała ich oboje; może chcieli wykorzystać ostatnie chwile spokoju przed nadchodzącą burzą...

Taem ujął dłoń Elai, wpatrzony w jej twarz. Paei, gdy to zobaczyła, wstała, otrzepała się z piasku i poszła do ogniska, „przy którym siedzieli jej wojownicy. Jej syn podążył za nią.

Jakiś cień padł na McGee. Obejrzała się. To Dain przykucnął obok niej. Czerwone odbłyски tańczyły na jego twarzy, długie włosy opadały na pokryte skórzanym kaftanem ramiona. Jako kobieta musiała przyznać, że ten mężczyzna robił wrażenie, o czym musiała się przekonać niejedna kobieta. Jego flirty były głośne wśród ludu Cloiida, były nawet przedmiotem rubasznych żartów, które sam Dain roznosił wśród ognisk obozu.

Siedział i obserwował ją uważnie. Wskazał nieznacznym ruchem głowy zarośla w ciemności, skąd dochodziły odgłosy spółko-wania. Chciał ją objąć, wyciągnął rękę... Dłoń zawisła w powietrzu i czekała. Długo się zastanawiała, wreszcie odłożyła notatki i wyszła mu naprzeciw.

Sądziła, że Dain w ten sposób okazuje jej po prostu przyjaźń. W duchu przygotowała się na poważną rozmowę o przyszłości. Pomyliła się. Dain chciał czegoś innego. Pociągnął ją w zarośla.

Przestraszyła się mroku - przedzierali się przez krzaki coraz dalej, aż ogniska stały się jedynie małymi, czerwonymi punkcikami przebłyskującymi wśród cieni. Potem przygarnął ją do siebie i upadli na ziemię.

- Dlaczego? - pytała zdumiona. - Dlaczego ja?

Najlepszy z wojowników Elai, Dain Flanahan zaśmiał się cicho, nieco zaskoczony. Pozostali w zaroślach aż do świtu.

To był pocziwy, młody człowiek. Zawsze o tym wiedziała.

## 51.

### Rok 205, dzień 113 ery kolonialnej. Rzeka Obłoków.

Wszystkie wzory odcisnięte na brzegu rzeki zostały celowo i systematycznie rozdeptane setkami stóp. Nie mogli się w tym zdarzeniu doszukać jakiegokolwiek celu.



• To są szaleńcy - powiedział Blue, potrząsając groźnie głową. - Najpierw szybki atak, a potem ta zabawa. Po co?

• To ludzie Elai - mruknął Jin, zakłopotany, z ponurym wyrazem twarzy. Spostrzegł, że jego wojownicy nie przejęli się zbytnio tym zatarciem wzorów. W obozie panował nieporządek, a tego bardzo nie lubił. Wszyscy byli cicho, widząc, w jakim nastroju jest tego dnia wódz. Byli przynajmniej na tyle mądrzy, że się nie odzywali.

W oczach Jina czała się podejrzliwość. Byli tacy, co szeptali po kątach, że mocno przesadza z nieufnością wobec swoich poddanych.

- To Elai - powtórzy! to imię, nie pierwszy raz dzisiaj, i pewnie nie po raz ostatni. - Podstępna kobieta. Nie interesują mnie jej losy. Nasza wojna nie toczy się tylko o jej wieżę. Ja chcę mieć je wszystkie. Zrozumieliście mnie?

Wojownicy spojrzeli na niego przez ogień ogniska. Genley siedział obok wodza, gotów spełniać jego zachcianki, odpowiadać na pytania i rozwiewać wątpliwości, które nawiedzały czasem samego lorda.

Wiedzieli, o co toczy się wojna. Nad rzeką czekali na nich ludzie Dwunastu Wież, Elai i McGee. Przede wszystkim był jednak łup - setki kobiet, które mogły wnieść urozmaicenie w proste życie łowców, i tysiące niewolników do uprawy nowych pól. Byli też wojownicy, którzy mogli się poddać nowemu wodzowi, a potem pójść za nim na bazę.

• Rankiem wyruszymy i obejdziemy wojowników Elai...

• Obejdziemy? - zdziwił się Blue.

- Tak. Obejdziemy, kierując się na południe. - Jin patrzył w ogień, zadowolony, że łowcy przysłuchują mu się uważnie, choć nie od razu załapali perfidię jego planu. - I stamtąd uderzymy. Będą mieli za plecami rzekę. Wpędzimy ich w przybrzeżne błota i bagna, a resztę zostawimy naszym Kalibanom.

Kiedy wreszcie plan do nich dotarł i zobaczyli w myślach czekającą ich zabawę, jak z grzbietów wierzchołków będą strzelali zatrutymi strzałami w ludzkie kłębowisko, spychając błagających o litość niedobitków, zaśmiali się szyderczo. Chcieli widzieć rzekę przyjmującą w odmęty setki pokurczonych ciał, chcieli posiadać tę kobietę, która przez tyle lat stawiała im opór. Chcieli dostać ich ziemię, plony i łowiska.

Zboże i ryby... Czy wojna może wybuchnąć dla czegoś tak prozaicznego?

Od strony wartowników dały się słyszeć krzyki.

• Co się tam znowu dzieje? - rozżościł się Jin. Wstał.

• Pójdę zobaczyć - Genley przezornie wołał się oddalić od wodza.

• To pewnie uciekli ludzie z gwiazd!

Szybko pobiegł w stronę, skąd dochodziły okrzyki. Jin puścił się biegiem za nim. Wtedy Genicy wpadł na Vila, za którym stała jego drużyna. Odepchnął go, a łowcy chwycili za włócznie.

- Gdzie? - zapytał Jin, zasapany po biegu.

- Nie wiemy - odpowiedział któryś z łowców.

Genley drgnął i pobiegł w stronę rzeki. Biegł szybko, ale włócznia była szybsza, nadleciała z ciemności. Jin patrzył zaskoczony, jak Genley osuwa się na ziemię, zginając pod ciężarem drzewca sterczącego z pleców. Wyciągnął rękę, w którą Blue włożył mu dzi-ryt. Naprężył mięśnie i wziął zamach. Niepotrzebna strata energii, wokół trwała cisza. Genley od kilku chwil był już martwy. Jin podszedł do ciała, wyciągnął broń i obrócił się, oczekując ataku.

• Genley - powiedział do wygiętego w przedśmiertnym skurczu ciała. Nie otrzymał odpowiedzi, nie oczekiwał jej zresztą. Szeroko otwarte usta nie wyrażały nic poza zdziwieniem. Usta zastygły w grymasie agonii. Wokół czuł przyspieszone oddechy łowców. Czyżby spisek?

• Gdzie jest Kim? - zapytał spokojnie. Łowcy wokół niego pochodzili z wieży Parmy, stanowili jego drużynę. - Gdzie Parm?

Podszedł do niego w milczeniu i stanął obok. Utkwił wzrok w twarzy Vila, który od chwili śmierci Genleya nic nie powiedział. Jin spojrział w stronę obozu. Wszędzie widział wojowników, którzy rozglądali się wokół z bronią gotową do użycia. Setki oczu patrzyło w ich stronę. Jin zauważył ze zdziwieniem, że drżą mu kolana.

Nie miał pojęcia, jakie rozmiary przybrał spisek, ilu ludzi do niego należało, ani kogo powinien się obawiać. Jedno było dla niego pewne - stał za tym Parm, który od dawna z trudem tłumił niechęć do ludzi z gwiazd. Kiedy tylko mógł utrudniał im życie, jak wtedy, gdy ruszyli ukarać wieżę na północy. Parm był związany z wieżą Greena - miał stamtąd nawet jedną z kobiet, podobnie Green żył z kobietą podarowaną mu przez Parma.

Cisza przedłużała się. Mógł ją przerwać tylko Vii lub Parm.

Kalibany wyruszyły na polowanie, ich odgłosy dochodziły znad rzeki. Teraz trzeba było zająć się trupem.

Ja to zrobię - powiedział Parm, wskazując na ciało.

Wszyscy widzieli, jak pozorny i wymuszony był jego spokój. Nie można spuszczać oka z tego szczwanego lisa, który potrafi przybierać obłudne maski.

- Chcę odzyskać pozostałych... - Jin miał na myśli Mannina i Kima.
- To może chyba załatwić Vii...
- Tak, na pewno ich odnajdzie. Bądź ostrożny - te słowa Jin skierował już do wojownika, który bez zwłoki ruszył w drogę.

Pozostali powoli wracali do zwykłych zajęć, podnosili się z kłęczek, zbierali broń. Jakiś Ariel podszedł do ciała, chcąc mu się z bliska przyjrzeć. Zaczął skubać jeden z palców Genleya. Jin podniósł włócznię i przygwoździł jaszczurkę do ziemi. Po chwili podniósł ociekające krwią ostrze.

- Do rzeki z nim.

Ze zwyczajowym pochówkiem było za dużo zachodu. Nie było czasu na pogrzeby i lamenty, gdy byli na wojnie. Porzucił okrwawioną włócznię i podszedł do ogniska. Po drodze nappełnił kufel piwem z beczki i pociągnął potężny łyk. Potem drugi. Pił łapczywie, choć nic był spragniony.

Chciał nasycić żołądek i żal. W oczach stanęły mu łzy... i tam pozostały. Nie umiał płakać. Siedział przy dogasającym ogniu, kontemplując stan swojej duszy. Smutek powoli ustępował wściekłości, która sprawiła, że jego ciałem wstrząsnęły dreszcze.

Teraz musi zająć się Parmem. Ten człowiek nie może więcej mu stanąć na drodze. Nie wolno przy tym zapomnieć o Kalibanach. Gdy ich właściciel będzie już gryzł piach, trzeba zająć się jego jaszczurami, zanim one same nie podejmą jakichś działań.

Vii może się w tej sprawie okazać przydatny, a gdy już wszystko załatwi, Jin pozbędzie się go, jako niewygodnego świadka.

Lepiej zdusić całą epidemię w zarodku, zanim obejmie więcej poddanych. Wszyscy zarażeni muszą zginąć.

Czy można się pogodzić z utratą jednej wieży? Chyba nie ma innego wyjścia. A gdyby tak Parni zginął w bitwie, schodząc ze sceny bez podejrzeń, że to Jin maczał w tym palce?

Obok Jina siedział Blue.

- Parm... - odezwał się Jin cicho, popierając słowo znaczącym gestem. -Jutro...

Blue aż pojaśniał z zadowolenia i odpowiedział na sygnał, zginając palec w koło. Miecz... Jin kiwnął głową z uśmiechem. Miecze cięły równo. Nie musiał się obawiać, że zawiodą. Jutro, w czasie bitwy, Blue znajdzie sposób, by otoczyć Parma i jego drużynę. Pójdzie w ruch żelazo. Lepiej, żeby poległo kilku ludzi, niż żeby zachwiała się jedność wież znad Styksu. To jedyne, ale i najlepsze rozwiązanie.

Wszystko wróci do normy.

Kalibany powoli wracały od rzeki. Wśród nich był Kolec, który podszedł do swego pana i zasyczał.

Jin cofnął się, klepnął go dłonią po dziobie i potarł nos za fałdy skórne naokoło paszczy. Kolec ruszył na obchód obozu.

Wzory odzyskały przejrzystość. Mężczyźni zbierali się wokół ogniska Jina, starannie omijając Panna i jego ludzi. Kiedy przyprowadzono zbiegów, Parm postanowił ich przekazać wodzowi jako porękę ugody. Więźniowie, zmęczeni, przemoczeni i umorusani błotem, stanęli przed Jinem.

- Genley? - zapytał niespokojnie Mannin, rozglądając się wokół. - Gdzie jest Genley?

Ten człowiek był już kłębkim nerwów. Jego strach, niespokojne spojrzenia i podejrzliwość, drażniły łowców. Jego przerażony głos brzmiał piskliwie w ciszy, jaka zapadła. Parm w tym czasie obliczał, ile czasu zdoła kupić tym gestem.

• Vii zapłaci za swoje błędy... - odezwał się, pojmując dobrze, co oznaczała cisza w obozie. Jin milczał, zaskoczony, że ambitny starzec tak szybko zacznie się kajać. - Sam się o to postaram.

• I dobrze zrobisz - pochwalił go wódz, choć dobrze wiedział, że czas Parma jest już policzony. Ten człowiek otrzymał już wyrok. Przestał być użyteczny. Nawet przestał być już groźny. Jin odechnął, odprężony tym nagłym zwrotem sytuacji. Powstał, otrząsał spodnie z pyłu i spojrzał na jeńców.

- Rozgniewali mnie - wskazał strażnikowi Kima. - Skończcie z nim!

Więzień zrobił ruch, jakby chciał uciec, ale nóż wbity mu w plecy, osadził go w miejscu. Drgnął, po czym osunął się na ziemię bez życia. Mannin upadł na kolana i zasłonił twarz rękami. Cały drżał.

- Właśnie mogłeś się przekonać, jak wygląda śmierć buntownika  
Jin ukląkł przed jeńcem, patrząc mu badawczo w oczy. - Genley nie żyje. Teraz już tylko ty mi pozostałeś.

Wstał i rozejrzał się po otaczających go mężczyznach.

- Ten człowiek jest chory, więc musicie zapewnić mu ciepło, jedzenie i wszelkie wygody. W tym stanie nie zdoła uciec. Pamiętajcie, że macie się z nim obchodzić troskliwie, jak ze wszystkim, co należy do mnie.

Patrzyli na niego ludzie, którzy dobrze wiedzieli, że lepiej trzymać stronę silniejszego. Nie mieli wątpliwości, kto tu jest władcą. Ta świadomość znacznie go uspokoiła.

Z jednej strony Jin przeżył bardzo przykre chwile i poniósł dotkliwą stratę, ale jednocześnie mógł pokazać wszystkim wojownikom, że jest wodziami i nie traci panowania nad sytuacją. Śmierci Genleya nie mógł uznać za nieszczęśliwy wypadek. Pamiątkę zapewne nie potrafi zrozumieć znaczenia, jakie miała dla Jina obecność nad Styksem ludzi z gwiazd. Za ten błąd będzie teraz musiał zapłacić życiem. Jin mijał wolno łowców, na ich twarzach widział respekt wobec swojej osoby. Znowu poczuł się pewny siebie.

Jutro... mruknął na tyle głośno, że usłyszeli go najbliżej stojący.

Jutro... - powtórzyli za nim szeptem, a pomruk poszedł dalej, ogarniając cały obóz.

Zbyt długo czekali na upokorzenie Elai. Jutro przyjdzie czas na zemstę, spełnią się krwawe przepowiednie. Bunt mu już nie grozi, ale dzisiejszej nocy nie będzie spał, bo musi załatwić jeszcze jedną sprawę, z którą za długo zwlekał. Wioska Gouda u jego stóp! Parm unieszkodliwiony. Oto plon, jaki jutro zbierze...

Strata Genleya go zabolęła. Serce ścisnął mu żal. Zwarł pięści i pomyślał o zemście. To będzie prawdziwa rzeź, z której żaden z jego wrogów się nie wymknie. Długo będą opowiadać o tym dniu, bo po raz pierwszy ukaże im swoje prawdziwe oblicze...

- Jin... -jakiś człowiek wyrwał go z zamyślenia, wskazując na plik kartek papieru trzymany w ręku.

Notatki Genleya. Często widział, jak ten je pisał, teraz były nieprzydatne. Patrzył nie zrozumiałe szeregi czarnych znaczków... To była jego historia, założyciela pierwszego imperium na planecie Gehenna, spisana przez człowieka z gwiazd.

- Oddaj je Manninowi - powiedział. - Powiedz mu, że ma ich pilnować jak oka w głowie.

## 52.

### Rok 205, dzień 114 ery kolonialnej. Rzeka Obłoków.

Tuż przed świtem w obozie rozległo się ciężkie Stapanie Kalibanów. Wojownicy chwytały za broń, gaszono ogniska. McGee także podniosła swoją włócznię i przytoczyła do pasa torbę z notatkami.

- Wstawać! Nie lenić się! - krzyczała Elai.

Biegli na oślep, potykając się w szarówce o pozostawione na ziemi przedmioty. ICalibany potraçały śpiących wojowników.

Dain był przy niej. W ciemnościach słycać był hałas budzącego się obozowiska, tumult kroków, krzyki, posykiwanie Kalibanów. Sprawiało to na McGee wrażenie wrzącego morza, które wystąpiło z brzegów.

Znad rzeki dochodziły okrzyki ludzi zachęcających się do zachowania czujności. To jeszcze nie był atak, tylko nagłe przegrupowanie. Ale coś groźnego wisiało w powietrzu. McGee chwyciła broń i pobiegła w stronę rzeki. Potknęła się. gdyż jakiś Ariel zabiegł jej drogę i chcąc go ominąć, wpadła na drugiego.

- Brązowy! - krzyknęła. To było imię, jakie nadała swojemu Kalibanowi. Żadne inne nie przyszło jej do głowy, - Brązowy!

Zagwizdała, ze wszystkich sił starając się, by dźwięk choć trochę przypominał sygnał wywoławczy. Nielatwo było jej gwizdać, mając zeszywniałe ze strachu szczęki.

Mijali ją biegnący gdzieś wojownicy, w ogólnej wrzawie i zamęcie, który zapanował po odwołaniu alarmu, nie można było dostrzec żadnego ładu i organizacji. Jakaś jaszczurza postać zbliżyła się do niej - to był Brązowy. McGee pospiesznie wdrapała się na jego grzbiet. W jednej ręce trzymała włócznię.

Drugą podtrzymywała torbę. Brązowy ruszył przed siebie, przestraszony, zdezorientowany, co chwilę

zderzając się z innymi jaszczurami.

Dokąd on tak gna?, pomyślała McGee, mocno dzierząc włócznię. Niedawno nauczono ją ciężkiej sztuki jazdy w pełnym rynsztunku, powiedziano jak nie stracić równowagi i nie spaść z jaszczura. W tej chwili mogła w praktyce wypróbować nowo nabyte umiejętności. Brązowy miarowo podrzucał swojego jeźdźcę, próbując dopasować tempo do pozostałych Kalibanów. McGee próbowała rozpoznać sylwetki sąsiednich wojowników - widziała, że siedzą na jaszczurach znacznie pewniej od niej. Cóż, lata praktyki...

Wzory powoli się urzeczywistniały. To było już ostatnie przegrupowanie. Zanurzali się w ciemność, za którą czaiła się prawdziwa wojna. Było zadziwiające, że w takiej chwili nikt nie dbał o zachowanie ordynku, może za wyjątkiem Elai, jadącej z przodu, z Ta-emem i Paeią u boku. Teraz byli jej sprzymierzeńcami, ale kto wie, co miały przynieść następne dni.

Boję się, szeptała w głębi duszy McGee. Boję się, bo nikt nie prowadzi wojny w ten sposób. Żeby zwyciężać, trzeba mieć równe szeregi, wojsko podzielone na oddziały, oficerów, sztab, generałów... Ktoś powinien mieć pieczę nad całością operacji.

Przedzierała się przez niskie zarośla, nie przejmując się wywoływany hałasem. Mocniej złapała włócznię. Chociaż panika brała nad nią górę, nie puszczała broni. Czuła, że zatrute ostrze na końcu drewnianej włóczni zaraz będzie bardzo przydatne do obrony. Zrozumiała, jak wielką wartość przedstawia dla niej życie, chciała, by trwało wiecznie. Myśl, że przecież wcale nie musi za chwilę umrzeć, dodała jej sił. Postara się przeżyć ten dzień. I jeszcze wiele następnych...

Dain... jeszcze nie wykorzystała wszystkich możliwości, jakie storzyła jej ta okazja. Nie powinna jej stracić.

Niebo powoli jaśniało od wschodu. Ciemność ustępowała szarówce, sylwetki Kalibanów nabrały ostrości. Zaczęli biec szybciej.

Zabić ich!

To było wszystko, co należało dzisiaj zrobić.

## 53.

### **Kwaterna główna Sojuszu na Stacji Gehenna.**

Wiadomość odebrana przez *AS Feniks*.

informujemy, że w wyniku podpisanych układów regulujących wymianę handlową pomiędzy stronami rokowań, Unii zagwarantowano ograniczony dostęp do niektórych planet strefy Gehenny. Postanowienia te dotyczą w szczególności rezerwatu i programu badawczego prowadzonego na głównej planecie systemu. Dlatego zobowiązujemy kierownictwo misji, aby umożliwiło upoważnionym osobom dostęp do wybranych prac zespołu badawczego. W żadnym jednak wypadku nie należy rezygnować z obecności wśród obserwatorów Unii naszych naukowców.

Uważamy, że nasza otwartość przyczyni się do utrwalenia między naszymi systemami pokoju, ducha odprężenia i zrozumienia dla interesów sygnatariuszy układu..."

## 54.

### **Rok 205, dzień 114 ery kolonialnej. Rzeka Obloków.**

Ranek zapowiadał słoneczny i ciepły dzień. Rząd jeźdźców ciągnął się wzdłuż rzeki, omijając wały wzniesione przez Kalibany poprzedniej nocy. Elai oglądała te nowe wzory, rozpatrując w duchu ich przesłanie.

lin grasuje nieopodal...

...Wokół są obcy...

...Mieszkańcy wioski Gouda i mieszkańcy gór połączyli swoje siły w walce z gniazdem Greena...

Gdzie są?, pytała się wciąż Dziobatego Elai, ale on ignorował jej pytania. Sprawiał wrażenie, jakby powiedział już wszystko.

Wzory głosiły, że nadszedł czas, by wreszcie wyruszyli. Jakaś logika w tym była. Może to nieprzystosowani zaplanowali tę całą wojnę? Bo chcieli pozbyć się natrętnych przywódców. Wzory wcale

nie wykluczały takiej możliwości. Ostrzegały, że dzikusy nie wiedzą, co to więzy krwi.

Elai towarzyszyli jej dawni mężczyźni. Taem, który przybył na wezwanie, ale jak dotąd nie zdradził rzeczywistego powodu, który nim kierował. Z pozoru wyglądało to tak, że zgodził się, bo wzór tak nakazywał i tak wypadło. Wszak on i jego ludzie należeli do ludu Gouda. A to zobowiązywało.

Słońce wreszcie weszło, pokazując armię w całej okazałości. Sunęli niczym górski potok, poprzedzani przez szare Kalibany. Nagle mniejsze jaszczury zniknęły gdzieś w zaroślach. Dziobaty uniósł łeb, to samo zrobił jaszczur Taema. Rozległ się ostrzegawczy syk, jakby woda natrafiła na rozpalone do białości żelazo. Dziobaty szarpnął się pod Elai.

Powietrze rozdarł świst strzał. Młodsze, mniej doświadczone Kalibany stanęły dęba. Elai mocniej ścisnęła kolanami wierzchowca, ale nie na wiele się to zdało. Wyrzucona w powietrze wylądowała na leśnej ściółce, podrapana gałęziami i korzeniami porzeczanych drzew.

- Hai! - krzyknęła.

Jej także udzieliła się bitewna gorączka. Krzyczała równie głośno co dużo młodsze kobiety, też wyrzucone z grzbietów jaszczurów, które stały teraz w miejscu, rozglądając się niepewnie. Elai chwyciła włócznię i spojrzała przed siebie. Z gęstwiny krzaków wynurzyły się Kalibany z jeźdźcami na grzbietach. Powietrze znowu zajęczało od wypuszczonych strzał. Jedna z nich ześlizgnęła się po naramienniku Pierwszej.

Krzyczała coś do swoich wojowników, ale nikt jej nie słyszał w bitewnym zgiełku. Nad nimi przeleciała kolejna salwa strzał. Jeden z pocisków uderzył w Dziobatego, twarda skóra była jednak odporna na takie ciosy. Kilka brązowych przemknęło obok jej kryjóWKi, znosząc wojowników z linii szarży. Dziobaty słał się, potężną łapą zaczepił o nogę swojej pani.

Kiedy rozstała się ziemia, wśród przeraźliwych wrzasków i syku jaszczurów kilka Kalibanów runęło w przepastną jamę, tracąc swych jeźdźców. Elai szukała wzrokiem swego głównego celu.

Paeia, która jeszcze przed chwilą była u jej boku, walczyła z jakimś przeciwnikiem i nie mogła jej pomóc. Wydostała się na otwartą przestrzeń, gdzie nie było jaszczurów i ludzi. Oprócz jednego...

.lin!

Gdzieś z tyłu zataczał się Dziobaty. Podszedł do Najstarszej i podrzucił ją na swój grzbiet, spychając z linii ataku, który właśnie nastąpił. Jak spod ziemi wyrósł Taem na swoim jaszczurze, osłaniając ją przed Jinem. Dziobaty parł do tyłu, by zanieść ją w bezpieczne miejsce wśród własnych szeregów. Za nimi biegł Kaliban Jina, wciąż zmniejszając dystans. Dziobaty nagle wyprostował się, a Elai z trudem utrzymała równowagę. Jej wierzchowiec nagle odwrócił się, sięgając pyskiem w stronę prześladowcy i wtedy ponownie spadła, a rozplaszczając się na ziemi tylko cudem uniknęła zmiżdżenia ogonem przez własnego Kalibana. Rozejrzała się wkoło, zastanawiając, jak wyjść cało z tych oparów.

Potężny ogon jeszcze raz przeleciał nad nią, a olbrzymia łapa minęła ją dosłownie o włos. Wsparła się na włóczni, bo nogi drżały jej ze strachu. Podeszła bliżej walczących jaszczurów, wyłowiła z kłębowiska ciało tego, który walczył z Dziobatym i wraziła w jego podgardle zatrutą włócznię. Siła ciosu spowodowała, że przewróciła się. W samą porę, bo nad nią przebiegł jakiś oszalały szary.

Wyczołgała się z blocka, cała umorusana, na wpół oślepią, przedzierając się w stronę swoich. Jakies ręce chwyciły ją i podniosły, ratując przed stratowaniem. Otworzyła oczy. To był Dain.

Razem z innym wojownikiem odciągnęli ją od centrum bitwy. W kłębowisku jaszczurów z trudem można było odróżnić przeciwnika od sprzymierzeńca. Panował straszliwy chaos. Żaden człowiek nie był w stanie zapanować nad rozwścieżonymi jaszczurami. I wtedy dostrzegła Dziobatego szarżującego na dwa szare. Rozprawił się z nimi w jedną chwilę i rozejrzał za następnym przeciwnikiem. Dostrzegł go, staranował i przegryzł szyję. Znowu straciła go z oczu.

Jedno nie ulegało wątpliwości - pomimo odniesionych ran Dziobaty żył, a gdzieś pod kłębowiskiem walczących jaszczurów był lin. Towarzysze opowiedzieli jej o tych, co zginęli od pierwszych strzał. Wspomnieli o Taemie, choć domyśliła się już, że zginął z ręki Jina w jej obronie. Padały kolejne imiona.

• A McGee? - zapytała nagle z trwogą. - Paeia?

• Paeia nadal walczy w pierwszym szeregu - odpowiedział jeden z mężczyzn, krzywiąc się przy tym szydlerczo. - McGee spadła z Brązowego, ale chyba nic złego jej się nie stało...

- Znajdź ją!

Musiała załatwić jeszcze kilka spraw, lecz o wiele powinny zadbać same Kalibany. Większość młodych z jej drużyny nie powinna już włączać się do walki - będą potrzebni w wyprawie nad Styks, by wypełnić przepowiednie wzorów. Zagwizdała, przywołując Dziobatego. Bez skutku. Przysiadła więc na niewielkim pagórku, milcząca i głucha na bitewny zgiełk. Potwornie bolała ją noga. Przyniesiono jej bukłak z wodą, pokazano kilka łupów z obozu Jina. Ledwo na nie spojrzała.

Odnaleziono McGee. Jej przyjaciółka usiadła obok niej, ledwo rozpoznawalna spod warstwy kurzu. Podała jej dłoń. Zmęczona twarz McGee wywoływała współczucie, a tym bardziej jej podrapana twarz, zlepione błotem włosy, porwane ubranie.

- Nic ci się nie stało? - zapytała z niepokojem.

-Nie. Nic. Parę zadrapań, a przecież mogłam w ogóle nie wrócić - odpowiedziała McGee, zbyt zmęczona, by wykonać jakikolwiek ruch. Z Kolca Jina zostały tylko obgryzione kości...

Na brzegu rzeki rozgrywał się kolejny akt rzezi. Elai wstała i podpierając się na włóczni jeszcze raz zagwizdała. Miała nadzieję, że tym razem Dziobaty usłyszy wezwanie. Bała się jednak, że gwizd zwróci na jej schronienie uwagę wrogich jaszczurów. Dostrzegła Dziobatego, jak oswobadza się od jednego przeciwnika i zaraz zostaje opadnięty przez trzy szare. Odrzucił je potężnym ogonem i pogna dalej.

• Wszystko z nim w porządku? - zapytała McGee, stając obok niej.

• Pewnie! - odparła Elai i zagwizdała ponownie.

Pozostali wojownicy też zaczęli wzywać swoje wierzchowce. Bitwa powoli cichła, ale jaszczury nie chciały wracać do swych jeźdźców. Elai odwróciła się i wskazała końcem włóczni w dół rzeki, gdzie kilka starszych jaszczurów wdrapywało się na wysoki brzeg.

Co teraz? - zapytała McGee.

- Teraz? Teraz już nic. - Elai spojrzała nieprzytomnym wzrokiem na przyjaciółkę z gwiazd. Jeszcze nie wiesz? Tam leży Jin. Wygraliśmy.

## 55.

### Stacja Gehenna do dyrektora bazy.

„Poranne obserwacje donoszą o wielkim starciu obu armii, większej, nadciągającej znad Styksu i mniejszej, znad Rzeki Obłoków. Wojsko Jina dysponowało przewagą liczebną i miało przewagę zaskoczenia, mimo to zostało odparte przez obrońców”.

## 56.

### Rok 205, dzień 115. Rzeka Obłoków.

Szli na własnych nogach. Kalibany płynęły rzeką. Po bitwie zaden z jaszczurów nie miał ochoty wyjść na brzeg. Jako pierwszy zdecydował się Dziobaty, znacząc ogonem głęboką brudę w przybrzeżnym piasku. Kiedy McGee spojrzała na jaszczura pomyślała w pierwszej chwili, że z jego boków zwisają resztki sieci rybackich. Po chwili dotarło do niej, że to kawałki jego skóry z poszarpanych boków i podbrzusza.

Elai zagwizdała. Dziobaty stanął. Podeszła doń, głaszcząc po dziobie i szyi. Jaszczur wyraźnie cierpiał. Pomimo tego wdrapała się na jego grzbiet i po chwili ruszyli w dalszą drogę. Nikt nie cieszył się ze zwycięstwa, nie wiwatował. Wszyscy szli w ponurym nastroju, spuściwszy głowy.

McGee zastanawiała się, czemu służy ta kolejna wyprawa. Przecież zwyciężyli. Radosne wieści musiały już dotrzeć do Dwunastu Wież, a kilka Kalibunów zajęło się układaniem nowego wzoru, który Ariele poniosły w świat. O co tu chodzi, zastanawiała się, analizując dziwną sytuację. Poszukała wzrokiem Daina, który mógłby jej to wyjaśnić, ale wojownik nie potrafił jej odpowiedzieć. Jej ciekawość rosła, potęgowana jeszcze niepewnością co do dalszego własnego losu.

Obóz rozbili tuż przed zapadnięciem zmroku. Kalibany wyszły z rzeki i rozpoczęło się wielkie szukanie jeźdźców. Dziobaty poszedł nad brzeg, Elai przysiadła przy ognisku.

Wszystko w porządku? - zapytała ją McGee.

- Jin nie żyje - odparła władczyni. - A jego wieże wkrótce runą.

Jej głos wydawał się martwy, pozbawiony barwy.

Elai rozłożyła palce dłoni. Koniec historii... tak kończy się jej panowanie.

McGee wtuliła głowę w ramiona i przysunęła bliżej ognia. Było jej zimno. Wpatrzona w pelgające płomienie usilnie starała się nie odwracać wzroku w stronę rzeki, gdzie Dziobaty dumiał nad własnym losem. Czowała, co myśli stary jaszczur: o nieuchronnie zbliżającej się starości, niemocy, bólu i poniżeniu. Był ciężko ranny. Każdy jaszczur mógłby go teraz pokonać, gdyby tylko chciał. Właśnie

minął okres jego panowania i świetności.

Paeia. Nie wróciła jeszcze z wyprawy, ale kiedyś stanie przed dziedziczką Dwunastu Wież, a za nią następną, żądni przejęcia władzy.

McGee poczuła, że fundamenty jej dotychczasowego życia zdrząły w posadach.

O świcie przybyli następną wojownicy, prowadząc jeńców. McGee chciała pomóc przyjaciółce, ale bała się odezwać w obawie, że za złą radę może stracić życie. Na szczęście Elai oszczędziła jeńców, pozwalając im usiąść przy ognisku, zziębniętym, drżącym i zrezygnowanym.

W kolejnej grupce pojmany był wojownik imieniem Parm, który zdołał uciec z bitwy, ale pojmały go Kalibany nad rzeką.

McGee było zimno, pomimo koców i ogniska szczękała zębami. Ostatnio wiele myślała na temat śmierci i nawet oswoiła się z myślą, że przyjdzie jej zginąć w bitwie. A teraz żyła i nie przerażała jej myśl przedwczesnego odejścia, stanięcia twarzą w twarz z nieznanym.

W rozmyślaniach ponownie przeszkodził jej hałas ze strony wartowników. To jeden z nich prowadził Mannina, pokasłującego i ledwie trzymającego się na nogach. Wyglądał jak ruina człowieka.

- Nie róbcie mu nic złego - rozkazała Elai. Spojrzała na przyjaciółkę: - Należy do ciebie, McGee.
- Dajcie mu jeść i pić - poprosiła McGee, nie wstając z miejsca. Nie chciała dopuścić do siebie myśli, że słowa Elai spowodowały, że w jej rękach spoczął właśnie los, życie lub śmierć drugiego człowieka. - Zapytaj go - poprosiła wartownika - żeby powiedział, co się stało z pozostałymi ludźmi z gwiazd.

- Mówił już, że .lin wykończył ich dzień przed bitwą.

- Cooo?

Trzeba było zakończyć wreszcie tę sprawę, doprowadzić ją do końca.

- Niech ktoś jak najszybciej odprowadzi go do kamiennych wież.

Wojownik imieniem Cloud pomógł Manninowi wsiąść na jaszczura. Obaj zniknęli w ciemnościach, zamykając kolejny rozdział historii ludzi z gwiazd. Ich historia niewiele się już liczyła wobec tego, co właśnie dokonało się nad Rzeką Obłoków. Oni już nie liczyli się na Gehennie.

## 57.

### Rok 205, dzień 118 ery kolonialnej. Biuro dyrektora bazy.

- ...zapadła się wręcz pod ziemię! - wyjąkała asystentka, rzucając dyrektorowi przerażone spojrzenie. Wsparła się o biurko, a pominając o pozostałych raportach, które miała dzisiaj dostarczyć. - Cała wieża po prostu zapadła się pod ziemię! Właśnie patrzyłam przez okno... Widziałam to na własne oczy!

Na jej biurku zapłonęła czerwona lampka interkomu, dając znać, że stacja orbitalna pragnie rozmawiać z dyrektorem. Przerażona kobieta była gotowa rozwodzić się jeszcze nad nieszczęściem, jakie spotkało wieżę nad Styksem, gdyby dyrektor nie nacisnął klawisza, co przerwało jej lamenty.

- Pilne! Proszę natychmiast rozpocząć obserwację brzegu rze ki. Wieże: ósma, szósta i druga właśnie zapadły się pod ziemię!

Ktoś pchnął mocno drzwi do gabinetu. W progu stanął mężczyzna o czerwonej, wścieklej twarzy.

- Widział pan!? - rzucił do dyrektora.

- Asystentka mnie w tym wyręczyła. Z orbity donoszą, że runęły trzy wieże.

- Czy nie powinniśmy jeszcze raz porozumieć się z Genleyem?

Może pan sobie robić, co chce. Byle nikt nie opuścił od tej chwili bazy.

-A jeśli ktoś z naszych został tam ranny?

- Trudno. Będzie musiał radzić sobie sam. Jest pan pewien prawidłowego funkcjonowania zabezpieczeń i systemu ostrzegania?

- Do tej pory wszystko działało bez zarzutu.

- Wobec tego proszę cały czas wywoływać doktor McGee.

Może tym razem będziemy mieli więcej szczęścia. Do pracy! - rzucił pod adresem asystentki.

Miał ochotę na coś mocniejszego, ale nie był do końca pewien, czy to coś pomoże. Nie zdecydował się też na tabletki uspokajające. Na tablicy wciąż jarzyły się kontrolki różnych wezwań.

- Proszę przygotować sprawozdanie - porozumiał się z sekcją bezpieczeństwa. - Chcę wiedzieć wszystko na temat ostatnich wydarzeń.

Powoli gasły lampki, jedna za drugą, widomy znak, że asystentka zabrała się do pracy i opanowała sytuację. Dyrektorowi nie przestały jednak drżeć ręce. Myślał o dziesiątkach swoich podpisów widniejących pod dokumentami pozwalającymi naukowcom na wychodzenie poza bazę. Był pewien, że wcześniej lub później ktoś wyciągnie te dokumenty i zarzuci mu szafowanie życiem członków misji. Musi się na to odpowiednio przygotować, znaleźć wyjaśnienia, argumenty. Urzędnicy ministerstwa nie lubią ofiar.

Kiedy następnego dnia rozmyślał o komplikacjach, których z pewnością nie uniknie (głównie za sprawą tej przeklętej McGee, która wmówiła mu, że szczególną sympatią powinien darzyć wioskę Clouda), na pulpicie zapaliła się czerwona lampka z wartowni.

- Człowiek przed bramą - usłyszał głos. A po chwili: - To Mannin.

Dyrektor z trudem przedarł się przez zespół lekarzy i zatrzymał przerażony nad ludzkim strzępem, leżącym na łóżku.

- Co się stało?

Nie otrzymał żadnej sensownej odpowiedzi. Półprzytomny naukowiec, a raczej to, co z niego zostało, jękał tylko w malignie coś o Kalibanach i brzegu rzeki.

- Skąd pan przybył?

Mannin tylko zapłakał w odpowiedzi.

Dyrektor wyznaczył stałego opiekuna, który miał notować wszelkie majaczenia chorego i spróbować wyciągnąć z tego jakieś

logiczne wnioski oraz sporządzić raport. Potem wrócił do swego gabinetu.

Kiedy wreszcie otrzymał pierwszą informację zawierającą dość ogólnikowe wiadomości o wymarszu Jina z wojskiem, zabójstwie Genleya i Kima oraz spotkaniu z McGee, powrócił do szpitala. Kim leżał na łóżku. Był ogolony, ostrzyżony, ale wciąż wyglądał jak cień człowieka. Same kości i skóra.

- Wkrótce wyślę pana na stację, Mannin. A potem na Pell.

Te wszystkie nazwy nic jednak nie mówiły człowiekowi na łóżku. Nawet nie zareagował.

## 58.

Dyrektor bazy **do doktor E. McGee.**

„Czy otrzymała pani mój ostatni komunikat? Proszę o natychmiastową odpowiedź. Władze przysyłają nam obserwatora ze strony Unii. Spodziewamy się otrzymać od niego dokumenty, które rzuca nieco światła na dzieje Gehenny.

Sytuacja całej misji jest drażliwa. Nie mogę się z panią więcej kontaktować, chyba że da pani jakiś znak życia”.

## 59.

**Rok 205, dzień 172 ery kolonialnej. Dwanaście Wież.**

- Sprzeciwiam się nawiązaniu jakiegokolwiek łączności - stanowczo zabroniła Elai.

McGee nie podejmowała więcej tego tematu, siedząc w najwyższej komnacie wieży razem z władczynią. Spoglądała tylko na nią ponuro spod zmierzwionych włosów opadających jej na czoło.

W komnacie nic było już Dziobatego. Odszedł na plażę, by tam spokojnie dokonać żywota. Także i jego pani nie miała się najlepiej. Od wielu dni nie przyjmowała pokarmu, jedynie piła. W kącie



siedział Din,

przedwcześnie dojrzały siedmiolatek, który wiedział za wiele. Przy nim siedział brązowy jaszczur, w każdej chwili gotów bronić swego niepełnoletniego dziedzica. Poza jaszczurem pozostawał mu tylko nóż, garstka zaufanych domowników i ciotka z gwiazd.

Dain też siedział z nimi. Rozmawiał w drzwiach ze swoją siostrą, Maeri. Flanahanowie pozostali lojalni - byli gotowi nawet na śmierć, gdyby zaszła taka konieczność.

- McGee - Elai obudziła się z letargu.

- Tak, Pierwsza...

- Co mi radzisz zrobić?

- Chcesz ode mnie rady? - spytała z niedowierzaniem. Nie była pewna, czy Elai przypadkiem nie majaczy. - Przede wszystkim to radziłabym ci coś zjeść...

Cisza.

- Elai... Niech sprawy potoczą się własnym torem. Nie wyreć czaj losu. Zjedz coś, wróć do sił, a potem zastanowimy się wspólnie, co robić. Może uciekniemy stąd, może poprosimy o azyl w baźnie?

- Mogłabym jeszcze zbudować łódź i popłynąć na wyspy...

Elai podniosła rękę i rozłożyła szeroko palce. Nie istniejące kamienie potoczyły się na podłogę. Cyniczny, starczy śmiech.

...Zapomnij o tym, stara przyjaciółko...

- Wieże nad Styksem zapadły się pod ziemię. Cóż to oznacza dla tego świata?

Jakiś niezrozumiały dla McGee gest.

- Powinam była zbudować te łodzie już dawno temu. Ale oni wtedy zburzyliby nasze wieże.

Po plecach McGee przebiegł zimny dreszcz.

- Kto taki? Kalibany? O kim mówisz?

- Nie wiem. Może tak, a może nie... Wkrótce przyjdą tu silniejsi ode mnie. Ale życie ich załatwi. Nie wytrzymają w tym kraju. Większość z nich umrze, niewielu przeżyje... A zresztą... nie wiem...

McGee poczuła nagle przerażenie, które spowodowała pewna myśl. Jaka wypłynęła z najskrytszego zakątka jej świadomości. Drgnęła.

- Sądzisz, że Jin zrobił coś. co nie spodobało się Kalibanom?

I w ten sposób podpisał wyrok na swoje plemię i siebie?

Pierwsza wzruszyła ramionami.

- Przecież pojawiali i zabijali szare...

- Ale to trwało całe lata.

- Z upływem lat stawali się coraz gorsi, a kiedy zaczęli dawać posłuch takim ludziom jak Jin... -

Elai wskazała ręką za rzekę. - McGee, Kalibany jeszcze nie zdążyły ułożyć wzoru dla naszej wioski. Rzeka stanęła i muszą poczekać, aż wytyczą przyszły bieg jej losów. Wciąż nie wiemy, gdzie przebiega granica tego, co nam wolno, a czego nie wolno.

A statki? Czy statki zostaną wpisane w ten plan?

- Tak może być - westchnęła ciężko Najstarsza. - A może będzie inaczej. Dziobaty chciał kiedyś wypłynąć w morze, ale morskie plemię uniemożliwiło nasze zamiary, Oni są potężniejsi. Kto wie, może to było ostrzeżenie, żeby nie brać się za sprawy, których się nie zna i nie pożądać tego, czego i tak się nie osiągnie...

McGee nie wytrzymała i zbiegła w dół korytarzem, po drodze napotkała ciekawskie spojrzenie Daina. Do dzisiaj wszystko wyglądało, jakby nic się nie stało. Oddział włóczników pilnował wieży, nie wpuszczano nikogo podejrzanego. Gdzieś po wybrzeżu wałęsały się niedobitki z rzezi. Paeria zamknęła się w swojej wieży, knując zapewne, jak by tu przejąć stanowisko Najstarszej. Nieprzystosowani zajęci byli swoimi sprawami... jeśli ktokolwiek mógł coś wiedzieć na pewno, to właśnie oni. Dzisiaj jednak rozmawiali wyłącznie między sobą.

Ruszyła bez celu przed siebie, w kierunku morza, gdzie konał Dziobaty. Mały Taem powiedział, że jaszczur jeszcze nie umarł, ale już dogorywa. Nad plażą unosił się odór schnących ryb, sieci i gnijących glonów. Ogromny jaszczur faktycznie jeszcze oddychał, choć poszarpane w bitwie boki gniły już i nie pozostawiały złudzeń co do najbliższej przyszłości Kaiibana. Ogromne oko przyglądało się jednak przybyszowi, śledząc jego sylwetkę.

Podniosła jakiś kamień i położyła go przed Dziobatym. Potem jeszcze jeden i następny. Wszystkie jednakowej wielkości, duże, jakie zwykły przynosić jaszczury. Z wielkim trudem ułożyła spiralę,

dodając strzałkę wskazującą kierunek splatania się wzorów. Znikąd pojawił się jakiś Ariel, ofiarowując pomoc. Zaraz też spróbował zmienić wzór, sądząc, że to zabawa, ale odbiegł, gdy zamarkowała, że rzuci w niego kamieniem. Ocierała z czoła i oczu pot, ale nie zaprzestała pracy nawet wtedy, gdy przyszedł Dain z kilkoma ludźmi popatrzeć na nowy, nieznaną sposób układania kamieni. Pierwsza wieża, ośmiokątna, wznosiła się nieco wyżej od pozostałych. Dziobaty poruszył się.

Dain patrzył i nie ingerował w budowę. McGee przyniosła więcej kamieni. Wiatr targał jej brudne włosy, powiewał strzępami sukienki, a widzów wciąż przybywało - wojowników i Kalibanów.

- McGee, nie rób tego. Zaraz przyjdzie Paeia...

Zacisnęła usta.

Jakiś szary zbliżył się, chcąc poprawić wzór zgodnie z harmonią świata uznawaną przez Kalibany. Dziobaty syknął groźnie i niefortunny pomocnik cofnął się za widzów.

Dain z wojownikami zaczęli zbierać z odległych części plaży kamienie i znosić je dla McGee. Wzór zaczął teraz szybciej nabierać wyraźnych kształtów - widać było kręte linie wyobrażające osiedle nad Styksem, rzekę, wybrzeże, południe.

...Agresja... ludzie z gwiazd...

Czy słowo gwiazdy mogło cokolwiek znaczyć dla zwierzęcia, które nigdy ich nie widziało? Układała w skrócie symbole: rzeka, dom, ciepło, mnogość, pożywienie - starając się połączyć je wszystkie z bazą.

Jakiś rybak przyniósł kilka kamieni z rzeki, inni poszli w jego ślady. Jakaś kobieta podtoczyła nawet kamień węgielny.

„Rzeczy, które się zmieniają” - tak brzmiała definicja tworzonego wzoru. Stado Arieli rozbiegło się po nich, węsząc wśród kamieni zapach i szaleństwo ludzi. McGee straciła już orientację w tym, co robi.

- Stać! - krzyknęła, ale nikt jej nie posłuchał. Wszyscy byli za jej rozwijaniem tematu gwiazdnych ludzi.

Nagle wrzawa ucichła, a zgromadzeni rozstąpili się, robiąc miejsce dla Elai. Władczyni wyglądała jak widmo. Stała w towarzystwie Dina i jego Kalibana.

- McGee! -jej głos zabrzmiał jak uderzenie gromu.

- McGee zwariowała - odpowiedziała jej kobieta z gwiazd. - Czy nieprzystosowani nie mają prawa mówić wszystkiego, co im leży na sercu?

- Chcesz, żeby wdeptały nas w ziemię, jak to zrobiły już z Jinem?

Dziobaty syknął cicho, spojrzał na Elai, podniósł się i podreptał w stronę rzeki. Władczyni patrzyła pustym wzrokiem przed siebie, na, albo za morze.

- Jesteś głupia - powiedziała ledwie słyszalnym głosem.

Odwróciła się i poszła do wieży. Na swej drodze spotkała Paeię, wojowniczo wyprostowaną na grzbiecie jej brązowego Kalibana, w otoczeniu swojej drużyny. Elai stanęła, obie zmierzyły się ponurym wzrokiem... Wokół zapadła niezmacona niczym cisza. Po chwili Najstarsza obesła grupę wojowników i przez nikogo nie zatrzymywana poszła dalej.

Przez chwilę wszyscy jeszcze stali bez ruchu, zaraz jednak zaczęli się szybko żegnać i biec do swoich domostw. McGee także. Jednak jakaś włócznia zagroziła jej drogę. Spojrzała w kierunku szyderczo wykrzywionej twarzy Paei.

- Głupia!

- Cóż, słyszę to już dzisiaj drugi raz - odpowiedziała McGee, odtrąciła włócznię i poszła dalej.

## 60.

**Dyrektor bazy do doktor E. McGee.**

„Powtórnie proszę o jak najszybsze dostarczenie sprawozdania z wydarzeń na polu bitwy i później. Przedstawiciel naszych władz oraz reprezentant Unii wkrótce wyruszą do nas, wioząc ze sobą informacje niezwykle ważne dla pani badań...”

## 61.

**Osobiste notatki doktor E. McGee. Zakodowane.**

Stan zdrowia Elai jest stabilny - ani się nie poprawia, ani nie polepsza. Od czasu bitwy Paeia nie przekroczyła progu pierwszej wieży. Cieszę się, że swoimi zabiegami zdołałam przynajmniej osiągnąć to kruche zawieszenie broni. Chociaż mój wzór powstał prowizorycznie, z nagłego natchnienia, to nie przemyślałam dokładnie, co robię.

Bardzo chciałam pokazać Kalibanom, że nie powinny dopuścić do utraty Elai. Staralam się też coś opowiedzieć o ludziach

z gwiazd. Zrobiłam to za pomocą języka, którego dotąd **nikt** z bazy nie używał, więc wiele wzorów - na określenie słów i pojęć nieznanymi jaszczurom - musiałam wymyślić na poczekaniu. Staralam się w ich języku przekazać, że życie istnieje nie tylko na Gehennie, a ludzie z gwiazd umieją także czynić dobro...

W tej chwili panuje spokój. Większość Kalibanów gdzieś odeszła. Nawet Elai zjadła wczoraj talerz zupy... to prawdziwy sukces, który mogę przypisać sobie. Dain dzielnie mnie wspomaga.

Po drugiej stronie rzeki wre praca. Kalibany wnoszą tam nowe wzory, burzą stare, potem burzą nowe i ponownie wnoszą stare, żeby na drugi dzień znowu je zniszczyć. Kompletny chaos. Nic nie można pojąć z tych fragmentów.

Paeia nie odważa się zaatakować - w tej chwili niepokojenie jaszczurów to czyste szaleństwo.

## 62.

### Stacja orbitalna do bazy.

„US *Wywrn* leci już z Cyteen. Na jego pokładzie znajduje się obserwator rządu Unii”.

## 63.

### Rzeka Obłoków.

To była niespokojna noc. McGee wyraźnie słyszała odgłosy ziemnych prac Kalibanów, odległe tąpnięcia ziemi, przesunięcia i wstrząsy, coraz wyraźniejsze i głośniejsze. Podniosła się z łóżka i pobiegła korytarzem. To samo zrobili inni, równie jak ona zaniepokojeni. Razem poszli w górę, do komnaty Najstarszej.

Elai także nie spała. Otaczała ją grupka ludzi o pobladłych, przestraszonych twarzach, McGee dostrzegła między nimi Dina i Maeriego. Nikt nie był uzbrojony. Nikomu, oprócz Dina, nie towarzyszył jaszczur - wszystkie opuściły swoich właścicieli. Tylko stadko Arieli krzątało się tu i tam, badawczo niuchając cienkimi językami.

Nagle w otworze wejściowym ukazała się ogromna głowa brązowego Kalibana. Był większy nawet od Dziobatego i nie należał do nikogo. Wojownicy cofnęli się poci ścianę, tylko Elai została na swoim tronie.

Zaraz zginiemy, pomyślała McGee, wyobrażając sobie upadek wieży i stertę kamieni na jej miejscu. Kamieni porośniętych trawą, przemieszanych z drewnianymi belkami stropowymi i ludzkimi szczątkami...

Ogromny brązowy opuścił nastroszony grzebień. Obrócił się i opadł na przednie łapy. W komnacie nagle zaroilo się od Kalibanów, mały Din poszukał schronienia w ramionach McGee, a jego jaszczur walił ostrzegawczo ogonem o ziemię.

Elai ostrożnie wyciągnęła rękę i dotknęła delikatnie brązowego stwora. Wydawał się przyjmować te pieszczoty z zadowoleniem. Pozostali ludzie stali nieruchomo, dopóki Kalibany nie przestały biegać nerwowo i nie opuściły grzebieni. Jakiś szary wystąpił na środek sali i położył rybę, którą potężny brązowy natychmiast pożarł.

- Paeia będzie mocno zawiedziona - powiedziała Elai i spojrzała uśmiechnięta na McGee. - I co teraz?

Przez lata służył ci wiernie Dziobaty - McGee zapomniała o pocie strachu, spływającym po jej ciele - i była to jego własna decyzja, nie zatwierdzona przez inne Kalibany. Gdyby jaszczury chciały mieć ludzkiego przywódcę, wybrałyby Jina, który był lepszym strategiem od ciebie. Z niewiadomych powodów przybyły jednak do ciebie... Czy jeszcze tego nie rozumiesz, Elai?

Władczyni spojrzała na nią znacząco i położyła rękę na grzbiecie najbliższego jaszczura, najwyraźniej zadowolonego z tego gestu. Najstarsza zawsze niechętnie zdradzała swoje plany przed innymi ludźmi.

- Od dzisiaj ten niech nazywa się Słoneczny...

#### **Dyrektor bazy do doktor E. McGee.**

„Pilne!

Jak się dowiedziałem z raportu Mannina, pani pozycja wśród ludu Elai jest bardzo znacząca i umożliwia skompletowanie cennego materiału badawczego. Proszę jednak o jakiś znak życia! Lada chwila spodziewamy się przybycia statku z doktorem Ebhardttem na pokładzie. Jestem przekonany, że nie będą się wtrącać do pani badań, ale proszę (i nalegam) na jakiś znak życia od pani...”

## **64.**

#### **E. McGee znad Rzeki Obłoków do dyrektora bazy.**

„Obecnie ani miejsce, ani czas nie jest stosowny na jakąkolwiek próbę ingerencji w sprawy wewnętrzne Dwunastu Wież. Współczuję z powodu tragedii, jaka spotkała wyprawę Genleya. Proszę się trzymać z dala od osady. Kalibany są ostatnio bardzo zaniepokojone.

Sprawozdanie załączam”.

## **65.**

#### **Rok 205, dzień 298 ery kolonialnej. Rzeka Obłoków.**

Kalibany cały dzień i noc krzątały się na brzegu rzeki i wschodzące słońce rzuciło światło na niezwykłą budowlę. McGee prawie wychodziła z siebie, doradzając im, rysując wzory, obserwując plac budowy.

Elai przyglądała się postępowi prac ze szczytu swojej wieży, bolejąc, że sama nie może być w środku całego zamieszania.

Dain został mianowany pierwszym kapitanem statku. Chciała być nim Elai, ale McGee wystarczająco długo przekonywała ją o ryzyku próbnego rejsu.

Tego dnia Elai wyszła jak zwykle na taras, patrząc na linię horyzontu i marząc o przyszłości. Dlatego jako pierwsza dostrzegła w oddali szybko przemieszczający się punkcik, zanim jeszcze zobaczyli go strażnicy. Na niebie lśnił srebrny statek z bazy i... podchodził do lądowania! Powietrze rozdarł huk gromu.

Praca na brzegu rzeki ustała. Ludzie rozglądali się, patrzyli w górę, zdziwieni piorunami przy bezchmurnym niebie. Serce Elai zabiło mocniej. Zaciśnęła dłonie na drewnianej poręczy tarasu, zagwizdała na Słonecznego, odwróciła się i pobiegła na dół.

- McGee! McGee!

Obcy wylądowali na drugim brzegu rzeki.

Elai patrzyła na ich statek, a kątem oka dostrzegła Daina z drużyną. Ich włócznie wyglądały śmiesznie wobec ogromu statku, ale wzięli je na wypadek, gdyby trzeba było pokazać intruzom, gdzie jest granica, której nie wolno przekraczać. Z cienia rzucanego przez ogromny kadłub wyszedł gwiazdny przybysz. Wszyscy wokół ucichli.

- McGee - szepnęła Elai. - Spróbuj się dowiedzieć, czego chcą.

McGee patrzyła na to wszystko z uśmiechem politowania. Wszystko zorganizowano jak marny spektakl, by uzmysłowić tubylcom siłę ludzi z gwiazd. McGee wyglądałaby w skórzanym kaftanie i z potarganymi włosami jak jedna z ludu Elai, gdyby nie błękitny szal, jakim owinęła sobie szyję.

Gwiazdny wędrowcy byli bogaci, mieli technikę i posiadli wspaniałe umiejętności, ale nie powinni lądować akurat w tym miejscu. Mogli przecież przylecieć promem do bazy, a stamtąd przyje-

chać terenowymi łazikami. Im chodziło jednak o to, żeby cień promu z gwiazd przesłonił szkielet łodzi budowanej przez Elai. A teraz czekali.

Do zgromadzonych dołączyła Paeia ze swoimi ludźmi. Była teraz bardzo zgorzkniała, bo nie wykorzystała szansy, jaką miała na przejęcie władzy. Teraz nie będzie już miała drugiej.

McGee rozmawiała z przybyszami. Nie sposób było z daleka usłyszeć, o czym rozmawiają. Nie wyglądało, żeby coś jej groziło, ale mowa jej ciała pokazywała, że nie jest zadowolona ze spotkania. Zbyt często patrzyła w ziemię, za rzadko w twarze rozmówców. Często też przestępowała z nogi na nogę, co w jej przypadku oznaczało gniew.

Wreszcie wróciła.

- Elai. Oni chcą mówić z tobą. Podobno o handlu...

Najstarsza zmarszczyła brwi w zdziwieniu.

- Należą do nowych przybyszów - dodała McGee. - Chcą zmienić swój stosunek do Dwunastu Wież. Jeśli mówią o handlu, to oznacza, że możecie otrzymać trochę lekarstw, może metal...

- A czego chcą w zamian?

- Was... - obie kobiety spotkały się wzrokiem. - Chcą się upewnić, czy wasz rozwój przebiega we właściwym, czyli pożądanym przez nich kierunku. W ten sposób kiedyś staniecie się podobni do nich i może nawet zostaniecie partnerami. Ten czarny to doktor Myers i jest z bazy. Ten drugi to doktor Ebhardt ze świata o nazwie Cyteen.

- Czy to człowiek Unii?

Słyszała o ludzkiej Unii. Wyczytała o nim wystarczająco dużo w starych księgach. Spojrzała na Ebhardta i wskazała go ręką.

- Ty... tam. Pochodzisz z Cyteen?
- Tak - przybysz podszedł bliżej. - Czy McGee coś wam o nas mówiła?
- Chcecie z nami handlować. Czego się spodziewacie od nas?
- Wszystkiego... Ryby, ozdoby z kości...
- Tutaj każda kość należy do nas!

Jak przewidziała, jej słowa wcale nie przeraziły przybyszów. Skinęła na Słonecznego. Kaliban powstał. Obcy cofnęli się kilka kroków.

- Chcecie ryb i kości. Siedzicie sobie w kamiennych wieżach za drutami i nie wiecie, z kim macie do czynienia. Żeby wam to wyjaśnić... - swoją włócznią zakreśliła krąg. - Jestem Elai, córka Ellai z linii Gouda I i Elly I, potomków Pii i .lina, którzy jako pierwsi spłodzili tu dzieci i wzięli ten świat w posiadanie. Stoicie na mojej ziemi!

Cofnęli się dalej.

• McGee...

• Powinniście w tej chwili zniknąć - spokojnie doradziła im McGee. - Elai, ta, która jest Pierwszą, powiadomiła was właśnie, że zgadza się na handel, ale nie na waszych warunkach. Teraz raczej radziłabym spać wasze manatki i nie ryzykować jakiegoś przykrego incydentu.

Zastanawiali się przez chwilę.

- Pierwsza... - przemówił Myers. ale zaraz machnął ręką. zrezygnowany.

Obaj schowali się w promie.

Odlecieli.

Kaiibany długo jeszcze zadzierały głowy w niebo, zaciekawione, a wojownicy potrząsali groźnie włóczniami, wydając okrzyki radości. Nawet Paeia była pod wrażeniem.

Chodźmy już stąd - odezwała się do McGee Elai i pokazała Słonecznemu kierunek. - Czas wracać.

## VIII

# W DRODZE DO DOMU

## 1.

Rok 305, dzień 33 ery kolonialnej. Fargone, stacja w przestrzeni Unii.

W doku zgromadzili się ludzie wszelkich profesji: żołnierze, kupcy z wielkich statków, mieszkańcy stacji, dokerzy, członkowie załóg statków cumujących obok. Za chwilę mieli być świadkami czegoś niezwykłego.

- Co to ma być? - spytał ktoś głośno.

Młody mężczyzna odwrócił się i przez chwilę przyglądał się gapiowi. Wyglądał groźnie. Był wysoki, miał długie włosy, ubrany był w skórzany kaftan z dziwnej skóry, na szyi wisiał mu sznur z wypolerowanych kości różnej wielkości. Za pas miał zatknięty długi nóż - dziwna rzecz, bo w dokach noszenie broni było zabronione.

Gapie przyglądali się, jak dumny mężczyzna przechodzi do budynku administracji.

- To mieszkaniec Gehenny - wyjaśnił brygadzysta Dan James.
- No właśnie. Słyszałem, że tym statkiem mają przylecieć jacyś obcy - potwierdził jeden z dokerów, rzucając pogardliwe spojrzenie za wysokim mężczyzną w skórze.
- Ponoć przywiózł ze sobą smoka, którego dosiada.
- Pozwolili mu?
- Nie musieli wyrażać zgody. Ten potwór jest podobno inteligentny i ma takie same prawa jak my.
- Chłopie, czy ty na pewno wiesz, co mówisz?

To miejsce wyglądało zupełnie inaczej niż wszystko, co do tej pory zobaczył w swoim życiu Marik, syn Gouda i Elai. Pełen respektu i szacunku zbierał zewsząd informacje, na jakie czekali w domu. Choć już oswoił się ze statkami i kosmiczną pustką, to wciąż jeszcze nie potrafił pojąć, że istnieje niezliczona liczba stacji i światów jak Gehenna, które pewnie nigdy nie doczekają się swoich zdobywców.

398

Cloud pouczył go, jak obchodzić się z obcymi. O co można i o co należy pytać, czego lepiej nie dotykać. Był szczęśliwy, że wreszcie opuścił chłodne, nieprzyjemne pomieszczenia statku. Wciąż w nim marzył i czuł się sennie. Teraz miał wokół siebie mnóstwo ludzi, hałaśliwych i ciekawskich. Nauczył się kilku wystudiowanych spojrzeń, jakie rzucał zbyt poufałym gapiom.

W myślach układał wielki wzór, który opisze najważniejsze doświadczenia tej podróży i ten nowy świat, na którym stanął.

Pewne rzeczy wciąż wprawiały go w zakłopotanie - na przykład to, jak wygląda wszechświat i co chcą w nim zrobić ludzie.

Powiedzieli mu, że mają problemy z planetami, które odkryli, bo nie mogą się porozumieć z istotami, jakie je zamieszkują.

Ty - mówili mu - inaczej podchodzisz do tych spraw.

Cóż, żeby coś wiedzieć, trzeba to zobaczyć na własne oczy. Więc polecą tam i zobaczą.

## Reaktywacja po 30 latach legendarnej antologii

*mEŁKmm \d najlepszej światowej fantast^*